

# Antologia SF

## Różni

### Książka V z Wizje Alternatywne



calibre 0.9.43

Antologia polskiej fantastyki

Wizje alternatywne 5

Wybór Wojtek Sedeńko

*Wojtek Sedeńko*

## 12 gniewnych prekognitów

Piąta, jubileuszowa antologia polskiej fantastyki z serii „Wizje alternatywne” ukazuje się w czternaście lat po pierwszej i skłania do obejrzenia się wstecz i podsumowania tego, co działo się w polskiej fantastyce w tym czasie.

Nie zamierzam analizować i oceniać zjawisk i trendów, tym niech zajmą się mądrzejsi ode mnie. Jednak jako miłośnik fantastyki i niezależny redaktor małego, prowincjonalnego wydawnictwa, mogę, z dala od stołecznego blichtru i środowiskowych sporów, obserwować rozwój rodzimej literatury fantastycznej bez wdawania się w programowe walki. A nie da się ukryć, że piąte „Wizje” ukazują się w chwili wielkiego boomu na polską fantastykę: w roku ubiegłym ukazało się około pięćdziesięciu książek rodzimych autorów, „Wizje” nie są już jedyną antologią, periodyków jest co niemiara (ruch na rynku pism jest tak duży, że nikt nie wie na pewno, ile ich ukazuje się w danej chwili), do tego dochodzi mnóstwo portali internetowych, są też wydawnictwa specjalizujące się w polskiej fantastyce. Jak grzyby po deszczu powstają nowe fanowskie imprezy, choć literatura traktowana jest na nich elitarnie i marginesowo. Całe zjawisko zauważono w prasie głównonurtowej, telewizji i radio, choć raczej — jak mi się wydaje — na zasadzie szukania tematów zastępczych — w dobie silnej konkurencji media poszukują nowych materiałów.

Niewątpliwie, boom taki niesie wiele dobrego, ale kryje też pułapki. Pierwszy wielki wysyp polskiej fantastyki zafundowała nam w latach 80. Krajowa Agencja Wydawnicza, wydając wiele książek debiutantów, prezentujących często żenujący poziom artystyczny i warsztatowy, co obróciło się przeciwko pomysłodawcom. Na dziesięć prawie lat krytyka wyrażała się o polskiej fantastyce z pogardą, a o autorach KAWu w większości dziś nikt już nie pamięta.

W połowie lat 90. postawiło na polską SF wydawnictwo SuperNOWA, i ten boom miał również wymiar artystyczny — prezentowane książki były w większości wartościowe, osiągnęły wysokie nakłady, a dobra opinia poszła w Polskę. Trzeba tu jednak dodać, że autorzy, których SuperNOWA wydawała to nie byli debiutanci, a ukształtowani już pisarze, świadomi celów i drogi, jaka do nich prowadzi. Nie bez znaczenia było tu doświadczenie i wcześniejsza promocja większości tychże autorów na łamach „Nowej Fantastyki” — to w tym czasie miesięcznik ten prezentował najlepsze polskie teksty, tu publikowali Sapkowski, Dukaj, Huberath, Żerdziński.

Dzisiaj, po kolejnych dziesięciu latach, polska fantastyka znowu jest na topie. Dzięki czasopismom, internetowi i wyspecjalizowanym wydawnictwom mamy ponownie zalew debiutów, o książkach tych mówi się i pisze, osiągają niezłe nakłady, o których polscy pisarze głównonurtowi mogą tylko pomarzyć. Tu pojawia się aspekt, dotąd znany nam tylko z teorii, że sprzedaż decyduje o rankingu autorów. Sprzedaż pokazuje, czego chce czytelnik — choć nie zawsze jest to literatura ambitna, to jednak z tym kryterium trzeba się dzisiaj liczyć. Nie okłamujmy się, fantastyka jest literaturą popularną i większość ludzi kupuje ją dla rozrywki, dla paru godzin oderwania się od kłopotów dnia codziennego, dla zwykłego wytchnienia.

Wysokie nakłady mają Sapkowski, Pilipiuk, Ziemiański, przyzwoite — Wolski, Kossakowska,

pozostałe polskie książki też nie sprzedają się na złym poziomie. Świadczą, że jest zainteresowanie i tu warto, wręcz trzeba, zastanowić się, jak ten popyt i zainteresowanie utrzymać na dłuższą metę, nie zaprzepaścić go.

Najważniejsza pułapka to jakość — wiadomo, że rzadko idzie w parze z ilością. Fenomen popularności Pilipiuka czy Ziemiańskiego może zniszczyć nadmiar ich książek na rynku, nie tylko zaczną konkurować ze sobą wzajemnie, ale i „opatrzą” się odbiorcy. Inaczej jest z Sapkowskim, który może się zżymać, że go tutaj stawiam w jednym z szeregu z typowo komercyjnymi projektami, ale jako handlowiec to zrozumie. W jego przypadku wydawca umiejętnie podgrzewa atmosferę oczekiwania na nową książkę autora „Wiedźmina” i chociaż trzeba czekać na nią trzy lata, to sukces jest murowany.

Promocja to także nowe zjawisko w polskiej fantastyce. Prasa, radio, coraz częściej telewizja, akcje w sieciach supermarketów czy Empików, plakaty, spotkania z pisarzami, akcje na konwentach — to wszystko napędza koniunkturę, ale i tu tkwi haczyk. Polecając każdą swoją nową książkę, wydawcy mogą doprowadzić do negacji i „uodpornienia” się na reklamę — zwłaszcza, że w dobie internetu każdy jest zarzucany hałdami reklamowych plików. Promocją słabszej książki można też w ogóle zniechęcić odbiorcę do pozostałej oferty wydawniczej.

Mamy więc boom na polską fantastykę, falę debiutów, jako wydawca dostaję co miesiąc jakąś propozycję lub maszynopis, wręcz nie sposób tego przerobić. Czasami mam wrażenie, że nagle połowa mieszkańców tego kraju stwierdziła, iż pisarstwo to jest ich wymarzony zawód i sposób na życie. Tymczasem nadal jest to ciężki kawałek chleba i żeby wyżyć z pisarstwa, trzeba sprzedawać kilkanaście tysięcy egzemplarzy swoich książek rocznie, a większość autorów może tylko o tym pomarzyć — dzisiaj średnia sprzedaż to tysiąc egzemplarzy i zarobek na tym niewielki, niewspółmierny do włożonego czasu i wysiłku. Ale i tu doczekaliśmy się sytuacji, jaka od lat panuje na rynkach zachodnich. Prawdziwych *full time writerów* mamy ledwie paru i w większości klepią biedę (co pasuje do klasycznego wizerunku literata). Pozostali pracują zawodowo, a piszą w wolnych chwilach.

W tym zalewie nowych pisarzy fantastów tylko kilku posiada podstawowe umiejętności warsztatowe, nad większością tekstów trzeba mocno pracować ołówkiem. Mam jednak wrażenie, że niewielu wydawców zdaje sobie sprawę z konieczności pracy redakcyjnej. To przyblokować może rozwój wielu autorów, bo nawet świetne pomysły można zaprzepaścić, nie potrafiąc ich ująć w ramy narracyjne. To kolejny słaby punkt.

Jak wygląda polska fantastyka przez pryzmat piątych „Wizji”?

Wydaje mi się, że to interesujący wybór, dający prawdziwy przekrój autorów, tematów i stylów. Pisałem przy okazji któregoś z wcześniejszych tomów, że to rodzaj raportu o stanie polskiej fantastyki. I tak chyba jest. Udało mi się zebrać oryginalne opowiadania od dwunastu czołowych polskich autorów fantastyki. Są wśród nich pisarze doświadczeni, z dorobkiem kilkunastu nawet książek, są i tacy, co mają ledwie kilka opublikowanych opowiadań, jednak dopracowali się już ciekawego, własnego stylu.

Nie brak tu nazwisk z czołówek list bestsellerów, są też autorzy oczekujący, aby tam się dostać. Debiutują w antologii: Kułakowska, Orbitowski, Pilipiuk i Uznański, największy „staż” mają Grzędowicz i Ingot.

Pod względem tematyki ta antologia wydaje mi się „najpełniejsza” i najbardziej urozmaicona w porównaniu z poprzedniczkami. Ale to też jest znak czasów. Gdy zabierałem się za pierwsze „Wizje”, wszyscy zachłystywali się wolnością, zniesieniem cenzury i dominowały opowiadania

polityczne i socjologiczne. Rysowała się też tematyka religijna, która dominowała w następnym tomie i oddzielnej mojej antologii, „Czarnej mszy”. Teraz mamy największe zróżnicowanie gatunków i stylów.

Po raz pierwszy prezentuję cyberpunkowe klimaty — w Ameryce ten gatunek wydaje się być już wymarły, ale wspaniale ewoluuje w Wielkiej Brytanii i sięga się po niego w Polsce — wróżę mu przyszłość na naszym rynku, zwłaszcza przy lawinowym rozwoju internetu. Jest groza i horror, obecne w opowiadaniach Orbitowskiego, Kossakowskiej i Szolc, w dodatku wszystkie te opowiadania niosą ze sobą jeszcze głębsze przesłania. Są historie alternatywne — wspaniałym przykładem jest nowela Grzędowicza, są humoreski fantastyczne (Wolski, Pilipiuk i Ziemiański), jest tradycyjna, bebechowata science fiction (Uznański), jest wreszcie proza aluzyjna, mitologiczna (Kułakowska). Nie mogłoby w takim zbiorze zabraknąć futurologicznych prognoz, takie są opowiadania Szydy i Inglota. Co ciekawe, oba teksty powstały na fali obaw o los i przyszłość Polski po przystąpieniu do Unii Europejskiej. To też typowe dla Polaków — najpierw wybierają demokratycznie taką opcję, a dopiero później przychodzi obawa i refleksja, czy aby nie wybrali źle.

Wszystkie opowiadania zabierają nas na wycieczkę w nieznane, w światy tajemnicze, groźne, interesujące lub fascynujące. Wszystkie malują niezwykle wizje alternatywnej przyszłości i choć niekoniecznie te prorocтва wydają się atrakcyjne dla człowieka współczesnego, to trzeba przyznać, że dwunastu gniewnych prekognitów zabiera nas w dwanaście wspaniałych światów.

*Wojtek Sedeńko, Olsztyn, 15 kwietnia 2004 r.*

*Krzysztof Kochański*

# Muzykanci według Picassa

— Roza Za? Co byś powiedziała na „Pe”?

— „Pe”? Dzisiaj?

— Tak myślałam, że o niczym nie wiesz. No to siadaj wygodnie, kochanie, szkoda byłoby twojego pysznego ciała, gdyby wylądowało na podłodze. Siedzisz? No to słuchaj: DZIŚ PRZYJEŹDŹAJĄ MUZYKANCY!

— Ci Muzykanci?

— A znasz jakichś innych? — Niemożliwe!

— Możliwe, możliwe. Grają w „Penelopie”, a ja mam wejściówki.

— Uuuuu! Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę! Nasturcja już wie? Rozumiem, że idzie z nami?

— Wejściówki mam trzy. Mówi ci to coś? Jak nie, to pomyśl. Pa!

Połączenie przerwane. Lilia zamyka kopertę, przekręca pasek, na płytce pojawia się cyferblat. Tło zegarka jest niebieskie, wskazówki żółte. Miało być odwrotnie. Nieważne. Na co komu zegarki? I tak, siostrze, średniego wieku nie dożyjesz... Ze śmiertelną powagą ogląda w lustrze siedemnastoletnie nagie ciało i niespodziewanie czuje dreszcz podniecenia.

— Boże, jaką cudowną mnie stworzyłeś! — mówi z wdzięcznością do lustrzanego odbicia, jakby uosabiało samego Stwórcę.

Zarzuca puszystymi włosami, przypominającymi pognieciony karton (o to właśnie chodzi!) i chichocze. „Bóg” to pobliski ZKG, jeden z trzech w dzielnicy, w której mieszka Lilia. Zakład Kosmetyki Genowej. W całym mieście są ich dziesiątki, ale żeby dostać się do tych najlepszych, nie wystarczą pieniądze. Trzeba być Kimś. Popularną aktorką lub modelką, ochroniarzem kogoś ważnego, a najlepiej ważną osobistością. Dla Lilii za wysokie to progi, ale nigdy nic nie wiadomo. Co dziś za wysokie, jutro może być w sam raz.

Dziewczyna znów chichocze. Uwielbia się śmiać, a śmieje się dziko i głośno. To ją odpręża, sprawia, że czuje się wolna. Złamas twierdzi, że takie zachowanie nie przystoi lasce z klasą, ale Złamas jest menem. Kto przejmowałby się zdaniem kogoś takiego?

— Ja nie jestem panienką z klasą? — pyta Lilia swej lustrzanej kopii. — Jeśli nie ja, to kto nią jest?

Dopiero co zastanawiała się, czy nie wrócić do łóżka i nie pofiglować z samą sobą, ale ekscytacja nagle minęła. Wygasła. To przez Złamasa. Przez to, że o nim pomyślała. Dlaczego, do diabła, tak wkurza ją ten śmieć!

Lilia odchodzi od lustra. Jej twarde, gładkie jak szkło pośladki kołyszają się, podporządkowane ruchom bioder, szczupłe łydki napinają się przy każdym kroku. Podchodzi do szafy i wybiera kombinezon na dziś. Jasny, prawie biały, z lekkim odcieniem fioletu. Kombinezon wpełza na nią delikatnie; zbyt delikatnie — dziewczyna otrząsa się, reagując na łaskotki. Przychodzą buty, trzy pary. Zazwyczaj Lilia ignoruje spacerowiczów — zwykle otwiera drzwiczki buciarni i wybiera sobie takie obuwie, na które akurat ma ochotę, a nie te, które szafa uzna za najbardziej odpowiednie do



stroju i pogody. Zdaniem Lili domowa buciarnia nie ma za grosz gustu, ale to oczywiste, skoro właścicielką apartamentu jest zdewociała pięćdziesięciolatka, będąca — jakimś niefartownym zrządzeniem losu — jej własną matką. I pomyśleć, że w „Penelopie” można spotkać całkiem do rzeczy dziewczyny w tym wieku. Co prawda nazywają je matronami, ale Lilia na niejedną z nich miewała już ochotę. Czasami na ochocie się nie kończyło.

Lilia patrzy na buty i nagle stwierdza, że jest jej zupełnie obojętne, które nałoży. To przez wspomnienie Złamasa. Palant Pierwszy najordynarniej w świecie zepsuł jej tak miły początek dnia...

Buty czekają, niczym tresowane szczurki. Lilia sięga po pierwsze z brzegu, bez wybierania, ale gdy podnosi zgrabną nogę, zastyga w pół ruchu. Kręci głową, już z bladym uśmiechem na twarzy, i odkłada parę, która chyłkiem ucieka do schowka. Bierze następną, tym razem patrząc z aprobatą.

— Dziś przyjeżdżają Muzykanci — mówi głośno, dla poprawy nastroju, i słowa te rzeczywiście przynoszą efekt. Lilia od razu czuje się lepiej. Dla odprężenia siada przy komputerze i przywołuje jedną z symulacji samej siebie. Zupełnie losowo. Jaki alternatywny świat by nie przywołała, będzie on znacznie gorszy od rzeczywistości. To oczywiste. Po to człowiek męczy się w prawdziwym świecie, żeby było mu na nim lepiej niż w symulacjach.

Lilia nie wchodzi zbyt głęboko w VR, nie lubi tego. Woli się przyglądać. Być widzem, nie aktorem — przynajmniej, jeśli chodzi o własną osobę.

Więc się przygląda.

— Ten obiad jest zimny — mówi obrzydliwy mężczyzna, gruby jak wieprz, i patrzy na Lilię, wyraźnie zamierzając ją tym spojrzeniem zabić albo przynajmniej okaleczyć.

Lilia pali papierosa, twarz ma żółtą i piegowatą, pomarszczoną jak papier toaletowy. Jest niewiarygodnie stara. Czy to możliwe, żeby trzydziestoletnie kobiety wyglądały tak staro? Czasem Lilia ma wątpliwości, czy można ufać komputerom. Ale nie o to chodzi — zadaniem symulacji jest pokazanie, jak mógłby wyglądać świat, gdyby nic — Właściwie gdyby nie co?

Lilia niecierpliwie wzrusza ramionami. Męczą ją takie pytania, na szczęście jedynie przemykają przez umysł. Odpowiedź brzmi: gdyby nie to, tamto i owo. Inaczej rzecz ujmując: jeśli ktoś komuś coś, ewentualnie nikt nikomu nic.

Lilia otrząsa się, jak psiak po wyjściu z wody. Naciska spację

1 na ciekłokrystalicznym panelu pojawia się jej prawdziwa podobizna; równocześnie panel rośnie, zwiększa swą powierzchnię, jakby był z gumy, aż ukazuje się cała postać dziewczyny, naturalnej wielkości. Nie trzeba patrzeć w lustro. Idealny kształt, idealna uroda. Oczywiście pojęcie ideału odzwierciedla subiektywne zdanie Lili.

Nim gentatuaż stał się codziennością, sądzono, że jego upowszechnienie spowoduje pewnego rodzaju unifikację, że ludzie mogąc wyglądać tak, jak chcą, staną się do siebie podobni. Nic takiego nie miało miejsca, poza wyjątkowymi sytuacjami, kiedy niektóre kretynki usiłowały udawać Marilyn Monroe czy Pamelę Anderson.

Zatem Lilia z satysfakcją wpatruje się w samą siebie, czując radość i wdzięczność za to, że żyje w odpowiednim czasie i miejscu.

Nagle dzwoni telefon. Lilia otwiera kopertę, unosi dłoń ku skroni.

— Hej! — słyszy.

Cyferblat zmienia się w kobiecą twarz.

— Hej, hej, Nasturcja! Miło cię widzieć, kochanie ty moje. Po pyszczku widzę, że już wiesz?

— No. Roza Za mi powiedziała. Muzykanci. Ale czy to pewne?

— Jak pierwsza miesiączka. Piszesz się?

— Jeszcze się pytasz. Słuchaj, jak się dowiedziałas?

— Hm... Ma się te dojścia.

— A na pewno się dostaniemy? Nie obraż się, ale skoro ty wiesz, to pewnie i inni...

— Spokojna twoja rozczochrana. Wejściówki oryginalne, osobiście podpisane przez Czer... przez właścicielkę „Penelopy”.

— Więc to prawda? — Nieoczekiwanie w głosie Nasturcji słysząc cień rozpaczy.

— Co, prawda? — Lilia wie, że prędzej czy później musi przez to przejść, ale wolałaby później, więc gra na zwłokę.

— No, że ty i Red Sonja, że wy...

— Prawda, nieprawda! Chcesz widzieć Muzykantów, czy nie?

— Jasne, że chcę. Są boscy, ale...

— Boscy jak my, kociaku. Jak my. Więc spotkamy się wieczorem?

Cisza.

— Nasturcja, jesteś tam?

— Tak. Do wieczora. Pa!

— Do wieczora. Pa, pa!

Lilia z trzaskiem zamyka kopertę. Krzywi usta. Jakoś to będzie. Swoją drogą — straszna zazdrośnica z tej Nasturcji. W zasadzie tak właśnie powinno być — nieoczekiwanie Lilia czuje się dowartościowana. Idzie do łazienki. Makijażu nie musi poprawiać; odkąd nauczyła się spać na wznak, makijaż poprawia się sam, wracając do wzorcowej estetyki, ustalonej w ZKG.

Po drodze bierze iniekcyny zastrzyk na śniadanie.

Wychodząc z łazienki wpada na matkę, a może raczej potyka się o nią — przecież to pewne, że stara zołza zaczęła się, żeby ją kontrolować. Pewnie mamuśce wydaje się, że skoro córka ma siedemnastoletnie ciało, więc i w głowie fiu bǫdziu. Czyta idiotka jakieś nawiedzone pisemka i w dodatku wierzy w te bzdety. *Emocjonalne sprzężenie zwrotne*, czy jak tam to nazwali.

— Wychodzisz, córeczko?

— Wieczorem.

— Ale chyba nie do „Penelopy”, myślałam, że zmądrzałaś. A potem:

— Nie rób tego, proszę! Nie pozwalam! Wybij sobie z głowy...

— Chrzań się, mamuśka!

Według metryk urodzenia obie kobiety dzieli dwadzieścia lat. Telomerowa różnica jest jednak znacznie większa i wciąż rośnie. Lilia zamierza mieć siedemnaście lat aż do śmierci. Jej chromosom czwarty jest pod ciągłą kontrolą ZKG.

\* \* \*

Pada deszcz. Oświetlona jak choinka taksówka czeka przed domem. Eunuch za kierownicą wygląda na smutnego, co Lili bardzo odpowiada. Jej zdaniem eunuch, który nie jest smutny, jest podejrzany — ta konkluzja bierze się stąd, iż Lilia potrafi, jak sądzi, postawić się w sytuacji eunucha. Oczywiście, że na jego miejscu byłaby smutna, jakżeby inaczej. Na szczęście znalezienie się na miejscu eunucha możliwe jest tylko teoretycznie.

Lilia uśmiecha się do własnych myśli.

— Dokąd, psze pani? — pyta eunuch.

— W świat, mój mały — mówi Lilia, a eunuch odwraca byczy kark i zezuje w jej stronę. Jest potężnym mięśniakiem z gładko ogoloną czaszką. Waży ze trzy razy więcej od Lilii.

„Mój mały!”, dziewczyna chichocze. Podaje adres „Penelopy” i dodaje, że po drodze zabiorą Rozę Za.

Roza Za czeka na ulicy, jest z nią Nasturcja. Czarne Madonny. Wyglądają, jakby były nagie, ponieważ ich czarne, opięte kombinezony zlewają się z takim samym kolorem skóry.

„Ciało doskonale czarne”, powiedział ktoś kiedyś w Zakładzie Kosmetyki Genowej, i miał to być chyba dowcip, bo kilka osób zaśmiało się z aprobatą.

Do niedawna Lilia również była Czarną Madonną, ale jej się znudziło. Właściwie nie bardzo było ją stać na nową kurację, ale mamuśka rozwiązała skarpetę, bo doszła do wniosku, że jeśli córeczka zmieni się zewnątrz, to może i wewnątrz ulegnie zmianie. Okazała się naiwna, wierząc w takie cuda, ale to już jej problem.

Psiapsiółki patrzą jakoś dziwnie.

— Co jest, dziewczyny? — zagaduje Lilia, kiedy wsiadają do taksówki. — Sprawiacie wrażenie, jakbyście pomyliły kolację ze śniadaniem.

Ma na myśli iniekcyjne zastrzyki. Nieprzestrzeganie diety często powoduje mdłości.

Ani cienia reakcji. Psiapsiółki siedzą nabzdyczone, a żel buszuje po ich przemoczonych na deszczu włosach, jakby zamierzał je pożreć, zamienić metal w rdzę. Tymczasem jest wręcz przeciwnie: za minutę fryzury będą jak nowe, najlepszy fryzjer nie poradziłby sobie lepiej.

— Proszę się zatrzymać — mówi do eunucha, który posłusznie parkuje samochód przy krawężniku.

— O co chodzi? — pyta Lilia, patrząc spod przymrużonych po — wiek na siedzące po jej prawej ręce Laski Nie Z Tej Ziemi — czarne jak noc twarze, czarne włosy, podobnie oczy, nawet paznokcie i zęby, lecz tych ostatnich nie widać teraz spod zasznurowanych płacziwie ust.

Milczą. Udają, że nie słyszą. Patrzcie państwo, jakie solidarne!

„Wysiadka, Nocne Zdziry!” — ciśnie się okrzyk na usta Lilii, ale nie wychodzi na świat zewnętrzny. Lilia wyczuwa, kiedy nie należy przeciągać struny. Zamiast tego wzdycha ostentacyjnie i trzepocze rzęsami, wielkimi jak skrzydła motyla.

Siedzą tak dobrą minutę, deszcz bębni w dach samochodu, krople wyparowują przy szybach zamiatanych ultradźwiękowymi wycieraczkami. Cierpliwy eunuch z perspektywy tylnego siedzenia wygląda jak skamieniały troll.

— Chodzi wam o Red Sonję? — stwierdza raczej, aniżeli pyta, zrezygnowana Lilia.

Obie dziewczyny odwracają w jej stronę głowy; równocześnie, jakby ćwiczyły ten ruch godzinami. Oho! Nasturcja ma w oczach łzy. Lśnią na rzęsach, niczym kryształki lodu. W takich chwilach Nasturcja wygląda pięknie. Wprost cudownie.

— No... — Lilia chrząka i nagle zdaje sobie sprawę, że głos jej drży.

Uzucia uczuciami, ale aktorska część osobowości Lilii natychmiast podchwytuje tę szansę.

— A jak inaczej miałam zdobyć te wejściówki? — mówi wibrującym altem. Pytanie jest czysto retoryczne. Zresztą, nawet gdyby takie nie było, Czarne Madonny i tak by się pewnie nie odezwały...

I tu Lilia się myli.

— Przynajmniej mogłaś nam powiedzieć — szepcze Roza Za.

— Uprzedzić — dodaje Nasturcja. Rosa na jej rzęsach nie topnieje i nagle Lilia zdaje sobie sprawę, że to nie żadne łzy, lecz zwodniczy efekt niecodziennego makijażu. To spostrzeżenie nieoczekiwanie przynosi Lilii ulgę. Nie ma już mowy, żeby drżał jej głos.

— Akurat! — woła wojowniczo. — A ty Nasturcja, może mnie uprzedziłaś?

Nie do wiary, ale czarne oblicze Nasturcji wydaje się blednąc.

— Skąd o tym wiesz? — pyta cichym głosem.

— A jak myślisz? — kontruje Lilia. Przez kilka sekund trwa cisza.

— O co tu chodzi? — pyta Roza Za, podejrzliwie wpatrując się w przyjaciółki. Nad jej oczami znieruchomiałe wielkie rzęsy wiszą niczym nadokienne markizy.

— O to — rzecze Lilia — że Red Sonja chwaliła się, że z Czarnych Madonn do kompletu brakowało jej tylko mnie.

— To było dawno i wcale nie na pewno. — Nasturcja próbuje lawirować. — Byłam na haju.

— No nie! — wzdycha zde gustowana Roza Za.

— Po prostu obudziłam się w łóżku Sonji. Nie pamięć... — Nasturcja urywa w pół słowa. Dopiero teraz dociera do niej, co powiedziała Lilia. Nasturcja nigdy nie była zbyt bystra. — Jak to do kompletu?! Co ty pleciesz, Li?

Ale zdaje się, że dobrze wie, co plecie Li, bo patrzy nie na nią, lecz na Rozę Za, na której twarzy wciąż jeszcze gości mina niewiniątka, podtrzymywana siłą woli.

— Jeśli już ktoś plecie, to nie ja, tylko Red Sonja — ripostuje Lilia. — Ale wychodzi na to, że z naszego słynnego trio akurat ja mam najmniej powodu do wstydu. Najdłużej opierałam się wdziękom Czerwonej Waginy, no i przynajmniej nie oddałam się za frajer, jak niektórzy.

„Nie za frajer!” — Lilia wymownie wyciąga z torebki wejściówki na Muzykantów.

Pierwsza zaczyna śmiać się Roza Za.

— Stara lampucera — mówi o Red Sonji — kłapie jadaczką na prawo i lewo.

— Lampucera? — podchwytuje z chichotem Lilia. — Co to znaczy?

— Nie mam pojęcia. — Roza Za krztusi się śmiechem. — Ale brzmi zajebiście, co nie?

— Lampu...cera — wtóruje im Nasturcja, wyraźnie odprężona. Cała trójka jest odprężona. Nic tak nie oczyszcza człowieka, jak świadomość grzechów innych ludzi.

Skamieniały troll eunuch odwraca się ku rozbawionemu towarzystwu i odzywa się z nieśmiałym uśmiechem na pyzatej twarzy.

— Przepraszam. To jedziemy do „Penelopy”?

Psiapsiółki milkną, jak na komendę. Kierują ku eunuchowi piękne oblicza. Te kilka sekund ciszy i uważnych kobiecych spojrzeń to stanowczo za wiele dla kierowcy taksówki. Spuszcza wzrok, kuli ramiona, najchętniej schowałby się za siedzenie, ale jest na to zbyt duży.

— Ja... pytam... bo... licznik... — usiłuje się tłumaczyć, ale twarze dziewcząt pozostają bez wyrazu.

— Won! — szczeka Lilia.

Kierowca z niedowierzaniem mruga powiekami.

— Wypieprzaj z taksówki! — wrzeszczy Roza Za.

Przerażony eunuch wyskakuje pośpiesznie i wpada wprost w kałużę przy krawężniku. Nie dość, że ochlapuje sobie buty, to jeszcze ślizga się i upada. Wstając, dostrzega nad sobą Lilię, zaciskającą gniewnie usta. Piękne oczy sypią gromy, istna Gorgona, prawdziwy cud, że serce eunucha wciąż jeszcze bije.

Na pożegnanie Lilia kopie osłaniające się ramieniem półmęskie truchło i siada za kierownicą. Rusza, piszcząc na wiwat. Wniebowzięte Rakiety na tylnym siedzeniu aż pieją z zachwytu.

Eunuch patrzy smutno za odjeżdżającym samochodem, nerwowy tik co rusz wykrzywia mu prawy policzek.

— Ja tylko chciałem uprzedzić, że jeśli będziemy tak stali, to strasznie dużo zapłacą panie za kurs... — szeptem wytłumaczenie w zimny deszcz, siekący mu w twarz.

Potem rusza, chlupocząc przemokniętymi butami. Do „Penelopy” jest daleko, ale musi przecież odzyskać taksówkę.

„Szczęście, że zdążyły podać adres” — myśli i od razu poprawia mu się humor.

\* \* \*

Z piskiem hamulców zajeżdżają na parking. Nagle przestało padać. Neony lśnią kolorami, które trudno zobaczyć za dnia. Matka Natura nigdy nie wygenerowała takich odcieni. Do taksówki doskakuje SwójChłopak, pośpiesznie otwiera tylne drzwi i zastyga w pół ruchu. Dostrzega, kto siedzi w środku. Odwraca się, jakby nigdy nic i odchodzi, kołysząc biodrami. SwójChłopak to jeden z wielu, jacy kręcą się przy lokalach typu „Penelopa”; jeden z tych, którzy zrobią, co tylko zechcesz. Ten widać dobrze zna Lilię i jej psiapsiółki — wie, że za wysokie progi, dlatego zmywa się od razu.

Dziewczyny wysiadają z samochodu. Mrużą motyle oczy, porażone orgią barw. Jest jaśniej niż za dnia. Nasturcja i Roza Za uśmiechają się, odslaniając matową czerń zębów, fosforyzujących na samych końcówkach jasnozieloną kreską. Obie prostują się, nonszalancko patrząc gdzieś w dal. Nigdy nie wiadomo, kto cię obserwuje.

Lilia również się usztywnia — robi to odruchowo — ale jej twarz zachowuje powagę. Coś innego zajmuje jej myśli, o wiele ważniejszego niż ewentualność niedoskonałej prezencji. Ale to tajemnica, dlatego dziewczyna opanowuje się i kokieteryjnie zarzuca puszystymi, kartonowymi włosami. Kluczyki od samochodu rzuca na przednie siedzenie.

— Niech cham zna panią — rzuca pod adresem pozostawionego na trasie eunucha, który dotrze tu za jakąś godzinę i rzeczywiście będzie wdzięczny za te kluczyki; kiedyś już szukał ich po krzakach do białego dnia.

Lilia rozdaje wejściówki, karty z niełatwym do podrobienia chipem, i psiapsiółki wchodzi do „Penelopy”. Trzy zjawiskowe Kosmiczne Laleczki. Boginie.

Nie wiadomo, w którym momencie elektroniczny cerber sprawdza wejściówki, więc Roza Za i Nasturcja zezują po ścianach. Lilia to widzi i trocheja wkurza, że tak jej nie dowierzają, ale co tam. Tu nie ma lipy. Nie tym razem. Dziś Lilia ufa Red Sonji jak nigdy dotąd. Z wyższością spogląda na Czarne Madonny. Biedne idiotki mało co wiedzą — dla nich Muzykanci to ósmy cud świata, niedosięgly szczyt marzeń.

— Ich trzech i nas trzy. Mówi to wam coś, dziewczyny? — zagaduje, kiedy wchodzi na zalaną niebieskim światłem salę.

— No co ty? — mówi zaskoczona pomysłem Nasturcja. — Przecież to Muzykanci.

— Co z tego? Przecież nie są eunuchami. Słyszałam, że po koncercie nieźle lubią poszaleć.

Czarne Madonny spoglądają po sobie, niepewne, czy Lilia nie żartuje.

— Z nami? — Węgielne oczy Rozy Za wydają się robić granatowe, ale to pewnie efekt stroboskopowego światła.

— A czemu by nie? Uważasz, że jesteśmy gorsze od innych?

Wszystkie trzy bacznie lustrują salę. Nie za wiele widać w narkotycznej mgłę, ale lustracja nie wypada najgorzej. „Penelopa” nie jest piłkarskim boiskiem, zmieścić się może najwyżej dwie setki ludzi, z czego połowa to matrony, którym najlepszy „Bóg” nie pomoże, choć pewnie nie zdają sobie z tego sprawy. A zważywszy na wszechobecnych transsexów, szansę na realizację szalonej wizji Lili

może i są całkiem realne. Nie wydaje się, żeby ktoś o kondycji Muzykantów zwracał uwagę na matrony lub transsexów.

A pozostałe piękności?

Cóż. „Ich trzech i nas trzy”, jak wcześniej zauważyła Lilia. To jest atut. Niewątpliwie.

Lilia uśmiecha się promiennie. Spod przymrużonych powiek patrzy na psiapsiółki i widzi, że rybki chwyciły haczyk. Rybki są wyraźnie ożywione, aż otwierają pyszczki, licząc na łakomy kąsek.

— Co pijemy? — pyta Lilia.

— CoSięDa — odpowiada Roza Za. — Jak zwykle.

Dziś CoSięDa ma zielony kolor i jest mocne jak sznur wisielca. Wtem muzyka cichnie, migające światło gaśnie i salę zagarnia półmrok. Czas jakby stanął w miejscu — momentalnie milkną rozmowy i goście „Penelopy” zastygają w bezruchu. W muszli pojawia się Red Sonja, tłum ożywa, witając właścicielkę lokalu owacyjnymi oklaskami

— Nie mylicie się — obwieszcza Red Sonja. — Dziś wieczorem zagrają nam Muzykanci. Skąd wiedzieliście?

Śmieje się i równocześnie grozi palcem, z długim na trzy centymetry paznokciem ze wściekle pomarańczową pigmentacją.

— To miało być przyjęcie dla wąskiego grona przyjaciół — mówi dalej, uśmiechając się od ucha do ucha. Głos ma nieco zachrypnięty, jak zawsze. — Wysłałam zaledwie kilkanaście wejściówek, a przybyło całe mrowisko. Ach, ci hakerzy! — wzdycha ostentacyjnie. — Puszczą mnie kiedyś z torbami.

Wszyscy się śmieją. Z jednej strony dobrze wiedzą, że Red Sonja żartuje, z drugiej jednak czują się mile podłechtani. Przecież akurat ich wejściówki są autentyczne. Red Sonja umie czarować klientelę.

Nieoczekiwanie Roza Za dostrzega coś, w co nie może uwierzyć. Red Sonja wyraźnie mruga w jej stronę. Niemożliwe, do niej?! Roza Za odwraca się i widzi za sobą Lilię. Lilia ma twarz z gliny, ale kiedy pada na nią spojrzenie psiapsiółki, garncarska powłoka nagle w uśmiechu, jakby wzrok Czarnej Madonny niósł jakiś czar. A może psiapsiółce tak się tylko wydaje? Nigdy nie wiadomo, jakiego rodzaju narkotyk niesie ze sobą ścieląca się przy posadzce niebieska mgła.

— MU-ZY-KAN-CI! — skanduje Lilia razem z innymi, jakby nigdy nic, więc Roza Za natychmiast zapomina o swoim zdziwieniu i znów patrzy w stronę muszli. Krzyczy z tłumem.

— MU-ZY-KAN-CI!

— Ale czad! — Lilia wali Rozę Za w plecy, aż ta o mało się nie krztusi. Na szczęście szybko łapie oddech i wrzeszczy dalej. Motyle rzęsy furkoczą jak skrzydła kolibra.

Red Sonja znika. Muszla jest ciemna, jakby opadła czarna kurtyna. Ale to nie kurtyna, lecz zwykła sztuczka z fotonowym lustrem, którym pokryte są ściany. Lilia nie ma pojęcia, co to takiego fotonowe lustro, jednakże zna efekt. Nie w takie szczegóły wtajemniczała ją Red Sonja, ale na razie ex Czarna Madonna woli o tym nie myśleć. I tak ma kłopoty z koncentracją.

Efekt kwantowego lustra nie jest trwały, po chwili widać cienie barczystych eunuchów, poruszających się jak duchy. Wnoszą na scenę sprzęt Muzykantów. Przepierzenia, dziwaczny stół i nadzwyczajnie powykręcany keyboard, czy może raczej szczątki połamanego fortepianu. Na stole pojawia się otwarty zeszyt, zwrócony nutowym zapisem do widowni. Ten nutowy zapis to cztery koszmarnie pięciolinie, nabazgrane na białym papierze. Kolejny duch eunucha kładzie na blacie grubaśny flet i skrzypcowy smyczek, przypominający piłkę do cięcia metalu. Dopiero teraz widać, jak krzywy jest blat stołu: oba gadzety ześlizgują się po nim, nie spadają jednak na podłogę. Nieposłuszne prawu grawitacji zatrzymują się na samej krawędzi.

Rzucone na stertę szczątki fortepianu wyprostowują się jak dziecięca plażowa zabawka, w którą wpompowuje się powietrze — całość wciąż jednak mało przypomina ideał Stradivariego. W dodatku część klawiatury zwisa, niczym taśma karabinu maszynowego.

Wydaje się, że na sali jest cicho, ale gdy zapalają się halogenowe lampy — na kilka sekund porażające nerwy wzrokowe — dopiero wtedy okazuje się, co to znaczy: cisza.

Nikt nie szepcze. Niektórzy przestali nawet oddychać.

Wchodzą Muzykanci. A może raczej przesuwają się lub nawet toczą. Wszyscy trzej mają wąsy, sprawiające wrażenie jakby dopiero co przyklejono je do kanciastych, kwadratowych twarzy. Najwyższy nosi brodę, przyciętą na kształt dziecinnego śliniaczka. Najniższy ma na oczach czarną, karnawałową maskę, a biały ubiór i papierowa czapka upodabniają go do Arlekina. Obaj sprawiają sympatyczne wrażenie, za to trzeci z Muzykantów budzi pewien trudny do określenia niepokój. Chyba dlatego, że jego głowa przypomina porzucone gniazdo os, na które ktoś nakleił karykaturalną twarz.

Muzykanci wyglądają jak posklejane z kartonu figury, ale to dla nikogo nie jest niespodzianką. Wszyscy wiedzą, że cała trójka jest wynikiem genowego eksperymentu, nie wiadomo nawet czy dokończonego, bo nie żyje już człowiek, który przed kilku laty zdecydował się wyrzeźbić ten przestrzenny tatuaż swoim kilkuletnim synom. On i jego dwaj asystenci zostali zamordowani przez inny twór ich szalonych umysłów, kobietę z głową koguta.

Swego czasu było o tym bardzo głośno. Pewnej nocy w centrum miasta pojawiło się dwumetrowe, ochlapane krwią swoich dręczycieli monstrum. Wyrwana na wolność kobieta — kogut szła opustoszałą ulicą, wspinając się na dachy zaparkowanych przy chodnikach samochodów, łamiąc ławki i rzucając koszami na śmieci, póki nie zastrzelił jej policyjny patrol. Śledztwo ujawniło prawdę o zespole chirurgów plastycznych, *nota bene* postaciach numer jeden najbardziej prestiżowych Zakładów Kosmetyki Genowej w kraju.

Są tacy, którzy twierdzą, iż chirurdzy mieli prawdziwe szczęście, ginąc w tak niekonwencjonalny sposób. I rzecz nie w tym, że zbrodniarze uniknęli kary, a wcześniej upokorzenia procesu sądowego. Nie w tym. Optymistyczne credo brzmi: „Dla prawdziwego twórcy nie ma lepszej śmierci, niż zostać zgładzonym przez własne dzieło”.

Większość postaci, nielegalnie wykreowanych przez nieszczęsnych chirurgów, umarła niedługo potem, w tym gigantyczna kobieta — kogut, wzorowana — jak się okazało — na twórczości niejakiego Maxa Ernsta. Ich organizmy będące skutkiem chromosomowych manipulacji, nie były w stanie sprostać genowym nakazom. Ale Muzykanci przetrwali i w świetle prawa wciąż byli ludźmi, pomimo, iż ich wygląd mógł budzić poważne co do tego wątpliwości.

\* \* \*

W blasku halogenów pojawia się Red Sonja. Prowadzi za sobą wątlego *mena* w garniturze czarnym jak włosy Madonny. Po ubiorze śmiało można odróżnić *mena* od eunucha; ten ostatni za nic świecie nie włoży na siebie niczego, co przypomina marynarkę. Jednak najbardziej rzucającą się w oczy różnicą jest tężyzna fizyczna której *menom* brakuje równie pewnie, jak eunuchom niektórych anatomicznych detali. Przy muskularnej, wściekle rudej Red Sonji, jej wbity w garnitur towarzysz prezentuje się nadzwyczaj mizernie. Ale to nieważne. Liczy się to, co *men* niesie w swych wypielęgowanych dłoniach o palcach pianisty. Istotny jest obraz.

— *Monsieur Picasso* — oznajmia Red Sonja, zwracając się ku publiczności.

Ma na myśli twórcę obrazu, nie szczurkowatego *mena*. Wszyscy dobrze o tym wiedzą.

Obraz zostaje zawieszony na zawczasu przygotowanej sztaludze. Nosi tytuł „Trzej muzykanci” i został namalowany sto lat temu przez Pabla Picassa. Ponieważ dzieło jest kubistyczne, ktoś, kto widzi je po raz pierwszy, nie od razu orientuje się, że przedstawia trzech wąsatych muzyków: pianistę, skrzypka i flecistę, stojących za drewnianym stołem.

Pomocnik Red Sonji znika za przepierzeniem, by za chwilę pojawić się ponownie. Tym razem niesie niezwykle strunowy instrument muzyczny. Tak niezwykle, że tylko widok leżącego na stole smyczka podpowiada, czym jest to nieforemne pudło.

Brodaty Muzykant odbiera skrzypce, flecista podaje ton i zaczynają grać. Dźwięk płynie powoli — najpierw majestatycznie dociera do stojących najbliżej, jakby przybrał materialną formę i nie dotyczyły go prawa akustyki, a tym bardziej prędkość, z jaką fale dźwiękowe pokonują wypełnioną powietrzem przestrzeń. Widać wyraźnie, jak słuchacze kolejno zamierają z osłupieniem na twarzach, a potem padają na podłogę, jeden za drugim, jak gdyby przygniatały ich gigantyczne kostki domina. Tak przed wiekami musiały walić się posągi Wyspy Wielkanocnej — wszak Muzykanci to kolejny Cud Świata stworzony człowieczą ręką.

Niektóre z zebranych w „Penelopie” kobiet — do których nie dotarła jeszcze obezwładniająca muzyczna fala — próbują się wycofać, choć przecież wcześniej wiedziały, czym ryzykują. Wśród nich jest Nasturcja. Ale nie mają szans. Nikt nie ma szans, gdy dopada go muzyka Boskiego Trio. Jeśli słuchasz Muzykantów z płyty, możesz śmiać się, płakać lub wariować — nigdy nic nie wiadomo — ale jeśli grają przed tobą na żywo, nie pozostaje nic innego, jak umrzeć.

Lilia jest wśród tych, którzy śmiało patrzą na wesołe twarze wirtuozów, sprawiających wrażenie, że dopiero się rozkręcają. Pianista, Skrzypek, Flecista. Lilia wie, że nic jej się nie stanie — nie ma pojęcia skąd, ale dobrze o tym wie. Natomiast wciąż niepokoi się tym, co ma nastąpić, kiedy skończy się koncert. Zaczyna wątpić, czy podjęła właściwą decyzję.

Na posadzkę osuwają się Czarne Madonny, a potem zabójcze akordy docierają do stojącej za nimi Lilii. Więc tak wygląda śmierć? Dziewczyna czuje się zawiedziona, ale za moment zmienia zdanie. W piersiach wieje chłodem. Potworne, niewyobrażalne przerażenie pełźnie do gardła.

To dla tej sekundy tłumy przyszły dziś do „Penelopy”.

Kiedy Lilia wraca do życia, jest już po wszystkim. Na scenie nie ma ani Muzykantów, ani obrazu Picassa. Okazuje się, że jedna z matron umarła naprawdę. Z kąta dobiega upiorny śmiech jakiejś dziewczyny, siedzącej na podłodze z podkulonymi kolanami. O takich ludziach mówi się, że dotarli za daleko.

Lilia rozgląda się w poszukiwaniu psiapsiółek. Są. Stoją przy barze i ściskają się za ręce. Czuje ukłucie zazdrości, sama chętnie by się do kogoś przytuliła, a one zachowują się, jakby nie istniała.

— W porządku? — pyta ktoś.

Lilia odwraca głowę i widzi przed sobą Red Sonję, patrzy w jej pozbawione białek oczy, które mimo to prezentują się pięknie.

— Oszalałaś! — syczy Lilia. — Dlaczego do mnie mrugnęłaś? Chcesz wszystko zepsuć?

Uśmiech ani odrobinę nie gaśnie na władczej, nieodmiennie pewnej siebie twarzy, na którą w pozornym nieładzie opadają rude włosy.

— Jesteś gotowa? — Red Sonja zastyga wyczekująco.

— Chyba... tak.

— Chyba?

— Na pewno. Zaraz zawołam dziewczyny.



Lilia idzie do baru, trochę kręci jej się w głowie, nieoczekiwanie ma ochotę na jeszcze jeden CoSieDa. Na jej widok Czarne Madonny promienieją, przytulają się jak kotki. Lilia natychmiast zapomina o malej zazdrośnicy, która czasami odzywa się w jej duszy.

— Moje kociaki — odzywa się, zgodnie z wymową chwili, i prycha wymownie.

Wszystkie trzy wybuchają perlistym śmiechem, może trochę zbyt nerwowym po niedawnych przeżyciach. Zamawiają kolejkę CoSieDa, ale eunuch za barem bezradnie rozkłada ręce.

— Dopiero godzinę po koncercie. Taki mam przykaz. — Odsuwa się, jakby w obawie, iż dostanie w gębę. Może ma rację, Lilię świerzbi ręka ale rozumie, że to polecenie Red Sonji. Towarzystwo powinno ochłonać.

Patrzą na salę. Wszystko wygląda jak przed koncertem. Wrócił dym i niebieskie światło. Pechową matronę już wcześniej zabrało pogotowie, ponoć są jakieś szanse na reanimację. Zawodząca wariatka również zniknęła, ale mało prawdopodobne, że doszła do siebie, raczej wprowadzili ją ochroniarze.

W pustej muszli pojawia się Red Sonja.

— Jest w porządku? — krzyczy, a ukryte megafony zewsząd wzmacniają jej głos. Lilia ma wrażenie, że właścicielka „Penelopy” znów kieruje to pytanie do niej.

Niby dlaczego nie miałoby być w porządku?

Tłum odpowiada aprobowująco. Ludzi jest jakby mniej niż przed koncertem, pewnie niektórzy poszli do domów. Ale ci, którzy pozostali, to same twarde sztuki; będą bawić się do rana. Dym nad posadzką nieco gęstnieje, podekscytowane nozdrza chłoną rozluźniający narkotyk. Nasturcja schyla się, niby poprawia bucik, ale tak naprawdę wciąga dym ustami, niemal krztusząc się różanym aromatem. Kiedy wstaje, nie jest w stanie powstrzymać gwałtownego napadu śmiechu.

Red Sonja opowiada jakiś dowcip, ale Lilia jej nie słucha.

— Wiem, gdzie można się napić — mówi do psiapsiółek. Czarne Madonny patrzą wyczekująco.

— U Muzykantów? — próbuje domyślić się Roza Za.

— My trzy i ich trzech — chichocze Nasturcja, wspominając wcześniejszą rozmowę.

— Możemy się napić u Red Sonji — prostuje Lilia, siląc się na obojętność.

Na moment zapada konspiracyjne milczenie.

— A jak to sobie wyobrażacie? — atakuje Lilia. — Niby w jaki sposób mamy się dostać do garderoby bez zgody Red Sonji? Sądzicie, że wpuszczą nas na nasze ładne oczy?

Wygląda na to, że psiapsiółki tak sądziły, ale teraz nie mają zamiaru się do tego przyznawać.

— Czy ktoś mówi, że nie? — wzrusza ramionami Roza Za.

— No właśnie — podchwytuje tonem pretensji Nasturcja.

Idą w stronę muszli. Red Sonja akurat kończy opowiadać kolejny dowcip. Swoim zwyczajem grozi publiczności, potrząsając dłonią z wysuniętym wskazującym palcem, po czym schodzi ze sceny. Nie patrzy w stronę przeciskających się dziewczyn, ale zatrzymuje się akurat w chwili, gdy do niej podchodzą.

— Mamy sprawę — odzywa się Lilia.

— O! Czarne Madonny! — Red Sonja całkowicie ignoruje fakt, iż *image* Lili i uległ zmianie ładnych parę miesięcy temu. — Jak dobrze was widzieć — kontynuuje z kuszącym uśmiechem.

Roza Za i Nasturcja rozjaśniają się, wprost promieniują radością, jakby wygrały los na loterii. Na Lilię to nie działa, Lilia wie dziś zbyt wiele, ale musi przyznać, że w Red Sonji jest coś, czemu trudno się oprzeć. Jakaś charyzma.

— Chcemy się napić — oświadcza bez ogródek.

— Musimy się napić — popiera ją rozchichotana Nasturcja.

— Dla starych klientek... — Red Sonja obscenicznie puszcza oko, ale zdaje się, że nikt nie rozumie dwuznaczności tych słów — ...wszystko. Włażcie.

Wchodzą do biura Red Sonji. Ochroniarz, rozparty w fotelu, z nogami opartymi o wściekle różową kanapę, zrywa się jak oparzony i staje na baczność.

Na biurku stoją trzy zielone CoSięDa. Dopiero co przygotowane, sądząc po pływających na wierzchu kostkach lodu.

— Skąd wiedziałaś? — Dziewczyny patrzą zaskoczone. Lilia żywi nadzieję, że zaskoczenie widać również w jej oczach.

— Nie wiedziałam — odpowiada łagodnym altem Red Sonja. — To drinki dla Muzykantów, ale nic się nie stanie, jak chłopaki trochę poczekają, co nie?

Dziewczyny śmieją się i sięgają po szklanice.

— No to bawcie się dobrze — oznajmia Red Sonja. — Muszę wracać na salę. I nie pokazujcie się tam z alkoholem, bo zaraz wszyscy będą chcieli — dodaje z uśmiechem.

— Mamy siedzieć z nim? — Lilia pokazuje na ochroniarza. Red Sonja wykonuje nieznaczny ruch podbródkiem i eunuch znika za drzwiami. Potem sama wychodzi.

Czarne Madonny rozwalają się na kanapie. Lilia siada w fotelu, jeszcze ciepłym od cielska ochroniarza i obserwuje psiapsiółki. Czyżby zapomniały o Muzykantach? Lilia wolałaby, żeby tym razem inicjatywa wyszła z ich strony.

Milczenie przeciąga się. Wszystkie trzy piją drinka przez słomkę łąpczywie ciągnąc jeden łyk za drugim, jakby miały zamiar na jednym wdechu opróżnić całą szklankę. Lilia trochę symuluje — tylko trochę, nie chce budzić podejrzeń, ale wie, że te drinki dadzą im szczególnego kopa. Wcale nie były przeznaczone dla Muzykantów.

Wreszcie cierpliwość Lilii zostaje wynagrodzona.

— Ależ mam chcię — odzywa się wulgarnie Roza Za, która rzadko grzeszy subtelnością. — Co z tymi Muzykantami, dziewczyny? Startujemy?

Nasturcja zanosi się śmiechem, jakby usłyszała dobry dowcip.

— Te! Picassy! — wrzeszczy nagle. — Chodźcie do nas! Lilia zrywa się z fotela i zakrywa psiapsiółce usta dłonią.

— Odbiło ci? — pyta. — Chcesz, żeby Red Sonja nas wyrzuciła? Tego chcesz?

Nasturcja szczyrzy czarne zęby i wbija je w rękę Lilii. Rzeczywiście jej odbiło. Na szczęście ponowny atak śmiechu rozluźnia zaciśniętą szczękę i Nasturcja pada na kanapę. Na wznak. Lśniące włosy podrygują przez chwilę, jak falujące w wodzie wodorosty, równiutko układając się na różowej tapicerce. Nasturcja wygląda bardzo pięknie. Z zadartą brodą, z roziskrzonymi oczami wpatrzonymi w sufit, jest nadzwyczaj kusząca. Dostrzega to Roza Za i rzuca się na nią. W innej sytuacji Lilia może by się i przyłączyła, ale teraz odczuwa tylko gniew.

— Kompletnie idiotki — stwierdza. Mówi to głośno, ale kompletnie idiotki i tak jej nie słyszą, są zbyt zajęte sobą. Pomrukując, wzajemnie gryzą się w szyje. Nasturcja obmacuje seksowny kombinezon leżącej na niej Rozy Za.

Lilia wstaje i stwierdza, że sama również jest trochę wstawiona, pomimo, iż w jej szklance zostało przynajmniej połowę zieleniny. Podchodzi do drzwi i wychyla się na korytarz. Z oddali słyhać muzykę i gwar rozmów. Przy prowadzących na salę schodkach stoi Red Sonja. Patrzy wyczekująco. Lilia odpowiada kiwnięciem głowy, wówczas ruda piękność znika na minutę, po czym wraca, niosąc na tacy sześć drinków. Podaje je Lilii i pospiesznie wycofuje się.

— Jest w porządku? — słyhać z oddali jej ochrypy głos, wzmocniony nagłośnieniem koncertowej muszli, zachęcający klientów „Penelopy” do zabawy.

Red Sonja to w gruncie rzeczy magnetofonowa taśma, ale ludzie chętnie takie rzeczy kupują.

Lilia wraca do pokoju, zatrzaskuje piętą drzwi. Niewiarygodne — trzask powoduje, że Czarne Madonny odklejają się do siebie. Siedzą grzecznie na kanapie, trzepocząc rzęsami. Pewnie przestraszyły się, że to Red Sonja. Respekt, jaki czują przed tą wiewiórą, wręcz zakrawa na fobię.

— Patrzcie, co tu mamy — mówi Lilia. — Drinków sześć.

— Po dwa na głowę — Nasturcja popisuje się znajomością arytmetyki.

— Nie — kręci głową Lilia. — Trzy dla nas i trzy dla...

— Muzykantów — kończy Roza Za. — T ojak? Idziemy?

Nie trzeba więcej słów. Na różowej kanapie Czarne Madonny wystarczająco rozgrzały silniki.

Nikt nie pyta Lili, skąd wzięła te sześć drinków. Nikt nie pyta, skąd wie, w którym pokoju mieszkają Muzykanci. Napalone Madonny po prostu idą za przewodniczką, która nagle zatrzymuje się przed nie oznakowanymi w żaden sposób drzwiami i puka trzy razy, zachowując sekundowe odstępy. Już ma zamiar powtórzyć sygnał, kiedy stuka elektroniczny zamek i drzwi uchylają się.

Lilia wchodzi pierwsza, za nią psiapsiółki. Drzwi zatrzasくują się same.

W pokoju nie ma Muzykantów. Samotny *men*, ten który towarzyszył Red Sonji podczas koncertu, smutnymi oczami wpatruje się w przybyłe piękności. Nie porusza się przy tym ani odrobinę, nawet nie mruga. Trwa to jakiś czas, na tyle długo, że Nasturcja nie wytrzymuje:

— Przyszliśmy... — zaczyna swym szczebioczącym głosem, ale w tej chwili *men* budzi się z letargu.

— Wiem, po co przyszliście — przerywa dziewczynie. Wciąż jest śmiertelnie poważny.

Lilia wie, że *men* nie ma żadnych podstaw do podejrzeń. Wszystko idzie po myśli Red Sonji, zgodnie z planem, ale i tak drżą jej ręce. Szklanki stukają o siebie, więc stawia tacę na stół i próbuje się uśmiechnąć.

— Ale... — *men* zawiesza głos i patrzy na Lilię. — Ty nie za bardzo mi się podobasz — mówi do niej i dziewczyna natychmiast rozumie, jaki popełniła błąd: Czarne Madonny chichoczą pod nosem, rozglądają się ciekawie, podczas gdy ona jest spięta, pomimo starań nie potrafi się rozluźnić.

— Nie tobie mam się podobać — rzuca wojowniczo, postanawiając trzymać się roli osoby wyniosłej.

I to chyba jest właściwa odpowiedź, bo *men* sprawia wrażenie uspokojonego i wreszcie wprawia w ruch swoje chucherkowate ciało Zaskakuje tym wszystkich, ponieważ błyskawicznie — właściwie nie wiadomo kiedy — wyjmuje zza pazuchy coś przypominającego pistolet i strzela do stojącego przy krawędzi stołu wazonu. Przedmiot nie jest zwykłym pistoletem — nie dość, że wypala bezgłośnie, to w dodatku wazon rozpada się na dwie tylko części, bez żadnych odprysków.

„Men to szalenciec”, myśli Lilia.

Ale to nie koniec pokazu.

*Men* jest szybki jak wąż. Stół, na którym stał zestrzelony wazon, znajduje się ze dwa metry od niego, a mimo to człowieczek dopada go jednym skokiem i chwytą w locie spadającą ceramikę, nim ta rozbija się o podłogę.

Lilia jest przerażona, Red Sonja nie uprzedziła jej, że ochroniarzem Muzykantów jest ktoś o zmodyfikowanym układzie ruchowym. To oczywiste, że układ neuronowy takiej osoby nie jest zwyczajny; kto wie, co ktoś taki może usłyszeć przez ścianę?

Za to Roza Za i Nasturcja wprost pieją z zachwytem.

— To na wypadek, gdybyście pomyślały, że jeden ochroniarz to mało i kusiłoby was, żeby zrobić coś głupiego — komentuje *men* swój kaskaderski wyczyn.

— Mamy zamiar robić wyłącznie poważne rzeczy — chichocze rozanielona Roza Za.

Nasturcja wtóruje jej, jak może. Lilia jakimś cudem przełamuje się i dołącza swoim donośnym śmiechem.

Zadowolony *men* chowa pistolet i wyjmuje szklany przyrząd, przypominający termometr. Po kolei wkłada go do każdej szklanki z drinkiem, za każdym razem uważnie odczytując dane.

— No wiecie co? — Niknie uśmiech na twarzy Rozy Za, kształtne wargi wydymają się. — On myśli, że chcemy otruć Muzykantów?!

— Gdybym tak myślał — odpowiada spokojnie *men* — w ogóle byście tu nie weszły. Ja po prostu upewniam się, czy nie jestem omylny.

Weryfikacja wypada pozytywnie, co dziewczyny przyjmują wzruszeniem ramion. *Men* podchodzi do drzwi, prowadzących w głąb apartamentu i na klawiaturze zamka wystukuje szyfr otwarcia. Dziewczyny przekraczają próg, ciekawie zaglądając do środka, a *men* oblesnie puszcza za nimi oko, po czym wycofuje się.

— Halo! — krzyczy nagle.

Lilia zamiera. Na złodzieju czapka gore.

— Zapomniałyście o drinkach. — *Men* podaje tacę ze szklankami. — Niech się chłopaki rozgrzeją.

Zdaje się, że ostatnie zdanie ma być żartem, ale Lilii wcale to nie śmieszy. Nie lubi być traktowana poufale przez *menów*.

Pokój przywodzi na myśl więzienną celę. Po pierwsze, jak na kwaterę dla trzech osób jest bardzo mały, po drugie ma kraty w oknach, po trzecie wreszcie: drzwi strzeże elektroniczne zamknięcie, którego nie sposób otworzyć od środka. Nikt stąd nie wyjdzie, dopóki *men* mu nie pozwoli.

No i dobrze.

Muzykanci siedzą na kanapie, jeden przy drugim. Ich zdeformowane ciała są wyprostowane, napięte jak struny, paralityczne ręce spoczywają na kanciastych kolanach. Budzą sympatię przemieszaną z odrobiną współczucia. Coś miłego, przyjemnego, widać w ich nieludzkich, guzikowych oczach — coś, czego nie można było dostrzec z perspektywy widza w barowej sali. Nawet Pianista nie wydaje się taki obcy.

— Cześć przyjemniaczki! — Roza Za wali prosto z mostu, jak zwykle po alkoholu, a czasem i bez niego. — Czy wasze zgrzebne szaty mają w ogóle jakieś rozporcki?

Ale Muzykanci nie wydają się zaszokowani.

— Coś w tym rodzaju posiadamy — odpowiada pogodnie Flecista, głosem łagodnym i spokojnym, jakby zapytano go, dlaczego nawet po występie ma na oczach czarną, karnawałową maskę. — A dlaczego to panią interesuje?

Zaskoczona Roza Za zastyga z otwartą buzią. Po chwili, razem z Nasturcją, patrzą pytająco na Lilię.

— Mówiłaś, że lubią poszaleć — szepcze Roza Za.

— Bardzo lubimy poszaleć — Flecista zwalnia Lilię z trudnej odpowiedzi. Jego towarzysze milczą. Obserwując dziewczyny, przekrzywiają pudełkowate głowy. — Przytulenie się do tak atrakcyjnych kobiet to oczywiście najprawdziwsze szaleństwo. Mam rację, chłopaki?

Skrzypek i Flecista zgodnie kiwają głowami. Chyba się nie uśmiechają — ich wargi są tak wąskie, że niemal niewidoczne — ale i tak wyglądają na zadowolonych.

— My, muzycy, jesteśmy prawdziwymi szczęściarzami — kontynuuje Flecista. — Ale, jak pokazuje historia, zawsze tak było. Muzycy i malarze. Artystyczne dusze, które od wieków łączy jedno: nadzwyczajne powodzenie u kobiet. Salvador Dali twierdził, iż dzieje się tak za sprawą libido, zdecydowanie foremniejszego niż u ludzi pozbawionych naszych talentów.

— Ale facet ma nawijkę — stwierdza z podziwem Nasturcja. Jej zaraźliwy, piskliwy chichot udziela się koleżankom. Nawet Lilia zaczyna kwitnąć.

— Może się napijemy? — proponuje. — Od trzymania tej tacy zaraz mi odpadną ręce.

— *Avec plaisir* — odpowiada Flecista. Cokolwiek by to miało oznaczać, z pewnością nie jest odmową, bo Muzykanci podnoszą się z miejsc i sięgają po CoSięDa.

Atmosfera wyraźnie się rozluźnia.

Na kanapę wraca jedynie Flecista. Jego towarzysze zostają przy dziewczynach, z drinkami w dłoniach. Nadal nie odzywają się i nagle Lili przychodzi do głowy, że może nie umieją mówić. Czy to możliwe?

„A co mnie to właściwie obchodzi?” — Lilia decyduje, że czas wreszcie rozdać karty. Kiwa porozumiewawczo na Czarne Madonny, a sama podchodzi do Flecisty. Siada tuż przy nim, opierając dłoń na patykowatym kolanie. Ustami wyciąga słomkę z drinka Muzykanta i wypluwają na podłogę. To samo robi ze swoją słomką, po czym pije wprost ze szklanki. Tak jak przypuszcza, Flecista bierze z niej przykład — wlewa w siebie wielki haust. Reakcja nietrudna do przewidzenia.

„*Główki mają słabiutkie*”, poinstruowała Red Sonja, „*Na alkohol reagują, jak kot na walerianę*”.

Na razie tego nie widać, ale przecież zabawa dopiero się rozpoczyna.

— Jak to robicie? — pyta Lilia.

— Nie rozumiem. Co?

— No, tę waszą muzykę... Jak to się dzieje, że ludziska umierają, słysząc jak gracie?

Oczy Flecisty są jak obrączki, puste w środku torusy.

— Umierają? — Kwadratowa twarz pozostaje obojętna, ale w głosie słychać zdziwienie.

— No wiesz, w przenośni. Chociaż... — Lilia przypomina sobie pokoncertowe zamieszanie. —

Dziś jakąś babkę zabrali na reanimalkę.

— Umierają — powtarza Flecista, jakby słowa dziewczyny przemykały gdzieś obok. — No tak.

— Więc co? — nalega Lilia. — Jak to się dzieje, że nikt inny nie potrafi zagrać w taki sposób?

— Niezupełnie masz rację — komentuje Flecista. — Nie?

— Kiedyś ludzie umierali na koncertach. To było dawno temu, w wielkich salach, które nazywano filharmoniami.

— W czasach Picassa? — domyśla się Lilia.

— Wtedy jeszcze też.

Tak naprawdę to Lili wcale nie obchodzi zagadka talentu Muzykantów ani — tym bardziej — jacyś umierający dziwacy z zamierzchłej przeszłości. Podtrzymuje rozmowę, żeby zyskać na czasie, a przy okazji przypilnować, jak też sprawują się Czarne Madonny.

A te radzą sobie całkiem nieźle.

Prócz kanapy, w pokoju znajdują się dwa wąskie tapczaniki. Na jednym Roza Za pije drinka z Pianistą, na drugim Nasturcja zanosi się śmiechem, skubiąc drucianą brodę Skrzypka. Skrzypek chyba jest zadowolony, bo strzyże swymi cienkimi wąsikami, wyglądającymi jakby narysowano je ołówkiem.

Lilia nie może się powstrzymać, żeby nie zerkać na wiszące na ścianie „Słoneczniki” van Gogha. Ten obraz to nędzna imitacja, kicz, ale nie on jest ważny, lecz to, co przykrywa.

Sejf.

Aktualnie w sejfie nie ma nic, jest pusty jak w dniu, kiedy go zamontowano. Specjalnie na dzisiejszą okazję został opróżniony przez szefową „Penelopy” z papierów wartościowych i biżuterii. W dodatku opcja identyfikacji siatkówki została zablokowana, a Red Sonja zapoznała Lilię z

ręcznym kodem dostępu i dopilnowała, aby ta wkłuła go na pamięć. Głupio byłoby położyć drobiazgowo dopracowany plan tylko dlatego, że Lilia zapomniała kodu.

Sejf został ciekawie zaprojektowany — tkwi w ścianie, a dostać się do niego można z dwóch, przeciwnie położonych stron. Jeśli za przód uznać stalową ścianę pod „Słonecznikami”, to tył znajduje się w sąsiednim pokoju. Lilia nie orientuje się, czy tamte drzwiczki również są ukryte pod jakimś obrazem, ale to dla pomyślności planu Red Sonji zupełnie nieistotne. Liczy się fakt, że jeśli cokolwiek można włożyć z jednej strony sejfu, to wyjąć można z przeciwnej, jeśli to komu wygodne. I odwrotnie.

— A gdzie to słynne dzieło Picassa? — pyta Lilia Flecisty, siląc się na obojętność, chociaż to jest właśnie fundamentalne pytanie, z którym czekała, bojąc się od razu chwycić byka za rogi. — Obraz nazywa się tak, jak wasz zespół, „Trzej muzykanci”, prawda?

Dziewczyna słyszy bicie własnego serca, ale niepotrzebnie się denerwuje:

— Czerwona walizka — słyszy zwięzłą odpowiedź Muzykanta.

Rzeczywiście, czerwona walizka stoi w kącie, pomiędzy szafą a kanapą. Lilia dziwi się samej sobie, że nie zauważyła jej wcześniej.

— Tam go trzymacie? — upewnia się. Sekundę później jest na siebie wściekła za niepotrzebne gadulstwo, mogące wzbudzić podejrzenia.

— Tam.

— Zdrowie wdechowych Muzykantów — woła głośno Lilia, tak żeby dziewczyny usłyszały i pierwsza podnosi szklanę.

— Zdrowie wdechowych pań — odpowiada Flecista, któremu pewnie wydaje się, że jest szarmancki.

— Piją wszyscy! — wrzeszczy Nasturcja, jakby wiedziała, co się zaraz stanie, choć to przecież niemożliwe. Nasturcja po prostu ma już nieźle w czubie. Sporo dziś wypila.

— Jak szaleć, to szaleć!

Lilia myśli o ochroniarzu za drzwiami, o wątlym *menie* ze zmodyfikowanym układem ruchowym. Dał pokaz, jak „Power Rangers”. Jak to powiedział? „*Ja po prostu upewniam się, czy nie jestem omylny*”. Ostatni kretyn! Sprawdzał drinki, a nie przyszło mu do głowy, że zamrożony żel na ich dnie...

(zielony, to dlatego CoSięDa ma dziś kolor zielony — żeby nie można było rozróżnić)

...rozpuści się po jakimś czasie.

Zdaniem Lili ten czas właśnie nadszedł. Dziewczyna wpatruje się w szklanę, jakby oczekiwała, że zobaczy w niej drobinki środka nasennego, które właśnie uwalniają się z tajającego żelu. Teraz żałuje, że bezmyślnie wyciągnęła słomkę z drinka Flecisty. Gdyby pomyślała, mogłaby teraz — dla pewności — wymieszać nią zawartość.

— Dlaczego wszędzie wozicie ze sobą tę rodzinną fotografię?

— Lilia pokazuje na czerwoną walizkę. Akurat odpowiedź na to pytanie rzeczywiście ją ciekawi.

— Bez obrazu nie potrafimy grać — odpowiada Flecista. Głos ma nieco bełkotliwy.

— Poważnie?

— Najpoważniej w świecie. Próbowaliśmy nie raz. Bez Picassa nie wychodzi. Samo rzępolenie.

— Niesamowite. — Lilia jest zadowolona, gdyż wyraźnie słychać, że język Flecisty płacze się coraz bardziej.

— On zasypia! — słyszy nagle skargę Nasturcji. — Pieprzony Skrzypek zasypia! A ja obiecałam, że nastroję mu instrument!

— Usiłuje ściągnąć z Muzykanta kraciaste spodnie, ale jej kolana ześlizgują się z wąskiego

tapczanika i Czarna Madonna pada na ziemię. Podnosi się niemrawo, ale po to tylko, by zaraz osunąć się na leżącego na wznak partnera. Jeszcze próbuje coś powiedzieć, ale nie daje rady. Zamyka oczy i nieruchomieje. Tylko czarne, długie włosy falują samoistnie, układając się w nieskazitelny kok.

Nie inaczej jest z Rożą Za. Dopiero co migdałiła się z Pianistą, pragnąc udowodnić, iż jej palce dorównują zręcznością Muzykowi, a teraz oboje leżą przytuleni, jak para romantycznych kochanków, którymi nie zdążyli zostać.

Lilia wstaje i patrzy na Flecistę, wciąż wyprostowanego, opartego plecami o kanapę. Okolone czarną maską oczy wciąż ma otwarte, ale nic już nie mówi i nie porusza się. Czyżby usnął w tej zajęcej pozycji? Szklanka wysuwa się z dłoni Muzykanta, odbija się od tapicerki i toczy po podłodze, gubiąc resztkę zielonej zawartości. Na szczęście nie rozbija się. Flecista ani drgnie i to jest odpowiedź na zadane w myślach pytanie.

Jest cicho jak w grobowcu.

Lilia z duszą na ramieniu patrzy w stronę drzwi. Nie ma pojęcia, co by zrobiła, gdyby ochroniarz Muzykantów próbował teraz wejść, na szczęście drzwi pozostają zamknięte. Przez chwilę dziewczyna wsłuchuje się w siebie; czuje się trochę ośpiona alkoholem, ale nie jest senna — swojego drinka piła szybko, zaraz po wejściu do pokoju, zanim żel na dnie szklanki zdążył uwolnić narkotyki. Bała się, że nie zdąży, ale wszystko poszło zgodnie z planem.

Jak na razie: wszystko odbywa się zgodnie z planem.

Podchodzi do „Słoneczników” van Gogha i zdejmuje je ze ściany. Przez chwilę podziwia opalizujący metal sejfu, po czym wprowadza kod dostępu. Z pewnym niepokojem przekręca gałkę i z ulgą patrzy, jak drzwiczki uchylają się bezszelestnie.

Idzie po czerwoną walizkę, która okazuje się zadziwiająco ciężka. Zapewne opakowanie waży więcej niż schowany w nim obraz. Nie widać zamka. Lilia odwraca walizkę, lecz druga strona również jest gładka. Nie wiadomo, jak dostać się do środka, ale to przecież nie jej zmartwienie. Niech główkuje Red Sonja.

Po chwili walizka znajduje się w sejfie, van Gogh powraca na swoje miejsce. Lilia głośno przełyka ślinę — ma wysuszone gardło, chętnie by się czegoś napiła, ale w zasięgu wzroku są tylko niedopite CoSięDa. Trudno. Jakoś wytrzyma.

Bo to jeszcze nie koniec. Teraz trzeba czekać.

Są trzy możliwości.

1. Wejdzie ochroniarz, zobaczy, że nie ma walizki i wszystko diabli wezmą.

2. Obudzą się Muzykanci (mniejsza o dziewczyny), zobaczą, że nie ma walizki i wszystko diabli wezmą.

3. Red Sonja zastuka w ścianę i będzie można wyjąć walizkę z sejfu.

Mija długie dziesięć minut i Lilia słyszy trzy delikatne stuknięcia. Doskakuje do ściany, „Słoneczniki” po raz drugi lądują na podłodze i otwiera sejf. Walizka leży w odwrotnej pozycji, niż ją zostawiła. Czary–mary, abrakadabra. Lilia wyjmuje ją z sejfu i kładzie na miejsce, a kąt pomiędzy kanapą a szafą. Różnica w wadze jest nieodczuwalna, nie widać też najmniejszego śladu włamania.

Nawet nie wiadomo, czy się udało.

— Wiesz kto mówi?

— Red Sonja?

— Możesz przyjechać, kotku?

— Jasne.

Lilia nie pyta o nic. Jest dyskretna. Zdaje sobie sprawę, że to, co zrobiła wczoraj, ma gruby kaliber. Za takie rzeczy idzie się siedzieć i to na wiele lat. Mniejsza o karę, o wiele gorsza jest

wiadomość, że w pierdłu nie ma ZKG. Skazańcom nie przysługują genowe kuracje odmładzające. Całkiem słusznie ze społecznego punktu widzenia, ale nie dla strony bezpośrednio zainteresowanej.

Do „Penelopy” jedzie taksówką. Jest dziesiąta rano, a ona ma na sobie ten sam kombinezon, co wczoraj wieczorem. Po powrocie do domu w ogóle się nie rozbierała; była tak skonana, że rzuciła się na łóżko i natychmiast zasnęła. Obudził ją dopiero telefon od Red Sonji.

Eunuch za kierownicą wygląda tak samo, jak ten wczoraj. Nie odzywa się, ale to nic nie znaczy. Oni zawsze są tacy grzeczni, dobrze ułożeni...

— „Penelopa”.

Lilia wysiada, nie płacąc. Nigdy nie płaci za taksówki i jeszcze nie zdarzyło się, żeby którykolwiek kierowca próbował protestować.

Nieoczekiwanie dla samej siebie zastanawia się, z czego ci frajerzy w ogóle żyją? Zatrzymuje się i wyjmuje z kieszonki kredytowy chip. Postanawia po raz pierwszy w życiu zapłacić za jazdę taksówką. Śmieje się z samej siebie, bo nawet nie wie, jak to się robi. Mają chyba jakieś czytniki? Odwraca się i stwierdza, że eunuch odjechał. Szkoda. Raz chciała być dobra. Chowa chip i idzie do „Penelopy”, od razu kierując się do bocznego wejścia, ponieważ o tej godzinie główne jest zamknięte. Drzwi otwierają się, zanim Lilia do nich dochodzi. Red Sonja czeka.

— Wyjechali? — pyta Lilia.

Red Sonja kiwa głową, rozgląda się po pustym parkingu i szybko zamyka za Lilią drzwi. Czule całuje dziewczynę w policzek.

— Spakowali manatki z samego rana, spieszyli się na samolot.

— Otwierali walizkę?

— A skąd mogę wiedzieć? — Red Sonja rozkłada ręce. — Nie pytałam.

Śmieje się.

Lilii wcale nie jest wesoło, nie ma ochoty do żartów, wciąż nie może pozbyć się ciężaru w piersiach.

— Ty w ogóle się nie boisz — mówi tonem pretensji.

— A czego tu się bać? Przecież się udało. Lilia wzdycha.

— Kiedyś zorientują się, że mają falsyfikat. Wiesz, co powiedział mi ten Flecista? Że bez Picassa nie potrafią grać. A to oznacza, że nawet najbardziej genialna podróba nie pomoże. Wszystko wyda się na pierwszym koncercie.

— Nie będzie już koncertów.

— Co? — Lilia staje jak wryta. Patrzy podejrzliwie. — Dlaczego tak sądzisz?

Szokuje ją nie tyle wiadomość o zakończeniu koncertów, co fakt, iż Red Sonja może coś przed nią ukrywać. Zaufanie — czyż nie tak mówiła? Pełne zaufanie, a wszystko musi się udać!

Red Sonja uśmiecha się tajemniczo i chwyta dziewczynę pod łokieć.

— Chodź po nagrodę — mówi — to zobaczysz.

Idą do pokoju Muzykantów, który wydaje się teraz większy, pewnie dlatego, że wyniesiono tapczaniki i szafkę. Została kanapa, szafa i stół. A także nędzna kopia van Gogha, którą właścicielka „Penelopy” akurat zdejmuje ze ściany, a następnie otwiera sejf. Wewnątrz leży kasetka na biżuterię, sterta papierów i jakieś drobiazgi, spośród których Red Sonja wyjmuje terminal płatniczy.

Sprawdza stan konta.

— Zobacz — mówi do Lilii. — Zgodnie z umową połowa jest twoja.

Lilia nie wierzy własnym oczom. Nie może oddychać.

— Ale mówiłaś... — krztusi się.

— On! — Red Sonja macha ręką. Błądzi wzrokiem po suficie. — Prawdę mówiąc, miałam



ochotę trochę cię wykiwać. Ale... — Patrzy czule na Lilię. Wyciąga rękę i delikatnie gładzi jej włosy. — Jesteś taka kochana....

— Ładne mi trochę — komentuje Lilia, nie odrywając oczu od wyświetlonej na terminalu wielocyfrowej liczby z taką ilością zer, że trzeba je policzyć, aby się przekonać ile to jest naprawdę.

Nagle nie wytrzymuje, emocje biorą górę i dziewczyna podskakuje jak małe dziecko. Żaden ciężar już nie gniecie ją w piersiach. Niczego się nie boi.

— Uuuu! — krzyczy. — Czy jest w tym mieście ktoś bogatszy od nas?

— Wątpię — odpowiada zadowolona Red Sonja. — Naprawdę w to wątpię.

Lilia pada na kanapę, na której zaledwie kilka godzin wcześniej siedziała z Flecistą. Wspomina tamtą chwilę i z pewnym zaskoczeniem stwierdza, iż polubiła tego zdeformowanego człowieczka. Był taki spokojny, konkretny.

Ale nawet jeśli do tej pory dręczyło ją coś w rodzaju wyrzutów sumienia, to teraz wyparowało bez śladu. Honorarium na koncie Red Sonji posiada magiczną moc.

— Kiedy przelejesz działkę na moje konto? — zwraca się do współpracownicy.

Nieoczekiwanie czuje dreszcz niepewności. „*Prawdę mówiąc, miałam ochotę trochę cię wykiwać*”.

— Jak skończymy robotę — oświadcza Red Sonja.

— A nie skończyliśmy?!

— Nie.

Właścicielka „Penelopy” otwiera szafę i wyjmuje skradziony obraz. Niesamowici Trzej Muzykanci patrzą na nie jak żywi. Lilia nie może oderwać oczu od czarnej, hiszpańskiej maski Flecisty.

Zniecierpliwiona Red Sonja pukają w ramię, pokazując przedmiot z perłową kulką.

— Co to jest?

— Szpilka do kapelusza. Bardzo stara. Ma więcej lat niż my obie naraz.

— Do kapelusza? — Lilia, chcąc spojrzeć partnerce w oczy, musi unieść głowę, Red Sonja jest od niej znacznie wyższa. — Po co?

— Po to! — odpowiada Red Sonja i wbija szpikulec w pierś Skrzypka, dziwacznej postaci namalowanej dawno temu przez człowieka, który nazywał się Pablo Picasso.

Potem wyjmuje szpilkę — trochę to trwa, jakby stał napotykała jakiś opór — a kiedy wreszcie jej się udaje, w obrazie ziele idealnie okrągła dziurka.

— Bardzo dobrze — chwali Red Sonja samą siebie.

— Oszalałaś?! — Lilia nic nie rozumie. — Przecież zniszczyłaś obraz! Nasz zleceniodawca wścieknie się, jak zobaczy, co najlepszego zrobiłaś. Cały szmal wyciągnie nam z gardła.

Czuje, jak ogarnia ją rozpacz.

— Nie wścieknie się — odpowiada spokojnie Red Sonja. — Bo widzisz, kotku, on wcale nie chce tego obrazu. Więcej: polecił go zniszczyć, a w dodatku zastrzegł, żeby odbyło się to w ten właśnie sposób. Poprzez trzy precyzyjne ciosy ostrym narzędziem.

— Trzy? — Lili coś świta. — To znaczy... po jednym... w każdego?

— Otóż to.

Red Sonja powtórnie wbija szpilkę. Ostrze przebija płótno z cichym furkotem, tym razem trafiając w pierś Pianisty.

— Teraz ty — mówi do Lili, wpatrującej się w nią oczami jak okrągłe kamyki.

— Teraz twoja kolej, współpracowni — powtarza.

Lilia chwyta narzędzie, czując ciepło drewnianej rączki. Widzi białe kropki w masce Flecisty —

imitacje oczu — i nie dostrzega w nich nic. Zwykłe plamki, maznięte byle jak pędzelkiem. Dziewczyna nie zna się na sztuce, niemniej zdaje sobie sprawę, że obrazy słynnych kubistów nie od dziś osiągają na aukcjach niebotyczne ceny. Lecz nikt — na pewno nikt — nie zapłacił tyle, co tajemniczy zleceniodawca za „Trzech muzykantów”.

Lilia mruży oczy, bierze lekki zamach i wbija szpikulec w obraz. Zaostrzony koniec metalu nieudolnie trafia w oko Flecisty, rozpruwając arlekinową maskę, niczym przyłbicę rycerskiej zbroi.

Red Sonja z aprobatą kiwa głową, wystukuje coś na terminalu płatniczym. Pokazuje Lili polecenie przelewu i uruchamia opcję realizacji.

— Napijesz się czegoś? — pyta.

— Bardzo chętnie — odpowiada Lilia. — Byle nie CoSięDa.

Red Sonja wychodzi, a Lilia siada na kanapie. Czuje się bardzo zmęczona, najchętniej położyłaby się spać. Wciąż wraca spojrzeniem do podziurawionego obrazu, zastanawiając się, po co to wszystko. Z jednej strony jest bardzo ciekawa, ale z drugiej...

Może lepiej nie wiedzieć?

Jakoś czuje, że ta wiedza nie za bardzo by się jej spodobała.

Wraca Red Sonja. W szklankach niesie stary jak świat gin z tonikiem. Pogwizduje jakąś melodię.

— Kto jest zleceniodawcą? — pyta Lilia.

Red Sonja momentalnie przestaje gwizdać. Podaje Lili drinka i siada obok. Kanapa ugina się, zupełnie jak wtedy, gdy siedział tu Flecista.

— Jeszcze się nie domyślasz? — szept Red Sonji jest teatralny. Szeleści w pokoju jak zgniecione papierki po cukierkach, które rozprostowują się, usiłując wrócić do pierwotnej formy i stworzyć iluzję wypełnionego wnętrza.

— Chciałabym usłyszeć to od ciebie.

— Zleceniodawcą są Trzej Muzykanci.

Po chwili długiej jak wieczność, Lilia pyta:

— Oni nie żyją, prawda?

Red Sonja obejmuje przyjaciółkę ramieniem. Próbuje się uśmiechać, ale jest to tylko sztuczny grymas.

— Właśnie umarli — odpowiada.

*Maja Lidia Kossakowska*

# Smutek

Smutek był naprawdę starym koniem. Łeb nosił nisko zwieszony, zapadnięty grzbiet przypominał kołyskę, a kolana przednich nóg zawsze pozostawały lekko ugięte, jakby zwierzak w każdej chwili szykował się uklęknąć. Tata mówił, że Smutek woli być przygotowany na spotkanie z Bogiem, ale dbał o konia, który — wbrew zaawansowanemu wiekowi — prezentował dzięki temu całkiem niezłą formę. Na tyle dobrą, żeby unieść na grzbiecie drobnego jedenastolatka.

Matej podniósł głowę i spojrzął na Smutka. Duży kasztan pał się spokojnie kilka kroków dalej. Sierść miał ładną i lśniącą. Gęsta, jasna grzywa była starannie wyczesana, a mimo to chłopiec przyglądał się przyjacielowi z uczuciem dziwnego niepokoju w sercu. Tata już od jakiegoś czasu starał się przygotować go do nieuchronnego rozstania z koniem, nigdy jednak nie podejrzewał, że Matej sam, znacznie wcześniej, zauważy symptomy nadchodzącego końca. Ojciec nie mógł też wiedzieć, jakim lękiem napawa chłopca stan zdrowia Smutka. W końcu wychował się w wielodzietnej rodzinie, dorastał w towarzystwie licznej grupy rówieśników i chociaż dostał i pokochał Smutka, kiedy był sporo młodszy niż Matej dzisiaj, nie miał pojęcia, jak to jest tracić jedynego przyjaciela, który powoli przechodzi na stronę cienia, a jedyne co można zrobić, to bezsilnie się temu przyglądać.

Matej dźwignął się na łokciach, wypluł długie, słodkie źdźbło trawy. Oczywiście, tata ani mama nie wiedzieli, ile Smutek znaczy w jego życiu, a chłopiec niejasno podejrzewał, że lepiej im tego nie uświadamiać. Mogliby się przestraszyć, uzmysłowiwszy sobie, że jedynym przyjacielem ich syna jest stary koń.

Chłopiec przeturlał się na brzuch, wsadził między zęby kolejne źdźbło trawy. Mogliby zacząć się zastanawiać, pomyślał. A tego z całą pewnością sobie nie życzył.

Daleko na horyzoncie, tam gdzie trawiasta równina stykała się z fioletem nieba, pojawiła się ciemna plamka. Pewnie stado żuwaków. Smutek nawet nie podniósł łba, spokojnie skubał słodkie źdźbła. Matej znów położył się na plecach, podparł rękami kark.

— Wiesz co? — zagadnął konia. — Jestem pewnie jedynym człowiekiem, który widuje żuwaki z tak bliska. Śmieszne, co? Może gdzieś jakiś przyrodnik zrobiłby nie wiem co, żeby podejść na taką odległość, a my po prostu sobie patrzymy. No wiesz, jeździmy gdzie chcemy, leżymy i gryziemy trawę. Żuwaki uciekają od ludzi. Od koni i krów też. Tata nigdy w życiu nie widział żuwaka. Sam mi powiedział.

Koń machnął ogonem.

— Jej — burknął Matej. — Wcale się nie przechwalam. Pewnie, że ode mnie też uciekają, ale kilka razy podeszły całkiem blisko. Widziałem wyraźnie te, które szły z boku stada. Podobno w takim stadzie mogą ich być tysiące albo jeszcze więcej. Myślisz, że idą za nimi likanty?

W głosie chłopca dzwięczała nadzieja.

— Prawdziwe, wielkie likanty. Podkradają się cicho, stawiają kolce na grzbiecie, odsłaniają kły. A potem wybierają najsłabszą sztukę, starą albo chorą...

Koń odwrócił się tyłem.

— Ojej, Smutek! Czego się obraziłeś? — zawołał Matej. — Nie bój się likantów. Obronię cię. Nie parszaj pogardliwie. Jestem wielkim kolonistą, istotą ze szczytu drabiny pokarmowej. Tak mówiła panna Zola, na biologii. A może to były schody pokarmowe? Chodź tu, nie złość się.

Koń podszedł powoli, trącił nosem wyciągniętą dłoń chłopca. Matej pogłaskał mięciutkie jak aksamit chrapy.

Ogromny step szemrał cichym, kojącym głosem traw. Żdźbła czesane dłońmi wiatru gwarzyły ze sobą tysiącem głosów. Były tam szepty i śmiech, i szloch, wibrujące dziwną, dziką pieśnią. To była obca ziemia, szalona, groźna, słodka i kusząca, a chłopiec i koń, mimo że przyszli tu na świat, byli tylko intruzami.

Matej czuł, jak pieśń trawy przenika przez niego, kształtuje na nowo i zmienia. Ogromne błękitno — fiołkowe niebo spoglądało na ludzkiego niedorosłka i starego konia niczym oko nieznanego boga.

Od słodkiego zapachu kręciło się w głowie, z ziemi bił ciężki, mdlący aromat rozkładu, woń żyznego gruntu. Matej czuł jednocześnie gorąco i chłód, głęboki niepokój pomieszany z niezwykłą ekscytacją. Słyszał, jak bije potężne, mroczne, kipiące życiem serce planety. Musiał się odezwać, musiał wypowiedzieć tajemnicze, ukryte imię, o którym tak bardzo pragnął zapomnieć, które wydawało się jedynie wymysłem wyobraźni, kiedy siedział spokojnie w domu z rodzicami i siostrą. Musiał, żeby nie oszaleć, nie utracić zupełnie kontaktu z rzeczywistością.

— Myślisz, że Ojciec Traw rozmawia tylko z nami? — spytał szeptem.

Po gładkiej, brązowej skórze Smutka przebiegł dreszcz, w ciemnym oku zapłonęła i zgasła iskra lęku. A może tak się tylko chłopcu zdawało. Wstał, trzęsącymi się palcami uchwycił gęstą, szorstką grzywę konia.

— O rany, ale późno — powiedział piskliwym, łamiącym się głosem, który miał brzmieć beztrosko. — Chyba pojedziemy do domu, co Smutek?

Koń rzucił łbem, błysnęło białko w przestraszonym oku. Chłopiec błyskawicznie wskoczył na grzbiet wierzchowca, ścisnął ciepłe boki kolanami.

— Wracajmy do domu, koniku — szepnął trwożnie, pochyliwszy się nad kosmatym uchem. — Najszybciej jak dasz radę, dobra?

Smutek ruszył ciężkim kłusem.

Ojciec doglądał krów na pastwisku i jeszcze nie zdążył wrócić do domu, co Matej przyjął z ulgą. Z pewnością robiłby chłopcu wymówki, że zmusił Smutka do zbyt forsownego biegu. Prawie całą drogę przebyli kłusem, a przez spory odcinek nawet galopem. Sierść konia pociemniała od potu. Matej zwolnił dopiero, gdy ujrzał na horyzoncie zabudowania farmy, a teraz wyrzucał sobie narażenie przyjaciela na zbyt duży wysiłek. Niedawny lęk znikł bez śladu. Chłopiec czuł nawet lekkie zawstydzenie, że dał się ponieść bezsensownemu przestraszowi. Wprowadził Smutka do stajni, starannie wytarł słomą spocone boki, przykrył grzbiet derką i postanowił nie poić wcześniej niż za pół godziny.

Umył ręce i twarz pod kranem na zewnątrz i wszedł do domu. Matka była w kuchni. Lepiła pierogi, podśpiewując pod nosem.

— No, jesteś wreszcie. Włóczęga z ciebie — uśmiechnęła się na jego widok. — Nie oddalałeś się za bardzo od domu, co?

Potrząsnął głową.

— No pewno! Uważaj, bo uwierzę — sarknęła, ale Matej wiedział, że jest w dobrym humorze. — Tata już wraca. Nigdzie nie przepadnij, zaraz będzie obiad. Idź nakarmić kurczaki. A po jedzeniu

pójdziemy do ogródka, pielic. Pomożesz mi. No co? Myślałeś, że robota sama się robi? Aha, i powiedz siostrze, że za chwilę siadamy do stołu.

— Tak, mam — powiedział. — A gdzie ona jest?

Matka wzruszyła ramionami.

— Sam wiesz. Na plotach. Kiedyś terminal od tego pęknie. Matej parsknął śmiechem. Faktycznie, Marika, odkąd skończyła czternaście lat, nieustannie wisiała w sieci, gędząc z przyjaciółkami i flirtując z chłopakami mieszkającymi często o kilka dni drogi od ich domu. Matej nie mógł pojąć, jak można nazywać te dziwne fantomy przyjaciółmi i co to za kumple, których nie widuje się częściej niż kilka razy w roku, ale Marika twardo powtarzała, że to on jest głupi i dziwny.

Matej właściwie nie lubił siostry. Nie pasowała do niego, mamy i taty. Wiecznie narzekała, skwaszona albo wkurzona. Skończyła szesnaście lat i nabrała przekonania, że jest jedyną wartościową osobą w domu. Potrafiła się całymi dniami nie odzywać, przewracając tylko oczami i pogardliwie wydymając wargi. Co nie przeszkadzało jej nieustannie trajlować z koleżankami i przymierzać holo-ciuchy z wirtualnych sklepów. W głębi duszy Matej nie miałby nic przeciw temu, żeby siostra znikła. Albo umarła zamiast Smutka. Nagle zestarzała się i zwiędła, a koń znów stał się pełnym wigoru żrebakiem. Odkąd wpadł na ten pomysł jakieś dwa lata temu, modlił się czasem o cudowną zamianę, choć nie umiał wyzbyć się pewnego poczucia winy. W końcu Marika była jego jedyną siostrą, a rodzice, nie wiedzieć czemu, naprawdę ją kochali. Kiedyś, jedyny raz, gdy naprawdę go wkurzyła, zapragnął poprosić Ojca Traw, żeby zabrał jej życie i oddał Smutkowi, lecz nie ośmielił się wypowiedzieć życzenia na głos. Pożałował tej myśli natychmiast, gdy przyszła mu do głowy, ale i tak się obawiał, że Ojciec Traw usłyszał. On wiele słyszał. I wiele wyczuwał. A dziwna, czerwona lampka zapalająca się czasami w umyśle chłopca ostrzegęła, że jest niebezpieczny. W kontaktach z Ojcem Traw należało ukrywać emocje i nigdy nie dopuszczać go zbyt blisko do swoich myśli. Matej nie miał wątpliwości. Znacznie lepiej było zapomnieć o Ojcu Traw zaraz po przyjeździe do domu. Wyrzucić ze świadomości, wepchnąć w ramy dziecinnej fantazji i nigdy, pod żadnym pozorem nie wspominać o nim nikomu. Zresztą, w domu to stawało się niezwykle łatwe. Jeśli tylko nie znajdował się głęboko w stepie, chłopiec wcale nie potrafił przysiąc, czy kiedykolwiek rozmawiał z Ojcem Traw, czy to była tylko wyobraźnia.

Nakarmił kurczaki i wdrapał się na poddasze, do pokoju Mariki. Przez drzwi słyszał hałas, śmiechy, odgłosy muzyki. Wziął głęboki wdech i zastukał. Bez rezultatu. W sumie, nauczony doświadczeniem, nie spodziewał się żadnego efektu, ale wpajane mu przez matkę zasady grzeczności nakazywały zawsze pukać przed wejściem do cudzego pokoju. Uderzył w drzwi pięścią. Nic. Złapał za klamkę, szarpnął. Oczywiście, zamknięte.

— Marika! — zawołał więc, nie przestając szarpać klamki. — Mama woła na obiad.

Za drzwiami nic się nie wydarzyło.

— Marika, obiad! — powtórzył. — Tata pewnie już jest. Dalej nic.

Rozzłoszczony kopnął we framugę.

— Marika! — wrzasnął ile sił w płucach. — Obiaaaaad!

W wąziutkiej szparze ukazała się blada z wściekłości twarz siostry.

— Wynocha, szczeniaku! Nie przeszkadzaj! Drzwi zatrzasnęły się z hukiem.

— Mama woła na obiad — powtórzył z uporem chłopiec.

Z pokoju dało się słyszeć gniewne „Won!” i tyle. Matej zszedł do kuchni. Matka wycierała w ścierkę umączone dłonie.

— Nakarmiłem kurczaki — powiedział. — Marika nie chce zejść. Wyrzuciła mnie.

— Co za dziewczucha. No nic, sama pójdę. Umyj ręce. Tata już się przebiera.

Matej zobaczył w oczach matki lęk pomieszany z bezradnością. Dawno już zauważył, że rodzice nie wiedzą jak postępować z córką. Matka z westchnieniem odłożyła ścierkę.

— Rozłóż talerze, byle szybko. Tata lubi mieć obiad na stole, jak wraca. Pierogi odcedź i wrzuc do tej dużej miski. A garnek z barszczem postaw na stole.

Skinął głową.

Matka poszła na górę. Przez chwilę słyszał jej podniesiony głos. Potem zapadła cisza.

— No, Matej! — kuchenne drzwi otworzyły się z trzaskiem w progu stanął ojciec. — Teraz ty będziesz w domu gotował? Gdzie mama?

— Poszła na górę, po Marikę. Brwi ojca zmarszczyły się lekko.

— Ach tak — mruknął. — Daleko dziś jeździłeś?

— Nie — skłamał chłopiec. — Trochę przewietrzyć Smutka.

Tata z zadowoleniem skinął głową.

— Dobrze. Nie trzeba go zbytnio gonić. Oporządziłeś jak trzeba?

— Tak, tato.

— No! O żywe trzeba dbać. Tak mnie ojciec uczył. I dziadek. A teraz ja uczę ciebie, żebyś wyrósł na porządnego gospodarza. Nie takiego jak ten, na przykład, Osianko — machnął ręką.

Matej potakiwał, nie słuchając, przyzwyczajony do ojcowskich pouczeń.

Z góry zeszła matka. Tata uśmiechnął się na widok wchodzącej żony.

— A co tak pięknie pachnie? Jakies pyszności?

Odpowiedziała uśmiechem.

— Zrobiłam pierogi. Mocno nabite, takie jak lubisz. Już podaję.

— No, w sam czas. Jestem głodny jak likant. Matej wyciągnął szyję.

— Skąd tato wie, że likanty są głodne? — spytał. Ojciec poczochnął mu włosy.

— Bo one są jak ziemskie wilki. A wilki nigdy się nie najadają do syta. Trudno im zagonić i zagryźć duże zwierzę, to i nażreć się nie mogą. Zwłaszcza zimą. Dawno temu, na Ziemi, podchodziły nocą pod chałupy, porywały bydło z obór.

— Likanty? — spytał Matej, zasłuchany we własne myśli.

— Nie, głuptaku! — roześmiał się ojciec. — Przecież mówię, że wilki. Likanty są za durne. Strachliwe jak baby. Boją się nawet krów, głupie. Nie atakują, nawet kiedy bydło stoi w zagrodach. Nawet nie podejda.

— No, co tak gadasz! — matka przeżegnała się trwożnie. — Jeszcze złe przywołasz! Wilków mu się zachciało, patrzcie go. Bogu dziękuj, że tu tak spokojnie. Jest czysta woda i czyste powietrze. I ziemia, co karmi i rodzi. To pierwsza taka planeta, co ją znaleźli, gdzie da się normalnie, spokojnie żyć. Nie pamiętasz, ile się naszukali ci wszyscy naukowcy? Wszędzie coś było nie tak. Za zimno, za gorąco, wody mało, powietrze trujące albo czort wie co jeszcze. A tu pięknie, ciepło, spokojnie, ziemi dużo, woda wszędzie. Istny dar Boży. To i dziękować trzeba, a nie głupoty opowiadać!

Ojciec rozsiadł się przy stole.

— Pewno, że dziękuję, matka. A chłopaka nie ma co straszyć. Złe tu żadne z Ziemi za nami nie przylezie. Za daleko.

— Ty już cicho siedź — parsknęła mama znad garnków. — Barszczu się lepiej napij, zanim wystygnie. Trzeba, żeby dzieciak był ostrożny. Ostrożności nigdy za wiele. No, co ci tam w szkole mówili?

— Nic. Mówią tylko o Ziemi — mruknął Matej, który wcale nie miał ochoty informować matki, że panna Zola, nauczycielka, nieustannie powtarza, żeby nie oddalać się od domu, nie dotykać obcych roślin, nie próbować podglądać zwierząt, a najlepiej nie wyściubiać nosa z pokoju i uczyć się

matematyki.

— Tak trzeba, synu — powiedział ojciec mentorskim tonem.

— Ucz się historii, biologii i tak dalej. Tutaj wiele rzeczy wygląda jak na Ziemi, Matej. Dlatego możemy tu mieszkać.

— Dziadek przyleciał z Ziemi, kiedy był bardzo mały, prawda? — zagadnął chłopiec, gotowy słuchać historii dziadka niczym znanej, ulubionej bajki.

Ojciec roześmiał się.

— Jakbyś nie wiedział! No, dość gadania. Siadaj do jedzenia.

— Pierogi gorące — powiedziała matka. — Nabierajcie.

— Marika nie będzie jadła? — brwi ojca znów się zmarszczyły.

— Co sobie wyobraża ta dziewczucha? Za nic ma rodzinę, czy co?

— Zaraz zejdzie — w głosie matki brzmiała jednak nuta niepewności. — Dołożyć ci skwarek?

Tata burknął coś pod nosem.

Zdążyli wypić barszcz i nałożyć porcje pierogów na talerze, zanim usłyszeli skrzypienie schodów. Marika bez słowa zajęła miejsce za stołem. Nie odezwała się do końca obiadu, przeżuwając każdy kęs z wyrazem wzdorliwej wyniosłości na twarzy.

Wieczorem Matej znów zagadnął ojca o likanty, ale nie dowiedział się wiele. Żyły w stadach, były drapieżnikami większymi od wilków, ale mniejszymi niż lamparty, polowały głównie na żuwaki. Bały się ludzi i chyba również przywiezionych z Ziemi zwierząt, bo nigdy nie napadały na krowy, chociaż zamknięte za ogrodzeniami pastwisk bydło stanowiło łatwą zdobycz. Mimo że mieszkali na odludziu, a ojciec wyjeżdżał czasem głęboko w interior doglądać pasących się krów, nigdy nie trafił na ślady likantów. Nigdy też nie zdołał dostrzec stada żuwaków. Miejscowe zwierzęta odeszły widocznie głębiej w step, ale żaden z hodowców nie miał zamiaru martwić się z tego powodu. W sumie dobrze się stało, bo likanty nie zagrażały bydłu, a żuwaki nie wyjadały trawy. Naukowcy też nie zawracali sobie głowy ucieczką miejscowej fauny. Obszary stepów były przecież wyjątkowo rozległe, ludzie eksploatowali zaledwie niewielką część, więc nie było się czym przejmować i tak w ręce rolników, a zwłaszcza hodowców, dostały się ogromne tereny.

Rodzice Mateja utrzymywali się z hodowli bydła. Oboje urodzili się i wychowali na farmach leżących dalej na południe od miejsca, gdzie dziś mieszkali. Jednak na obszarach starszej kolonizacji, skąd pochodzili, gospodarstwa były mniejsze, a zaludnienie znacznie wyższe. Matej wiedział, że rodzice przez jakiś czas mieszkali w mieście, ale wyprowadzili się stamtąd, jak Marika miała kilka miesięcy. Oboje powtarzali, że marzyli o własnej farmie, odkąd się poznali. Tutaj byli naprawdę szczęśliwi. Ojciec wyjeżdżał doglądać maszyn pilnujących krów, programował, strategię „optymalnego wypasu”, jak lubił nazywać kontrolę pastwisk, a matka zajmowała się domem i gospodarstwem. Matej uczył się cztery dni w tygodniu w holo-szkole i włóczył się po stepie na grzbiecie Smutka. Kochali swój dom. Tylko Marika nienawidziła farmy. Miała nieustanny żal do rodziców ze wyprowadzili się z miasta Właściwie, miała nieustanny żal do całego świata. Matej spytał kiedyś, gdy był jeszcze mały, a Marika zgadzała się czasem łaskawie do niego odezwać, czy siostra wolałaby mieszkać na Ziemi. Z pogardliwym prychnięciem odpowiedziała, że jest przecież Ziemianką.

Wtedy odpowiedź siostry wydała mu się głupia, ale z czasem zaczął się nad tym zastanawiać. Właściwie Marika miała rację. Ojciec, mama i wszyscy dorośli, których znał, czuli się i zachowywali jak Ziemianie. Wszystko porównywali do wydarzeń i zjawisk ze starej planety, chociaż nigdy nie widzieli jej na oczy. Matej uczył się w szkole o historii, geografii i biologii Ziemi zamiast



o roślinach i zwierzętach świata, na którym się urodził. Wkuwał przemianę pokoleń u sporyszu, działał wód w Eurazji, ale nikt nie rozmawiał z nim o stepie, żuwakach, likantach i fioletowym niebie. Miał mgliste pojęcie, że na północy i głębokim południu rozciągają się lasy, a potem nieokreślone obszary „chłodnego klimatu”, jak mówiła panna Zola. Że mieszka na jednym z czterech kontynentów planety, ale tylko dwa są zamieszkałe przez ludzi. Planeta została skolonizowana niezbyt dawno. Dopiero dwa pokolenia wstecz pojawili się na jej powierzchni masowi emigranci z Ziemi. Szkolnictwo i edukacja rozwijały się powoli, bazując głównie na programach przekazywanych z macierzystej planety. Gdzieś tam trwały co prawda intensywne badania, ale ich wyniki nie zdążyły jeszcze przeniknąć do szkolnych podręczników. W chwili, gdy Matej nakładał na głowę hełm i przenosił się do wirtualnej klasy panny Zoli, zarówno on, jak i kilkunastu jego rówieśników, znajdowali się w dziwnym, skostniałym świecie szkolnictwa. Równie niematerialnym jak nierealnym, gdzie nie byli ani prawdziwymi Ziemianami, ani kolonistami.

Dzień, w którym Matej uświadomił sobie, jak mało dorośli wiedzą, był straszny i wspaniały zarazem. Nastąpił pewnego ciepłego poranka, gdy zagadnięty o obyczaje żuwaków ojciec przyznał, że nigdy żadnego nie widział. Wtedy Matej poczuł się odkrywcą, bohaterem i wybrańcem. Niemal zrozumiał, dlaczego Ojciec Traw rozmawia właśnie z nim. Był to też dzień samotności, bo pojął, że z nikim nie podzieli się tym ciężarem. Cokolwiek się stanie.

Rankiem następnego dnia ojciec wybierał się do miasteczka. Matej dopóty prosił i przekonywał ze szkołę ma dopiero jutro, aż tata zgodził się zabrać go z sobą. Przedzierali się przez morze traw wąską, prostą drogą, obsadzoną przy wiezionymi z macierzystej planety drzewkami jabłoni, które w obcym świecie przybierały dziwne, pokrzywione kształty, kwitły drobnymi jak kaszka kwiatkami i owocowały maleńkimi intensywnie purpurowymi jabłuszkami o cierpkim smaku. Tak odmiennymi od ziemskich, że żadnemu przybyszowi ze starego świata nie przyszłoby do głowy nazywać ich jabłkami. Ale ani Matej ani tata nie widzieli w tych drzewach nic dziwnego. Dla nich po prostu wyglądały jak jabłonie. A jabłonie należało wysadzać wzdłuż drogi, bo tak się zawsze robiło. Dziadek tak mówił, kiedy jeszcze żył. Dlatego, gdy któreś z drzewek usychało, ojciec zabierał Mateja i razem dosadzali nowe. Tata lubił dbać o tradycję.

Po czterech godzinach jazdy dotarli do miasteczka. Ojciec zatrzymał się na chwilę w uliczce wiodącej do rynku i pozwolił chłopcu wysiąść.

— Tylko nie narozrabiaj — ostrzegł — Muszę coś załatwić w urzędzie, a potem w sklepie rolnym. Pewno chcesz pójść do starego Josifa, co?

— A mogę, tato? — spytał chłopiec z nadzieją.

— Idź, idź. Tylko niech ci się w głowie nie poprzewraca od tych jego głupot.

— Pan Josif pozwala mi się bawić farbami — powiedział Matej, lekko naburmuszony. — I oglądać latającą maszynę, którą buduje.

— Tylko niczego nie zepsuj — ojciec zatrzasnął drzwi szoferki. — I zachowuj się porządnie. Nie chcę, żebyś narobił mnie i matce wstydu.

— Nie, tato.

Ojciec machnął ręką.

— No, leć już. Przyjadę po ciebie, jak wszystko załatwię.

— Dobrze, tato — krzyknął chłopiec i puścił się biegiem w dół ulicy.

Rozpierało go cudowne poczucie swobody. Pędem wbiegł na rynek i byłby go obiegł ze dwa razy z radości, niczym spuszczonej ze smyczy psiak, ale poczucie godności wzięło górę. Miał już jedenaście lat, nie mógł więc postępować jak szczeniak, który nie wie jak się zachowywać w

mieście. Zwolnił nieco kroku i podskakując od czasu do czasu, ruszył przez rynek.

Pośrodku, obok pompy, siedziała na ławce stara Latowa w towarzystwie kilku innych gospodyń, więc wrzasnął „Dzień dobry!” ile sił w płucach, pomny ojcowskich nakazów w kwestii dobrego wychowania. Gdyby jej nie pozdrowił, wieczorem matka dałaby mu niezłe popalić. Spotykały się na sieciowych pogaduchach prawie każdego popołudnia, a Latowa była czepialską plotkarą i na pewno wypomniałaby matce brak manier u syna.

Zamachała do chłopca ręką i zagadnęła o zdrowie domowników.

— Dziękuję, wszyscy zdrowi, pani Latowa — odkrzyknął, ale się nie zatrzymał. Wcale nie miał ochoty, żeby stara plotkara zadrezczała go tysiącem pytań i marnowała cenny czas, który mógł spędzić na miejskich rozrywkach. Starał się mieć poważny i zaaferowany wyraz twarzy, jakby spieszył się załatwić ważną sprawę.

Pokręcił się trochę po miasteczku, spotkał dwóch kumpli ze szkoły, ale żaden nie miał czasu na zabawę, więc pogadał chwilę, a potem powędrował do cukierni. Wypił lemoniadę i kupił torebkę „trzepakowych łebków”. Te niemiłosiernie słodkie, kleiste pianki w kształcie obłych stożków pokrytych guzkami, rzeczywiście przypominały główki trzepaków, małych, żyjących po ziemi stworzeń podobnych do kretów.

Matej wrócił na rynek, pojadając „łebki”. Żałował, że pora jarmarków i odpustów jeszcze się nie zaczęła. Minie trochę czasu, zanim w mieście pojawi się kościelny namiot, a wraz z nim przyjadą przekupnie. Proboszcz objeżdżał parafię przez cały rok, ale i tak nie zostawał w miasteczku dłużej niż kilka tygodni. Starej Latowej i miejscowym dewotkom musiały na razie wystarczać wirtualne nabożeństwa, chociaż większość uważała, że „sztuczna msza” nie ma należytej siły odstraszania zła, co „prawdziwa”.

Ponieważ nic ciekawego się nie wydarzyło, Matej uznał, że pora odwiedzić pana Josifa.

Stary Josif mieszkał na skraju miasteczka, w stodole. Wiele lat temu żona wyrzuciła go z domu, ale on nic sobie z tego nie robił. Mieszkańcy osady i okoliczni farmerzy uważali, że stary jest stuknięty. Mieli go trochę za czubka, trochę za szamana, ale otaczali pewnego rodzaju szacunkiem jako ciekawostkę i swoisty talizman chroniący społeczność.

Dzieciaki na ogół wyśmiewały się z Josifa, a czasem trochę się bały, ale Matej go lubił. Dziwaczne rzeźby i maszyny na podwórzu przed stodołą fascynowały. Zwłaszcza, że figury przedstawiały miejscową faunę. Wielkie, tęponose żuwaki z garbami na grzbietach, pomalowane w zwariowane kolory. Kolczaste likanty z wyszczerzonymi kłami. Wysokie, smukłe kulbowce o niezwykle giętkich szyjach. Krępe niedźwiaki, brzydkie, wielonogie strugi. Wszystkie dziwaczne, przerysowane, pstrzące się kolorami, ale przez to jakby dziksze, bardziej prawdziwe niż jakiegokolwiek hologramy w podręcznikach.

Josif odnosił się do chłopca przyjaźnie, ale Matej nigdy nie miał pewności, czy stary naprawdę go poznaje. Blade, niebieskie oczy były przejrzyste jak woda. I całkiem nieprzeniknione.

Matej nie znalazłszy Josifa na podwórzu, uchylił nieśmiało drzwi i wsunął się do ciemnego wnętrza stodoły.

— Dzień dobry! — zawołał od progu. — To ja, Matej. Mogę wejść?

Nikt nie odpowiedział.

Chłopiec zamknął za sobą drzwi. Cicho stąpał po podłodze zasłanej wiórami. Minał szkielet drewnianej maszyny latającej, konstruowanej na wzór skrzydeł i kadłuba pilgonia, przesuwał się między cielskami niedokończonych drewnianych, papierowych i plastikowych zwierząt.

Josif stał na rusztowaniu i poprawiał jedną z czterech twarzy dziwnego, skrzydlatego potwora umieszczonego w rogu ogromnego malowidła, które było rozpięte na całej powierzchni jednej ze

ścian stodoły.

— To Wielka Bestia, synu — powiedział, nie odwracając się, jakby rozmawiali od dawna. — Czyha. Wyczekuje na właściwy moment. I on niedługo nadejdzie, synu. Czuję to.

Chłopiec żywił nieraz przykre podejrzenie, że pan Josif wcale go nie zauważa i prowadzi swoją dziwną rozmowę przez cały czas, nawet gdy Mateja tu nie ma.

Jednak gdy stary człowiek odwrócił się od płótna i popatrzył chłopcu w twarz, spojrzenie było chłodne, przenikliwe i uważne.

— Widzisz, synu — ciągnął nieprzyjemnym, zgrzytliwym głosem. — Czeka. Złowrogi i potężny. Jest duszą tego świata. Siłą skrytą w pozornie łagodnej otoczce.

Matej wzdrygnął się mimowolnie. Ośmioro oczu stwora pałało nienawiścią.

— Kiedy zmusi mnie, żebym wypowiedział jego imię, nadejdzie czas przesilenia.

Stary nie spuszczał ciężkiego, pełnego napięcia wzroku z twarzy chłopca.

— Ty wiesz, prawda?

Matej nerwowo przełknął ślinę. Stary pan Josif czasem trochę go przerażał.

— Nie, proszę pana. Czy mogę pobawić się farbami?

Pomarszczona, sucha jak rzemień twarz natychmiast złagodniała.

— Chcesz malować, synu? Dobrze, dobrze. Zaraz znajdę ci farby i karton.

Josif zląkł z rusztowania, podszedł do chłopca i położył mu sękatą dłoń na ramieniu.

— Popatrz na to płótno, synu — ruchem podbródka wskazał rozpięty na ścianie obraz. — Maluję to już tyle lat. Sam nie pamiętam ile. Widzisz, to jest kosmos. Taki jak jest naprawdę, a nie taki, o jakim piszą w uczonych książkach. Tamta niebieska kula to Ziemia, a ta fioletowa, to nasz świat, o tam, w rogu.

Matej widział wielki obraz nie pierwszy raz, ale zawsze mógł się na niego gapie godzinami. Wpatrywał się zachwycony w plątaninę kresek, strzałek, przerywanych linii łączących wielkie i małe kule ognia lub kolorowego światła. Między nimi unosiły się w czerni tła niezliczone skrzydlate postacie. Fruwający ludzie, potwory, węże, zwierzęta, a nawet dyski z twarzami lub pyskami niezemskich stworzeń.

— Kim są ci latający ludzie, panie Josif? — zapytał Matej chyba po raz setny.

Stary uśmiechnął się.

— To aniołowie i archaniołowie, synu. Mają po jednym, dwa albo trzy skrzydła. A tamci, widzisz, co mają cztery lub sześć, to cherubiny. Popatrz uważnie — wskazywał kościstym palcem. — Tam jest Bestia, tam Złoty, Wielki i Błękitny. Są jeszcze tacy, co mają więcej skrzydeł, ale ich boję się malować. Za potężni, synu.

— To oni tu są? Aniołowie?

— Pewnie, synu. I tu, i wszędzie. Zawsze byli.

— A jak pańska latająca maszyna? Kiedy będzie fruwać?

Josif uśmiechnął się i machnął ręką.

— Ech, nie mam czasu jej budować. Muszę malować i pisać traktat o naszej planecie. Pokazywałem ci go?

Matej skinął głową.

— Tak, panie Josif. Ale ja chętnie obejrzę znowu.

— To chodź — stary był wyraźnie uradowany.

Chłopiec ruszył za nim do przeciwległego końca stodoły. Na podłodze i starym, odrapanym stole piętrzyły się stosy szkiców, dokończonych i niedokończonych malunków, zamazanych w pośpiechu kartek. Pod ścianami stały płótna, wielkie kartony i deski pokryte malowidłami. Spoglądały z nich

twarze wieloskrzydłych aniołów, melancholijne, łzawe oczy kulbowców, wąskie ślepiea likantów. Tryskały purpurowe strumienie, kwitły kwiaty rozciągające w uśmiechu wielobarwne usta, szumiały złote i niebieskie drzewa, w powietrzu śmigały ptaki podobne do jaszczurek. A może jaszczurki ze skrzydłami jak ptaki?

Z szuflady stołu stary człowiek wyciągnął duży, podniszczony zeszyt. Otworzył i zaczął kartkować. Strony były zapisane starannym, dzieciennym pismem. Co kilka kart pojawiał się kolorowy obrazek.

— Widzisz — mówił pan Josif. — To jest rozdział o materii. A to o drganiach. O duszach eterycznych. A to o przedudziach. Popatrz. Mieszkali tu kiedyś, ale teraz już ich nie ma. To o zwierzętach. I o nas, kolonistach. A tu o roślinach. I mglistych wodach. I o esencji. Ale to wszystko jeszcze nie skończone.

Zamknął zeszyt.

Matej czuł dreszcz podniecenia. Z emocji aż się zadyszał.

— A...a teraz o czym pan pisze, panie Josif?

W bladych, niebieskich oczach zamigotał błysk, jak refleks słońca na wodzie.

— O Bestii, synu. I o czasie przesilenia. Nagle Matej poczuł się nieswojo.

— Ja... chyba już pójdę prosić pana. Pewno przeszkadzam.

Stary człowiek uśmiechnął się.

— Gdzie tam, synu. Wcale nie. Mieliśmy razem pomalować.

— No... — zawahał się Matej, który miał wielką ochotę na zabawę farbami, lecz niepokój jeszcze go nie opuścił. — Nie wiem, czy mogę... Może innym razem.

Josif wzruszył ramionami.

— Synu, malowanie to dar. Drzwi do innego świata. Ale jak chcesz.

W tej chwili drzwi do stodoły rozwarły się na oścież i do środka weszła żona Josifa.

— No, stary — zawołała. — Przyniosłam żarcie. Żeby ludzie nie gadali, że o chłopca nie dbam. Bóg pokarał mnie chłopcem, co ma we łbie krzywo, ale to nic. Ja wszystko zniosę.

Josif nie dał po sobie poznać, że w ogóle zarejestrował nadejście kobiety.

— Zaraz znajdę dla ciebie karton — zwrócił się do chłopca i zaczął szperać w stercie papierów.

Josifowa bezceremonialnie deptała leżące na podłodze szkice. Podeszła do stołu, postawiła garnek. Zobaczyła Mateja i wzięła się pod boki.

— Patrzcie no — zawołała. — A ty tu czego? Chcesz zgłupieć, tak jak on? Matka wie, że tu przyłazisz?

— Tata pozwolił — burknął chłopiec niechętnie. Żona Josifa poprawiła chustkę na głowie.

— No to sam sobie będzie winny, jak mu syn zgłupieje. Nasłuchasz się tych jego bredni i Bóg wie, co z ciebie wyrośnie. Zobacysz. Jak ten stary skończysz! On już całkiem o świecie nic nie wie. Nie pamięta imion własnych dzieci! Nawet nie wie, ile ich ma! Rozumiesz? Własnych dzieci nie pamięta!

— Mam — Josif wyciągnął sztywny, czysty kawałek papieru i podał chłopcu, całkowicie ignorując pełną oburzenia tyradę małżonki. — Nada się. Zobacysz, jak dobrze przyjmuje farbę.

Kobieta ze złością machnęła ręką.

— Widzisz, co go obchodzi! Malowanki! Same durnoty. Dobrze, że chociaż synowie się w niego nie wdali, bo by się jak nic gospodarka zmarnowała. Stary głupek.

Odwróciła się i kołysząc biodrami jak kokosz odeszła z godnością. Josif nawet na nią nie spojrział. Matej dotknął ścianki garnka.

— Niech pan zje, póki ciepłe — powiedział nieśmiało. Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Później. Teraz muszę pracować.

Wlaził stękając na rusztowanie i zabrał się za skrzydła Bestii. Matej zanurzył pędzelek w słoiczku z farbą, czując przyjemne mrowienie w koniuszkach palców. Jeśli nie zostanie przyrodnikiem, pomyślał, będą malarzem. Albo oboma naraz.

Zanim przyjechał ojciec, zdążył wymalować wcale udatnego likanta.

Matej nie pamiętał, kiedy dokładnie Ojciec Traw zaczął do niego mówić. To nie był chyba żaden konkretny dzień. Po prostu jeździł na Smutku, zsiadał, leżał w trawie, przyglądał się źdźbłom, wypatrywał żuwaków i słuchał szmeru traw. Na początku żaden głos do niego nie mówił. Czasem coś niespodziewanego przychodziło mu do głowy, coś rozumiał, dowiadywał się o czymś, ale nie wiedział skąd. Potem w szumie traw zaczął słyszeć szepty, szloch i śmiech, ale myślał, że to tylko wiatr. Później odezwał się wewnętrzny głos, jakby intuicja albo wymyślony przyjaciel. Dokładnie tak. Jakby rozmawiał z wymyślonym przyjacielem. A potem Ojciec Traw już był.

Matej czuł, kiedy nadchodzi. Słońce stawało się nagle bardzo oślepiające i szybko przygasało. Zapadała głucha cisza, chociaż wiatr nadal szumiał w trawach. A on słyszał w głowie głos Ojca Traw. Ciche nawoływanie, świszczący, przenikliwy szept.

— Mattej, Mattej, Mattej... Wtedy odpowiadał.

Na początku wcale się nie bał. No, może trochę. Taki dziwny, podniecający dreszcz emocji towarzyszący spotkaniu z nieznanym. Nie miał wrażenia, jakby rozmawiał z obcym, pozaziemską formą inteligencji. Raczej jakby przemawiał do niego duch planety, jej ożywiona dusza. Nie umiałby ubrać swoich myśli w słowa, ale tak właśnie to odczuwał.

Dopiero później zaczął się bać. Wtedy, gdy poczuł zbliżającą się obecność Ojca Traw i zobaczył, jak spokojne do tej pory stado żuwaków ogarnia panika. Oszalałe zwierzęta uciekały w popłochu, w szalonym pędzie przemykały ledwie kilkanaście metrów od niego. Step drżał od głuchego tętentu. Żuwaki pędziły na oślep na chłopca i konia, ale zamiast ich stratować, skręcały pełne przerażenia, jakby Matej był tak samo straszny jak niematerialna istota, która spowodowała ich ucieczkę. Cud, że Smutek się nie spłoszył. Zaraz potem Ojciec Traw przybył.

Matej nie chciał odpowiedzieć na wezwanie. Bał się. Lecz znacznie bardziej przestraszył się sekundę później, kiedy okazało się, że nie może odmówić.

Step drgał i szumiał, choć ponad trawami wisiała głucha cisza. Matej żuł słodkie źdźbło.

Ojciec Traw śpiewał mu długą, rzewną pieśń bez słów. Pieśń o kulbowcach.

Chłopiec zebrał się na odwagę i spytał:

— Czy przed nami ktoś tu jeszcze mieszkał, Ojciec Traw?

— Tu zawsze ktoś mieszka — zaszemrały źdźbła.

— No, miałem na myśli kogoś podobnego do nas, do ludzi

— ciągnął chłopiec, czując, że wkracza na niebezpieczne tematy.

— Nie z wyglądu, ale w ogóle...

Urwał, zbity z tropu.

— Pan Josif mi pokazywał rozdział o przedludziach — wymamrotał. — Czy oni istnieli? Dlaczego już ich nie ma?

Niematerialna istota milczała przez dłuższą chwilę.

— Nadchodzi czas przesilenia — wyszeptał głos w głowie chłopca. — O Mattej, Mattej, Mattej... tak, nadchodzi.

Serce chłopca zabiło gwałtownie. Smutek szarpnął łbem, zadro — bił w miejscu przednimi nogami, ale tak samo jak Matej nie potrafił uciec.

— Czas przesilenia? — powtórzył chłopiec ze ściśniętym gardłem.

— Pan Josif o tym mówił...

— Tak, tak — zaszumiał Ojciec Traw. — Ja dojrzewam. I ty dojrzewasz. Już niedługo.

— Co...co to znaczy? — szepnął Matej.

— Kiełkowanie ziarna — zaśpiewały źdźbła. — Żyzna, żyzna ziemia.

— Nie...nie rozumiem.

— Nie trzeba — kojąco szemrał step. — Nic nie trzeba rozumieć.

Matej poczuł, że głęboko w samej istocie Ojca Traw zbudziła się wielka radość i to odczucie zmroziło go lękiem. Ojciec Traw był niebezpieczny.

— Cykle — świszczął śpiewnie. — Powtarzalne cykle. Dzień po dniu, pora po porze, czas po czasie. Wielkie przesilenie, Mattej.

— Po co? — jęknął wystraszony chłopiec.

Ojciec Traw zdawał się go nie słyszeć, pogrążony w wielkiej radości.

— Zew. Usłyszycie zew. Już niedługo, Mattej. Już niedługo. Najpierw ludzie połowy. Nie dzieci, nie dorośli. Jest ich wielu, wielu... Usłyszają pierwsi. Pierwsi wyruszą. Kiełkujące ziarno. Mnóstwo, mnóstwo siły i żadnych korzeni. Oni wyruszą pierwsi. Mają gniew. Mają zmianę. I żadnych korzeni. O tak, żadnych korzeni. A ty jesteś głosem. Jesteś głosem, Mattej. Pójdą, kiedy usłyszają głos.

— Nie chcę! — Matej był bliski płaczu.

— Nie można nie chcieć — szumiał wiatr. — Nie można. Wszyscy usłyszycie. Zew, zew, zew, Mattej.

— Puść mnie! Pozwól mi odejść!

— Nie, nie, nie — zakołysał się step.

Ziemia pachniała słodko, mdląco. Zapach przyprawiał o zawrót głowy, odurzał.

— Nie, nie — mówiło niebo. — Teraz zagniewam ci pieśń o złowilcach.

Słońce rozjarzyło się złoto i przygasło.

Od tej rozmowy Matej bał się opuszczać fermę. Ale, oczywiście, nie mógł odmówić. Przychodził na wezwanie Ojca Traw, żeby słuchać o niedźwiakach, likantach, stręgach i innych stworzeniach, których wcale nie znał. Ojciec Traw nie mówił już więcej o czasie przesilenia, ale chłopiec wiedział, że jest pełen radosnego wyczekiwania.

Raz Matej zebrał w sobie desperacką odwagę i ośmielając się przerwać pieśń o gnilcach, zapytał:

— Kim jesteś, Ojczy Traw?

Ale step, niebo i słońce tylko się roześmiały.

— Pięknie, pięknie dojrzewasz Mattej — zaszemrały trawy. — Czas przesilenia zaraz się spełni. Och, zew, Mattej. Zew!

Potem przez długi czas Ojciec Traw nie wzywał chłopca. Zamiast tego zabrał Smutka.

Matej obudził się pewnej nocy zdrętwiąły ze strachu. Stanie się coś złego, myślał gorączkowo. Coś naprawdę złego. I wtedy usłyszał hałas. Głuche, miarowe uderzenia dobiegające od strony podwórza. Wskoczył z łóżka i podbiegł do okna akurat w chwili, gdy Smutek rozwalił kopytami ostatnie deski w drzwiach stajni.

Matej trzęsącymi się rękami otworzył okno i już miał zawołać przyjaciela, próbować go uspokoić, gdy krzyk zamarł mu w gardle.

Noc rozpięta nad stepem była czysta, chłodna i bezchmurna, więc chłopiec widział konia bardzo wyraźnie w ostrym świetle dwóch księżyców. Sierść Smutka była zmierzwiona, mięśnie pyska

ściągnięte w nienaturalnym grymasie odsłaniającym wyszczerzone, żółte zęby, jakby koń się upiornie uśmiechał. Poruszył sztywno łbem, a wtedy promień księżycyca zalśnił na chwilę w oku. Białym i martwym niczym ugotowane białko jajka.

Matej wydał zduszony jęk, bo zrozumiał, że Smutek nie żyje. Widocznie umarł w nocy, a teraz Ojciec Traw zabiera to, co z niego zostało.

Martwy koń zaczął się kołysać, mechanicznie kiwając łbem i przestępując z nogi na nogę. Matej zaszlochał, zakrył twarz dłońmi. Osunął się na podłogę pod oknem. Nieżywe zwierzę kontynuowało swój koszmarny taniec w świetle księżyców.

— Proszę, chcę się obudzić, chcę się obudzić — szeptał Matej, chociaż doskonale wiedział, że nie śni.

Nie rozumiał, czemu hałas nie zbudził rodziców, chociaż podświadomie czuł, że tak jest lepiej. Stałoby się coś przerażającego, nieodwracalnego, gdyby zobaczyli tańczącego Smutka. Skulony pod oknem Matej, choć za nic nie wyjrzałby przez okno, w jakiś sposób widział, co dzieje się na podwórzu. Poczuł, że koń unosi łeb i węszy, wsparty na szeroko rozstawionych nogach. A potem zrywa się do galopu. Szalonego cwału, na który nie byłby w stanie się porwać nawet w najlepszych latach. Jednym susem przesadza bramę i pędzi przez step. Światło księżyców ślizga się po skórze, układa lśniący czaprak na zapadniętym grzbiecie, wplątuje wstążki blasku w zmierzwioną grzywę. Srebrzy się w białych, martwych oczach. Trawy szeleszczą słodko, łagodnie, zawodzą nocne pieśni stepu. Ale Smutek już ich nie słyszy. Odpowiada na zew.

Matej dźwignął się z podłogi zapłakany, dygoczący z przerażenia. Szlochając, starał się zmusić do wyjrzenia na podwórze. Stał przed oknem, zaciskając z całej siły powieki.

— Tam nic nie będzie — powtarzał sobie z uporem. — To tylko sen. Głupi, zwykły sen.

Drżące palce ścisnęły framugę. Chłopiec otworzył oczy.

Deski z rozbitych drzwi stajni wały się po obejściu. Pozostałe konie nerwowo przestępowały z nogi na nogę, słyszał ich zaniepokojone chrapanie. Wiatr w stepie szumiał szyderczym chichotem. Matej zacisnął dłoń w pięść, uderzył o parapet.

— Dlaczego go zabrałeś? — głos chłopca załamał się. — Jak mogłeś go zabrać!

Trawy odpowiedziały słodkim zaśpiewem, a wiatr zachichotał kpiąco.

Matej skulił się, zadygotał. Zatrzasnął okno i pobiegł do łóżka. Szlochał w poduszkę, okryty szczelnie kołdrą, bo od tej chwili został zupełnie sam.

Rankiem, ledwie zaczęło świtać, do pokoju Mateja wszedł zafrasowany ojciec. Nie zauważył pobladłej twarzy i podkrążonych oczu syna.

— No, Matej, widzisz — wymamrotał niepewnie. — Smutek uciekł w nocy. Jadę go szukać. Pomyślałem, że pewno będziesz chciał jechać ze mną.

Matej poczuł, jak do gardła podchodzi mu fala mdlącego, lodowatego przerażenia.

— Tak, tato — szepnął jednak. — Musimy go szukać. Zaraz się ubiorę.

Modlił się w duchu, żeby ojciec nie zwrócił uwagi na jego apatię. Powinien przecież płakać, dopytywać się, gorączkować. Ale sama myśl, że miałby znów zobaczyć upiora, który był kiedyś jego ukochanym koniem, paraliżowała ruchy, wywoływała atak obezwładniającego lęku. Wolałby umrzeć, niż ponownie ujrzyć istotę, w jaką przemienił się Smutek.

— Pójdę osiodłać konie — mruknął ojciec, nie zwracając uwagi na dziwne zachowanie syna.

Widocznie uznał, że chłopiec nie chce okazać emocji, które być może uważa za zbyt dziecinne. A może jest po prostu zbyt zaspany, żeby zrozumieć co się stało.

Ojciec wyszedł, a Matej drżącymi rękami zaczął naciągać ubranie.

— Boże, proszę cię, żebyśmy go nie znaleźli — powtarzał bezdźwięcznym szeptem. — Proszę, Panie Boże, proszę...

Ojciec czekał przy koniach. Sam wsiadł na wielkiego, karego wałacha o dumnym imieniu Odys i nieprawdopodobnie poczciwym charakterze, a dla Mateja osiodłał kościstego, posłusznego Miśka. Chłopiec ucieszył się, że nie Gwiazdkę. Nie miał siły zmagać się z chimeryczną, płochliwą klaczą.

Wyjechali za bramę gospodarstwa i zaczęli zataczać coraz szersze koła. Ani śladu Smutka. Matej siedział sztywno w siodle, ręce kurczowo zaciskał na łąku. Przerażone oczy wgapiały się w horyzont, mamione upiornymi zwidami wyobraźni. Każda ciemniejsza plamka mogła okazać się ciałem martwego konia, które, gdy tylko podjadą odpowiednio blisko, porwie się na nogi i zacznie swój obłąkany taniec. Z każdej rozkołysanej kępy traw mógł wyłonić się sztywnym krokiem wyszczerzony w trupim uśmiechu Smutek, ze zmierzwioną sierścią i bielkami na oczach.

Matej trząsł się ze strachu, ale ojciec widocznie wziął przerażenie syna za objawy tłumionej rozpaczki, bo przerwał ciężkie milczenie i zaczął opowiadać chłopcu o czasach spędzonych w gospodarstwie dziadka, wraz z dwiema siostrami i trzema braćmi. Wspominał noc, kiedy urodził się Smutek i następny ranek, kiedy dziadek zaprowadził go do stajni i uroczyście powierzył mu opiekę nad źrebakiem.

— Twój dziadek uważał, że chłopak powinien mieć konia — powiedział. — I dbać o niego. Tak się nauczył od swego ojca, znaczy, twego pradziadka. Pradziadek, jak tylko przyleciał na tę planetę, zaraz sobie sprawił dwa konie. Były z tym wtedy niezłe kłopoty, bo ludzie tylko krowy i krowy ściągali. Albo owce. A pradziadek uparł się, że konie. Ludzie gadali, że głupi. Na co mu konie, kiedy wszędzie są maszyny. A pradziadek wiedział swoje. Gospodarz bez koni, to żaden gospodarz. Tak zawsze było w naszej rodzinie. O tradycję trzeba dbać. Tak jak o żywe. I ziemię, co jest twoja. Pierwszego konia, co go pradziadek dostał, nazwał Odys. Na pamiątkę statku, którym on, prababka i dzieci przylecieli z Ziemi. I teraz zawsze jeden koń, co go w gospodarce mamy, nazywa się Odys. Jak ten tu, kary.

Ojciec poklepał czarną, lśniącą szyję wierzchowca.

— Krowy to krowy. Durne są. A konie mają swój rozum. Sam wiesz, nie? Smutek, jak był źrebakiem, to pysk miał jakiś taki, jakby zmartwiony wiecznie. Tośmy go tak przezwali. I zostało. Potem wyrósł z tego pyska. Dorodny koń był z niego, kiedyś w młodych latach. A teraz jest bardzo stary, Matej. Ma prawie trzydzieści lat. Pewnie mu zdychać przyszło i dlatego uciekł. Żeby jeszcze po trawie pobiegać, niebo zobaczyć. Koń swoje czuje, swoje rozumie. Już my go chyba żywego nie zobaczymy, synu.

Ojcowskie słowa kołysły strach, ale potęgowały poczucie straty. Matej sam już nie wiedział, co zobaczył w nocy. Może tata miał rację. Smutek poczuł nadchodzący koniec i chciał odejść w samotności, na stepie, jak dziki, wolny koń. A wyglądał dziwnie, bo był po prostu bardzo, bardzo chory. Chłopcu zbierało się na płacz. Biedny Smutek. Nawet się z nim nie pożegnał. Wystraszył się i zostawił przyjaciela samego. Biedny, stary Smutek. Pewnie się na nim zawiódł.

Matej nie umiał dłużej powstrzymać łez i wybuchnął rozpaczliwym szlochem.

— No, nie rycz mały, nie rycz — wymamrotał ojciec, który pluł sobie w brodę, że w ogóle podjął temat koni. — Smutek był już bardzo stary. Czas na niego przyszedł, żeby odejść. Dobre życie miał, synu. Nie ma co tak płakać. No, jak chcesz, poszukamy jeszcze. Może żyje, stare konisko. Tylko poleciał gdzie w step. Może sam wróci. Wieczorem albo za kilka dni. No, nie rycz już, synku.

Ojciec zdecydował się odwołać poszukiwania dopiero koło południa. W drodze powrotnej Matej cały czas płakał.



Następnej nocy śnił mu się niepokojący sen. Ogromny, niekończący się ocean traw szumiał jak rozniewany tłum. Długie źdźbła falowały w różne strony, pokładały się, potrzęsały kosmatymi grzywami turzyc. Po czarnej tafli nieba wiatr gonił poszarpane strzępy chmur, lecz żadna nie przesłaniała nawet na moment dwóch wielkich, lśniących fosforycznie tarcz księżyców. Pośrodku stepu, zanurzony niemal po pas w trawie, stał pan Josif. Światło księżyców padało wprost na niego, skupione w silne wiązki, jakby płynęło z gigantycznych reflektorów. Stary człowiek gestykułował rozpaczliwie, wymachując dużym, podniszczonym zeszytem.

— Panie Josif! — zawołał Matej. — Co się stało?

W odpowiedzi Josif wskazał na brulion i potrząsnął głową.

— Czy już czas? — zapytał chłopiec, czując dreszcz przerażenia przebiegający wzdłuż kręgosłupa. — Czy nadchodzi przesilenie?

Stary człowiek otworzył zeszyt, uniósł go w górę, żeby Matej mógł lepiej zobaczyć. Wszystkie kartki pokrywały zapisane rząd za rzędem jaskrawą czerwienią słowa: Ojciec Traw, Ojciec Traw, Ojciec Traw...

Chłopiec patrzył ze zgrozą, jak litery spływają krwią. Wielkie krople padały na trawę niczym rubinowa rosa.

Źdźbła jęknęły śpiewnie, zaszemrały, skłoniły głowy do ziemi.

— Rozkwitam — szeptał step słodkim, upojnym głosem. — Rozkwitam, rozkwitam...

Morze traw drgało z radości i rozkoszy.

— Nie! — krzyknął Matej, zatykając uszy, żeby nie słyszeć straszego śpiewu. — NIE!

— Mattej — wołała trawa — Mattej, jesteś głosem. Dzięki tobie rozkwitam. Rozkwitam, Mattej!

Obudził się zlany potem, drżący. Naciągnął kołdrę na głowę i długo leżał, bojąc się ponownie zasnąć.

Nad domem, gospodarstwem i stepem lśniła czarna, bezchmurna noc.

Smutek nie wrócił. Rodzice starali się być wyjątkowo wyrozumiali dla syna. Matka gotowała tylko takie potrawy, jakie najbardziej lubił, ojciec zabierał go na — dalekie pastwiska i do miasteczka. Wieczorem śpiewali stare, piękne pieśni, które prababka przywiozła jeszcze z Ziemi. Oboje mieli piękne głosy, a Matej uwielbiał słuchać, jak śpiewają. Matka śmiała się, machała ręką i mówiła, że melodia nie brzmi jak należy, bo trzeba ją śpiewać na wiele głosów. Wtedy dźwięczy jak uderzenia dzwonów.

Siedzieli przy stole, jedli placek, który matka upiekła, pili bardzo słodką herbatę i śpiewali albo opowiadali stare historie. Nawet Marika czasem schodziła do kuchni. Gdyby nie utrata Smutka, Matej byłby naprawdę szczęśliwy.

Te ciche, sielskie chwile skończyły się wraz z dniem, kiedy zginęła Marika. Matka nie mogła dowołać się jej na śniadanie, więc rozzłoszczona wtargnęła do pokoju na poddaszu. Zobaczyła zmiętą pościel i ani śladu córki. Ubrania i rzeczy osobiste zostały nietknięte, więc nic nie wskazywało na ucieczkę z domu. Zresztą nie zginął żaden pojazd, a konie spokojnie pasły się za domem. Porwanie też nie wchodziło w grę, bo nie było żadnych śladów szamotaniny, żadnych uszkodzeń na drzwiach, pozamykane okna.

Matka wpadła w panikę, modliła się, szlochała i bezradnie biegała wokół domu, nawołując córkę, więc to Matej zawiadomił ojca, który natychmiast zawrócił z drogi na pastwisko. Jako tako uspokoił szlochającą żonę i natychmiast wyruszył na poszukiwania. Nie zgodził się, żeby zawiadomić posterunek policyjny w miasteczku i zwołać sąsiadów.

— Na to będzie jeszcze czas, matka — powiedział krótko. — Może mała polazła gdzieś zaszyć

się w trawie i wypłakać jakieś babskie sprawy. Sama wiesz. Jest w durnym wieku. Szczeniackim. Głupoty ma w głowie. Może jej który chłopak co powiedział, albo jaka złośliwa koleżanka. Jak jej nie znajdziemy albo sama nie wróci za dwie, trzy godziny, zawołamy policję. A tak tylko sobie narobimy wstydu, że nie umiemy dziewczuchy upilnować. Porządku we własnej chałupie utrzymać. Siedź w domu i pilnuj, czy nie wróci.

— Matko Święta, córuchna moja! — zawodziła matka. — A jak ją kto porwał, biedactwo kochane!

— Pewno. Przez komin — rzucił z przekąsem ojciec i odpalił terenówkę.

— Matej, siodłaj konia i jedź szukać siostry! — zawołał od bramy.

Mama załamała rękę.

— Zostań lepiej! Może tam co złego!

Ale chłopiec już ruszył biegiem do stajni.

Znalazł siostrę po niecałej godzinie. Leżała skulona w trawie, w samej nocnej koszuli i bosy. Chyba spała. Skórę miała chłodną, lecz z całą pewnością żyła. Matej wyciągnął rękę, ostrożnie dotknął ramienia Mariki. Dziewczyna poruszyła się, wymamrotała coś niezrozumiałego. Na szyi, dłoniach i kostkach miała dziwne plecionki z trawy. Na głowie ogromny, starannie wykonany wieniec, czy raczej czepiec z roślin, długie źdźbła fantastycznie wplecione we włosy.

Zawiadomił ojca, który kazał mu czekać przy siostrze i nigdzie się nie ruszać. A niby gdzie miałyby pójść? Marika spała głębokim snem. Twarz i ręce miała pobrudzone ziemią, ale wyglądała na zupełnie zdrową. Chłopiec patrzył na nią, jakby była kimś obcym.

Dziwaczną rusałką, południcą związaną zaklęciem. To on ją zawołał, pomyślał przelotnie, ale nie bardzo potrafił uwierzyć. Marika, wiecznie plotkująca z koleżankami, wiecznie zakochana w jakimś chłopaku, zajęta ciuchami i marzeniami o mieście miałyby słyszeć zew Ojca Traw? Zresztą, od czasu odejścia Smutka, Matej sam już nie wiedział, czy kiedykolwiek spotkał widmowego ducha planety. Może panna Zola miała rację, zabraniając uczniom samotnych wycieczek w step? Może nie było żadnej obcej istoty, tylko trujące trawy, na których Matej leżał i które lubił pogryzać. Sprawily, że uwierzył w fantastycznego stwora, wytwór dziecięcej wyobraźni, otruły Smutka, który zwariował i uciekł, a teraz uspiły Marikę. W stepie panował zupełny spokój. Źdźbła szeleściły cicho, swojsko, po prostu jak łąka. Ogromna, zielona łąka pod fiołkowym okiem wysokiego, czystego nieba. A Marika wyszła sobie na spacer i zwyczajnie zasnęła w ciepłych promieniach słońca.

— Marika — Matej chciał obudzić siostrę, potrząsnąć za ramię, ale zamiast tego musnął tylko jej skórę końcami palców, nie ośmielił się głośniej odezwać.

Podświadomie, głęboko w duszy wiedział, że spokój jest pozorny. On czeka. Obserwuje i czeka.

Marika leżała bez ruchu, w dziwnym wieńcu na głowie, ze źdźbłami wplecionymi we włosy. Oddychała głęboko, ale wyglądała jak martwa. Jak złożona w ofierze dziwaczemu, okrutnemu bogu. A trawy pachniały tak słodko. Matej poczuł, że znów ogarnia go lęk.

— Marika — wyszeptał przez ściśnięte gardło. — Proszę, obudź się. Wsiądziemy na Miśka i zabiorę cię do domu. Marika, proszę!

Dziewczyna nawet nie drgnęła, pogrążona w głębokiej śpiączce. Ocknęła się dopiero, gdy przyjechał ojciec, wezwany przez Mateja. Otworzyła oczy i rozejrzała się niepewnym przestraszonym wzrokiem.

— Tata? — szepnęła.

Wyciągnęła do ojca ramiona i zaniósła się bezradnym, dziecięcym płaczem. Tata wziął ją na ręce i z pomocą Mateja wepchnął do szoferki terenówki.

— Pojadę szybciej — zwrócił się do syna. — Trafisz do domu?

— Pewnie — powiedział Matej.

Tata zatrzasnął drzwi i odjechał na pełnym gazie. Chłopiec wdrapał się na siodło. Pojazd ojca szybko zniknął mu z oczu. Chociaż nie czuł żadnej obecności i nie słyszał głosów, to popędził Miśka galopem. Uciekał, chociaż wiedział, że to nic nie da. Czas przesilenia właśnie się rozpoczynał.

Marika nie potrafiła wytłumaczyć jak znalazła się na stepie. Musiała wyjść w nocy z domu i ruszyć przed siebie w lunatycznym śnie. Matka bardzo się przestraszyła, przez kilka nocy spała w pokoju razem z córką. Upierała się nawet, żeby zawieść Marikę do lekarza, ale ojciec uważał, że nie ma potrzeby.

— Młoda jest, dorasta, to czasem jej się coś w głowie pokręci — uspokajał. — Nic w tym dziwnego.

Ponieważ atak się nie powtórzył, skończyło się na kilku świętych obrazkach, które matka powiesiła w sypialni dziewczyny.

Marika przez kilka dni po wypadku wydawała się nieco oszołomiona, jakby cichsza i trochę wystraszona, lecz szybko wróciła do normy. Po raz pierwszy rodzice zdawali się zadowoleni, że bez przerwy wisi w wirtualu, flirtując z chłopakami i obgadując z rówieśnikami koleżanki.

Przez kilka tygodni nie zdążyło się nic szczególnego. Aż do dnia, gdy ojciec przyniósł z miasteczka szokującą wieść.

Matej musiał zostać w domu, bo akurat miał szkołę. Schodził właśnie po skończonych zajęciach do kuchni, gdy usłyszał dochodzące z dołu ściszone głosy rodziców. Wiedziony jakimś dziwnym instynktem podkraść się cicho pod drzwi kuchni, przyłożył oko do szpary między skrzydłem a framugą.

Matka załamała rękę.

— No, no, kto by pomyślał. A tak dobrze się trzymał. Chociaż wstyd to powiedzieć, żona i dzieciaki pewno odetchną z ulgą.

Ojciec wzruszył ramionami. W oczach miał niespotykany u niego niepokój.

— Ano, chyba nie — mruknął. — Stary Josif nie umarł zwyczajnie. — Święta Matko! — zawołała mama ze zgrozą. — Powiesił się?!

A przecież Matej ciągle do niego latał! Że też mu pozwalałaś. Stary dureń mógł zrobić dzieciakowi krzywdę! Dobrze, że Bóg uchronił.

Przeżegnała się pospiesznie.

Ojciec machnął ręką.

— Gadasz swoje babo, a wcale nie wiesz o czym. Wcale się nie powiesił. Wygląda na to, że ktoś go zabił. Straszna jatka była. Wszędzie krew.

Oczy matki zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Zasłoniła usta dłonią.

— Jezu miłosierny! — wyszeptała wstrząśnięta. — Ale kto? Czemu?

Ojciec pokręcił głową.

— A bo to kto wie? Wszyscy zachodzą w głowę. Stary był dziwak, ale ludzie go lubili. Wrogów nie miał. I żeby coś takiego?

— Święta Matko! Może by jakąś świecę zapalić, pomodlić się?

— Nie zaszkodzi — powiedział ojciec cicho. — Bo wiesz, tam się coś dziwnego stało.

— Co może być dziwniejszego, niż pozbawić człowieka życia! — obruszyła się matka.

Tata westchnął.

— Wszędzie, na ścianach, na każdej kartce, każdym obrazku, każdym świstku był taki sam napis.

Podobno zrobiony krwią.

— Jaki, Boże kochany? — wyszeptała matka, której cała historia powoli przestawała mieścić się w głowie.

Ojciec wzruszył ramionami.

— Dziwny jakiś. Podobno: Ojciec Traw.

Matej nie słuchał dłużej. Wycofał się do swego pokoju, z bijącym sercem i spotniałymi dłońmi. Zaczęło się, pomyślał.

Nie pomylił się. Na trzeci dzień do morderstwa Josifa Marika znowu zniknęła. Szukali jej tak jak poprzednio, na stepie, ale nie znaleźli. Kiedy ojciec zdecydował się wezwać pomoc z miasteczka, okazało się, że nie tylko Marika zaginęła. Znikły wszystkie dzieci między czternastym a osiemnastym rokiem życia.

Rodzice odwieźli Mateja do domu i zostawili, przykazując, żeby pod żadnym pozorem nie ruszył się za próg. Miał natychmiast zawiadomić, gdyby siostra wróciła. Sami pojechali do sąsiedniego gospodarstwa, organizować akcję poszukiwawczą wraz z sąsiadami.

Do późnego wieczora Matej siedział sam w domu. Nigdy budynek nie wydawał mu się taki wielki i taki pusty. Próbował czytać, uczyć się a nawet modlić, lecz nie potrafił. Dygocząc ze strachu, czekał na powrót rodziców. Pojawili się w domu późnym wieczorem, po długich, bezowocnych poszukiwaniach. Marika nie wróciła.

Matej leżał w łóżku nie mogąc zasnąć. Za oknem, po czarnym aksamicie nieba wspinały się mozolnie oba księżyce. Kiedy stanęły na wprost okna, chłopiec zauważył, że oba osiągnęły idealną pełnię. Długo patrzył w blade, surowe oblicza na niebie i prosił, sam nie wiedział kogo, Boga, Ojca Traw, obcą planetę, która stała się ich domem, żeby Marika wróciła i wszystko było jak dawniej. W końcu, zmęczony, zasnął.

Obudziło go wściekłe szczekanie Burka. Wyjrzał przez okno, lecz nie dostrzegł niczego dziwnego. Może Marika wróciła, pomyślał przelotnie. Ale pewnie nie, przecież pies by nie szczekał. Już miał się położyć do łóżka, gdy zobaczył jakiś cień przemykający pod ścianą stodoły. Złodziej? Serce zabiło mu mocniej. Niemożliwe. Kto by miał ich okraść w tej głuszy? Z czego? Wszyscy farmerzy trzymali pieniądze w bankach, tak zabezpieczone, że nie mogli dokonać transakcji wykraczającej poza określony przez nich niewysoki limit, bez udania się do filii. Niezbędne rzeczy zamawiali przez sieć. Złodziej? Przecież tu żyło się praktycznie bez pieniędzy.

Gdy Matej nabrał pewności, że coś mu się przywidziało, zobaczył drugi cień. I trzeci. I wiele innych, kryjących się w ciemności. Jeden przebiegł długimi susami między stodołą i stajnią. W ostrym świetle pełni jego sylwetka odcinała się wyraźnie, srebrno czarna, jak narysowana twardym ołówkiem. To był chłopak, piętnasto-, może szesnastoletni, całkiem nagi, jeśli nie liczyć plecionki z traw zawiązanej w pasie i na kostkach nóg. Unosił głowę, węsząc jak zwierzę. Blask pełnego księżyca na chwilę oświetlił podniesioną twarz, oczy załśniły mydlanie, białym bielmem.

Matej wydał stłumiony okrzyk, chwycił się framugi, żeby nie upaść.

— To sen — powiedział na głos.

Szczekanie psa urwało się raptownie. Niemal w tym samym momencie drzwi do domu otworzyły się z trzaskiem i na ganku stanął tata. W ręce trzymał strzelbę.

— Kto tam?! — zawołał ostro. — Marika, to ty?

A potem Matej nie miał już żadnych wątpliwości, że śni. Z ciemności skoczyło na ojca dwóch nagich, przybranych w trawy chłopaków. Nie poruszali się jak ludzie. Wykonywali jakieś zwierzęce skoki. Obnażone we wściekłym grymasie zęby wyglądały jak kły. Ojciec zachwiał się, krzyknął,

upadł obalony impetem ataku. Strzelba huknęła, a w kłębowisko ciała skoczyły następne dwa cienie, dziewczyna i chłopak. Broń, odrzucona przybraną w plecionkę ręką, upadła daleko na podwórze, zgnieciona jak blaszana zabawka. Atakujący musieli dysponować olbrzymią siłą. Ojciec szamotał się, krzycząc, a jego przekleństwa szybko zmieniły się w rozpaczliwe wrzaski. Twarze i ciała napastników spływały czymś gęstym i lepkiem. To krew, pomyślał Matej zupełnie spokojnie. Przecież spi i roją mu się dziwaczne koszmary. Zaciskał dłonie na framudze okna. Patrzył.

Na ganek wypadła matka. W dłoniach ścisnęła nóż. Zanim zdążyła rzucić się ojcu na pomoc, skoczyły na nią dwie gibkie, zwinne dziewczyny. Poruszały się z jakąś chorą, nieludzką gracją. Ich ślepe oczy łyskały mleczną bielą. Wysoki, ostry krzyk matki mieszał się z jękami ojca.

Chłopiec stojący w oknie na poddaszu przyglądał się, jak w jego potwornym śnie dzieci Ojca Traw rozrywają jego rodziców na strzępy.

Likanty są wiecznie głodne, pomyślał bez związku, kiedy już ciała matki i ojca znieruchomiały. Dwie dziewczyny i chłopak szarpali je jeszcze zajadłe zębami, cali umazani posoką, ale pozostali wtargnęli już do domu. Matej słyszał, jak węszą, warczą i przewracają meble w kuchni, a potem w sypialni na dole.

Zaraz tu wejda, przebiegło mu przez myśl. Nie czuł żadnego lęku, jak to bywa w snach, które stają się zbyt okropne. Czekał przy oknie, niczym sparaliżowany.

Drzwi otwarły się, wywalone kopnięciem. Do pokoju wpadło dwóch chłopców. Jednego Matej mgliście sobie przypominał. Mieszkał w miasteczku i kiedyś okropnie się podobał Marice. Teraz obnażał w groźnym grymasie ostre, białe zęby. Jego włosy i skórę pokrywały wilgotne, lepkie plamy krwi. Drugi chłopak warknął gniewnie, sprężył się do skoku. Matej zamarł, lecz napastnik nie zaatakował. Obydwaj wojownicy Ojca Traw wpatrywali się w chłopca martwymi ślepiami, warcząc, ale coś ich powstrzymywało przed atakiem. Obaj ostro cuchnęli posoką i potem.

Wtem przez rozbite drzwi wpadła na poddasze naga dziewczyna w ogromnym, szalonym wieńcu na głowie. Jej długie włosy wydawały się poprzetykane szkarłatnymi wstążkami, smugami świeżej krwi.

— Marika — szepnął Matej z niedowierzaniem.

Dziewczyna poderwała się jak smagnięta biczem. Obróciła ku niemu umazaną czerwienią twarz, z oczami bielejącymi niczym opale.

— Głos — wycharczała. — Oto głos!

Dwaj chłopcy natychmiast upadli na kolana, pochyłili kornie karki. Marika uklękła, złożyła dłonie jak do modlitwy.

— Głos! — krzyknęła donośnie, chrapliwie jak zwierzę.

Natychmiast na poddasze zaczęły się zbiegać pozostałe dzieci Ojca Traw. Powarkiwały i szemrały do siebie, wyraźnie poruszone. Wszystkie zginały się w pokłonie, niektóre padały na twarz. Te na schodach, które nie zmieściły się w pokoju, skomlały jak szczenięta i przepychały się siłą do przodu. Kiedy jakaś dziewczyna przypełzła i próbowała polizać jego stopę, Matej nie wytrzymał.

— Wyoście się! — wrzasnął rozpaczliwie.

Prysnęli natychmiast. Za parę sekund już ich nie było. Matej podszedł sztywno do okna. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak opuszczają gospodarstwo i nikną wielkimi susami w trawach stepu.

— Marika — szepnął niemal bezgłośnie. Broda mu się zatrzęsa. Chciał się rozplakać, ale nie mógł. Jeszcze raz podniósł wzrok i zobaczył, że w bramie stoi duży likant.

— Mattej — usłyszał w głowie. — Choć do mnie.

Nie chciał usłuchać, ale nie miał wyjścia. Zszedł na dół, minął to, co zostało z mamy i ojca i wyszedł na podwórze. O mało nie zwymiotował, kiedy potknął się w kałuży krwi i byłby upadł na

poszarpane ciało taty.

Likant podszedł blisko. Śmierdział dzikością i strachem. Ponad wielkim, pełnym zębów pyskiem świeciły żółte oczy.

— Czego chcesz? — warknął chłopiec.

Widok posłańca od Ojca Traw wzbudził w nim gniew.

— W ciele ssaka lepiej rozmawiać, Mattej — powiedział drapieżnik, nie otwierając pyska. — Znacznie wygodniej niż przez trawy. Więcej zrozumiesz. Poza tym zawsze chciałeś zobaczyć likanta, Mattej.

— Już nie chcę — rzucił twardo.

— To bez znaczenia, Mattej. Przyszedłem wyjaśnić. Musisz zrozumieć, Mattej. Musisz wiedzieć.

— Co zrozumieć?! Zabiłeś moich rodziców — krzyknął, czując jak rodzi się w nim furia. — Jesteś potworem! Jesteś zły!

— Nie, nie Mattej! — odpowiedział likant. — Jestem strażnikiem. A wy nie jesteście wybrańcami.

— Zabiję cię!

— Nie, nie — żółte ślepia były tylko oczami bezrozumnego zwierzęcia, ale głos należał do Ojca Traw. — Nie rozumiesz. Ja zabiję was. To mój obowiązek.

— Idź sobie — szepnął chłopiec. — Nienawidzę cię.

— Ta planeta jest piękna, Mattej. Spokojna. Tylko woda, rośliny i zwierzęta. I tak musi zostać, dopóki nie przybędą wybrani. Ona na nich czeka, Mattej. Dla nich została stworzona. To raj, Mattej. A ja jestem strażnikiem raj.

— Raj? — wargi chłopca poruszyły się ledwo dostrzegalnie.

— Nagroda, Mattej. Królestwo sprawiedliwych. Ono czeka, czeka, Mattej. Aż przybędą. Patrz, jak tu pięknie, jak spokojnie. Drapieżniki tej ziemi uciekają przed wami. Rośliny są słodkie, pachną upojnie. Powietrze jest rześkie, woda czysta. Gleba żyzna i płodna. Klimat łagodny i stały. Raj oczekuje na wybrańców. Nie na intruzów. Przybyliście tu nieproszeni. Czekałem, ale nie chcieliście odejść. Nie, nie. Nie odeszliście. Mnożycie się. Przybywa was więcej i więcej. A nie jesteście wybrańcami. Musicie zginąć. Jestem strażnikiem, Mattej. Muszę pilnować raj. Znaleźliście go przypadkiem. Przypadki bywają smutną koniecznością, Mattej. Teraz was zabiję.

— A przedludzie? — wyszeptał chłopiec przez łyzy. — Ich też zabiłeś?

— Tak, tak, Mattej — likant wyszczerzył lodowo lśniące kły. — Dawno temu. Oni też szukali nowego miejsca. I doczekali się swego czasu przesilenia. Tak musi być. To jest domena wybranych. A oni jeszcze nie przybyli.

Chłopiec patrzył w oczy likanta i drżał.

— Dlaczego mnie nie zabili? — spytał cicho.

Zwierzę zakołysało łbem.

— Byłeś moimi oczami, Mattej. Moim głosem. Potrzebowałem cię. Dzięki tobie poznawałem was, słuchałem, uczyłem się wami manipulować. Dojrzywałem, Mattej. Obudziłeś mnie, a potem usłyszałeś moje wołanie. Masz w sobie cząstkę mnie. Dzieci — likanty wyczuły ją, Mattej.

Matej zacisnął pięści, przełknął ślinę.

— W takim razie sam się zabiję. Zaraz.

Głos Ojca Traw brzmiał łagodnie, spokojnie i cicho.

— Dobrze, Mattej. Ale to już nic nie da. Za późno. Czas przesilenia trwa. Twoja śmierć nic nie zmieni. Nie martw się. I tak umrzesz. Nie teraz, Mattej. Nie, nie. Potem, na końcu. To przywilej tego, który był głosem.

Chłopiec skulił się, zgiął kolana, ukląkł. Ogarnęła go fala rozpacz i strachu. Miał tylko jedenaście lat i chciał się wreszcie obudzić. Okropne, koszmarne sny nie mogą trwać tak długo. To niesprawiedliwe.

— Chcę do mamyyyy! — zaszlochał. — I taty! —

— Później, Mattej — powiedział likant. — Zabiję cię później, a wtedy pójdziesz tam, gdzie ci przeznaczono.

— Oddaj moją mamę! Oddaj wszystko!

— Nie, nie, Mattej — pysk likanta drgał, zwierzę węszyło niespokojnie. — Odnależliście raj, a nie jesteście wybrańcami. Musicie odejść. Żegnaj, Mattej. Jestem strażnikiem, muszę spełnić obowiązek. Żegnaj, Mattej. Potem, potem po ciebie przyjdę.

Chłopiec już go nie słyszał. Pogrzyżył się w rozpacz i straszonym, głębokim smutku.

Przez ciało drapieznika przebiegł dreszcz. Kolce na karku najeżyły się, łapy wyprężyły. Likant zaskomlał, podkulił ogon. Przez chwilę rozglądał się nieprzytomnym wzrokiem, a potem ze skowytym rzucił się do ucieczki. W żółtych ślepiach płonął szaleńczy strach.

Mattej został sam. Lśniące twarze dwóch księżyców przypatrywały mu się z nieba obojętnie.

Przykleił nos do szyby. To podwórko było o wiele mniejsze niż jego. I straszliwie, boleśnie wręcz schludne. Nowa mama kochała porządek. Czasem miał wrażenie, że to jedyne, co potrafi kochać. Nowy tata nigdy dużo nie mówił. Był cichy i jakiś zgaszony. Chyba bał się nowej mamy, ale czasem brał w obronę Mateja, kiedy złościła się, że nie umie utrzymać porządku ani dyscypliny.

Matej słyszał wtedy łagodny, niepewny głos nowego ojca, który przypominał, że chłopiec doznał strasznego szoku.

— Jako jedyny ocalał z potwornej masakry, Marto — mówił nowy tata. — Widział śmierć swoich rodziców, szaleństwo siostry. Oprócz niego nie przeżył nikt z całego miasteczka i wszystkich okolicznych gospodarstw. Ci opętani nastolatki zamordowali wszystkich, a rankiem pozabijali się nawzajem. Policja znalazła w stepie ich ciała. On ma dopiero jedenaście lat, Marto. To mały chłopiec. Zdobądź się na trochę wyrozumiałości.

A oschły głos nowej matki sarkał, że chyba nie można okazać więcej wyrozumiałości, niż już się okazało, przyjmując takie dziecko pod swój dach. A potem, niezmiennie, ten sam ostry, wstrętny głos opowiadał same złe rzeczy o mamie i tacie. Że niewychowani, prostacy i ciemni. Że dziecko zaniedbane, źle wychowane, bez manier, bez podstawowych zasad, bez dyscypliny. Że Bóg wie, co się dzieje w takich osadach zamieszkałych przez emigrantów najgorszego sortu. Że ciemnota i zabobon. Że sami sobie winni.

Wtedy Matej mocno zaciskał powieki i wyobrażał sobie, jak ten głos przechodzi w opętańczy wrzask, kiedy dzieci–likanty wbijają ostre kły w wyszorowane, odkażone, praktycznie przyrodziane ciało nowej matki.

Nowi bracia chyba się go bali, siostra była za mała, żeby cokolwiek rozumieć, a Ojciec Traw już się nie odezwał, ale Matej nauczył się być sam. Brakowało mu tylko szerokiego stepu i gadania wiatru w czuprynach turzyc. Tu wszystko wydawało się małe i ciasne. Nawet jego pokój. Chodził teraz do zwykłej, nie wirtualnej szkoły, która mieściła się w niskim, ponurym baraku pośrodku osady. Nowa matka wciąż wymyślała mu jakieś zajęcia, kazała nieustannie rozwiązywać głupie zadania. Nawet bawić się nie mógł sam. Musiał grać z braćmi w piłkę, albo, gdy padał deszcz, w nudne gry „rozwijające umysł”.

Sam zostawał tylko nocą. Sypiał mało. Cekał. Wiedział, że niedługo usłyszy na podwórzu dziwny hałas i zobaczy tańczącego w świetle księżyców Smutka.

Wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego Ojciec Traw zatrzymał go przy życiu. Może skłamał, kiedy powiedział, że śmierć Mateja nic już nie zmieni? Ale wcale nie jest łatwo popełnić samobójstwo, kiedy ma się dopiero jedenaście lat. Zresztą, odkąd zaczął mieszkać u nowej matki, czuł jakąś dziwną, złą zaciekłość. Niedługo zobaczą. Niedługo się przekonają, że wcale nie są lepsi. Nie są wybrańcami. Dla nich też nie będzie raj.

Wiedział. Przecież był głosem. Musiał zanieść zew innym ludziom. Do większych skupisk, na tereny najstarszej kolonizacji. Tutaj.

Ojciec Traw tak postanowił. Wszyscy muszą usłyszeć zew, bo czas przesilenia trwa. Tylko pozornie w tym nudnym, czystym osiedlu, położonym na przedmieściach prawdziwego wielkiego miasta, o którym tak marzyła Marika, panuje spokój i porządek. Przecież już dziewczyny z miasteczka bezwiednie plotą przepaski z traw na ręce i kostki nóg. Niektóre zakładają wianki, biegną daleko, na skraj osady, żeby zobaczyć łąki i ciemniejący w oddali pas lasu. Wkładają swoim chłopcom na szyję splecione z traw naszyjniki, okręcają ich nadgarstki kosmatymi źdźbłami turzyc. Nocą podchodzą do okien, tęsknie wpatrują się w niebo. A światło księżyców lśni w ich oczach mlecznym, opalizującym blaskiem.

Wczoraj, w sieci, Matej znalazł rozpaczliwy apel jakichś rodziców, którym zaginęła nastoletnia córka. Dziś były jeszcze dwa podobne ogłoszenia. Z domu wyszedł nocą szesnastoletni chłopak. Przepadła piętnastolatka. Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie.

Ja wiem, myśli Matej. Ja, głos. Nosiciel zewu. Nowa matka, nowy ojciec i wszyscy, którzy tu mieszkają nie są wybrańcami. I już wkrótce dowiedzą się o tym.

Niedługo. Niedługo martwy koń z bielmem na oczach zatańczy na ich wychuchanym podwórzu. A wtedy wsiądzie na jego grzbiet i poniesie zew Ojca Traw, bo przecież jest głosem. Zew zagłady. Już niedługo. Niech tylko wzejdzie podwójna pełnia.



*Jacek Inglot*

# Wypalą nas „kruki”, „wrony”...

Żeromskiemu i wszystkim umarłym polskim idealistom

Kret, ciężko buczący zacierającym się motorem, przewalił się przez skarpe i zjechał na dno parowu. Winrych odetchnął z ulgą — będzie miał przynajmniej pięćset metrów drogi w miarę bezpieczną trasą. Parów był dość głęboki i zakrywał kreta razem z wieżyczką, dzięki temu mógł choć na trochę zniknąć z otwartego terenu, na którym samoloty muslimów w mig wyłapałyby go swymi skanerami. Żeby przetrwać, musiał pełzać tuż przy ziemi, zakopując się na każdy podejrzany sygnał. Jak najprawdziwszy kret.

Zapadł zmierzch, lecz Winrychowi nic to nie dawało — co prawda kret posiadał dobre chłodzenie silnika i raczej nie wytropiliby go na podczerwień, ale muslimy czuli się na tyle pewnie, że posługiwali się skanerami laserowymi, dla których dzień czy noc nie miały żadnego znaczenia. Mogłaby uratować go burza, ale na nią się nie zanosilo, przeciwnie, powietrze było przejrzyste jak rzadko kiedy. Co prawda na południowym wschodzie błyskało i od czasu do czasu dał się słyszeć głuchy grzmot, jednak on wiedział, że to nie burza. Wysłani przez Tarkowskiego chłopcy musieli dobrać się do składów. Przynajmniej paru Arabusów trafi wieczorem do Mahometa.

— Paru naszych też — syknął. — Jezu, jak oni to przerznęli, przesrali, naknócili i nawet gnojom nie chciało się spuścić wody. A tak judzili, namawiali, nazywali bohaterami Europy, obrońcami zachodniej cywilizacji i co tam chciałeś. Wszystko obiecywali, pomoc, armie, maszyny... kutasy jebane...

Wskaźnik zewnętrznego monitoringu ćwierknął ostrzegawczo i Winrychowi zamarło serce — w panice przysunął do siebie panel kompa i włączył podgląd. Kamery jednak niczego podejrzanego nie pokazywały. Gorączkowo wpatrywał się w niebo, szukając charakterystycznych kształtów, ale niczego nie dostrzegał, także komp, równolegle analizujący przekaz, nie podawał żadnych identyfikacji. Na wszelki wypadek wysunął peryskop i przeszperał horyzont — ciągle nic. Zapadał zmierzch i purpurowa kula słońca zaszła już w połowie. Przypominała przecięty na pół wielki, okrągły bochen chleba. Winrych patrzył na czerwoną tarczę przez dłuższą chwilę; nie był pewien, czy ją jeszcze zobaczy.

Powstanie dogorywało i wiedział o tym. To, co wiozł ze sobą w ładowni, mogło przedłużyć jego agonię o kilkadziesiąt godzin. Jeśli dotrze do bunkra Tarkowskiego, jego chłopcy będą mieli czym walczyć dzień, może dwa. Jeśli dotrze...

Na wszelki wypadek zatrzymał kreta i cofnął zapis do momentu, gdy zarejestrował sygnał. To musiała być wrona... przez chwilę wpatrywał się w rozmazany, niewyraźny kształt. Nie sądził, że w tej okolicy uchowały się jakieś ptaki. Skanery często myliły je z „trzmiełami”, zwiadowczymi aerobotami muslimów, rozmiarami nieco przewyższającymi jastrzębie. Ale jastrzębi na pewno już nie było...

Schował peryskop i uruchomił kreta, który zakolebał się i niechętnie ruszył. Winrych zaniepokoił się; liczył, że zdoła jeszcze dociągnąć tym trupem do bunkra, wiele nie zostało. Za wylotem parowu

rozpościerała w miarę płaska równina, upstrzona gdzieś tam gruzowiskami pozostałymi po jakimś miasteczku, którego nazwy nikt już nie pamiętał, musli przyjeźdźcy załatwili je na samym początku. Musiał nią przebyć około dwóch kilometrów, dalej, ukrytą w resztkach lasu, miał swoją ostatnią bojową kwaterę Tarkowski. Gdyby tam dotarł, mógł liczyć na kolejny dzień życia...

Winrych zaśmiał się szyderczo. Właściwie był już trupem, tyle że jeszcze nie śmierdział.

— No, panowie Europejczycy, może i mieliście rację, że lepszy kutas obrzezany niż martwy. Co to dla Francuza, zawsze był ideowym kurwiszczem chętnie nadstawiającym dupy komu popadnie, nazistom czy czerwonym... teraz nadstawia muslimom, zamiast „Marsylianki” nucąc sury Koranu... A Helmuty nie lepsze, pacyfiści jebani, jak by było trzeba, to sami podpaliliby Bundestag, gdyby tylko Saladin wyraził takie życzenie...

Odrobinę szacunku czuł tylko do Brytoli i Hiszpanów. Ci pierwsi, wyparci w góry Szkocji, wciąż się trzymali, choć ich los, podobny jak polskiego powstania, był już przesądzony. Hiszpanie też walczyli jak lwy, przez pierwsze dwa tygodnie, ale po tym, jak musli przyjeźdźcy wodorówką Madryt, złożyli broń. Trwała tam jeszcze jakaś ludowa guerilla, ale, tak jak w Polsce, bez widoków na przyszłość.

Najlepsi byli Duńczycy — cwaniacy myśleli, że dadzą nogę na Grenlandię. Kto tylko mógł, prawie dwa miliony ludzi, pakował się do czegośkolwiek zdatnego do żeglugi i puszczał na morze. Winrych wyobrażał sobie, jaki ubaw musieli mieć piloci musli, gdy zatapiali całe to bractwo na Morzu Północnym. Paru niedobitków dotarło do Anglii, już zajętej przez wojska Saladyna, tych publicznie poćwiartowano, transmitując kaźń na żywo w TV i sieci. Później z Duńczykami był już święty spokój.

Dlaczego znowu my? — myślał Winrych, wsłuchany w wysilone rżenie silnika kreta. Tak, oczywiście wiedział o Bogu, honorze i ojczyźnie, nawet o tym, że lepiej zdechnąć niż obrzezać sobie fiuta i bić Allahowi pokłony pięć razy dziennie... Dziwnym trafem nie wiedzieli o tym Austriacy, którzy poddali kraj, nim jeszcze Saladin uporał się z Serbami... Wystarczył odgłos arabskich myśliwców przelatujących nad Wiedniem.

— No pewnie, my tak nie zrobimy, jesteśmy ludźmi honoru i dlatego damy się zabić z imieniem Europy na ustach.

Tak naprawdę, koniec miał miejsce już piętnaście lat temu, gdy ludzie ben Ladena wypalili atomówkami Nowy York i Waszyngton, rzucając Amerykę na kolana. Kiedy nowy prezydent, zdeklarowany pacyfista i izolacjonista, podpisał traktat z panem Zjednoczonej Arabii, los Europy został przesądzony. Mogli co najwyżej wybrać sposób: szybko i bezboleśnie czy długo i w męczarniach.

— Dlaczego zawsze musimy wybierać gorszą opcję? — zapytał Winrych, ale nikt mu nie odpowiedział. Mógłby mu zreplikować patriotycznym frazesem Tarkowski, ale obowiązywała cisza radiowa. Zresztą, jego gadki znał na pamięć. O potomkach Sobieskiego, pogromcach Tatarów, przedmurzu chrześcijaństwa... Jakiego chrześcijaństwa, do cholery! Ostatniego papieża musli ukrzyżowały, oczywiście pokazując to w telewizji, a bazylikę świętego Piotra zamienili na meczet. W Watykanie siedział obecnie główny mufti Europy, zwanej teraz Nową Grenadą...

— No i popatrzcie, wszystkim to wydaje się pasować, tylko my znowu wyskoczyliśmy przed szereg, jak w 39...

Ale podczas tamtego września była jeszcze jakaś nadzieja, mieliśmy sojuszników i świadomość, że to dopiero początek. Teraz był koniec i wiedział o tym nawet taki fanatyk jak Tarkowski. Patriotycznym gładzeniem pokrywał tylko strach o własną dupę... Powstanie znajdowało się w fazie agonicznej, a oni zdychali wraz z nim.

— I tak wreszcie, dzięki muslimom, Europa będzie miała z nami spokój. Nikt im nie będzie przeszkadzał w padaniu plackiem przed tronem Saladyna...

Kret zakolebał się gwałtownie i zatrzymał, buksując w miejscu — musiał na coś najechać. Winrych włączył kamery i wykonał pełny obrót peryskopem. W tym miejscu znajdowały się kiedyś stanowiska ogniowe, prawdopodobnie wyrzutnie przeciwlotnicze, widział na zboczach masy pogiętego żelastwa, osuwającego się w dół — kret widocznie najechał na taką kupę złomu i zagrzebał się w niej. Zaklął pod nosem i wrzucił wsteczny, jeśli nic nie wkłęciło się w gąsienice, mógł się jeszcze z niej wyplątać. Maszyna posłusznie cofnęła się i dała skierować na zbocze. Ostrożnie objechał feralne miejsce, obiecując sobie, że będzie bardziej uważał, za drugim razem mógł nie mieć tyle szczęścia. I wtedy go zobaczył.

W pierwszej chwili myślał, że to kolejny osmalony pniak — ale pniaki nie noszą hełmów. Powoli, jakby wbrew woli, dotknął panelu i kamera wykonała błyskawiczny zoom. Spalone truchło żołnierza tkwiło zaklinowane między dwoma pniami, jakby w ostatniej chwili próbował dać między nimi nura w głąb parowu, w desperackiej nadziei ocalenia. Nie zdążył. Musieli go załatwić rozpryskową napalmową; mundur, ogniotrwały, wyglądał na spalony tylko częściowo — w przeciwieństwie do skóry, pokrywającej czaszkę zwęgloną maską. Wypalone wargi ściągnęły się i trup szczyrzył się do niego spod okapu osmalonego hełmu w upiornym uśmiechu. Winrych wzdrygnął się i wyłączył kamerę. Na mundurze widniały baretki wojsk powietrzno-desantowych. W tym rejonie działała 4 dywizja.

— I kto by pomyślał, że rok temu mieliśmy jeszcze armię! — zaśmiał się chrapliwie. Wszystko zaczęło się od decyzji kapitulantów z Samogwałtu o jednostronnym rozbrojeniu Rzeczypospolitej, i to w chwili, gdy muslimy przygotowywały ofensywę z terenów Brandenburgii i Moraw. Premier Leppniak zakładał, że w ten sposób zneutralizuje zagrożenie bo przecież Saladyn nie zaatakuje rozbrojonej Polski, bo taka mu nie zagraża, tłumaczył w telewizji, a ogłupiony naród uwierzył gnojowi, srając w gacie ze strachu. Na szczęście dowódcy opóźnili wykonanie rozkazu i kiedy inwazja ruszyła, udało się powstrzymać muslimów na kilka dni. Czasu wystarczyło akurat na to, aby zrobić porządek z Leppniakiem i jego bandą — śmiesznie dyndali, obwieszając całymi gronami, niczym groteskowe bombki, Pałac Kultury. Niedługo zresztą, muslimy zbombardowały Warszawę dzień później, dość delikatnie zresztą, bo wypalili napalmem tylko parę kwartałów wokół Pekin-u Stolicy nie miał kto bronić bo Leppniak oddał polskie myśliwce Ukrainie w zamian za dostawy zboża dla kraju głodującego dzięki jego polityce rolnej. Potem było już tylko gorzej.

Winrych studiował kiedyś historię i wiedział, że dzieje ludzkości znają wiele narodów, które okazały się niezdolne do dłuższej egzystencji i rozplynęły się w nicość, wsiąkając w niebyt niczym szklanka wody wylana na piaski pustyni. Kto dziś pamięta o Hunach, którzy w IV wieku wynurzyli się z trzewi Azji, aby wstrząsnąć posadami cywilizowanego świata i potem na powrót zniknąć w otchłani bezkresnych stepów, z których nadeszli? Gdzie się podzieli Scytowie, Macedończycy, Babilończycy, Asyryjczycy, Sumerowie, Etruskowie, Galowie i Awarowie? Historia to nieustanny pochod ludów, wyłaniających się z niebytu, aby, po gwałtownym rozbłyśnięciu, wnet zgasnąć po wchłonięciu przez nowych kandydatów na gwiazdorów kolejnego sezonu dziejów. Skoro pochodowi barbarzyńców nie oparła się nawet Wieczna Roma, dlaczego miałoby się udać nam, małemu narodowi pechowców, który od tysiąca lat zachowuje się tak, jakby permanentnie zdychał, a jakimś cudem zdechnąć nie mógł? Może Saladyn i jego muslimy to próba ostateczna, może to historia wreszcie uznała, że dosyć na tym i trzeba dać nam wreszcie ten dech ostatni? Dlaczego mielibyśmy być lepsi od Etrusków?

Dumając ponuro o niepojętych wyrokach historii, przeglądał pilnie przez peryskop okolicę — do

wylotu parowu zostało kilkadziesiąt metrów, nigdzie śladu nieprzyjaciela. Jak na razie szło mu wręcz rewelacyjnie, ale pozostał przed nim etap najtrudniejszy, dwa kilometry otwartego terenu. Gdyby kret był w lepszym stanie, mógłby zaryzykować wykopki i pójsie pod ziemią, ale maszyna miała tak zużyty silnik, że nie przebrnąłby nawet dwustu metrów. Musiał resztę dystansu przepełznąć na powierzchni, co mogło się udać, gdyby tylko chłopcy Tarkowskiego wytrzymali.

Nie wytrzymali. Zdążył odjechać od wylotu parowu prawie na kilometr, kiedy się pojawili. Komp kwiknął ostrzegawczo, a panel zalała alarmowa czerwień. Lecieli swoim standardowym szykiem: wyżej „kruk”, duża jednostka dowodzenia, rzeczywiście przypominająca kruka, z dużym, grubym „dziobem” z przodu, zawierającym urządzenia lokacyjne, dość krótkim krępy korpusem i parą rozłożystych skrzydeł, niżej leciał klucz „wron”, ustawionych w romb automatów sterowanych przez „kruka”, mniejszych i podobnych z daleka do F-18. Lecieli od południowego wschodu i najwyraźniej jeszcze go nie namierzyli. A to oznaczało, że wciąż miał szansę... cień szansy.

Wcisnął sprzęgło i przerzucił dźwignię z jazdy na kopanie. Kret zadygotał i stanął, równocześnie zmieniając kąt ustawienia gąsienic. Łopatkę wbiły się w spieczony grunt i Winrych czuł, jak wysłużona maszyna rozpaczliwie usiłuje sprostać jego wymaganiom — silnik szarpnął raz i drugi, i w końcu, raz jeszcze desperacko kaszlnąwszy, stanął.

Zresztą, i tak by nie zdążył. „Kruk” gwałtownie zmienił kurs, „wrony” rozprysnęły się na boki, równocześnie obniżając lot. Winrych wiedział, co będzie dalej, widział to wielokrotnie — na czubku dzioba „kruka” błysnęło małe błękitne światełko, które błyskawicznie rozpostarło się w migotliwy wachlarz, piśszczotliwie głaszczący zagruzowaną równinę. Z rezygnacją patrzył, jak mknie ku niemu kurtyna światła, skanująca z dokładnością do paru milimetrów każde wybrzuszenie terenu, dostarczając muslimowi na pokładzie „kruka” pełnych spektroskopowych danych na temat przeszukiwanego obszaru. Zastona przemknęła nad nim, oślepiając na moment kamery, i pilot na górze już dokładnie wiedział, co i jak. Teraz kolej na „wrony” i ich laserowe działka. Kamery wciąż pokazywały, co się wokół dzieje, i widział, jak dwa automaty podlatywały do niego, bynajmniej się nie śpiesząc. Skurwiel wiedział, że ma go jak na patelni i widać chciał się jeszcze trochę rozkoszować tą chwilą, gdy ofiara, pełna krańcowego przerażenia, czeka na końcowy cios, modląc się gorączkowo, aby padł jak najszybciej. Winrych wykrzywił się szyderczo do ekranu i chwycił za sterownik działka. Równie dobrze mógłby „krukowi” napluć na pancerz, ale nie chciał dać muslimowi jego wrednej satysfakcji. Kiedy namierzał go celownikiem, chcąc uczęstować honorową serią, dostrzegł kątem oka mały czerwony punkcik z lewej strony, tam, gdzie pancerz nadwozia stykał się z kołnierzem wieżyczki.

— Co za gówna — szepnął. — Co za gówna...

Potem uderzenie palącego ciepła i więcej już nic.

\* \* \*

Przez jakiś czas „kruk” zataczał regularne koła nad kretem, tak jakby nie mógł się nacieszyć widokiem rozprutej maszyny, potem, być może odwołany nagłym rozkazem, odleciał pośpiesznie na północ, wciąż w towarzystwie ustawionych w kamy romb „wron”. Później długo nie działa sienie, jeśli nie liczyć kilku szcurek, które, wypełznawszy spomiędzy ruin, pobiegły truchcikiem, aby przeszukać wrak. Wlazły do środka przez dziurę w lewej burcie, ale szybko pojawiły się z powrotem,

jakby nie znajdując niczego godnego uwagi, i z powrotem wsiąkły między ruiny. Po wizycie szczurów znowu zapanował spokój i tylko wiatr rozwiewał smużkę dymu wciąż bijącą z wnętrza kreta. Gdy słońce prawie już zaszło, nad jedną z kupek gruzu coś się pojawiło, zakrzywiona rurka ze szkiełkiem. Obserwator uważnie przyjrzał się przez peryskop martwemu kretowi, potem omiótł teren dookoła, wreszcie dłuższy czas przyglądał się niebu. W końcu dał się słyszeć zgrzyt odkręcanego włazu i w ruinach ukazał się człowiek.

Po wyjściu z włazu natychmiast przypadł do ziemi, rozglądając się trwożliwie na boki. Ale pokusa okazała się zbyt silna — wciąż przywarty do ziemi, począł pełznąć w kierunku kreta. Widać było po nim, że nie jest to pierwsza jego wyprawa; ubrany w gruby jutowy worek, ręce i nogi poobwiązywał szmatami, aby nie ocierać skóry o ostre złomki cegieł i zgruchotanego żelastwa. Pełznął uparcie do przodu, co jakiś czas przystając i zadzierając brodatą, przeżartą brudem twarz ku niebu.

Kiedy znalazł się obok kreta, powstał na klęczki i, korzystając z ostatnich promieni słońca, począł obchodzić na kolanach pojazd, oglądając go ze wszystkich stron. Zajrzał do kabiny i zmarszczył z niesmakiem nos — laser przerznął powstańca dokładnie przez pierś i kurtka mundurowa była na nic, ale spodnie i buty nadawały się. Laser stopił też panel, ale sam komp, akumulatory i prądnica wydawały się nieuszkodzone. Postanowił wrócić po to dobro później, nie śpieszył się, miał czas do świtu. Ważniejsze było co innego — wciąż na kolanach, przesunął się w stronę tylnej części kreta, gdzie znajdowały się baki. Zazwyczaj zapalały się i wybuchały, rozrywając pojazd na strzępy, ale tym razem było inaczej; pilot „kruka” widocznie nie miał czasu lub coś mu przeszkodziło w dokończeniu roboty.

Człowiek z ruin sięgnął do korka, odkręcił go i odruchowo zajrzał w ciemną czeluść wlewu. Bak mógł zmieścić ze trzysta litrów, ale ile jej zostało? Zaczął się rozglądać za jakimś drutem, w końcu wpadł mu w oko pręt sterzący z pobliskiej kupki gruzu. Wyciągnął go i wraził w otwór baku — zapadły już całkowite ciemności, więc już tylko dotykiem wyczuł, że na końcu jest ropa. Mogła ocaleć nawet i połowa zbiornika!

Ogarnięty nagłym wzruszeniem, oparł się bezwładnie o bok kreta — nie spodziewał się, że zastanie w tej skorupie takie bogactwo. Mógł przez cały rok oświetlać swój bunkier, mógł część sprzedać i kupić wreszcie trochę porządnego zarcia, mógł nawet dostać za to nową, dobrą kobietę! Słusznie prawią ci, którzy głoszą, że Allah jest wielki i nie zapomina o swych wiernych sługach.

Wyciągnął zza pazuchy kawałek szmaty obrębiony frędzlami i rozścielił przy gąsienicach martwego kreta, po czym, klękawszy plecami do zaszłego już słońca, począł bić pokłony w stronę Mekki, dziękując Bogu i Jego Prorokowi za to całe dobro, które mu się tak nieoczekiwanie dostało.

Bił je długo...

*Wrocław, luty — marzec 2004*

*Łukasz Orbitowski*

Stachu



# I

Gardło ożyło przed świtem i Stachu wypadł ze snu. Odwrócił głowę. Za oknem wirował listopadowy śnieg. Pomyślał, że warto by dojść do biurka, zapalić lampę naftową i schronić się w kuli światła. Ostrożnie podniósł się na łokciach i spróbował wysunąć nogi za obręb łóżka. Gardło dopomniało się o swoje. Stachu kaszlnął. W takich chwilach mógł przysiąc, że w przetyku żyje zdechły, złośliwy stwór, wciąż trzymający się gardła. Ma pewnie nogę jak ślimak, a wszystkie trucizny wychodzą mu spod skóry.

Dziunia spała na sofie, niech Bóg wybaczy, umordowana nad siły. Stachu starał się tłumić kaszel, ale każde kasznięcie posyłało impuls w dół. Najpierw obudził płuca. Pęcherzyki, całe w smole, wcisnęły się między żebra. Jęknął, opadł na łóżko. Serce jęknęło jak rozdarta kotara. Stachu wypuścił powietrze ze świstem i czekał nieruchomo, aż ból przeminie.

Płuca i gardło z sercem rzeziły równo i pięknie (*za parę minut będzie spokój*, pocieszał się Stachu, *zamkną mordy i usną a ja z nimi*), do chóru doszlusowała szczeka, zoperowana parę miesięcy temu. Stachu wpił dłoń w prześcieradło, czuł, że oddycha siarką. Przymknął oczy i pomyślał, że nie zasłużył na taki los. Nie na taki ból, nie na starość i wieczne uganianie się za forszą. Wyobraził sobie schody ze swoich listów o pożyczki, honoraria i zaliczki, tak długie, że zawędrowałby nimi do nieba. Uśmiechnął się do listopadowego okna. Ból zelżał.

Stachu był stary jak wszechświat i od dawna umiał zaklinać sen. W skołtunionym śniegu migały twarze, Stachu wyławiał je i przyciągał. Lubił, gdy pojawiały się dzieci, kochane śniegowe brzdące albo kobiety z białymi włosami potarganymi przez wiatr. Czasem do okna pukali nieproszeni goście i Stachu zamykał oczy.

Myślał o słońcu. Niedawno na sopockiej plaży ze zdumieniem stwierdził, że je lubi, ale mało zna. Pił w norach europejskich stolic, spędził tygodnie w „Pod Czerwonym Prosiakiem” z Munchem i Strindbergiem, żerował jak szczur w zbrązowiałych domach i nagle zabrakło mu słońca. Wysilił się i spróbował zakląć sen, aby zobaczyć w nim słońce. Najlepiej nad morzem, jak zanurza w wodzie poczerwieniałe wąsy. Byłoby dobrze.

Ale śniła mu się grudniowa noc i grad jak kurze jaja.

## II

Stachu spędzał jesień u przyjaciół w dworku. Budynek był pobielany, z czterema dużymi oknami od frontu. Niski i przysadzisty, przypominał Stachowi podłużne chaty, które widział w Norwegii. Zajmował niewielki pokój na poddaszu, ale lubił schodzić na dół i spacerować po pokojach. Gdy zjawił się w salonie, Józef wyglądał, jakby zobaczył ducha.

— Zszedłem na chwilę — obwieścił Stachu — żeby się z łóżkiem nie zrosnąć.

— Lekarz padłby trupem, gdyby tu pana zobaczył — Józef przypominał Stachowi utuczoną pszczołę.

— Straszysz pan lekarzami — Stachu spojrzał tęsknie na fotel. — Proszę pamiętać, że zdrowy człowiek takiemu niepotrzebny. A choremu zawsze można krwi upuścić.

Krążył po pokoju, chcąc pokazać, że odzyskuje siły. Wreszcie oparł się o parapet. Dłoń szukała papierosa.

— Halszka niedługo będzie — Józef postawił szklankę obok Stacha. — Mogę powiedzieć służącej, żeby jej poszukała.

— W dzieciach urocze jest to, że przychodzą, kiedy chcą — zauważył Stachu — a pan niech się mną nie martwi, zaraz pójdę na górę. Zbieram siły. Jechać muszę.

— Lekarz zabronił odczytów.

Stachu poddał się i usiadł. Nalał wódki i wypił duszkiem.

— Lekarz ma swoją mądrość, a ja swoją. To pętla, drogi panie, pętla mi szyję uwiera. Lekarz szarpie ją, zaciska i mówi: „nie możesz pan jechać, leż pan i patrz w sufit”. A z drugiej strony szarpie życie i mówi, że jak do Poznania i Krakowa nie pojedę, to za odczyt nie zapłacą. Bez pieniędzy lekarz nie przyjdzie i mnie nie uleczy, choćbym gadał mądrzej od księdza z ambony. Widzi pan, czego nie zrobię, to pętla mnie pije i jedyne co mogę, to tak się wiercić, aby mnie nie zdusiła.

Józef przytaknął. Patrzył, jak Stachu opróżnia szklankę i pomyślał, że starzec powinien natychmiast paść trupem.

— A lekarze, najdroższy, to nie wszystko — ciągnął. — Zima idzie, spójrz tylko pan za okno. Wszystko, co teraz piszę i robię, tylko zimę ma na względzie.

— Mówił pan, że w Warszawie mieszkanie ma pan ciepłe — odezwał się Józef.

— Ja panu tyle powiem, że życie tutaj to marność i troska, kochany panie. Ja bym cieszył się bardzo, gdyby każdy na świecie miał choćby cząstką pańskiej życzliwości. A ja, widzi pan, nic innego w życiu nie robiłem, jak upominałem się o swoje. Gdybym nie walczył i się nie szarpał, dawno ziemia by mnie zjadła.

— Jest pan silnym człowiekiem — zauważył Józef.

— Bzdura, panie kochany, to ludzie powiedzieli, że jestem silny — obruszył się Stachu — i natychmiast, jeden z drugim, zaczęli mnie tak traktować. Wypróbowali, ile zniosę. Kobiety, mężczyźni, wszystko tam jedno. Więc grałem w te ich gry, a teraz, pan zrozumie, więcej życia widzę w Halszce niż w tych wszystkich zgliszczach, zawałających mi drogę. Pomyślałby pan kiedyś, że będę siedział tutaj z panem i myślał o prawnukach?

Znów zakaszłał i zgiął się z bólu.

— No, sił na dzisiaj dosyć — podniósł się z fotela — ale powiem panu, że chciałbym mieć wnuczkę jak Halszka. Mówię to, jak zwykle szczerze i po przyjacielsku.

Wyminął Józefa, uczeplił się poręczą schodów i z wysiłkiem podniósł nogę.

— Leki mnie wykończyły — rzucił. — Ludzie i leki.

Józef patrzył, jak Stachu gramoli się po stopniach. Stary przystawał, oddychał ze świstem, a gdy podnosił nogę, barki zbiegały się ku sobie. Dotarł na piętro i obrócił się nadęty i czerwony z wysiłku.

— I powiem panu jeszcze, że teraz mogę być stary i słaby. Ale w moich książkach jest siła i droga, i sens. Ja, panie kochany, dawno się rozpadnę, a one przeżyją mnie, pana i nasze dzieci. Zobacz pan, trzeba i warto tak myśleć.

Na piętrze mieściły się dwa pokoje. Ten, w którym chorował Stachu, zostawiła Halszka. Drugi, podobno większy, przeznaczono na graty, wyniesione z dołu. Stachu lubił małe pomieszczenia, jakby wzajemna bliskość ścian chroniła przed złem. Lubiał też podchodzić do okrągłego okna i patrzeć na ukochane Kujawy. Stachu obiecał sobie, że gdziekolwiek umrze, każe pochować się tutaj, na rodzinnej ziemi.

Wszedł do pokoju i spojrzał z niechęcią na pomiętą pościel. Za oknem znów się rozpadało. Ominął łóżko, przejechał ręką po papierach na biurku i opadł na sofę. Wysilek dał znać o sobie. Stwór w gardle nabrzmiął i podgnił. Wróciły duszności. Stachu wziął kartkę ze stołu. Zastanawiał się, czy znajdzie siłę, by skończyć wspomnienia. A książka już w części zapłacona, pisać trzeba, bo idzie zima i lodowa trumna.

Wzrok Stacha spoczął na regale. Znalazł tutaj większość swoich druków, część jeszcze po niemiecku. Ostatnią półkę wypełniały gazety. Stachu podszedł. Znalazł kilkanaście numerów *Życia* i dziesiątki recenzji przedstawięń, dramatów, powieści i poematów. Przerzucał je niespiesznie, zawieszał wzrok na miłych wspomnieniach, by na koniec sięgnąć po *Homo sapiens*, wydanie lwowskie. Ze smutkiem stwierdził, że książka nie nosi śladów czytania.

Lubił wracać do rzeczy napisanych dwadzieścia, trzydzieści lat temu. Śledził młodzieńcze intuicje, sprawdzał tropy i dziwił się, że tak dokładnie oddał wszystko, co chciał powiedzieć. Przekładał kartki, wchodził w język jak do rodzinnego domu, wreszcie, nie bez żalu, odłożył książkę. Uniósł głowę. Na regale błyszczała para złośliwych oczu.

Stwór miał rozmiary dużego kota i wyglądał na ulepionego z ciemności. Czarny kołnierz na karku straszył niczym u jaszczurki. Mocne pazury wpiły się w drewno. Z boku regału zwisał postrzępiony ogon. Stwór patrzył na Stacha z zainteresowaniem. Uniósł trójkątny pysk; za kłami mignął szary język. Sprężył się i bezgłośnie wylądował na ramieniu starca. Ogon uderzył w policzek jak strumień wody.

Stwór wskoczył na półkę, porwał *Homo sapiens*, odbił się od głowy Stacha i z gracją wylądował na pościeli. Stachu obrócił się. Potworek czyścił sobie pyszczek. Otworzył książkę i wgryzł się w kartki. Stachu zebrał siły i ruszył w stronę łóżka. Wykonał niezgrabny zamach, ręka chybiła celu, a intruz w podskokach pognął do drzwi, unosząc książkę w zębach. Na oczach oniemiałego Stacha, zaczepił o klamkę ogonem, wykonał piruet i drzwi stanęły otworem.

Stachu porwał szklanę i cisnął w kierunku stwora.

Ten pokazał plecy i przepadł, z zawadiacko uniesionym ogonem. Stachu rzucił jeszcze jedną szklanę, na rozchwianych nogach dotarł do drzwi i pochwycił framugę.

— Co się stało? — przed Stachem wyrosła Dziunia. Stary patrzył na jej surową twarz niemal z wdzięcznością.

— Zabrał... zabrał... — reszta zginęła w ataku kaszlu. Dziunia wzięła męża pod rękę i

poprowadziła do łóżka, gdzie usiadł na brzegu.

— Co zabrał? — Dziunia obtarła mu czoło. — Połóż się, Stasiu...

Stachu zakaszał raz jeszcze.

— Co zabrał?

Podniósł zmęczone oczy. Przygryzł wargi.

— Nie wiem — wydusił, przerażony bezsensownością własnych słów.

Stachu siedział na dole, otulony kocem i polewał sobie wódkę z karafki. Popołudnie było zimne, ale słoneczne i suche. Stachu cieszył się na poprawę pogody i liczył, że zdoła nieco wydobrzedź.

— Dlaczego pan ma takie brzydkie ręce? — zapytała mała Halszka.

Zamknął dłoń dziewczynki w trzech palcach.

— Przywilej starości — odparł Stachu. — Bóg tak nagradza nas za pracę.

Halszka wyraźnie posmutniała.

— Nie powinienem tak mówić — Stachu otoczył dziewczynkę ramieniem. — My, starzy, mamy już takie dłonie i już. Ty kwitniesz, a ja się marszczę.

Pan niedługo umrze, prawda? Stachu przełknął gorzką ślinę.

— Wszyscy umrzemy. Ale wiesz, co ci powiem... chyba tylko tyle, że Bóg jest dobry. I troszczy się, abyśmy nie umarli.

— Jak pan myśli, pójdzie pan do nieba?

— Rozważam to — roześmiał się Stachu. — Więc nie martw się o to. My nie umieramy, tak naprawdę, do końca. Jeśli jesteś dobrym człowiekiem, to po śmierci żyjesz w ludzkich wspomnieniach. A czasem, widzisz, zdarza się tak, że zrobisz coś wielkiego i żyjesz w ludzkiej pamięci, przez pokolenia. Nie ma cię na świecie, ale wciąż możesz mówić. I ludzie cię słuchają, i będą słuchać za sto, za dwieście lat. Tak to już urządził ten dobry Bóg.

— Dobrze — odparła Halszka z namysłem — ale czemu dał panu takie brzydkie ręce?

### III

Znów się zbudził w nocy z powodu kaszlu. Pomyślał, że jest zmalretowany jak dziwka w porcie.

Śledził cienie na suficie i ścianach. Mrok zagnieździł się na regale, zawędrował do kątów, pod stół i łóżka. Stachowi zdawało się, że coś niewidocznego czatuje w pokoju, że ciemność przelewa się w ciemność, wiruje ociężale wedle niepojętego, groźnego rytmu. Coś szurało po podłodze, coś przemknęło przez regał, jakiś cień zawisł nad łóżkiem Stacha. Listopad wściekle walił w okna.

Stachu wstał przy akompaniamencie suchego kaszlu. Zdołał przejść do biurka i tam osunął się na krzesło. Zapalił lampę naftową. Krąg światła tylko wzmocnił cienie.

Patrzył przez chwilę na śpiącą Dziunię. Teraz, chory i wpół kroku do trumny, był gotów przysiąc, że przez całe życie kochał tylko ją. Westchnął ciężko i z lampą w dłoni, powędrował za potrzebą.

Pokój opuścił, podpierając ścianę. Ciemność zwijała żagle z każdym krokiem Stacha, by znów opadać za jego plecami. Znów myślał o słońcu i o tym, jak to najbliższego lata będzie się wylegiwał na plaży. Będzie wstawał o świcie, aby nic nie stracić. Drzwi otworzyły się z jękiem. Dziunia westchnęła przez sen.

Stachu znalazł się na korytarzu. Kilka kroków musiał przejść bez oparcia. Gdy znów dotknął ściany, oparł się o nią całym ciężarem. Powieki miał jak z ołowiu, nogi z ubitej waty. Płuca wysunęły kolce. Przymknął oczy na długą chwilę. Ruszył dopiero, gdy pojął, że zaraz może narobić w spodnie.

Cichy odgłos rozproszył myśli Stacha. To dziwne, bo nikt nie wchodził na piętro. *Jeśli ktoś dostał się do dworku, myślał Stachu, to już po mnie. Żaden ze mnie przeciwnik.* Zaciśnął palce na lampie, gotowy ją rzucić w pierwszy cień. Coś sunęło przed nim, w ciemności. Zabrzmiało znajome skrzypienie. Stachu przyspieszył. Serce kołatało w gardle.

Światło lampy objęło drzwi pokoju — graciarni. Zamykały się bez żadnego dźwięku. Stachu spróbował pochwycić klamkę, ale nie zdążył. Stał na progu, bojąc się wejść do środka.

Z wewnątrz dobiegały ciche kroki.

— Józef? Panie Józefie... — powiedział cicho, jakby obawiał się, że ten ktoś w pokoju może usłyszeć.

— Halszka? To ty? — zapytał, już głośniej.

W odpowiedzi, kroki umilkły.

Zawrócił. Bał się zejść na dół. Szyja nabrzmiała z wysiłku, a Stachu wyciągał nogi, by jak najszybciej znaleźć się w bezpiecznym łóżku. Potrzebował Dziuni i jej szorstkiej troski. Zgasi lampę i zaśnie. Zanurzy się w jasny sen, sen bez żadnych cieni.

Wszedł do małego pokoju i usiadł na łóżku. Zdmuchnął płomień.

Na regale siedział czarny stwór i jadł książki.

Od połowy miesiąca siły Stacha skupiły się na walce o zdrowie. Leżał bez ruchu przygwożdżony chorobą, ale starał się wstawać codziennie i spacerować, choćby dziesięć minut. Nasłuchiwał kroków na dole, wylapywał chwile, kiedy gospodarze wychodzili i spędzał czas z małą Halszką.

Odczyt w Poznaniu, już za parę dni, napawał go przerażeniem. Wysyłał błagalne listy, aby zrezygnowano z bankietu. Odczyta swoje i odjedzie z pieniędzmi, jak diabeł z duszą w worku.

Większą część dnia leżał tyłem do szafki i brodził we śnie. Popołudniami schodził na dół, rozmawiał z Halszką, a potem próbował dyktować żonie drugi tom wspomnień. Za honorarium planował przetrwać zimę.

Dziunia siedziała na sofie, przy niskim stole. Stachu usadowił się na brzegu łóżka, w grubym swetrze, otulony kocem. Dziunia czekała. Mąż zwykle dyktował szybko i dość beładnie. Stachu nadał się, przygryzł wargi, jakby myślenie było strasznym wysiłkiem i wypuścił powietrze ze świstem.

— Nie daję rady — sapnął. Przejechał dłonią po spoconej twarzy.

— Położyłbyś się. Prześpisz godzinę, damy radę.

— Mogę umrzeć w każdej chwili — zauważył Stachu — i tego nie skończę.

Dziunia usiadła na łóżku. Stachu złożył głowę na jej ramieniu.

— Mój ty, dzielny — powiedziała. — Musisz odpoczywać.

— Nie mogę odpoczywać — rzekł Stachu. — Po prostu coś dzieje mi się w głowie. Niemoc jakaś, sam nie wiem.

Spojrzał w stronę regału. Dwie pierwsze półki już wyczyszczono. Zostały tylko luźne kartki.

— Mam młyn w głowie — ciągnął — wszystko mi się myli, miesza. Myślę, słuchaj, taki a taki tytuł i nagle, bęc! Zapora. Nie wiem, czy to ja pisałem, czy kto inny. Po prostu — kaszlnął — wszystko się splątało.

Ujął w dłonie twarz Dziuni.

— Potrzebuję cię jak nigdy. Nie wiem, co zrobiłbym bez ciebie. Przymknął oczy, jakby zażenowany. Wziął kartkę wspomnień.

— Wiesz, Jadziuta? — westchnął. — Czasem zastanawiam się, czy to wszystko prawda.

Pływał pod powierzchnią snu. Zły ciężar spadł na pierś i Stachu toczył nierówną walkę. Wybijał się nad wodę i ciemny pokój wyglądał jak zbudowany wewnątrz studni. Łapał powietrze i ponownie zanurzał się w ciemność. Chował się w czarnych falach i lądował niedaleko domu, w pobliskim kościółku.

We śnie znów był młody. Miał szczupłe ręce pianisty i szpiczastą brodę młodego Szatana. Stał przed bramą wiejskiego kościółka i czuł się lekki, uwolniony od bólu. Gwiazdy rozsypały się na niebie, opasy księżyc przypominał bombkę. Stachu palił bez wysiłku, bez skowytu płuc. Zgasił papierosa o figurkę przy wejściu, pchnął drzwi i znalazł się w kościele.

Popatrzył po zebranych i odgadł, że jest północ. W kościelnych ławach klęczeli zmarli. Każdy przyszedł w tym, co miał. Na niektórych gniły ostatnie strzępy ubrań, inni jeszcze jakoś się trzymali, choć zzielenieli i napuchli. Za ołtarzem stał kościotrup w liturgicznym stroju. Stachu nabrał powietrza i wzbil się w górę.

Znów był na łóżku, ciężar się wzmógł. Uniósł powieki, odkaslnął. Wyrzucone drobinki śliny zawirowały jak pył. Na piersi Stacha siedział czarny stwór i strzygł uszami. Czarne, nieruchome oczy wbiły się w pisarza. Stachu spróbował podnieść rękę i strącić potworka, ale był zbyt słaby. Stworek skoczył i wylądował mu na twarzy. Pachniał jak mokry węgiel.

Z pyszczka wysunął się rozdwojony język. Przesunął się po policzkach Stacha, zostawił śluz na czole. Ostra końcówka opadła na wąsy, błędziła przy nosie, znieruchomiała na moment i z impetem wbiła się w nozdrza. Stachu jęknął. Stwór przyssał mu się do twarzy. Język drażył nos, wędrował w górę, a Stachu mógł przysiąc, że rozdwiają się i roztraja, wypala mózg kwasem, kaleczy oczy, parzy

język. Poderwał rękę, wykonał niezdarny cios i znów znalazł się w kościele.

Szedł przez nawę, między zmarłymi. Nogom brakło sił. Zostawił wiernych za sobą i dotarł do ołtarza. Ksiądz nie zwracał na niego uwagi. Stachu oparł się o ołtarz, westchnął, starł pot z oczu. Spojrzał na wiernych tak, jak zawsze patrzył na ludzi — z pogardą, w poszukiwaniu podziwu. Wzniósł ręce do góry, jakby chciał zasłonić klechę z jego boskim cyrkiem i pokazać, kto tu jest wart uwielbienia.

Naprzeciw ołtarza klęczała złotowłosa kobieta o strzelistej sylwetce. Dziura w środku czaszki przypominała tłustą muchę. Dalej majaczył cień innej kobiety. Zielona skóra odchodziła płatami z twarzy. Usta wydeły się, jakby kobieta chciała wypluć coś, co przed chwila połknęła.

Szkielec staruszka pogroził palcem.

W pierwszym rzędzie dostrzegł siebie, siwego starca z otwartymi ustami i zielonym, przegniłym językiem na brodzie.

Obudził się, gdy słońce stało wysoko. Dziunia siedziała na łóżku i ocierała mu gorące czoło.

— Mam złe wiadomości — powiedziała.

Stachu, który złapał pierwszy, głęboki haust powietrza, nie usłyszał jej słów. Obrócił się ostrożnie i spojrzał na regał. Trzecia półka była opróżniona.

## IV

Czasem złość doprowadza do nagłego ozdrowienia. Złe wieści podnieciły Stacha. Biegał w szlafroku po parterze, zaciskał pięści i wyrzucał słowa.

— Dmowski! Dmowski — pieklił się. — Kto to jest Dmowski? Gasnący starzec! Czy ten dureń trzymał w ręku jakąś książkę?!

— W Poznaniu już piszą protesty — rzekł Józef. Delikatnie ujął Stacha za ramię.

— To na nic — Stachu wyrzucił ręce w powietrze — koniec, kłamka zapadła. Dziesięć tysięcy, rozumie pan? Wie pan, jakby mi to pomogło?

— Nie żyje pan w próżni — zauważył Józef. — Pana przyjaciele...

— Mam nimi w piecu palić? Niech to diabli, mówisz pan jak dziecko — Stachu usiadł naprzeciw gospodarza. — Rozumie pan, to nagroda literacka! A co ten pana Dmowski napisał? Brednie, parę zdań. Ja tu się zamartwiam, że tak mało ojczyźnie zostawiłem, ale nie porównuj mnie pan z tym wielkim nic, co parę zdań na krzyż sklecił.

— To nie jest mój Dmowski.

— Czyjś jest na pewno — pieklił się Stachu. — Oto wdzięczność za wszystko, co zrobiłem. I ma pan rację, ja się pocieszam, że za sto lat dalej będą mnie czytać, ale co z tego, powiedz pan...? Jezus Maria, przecież zima idzie!

— Jestem szczęśliwy, że pan jest tu z nami — powiedział poważnie Józef.

— Panie Józefie, robaczku, pan jest mi przyjacielem. — Stachu opanował złość — ale ja tu zamarznię. Do Warszawy nam trzeba, tam ciepło. Jezu i jeszcze ten Poznań. Najchętniej wepchnąłbym im ten odczyt do gardła.

Schował twarz w dłoniach.

— I jeszcze Dziunia, ta krowa, nedorzeczna, grubiańska pomyłka mojego pijaństwa. Przez nią jestem tam, gdzie jestem. Przykuła mnie, związała i siadła na gardle. Oddychać nie mogę. Psiakrew — zaklął, już przed poważną twarzą małej Halszki.

Józef podniósł się i zniknął za drzwiami, najwyraźniej zadowolony, że przykra rozmowa dobiegła końca. Stachu szukał pocieszenia w zatroskanych oczach dziewczynki.

— Nie lubię, gdy pan jest smutny — powiedziała.

— Och, dziecko — Stachu dotknął jej policzka — czasem po prostu tak jest. I nic nie poradzimy na to.

— Nie wiedziałam, że jest pan wielkim pisarzem — uśmiechnęła się.

— Są tacy, którzy tego nie wiedzą — zauważył Stachu.

— Pan na górze powiedział mi o tym — usiadła mu na kolanach.

— On bardzo dużo o panu wie.

Zimny dreszcz przeszedł przez Stacha.

— Nie wiedziałem, że jest tu ktoś jeszcze — rzekł sucho. Gwałtownie powrócił ból szczęki.

— Oczywiście, że jest. Tylko prosił, żeby nikomu nie mówić. Ale panu powiem, bo jak on tyle o panu wie, to pan też go zna. Ale tato...



— Ani słowa tacie — Stachu przyłożył palec do ust Halszki.

— Więc kim jest twój tajemniczy przyjaciel?

— Nie wiem — wzruszyła ramionami. — Mieszka w pokoju obok pana. I chyba jest bardzo brzydki.

— A to czemu? — Stachu udał rozbawienie.

— Nie pozwala się dotknąć ani podejść. Tylko siedzi w ciemności.

Do wyjazdu na odczyt pozostał dzień i Stachu rozpaczliwie walczył o zdrowie. Bał się zimna. Myśl o drodze do samochodu przyprawiała go o dreszcze. Unikał gospodarzy, Dziuni, szukał tylko Halszki, jakby wierzył, że dziewczynka przeleje w niego młodość.

Wieczór przesiedział na górze, samotnie błędząc wśród myśli. Coś wyżerało mu głowę. Pamiętał ludzi i wydarzenia, ale zapomniał o swoich książkach i miał wrażenie, że gdyby po nie sięgnął, wszedłby w obcy świat. Gdyby go teraz zapytać o taki *Śnieg*, *Confiteor*, *Złote runo* albo *Dzieci szatana* rozdziawiłby gębę jak małpa przed patefonem. Wiedział, że jeszcze w Niemczech ochrzczono go *genialnym Polakiem*, ale za cholerę nie wiedział, dlaczego.

Wiedział za to świetnie, czyja to sprawka i cieszył się, że Dziunia jest na dole. Popijał i spacerował z laską po pokoju. Zerkał na regał i czekał. Wiedział, że czarny skurwiel na pewno się pojawi.

Stachu spotkał dość demonów, by wiedzieć, że na każdego jest sposób. Więcej, wystarczy tupnąć, krzyknąć, nie okazać strachu i taki już wskakiwał w ekspres do piekła. Znał też demony, z którymi trzeba się żyć, ale czarny łajdak chyba do nich nie należał. *Tak*, pomyślał, *czasem trzeba dogadać się z diabłem*. Uśmiechnął się i pociągnął wódki.

— Chodź — powiedział — czekam, łajzo.

Przez chwilę bał się, że czarny stwór istnieje tylko w jego głowie. Prezent od delirki. Ale regał pustoszał, a Stachu pamiętał ostry język. Zacisnął palce na lasce, gotów do spotkania.

— Chodź — powtórzył.

Stwór zjawił się, jak na zawołanie. Zeskoczył spod sufitu i wylądował na regale. Zręcznie czyścił pyszczek i patrzył na Stacha. Wyrzucił język jak żaba. Stachu ruszył na niego z laską. Cios chybił celu. Stwór z piskiem wylądował na głowie pisarza, odbił się i opadł na biurko z siwymi włosami w pazurach. Syknął gniewnie. Nim Stachu zdążył podejść, już dotarł na półkę i zaczął pożerać *Życie*.

— Zostaw to — zawołał Stachu. — Zostaw moje książki!

Stwór podniósł głowę, zobaczył wzniesioną laskę. Uskoczył i pognął do wyjścia, unosząc plik gazet i trzy ostatnie dramaty.

— Zostaw — krzyknął płaczliwie Stachu.

Nie mógł nadążyć za uciekinierem. Dotarł na korytarz. Stwór wybił się z tylnich łap, zahaczył ogonem o klamkę i zniknął w drugim pokoju. Drzwi zostały otwarte. To wyglądało na zaproszenie. Stachu stanął na progu.

Wewnątrz panował półmrok. Okrągłe okno przywalały graty. Stachu widział zarysy sprzętów — potrzaskanych regałów, zwalistych komód, abażurów, lamp, kijów i świeczników. Kurz drażnił mu nos. Zakaszczał i zrobił krok do przodu. Uniósł laskę. Nasłuchiwał.

Stwór buszował w głębi. Stachu zawahał się. Przymknął drzwi za sobą.

— Nie boję się ciebie — powiedział — oddasz, co moje i dalej rób, co chcesz, ale...

Suchy kaszel.

— Oddaj moje książki.

Okno przesłonił cień. Stachu pomyślał, że stwór stanął na dwóch łapach. Wykonał zamach laską, ale cofnął się o krok.

Cień należał do człowieka, dziwnie kanciastego, o szerokich barkach i dziwacznej, cienkiej szyi, na której kiwała się kwadratowa głowa. Czoło zdobiło wgniecenie wielkości piłki do golfa. Lewa ręka wisiała bezwładnie i kończyła się przed łokciem. Druga uniosła się. Niezgrabna, jakby zrobiona z klocków, dłoń kiwnęła na Stacha.

Stachu cisnął laską.

Wybił okno i uciekł.

Wspomnienia były jak korale zerwane ze sznura. Rozprysnęły się na podłodze, wpadły między deski. Nie sposób wyłapać wszystkie, ale trzeba próbować. Tak myślał Stachu, wychodząc z domu nocą, popatrzeć na Kujawy.

Gdyby wycieczka wyszła na jaw, lekarz dostałby zawału, pan Józef stracił mowę, a Dziuna przeciwnie — od jej krzyku pospadałyby gwiazdy. Stachu był świadom ryzyka. Bał się, że zapomniał również o rodzinnych stronach i że to może ostatnia okazja, aby je sobie przypomnieć.

Wyszedł z domu, gdy wszyscy posnęli. Ostrożnie zamknął drzwi i podpierając się laską, ruszył w ciemność.

Szybko zboczył z wiejskiej drogi i skręcił w obumarłe pola. Buty grzęzły w wilgotnej ziemi, ale wieczór był suchy i ciepły. Stachu podziwiał roje gwiazd, tych srebrnych świerszczy, do których się wybierał. Kiedyś, przepowiedziano mu, że, urodzony pod słomą, umrze na pałacach. Pomyślał, że dobrze byłby umrzeć tutaj. Ale jeszcze nie teraz. Zbyt wiele ksiązek zostało do napisania. Stachu wiedział, że człowiek z jego talentem trafia się jeden na pokolenie.

Myślał tak i nawet nie spostrzegł, kiedy ostatnie domy zostały za plecami. Stał pod lasem otulony kożuchem i ciemnością. Obejrzał się. Daleko mrugały świetliki okien. Stachu zorientował się, że ma przed sobą kujawski las z legend i wszedł weń bez lęku.

Maszerował na ślepo, rozgarniając zarośla. Sosny przesłoniły gwiazdy. W skąpym, księżycowym świetle, Stachu widział nocne elfy, bujające się na gałęziach. Dziwaczny stwór o błoniastych skrzydłach krążył tuż nad koronami drzew. Postrzępiony ogon przypominał miotłę. Mordę, włochate kowadło, rozświetlały cztery pary oczu.

Śmieszny strzygoń o fosforyzującym futrze, z członkiem zwisającym na kształt ogona, przysiadł na jałowcu i wlepił w Stacha pomarańczowe ślepia. Zwilżył nosek, zastrzygł uszami i oddalił się z gracją właściwą tylko bajkowym stworom. W dziupli obok usadowił się wiejski diabełek, czerwony jak pieczeń, z ogromnym łbem osadzonym na wąskich ramionach. Przygrywał na piszczałce. Na widok Stacha przerwał i pomachał ręką.

Trochę dalej buszował w zaroślach jeź wielkości doga. Ignorując Stacha, rozdrapywał grudy ziemi, mrugał oczyma, na przemian składał i podnosił igły. Stachu przyglądał mu się chwilę i poszedł dalej, nie zastanawiając się, czemu, pomimo ciemności, widzi każdy szczegół. Drzewa przerzedzały się i Stachu znalazł się na polanie, ozdobionej przez jałowce i z małą chatką pośrodku.

W oknie paliła się świeca, nad kominem wirował dym. Stachu bez wahania wszedł do środka.

Znalazł się w kostnicy, takiej, jaką zawsze sobie wyobrażał. Małe pomieszczenie zapełniały szuflady. Po środku stała ołowiana trumna. Jedyne światło dawała lampa naftowa. System chłodzenia nie działał i w powietrzu wisiał trupi zapach. Stachu otwierał kolejne szuflady, ale znajdował tylko przemielone książki. Próbował czytać, odnajdywał tylko strzępy liter. Tytuły, postacie, pocięte zdania nic mu nie mówiły, choć czuł, że powinny. Poczł dziwny niepokój, przewyciężył go i poszedł dalej.

Po drugiej stronie kostnicy znajdowały się drzwi, tak małe, że Stachu z trudem się przecisnął. Znalazł się na schodach, które dobrze znał. Prowadziły do jego warszawskiego mieszkania. Pełen niepokoju wspiął się po nich. Dziwne, ale nie czuł zmęczenia. Pomyślał tylko, że trzeba się położyć i odpocząć, nie szargać zdrowia.

Na mieszkanie składał się ogromny pokój bez okien, pusty, jeśli nie liczyć czterech kominków, po jednym na każdą ścianę i łóżka pośrodku. Stachu dostrzegł, że ogień trafi ostatnie domowe sprzęty — meble, kupione z takim trudem, suknie Dziuni, książki, garnitury, nawet kapcie i sztuce. Stachu patrzył w zdumieniu, jak ogień obejmuje stosy zdjęć, pożera Dagny, Wyrzykowskiego, przyjaciół z Niemiec, Norwegii i Krakowa. Nie wiedział, co o tym myśleć. Zwrócił wzrok na łóżko, stojące pośrodku pokoju.

Widział siebie samego, otulonego dziesiątkami kołder i posiniałego z zimna.

— Ogrzej mnie — szepnął tamten.

Stachu zbliżył się i dostrzegł, że tamten jest niebieski jak styczniowe niebo. Czarna linia ust odsłaniała pokryte lodem zęby. Pociemniałe powieki uniosły się i Stachu odkrył, że oczy sobowtóra zamarzły, a jedno pękło na pół, zsunęło się po policzku i przepadło w pościeli. Stachu jęknął, uniósł łaskę, chcąc przegnać zjawę.

Zły sen odszedł. Stachu siedział na łóżku i tępo wpatrywał się w półkę, bez ani jednej książki.

## V

W dzień wyjazdu wstał o świcie i zjadł na dole. Spacerował po pokojach, ubrany i gotów do drogi, gdy napotkał małą Halszkę. Dziewczynka siedziała na krześle, machając nogami. Stachu przykucnął i patrzył jej w oczy.

— Jak się dziś mamy?

Wzruszyła ramionami.

— Wróci pan do nas jeszcze?

— Oczywiście. A wcześniej napiszę. Specjalnie dla ciebie.

— Pan z góry powiedział, że nigdzie pan nie pojedzie. I nie wróci. Wziął Halszkę na rękę i pocałował w czoło.

— Powiedz swojemu tajemniczemu przyjacielowi, że nie będzie mi mówił, co mam robić. A najlepiej, niech nic już nie mówi.

Postawił dziewczynkę i jeszcze raz pocałował. Pobieгла.

— Przyjdę się pożegnać — zawołała.

Stachu wiedział, że siły, które rozpaczliwie związał, wystarczą i na tę podróż, i na wiele innych. Bał się tłumu, czekającej orkiestry, a przede wszystkim swojego gardła, które narażał na wysiłek. Zateśnił za papierosem. Lepiej zebrałby myśli.

Przeszedł do salonu i usadowił się w fotelu. Zerknął na zegarek. Samochód podstawia za piętnaście minut. Przymknął oczy i wspominał starego przyjaciela, o którym miał dziś mówić. Usłyszał delikatne kroki i ucieszył się, że Halszka wróciła.

W salonie stał człowiek z poddasza.

Był wysoki i cały papierowy, zrobiony z zadrukowanych kartek. Rulony papieru tworzyły ręce, zbita masa — szyję i korpus. Linijki tekstu biegły przez policzki, usta stanowiły ciemną szparę. Czoło przecinał zmięty napis *Śnieg*, poniżej rok wydania i *Lwów*. Papierowy człowiek patrzył na Stacha wydrukowanymi oczami.

Stachu próbował wstać z fotela.

Papierowy człowiek nachylił się nad nim. Kwadratowy palec dotknął policzka. Papierowy człowiek usiłował mówić.

— Oddaj moje książki — wykrztusił Stachu, ale facet z góry go jakby go nie słyszał.

Papierowy człowiek skoczył na pierś pisarza, wbił nogi w barki, dłonie zacisnął na szyi. Stachu zacharczał. Bił pięściami. Czul, jak papier ustępuje. Chwycił za nadgarstki. Stwór był słabszy, niż się wydawało. Wyzwolił się z uchwytu, uderzył z zamachem. Na piersi papierowego człowieka wykwitła dziura głębokości pięści. Stachu poprawił i lewe ramię zwisło bezwładnie na pasku papieru.

— Teraz — wydyszał — oddasz moje książki.

Przyciągnął przeciwnika do siebie. Papierowy człowiek bronił się słabo.

Stachu wgniótł mu głowę w ramiona.

Chwycił ocalałą rękę i po łokieć wepchnął ją sobie do ust. Szorstki papier drażnił gardło, ale

Stachu nie ustąpił. Żuł, wpychał głębiej, bo to jego. Jego książki. Jego praca. Jego wieczność.  
Ciało znalazła mała Halszka.

*Jarosław Grzędowicz*

# Buran wieje z tamtej strony

*Pamięci Kira Bułyczowa*

Gdyby ten człowiek wyszedł na drogę dwie minuty wcześniej, Korpałow przejechałby go i nawet tego nie zauważył. Szerokie gaśienice śniegołaza rozgniatyły dziesiątki takich podłużnych zasp, a człowiek leżący na drodze, smagany śnieżnym tajfunem w kilkadziesiąt sekund zamieniłby się właśnie w zaspę.

Tymczasem omal nie przyprawił Korpałowa o zawał serca, bo pojawił się znieca, spomiędzy drzew, w świetle halogenowych reflektorów. Chudy, wysoki, w łachmanach, wytoczył się prosto na niego i runął na drogę. Wyglądał po prostu jak okręcony szmatami żywy, rozpadający się szkielet. Wychowany na niemieckich i włoskich filmach grozy Korpałow ku własnemu zaskoczeniu wrzasnął z przerażenia na całe gardło, ale instykt kierowcy wziął górę i jego prawa, obuta w wielowarstwowy, polarny but noga, z własnej inicjatywy wbiła w podłogę szeroki pedał hamulca. Obie gaśienice stanęły w miejscu i kabina wachnęła się z sykiem hydraulicznych amortyzatorów, ale ratrak nadal sunął naprzód niczym sanie. Korpałow, nadal bez udziału woli, wdusił sprzęgło i wrzucił wsteczną dwójkę, po czym nadepnął na gaz. Turbina, dotąd mrużąc dyskretnie, zaniósł się wizgiem, mknące w tył traki gaśienic rzygnęły zmielonym śniegiem w leżącą w poprzek drogi postać, pojazd zarzucił lekko w lewo, ale stanął. Prawą gaśienicą o metr od głowy leżącego na śniegu faceta. W kabinie nadal beztrząsowo rozbrzmiewała syntezatorowa muzyka. Korpałow puścił ścisłany dotąd kurczowo wolant i oparł głowę na zagłówek fotela, usiłując opanować napływające falami drzenie. Wyciągnął dygocącą dłoń i wyłączył kompakt.

— O, Boże... — stęknął z doskonale znaną wszystkim kierowcom ulgą tym–razem–się–udało–ale–było–cholernie–blisko. Rozdygotany, skrzypiący histerią jego własny głos, rozbrzmiewający we wnętrzu kabiny, zabrzmiał jakoś obco. Przełknął ślinę i wlepił wzrok w leżącą na śniegu postać, która nie zdążyła jeszcze zniknąć pod śniegiem. Upłynęło dopiero kilka sekund.

Efekt pierwszego szoku minął, ale Korpałow nadal bał się wyjść z kabiny. Przyszło mu do głowy, że to napad. Taki zbieg okoliczności był zbyt niewiarygodny. Klasyczny scenariusz. Przed samochodem, na drodze, leży ktoś potrzebujący pomocy, kierowca wysiada, a wtedy kilku roślących Sybiraków uzbrojonych w wojskowe karabinki otacza go. Mieszkają od lat w sercu tajgi i są ludożercami, ten wielki z brodą, wyglądający dobrodusznie jest ich ojcem, ale najgorszy jest najmłodszy syn, straszliwie okaleczony mutacją, zasłania oszpeconą twarz maską z ludzkiej skóry, podnosi piłę łańcuchową... Dosyć!

Dookoła szalał buran, wściekłe poddmuchy wiatru kołysały kabiną i siekły pleksiglas okien falami lodowej kaszy. Pracujące na trzecim biegu wycieraczki wspomagane dmuchawami nie mogły nadażyć ze zbieraniem śniegu z szyby, na drodze zamarzał człowiek, a on siedział w ogrzewanej kabinie i wymyślał jakieś bzdury.

Umieszczony na środku tablicy rozdzielczej elektroniczny termometr wahał się co do dziesiątych części stopnia, ale co do reszty, najwyraźniej nie miał wątpliwości. Minus 38,6 stopni Celsjusza.

Korpałow ujął poziomy uchwyt umieszczony w zagłębieniu sufitu pod oknem i kciukiem włączył halogenowy reflektor. Światło ugrzęzło w lodowatej mgle i zamieci, rysując smugę jak wiązka lasera. Nie umiałby powiedzieć, czy którykolwiek z majaczących w mroku i wyjąłym śnieżnym huraganie kształtów jest krzewem słanika, wykręconym pniem cedru, niedźwiedziem czy groźnym, syberyjskim psychopata, ale dodało mu to pewności. Obrócił szperacz, smagając promieniem światła obydwie pobocza i nie wypatrzył niczego. Potem założył zewnętrzne buty — skomplikowane, plastikowe skorupy, zapinane na klamry niczym buty narciarskie, kurtkę, kominiarkę, flisową czapkę, maskę i gogle. Na koniec wydobyl pistolet, zarepetował go i trzymając niewygodnie dłonią w grubej rękawicy, prawą ręką odsunął drzwi.

Kiedy gramolił się na osłonę gaśienicy, przyszło mu do głowy, że od nawietrznej nie dałby rady wysiąść. Przeraził, wymieszany z lodowym pyłem huragan wcisnąłby go z powrotem do kabiny. Zeskoczył z gaśienicy, a niewiarygodny mróz ścisnął go jak parzące zimnem cęgi. Prawie ślepy, z zasypanymi śniegiem goglami, zataczając się pod ciosami wiatru, podpełził do leżącego w śniegu nieznanego. Tamten leżał tak jak upadł, na brzuchu, z podkurczoną nogą i obróconą w bok twarzą, a drobny jak mąka śnieg nie tajał na jego pokrytych strupami wargach ani na powiekach.

Korpałow wcisnął pistolet do kieszeni, chwycił rozbitka pod ramiona, zebrał się w sobie i niemal bez żadnego wysiłku uniósł go w górę. Zaskoczenie było tak wielkie, że stracił równowagę, poślizgnął się i runął na śnieg, trzymając rozbitka w objęciach. Tamten niemal nic nie ważył, zupełnie jakby był manekinem zrobionym ze starego ubrania i stearynowej maski, ale był człowiekiem — pod kilkoma warstwami ubrania wyraźnie czuł ciało. Lekkie, składające się niemal wyłącznie z kości, ale jednak. Dźwignął go jeszcze raz, zupełnie bezwładnego, z wyciągniętymi do góry rękami i wlokącego czubki butów po ziemi. Dopiero przy ratraku obcy jakby się ocknął i nieźbornie, mechanicznie poruszył mięknącymi nogami, usiłując zrobić choć kilka kroków. Korpałow ucieszył się, bo zyskał przynajmniej pewność, że nie włóczy po śniegu trupa.

Oparł obcego o gaśienicę, a właściwie położył w poprzek na trakach i przytrzymując go w tej pozycji za kołnierz kurtki, sam wgramolił się na górę. Odsunął drzwi i klęcząc na siedzeniu kierowcy, wciągnął nieznanego do kabiny. Przez chwilę szamotał się z nim, bo wciągnął go na siebie, a musiał przesunąć rozbitka na fotel pasażera. Pomyślał, że powinien był wchodzić od nawietrznej, bo wtedy wiatr by mu pomagał, a poza tym od razu umieściłby znajcę na właściwym miejscu. Absolutnie nie chciało mu się wypychać nieznanego z kabiny, wlec dookoła całego pojazdu i zaczynać jeszcze raz od drugiej strony. Pociągnął mocniej, rozległ się trzask dartego materiału i obcy prawie przeleciał na siedzenie pasażera. Korpałow przerzucił jego bezwładne nogi na właściwą stronę skrzyni biegów, po czym zatrzasnął drzwi, przesunął dźwignię ogrzewania na maksimum i dygocąc w podmuchach gorącego powietrza bijących z klimatyzatora ściągnął rękawice, gogle, maskę, kominiarkę i czapkę.

Dysząc ciężko roztarł zaczerwienioną, wilgotną twarz i oparł głowę. Tamten oddychał ciężko, chrapliwie przez uchylone usta i trząsł się tak strasznie, że Korpałow zaczął się obawiać, iż chory ma drgawki. Nie miał pojęcia co robić. Mało na czym znał się tak słabo, jak na medycynie. Rozbitek przewrócił się na rozłożonym siedzeniu na bok i podciągnął kolana, zwijając się w kłębek.

Korpałow zapalił światło w kabinie i po raz pierwszy zobaczył obcego dokładnie. Był niemożliwie wychudzony, pokryta grubą szczecina, woskowobiała skóra zwisała mu luźno na policzkach, powieki miał niemal granatowe, sine worki pod oczami, a wargi całe w czarnych strupach. Również jego dłonie, wyłażące z rozprutych włóczkowych rękawiczek, były jakieś spuchnięte, sinofioletowe i pokryte ropiejącymi ranami.

Rozbitek? Przybysz z obcej planety? Na kolanach Korpałowa poniewierały się białe strzępki.



Ujął je w palce i roztarł bezmyślnie pomiędzy opuszkami. Była to jakaś włóknina — brudna i szarobiała, zbrylona w twarde gruzełki. Wata. Tandetna, celulozowa wata. Facet wybrał się na spacer po tym lodowym piekle ubrany w kurtkę ocieploną półcentymetrową warstwą zwyczajnej, sfilcowanej waty. Wariat? Ubranie rozbitka w ogóle było jakieś dziwaczne. Uszyte koślawo i byle jak z podłego drelichu o nieokreślonym, brunatnym kolorze, nieprawdopodobnie brudne i zużyte, jakaś niewiarygodna czapka — uszanka, również pikowana i zapewne ocieplona tą samą absurdalną watą, podarte wełniane rękawiczki. Ale przede wszystkim, nieznajomy był ciężko chory, niemal zamrożony, być może konał z głodu lub wszystkich tych przyczyn na raz. Potrzebował zespołu reanimacyjnego, helikoptera Syberyjskiej Służby Medycznej, szpitala a potem sanatorium, a nie ratraka z Korpałowem, specjalistą od reklamowej grafiki jadącym na wakacje.

Zrobił to, co każdy obywatel jego kraju robił bezmyślnie i odruchowo, ilekroć napotykał trudności, które go przerastały — sięgnął po mikrofon uczepiony magnetycznym zatrzaskiem sufitu kabiny i włączył radiostację. Przeszukał kilkanaście kanałów, w tym alarmowy, i na wszystkich dostał się pod ulewę białego szumu, zupełnie jakby purga wymiotła fale radiowe i zdmuchnęła satelity z orbity. Był zdany tylko na siebie.

Za oknami śniegołaza szalała zamieć, wiatr kołysał lekko kabiną, a pomoc nie nadchodziła. Korpałow wparł potylicę w zagłówek i patrząc bezradnie na pogodne, pastelowe wzorki podsufitki, zapalił papierosa. „O Boże” — jęknął. Ładny początek wakacji. Jeszcze nie zdążył zainstalować się w swojej samotni, a już zyskał Piętaszka — jakiegoś umierającego żebraka. Pchnął dźwignię zmiany biegów i pojazd ruszył prosto w zamieć i śnieżną pustynię. Wiedział, że jeżeli nie zgubi w zamieci szosy, jeżeli potem odnajdzie rzekę i też jej nie zgubi, jeżeli trafi na siódmym kilometrze jej brzegu na stożkowate wzgórze porośnięte tajgą, to odnajdzie także domek Gorypina. Wtedy rozbitek też ma jakieś szansę. Jeżeli natomiast się zgubi — zginą obaj.

Trafił na daczę Gorypina wtedy, gdy był już zupełnie pewien, że pomylił drogę. Miał sztabową mapę umocowaną na konsolce śniegołaza, wskazówki przyjaciela na dyskietce, elektroniczne przyrządy nawigacyjne, ale dom na brzegu Kołymki odnalazł cudem. Gdyby musiał przebyć tę drogę psim zaprzęgiem, na saniach zaprzężonych w konie albo na rakietach śnieżnych — zginąłby niechybnie. Dopiero gdy zobaczył spadzisty dach pokryty płytkami fotoogniw, wirujący wściekle jaskrawożółty rotor elektrowni wiatrowej, a potem cały dom, pojął, jak idiotycznym ryzykiem była cała ta wyprawa. Gorypin uważał go prawdopodobnie albo za zarozumiałego żółtodzioba, albo samobójcę.

Zatrzymał śniegołaz przed domem i zeskoczył z gąsienicy na gołą, wymiecioną lodowym huraganem ziemię. Gdyby wiatr wiał z innej strony, trzeba by drzwi odkopywać łopatą spod śniegu.

Otworzył skomplikowany zamek i wszedł do środka. Panowało tam ciężkie, zastarzałe zimno, jednak mniej dotkliwe niż wściekły mróz na dworze, spotęgowany jeszcze wichurą. Zapalił lampę naftową, znalazł w jej świetle latarkę i wszedł do piwnicy, gdzie zgodnie ze wskazówkami Gorypina znajdował się piec centralnego ogrzewania, pompy, zapasy opału oraz urządzenia sterujące wiatrową siłownią. Rozbitka pozostawił chwilowo w pojeździe, nadal dygocącego na siedzeniu i sprawiającego wrażenie, że nie wie, co się wokół niego dzieje. Dla bezpieczeństwa zabrał broń, podręczną torbę i kluczyki ze stacyjki. Prawdopodobnie był to zbytek ostrożności. Nieznajomy nie wyglądał na kogoś zdolnego uruchomić śniegołaz i oddalić się w śnieżną burzę.

Najpierw przystąpił do skomplikowanej procedury rozpalania pieca, posługując się notatkami i rysunkami Gorypina, pełnymi żarcików i docinków, wydrukowanymi starannie na firmowej drukarce mozaikowej. Piec był wyrafinowanym urządzeniem, które ogrzewało olej krążący w zamkniętym obiegu niczym chłodziwo reaktora, wspomagało podgrzewanie wody w dwóch bojlerach, a przy tym

było dość proste w obsłudze, o ile już się je rozpałiło. Przywołał na pomoc swoje zamierzcze skautowskie i turystyczne doświadczenia i z pomocą boską, a także wiązki brzożowych witek, kilku kostek rozpałki do rusztu, mazutu oraz wiadra brykietów węgla drzewnego osiągnął sukces. Potem włączył prąd. Wymagało to przerzucenia jednej monumentalnej dźwigni oraz wciśnięcia kilku przycisków, więc nie było to znowu takie osiągnięcie. Uruchomił pompę, która wyciągnęła z układu niezamarzający płyn, chroniący instalację przed rozsądzeniem, i wypełniła ją wodą z głębinowej studni. Zgodnie z instrukcją Gorypina, gorąca woda powinna być za jakieś czterdzieści minut.

Opuścił piwnicę niesłychanie z siebie dumny. Oto sam zrobił wodę, światło i ciepło. Wprawdzie za pomocą urządzeń wartych fortunę, które uzyskalyby to samo na Księżycu, a obsługiwać je mógłby pawian, ale jednak. Z satysfakcją zapalił lampy w obitym boazerią salonie i w eleganckiej, błyszczącej kuchni, która byłaby bardziej na miejscu w podmoskiewskiej willi niż syberyjskiej chacie, po czym zabrał się za przenoszenie ekwipunku.

Rozbitek nadal dygotał i jęczał podczas przeprowadzania do salonu, po czym zwinął się w kłębek na dywanie, ignorując zupełnie obite skórą fotele i kanapę. W chacie nadal było zimno, więc Korpałow zabrał się za rozpalanie ognia w monumentalnym kominku wymurowanym z surowych, ciosanych kamieni. Nieznajomy przyglądał się temu z jakąś zachłannością w ogromnych, niebieskich oczach. Patrzył tak uporczywie, że Korpałow zaczął odczuwać treść, układając na palenisku łatwopalną pryzmę z cienkich gałązek karłowatej brzozy oraz równiutko przyciętych polan stłanika i świerka. Pod spód narzucił pokruszonej kostki paliwa i przypalił długą zapalką. Obcy przysunął się bliżej ognia i chłonał wzrokiem trzeszczący pożar, chciwie pożerający ułożony przez Korpałowa szalás.

— Szkoda opału, towarzyszu naczelniku — odezwał się zniecka niskim, schrypniętym głosem. Korpałow podskoczył z wrażenia. Jakoś przyzwyczał się do milczenia rozbitka i nabrał przekonania, że jest niemową. W pierwszej chwili nawet nie zrozumiał co tamten mówi, tym bardziej, że wymawiał słowa nietypowo, miękko i z dziwnym akcentem. Jednak niewątpliwie był to rosyjski. Nadal dygocząc, obcy przysunął się jeszcze bliżej paleniska, wyciągając trzęsące się, pokaleczone i fioletowe od mrozu dłonie ku płomieniom. Nagle cofnął ręce i spojrzał na Korpałowa z obawą.

— Można się pogrzać, towarzyszu naczelniku? — spytał jakoś przymilnie. — Tylko trochę, zanim mnie zabiorą.

Korpałow poczuł się nieswojo. Przybysz brał go najwyraźniej za kogoś innego.

— Nie jestem żadnym naczelnikiem — powiedział niepewnie. — I tak szybko pana nie zabiorą — dopóki trwa burza, nie ma łączności... ja wiem, że pan potrzebuje do szpitala, ale... wezwę kogoś, jak tylko powróci łączność... na razie sam spróbuję panu pomóc...

Chory przeraził się.

— Ależ co wy, jeżeli się dowiedzą, że ja tu siedzę, to was zabiorą razem ze mną, przecież za to czapa... Ja zaraz pójdę, tylko się ogrzeję, gdybyście mogli... trochę chleba na drogę, Bóg was wynagrodzi... A ja nie powiem. Nikomu.

Korpałow znieruchomiał w kucki przy palenisku z polanem w ręku. Boże — ten facet bredzi. Najwyraźniej był w szoku albo może ma gorączkę — oczy takie błyszczące. Zaraz tu wykituje..! Odzyskał głos i z oburzeniem zamachał bierwionem.

— Ależ nigdzie pan nie pójdzie! Jest pan przemarznięty, na pewno ma odmrożenia... Tam purga... pan jest chory... temperatura... lekarz... — bełkotał, usiłując w jednym zdaniu wyrazić bezmiar swojego protestu. — Tutaj wezwiemy lekarza, helikopter, jak tylko wróci łączność. Na razie ma pan tu ciepło, żywność — przecież pan jest wycieńczony... musi pan wypoczywać, ja zaraz...

Przerwał i wytarł o spodnie usmoloną dłoń.

— Nazywam się Andriej. Andriej Stiepanowicz. — Rozbitek skamieniał, patrząc na niego z szeroko otwartymi oczami. Poruszył lekko wargami. Brakowało mu kilku zębów.

— Dlaczego „pan”? — zapytał bezradnie. Zapanowało kłopotliwe milczenie. Korpałow cofnął dłoń.

Klasnął w ręce.

— Kąpiel! — zawołał z nieco wysiłonym entuzjazmem. — Gorąca woda! Musi się pan wygrzać, zmienić te łachy, a potem koniecznie coś zjeść.

Poszedł do łazienki sprawdzić wodę, kręcąc z niedowierzaniem głową. Wariat? Dobry Boże — uwięziony z szaleńcem podczas burzy śnieżnej. Terma Gorypina była dobra, ale potrzebowała czasu — w tej chwili temperatura wody z wysiłkiem osiągnęła czternaście stopni. Do niczego. Potrzebował prawie wrzątku, żeby przygotować gorącą kąpiel. Dotknął płaskiego grzejnika umocowanego pod oknem — był już ciepły, ale w pomieszczeniu temperatura oscylowała w okolicach zera. Może takiego nieomal zamrożonego pacjenta należało odmrażać stopniowo? Może gorąca kąpiel go zabije? Nie miał pojęcia. A jeżeli umrze? Na dodatek najwyraźniej jest zagłodzony — nie można go tak po prostu nakarmić, bo dostanie kataru żołądka — ciekawe, co to takiego „katar żołądka”? Sraczka? A może jakaś mordercza mestrawność?

Wrócił do piwnicy i naładował palenisko do pełna dziwacznymi, lekkimi brykietami, które były tam zgromadzone — jakiś prasowany torf czy coś. Piec huczał, wskaźniki wędrowały sobie po skalach, a według wskazań mini-elektrowni, akumulatory były pełne — w tej chwili prądnicę zasilaty bezpośrednio sieć. Na dworze szalał śnieżny huragan i turbina zasuwała aż miło.

Przypomniał sobie, że musi przenieść do środka bagaże, aż go zatrzęsło na myśl o wychodzeniu z powrotem w to zamrożone piekło, ale nie było rady. Pozapinał kurtkę, naciągnął na twarz kominiarkę i wyszedł.

Przeniósł bagaże do salonu i zabrało mu to prawie dwadzieścia minut. Rozbitek trząsnął się w tym czasie na dywanie, wpatrując się w huczący na kominku ogień i rozgrzewał dłonie, wciskając je pod pachę. Wydawał się całkowicie pochłonięty swoim cierpieniem, jednak kiedy Korpałow wziął się za pudła z żywnością i zaczął przenosić je do kuchni, uniósł się lekko na łokciu i nie przerywając nerwowego rozgrzewania dłoni wlepił wzrok w stosy paczek mrożonych i liofilizowanych warzyw, piramidy puszek i pudełek, a jego oczy rozjaśniły się jakąś niemal mistyczną ekstazą.

Po upływie pół godziny w chacie zrobiło się niemal ciepło, a temperatura wody w bojlerach podniosła się do osiemdziesięciu stopni. Korpałow wypełnił wannę gorącą wodą i wydobył z łazienkowej szafki czysty, gruby ręcznik oraz frottowy szlafrok.

— Kąpiel — oświadczył surowym, nie znoszącym sprzeciwu tonem. — Proszę się zupełnie rozebrać i zostawić mi te łachy. Znajdę panu jakieś ubranie. Żel do kąpieli wisi na ścianie obok wanny. Znajdzie pan też ręcznik i płaszcz kąpielowy.

Obcy spojrział na niego bezradnie.

— Moje ubranie? — zapytał załośnie.

— Proszę się nie wygłupiać — ofuknął go Korpałow. — Przecież to się do niczego nie nadaje. To są rozpadające się łachmany. Nie pozwolę panu w tym chodzić. — Widząc niemy, przeczący ruch głowy tamtego, pełen jakiegoś bezsilnego, dziecinnego protestu, podniósł trochę głos i zaczął mówić jak do dziecka. Stanowczo i zrozumiale. — Dam panu inne ubranie. Lepsze. Znacznie cieplejsze. Zostanie pan w domu i tu będzie ciepło, Proszę iść do łazienki.

— Słucham — powiedział pokornie rozbitek i czepiając się belkowanej ściany, podreptał do łazienki.

W rosnącej temperaturze pomieszczenia pojawiły się zapachy i okazało się, że rozbitek

straszliwie cuchnie. Nawarstwionym, zastarzałym brudem i ostro, jakimiś chemicznymi odczynnikami. To było jeszcze nic, w porównaniu z tym, jak śmierdziała leżąca na posadzce łazienki kupa szmat, którą obcy jeszcze przed chwilą miał na sobie. Przewyciężając obrzydzenie, Korpałow wepchnął odzież do pustego kartonu po mrożonkach i zaniósł do piwnicy. Kiedy wrócił na górę i zajrzał do łazienki, zastał obcego stojącego na dywaniku leżącym obok wanny i z nieodgadnionym, natchnionym wzrokiem kontemplującego ścienne kafelki, szafki, lustro, umywalkę. Postąpił krok naprzód i z obawą zajrzał do wnętrza kabiny prysznicowej. Korpałow nigdy nie przypuszczał, że można być tak straszliwie, śmiertelnie wychudzonym — i żyć. W ostrym świetle widać było wyraźnie, że twarz rozbitka, a zwłaszcza nos pokrywały lśniąco białe jak ulepione ze stearyny plamy. Odmrożenia.

— Dlaczego pan się nie kąpie? — surowo zapytał Korpałow. — Trzeba się rozgrzać. Jest pan prawie zamarznięty.

— To wszystko takie czyste, pobrudzę. Może jakaś beczka.

— Jaka znowu beczka! — wrzasnął desperacko Korpałow. — Włazże, człowieku, do wanny. Zaraz mi tu wykitujesz! Siedź tam, aż ci się zrobi ciepło! Jak woda wystygnie, dolej gorącej.

Chory posłusznie włożył do wanny najpierw jedną, potem drugą patykowato chudą nogę i usiadł ostrożnie. Wytrzeszczył oczy, a z ust wydobył mu się skowyt.

— Co się stało?! — skoczył Korpałow. — Co panu jest? Rozbitek jęknął głucho i zaprzeczył ruchem głowy.

— To nic — wyrzeźił z trudem. — To prawidłowo krążenie wraca... nic... najważniejsze jest czucie. Och... Boże ty mój...

Zacisnął kurczowo powieki i oparł kark o ocembrowanie wanny. Na zapadniętych skroniach i czaszce wystąpiły mu żyły, wyraźnie widoczne przez krotką, siwą szczecinę włosów. Wyszczrzył zęby z wysiłku poskramiania bólu i gdyby nie głośny, urywany oddech, wyglądałby jak trup. Niezbyt świeży trup, nawiasem mówiąc.

Korpałow wrócił do piwnicy. Dobytek nieszczęśnika fascynował go w jakiś sposób, zwłaszcza, że był to jedyny ślad, który pozwoliłby zidentyfikować jego pochodzenie. Zapalił mocny, halogenowy reflektorek nad stołem w warsztacie i rozłożył zawartość kartonu. Na twardym laminatowym blacie znalazł się komplet dziwacznej bielizny, uszytej niechlujnie z jakiegoś cienkiego płótna; kalesony i podkoszulka z długimi rękawami z niebywale archaicznym kołnierzykiem, zapinanym z boku, na dwa absurdalne guziczki. Kalesony ściągano w pasie zwyczajną tasiemką. Wszystko to było niebywale brudne i zniszczone, o nieokreślonej burej barwie szmaty do podłogi. Na dodatek nie miało sensu. Przypominało niechlujnie wykonaną atrapę. Zupełnie jakby rozbitek udawał, że wyposażył się na podróż w Daleką Północ, ale tylko tak, żeby wystarczyło na bardzo pobieżną kontrolę. Ciepła bielizna? Proszę bardzo — mam ciepłą bieliznę. Może nie?

Jednocześnie nie przypominało stroju, który wykonałby jakiś syberyjski Robinson Cruzo. Taki użyłby sensowniejszych materiałów — futer, może wełny, nie produkowałby kretyńskiej, dziewiętnastowiecznej bielizny, za gorącej na lato, a nie zapewniającej żadnego ciepła zimą. Do tego durny, podarty sweter z akrylu, równie brudny jak pozostałe rzeczy, „ocieplane” taką samą gruzłowatą i sprasowaną watą jak ta, która wyleciała z kurtki, kaftan i spodnie, wykonane prawdopodobnie przez szympansa. Czapka — uszanka z takiego samego przetartego, granatowobrunatnego drelichu, słynna kurtka, bez warstwy wchłaniającej, warstwy ocieplającej, bez warstwy tkaniny półprzepuszczalnej, bez kaptura z ociepleniem, bez czegokolwiek, co w ogóle kwalifikowało by ten wyrób jako artykuł odzieżowy przeznaczony na Daleką Północ, za to z naszywką zawierającą abstrakcyjny szereg liter i cyfr, wymalowanych koślawo na prostokątnym

kawałku szmatki.

Najbardziej zaś idiotyczne były buty — wykonane domowym chyba przemysłem, ale za to nie, na przykład ze skóry renifera, a uszyte z wielu warstw takiej watowanej tkaniny, wetkniętej chytrze do wnętrza rozpadającego się rybackiego kalosza. Kalosza ostatniego sortu, niezgrabnego, brzydkiego, ale będącego najwyraźniej produktem przemysłowym. Owocem przemysłu obłąkanego, wytwarzającego przedmioty bezsensowne, nie rokujące nadziei na korzystną sprzedaż — ale przemysłu. To było w tym wszystkim najbardziej absurdalne i zagadkowe.

Chory mógł być szaleńcem, który zgubił się w tajdze — to tłumaczyło i jego stan, i bezsensowne wypowiedzi. Ale skąd wytrzasnął te wszystkie dziwaczne przedmioty? Kto wyprodukował tę toporną łyżkę, poczerniałą i najwyraźniej trującą — aluminiową. Kto męczyłby się tylko po to, by stworzyć kaleki kubek, w chwili narodzin kwalifikujący się od razu na śmietnik? Kto i dlaczego ozdobił rozkładciane pudełko zapalek rozmazanym napisem „zapałki”, skoro gołym okiem widać, że nie umie i nigdy się nie nauczy drukować? Skąd rozbitek wytrzasnął dwa dziwaczne papierosy, długości najwyżej dwóch centymetrów, za to nienormalnie grube i zakończone długą na palec tekturową tutką? Nie były to skręty z marihuaną — wykonano je taśmowo, obcą techniką, kazałą skleić półprzezroczystą, przypominającą raczej pergamin bibułkę, karbowaną linią niczym zgrzew na plastyku. Powąchał je. Papierosy nie pachniały haszyszem ani tytoniem — przez bibułkę prześwitywały jakieś paździerze. Na papierosach widniał napis „Kazań 5”. Czy wyprodukowano je w Kazaniu? Nonsens.

Drobne przedmioty znajdowały się w torbie wykonanej już chałupniczo z burej szmaty zszytej koślawo dratwą. Oprócz łyżki, kubka, zapalek i papierosów znajdowały się tam: paczka przewiązanych sznurkiem listów pisanych odręcznie, cyrylicą — tusz zdążył wyblaknąć i rozmazać się; woreczek, który w poprzednim życiu był podszewką kieszeni, wypełniony w dwóch trzecich kruszonką z suszonych liści, oraz drobnymi, kwadratowymi karteczkami z grubego, kosmatego papieru.

Korpałow zaklasyfikował to wszystko jako przedmioty osobiste i odłożył na bok, podobnie jak odprutą od kurtki naszywkę. Znalazł w pudle jeszcze szalik rozbitka — płachtę burej miękkiej włókniny, wykonanej maszynowo z drobnych kłaczków i resztek rozmaitych przędz i pakuł. Różnokolorowe kłębki sprasowane razem w fioletowoszarą tkaninę, przestebnowaną raz koło razu mocną nicią i obdzierganą dookoła maszynowym ścięciem — przemysłowa, jednorazowa szmata do podłogi. Kto i dlaczego włókł to na tę pustynię, zamiast szalika. Oszczędność? Ile na Boga może kosztować wełniany szaliczek? Pięćdziesiąt kopiejek? Na szmacie roiły się jakieś maleńkie, płaskie robaczki. Zauważył je dopiero teraz, a były wszędzie. Poutykane rzędami w zagłębieniach szwów, w fałdach materiału, łąziły po stole. Wszy. Albo pluskwy. Wstrząsany obrzydzeniem cisnął szmatę do pudła, zgarnął tam resztę ubrań, i porwawszy z półki butelkę rozpuszczalnika połał obficie.

Wytarł rozpuszczalnikiem stół, po czym otworzył pokaźne drzwiczki pieca i pomagając sobie łopatą wepchnął karton na palenisko.

Ledwo uskoczył. W panice potarł twarz rękoma, ale stwierdził, że wykpił się lekko przypalonymi brwiami. Karton z zapłuskwioną odzieżą płonął z hukiem w piecu. Ohyda.

Przejrzał schowek pod schodami i z łatwością skompletował swojemu gościowi garderobę. Większość właścicieli domków letniskowych traktuje je jak przechowalnię starej odzieży, którą ratuje się od utylizacji pod pretekstem użycia jej jako strojów roboczych. Gorypin wcale nie był wyjątkiem. Nazbierał sporo starych bawełnianych spodni, dresów, jakichś reklamowych bluz i kurtek, zasłużonych swetrów, spędzających emeryturę na półkach, czy niemodnych już strojów narciarskich.

W sypialni pana domu znalazł też nieco starej, wypranej bielizny oraz niewielką kolekcję

zupełnie—jeszcze—przyzwoitych butów.

Wybierał jak najmniejsze rozmiary — rozbitek był nie tylko chudy, ale i niski, ale to nie był specjalny problem. W za dużych rzeczach można od biedy chodzić.

Wrócił do salonu, dorzucił dREW do kominka i stwierdził, że zaczęło mu się robić gorąco — pomieszczenie powoli zaczęło nadawać się do życia. Zdjął swój polarny przyodziewek i w samych tylko portkach i jednej zaledwie polarowej bluzie z rozkoszą wyciągnął się na fotelu ze szklanką szkockiej whisky oraz świeżo otwartą paczką playersów. Za oknami szalała zamieć, atakując porywistym wiatrem zasunięte okiennice, a tu z trzaskiem płonęły polana, sypiąc rojami iskier, robiło się ciepło i przytulnie. Pożałował, że jednak nie wziął żadnej dziewczyny. Do czorta z Wierą i jej fochami. Miał zamiar w tej chacie zaleczyć rany i pozbierać swoje, zrujnowane nieudanym związkiem życie, więc dlaczego nie miałby się leczyć towarzystwem jakiejś młodzianki modelki? Trzeba było, zamiast opłakiwać Wierę i jej nowe pomysły na życie, zatroszczyć się o jakąś pannę. Tyle tylko, że ani chciał, ani umiał. Wolał pobyć sam. A teraz, wylądował w zapadłym kącie Syberii z jakimś podejrzanym typkiem. To dopiero towarzystwo. Pstryknął wyłącznikiem radiostacji, ale niepotrzebnie — nadal nie było łączności, a sygnał zanikał.

Rozbitek wciąż nie wychodził z łazienki, ale żył — co jakiś czas dawał się słyszeć szum wody płynącej z kranu i bulgot kanalizacji, gdy nadmiar wydobywał się przez otwór przelewowy.

Korpałow wysączył whisky, pólleżąc w fotelu, patrząc na ogień i słuchając wichury. Sielanka. Właśnie tego mu było trzeba. Poleżał jeszcze trochę, aż drwa wypaliły się i jaśniały złotoczerwonym żarem, a Andriej poczuł narastającą w cieple senność. Westchnął ciężko — gdyby był sam, po prostu wrzuciłby na palenisko kilka grubszych bierwion, przeniósł się na kanapę i okrył kosmatym kocem. A potem spałby do syta, ukołysany chichotem purgi, no bo co miał tutaj do roboty? A, prawda — musiał tylko zatroszczyć się o umierającego rozbitek. Boże, jak się odżywia kogoś zagłodzonego? Może jakiś lekarz by wiedział... Telewizja? Jakaś kłeska głodu w Afryce? Może jakieś książki? W dzieciństwie czytał coś przygodowego, o żeglarzach, którym cisza uniemożliwiła dobiec do brzegu. Czym ich potem karmiono? Pamiętał tylko, że marzyli o sznyclach, a uraczono ich jakimś „dziecięcym” żarciem. Co to mogło być? Mleko? Kleik jakiś? Miał mleko — skondensowane i w proszku. Mannę też miał, od biedy kleik mógłby ugotować. No, bo jeżeli da choremu coś nieprawidłowego i ten się rozchoruje, to czy nie będzie go potem mógł zaskarżyć? Nie — przecież nie jest lekarzem, co za nonsens!

Wstał i poszedł do kuchni gotować kleik.

Rozbitek wyszedł z łazienki parujący, zaczerwieniony od wody, ubrany w zbyt obszerne spodnie od dresu, bawełnianą, wielką bluzę z napisem sławiącym jakieś polskie piwo, oraz wielkie, treningowe buty zapinane na rzepy. Umył włosy, a raczej tę krótką szczecinę, którą fryzjer — psychopata pozostawił mu na głowie. Pomimo wrzodów, upiornego wygłodzenia i woskowych plam odmrożeniowych wyglądał znacznie lepiej.

— Posłuchajcie, Andrieju Stiepanowiczu — powiedział rozbitek.

— Dziękuję za wszystko. Wygrzałem się i już jest dobrze. Prawdopodobnie uratowaliście mi życie, chociaż naprawdę nie wiem, czy było warto. Ale — zrozumcie — pozostając tutaj, narażam siebie i was. Tak nie można. Najbardziej w świecie chciałbym tu zostać jak najdłużej — nie tylko do końca śnieżyca, ale do końca świata. Nawet nie przypuszczałem, że takie pałace w ogóle u nas istnieją. Proszę mnie posłuchać! — rzucił stanowczo, widząc, że Korpałow otwiera usta.

— Stanowię śmiertelne zagrożenie. Nie trzeba ze mną rozmawiać, nie trzeba mnie widzieć, a przede wszystkim, nie wolno mnie gościć. Nawet sobie nie zdajecie sprawy z tego, co wam robią, jeżeli mnie tu znajdują.

— Kto pana ma znaleźć!? — przerwał nareszcie Korpałow. — Kto pana szuka? Jacyś przestępcy?

Rozbitek uśmiechnął się okropnym grymasem trupiej czaszki.

— No cóż... logicznie rzecz biorąc to są przestępcy. No... suki... czy wy naprawdę nic nie rozumiecie!? — wybuchnął z nagłą desperacją. — Przecież ja jestem zekiem!

— Czym? — zapytał bezradnie Korpałow

— Zekiem! Katorżnikiem! Łagiernikiem! Zwykłym, obozowym dochodiagą, a na dodatek teraz uciekinierem! Rozumiecie wreszcie?!

— Nie — przyznał się Korpałow. — Nie zrozumiałem. Nie znam żadnego słowa z tych, które pan wymienił.

Znajdzie opadły ręce. Osłabł nagle i wydawało się, że zemdleje.

— To nieprawdopodobne. Ja rozumiem, że w Moskwie albo Leningradzie można nie wiedzieć, albo udawać, że się nie wie. W końcu w gazetach o tym nie piszą. Ale ty człowieku! Przecież żyjesz na przeklętym środku Kołymy! Tu gdzie się nie ruszyć — obóz! Co sióło to etap! Każda stacja kolejowa to transporty i transporty! Wszystko za drutami! Co dwa kroki — zona! Wszędzie psy i enkawudziści! Czy ty nie masz oczu?

Myślisz, że po co to wszystko? Te kopalnie uranu, te złote zaboje, te budowy Dalstroju, ten cały BAM wreszcie? Że kto tam pracuje? Dzielni komsomolcy? Każdy opłacany „długim rublem”? Przecież cały ten piekielny Dalstroj stoi tylko i wyłącznie Gułagiem.

Rozumiesz to wreszcie, nieszczęsny człowieku?! Jestem dysydem. Więźniem politycznym! Więźniem GA 120/364 sto pięćdziesiątego drugiego obozu, skazanym za szpiegostwo na rzecz Stanów Zjednoczonych czy Danii, już nie pamiętam, agitację kontrrewolucyjną, przynależność do nielegalnej organizacji i diabli wiedzą co jeszcze. Rozumiesz wreszcie, jakie jest ryzyko?! Dlatego, jutro rano, jak purga zelżeje, błagam was, Andrieju Stiepanowiczu, o trochę chleba i moje ubranie. Odejdę. Między innymi dlatego, że jeżeli nie zdecyduję się natychmiast, to nie zdecyduję się w ogóle. Jestem tylko człowiekiem i nie pamiętam kiedy, i czy w ogóle widziałem taką czystą łaźnię, nie pamiętam, kiedy było mi tak ciepło. Człowieku, u was nawet mydło pachnie! To burżuazyjne, kontrrewolucyjne mydło! Podobnie zresztą jak to wasze ubranie. Jest bardzo piękne, i ciepłe, ale nie mam w nim szans. W tym starym, mogę się kręcić na stacjach i stołówkach etapowych, ale w takich jaskrawych, zagranicznych ciuchach zauważą mnie od razu.

— Dobrze — powiedział stanowczo Korpałow, zupełnie oszołomiony. — Nie znam się na Syberii Jestem tu na wakacjach. W porządku — zielony turysta, każdy może mnie zrobić w konia. Nie wiem co to dalstroj, komsomolec ani suchy rubel.

— „Długi rubel” — poprawił odruchowo osłupiały rozbitek.

— Czort z nim — złościł się dalej Korpałow. — Nic mnie nie obchodzą szczególne cechy tego osobliwego rubla. Pozwoliłem panu mówić dość długo i spokojnie słuchałem tych wariactw. Pan kłamie albo jest pan wariatem. Proszę słuchać! Właśnie, że będę panu zaprzeczał! Nie jestem psychiatrą, tylko grafikiem reklamowym, natomiast jestem od pana dwa razy większy i jeżeli będzie pan agresywny, to spiorę pana na kwaśne jabłko. Jesteśmy u mnie w domu, a pan jest po prostu rozbitkiem, dlatego będzie tak, jak ja mówię. Nie jest pan żadnym więźniem, bo na tym pustkowiu nie ma żadnych więzień, poza aresztami dla pijanych Czukczów na niektórych komisariatach. To nawet ja wiem. Najbliższe więzienie jest pewnie w Archangielsku, ale tam nie trzymają ludzi ubranych w cyrkowe łąchy. Poza tym, nie przylaźł pan tu na piechotę z Archangielska w kaloszach wypchanych szmatami. Tych bredni o więźniach politycznych nie będę nawet komentował. Proszę po prostu przyjąć do wiadomości, że jesteśmy w Rosji, a nie na Kubie albo w Ameryce. W tym kraju od lat

dwudziestych nic było i nie ma żadnych więźniów politycznych, chociaż jak patrzę na niektórych polityków, to żałuję.

Poza tym, nigdzie nie będzie pan chodził. Poczekaj pan zupełnie spokojnie i bez żadnych szaleństw aż powróci łączność i ustanie burza — a to po to, żeby z Ujgurska mógł wystartować helikopter Służby Medycznej. Przylecą lekarze — pan rozumie, co mówię? Czy na pańskiej planecie są lekarze? Tacy na białą, co leczą ludzi? I zabiorą pana, ale nie do żadnego kozomolca, tylko do szpitala, a policja (pan wie, co to jest policja?) ustali pańską tożsamość. Jeżeli stracił pan pamięć, to znajdą pańską rodzinę i pojedzie pan do sanatorium nad Morze Czarne, żeby odzyskać zdrowie. A jak pan wyzdrowieje, to wpadnie pan do mnie do Moskwy, pójdziemy do irlandzkiego pubu na Puszkina, a pan w rewanżu postawi mi whisky.

A na razie będzie pan spał, dobrze się odżywił, siedział przy kominku i wypoczywał. Jeżeli ktoś pana ściga, to i tak nie znajdzie w taką pogodę. A jak się poprawi, możemy wezwać Gleba Długiego Szpona. Pan zna Gleba Długiego Szpona? Jest komisarzem policji w Ujgursku i jak na Czukczę jest olbrzymi. Ma poza tym, o, taki pistolet i ze czterech równie zawziętych czukockich policjantów. Wsiądą w helikopter albo ratrak i rozpędzą tych pańskich dalstrojów na cztery wiatry. Oni się tu nie cackają z dalstrojami, a gułaga każdy jada na śniadanie.

A teraz proszę mi więcej nie zawracać głowy i powiedzieć, co można panu dawać jeść, żeby nie zaszkodziło. Na razie gotuję kleik na mleku... a może powinien być na wodzie?

— Darujcie, Andrieju Stiepanowiczu, ale ja mam hiperawitaminozę. To się po ludzku nazywa głód. Na złotym zaboju moja racja wynosiła sześćset gram chleba dziennie i dwie miski bałandy, czasem kasza „magar” na wodzie — tak z garść, albo śledź. Czy wiecie, że według „tabel zamiany” jeden śledź równoważy dwieście pięćdziesiąt gram tłuszczu, który nam przysługuje? To by wykończyło nawet takiego, co nic nie robi, ale na złotym zaboju norma wynosi dwadzieścia kubików ziemi dziennie. Ja byłem dochodiagą, więc obcięli racje. Dochodiagę każdy bije — strażnicy biją, brygadziści biją, błatni naturalnie biją, nawet inni polityczni też biją, albo przynajmniej popchną. Rozumiecie, człowiek jak trzaśnie takiego dochodiagę, to czuje, że nie jest ostatni. Te wrzody, to Andrzej Stiepanowiczu efekt głodu. Więc nie pytajcie, co mi szkodzi. Jestem trupem, więc nic mi już bardziej nie zaszkodzi.

— Zrobię panu ten kleik. — Korpałow nie zrozumiał z tej przemowy niczego. — Mogę dać panu wszystko, co pan chce. Przywiozłem mnóstwo żywności i panu nie żałuję, ale nie chcę, żeby się pan jeszcze gorzej rozchorował. Dostanie pan kleik i herbatniki. W małych porcjach. I proszę to jeść co jakiś czas. Potem z czasem dostanie pan bulionu z jajkiem, czekolady, mięsa i jarzyn. Witaminy! — olśniło go. — Proszę pić multiwitaminę!

— Zgoda — powiedział Rozbitek. — Na razie zostanę i wypocznę. Nie będę się z wami sprzeczał. Tylko, proszę, nie mówcie do mnie „pan” — dziwnie się czuję. Nie mam pojęcia, dlaczego nie napytaliście sobie dotąd biedy przez tę manierę. Proszę do mnie mówić... Iwan Iwanowicz. To nie jest moje prawdziwe imię, ale tak bezpiecznie.

Siedzieli w jasno oświetlonej kuchni Gorypina, przy brązowym, onyksowym blacie. Rozbitek jadł gęsty kleik z manny na mleku, a Korpałow grzanki z sałatką z kalmarów. To, jak Iwan jadł, to była cała epopeja — wcale nie żarł jak zwierzę, czego można by się spodziewać — przeciwnie: spożywał kaszkę z godnością, ale i niezwykłym zaangażowaniem. Wyglądało na to, że posiłek bez reszty zaprzęta jego wszystkie zmysły. Skończył zupę, oblizał łyżkę i z żalem odsunawszy od siebie miseczkę nie noszącą żadnych śladów potrawy, łyknął herbaty. Jego oblicze pojaśniało mistyczną ekstazą. Korpałow podsunął mu cukierniczkę.



— Pan słodzi?

Iwan Iwanowicz spojrział na niego z niedowierzaniem.

— Mogę?

— Naturalnie, cukier panu nie zaszkodzi. — Przyglądał się rozbitkowi z coraz większą fascynacją. Ten człowiek robił z posiłku cały spektakl, mszę, misterium. Uczestnictwo w tym obrzędzie uświadamiało człowiekowi, jak wielkiej wagi wydarzeniem jest przyjmowanie pokarmu.

Iwan Iwanowicz słodził jak mucha.

Upił łyk i zamarł z wyrazem twarzy zbliżonym do ekstazy religijnej. Była to przyzwoita mieszanka angielskiej herbaty — nic w końcu nadzwyczajnego, ale Iwan delectował się nią niczym małmazją.

— To cudowne — powiedział. — Nawet sobie nie zdajecie sprawy, jakie to ma bogactwo smaku.

Korpałow nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Rozbitek spojrział urażonym wzrokiem.

— Przepraszam — tłumaczył się Korpałow. — Ale jest pan żywym ekranem reklamowym. Jestem specjalistą od reklamy i to pańskie „bogactwo smaku” wygląda jak żywcem wzięte z telewizji.

— To teraz w telewizji dają reklamy? — zdumiał się Iwan. — Po co?

— Jak to po co? Żeby zwiększyć sprzedaż.

— Takiej herbaty? Przecież ludzie staliby po to nocami w kolejkach.

Impas. To się trafiało co kilka zdań. Mówili tym samym językiem, ale nie byli w stanie się porozumieć. Zupełnie, jakby naprawdę pochodzili z różnych światów. Te same słowa znaczyły co innego, a za chwilę pojawiały się słowa obce. Rosyjskie, ale obce, o tajemniczym znaczeniu. Co kilka minut pojawiał się impas, i wtedy obaj rozmówcy patrzyli na siebie właśnie w taki sposób. Jak wtedy, gdy ma się do czynienia z wariatem. Tylko, że obaj tak patrzyli.

— Nie mogę pana zrozumieć. Iwanie Iwanowiczu. Proszę mówić do mnie, jak bym był cudzoziemcem z bardzo daleka. Cudzoziemcem, który dobrze zna wasz język, ale nie wie niczego więcej. Inaczej się nie dogadamy. Więc: skąd pan pochodzi i co pana doprowadziło do takiego stanu?

— No dobrze... — Iwan nagle urwał, bo Korpałow otworzył plastikowe, okrągłe pudełko playersów i zaczął w nim grzebać. Na twarzy rozbitka pojawił się wyraz żądy i chciwości. Poczęstował go. Iwan Iwanowicz przyjął papierosa jak czek na sto tysięcy, przymykając oczy przeciągnął nim pod nosem i pieczołowicie umieścił między wargami. Korpałow podał mu ogień. Rozbitek zaciągnął się uroczyście i uśmiechnął z niewysłowioną błogością. Potem ułamał filtr i zaciągnął się znowu.

— Urodziłem się — zaczął jeszcze raz — i wychowałem w Leningradzie.

— Nie wiem, gdzie leży Leningrad, proszę podać jakieś duże miasto w pobliżu.

— Duże miasto w pobliżu *Leningradu*?! — impas.

— Duże miasto. Takie jak Moskwa, Mińsk, Archangielsk, Sankt Petersburg, Odessa, Murmańsk...

— No przecież Petersburg... to teraz Leningrad...

— Byłem w Piterze dwa miesiące temu i wtedy ciągle nazywał się tak samo — Sankt Petersburg. Może ten pański Leningrad to jakaś dzielnica albo miasteczko *pod* Piotrogradem?

Iwan Iwanowicz nadal delectując się smakiem papierosa, odłożył go na popielniczkę, oparł się wygodnie, splótł ręce na blacie i zapytał bardzo spokojnie, patrząc Korpałowowi prosto w oczy:

— Więc nigdy nie słyszeliście o Leningradzie, Wenecji Północy, Mieście-bohaterze, Mieście

sławy wojennej, kolebce rewolucji? Nie słyszał pan o oblężeniu i obronie Leningradu przed faszystowskimi hordami, podczas wojny ojczyźnianej? A czy w ogóle słyszał pan o Leninie?

— Przykro mi, ale nie.

— Czy nazwisko Uljanow jest wam znane?

— Zaraz, przedstawiciel Mercedesa na Azję... ale nie — on nazywa się Uljonow. Jurij Uljonow.

Może chodzi o niego?

— Kpicie sobie ze mnie? To naprawdę stary kawał.

Impas.

— Jeszcze raz. Proszę przyjąć do wiadomości, że od czasu rewolucji wasz Sankt Petersburg nazywa się Leningrad. Jak zaczniecie go nazywać inaczej przy ludziach, to narobicie sobie kłopotu. Ja się tam urodziłem. Podczas wojny — w 1941 roku. Właśnie w Leningradzie. Pod hitlerowskimi bombami.

— To jesteśmy rówieśnikami — ja też urodziłem się w czterdziestym pierwszym, w Petersburgu, ale nie pod żadnymi bombami, tylko w klinice.

— Mój ojciec dostał się do niewoli, a potem uciekł do naszych, a oni wysłali go do Workuty. Tam umarł.

— Mój ojciec był malarzem marynistą i ilustratorem książek, a matka nauczycielką muzyki w prywatnej szkole, u madame Skworcowej.

— Toście się chyba urodzili w tysiąc *osiemset* czterdziestym pierwszym?

— Czy ja wyglądam na sto czterdzieści pięć lat?

— Nie, ale na czterdzieści pięć też nie wyglądacie. Już prędzej dwadzieścia pięć.

— Co to za wojna, o której opowiadacie?

— Wielka Wojna Ojczyźniana. Czterdziestego roku. Z Niemcami.

— Wojna z Niemcami zaczęła się w trzydziestym dziewiątym i nie toczyła się w Rosji, tylko w Polsce, Niemczech, Czechosłowacji, zdaje się w Grecji i Norwegii, i trochę w Afryce, ale to z Włochami. I wcale nie była taka wielka, chociaż Polacy twierdzą inaczej. Wojna jak wojna — dwa lata i po wszystkim. Jeżeli pański ojciec zaciągnął się do Polski na tę wojnę, to w czterdziestym pierwszym nie mógł trafić do niewoli, bo wtedy Niemcy brali już zdrowo w skórę. A poza tym dlaczego nasi wysłali go do Workuty? Do szpitala? Dlaczego tak daleko?

Impas.

— Jeszcze raz: macie jakieś podejrzone luki w historii. Wojna zaczęła się może w trzydziestym dziewiątym, ale wtedy tylko Niemcy zajęli Białą Polskę, a my Ukrainę zachodnią i Białoruś, i tyle. A potem Niemcy na nas napadli i rozpoczęła się Wojna Ojczyźniana, która trwała do maja czterdziestego piątego roku. Faszyci doszli prawie na Kaukaz — niemożliwe, żebyście tego nie wiedzieli. Przecież urodziliście się w czasie wojny — głód, kartki na chleb, bombardowania, sześć milionów ofiar...

— Iwanie Iwanowiczu. O czym pan mówi? W czterdziestym pierwszym mój ojciec kupił pierwszy samochód. Jeździliśmy potem nad Onegę na wakacje. Na mojej ulicy pachniały wiosną bzy. Chodziliśmy do zoo. Ojciec kupował mi lody w ormiańskiej cukierni, reformy Denikina udały się i w każdym domu było radio. Jeździły wtedy takie zabawne, garbate samochody, nazywały się Westenbackery — a po mieście jeździły konie. Konne zaprzęgi — opalano jeszcze węglem i te zaprzęgi rozwoziły węgiel do mieszkań, mój Boże, to był zupełnie inny świat. Pamiętam to jak przez mgłę.

Impas.

Iwan Iwanow oparł podbródek na dłoniach i pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Jesteście szaleni. Boże, jak ja wam zazdroszczę.

— Ja jestem szalony?

— Pamiętacie tyle wspaniałych, niemożliwych rzeczy. Chciałbym być w taki sposób szalony. Ja, niestety pamiętam tylko prawdę — wojnę, życie po wojnie, szarych ludzi, szare ulice, aresztowania... Po śmierci ojca, matkę wyrzucono z pracy. Nie zesłali jej jako „członka rodziny” — miała szczęście. Po roku znalazła pracę jako sprzątaczką w zakładzie gastronomicznym. Mnie nie przyjęto do pionierów — może to i dobrze. To był cud, że potem dostałem się na studia, ale to już było po śmierci Stalina, wydawało się, że teraz wszystko będzie inaczej. Zacząłem studiować i wtedy pojawiły się książki. Rozumiecie — samizdaty. Najpierw przeczytałem „Jeden Dzień Iwana Denisowicza”, — omal wtedy nie oszalałem, a potem wiersze Mandelsztama, opowiadania Warłama Szalamowa, mój Boże — tyle tego było. Miałem szczęście — prawie dwa lata spotykałem się przy wódce z innymi podobnymi idiotami z instytutu, ale nic się nie działo. A potem Żeńka Guralew został na zachodzie — wysłali go na jakąś konferencję do Sztokholmu, a on został. Wtedy się za nas wzięli — wybuchł skandal, bo Akademik Guralew miał zostać dyrektorem instytutu, a tu uciekł. Więc zrobili wielką aferę, zaczęli chodzić po mieszkaniach, no i u mnie znaleźli książki — pięć lat obozu. Co tak patrzycie? No — obozu... — łagru. Łagier to jest obóz pracy przymusowej. Takie więzienie.

— Pan ukradł te książki? I dostał pan pięć lat — za książki?

— Co? Nie ukradłem ich. Dostałem pięć lat za *posiadanie* książek. Przecież to były książki nielegalne — antypaństwowe. Za Soso dostałbym dwadzieścia. Zresztą w siedemdziesiątym drugim dołożyli mi następne pięć. Już tu — na Solówkach.

— Proszę wybaczyć, Iwanie Iwanowiczu, ale to są jakieś nonsensy — jak książki mogą być „antypaństwowe”?

— Wtedy, kiedy mówią prawdę.

— I prawda jest antypaństwowa?

— A jak sobie to wyobrażacie? Jak państwo mogłoby funkcjonować, gdyby każdy mówił, co mu ślina na język przyniesie? Ludzie muszą mieć poczucie, że ich ofiary mają sens. Cierpią, głodują, boją się, ale po to, żeby przyszłe pokolenia żyły w raju. Muszą mieć świadomość, że budują komunizm. Na co im wasza prawda? Powiecie im, że ta cała praca, wszystkie wyrzeczenia są tyle warte, ile moja harówka na złotych zabojach? Przewożenie gliny z miejsca na miejsce po to, żeby ktoś tam nabił kabzę złotem? I jak będą wtedy żyć? Jaki to będzie miało sens? Przecież się nie zbuntują, bo już nie potrafią, a wojsko i tak zetrze ich z powierzchni ziemi. Zresztą nie uwierzą wam. Tyle lat wbijano im do głowy, że żyją w najwspanialszym państwie świata, a teraz co? Mają uznać, że to wszystko kłamstwo? Przecież nie będą wiedzieli nawet jak żyć, w co wierzyć, w którą stronę oczy obrócić. Dlatego, drogi przyjacielu, prawda jest antypaństwowa. I dlatego takich jak ja, co znają prawdę, rozsmakowują się w niej i zarażają tą swoją przeklętą prawdą innych ludzi, odizolowuje się jak trędowatych i wywozi w tajgę, żeby tam zdechli.

— No dobrze. Opowiada pan bardzo przekonująco — aż ciarki chodzą po plecach. Sam zacząłem się zastanawiać, czy nie oszalałem. Jak burza ustanie, to sam pan zrozumie, że to wszystko są urojenia. Helikopter będzie pana wiozł ze sto kilometrów — proszę poprosić, żeby pana nie kładli, tylko pozwolili patrzeć przez okno. Nie zobaczy pan nie tylko setek obozów, ale nawet jednego. Nic, tylko śnieg, tajga, czasem samotna farma reniferów albo stado wilków. A potem zobaczy pan Ujgursk. Jak pana zdaniem wygląda syberyjskie miasteczko?

— Tu nie ma żadnego Ujgurska. Jest tylko Jurijewka — stacja etapowa. Dziura. Jak to — jak wygląda? Baraki, sowchoz, stacja kolejowa, bloki — czteropiętrowe, z pustaków, kryte eternitem, sklep, stołówka, koszary, druty, więzienie — właściwie przejściowy łagier, wyglądający jak łagier

— baraki, wieże, druty, wszędzie płoty z drutu kolczastego, reflektory, bocznicą kolejową, wszystko zardzewiałe i stare. Latem tonie w błocie, zimą w śniegu. Poczta tam jest, a jakże — poza tym jakieś rozgrzebane budowle, na wpół zarosłe tajgą, śmiecie, góry śmieci, puste beczki. Normalne.

— Jakieś kino? Hotel, restauracja?

— Czyście zwariowali? Jaki, job jego mat', hotel? Po co, dla kogo?

— Hotel? No, dla przyjezdnych, turystów...

— Turyści, Andrieju Stiepanowiczu, w Jurijewce mieszkają w barakach, i śpią na trzypiętrowych narach. A wybierają się na wycieczki w takie miejsca jak mój obóz. Do ścinania drzew w tajdze, do kopalni węgla, złota i uranu, do trelowania drewna, do budowania dróg. Hotel im niepotrzebny. I tak, jadą tu umierać.

— Mniejsza o te pańskie obozy. Nimi zajmiemy się później. Logika, Iwanie Iwanowiczu. Logika i ekonomia. Kto by chciał mieszkać w takim miejscu jak ta cała Jurijewka?

— Co to znaczy chciał? A co oni mogą chcieć? Co mają ze sobą zrobić? Część to robotnicy sowchozu — nigdzie nie pojedą, bo nie mają paszportów, zresztą nie puszczą — nikł im marszrutki nie podpisze... a reszta — *wolniaszki*, są na kontraktach — siedzą, liczą dni, liczą ruble, dodatki rozławkowe — policzą i pojedą sobie. A reszta, zesłańcy. Po łagrach, bez zezwolenia na osiedlanie się w centralnych republikach. Im nie wolno nigdzie wyjeżdżać i siły brakuje... No, to siedzą — w Jurijewce.

— A z czego żyją?

— Ano różnie — pracują w sowchozach, albo dalej w kopalni, ale już jako wolni. — Lżej trochę, i zawsze coś płacą. W sklepie im wolno kupować, spirytus pędzą — jakoś żyją. To lepiej, niż nie żyć.

— Ciągłe pan mówi „oni”. Nie puszczą, nie pozwolą, nie podpiszą, zamkną... Kto to są ci „oni”?

— No, władza, partia...

— Partia? Jaka partia?

— Jak to jaka? Jest tylko jedna partia. KPZR.

— Otóż nie ma takiej partii. Zresztą, to nieistotne. Jakim cudem, pańskim zdaniem, jakakolwiek partia może kogokolwiek aresztować, zabić, zmusić do mieszkania w jakimś miejscu? No, przyszliby z tej partii i powiedzieli: „Nie wolno czytać Puszkina. Albo: nie wolno czytać Lema. Albo: nie wolno słuchać Beatlesów, bo nam się tak podoba. Pojedziecie za karę do Pletewki i będziecie drwalem.” A ja na to: won. I dzwonię po policję, mówię tak i tak, ci panowie wychodzą. No i co mi zrobią?

— Co wy wygadujecie? Przecież partia to władza...

— Jest przy władzy? Jeszcze lepiej. To jak tylko ich wyrzucą, dzwonię do partii opozycyjnej i robię skandal. A potem do gazet.

— Skąd pan się urwał? Andrieju Stiepanowiczu?

— To pan się urwał. Ja tylko udowadniam, jakie bzdury pan wygaduje. Społeczeństwo to jest, Iwanie Iwanowiczu, stan dynamicznej równowagi. Pozorny bezruch, w którym drzemią potężne siły. Jedna siła nie może uzyskać przewagi bo cały układ się przewróci. Wszyscy patrzą sobie na ręce. Dlatego właśnie mamy prawa człowieka. Stąd bierze się wolność jednostki. Nawet przed rewolucją, za carów, władza nie mogła wszystkiego, chociaż, naturalnie był to despotyzm.

— To o rewolucji pan słyszał, a o Leninie i bolszewikach nie? To kto, pańskim zdaniem zrobił rewolucję?

— Zmuszono cara do abdykacji. Kto zrobił... bo ja wiem... Kiereński? Rząd Tymczasowy. Nie jestem specjalistą od historii.

— No, ładnie. A kto obalił pański Rząd Tymczasowy?

Zapadła cisza.

— Jak to... nikt nie obalił. Po paru latach zrobiono wybory i zarazem referendum konstytucyjne. Stołypin znowu został premierem. Zaczęły się nasze czasy — i tak jest do tej pory. Mamy trzy główne partie... ale z początku było ze dwieście. Wybory... przekłeta burza. Gdyby nie to, włączyłbym telewizję i sam by się pan przekonał, przecież wystarczyłyby wiadomości. Zaraz! — olśniło go nagle. — Zaraz panu udowodnię, że Ujgursk istnieje.

— Ciekaw jestem w jaki sposób — powiedział sceptycznie Iwan Iwanowicz i z lubością łyknął herbaty.

— Jedną chwileczkę, ja zaraz... — Korpałow zerwał się od stołu i jął nerwowo przetrząsać puste kartony po żywności, rozłokowanej już w szafkach, lodówce i zamrażarkach. Iwan Iwanowicz popatrzył na niego z rozbawieniem i delikatnym ruchem zawodowego kieszonkowca wyciągnął kolejnego papierosa z paczki.

— Zaraz, przecież ja robiłem tam zakupy, brałem rum, pepperoni, mrożone brokuły i świeże owoce... — mruczał Korpałow, grzebiąc w papierowych torbach i pustych kartonach. Iwan Iwanowicz przyglądał mu się z ledwo maskowanym rozbawieniem. Zapalił ukradkiem następnego playersa.

— Mam! — zawołał tryumfalnie Korpałow, wymachując wąskim paskiem papieru. — Proszę bardzo.

— Co to jest? — spytał rozbitek zmęczonym głosem.

— Rachunek ze sklepu w Ujgursku. Proszę — ceny, adres, wszystko. Proszę czytać.

— Rum Navy 1 but. Piętnaście dziewięćdziesiąt dziewięć R. Herbatn. Babusz. Ludy 6 op. Dwanaście dwadzieścia...

— Nie to! — przerwał niecierpliwie Korpałow. — Proszę czytać niżej, na samym dole kartki.

— Suma, sto osiemdziesiąt cztery, dwadzieścia. Kasjer: Stiepanow, Maksym, Nikołajewicz. Zapraszamy ponownie i życzymy miłej podróży. Sklep całodobowy „Czukocka faktoria”, Ujgursk ulica Kiereńskiego sto dwadzieścia dwa. Kołyma. Także dostawy do domu, w promieniu stu kilometrów. Telefon 245 — 2123242...

— Mniejsza o to — gorączkował się Korpałow. — Proszę, to jest rachunek za wynajęcie śniegołaza, to jest mój paszport, prawo jazdy, karty kredytowe, a to są pieniądze.

— Takie małe?

— Takie małe i sztywne, żeby wchodziły do automatów. To są banknoty nowej emisji. Przedtem były dużo większe. Proszę tego nie drapać, to jest hologram.

Pokaz nie osiągnął zamierzonego efektu. Iwan Iwanowicz wpatrywał się w rozłożone na kuchennym blacie plastikowe karty zupełnie obojętnie, jakby nic mu nie mówiły. Wyglądało na to, że są tak odległe od jego doświadczenia, że nie jest w stanie nie tylko zaakceptować ich znaczenia, ale nawet ogarnąć go umysłem.

— To ma być paszport? — zapytał ironicznie, unosząc plastikową kartę. — Z tym kwitkiem nie dojedziecie nawet do najbliższego punktu kontroli. Na tym jest dwugłowy orzeł.

— A co ma być? To jest herb naszego kraju. I jakiego punktu kontroli? Ja z tym jeżdżę za granicę. Impas.

— Wybaczcie, Andrieju Stiepanowiczu, ale jestem zmęczony. Wskażcie mi jakieś miejsce, gdzie mógłbym się położyć.

— Połóż się pan w pokoju gościnnym. Wszystko przygotowałem.

Do pokoju gościnnego, urządzonego skromnie i przytulnie, w takim pseudo wiejskim stylu prosto

z Ikei, Iwan Iwanowicz wchodził jak do muzeum. Głaskał puchaty koc, z szacunkiem zbadał temperaturę olejowego grzejnika, zapalił i zgasił nocną lampkę.

— Nie mogłem znaleźć pościeli — tłumaczył się Korpałow — więc posłałem panu tylko prześcieradło. Ma pan tu śpiwór, jest bardzo ciepły, ale gdyby pan marzył, proszę się jeszcze nakryć kocami. Proszę spać do syta. Jest pan wycieńczony.

Korpałow spał ciężko i śniły mu się koszmary.

Szedł ulicami Moskwy, ale to była inna Moskwa, nie taka, jaką znał. Usiłował trafić do domu. Do swojego ukochanego mieszkania, z panoramicznymi oknami wychodzącymi na śródmieście i rzekę widoczne z trzydziestego piętra. Ale tutaj nie było jego wieżowca, nie mógł trafić nawet na żadną znajomą ulicę.

Ulice były szare, nienormalnie szerokie, sunęły po nich z rzadka brzydkie, obce pojazdy o topornych kształtach. Chodniki wyłożone krzywymi, połamanymi płytami były pełne ludzi, okutanych w grube płaszcze i palta w rozmaitych odcieniach szarości, czerni i brązu. Nie było kawiarenek ani herbaciarni, z których to miasto słynęło, nie było reklam ani neonów.

Szedł coraz szybciej, potrącany przez przechodniów cuchnących wódką i podłym tytoniem o dziwnie odrażających, fioletowych twarzach, jakby zniekształconych chorobą, oglądały się za nim monstrualnie grube wiejskie baby, owinięte chustami. Brudny, nigdy nie sprzątany śnieg skrzypiał pod podszewkami.

Gapili się na niego, bo się wyróżniał. Był czysty. Nienormalnie czysty, gładko ogolony, a jego polarna kurtka lśniła na tle szarego tłumu jaskrawymi barwami. Z jakiegoś powodu wiedział, że to niebezpieczne i dlatego szedł coraz szybciej, wciąż nie mogąc trafić w żadne znajome miejsce. Mijali go jacyś mundurowi w dziwnych, archaicznych płaszczach w kolorze stali, wysokich butach i absurdalnie szerokich, okrągłych czapkach z czerwonymi otokami; ich bał się najbardziej. Wiało od nich grozą i skoncentrowanym niebezpieczeństwem, niczym od drapieżników.

Skreślił w jakąś boczną ulicę, równie brudną i niechlujną jak pozostałe, tylko znacznie węższą. Zewsząd osaczały go brudnożółte ściany pokryte liszajem i łalami ukrazonego tynku, okna zasłonięte podartymi firankami, zaklejone dyktą i arkuszami folii. Zaczął biec. Musiał znaleźć przynajmniej jeden normalny sklep, dom albo kawiarnię. Jeżeli mu się nie uda, nigdy nie trafi do domu i pozostanie tu na zawsze.

Ta Moskwa nawet pachniała inaczej. Jego miasto spowite było aromatem pulsującego w pośpiechu życia, wypadkową zapachu milionów ludzi i ich działalności. W powietrzu unosił się swąd spalin, zmieszany z zapachem perfum, aromatem gruzińskich i chińskich kuchni, kawy, tytoniu, mrozu i pieniędzy.

Tutaj cuchnęło zastarzałym odorem pleśni, strachu, nędzy i nudy.

Nad bramami łopotały jakieś czerwone szmaty na kijach. Gładkie, czerwone flagi, bez żadnych znaków ani symboli, niczym proporce sygnałowe. Oznaczały coś. Coś strasznego. Biegł.

Biegł, roztrącając tłum zgromadzony przed sklepem pozbawionym nazwy i reklam, z brudnymi, pustymi witrynami. Mijał grupki mężczyzn o zaciętych, bandyckich twarzach, stojących z rękami w kieszeniach starych jesionek przed jakąś speluną. Mijał leżących wprost w śniegu pijaków i tajemnicze, archaiczne samochody pomalowane na biało-zielono, z napisem „GAI” na drzwiach. Biegł coraz szybciej, a straszna, obca Moskwa osaczała go, wciągała coraz głębiej w zaniedbane, pokryte śniegiem parki, na ponure place z dziwnymi, olbrzymimi i zarazem topornymi pomnikami.

Skreślił za kolejny róg i nagle, w rozbłysku radości zobaczył kopuły Kremla. Dobrze znane, pokryte barwną mozaiką albo złote. Był uratowany. Byle na Plac Maneżowy, stamtąd z łatwością trafi do domu. Puścił się biegiem, niemal płacząc z radości. Jeszcze tylko kawałek, zaraz zagłębi się

w doskonale znane ulice, ucałuje chodniki, z radością zanurzy się w zbity, barwny tłum, a nad nim, mimo pochmurnego nieba zabłysną tysiące reklam, napisów i neonów. Z rozkoszą spojrzy na pełnące w gigantycznych korkach miliony pojazdów, ziejące zachwycającymi kłębami spalin, zanurzy się w zgiełk rodzinnego miasta.

Zatrzymał się w pół kroku, czując, jak strach wypełnia mu zimnym ołowiem żołądek. Plac Maneżowy był zupełnie pusty. Herbaciarnie, wózki z kwiatami, sklepy z pamiątkami, kłowni na szczudłach, studenci Akademii Muzycznej grający pod ścianami Starówki, dorożki — zniknęły bez śladu. Plac Maneżowy był olbrzymi, pusty, jakby złowrogi tytan zamiótł go z wszelkich śladów życia i wyszorował gigantyczną szmatą do podłogi. Burą, przemysłową szmatą ze zmielonej włókniny.

Spojrzał na Kreml, szukając ratunku, ale i Pałac był inny. Na szczyty wież nasadzono jadowicie czerwone pentagramy, a front obudowano prostokątnymi, barbarzyńskimi budowlami, nie przypominającymi niczego. Wszędzie łopotały na drągach szmaty o barwie krwi, niczym mulety pozostawione przez obłąkanych torreadorów. Nad placem górowała prostokątna, kratowa konstrukcja, z czerwoną planszą. Była olbrzymia, jak ekran gigantycznego, krwawego kina dla zmotoryzowanych. W rogu umieszczono na niej schematyczny, kontrastowy portret jakiegoś łysola z kosią bródką i chytrymi, lisimi oczkami, oraz napis: SŁAWA CZERWONEJ ARMII. Centralne miejsce planszy zajął dziwny, złowrogo wyglądający symbol młota, skrzyżowanego z jakimś hakiem, przypominający znak na pirackiej banderze.

Plac Czerwony. Czerwona Armia. Czerwone flagi. Czerwona mgła. Czerwone szaleństwo.

Sino-szare, zimowe niebo nad jego głową zmieniło nagle barwę na ceglastą i lunął z niego ciepły deszcz. Podniósł twarz, pozwalając, by krople rozgrzały mu zziębnięte policzki i poczuł je na wargach. Deszcz był rozgrzany, gęsty, o słonym, metalicznym smaku. Otarł twarz i spojrzał na swoją dłoń. Była czerwona, pokryta świeżą krwią. Kopuły Kremla, wyślizgany marmur Placu, ulicę, cerkiew, wszystko spływało posoką. Usłyszał płaski, drewniany huk, potem następny i następny. Padał grad. Wielki jak owoce melona, biały. Czaszki. Spadały wokół niego i rozbijały się o nawierzchnię placu z odgłosem suchych, pistoletowych wystrzałów.

Korpałow wbił palce we włosy, odrzucił głowę do tyłu i zaczął krzyczeć.

Obudził się w ciemnościach, siedząc na łóżku, dygocząc i ocierając gwałtownie twarz z ciepłej, słonawej wilgoci. Krew!

Po omacku zapalił światło. Nocna lampka w mgnieniu oka ukazała belkowane ściany, półki, szafę, sosnowe biurko, grubo tkany czukocki chodnik i skórę z renifera na ścianie. Za oknem buran walił w zamknięte okiennice i wył w śnieżnej pustce. Syberia. Wakacje. Dom.

Spojrzał na swoje dłonie. Były wilgotne. Wilgotne od potu.

— Och, Boże ty mój... — jęknął i przeżegnał się zamaszystym, skośnym gestem. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, pierś poruszała się w gwałtownym oddechu, jakby właśnie wbiegł na dziesiąte piętro. Uspokajał się, ale wciąż czuł gasnący powoli pod czaszką nastrój koszmaru, opornie wygasający na powierzchni kory mózgowej niczym uczuciowy powidok zmyy.

Bał się zasnąć. Poczuł parcie na pęcherz, potrzebę wypicia szklanki ciepłego mleka, wypalenia papierosa w czystej kuchni z onyksowymi blatami, wśród milutkich, glinianych pojemniczków na przyprawę i szafek z fińskiej brzozy.

W kuchni płonęło światło, zalewając jaskrawym, jarzeniowym blaskiem panujący tam rozgardiasz, przywodzący na myśl napad zgłodniałych jaskiniowców, bądź wściekłego rosomaka. Rozdarte, puste pudełko po wędzonym owczym serze, wybebeszona foliowa foremka z resztkami pasty z szynki, nadgryziona tabliczka czekolady, pusty karton po maślanych herbatnikach, resztki opakowań po wędlinach, pieczywie, margarynie, nadpita oliwa z oliwek, spłaszczony, pusty tuby po

mleku skondensowanym i kremie z wędzonego łososia.

Poza śladami pospiesznej, dzikiej uczty, na której pożerano salami na przemian z konfiturą truskawkową i czosnkowy twaróg z miodem, w kuchni znajdowały się też tropy niepokojące, przywodzące na myśl wydarzenia gwałtowne i tajemnicze. Oto przewrócono kubek i wołowy bulion chlusnął na podłogę, znacząc na posadzce tłustą plamę. Oto pozostawiono uchylone drzwiczki szafki, z której poleciało na podłogę pudełko makaronu i pojemnik z herbatą. Oto puszka kawy instant gwałtownie potoczyła się pod blat, znacząc swoją podróż półksiężycem brązowego proszku. Oto bezcenny dla rozbitek papieros wypalił się samotnie na obrzeżu stalowego zlewu i zamienił w wałeczek popiołu. Oto przewrócono taboret.

Odruchowo postawił stołek z powrotem na nogach i wyszedł z kuchni. W łazience paliło się światło, dobiegał stamtąd szum płynącej z kranu wody i odgłosy gwałtownych torsji, a potem dziwny dźwięk, jakby szloch albo spazm niepowstrzymanego płaczu.

Zastukał w drzwi.

— Hej! Wszystko w porządku? — Nie uzyskał odpowiedzi, ale dotarły do niego uspokajające, zwykle odgłosy. Szuranie po posadzce, strumień wody ucichł, hałaśliwie wydmuchano nos.

Korpałow spojrzał na belkowany sufit, wzywając niebiosą na świadka swojej udręki i zabrał się do porządków w kuchni, klnąc pod nosem.

— Proszę wybaczyć, ale obudziłem się taki głodny... — wymamrotał przepaszająco rozbitek. — Ja zaraz...

— Kompletnie panu odbiło! — warknął Korpałow. — Koniecznie panu spieszo na tamten świat? Przecież tłumaczyłem, że nie wolno przeciążać żołądka! Zupełnie jak dziecko! Pilnować mam pana, czy jak? Całe szczęście, że się pan porzygał. — Urwał, bo skonstatował ze zgrozą, że Iwan Iwanowicz ma łzy w oczach.

— Jak dziecko... — mruknął tamten przez łzy — raczej jak zwierzę... Boże mój, co się ze mnie zrobiło... ale musi pan zrozumieć, że nie jestem dzikusiem. Łagier zabił we mnie człowieka, poza tym przeżyłem wczoraj własną śmierć.

— Rzeczywiście... — pokręcił głową Korpałow. — Gdybym nadjechał parę minut później...

— Nie o to chodzi... Mnie wczoraj mieli rozstrzelać... Dlatego wyprowadzili za zonę, do tajgi.

— Rozstrzelać? Za co?

— Za darmo! — fuknął wściekle rozbitek. — Na postrach, za niewyrabianie normy. Katorżnik to jest zwierzę robocze. Jeżeli takie zwierzę nie przynosi już zysku, a nie chce samo umrzeć, to sieje zabija. Także teraz! Może już nie setkami, ale od czasu do czasu — kto im zabroni.

— Jezu... — powiedział ze zgrozą Korpałow. — Bez sądu? Co na to inni ludzie? Przecież ci więźniowie mają jakieś rodziny, przyjaciół... Nikt się o nich nie upomina?

— Nie — powiedział Iwan Iwanowicz twardo. — Nie umiem wam wyjaśnić tego wszystkiego. To przekracza moje siły. To zupełnie, jakby tłumaczyć takie rzeczy dziecku, tylko że dzieciom nie wolno o tym mówić. Jesteście taki niewinny w tym swoim szaleństwie, że nie mam ochoty tego burzyć. Chodźmy spać. Jutro będzie czas na rozmowę.

— Dam panu coś na sen — powiedział Korpałow.

\* \* \*



Obudził się nagle i zerwał szybko z łóżka, nie mając pojęcia czy to dzień, czy noc. Za oknem wiał wiatr, szarpiąc okiennicami. Burza śnieżna trwała nadal. Zapalił światło i postanowił poczytać, ale wtedy przypomniał sobie nieszczęsnego rozbitka i zaczął się zastanawiać teoretycznie, co zrobi, jeżeli tamten w nocy umarł. Na dokładkę, książki zostały w bagażach, a w zasięgu ręki nie było niczego ciekawego, poza tanim, kieszonkowym wydaniem „Wojny i pokoju”. Ostatecznie postanowił zejść na dół, przyrządzić coś do jedzenia i nazwać to śniadaniem. Podróż samolotem, potem jazda przez zamrożone pustkowia, gdzie od śmierci dzieliło go tylko sprawne działanie silnika. Wreszcie dziwaczna akcja ratunkowa i szalony rozbitek żyjący w świecie paranoicznych urojeń.

Olśnienie przyszło zniemacka, kiedy golił się, patrząc na swoje poczciwe oblicze w lustrze. Program oglądany miesiąc temu, jeszcze w Moskwie. Pamiętał planszę z dwoma zdjęciami. Na jednym przystojna, granitowa twarz młodego kapitana lotnictwa. Szaroniebieski mundur, bączek na czapce ozdobiony skrzydełkami. Oficer Lotnictwa Gwardii. Na drugim, ta sama twarz, ale już bez munduru. Ogolone włosy, bury drelich, zapadnięte bezzębne usta, wielkie, przerażone oczy. To ten sam kapitan lotnictwa, ale już po tym, kiedy to przez parę lat gościli go mili obywatele Socjalistycznych Stanów Ameryki. Ten sam kapitan, zestrzelony podczas lotu zwiadowczego gdzieś nad Alaską. Zamiast granitowej szczęki, zapadnięte policzki i blizna tnąca usta. Nerwowe tiki. Nie do rozpoznania, jak dwóch różnych ludzi.

I oczy, w których na zawsze zastygła jak bazalt polarna groza.

Takie same jak u Iwana Iwanowicza.

Pamiętał też suchy, rzeczowy głos spikera, opowiadający o torturach, obozach pracy na Alasce i Florydzie o egzekucjach i jakiejś straszliwej procedurze, która sprawiła, że oficer Gwardii, patriota, członek elity, cudem odzyskawszy wolność, umiał tylko wygłaszać idiotyczne slogany o robotnikach Ameryki i kraju poprawnej socjalistycznej polityki rządzonym przez filozofów, jak Respublica Platona. O szczęśliwych komunach zakładanych jeszcze przez pierwszych osadników. O Union Trade, które przeprowadziło rewolucję na strasznym dniu Wielkiego Kryzysu. Siedział w studio i powtarzał mechanicznie, że jednostka się nie liczy, liczy się tylko dobro klasy pracującej. A także mniejszości etnicznych. I nowe, straszne słówko z ust spikera — „pranie mózgu”.

W kuchni zastawiono stół do śniadania. Syczał elektryczny samowar, na półmiskach i deskach do krojenia rozłożono jesiotra, suszoną rybę, kawior z puszki i ogórki. Kiełbasę krakowską i szynkę.

Korpałow zwykle jadał na śniadania bułkę z dżemem i popijał kawą.

Natomiast na pewno nie wypijał z samego rana butelki „Smirnowskiej”.

Rozbitek stał na baczność przy stole i uśmiechał się. Przed jego krzesłem posłusznie stała miseczka kleiku.

— Iwanie Iwanowiczu, przecież pan jest gościem — obruszył się Korpałow. — Jak tak można?

— Andrieju Stiepanowiczu, inaczej nigdy się nie dogadamy. Usiądźmy jak ludzie. Jak Rosjanie. Napijmy się i spróbujmy coś z tego wszystkiego zrozumieć. Myślałem nad tym przez całą noc — rozbitek usiadł i nalał herbaty. — No, bo jak daleko jest do mojego łagru? Wyprowadzili mnie kilkaset metrów od bramy — w tajgę. Chyba chcieli upozorować ucieczkę. Potem kazali iść przodem i wtedy ogarnęła mnie ta dziwaczna, rozświetlona mgła. Pewnie od zorzy. Naprawdę zacząłem uciekać, nie dlatego żebym wierzył, że to coś da, ale wolałem tak — w biegu... Zawsze lepiej niż na kolanach. To trudno wyjaśnić, ale prawie się już nie bałem. Bieg pomaga. Tylko że nie mogli mnie trafić. To brzmiało, jakby strzelali w inną stronę albo z daleka. A przecież kiedy zacząłem biec, miałem ich o dwa metry, najwyżej trzy. Jeden z tych enkawudzystów — Susanow, miał automat. I wiem że strzelał serią. Dlaczego więc nie trafił?

Potem biegłem może z pół godziny. Więcej przecież nie dałbym rady. Leciałem, jakbym miał

skrzydła u ramion, ale jestem słaby. Ile mogłem ubiec? Człowiek biegnie jakieś piętnaście, dwadzieścia kilometrów na godzinę, ale jak jest zdrowy i wygimnastykowany. Mój bieg — to był najwyżej trucht. Z pewnością zresztą kluczyłem. A jak daleko stąd pan mnie znalazł?

Korpałow zamieszał herbatę i zastanowił się.

— Nie więcej niż piętnaście kilometrów. Była burza. Jechałem powoli. Bałem się, że zgubię drogę.

— Właśnie. Skąd tu nagle droga?

— Nie rozumiem. Na Syberii może nie być niczego, ale drogi muszą być i to dobre. To akurat zresztą żadna autostrada. Raczej szlak wyznaczony tyczkami. Przecież inaczej żyć by się nie dało.

— Tak czy inaczej, mój obóz powinien być nie więcej niż dwadzieścia kilometrów stąd. Dopóki wieje buran, jesteśmy bezpieczni, ale jak ustanie — ściągną wojsko, psy, milicję. Znajdą nas, Andrieju Stiepanowiczu. Chyba że...

— Chyba, że — co?

— Po pierwsze, mogą uznać, iż nie miałem prawa przeżyć. W takim razie poszukają jeden dzień, własnymi siłami, żeby znaleźć ciało. Nadal mogą nas wówczas znaleźć. To blisko. Jest jeszcze druga odpowiedź. Szalona, ale u nas wszystko jest możliwe.

— Jaka?

— Napijmy się najpierw.

— Proszę wybaczyć, Iwanie Iwanowiczu, ale tak z rana... a ja właściwie prawie nie piję wódki. Jeżeli pan ma ochotę, to proszę wypić, ale...

— A kto mówi tu o picciu? Parę kieliszeczków. Jak inaczej rozmawiać?

Trzasnęła nakrętka, zmrożony gęsty płyn zbulgotał, spływając oleście do ogromnej, graniastej szklanki przeznaczonej do picia kwasu lub soku. Korpałow wytrzeszczył oczy. Iwan przekręcił butelkę i zmrużył oczy, czytając etykietkę.

— „Wytwórnia spirytualiów w Carskim Siole, spółka akcyjna”. Czorty! O wszystkim pomyśleli. Proszę — Podatek Akcyzowy, Ministerstwo Skarbu Republiki Rosyjskiej. *Republiki Rosyjskiej*. Proszę. To co? Chłop jak dąb i takiej maleńkiej szklaneczki wódki nie wypije? Zdrowie Republiki Rosyjskiej!

Korpałow westchnął i dzielnie wypił łyk. Aż go zatrzęsło. Odczekał przez chwilę, aż uspokoją się konwulsje żołądka, potraktowanego na czczo upiornym, czystym destylatem, a potem wypił kwas chlebowy prosto z puszki.

Iwanow Iwanowicz pił niespiesznie — duszkiem. Wyraźnie było widać, jak porusza chudą grdyką i przełyka wódkę, jakby gasił pragnienie szklaneczką wody „Borżomi”. Odstawił pustą szklankę i westchnął.

— Ależ gorzałka! Jak woda! W życiu takiej nie piłem. Ależ czysta. Skąd ją, gady wzięli?

Sięgnął po maleńki korniszon.

A potem nalał następną pełną szklanicę i z najwyższym spokojem, godnie spożył kleik.

— Posłuchaj, brat! Dawno z nikim nie rozmawiałem po ludzku. Odzwyczajęm się rozkrawać duszę. Ale opowiem ci o Magadanie. Posłuchaj!

— Dlaczego o Magadanie? Co to jest?

— O Magadanie też nie słyszałeś? To port. Miasto—obóz. Zbudowane rękami takich jak ja. Katorżników. Tam się rozprowadza transporty. W tajgę, do kopalni złota, węgla albo uranu. Jak ktoś trafi na uran, to się cieszy głupi. Lepsze racje. Specjalne. Katorżnik szybko uczy się myśleć żołądkiem, tymczasem tam śmierć w trzy lata. Radiacja. Miałem szczęście, bo trafiłem na złoto. Ale nie od razu.

Zdrowie, brat!

Za oknami wylał zamieć. Wiał buran. Mijał czas i dwóch ludzi próbowało rozmawiać. Tak zwyczajnie, jak ludzie. Nie udawało się. Żadnych punktów stycznych. Iwan opowiadał o sobie, ale jego wspomnienia, choć przerażająco konsekwentne, brzmiały absurdalnie. Z jego opowieści wyłaniał się dziwaczny obraz społeczeństwa jakichś donosicieli i kanalii, wymieszanych z ludźmi niewiarygodnie dobrymi, taką dziwaczną, tragiczną szlachetnością wbrew wszystkiemu. Kraju wściekle niegościnnego i drapieżnego, przepojonego głębokim smutkiem nad własną nikczemnością i tęsknotą za tym, by być innym krajem. Ziemi, nad którą wisiało jakieś przekleństwo.

Na stole leżały pozostawione podczas wczorajszej rozmowy przedmioty, którymi Korpałow dowodził istnienia prawdziwego świata. Pięćdziesiąt rubli w różnych nominałach, paszport, rachunek ze sklepu. Naprzeciw nich rozbitek zaczął wykladać niczym karty, przedmioty ze swojego woreczka. Pudełko „zapalek”, przeciwko rachunkowi. Listy od różnych ludzi, pisane przez dziesięć lat, opatrzone przeróżnymi pieczęciami, kontra dziesięcio- i dwudziestorublówki emitowane przez Bank Centralny. Papierosy „Bielomorkanał”, przeciwko butelce „Smirnowskiej”. Naszywka Uswitłagu z waciaka, przeciwko paszportowi Federacji Rosyjskiej.

— Słuchaj, brat! — Iwan oparł się o stół i przegryzł kawałkiem kiełbasy. — Było tak: zwariowałeś. Zwyczajnie. Ludzka rzecz. Tak to u nas jest, że czasem najlepiej zwariować. Niejeden by chciał. A to znaczy, że byłeś dobrym człowiekiem. Ale nie zwyczajnym. Zwyczajny człowiek pojechałby do psychuszki i cześć. Trudno ci będzie uwierzyć, ale wymyśliłeś sobie Rosję. Łagodną, bogatą i sytą. Taką, do której każdy tęskni. Taką jaka powinna być, ale nigdy nie była i nie będzie. Zupełnie niemożliwą. Wymyśliłeś w każdym, najdrobniejszym szczególe. Tak dokładnie, że zaczęło to wyglądać na wspomnienia. Schowałeś się w niej. Wytarłeś z mózgu wszystko inne i dlatego teraz pamiętasz — te Onegi, akacje, ormiańskie cukiernie. Coś, czego nigdy nie było. Jednak musiałeś być kimś ważnym. Specjalnym. Więc nie mogli cię zamknąć u czubków. Nawet w jakimś rządowym spec — szpitalu. Z jakiegoś powodu nie mogli także zlikwidować. No to zesłali tutaj. Zbudowali ci tę twoją Rosję. Maleńką. Tę chatę, może jeszcze ten cały Ujgursk. Spec — zona. Wszystko ciche, piękne i bogate. Ubrani w zagraniczne ciuchy aktorzy. Drukują ci gazety i nakleją nibyrosyjskie etykiety na importowane towary. Będiesz tu siedział, czasem cię odwiedzą ubrani w carskie mundury, powiedzą: „Z Bogiem, gospodin Andriej Stiepanowicz, jesteśmy białą policją z Ujgurska. Wszystko u was w porządku?”. Aż strach pomyśleć, po co ta komedia. Naturalnie, nie pamiętasz niczego z prawdziwego życia. Może widziałeś coś zbyt strasznego albo ważnego? Może chodzi im o to co pamiętasz, a co jest im potrzebne? Byłeś konstruktorem jakiejś potwornej broni? Może agentem wywiadu? Andriej Stiepanowicz zwariował! I jak się teraz dowiemy? Jak to z niego wydobyć? Opiekować się — może sobie przypomni? Tymczasem do tej waszej maleńkiej rajskiej Rosji trafił katorżnik. Co teraz będzie?

Wiem, że ciężko w to uwierzyć, ciężko zrozumieć. Ale ja wiem, że musi być jakieś wyjaśnienie. Przemysł to, brat!

Zdjął ze ściany gitarę Gorypina i zaczął ją stroić. Korpałow siedział i przez chwilę sam już nie wiedział, kto ma rację. A jeżeli wszystko co pamiętam to urojenia? A jeżeli wszystko co widzę to tylko teatralne atrapy? Za oknem purga, zamknięte drzwi i okna, radio nie działa — jak to sprawdzić?

Wyjechał na wakacje na Syberię, żeby choć raz w swoim uporządkowanym życiu zrobić coś prawdziwego. Żeby uciec od plastikowego świata Moskwy i kampanii reklamowych. Od tandetnych lat siedemdziesiątych.

Więc jak — jego życie było nudne, monotonne i płaskie czy po prostu urojone?

Mama, Wiera, Stiopa Gorypin i inni, bliscy mu ludzie. Czy mogli być tylko wytworem

wyobraźni?

Istniała chatka myśliwska w tajdze. Istniał też biały jak zaćma buran. Tyle można było wiedzieć na pewno. Co było dalej?

Iwan oparł gitarę na udzie, wypił jednym łykiem pół szklanki i przebiegł palcami po gryfie.

*Bimbru, piwa, śledzia, chałwy wziąłem ja,*

*Do plecaka spakowałem rzeczy te*

*I do czubków pojechałem na pół dnia,*

*Żeby z bratem mym, wariatem, spotkać się.*

*Ach u czubków żyć, to jak wygrać los;*

*Chcesz to pospać idź, chcesz to myśl na głos,*

*Wszystko wolno im: mogą czekać, wyć,*

*Stalinami być, Hitlerami być...\**

Korpałow uświadomił sobie, że bardzo wygodna i w pewnym sensie oczywista teoria iż ma do czynienia z wariatem, w wielu punktach opiera się na niechlujnym rozumowaniu. Istniały przecież dowody rzeczowe. Chory umysł Iwana Iwanowicza mógł wyprodukować wspomnienie o straszliwej tyranii rządzącej Rosją, obozach i półniewolniczym systemie społecznym, wymyślić tych szatańskich Leninów czy Stalinów, ale z całą pewnością nie mógł wyprodukować kolekcji listów, czarnych, koślawych kaloszy, cudacznym papierosów wypchanych paździerzami, nie powołał też do istnienia tego brzydkiego pudełka zapalek ani topornej łyżki.

Natomiast spisek ludzi tak perfidnych i potężnych, jakich obraz Iwan Iwanowicz rysował w swoich opowieściach, niewątpliwie mógł wystawić daczę Gorypina i zamówić gdzieś wyposażenie. Mógł wznieść atrapę miasteczka Ujgursk.

Korpałow widział tamten świat — we śnie. Czy to znaczy, że jednak go pamiętał?

Cierpła mu twarz i dłonie. I chyba w życiu nie czuł się tak przerażony. Miał wrażenie że zaraz zemdleje. Od kilku dni pamiętał tylko tajgę, śnieg i wiatr. Lotnisko, pakowanie się do wyjazdu, rozmowa z Gorypinem w gruzińskiej knajpie, ostatnie dni przed wakacjami były odległe i nierzeczywiste. Możliwe, żeby miało to miejsce przedwczoraj?

Kto da głowę za swoje wspomnienia?

Dwie talie przedmiotów leżały na stole naprzeciw siebie, jak wrogie armie.

Iwan Iwanowicz przestał grać i oparł podbródek na dłoniach splecionych na pudle gitary. Też patrzył na przedmioty i kiwał smutno głową. Wydawało się, że smakuje swoje niechciane zwycięstwo. Wolałby przegrać, ale wygrał, niestety.

Jeszcze nie.

Korpałow łyknął wódki, wzdrygnął się i przegryzł jesiotrem.

To jeszcze nie koniec.

— Było trochę inaczej — powiedział. Rozbitek spojrzał na niego jakby z nadzieją. — Byłeś oficerem. Lotnikiem, marynarzem łodzi podwodnej, może agentem wywiadu. To wszystko o czym opowiadasz, rzeczywiście ma miejsce. W ogólnych zarysach wygląda bardzo podobnie, ale nie dzieje się w Rosji. Ma miejsce na drugiej półkuli. W Ameryce. W kraju, który powstał tam po rewolucji w czasie tak zwanego Wielkiego Kryzysu. W Unii Socjalistycznych Stanów Ameryki Północnej. Tam zapewne są i te obozy, i tajna policja, i te kopalnie. Nie wiem o tym wiele. Robię swoje. Nie interesuję się polityką. Prawdę mówiąc, nigdy nie chciałem o tym nic wiedzieć. Trwa zimna wojna. Oni, Amerykanie, mają broń atomową. My — Pakt Euroazjatycki, też. Trzymamy sobie nawzajem lufy przy skroni. Tylko o ile my chcemy spokojnie żyć i pracować, oni chcą rozpętać takie

same rewolucje, jak ich własna Druga Rewolucja Amerykańska, na całym świecie. Nasz świat stoi na skraju przepaści, Iwanie Iwanowiczu. Wojny, z której nikt nie wyjdzie żywy. Mają już w rękach połowę Afryki. Japonia już należy do amer–socu. Indie również. Mamy ich prawie za miedzą. Rakieta wystrzelona przez nich leciałaby na Moskwę — bo ja wiem... dziesięć minut? Co zrobisz? Ewakuujesz dziesięćmilionowe miasto? W dziesięć minut? To tyle czasu, żeby się przeżegnać.

Byłeś żołnierzem tej cichej wojny. Zastanów się, może coś ci się przypomni: Republikańska Ochrona? Korpus Gardermarinów? Lotnictwo? Kapitan, komandor, major, pułkownik? Dostałeś się do niewoli. Wystarczyłoby zresztą, gdyby doszło do katastrofy gdzieś w pobliżu ich granic. Na Oceanie Spokojnym? W cieśninie Barentsa? Dość że wpadłeś im w łapy. Ich obywatele lądują w obozach i tyrają przy szybach naftowych i kopalniach, albo na plantacjach. Ale dla naszych jeńców mają specjalne postępowanie. Widziałem o tym niedawno program — nazywa się to „pranie mózgu”. Długotrwała obróbka fizyczna i psychiczna. Coś w rodzaju leczenia psychiatrycznego na odwrót. Chodzi o to, żeby z normalnego człowieka zrobić świra zakochanego w ich tyranii. Nazywają to reedukacją albo terapią prosocjalną. My to nazywamy „praniem mózgu”. Jednak do tej pory ludzie, których udawało się uratować, wracali po prostu ślepo lojalni wobec ich reżimu i wrogo nastawieni do normalnego świata. Was, Iwanie Iwanowiczu, potraktowali inaczej. Wmówili wam istnienie innej Rosji i innego świata. Nie wiem po co. Może to jakiś eksperyment. Oni są absolutnymi mistrzami propagandy — może w ten sposób trenują, sprawdzają, na ile umieją kontrolować umysł człowieka? To, co pan pamięta, to nie wynik choroby. To efekt warunkowania.

Tymczasem pan jakoś uciekł. Cieśnina czasem całkowicie zamarza. Można też ukraść jakąś łódź. To trudne do wyobrażenia, ale w sumie możliwe — tylko że nic nie pan pamięta. Szok, amnezja.

A reszta, te lata spędzone w obozach to prawdziwe wspomnienia, tylko że obozy nie były rosyjskie. Były amerykańskie. Nie na Syberii. Na Alasce.

— Chwileczkę — dodał, widząc że Iwan Iwanowicz otwiera usta.

— Ja wiem, że oni nie piszą cyrylicą ani nie mówią po rosyjsku. To co pan tu ma, to spreparowane przez nich rekwizyty. Prawdopodobnie ze specjalnego obozu dla rosyjskich jeńców, gdzie nawet strażnicy mówią po naszemu i noszą fikcyjne mundury. Stąd listy, papierosy, pieczęcie. Podobno tam ludzie siedzą jeszcze od czasów wojen w Korei, Indiach i Pakistanie. Może i wtedy pan wpadł? Tak to wygląda. Teraz ty przemyśl — brat!

Iwan Iwanowicz oparł gitarę o ścianę i zapalił papierosa, odłamawszy ustnik.

— I tak to jest — oświadczył smutno. — Któryś z nas zwariował. Za drzwiami purga. Iść nie ma gdzie. Pytać nie ma kogo. Tylko ten dom. Jak stwierdzić, który? Każdy ma tylko swoje wspomnienia. I te rzeczy — twoje i moje. Które są prawdziwe? Jeden z nas nie zna prawdy. Obaj nie możemy mieć racji. Co by się stało, gdybyś to ty mówił prawdę, Andrieju Stiepanowiczu?

— Ustałaby burza, śnieg by opadł. Połączylibyśmy się przez radio ze stacją Służby Ratowniczej w Ujgursku. Przysłałiby śniegołaz albo helikopter. Policja, lekarze, telefony do armii. Pan wymaga leczenia, sanatorium, psychologów. Armia by się panem zajęła. W gazetach pojawiłyby się artykuły, ale dopóki nie znaleźliby kogoś bliskiego, czyja wiem, rodziny, może kobiety, przyjaciół, nie pozwoliliby dziennikarzom pana maltretować. Ale i tak byłaby sensacja

— „Powrót bohatera”. Posiedziałby pan na leczeniu w jakimś sanatorium Marynarki pod Odessą. Wyleczyłby się pan, może odzyskał pamięć. A potem pewnie zupełnie nowy, odkarmiony Iwan Iwanowicz z powrotem w swoim mundurze majora podstawiłby pierś pod Krzyż św. Jerzego i wróciłby do domu. Umówilibyśmy się na wódkę w najlepszej knajpie Moskwy. Zapytałbyś: „Pamiętasz, Andriusza, Syberię?” I tyle. Tak by było.

— A jeżeli to ja mam rację?

— Nie wiem. Zabiją nas?

— Nie. Powiem ci, jak by było. Ustanie purga, wezwiemy ten helikopter i on przyleci. Piękny, zagraniczny, polakierowany w jakieś tam orły, na pokładzie będzie stado spasionych byczków, pachnących wodą kolońską. Będą się cieszyć. „Andrieju Stiepanowiczu, uratował pan weterana”. A godzinę później w obozie postawią na nogi wszystkich zeków i pod nogi im rzucą krwawy łachman. „Patrzcie, ścierwa! Tak kończy ten, kto chce nam uciec. Nie ma ucieczki, suki! Nasza wielka Socjalistyczna Ojczyzna dopadnie każdego!” Może potem wzmocnią ogrodzenia, ktoś poleci precz, bez emerytury. Wpuścił intruza do spec — zony. Burza ustanie na pewno. I co zrobimy?

— Na razie wieje. Burza trwa — odpowiedział ponuro Korpałow. — Polej, brat.

\* \* \*

Pili. Śpiewali, trzeźwieli. Opowiadali sobie o swoich światach. Buran wył za oknem, po tundrze hulał lodowy huragan, spowijając nieskończone białe pustkowia w tuman białego jak pusty ekran, martwego śniegu. Istniał tylko wiatr. Jeszcze śnieg i mróz. I na wpół zasypana chata pośrodku białego niczego. Wirował rotor generatora. Huczał wiatr. W środku, siedziało za stołem dwóch mężczyzn. Na razie nie było innego świata.

Korpałow wstydział się opowiadać o swoim życiu. Było jakieś takie nieważne. Problemy z kobietami, z rodziną, to że myślał samodzielnie, albo że znudził się swoją pracą. To wszystko były, szczerze mówiąc, jakieś głupstwa. Nikt mu na serio nie zagrażał, mógł złorzeczyć na politykę, ale mógł się nią też nie przejmować. Zawsze jadał do syta. Nigdy nikt go poważnie nie pobił. Nie próbowano go zabić. Co tu opowiadać?

Chyba, że nie pamiętał swojego życia. Chyba, że był zamkniętym w enklawie wariatem specjalnego znaczenia. Ale o tym bał się nawet myśleć.

Jeden z ich światów nie istniał. Każdy wierzył we własny. Nie umieli znaleźć ani ostatecznego dowodu, ani odpowiedzi.

Trzeciego ranka Iwan Iwanowicz wszedł do kuchni z dziwnie zamyślonym wyrazem twarzy. Korpałow czytał przy stole.

— Wiesz, co robiłem w poprzednim życiu? Zanim mnie przymknęli? — zapytał rozbitek.

— Byłeś jakimś naukowcem?

— Tak, astrofizykiem. Nic już z tego nie pamiętam. Zaledwie jakieś podstawy — dziesięć lat to kupa czasu. Wywietrzało ze łba.

— Mogłeś być i fizykiem, i oficerem lotnictwa. Jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Nie o to chodzi. Usiłuję zrozumieć, co się stało. Pamiętam, jak powinien rozumować naukowiec, kiedy staje w obliczu niewytłumaczonego zjawiska. Znalazłem wyjaśnienie — przedwczoraj. Teorię sanatorium dla wariata. Dopóki teoria zachowuje moc wyjaśniania zjawisk, nie należy z niej rezygnować. Tylko że ja najbardziej w świecie, ze wszystkich sił, chciałbym nie mieć racji. Nie zależy mi na moim życiu ani świecie. Wolałbym, żebyś to ty miał rację. Nie wolno tak myśleć — to nielogiczne i nienaukowe. Prawda jest jedna, czy nam się podoba czy nie. Na szczęście okazało się, że w mojej teorii są i słabe strony. Niewielkie, ale zawsze. Powinieneś o tym wiedzieć, tak będzie uczciwie. Wiem, że cierpisz, odkąd to powiedziałem. Sam masz wątpliwości. Więc powinieneś wiedzieć, że ja też.

Wątpliwość pierwsza: wprawdzie nie jestem kompetentny, nie mam pojęcia o psychiatrii. Z drugiej strony, siedziałem i z wariatami i psychiatrami. To wprawdzie żadna rzetelna wiedza. Amatorszczyzna. Ale nie mogę uwierzyć w wariata, który uciekł w jakiś wymyślony świat, zaburzonego tak głęboko, że w ogóle nie postrzega rzeczywistości, tylko swoje urojenia, ale gdy znajdzie się w kontrolowanym otoczeniu, zachowuje się najnormalniej w świecie. Obserwowałem was, Andrieju Stiepanowiczu. Śladu żadnej psychozy. Myślicie prawidłowo, nie siadacie co chwilę i nie wymyślacie tego swojego świata, a to musiałoby tak wyglądać. Wyobrazić sobie coś tak wielkiego, w tak najdrobniejszych szczegółach, wymagałoby nieustannej pracy. Poza tym, schizofrenik to schizofrenik. Miałby jakieś ataki, zaburzenia zachowania, cierpiał na nadpobudliwość, płakał, rzucał się, chodził jak wilk po klatce. Tymczasem za oknami buran, wyjść nie można, dwóch obcych ludzi w zamkniętym domu, a ty, brat, czytasz książkę. Albo rozwiązujesz krzyżówkę. Grasz w szachy, drzemiesz. Rozmawiasz. Sam chciałbym gdzieś pójść, sprawdzić, nie wiem. Boję się. A ty — układasz pasjansa. Nie chce mi się wierzyć, że jesteś świrem, tyle chciałem powiedzieć.

Wątpliwość druga: powiedzmy, że istnieje spec — pacjent, któremu choroba zablokowała w pamięci coś niebywale ważnego. Mogliby wystawić dachę na Syberii, zbudować sztuczne miasteczko, ale przecież nie tak daleko. Przecież do tego twojego Ujgurska ze dwie godziny drogi. Wystawili by je o kilkaset metrów, gdzieś za pagórkami. A nade wszystko, przecież takiego pacjenta nie wolno zostawiać samego. Musiałbyś mieszkać pod opieką. Przynajmniej mieć o dwieście kroków przyjaznego sąsiada, który wpadałby z wizytą co najmniej raz dziennie. A kto wie — może i sąsiadkę? Przecież tę tajemnicę, na której im zależy, możesz wygłosić w każdej chwili, wypowiedzieć przez sen albo mimochodem. Tymczasem nikt nad tobą nie pracuje. Nikt nie pilnuje. Skąd mogą wiedzieć, że jeszcze tu siedzisz? Może uchlałeś się i zamarłeś pod drewnianą? Może poszedłeś w tajgę? Powiesiłeś się pod powałą na szelkach? Może nie chodzi o to, co wiesz, ale o to, żeby cię ukryć — jak człowieka w żelaznej masce? W takim razie nadal powinni pilnować. Jak skarbu, jak własnego oka. Nie ma mowy, żebym tak sobie wbiegł do tej twojej żony, jak do ogródka. A jeszcze — widziałem tu strzelby. Dali ci broń? Niemożliwe.

— Więc co się właściwie stało? Miałem rację? — Korpałow zamknął książkę, czując idiotyczną złość i ulgę. — Od początku?

— Tego też nie mogę zaakceptować. Pamiętam zbyt wiele. Za dużo szczegółów. W takich warunkach jak opowiadałeś, może bym zwariował. Może miałbym amnezję, ale przecież nie komplet wspomnień z pierwszych dwudziestu paru lat życia. Opowiadałem ci tylko o tym, co było na temat, ale przecież pamiętam miliony innych rzeczy. Zwykłych, codziennych. Pamiętam jak wyglądało moje laboratorium, dom, co miałem w szufladach, jak smakowała pierwsza dziewczyna, jak to było jechać nad Nową na wakacje. Nie da rady, brat. Mogliby ci twoi socjoamerykanie zrobić mi pianę z mózgu, mogli zrobić ze mnie głupka. Ale wyglądałoby to inaczej. A ta moja ucieczka z Alaski... oj nie znasz ty, brat, Syberii. Pieszko po lodzie... kajakiem, potem przez tysiące wiorst gołego firnu, przy pięćdziesięciostopniowym mrozie... Co miałbym jeść — kamienie? Popijać śniegiem? I srać rzeźbami? Zapomnij, Andriusza. Niemożliwe.

— Znaczący, zwariowaliśmy obaj, czy jak?

— Mówiłem — byłem kiedyś fizykiem. Tu trzeba pomyśleć naukowo.

Rozbitek usiadł na taborecie i nalał sobie herbaty z samowara. Wypił łyk po staroświecku, trzymając w ustach kostkę cukru.

— Jest możliwość, choć brzmiąca zupełnie nieprawdopodobnie, że obaj mówimy prawdę. Nikt nie zwariował. Prawdziwe są i twoje plastikowe ruble, i moje białomory, twoje dokumenty i mój

buszlat. Nikt nie zwariował.

— A to jakim sposobem?

— Są dwa światy. Twój i mój. Dwie planety — identyczne pod każdym względem, a różniące się szczegółami. Może dzieli je cały kosmos. A może — istnieje też taka teoria, znajdują się w różnych wymiarach. Równoległe do siebie. Tamta teoria mówi, że istnieje nieskończona liczba takich światów, różniące się poprzez poszczególne wybory. Jest świat, w którym nie napiłem się herbaty, tylko kwasu, i taki, w którym wylałem ją sobie na głowę. Nasze rozeszły się gdzieś — może spowodowało to drobne wydarzenie, które nie dopuściło do rewolucji, może jeszcze coś innego wcześniej. Musielibyśmy porównać znane sobie wersje historii. Dość, że losy potoczyły się tam zupełnie inaczej. I w jakiś sposób ja zdołałem przejść ze swojego świata do twojego. Nie wiem jak. Trudno wymyślić. Może tam mnie jednak zabili? A może dlatego, że tu jest Syberia? Nie wiadomo tak naprawdę, co tu może być i jakie kryje tajemnice. Wbiegłem w święty krąg Ewenków? A może to jednak zjawisko fizyczne? Istnieją w fizyce teorie, że pomiędzy dwoma punktami można podróżować poza czasoprzestrzenią. Efekt Adnokamiencewa–Sniegowa. Teoretycznie, naturalnie. A może istnieją przejścia między wymiarami? Nie patrz tak. To wcale nie jest bardziej zwariowane niż poprzednie teorie. Nieważne, w jaki sposób można przejść. Ważne, że według wszystkiego co powiedzieliśmy, muszą istnieć dwa światy.

— A co z tego wynika?

— Tyle, że jesteśmy w twoim. Albo ten dom i okolicę rzuciło do mojego, co byłoby już bardzo niekorzystne. Ale bardziej prawdopodobne, że to ja przeszedłem. Wtedy, w tamtej mgle.

— To kompletny idiotyzm — powiedział Korpałow. — Ale zarazem to pierwsza twoja teoria, która mi się podoba. Naprawdę wolę uwierzyć, że na Syberii jest Trójkąt Bermudzki niż że wszystko wokół siebie wymyśliłem.

— Tyle że nie będzie orderów. Nikt tu na mnie nie czeka. Nie mam tu domu, ale przynajmniej im uciekłem. Według tej teorii Gułag został daleko. Po drugiej stronie kosmosu albo w innym wymiarze. Jakby to było dobrze... Czy fizyk z amnezją poradzi sobie w twoim świecie?

— Z pewnością. Nadal jesteś zagubionym w tajdze rozbitkiem. Wyleczą cię. Takich leczą za państwowe pieniądze. Potem sobie poradzisz. Pomogę. Byle to tylko była prawda, reszta nieważna.

— Tego się na razie nie dowiemy. Nie, dopóki wieje buran.

\* \* \*

To się stało czwartego dnia rano. Wiatr prawie ustał.

Kiedy się obudzili, za oknami widać było czyste, granatowe niebo, blade, wiszące tuż nad horyzontem słońce i płaski pejzaż jak przykryty białym obrusem. Łagodne wzgórza i czarne piramidki cedrów. Śnieg chwycił odbłask słońca i mienił się jak gigantyczna połać cukrowego pudru. Temperatura spadła do czterdziestu ośmiu stopni.

Milczeli przy śniadaniu. Jednak co chwilę któryś z nich, smarując chleb, odkręcając kurek samowara albo zapalając papierosa, zerkał za okno.

Panowała cisza. Nikt nie nadjeżdżał ani nie nadchodził. W czystym jak chromowany nóż powietrzu nie terkotały wirniki helikopterów. Panowała absolutna cisza.

— Chcesz wezwać pomoc? — zapytał lekko Iwan Iwanowicz.



Korpałow pokręcił głową.

— Nie. Dopóki nie upewnię się, że wszystko jest w porządku. Wiem, że to mój świat. Wierzę w to, co powiedziałaś. Ale muszę się upewnić.

— W jaki sposób? Radio? Telewizja?

— Nie. Tu odbiera tylko jedna stacja. Telewizja Zoria i radio Rubież. Może udałoby się złapać inne, ale to na nic.

— Dlaczego?

— Dlatego, że nigdy nie będę pewien. Nie chodzi tylko o ciebie. Ja już sam nie wiem, kim jestem. Przyjadą po ciebie, a ja nie będę wiedział kto. Dopóki nie wrócę do Moskwy i nie zobaczę jej na własne oczy, nie będę wiedział, czy nie sprzedałem człowieka jakimś potworom. Może już zawsze będę się zastanawiał, co jest prawdą, a co nie? Nie. Musimy być pewni. Obaj.

Iwan Iwanowicz patrzył ze zdumionym wyrazem twarzy, bo Korpałow mówił tonem, który brzmiał, jakby topór rozszczepiał zamrożone syberyjskie pnie. Zdawał sobie sprawę z tego, że robi na swoim rozbitku wrażenie kogoś wyrośniętego, ale poczciwego i łagodnego. Teraz, czuł w środku gniew. Czuł, jak zamraża mu on szczęki. Rzeczywiście, na co dzień był łagodny. Starał się być dobrym człowiekiem. Ale teraz myślał i mówił twardo.

Długimi krokami wyszedł na korytarz, otworzył drzwi szafy.

Ciężka torba z parcianej tkaniny zagrzecotała metalicznie na niskim stoliku przed kominkiem. Zazgrzytał zamek błyskawiczny.

— Co to jest? — zapytał Iwan Iwanowicz.

— Idziemy na zwiad. — Co?

— Mamy tu siedzieć do końca świata? Trzeba sprawdzić. Raz na zawsze.

— Skąd masz tyle broni?

— Wypożyczyłem. Karabin jest... szczerze mówiąc na niedźwiedzie. Takie jest zalecenie. Poszedłem na kurs przetrwania w warunkach polarnych, zanim się tu wybrałem. Strzelba śrutowa służyłaby do polowania, gdyby to było niezbędne. A pistolet, tak. Na wszelki wypadek. Do osobistej obrony. Tu są wilki... Nigdy... jestem mieszczuchem i czuję się nieswojo w takiej dzicy. Potrzebowałem czegoś, co dodałoby mi odwagi. Nie sądziłem tak naprawdę, że tego użyję. Przypuszczałem, że postrzelam któregoś dnia do butelek, i tyle. Oczywiście, że zrozumieć, jeżeli nie chcesz iść. Pójdę sam.

Postawił na stoliku paczki amunicji, jedna na drugiej. Obok położył wielki fiński nóż z zestawu ratunkowego. Rakietnica. Podręczna apteczka.

Iwan Iwanowicz patrzył z niedowierzaniem.

— Ty chcesz się z nimi bić?

— A nie warto? Pójdiesz jak cieleń na rzeź? Pewnie ich tam nie ma, ale jeżeli jest inaczej, to będą musieli się dobrze postarać. Sam mówiłeś, że chcieli cię zabić. Nie pozwolę na to. Tu jest Republika Rosji. Tam gdzie ja stoję. Niech się wynoszą do siebie, nie ma znaczenia. I czy ja sobie uroiłem, czy się w niej urodziłem. A jeżeli to mnie przerzuciło do twojego świata, to trudno. Dalej jestem obywatelem mojego kraju i mojego świata. Jeżeli jedynym w tej okolicy, to automatycznie czyni mnie żołnierzem. Na tym terenie nie ma wyższej władzy rosyjskiej niż ja. Na froncie dowódcą zostaje ten z ocalałych, kto ma najwyższy stopień. Na końcu choćby i szeregowy. A tu jest tylko jeden obywatel Republiki Rosyjskiej.

Iwan Iwanowicz wstał.

— Dwóch. Masz ducha. Zaimponowałeś mi. Chciałbym umieć w ten sposób myśleć. My — tam, odzwyczailiśmy się. Wstyd mi. Dawaj karabin.

— Najpierw trzeba znaleźć ci ubranie.

Zrezygnowali z gąsienicowego śniegołaza, który według słów rozbitka był „wielki, jaskrawy i hałaśliwy”. Mogli się zmieścić obaj na siodle skutera śnieżnego. Na przyczepionych do niego saniach znalazła się torba z jedzeniem i apteczką, a także przenośną radiostacją.

Skuter sunął gładko po zamrożonej, przysypanej śniegiem rzece, jak po asfalcie. Korpałow siedział za kierownicą i usiłował w pamięci odtwarzać swoją poprzednią drogę, tylko od tyłu. W blasku jaskrawego, choć nisko wiszącego słońca wszystko wyglądało inaczej.

Trakt, którym przyjechał do rzeki z Ujgurska, wyznaczały dwa rzędy wysokich tyczek, pomalowane w odblaskowe, kanarkowe i pomarańczowe paski, odcinające się od martwej bieli śniegu.

Miejsce, w którym Iwan Iwanowicz wypadł na szosę, znaleźć było dużo trudniej. Droga zasypana śniegiem wiła się pomiędzy kosmatymi, bodącymi niebo ścianami cedrów i krzewów stłanika. Kilometr za kilometrem wyglądała tak samo. Nie było żadnych punktów orientacyjnych. Tylko drzewa, śnieg i pas nieba nad głową. Mogli tak jechać do samego Ujgurska i niczego nie znaleźć.

Drzewa zaczęły rosnać rzadziej. Korpałow jechał wolno, usiłując wypatrzeć cokolwiek po lewej stronie, pomiędzy czarnymi, oblepionymi śniegiem pniami. Gdzieś wysoko w gałęziach przebiegła czarna wiewiórka, strącając migocące w słońcu firanki śnieżnego pyłu. Silnik terkotał miarowo.

— Tam! — zawołał znienacka Iwan.

Korpałow zatrzymał skuter.

— Wypatrzyłeś coś?

— Nie. Ale skreć tutaj.

Korpałow wzruszył ramionami i skrecił. I tak niczego nie poznawał, więc dlaczego by nie skrecić tutaj.

Pomiędzy drzewami jechało się gorzej. Skuter skakał na wertepach, natrafiał co chwilę na powalone pnie i wykroty. Musieli kluczyć i Korpałow wciąż spoglądał na przymocowany do kierownicy żyrokompas. Silnik wył, skuter stawał dęba, płozy przyczepki zaczepiały się o korzenie.

W końcu, po jakiejś półgodzinie, drzewa zrzedniały i ukazała się kolejna pusta dolina, okolona wzgórzami. Korpałow wyłączył silnik.

— Biegłeś cały czas przez tajgę?

— Biegłem we mgle. Przez tajgę, po firnie... Zaraz... Co to jest? — Wskazał palcem na wschód, wzdłuż ściany lasu.

— Nie widzę — powiedział Korpałow. Widział tylko biel i szpaler drzew. A raptem w tym, co z braku punktów odniesienia uważał za pokryty śniegiem stok pagórka, zobaczył majaczące w bieli gałęzie i zrozumiał, że patrzy na skłębioną ścianę mgły i prześwitujące przez nią cedry.

— Idzie mgła... — powiedział niepewnie. — Pewnie znowu pogoda się załamię.

— Podejźmy tam — zaproponował rozbitek.

Zsiedli ze skutera, Korpałow przewiesił przez plecy sztucer i podał Iwanowi Iwanowiczowi śrutówkę.

— Jak to działa?

— Trochę na to za późno — roześmiał się Korpałow. — Myślałem, że wiesz.

— Też tak myślałem. Nasze są inne. Żeby załadować trzeba je złamać jak tę twoją raketnicę.

— Co za starocie. To półautomat. Od dołu ładuje się sześć gilz. Po każdym strzale trzeba przesunąć czółenkiem do przodu i do tyłu. W ten sposób usuwasz wystrzeloną łuskę i ładujesz następny nabój. Pokażę ci, daj.

Ładował na zmianę — breneka, pocisk przeciw niedźwiedzim: walec ołowiu kryjący w środku

stalowy trzpień; i loftki: naboje wypełnione kulkami które trudno już było nazwać śrutem. Każda miała po osiem milimetrów średnicy. Trafienie garścią takich pigułek powinno roznieść cel na strzepy.

Podał Iwanowi ciężką strzelbę i pokazał jak przeładować.

— Tu masz bezpiecznik. Trzeba przesunąć do góry i można strzelać.

Tamten westchnął głęboko, wciągając lodowate powietrze. Najwyraźniej usiłował się zmobilizować, ale pod kominiarką nie było widać wyrazu twarzy. Tylko niebieskie, łagodne oczy, takie same jak u Korpałowa. Iwan wypuścił gwałtownie powietrze i oparł kolbę o biodro.

— Idziemy, brat.

Szli wzdłuż linii drzew, jeden za drugim, ostrożnie, jak podchodząc grubego zwierza. Mgła przed nimi ciągnęła się jak okiem sięgnąć w obie strony, w górę rzedła stopniowo, brudząc błękit nieba. Im bliżej podchodzili, robiło się ciemniej. Z tej strony częściowo przysłaniała słońce, przeświecało bladą tarczą, jak stygnący biały karzeł. Wystarczyło się odwrócić i za plecami świat znowu stał w oślepiającym blasku pod czystym niebem, śnieg skrzył się kolorowymi iskrami jak hałdy diamentów. Z bliska nie wyglądała jak ściana. Widać było jak się kłębi, trochę jak opar chloru. Nie mówiąc ani słowa, obaj zdjęli broń z ramion.

Kilkanaście metrów dalej stanęli nagle jak wryci. Korpałow otworzył usta, ale nic nie powiedział. Ściana mgły stała niedaleko przed nimi, jak dziwaczne, skłębione urwisko. A w tej ścianie ział okrągły, niemal idealny otwór. Mgła lekko kłębiła się na brzegach i opalizowała dziwnym brudnym światłem, trochę jak zorza polarna, a przez tę dziurę widać było kolejne pagórki, sterczące ze śniegu śnieżne kolumny cedrów i pokrzywione brzoźki.

Wyglądało podobnie, jak po tej stronie mgły. Jak Syberia.

Tylko że pogoda tam była inna. Po tamtej stronie było pochmurno. Wiał stamtąd wiatr, czuło się go wyraźnie na twarzy. Wzbijał na wprost dziury kłęby śniegu. Korpałow wyszedł kilka kroków do przodu, trzymając broń w pogotowiu, przyklęknął ostrożnie na śniegu i podniósł do oczu wiszącą na szyi lornetkę.

Po tamtej stronie po zszarzałym niebie sunęły strzepy ciemnych chmur i sypał śnieg. Wydmuchiwało go przez tunel, zdążył usypać już po brzegach spore zasy, o dziwacznych półksiężycowatych kształtach jak saharyjskie wydmy. Czasami wicher rozwiewał chmury i przez szare zasłony majaczyło blade słońce.

Drugie słońce.

Słońce tamtej strony.

— Tam jest mój świat — powiedział drewnianym głosem Iwan Iwanowicz. — Przejście wciąż jest otwarte.

— Przynajmniej wiadomo, gdzie jesteśmy — odrzekł Korpałow. — Patrz!

Korpałow obniżył szkła lornetki i wyregulował ostrość. Z tunelu na ich stronę wyraźnie wybiegały ślady kilku par nart.

— Przeszli. Gady! — wycedził Iwan. — Znaleźli przejście i weszli. Dlaczego ten tunel ciągle stoi? Przecież kilka dni temu go nie było. Co to za zjawisko?

— Jesteśmy w naszym świecie. Tu nic ci nie grozi — Korpałow chwycił rozbitka za ramię. Był taki chudy... wydawało się, że w środku nadętej puchowej kurtki Gorypina nic nie ma. — Wytropimy ich. Potem możemy wezwać pomoc. Powiemy policji, że zostaliśmy napadnięci przez uzbrojonych bandytów.

Iwan odwrócił do niego manekinowatą wełnianą twarz bez wyrazu. Tylko oczy mu lśniły.

— Powiedźcie mi, Andrieju Stiepanowiczu. Ilu jest policjantów w Ujgursku? Ilu przyjedzie na

takie wezwanie?

— No... dwóch.

— Będą mieli broń maszynową? Wybiją tamtych natychmiast jak wściekłe psy?

— Nie. Będą mieli pistolety. I pewnie strzelby. Wezwą przez radio wsparcie i postarają się tamtych aresztować.

— Pozwolą nam strzelać?

— Oczywiście, że nie. Jesteśmy cywilami.

— Chcecie więc wezwać dwóch pocziwych, wiejskich policjantów, żeby aresztowali uzbrojony patrol Armii Czerwonej? Czy w waszym świecie wiejscy policjanci mieszkają rodziny, Andrieju Stiepanowiczu? Dzieci?

— To co mamy robić? Może sami wrócą?

— Tylko, jeżeli postanowią wracać po śladach. Zależy, czy zdają sobie sprawę czym jest to przejście. Zależy, czy po prostu szukają zbiega, czy wiedzą, że są w innym świecie. Ale w takim razie za kilka dni po tej stronie przejścia nie będzie już śladów nart. Będzie kilka pojazdów gaśnicowych, transportery opancerzone, a we wszystkie strony ruszą patrole. Dziś przeszło pięciu. Jutro będzie ich tu pięciuset. Trzeba za wszelką cenę zamknąć przejście!

— Przecież nie wiemy jak. Samo się pojawiło i samo się zamknie.

— Miejmy nadzieję. Po kolei. Podstawowe zagadnienie to patrol. Trzeba ich wybić albo zagonić z powrotem. Trzeba zyskać na czasie. Może samo się zamknie.

— Policjanci nie dadzą twoim zdaniem rady, a my ich tak po prostu wybijemy?

— My nie będziemy ich próbowali aresztować. Zdybiemy na otwartej przestrzeni, a potem wystrzelamy jak psy. Z daleka. Bez ostrzeżenia.

Miał rację. Korpałow zacisnął zęby.

— Wracamy do skutera.

Wrócili truchtem, grzęznąc w skrzypiącym śniegu i przepychając się między gałęziami. Potykając i przewracając wśród wykrotów.

— Dasz radę zabić? — zapytał Iwan. — Ja dam. Mam powody. Nikt nie ma tylu powodów co ja, żeby do nich strzelać. Ale ty jesteś spokojnym, dobrym człowiekiem. Będiesz potrafił?

— Mamy tu wojnę — powiedział twardo Korpałow.

— Tak, obywatelu Gorypin. To jest wojna. I to wojna sprawiedliwa. Obronna.

— Dlaczego „Gorypin”? — spytał Korpałow kompletnie osłupiały. Rozbitek uśmiechnął się chytrze pod kominiarką.

— Przy radiostacji, w kuchni, jest przyklepiona taka kartka. Tam jest adres i te... kody wywoławcze. I twoje nazwisko: A.S. Gorypin.

Korpałow roześmiał się.

— Akurat. „Arnold Siergiejewicz Gorypin”. Chata należy do Gorypina. Pożyczyłem ją na wakacje. To mój przyjaciel. Pochodzi stąd, ale mieszka w Moskwie. Pudło, Holmesie! Ja się nazywam Korpałow!

— Jak?! — krzyknął Iwan. — Nazywasz się *Andriej Stiepanowicz Korpałow*?!

— O co chodzi?

Iwan zdjął z głowy myśliwską uszankę i cisnął przed siebie, a potem zdarł z twarzy kominiarkę. Twarz miał białą jak płótno.

— Co ci jest?

— Nic — odpowiedział tamten drewnianym głosem. — Nic, Andriusza. Słabo się poczułem. To nic. Posiedzę chwilę i zaraz mi przejdzie.

Oparł się plecami o drzewo na skraju lasu, a potem zjechał po nim na ziemię i tak siedział, masując skronie i patrząc tępo na bezkresną połąć śniegu. Korpałow ruszył do niego, ale stanął zatrzymany stanowczym gestem uniesionej dłoni.

— Milcz przez chwilę, Andriusza. Proszę. Daj posiedzieć. Tylko minutkę.

Milczeli. Korpałow przycupnął na siodle skutera, a Iwan siedział pod drzewem, trzymając się za głowę. Korpałow nie wiedział co robić, ani co tamtemu się stało. W pewnej chwili wydało mu się, że Iwan Iwanowicz chyba cichutko płacze. Odwrócił wzrok i bezmyślnie bawił się zamkiem sztucera. Minęło kilka minut zupełnej ciszy. Między drzewami przebiegł jenot, ledwo widoczny w białym futerku.

— Daj papierosa, brat — odezwał się Iwan jakoś dziwnie martwo spokojnym głosem. — A sam zapal mojego ostatniego bielomora. Na pamiątkę. Popatrz. Tę rurkę trzeba pozagniać, żeby zatrzymywała smołę. Widzisz, ustnik jest taki długi, żeby można było palić w rękawicy. Syberyjskie papierosy. Dziwne, że takich nie macie.

Korpałow zaciągnął się gryzącym dymem o aromacie tłęcej się konopnej liny i rozkaszał. Wydawało mu się, że wypłuje płuca.

— Coś mi przyszło do głowy — odezwał się znowu Iwan. — Idziemy się bić, różnie może być. Mogę nie zdążyć ci tego powiedzieć, a może być ważne. Popatrz tu.

Podszedł do skutera i odwrócił lusterko przymocowane do kierownicy.

— Masz busolę? — Zapytał. Korpałow przytaknął i zaczął przeszukiwać kieszenie, w końcu namacał w którejś metalową puszkę pomalowaną zielonym, wojskowym lakierem.

— Popatrz. — Rozbitek otworzył kompas i pokazał okrągłe lusterko po wewnętrznej stronie wieczka. — Nic się nie dzieje. Zwykle lusterko. Ale spójrz teraz.

Przyłożył busolę do lusterka skutera. Oba zwierciadła złapały własne odbicia, tworząc ciąg powtórzonych w nieskończoność refleksów.

— Lusterka znalazły się naprzeciw. W tym samym miejscu. Utworzył się tunel. Tak powstało nasze przejście. A teraz spójrz. — Przekręcił dłoń i busola upadła w śnieg. — Koniec. Przejście zamknięte.

— Lusterka? — Powiedział osłupiały Korpałow. — Nie możesz przecież przez nie przejść. Co to za brama? To tylko efekt optyczny.

— Światy to nie odbicia — odpowiedział zagadkowo Iwan. — Ludzie, nie lusterka. Zresztą, to tylko model. Przemyśl to później. Teraz trzeba iść.

Wrogów nie trzeba było długo szukać, sami się pojawili. Sześciu. Pokazali się na szczycie wzgórza i zjechali jeden za drugim, ubrani w białe, obszerne kombinezony, przekreślone czernią pasów, z nieprzyjemnie wyglądającymi karabinami na plecach. Przez lornetkę widać było jak zjechali na dno kotliny i rozpierzchli. Czterech wyznaczyło rogi czworoboku i przykłękło, mierząc we wszystkie strony świata. Pośrodku zostało dwóch. Jeden ozdobiony lornetką na piersi rozłożył na śniegu mapę, drugi majstrował przy wydobytym z plecaka pudełku. Wymontował z niego słuchawkę na kręconym kablu i manipulował coś przy urządzeniu, a potem powiedział coś do tego z mapą, kręcąc głową.

Widok nieprzyjaciół nie wzbudził w Korpałowie przerażenia, tylko jakieś dziwne emocje. Ekscytację i jakby złość. Kto wie, może w gruncie rzeczy naprawdę drzemał w nim żołnierz? Nie podejrzewał się dotąd o takie rzeczy. Trzęsły mu się ręce, ale raczej z napięcia.

— Może wróć na swoją stronę — wyszeptał do Iwana.

— Raczej nie. Wskazują na tamte wzgórza. Skończyli jeden rekonesans, wrócili po śladach i

wybijają się na następny. Zresztą to bez znaczenia. Przejdźcie i tak się nie zamknijcie. A te gady nie odpuszczają.

— Skąd wiesz?

— Wiem. Boże... musimy ich pozabijać — westchnął rozbitek.

— Może jak zaczniemy strzelać, sami tam wrócą.

— Wątpliwe. Zrobimy tak: na brzegu lasu jest taki długi wykrot. Zapewni nam osłonę. Schowamy się za pniami jak najlepiej, obok siebie i strzelamy ile wlezie. A potem cofamy się o metr w głąb lasu i rozbiegamy w obie strony.

— Dlaczego?

— Będą strzelać w miejsce, gdzie byliśmy i może je zaatakują. Ale my wtedy będziemy po ich bokach, z dwóch stron. Weźmiemy ich w kleszcze, to chyba tak się nazywa. To trochę jak szachy. Ta pierwsza strzelanina daje nam najwięcej szans, bo się nas nie spodziewają. Poczekamy, aż znowu się ustawią w rzędzie i walimy. Ty pierwszego, ja ostatniego. I po kolei. Po każdej salwie trzeba zmienić pozycję. Jaki to dystans?

— Jeżeli dobrze odczytuję z lornetki, to jakieś sto sześćdziesiąt metrów.

— Daleko. Trudno, nie ma rady.

Korpałow położył się między gałęziami i oparł lufę na przysypanym śniegiem niewielkim pagórku. Wystrzelił dwie paczki naboju na strzelnicę, podczas kursu Sybiraków. To wszystko. Czuł że mimo wściekłego, parzącego mrozu, jest mu gorąco. W głowie słyszał głos egzaminatora. Zarepetować. Nie przykładaj twarzy do okularu. Zdejmij zaślepki. Wyreguluj lunetę. Policzek do kolby. Widzisz krzyż celownika?

W dziwnie ostrym, żółtawym polu widzenia lunety, ten z lornetką miał surową, nieprzyjemną twarz, jak nauczyciel matematyki. Przypiął narty i ustawił się jako pierwszy. Pozostali ruszyli gęsiego, miarowymi szusami, pilnując, żeby narty jechały jedną koleiną i nie zostawiały dodatkowych śladów.

Gotów?

Skoncentruj się, Korpałow! Wdech... spust... delikatnie, nie szarpać — ciągnąć. Niech strzeli kiedy chce! Bezpiecznik, Korpałow! Co się z tobą dzieje! Jeszcze raz! Celownik! Wdech! Spust...

Karabin Korpałowa zaprojektowano w Szwajcarii jako elegancką broń na grubego, niebezpiecznego zwierza. Na tygrysy, niedźwiedzie, nosorożce, krokodyle. Miał potężny nabój, taki sam jak w wojskowym ciężkim karabinie maszynowym, większy od jakiegokolwiek stosowanego w broni myśliwskiej. Ale to nie wszystko. Konstruktor uznał, że zwykły powtarzalny sztucer to w takim wypadku za mało. Jeżeli ktoś już musi strzelać do niedźwiedzia albo tygrysa, to jedna kula nie wystarczy. Rozjuszony ranne zwierzę może też nie dać czasu na skomplikowany czterotaktowy ruch przy repetowaniu, które podaje z magazynka następny nabój. Odryglować, otworzyć, zamknąć, zaryglować. Nawet u doświadczonego strzelca prawie sekunda. Wymyślił więc podwójny repetier. Sztucer miał dwie lufy, jedna nad drugą. Podczas repetowania podwójny zamek pobierał dwa naboje na raz i wpychał w dwie komory nabojowe. Jeżeli coś poszło nie tak, myśliwy po prostu musiał namacać drugi spust i strzelać po raz drugi. Wojskowy nabój bez trudu mógł przebić szynę kolejową. Niósł na półtora kilometra.

Odrzut niemal złamał Korpałowowi obojczyk. Ogluszający huk rozlał się po tajdze, strzelca przysypały drobinki śniegu. Nie miał pojęcia czy trafił. Celownik optyczny przysunięty zbyt blisko twarzy grzmotnął go w kość jarzmową gumową muszlą wokół okularu. Zamrugał, opanowując ból i uniósł natychmiast twarz do celownika. W obiektywie mignęło coś poruszającego się, więc ściągnął spust. Obok, z przeraźliwym łomotem grzmiała raz za razem śrutówka rozbitka. Kolorowe, tekturowe

luski śmigały znad jego ramienia, przy każdym ruchu czółenka.

Gdzieś blisko wytrysnęły w górę wysokie fontanny śniegu, pociski rozstukały się po pniach, rwąc korę i gruchocząc gałęzie. Odgłos broni tamtych przypominał drewniany pusty terkot, jakby ktoś ciągnął kijem po drewnianym płocie.

Zobaczył, jak Iwan macha ręką, więc porwał swój karabin i przygięty do ziemi pognał wzdłuż lasu. Raz obejrzał się przez ramię. Rozbitek mknął w swoją stronę jak pantera, machając trzymaną oburącz strzelbą.

Korpałow odwrócił się i padł ciężko, objając sobie łokieć. Więc po to są w wojsku te niekończące się — padnij! Podczołgał się ostrożnie do krawędzi. Cały czas słychać było stukot karabinów wroga, pociski trzaskały o pnie i rykoszetowały po lesie z jęśliwym zawodzeniem.

Ostrożnie rozchylił gałęzie słanika i spojrział przez teleskop. Obraz skakał, trzeba było oprzeć łożo karabinu o korzeń. Tamci leżeli w śniegu, ale dwóch zdążyło już podbiec w kierunku lasu i paść dobre trzydzieści metrów dalej, korzystając z osłony dwóch pozostałych, którzy zamiatali krótkimi seriami po lesie. W miejscu gdzie leżał przed chwilą, wszystko musiało być posiekane. Przesunął polem widzenia, usiłując zobaczyć co z pozostałymi dwoma. Pierwszy leżał na ziemi, ale widać było że się rusza i to raczej żwawo. Spadł mu kaptur, ściągnięta bólem i wściekłością surowa twarz nauczyciela pod szopą jasnych włosów wyglądała strasznie. Dowódca przyciskał do uda garść przesiąkniętego krwią śniegu i wrzeszczał na pozostałych. Ostatni z leżących, z rozrzuconymi rękami patrzył w niebo połową twarzy. Zamiast drugiej widać było bezkształtną miazgę i wielką, szybko powiększającą się plamę rudego błota. Pocisk brenneke pozbawił go niemal głowy.

Zamiast poczuć grozę, Korpałow poczuł ukłucie zazdrości na myśl o tym, że to Iwan go dostał, a on sam tylko ranił. Co więcej, jeden strzał zmarnował.

Wszystkie te obserwacje trwały może sekundę. Dwaj wysunięci do przodu żołnierze otworzyli ogień, a pozostali dwaj zerwali się do biegu. Dowódca zaciskał zębami węzeł opaski uciskowej i już chwycił pod pachę koniec jednej narty. Rozglądając się bystro, oparł kolbę karabinu o ziemię i zarepetował nogą, po czym chwycił go jedną ręką. Znowu rozgwiszdały się kule i zagrzmiąta strzelba Iwana.

Biegący żołnierze dobiegli do dwóch wysforowanych do przodu i minęli ich po obu bokach. Jeden z tamtych przekręcił się na bok, odpiął od swojej broni wygięty jak banan dziwny magazynek i jednym sprawnym ruchem założył następny.

Korpałow wstrzymał oddech i strzelił, raz po raz w to samo miejsce. Zrywający się do biegu żołnierz zwinął się w pół skoku jak wilk i runął w śnieg. W tym samym momencie Korpałow poczuł, jakby ktoś zdzielił go kijem, krótki pień słanika rozleciał się na drzazgi, wokół eksplodował śnieg. Wycofując się w głąb lasu, zobaczył dowódcę, który podpierając się nartą jak kulą, walił do niego z trzymanego jedną ręką automatu.

Nie czując większego strachu, tylko coś jakby gorycz porażki, chwycił się za bark w okolicach szyi, ale namacał tylko rozerwaną kurtkę i garść ocieplającej włókniny. Pod spodem pianka była rozerwana, ale gruba wewnętrzna bluza — cała. Pocisk tylko prześlizgnął się po ramieniu, rozrywając materiał.

Znowu przebiegł kawałek pod osłoną wykrotu i chichocząc nerwowo, wyczołgał się w innym miejscu, nie mogąc się już doczekać, kiedy zacznie strzelać. Adrenalina płonęła mu w żyłach i Korpałow po raz pierwszy w życiu poczuł upojenie walką.

Żołnierze zmienili szyk, zwracając się w jego stronę i wykonali ten sam manewr. Dwóch strzela, dwóch zmienia pozycję i tak na zmianę.

Zrozumiał wtedy, że go dostaną. Z każdą wymianą strzałów tamci byli bliżej. Zostali napadnięci

na otwartej przestrzeni, tymczasem stracili dotąd tylko dwóch ludzi. Gdyby atak był dziełem innych żołnierzy, byłoby już po wszystkim. Tymczasem bezwzględna egzekucja zamieniała się w coraz bardziej rozpaczliwą obronę. Wtedy dopiero zaczął się bać. Odpędzając natrętne myśli by dobiec do skutera i wiać, gdzie oczy poniosą, przycisnął policzek do drżącej kolby.

Usłyszał krzyki i śmiech. Zrozumiał, że tamci go wołają. Zapraszają, żeby zaczął strzelać, żeby się pokazał.

— No, dawaj, suka! — poniosło się echem.

Rozbitek zaczął nagle strzelać. Raz, drugi, trzeci. Chmury śniegu bryznęły w górę, jeden z leżących żołnierzy targnął nagle całym ciałem i krzyknął. Na białych plecach kombinezonu pojawiły mu się nagle czerwone piegi. Tylko trzy. Iwan był za daleko.

Zmienili trochę pozycję.

Korpałow złożył się prawie bez celowania i trafił podrywającego się żołnierza w sam środek pleców. Tamten wyskoczył w powietrze w cudacznym piruecie i gruchnął w śnieg. Andriej przerzucił lufę w stronę dowódcy, którego bał się najbardziej i przymierzył staranniej. Pudło. Tylko chmura śniegu strzeliła gdzieś za plecami tamtego. Pociski posiekały pnie wokół niego, jakiś kawałek lodu trzasnął go w twarz.

Zarepetował, klnąc wściekle i złożył się staranniej. Nic. Suchy trzask sprężyny. Drugi spust. Nic.

Matko boska, pistolet!

Pistoletu nie było.

Pełznąc rakiem, wtulił się pod jakiś pień i szukając trzęsącymi się rękami po kieszeniach ładownika, zobaczył, jak tamci podrywają się do ataku. Trzech. Jeden nietknięty wysforował się już najwyżej o dwadzieścia metrów od lasu, a ten lekko ranny śrutem w plecy i dowódca z przestreloną nogą, kryli go ogłuszającym ogniem. Szarpiąc się z zamkiem słyszał, jak co chwilę kule wbijają się w trzaskiem w pień, pod którym leżał. Co chwila z wizgiem pryskały zygzakami po lesie, rykoszetując od cedrów.

Spokój, Korpałow. Odryglować! Otworzyć! Założyć ładownik! Wcisnąć amunicję! Wyjąć ładownik! Poprawić! Jeszcze raz! Zamknąć! Zaryglować!

Pień oberwał chyba kilkanaście razy. Rozpadał się dosłownie na drzazgi. Koniec. Jeszcze jedna zmiana i już go mają. Tylko trzech, ale za to na jednego. Postanowił przepelznąć w inną stronę i znaleźć pozycję do strzału. Było blisko, a on miał celownik optyczny i mógł strzelać raz po raz. Musiał trafić oba razy. Wychylił się i natychmiast oberwał w bark. Uderzenie cisnęło nim o ziemię, karabin poleciał gdzieś, przed oczami zapłonęły krwawe koła. Ból oblał mu ramię i bok jak ukrop. Zabrakło oddechu.

Usłyszał krzyki. Ogień ustał na chwilę.

— Tu jestem, gady! Dawać ścierwa! — Darł się Iwan Iwanowicz. Korpałow stękając podczołgał się bokiem i znalazł miejsce, w którym pień odstawał od ziemi i można było spojrzeć pod spodem. Wychylił się bardzo powoli.

Iwan Iwanowicz stał na środku śnieżnego pola, z bramą do swojego świata za plecami.

— No, dawać, bydlaki! Suki! Psy jebane! Skurwysyny!

Poderwał strzelbę do ramienia i zaczął walić raz za razem. Bez sensu. Ładunki grubego śrutu są bardzo skuteczne, ale dopóki stanowią zwartą chmurę. Z każdym metrem zaczynają się jednak rozpraszać i wokół żołnierzy już wzbijały tylko gdzieniegdzie śnieg, nie czyniąc nikomu krzywdy. Żołnierze unieśli się lekko, zerkając to na krzaki, w których spodziewali się Korpałowa, to w stronę strzelającego raz za razem rozbitka.

— A ten, co? Ochujął?! — krzyknął dowódca. — Karimow, zdjęć to bydlę!



Nietknięty dotąd żołnierz uniósł się ostrożnie i przykleknął, starannie składając się do strzału. Korpałow rozejrzał się rozpaczliwie, ale karabin leżał o kilka kroków od niego, w śniegu.

Za daleko. Nie zdąży.

Wtedy wśród załadowanych w pośpiechu śrutowych naboii rozbitka trafiła się ostatnia breneka. Wielki pocisk z ohydny chrzęstem wbił się w klatkę piersiową Karimowa, rzucając go na plecy. Ciało żołnierza wbiło chmurę pyłu i wyprężyło się kilka razy, zagrzebując w śniegu.

Iwan Iwanowicz spokojnie odrzucił strzelbę i założył ręce za kark. Stał na tle kłębiącej się leniwie burej mgły, mały i chudy, w za wielkiej szarogranatowej puchówce Gorypina, a wiatr wiejący z tamtej strony wbijał wokół niego tumany śniegu.

Ranny w plecy żołnierz z wściekłym rykiem rzucił się w jego kierunku, potykając się w śniegu i wymachując karabinem.

— Gorodenko, nie! — wrzasnął dowódca. Cały czas lustrował krzaki, w których mógł się kryć groźny Korpałow ze swoją snajperką i mierząc trzymanym jedną ręką automatem po drzewach, podskakując na zdrowej nodze, kuśtykał za swoim podwładnym.

Naturalnie, Gorodenko mógł po prostu podnieść automat i zdjąć rozbitka jednym strzałem. Ale widok bezczelnie poddającego się przeciwnika, bezpośrednio po zabiciu Karimowa, doprowadził go do szału. Stanowczo wolał najpierw skopać wroga, napluć mu w twarz i dopiero potem, ewentualnie zastrzelić.

Korpałow wyczołgał się z krzaków i dopadł karabinu.

Nie był w stanie podnieść go jedną ręką, jak dowódca swój automat. Szwajcarski podwójny repetier był ciężki jak nieszczęście. Oparł zamek o kark i ruszył biegiem. Lewe ramię zdrętwiało i ćmiło tępy bólem. Mógł nim poruszać i o dziwo, kości nie były chyba pogruchotane, ale nie był w stanie niczego podnieść ani podeprzeć.

Zdażył dobiec na tyle blisko, żeby zobaczyć dokładnie co się stało. Kiedy Gorodenko znajdował się o pięć metrów od rozbitka, ten nagle wyjął zza kołnierza zaginiony pistolet Korpałowa i strzelił mu trzy razy w pierś. Pociski zatrzymały żołnierza jak niewidzialna, elastyczna ściana.

Dowódca wydał z siebie wściekły ryk i stając na jednej nodze, złożył się do strzału. Ułamek sekundy później, uwięziony między krzakami Korpałow zrobił dokładnie to samo.

Drewniany stukot automatu wyprzedził o pół sekundy podwójny, grzmiący wystrzał repetiera. Bok dowódcy przeszyty dwoma wielkokalibrowymi pociskami eksplodował chmurą krwi i żołnierz runął w śnieg jak worek szmat.

Iwan Iwanowicz leżał na plecach, z rozrzuconymi na boki rękoma, w idealnie okrągłej, czerwonej plamie. Podziurawiona klatka piersiowa dygotała mu spazmatycznie, palce zakrzywiały się i chwyciły mokry od krwi śnieg. Korpałow gruchnął na kolana i zdrową ręką uniósł mu głowę.

— Zrozumiałem, co próbowałaś mi powiedzieć — wykrztusił Andriej. — Zrozumiałem, co mówiłaś o lustrach, Andriusza.

Rozbitek zakrztusił się różową pianą. I chwycił go kurczowo lepki od krwi palcami za pierś. A potem dźwignął się z wysiłkiem i przekręcił na bok, chcąc zobaczyć bramę.

Ale bramy nie było.

Była tylko ściana mgły, powoli rozwiewającej się i niknącej — jak zwykła mgła.

— Brat... — wycharczał rozbitek. — Pamiętaj, brat...

I nagle puścił kurtkę Korpałowa.

Korpałow stał nad nim przetykając łyzy i czując, jak marzną mu na policzkach. Jeszcze nigdy nie był tak zmęczony.

Odkąd padł pierwszy strzał, upłynęło niecałe sześć minut.

Mgła rzedniała i siedem ciał ludzi z innego świata blakło i rozwiewało się tak samo jak ona. Znikały karabiny, buty i mundury, mapa i radiostacja, nawet łuski. I krew. Została tylko ta, utoczona z Korpałowa. I jeszcze plątanina śladów i wygniecione kształty na śniegu. Znikł wbity w jego ramię zrykoszetowany, słaby pocisk, a nawet wpalony w tkanki smar i resztki kordytu. Została czysta, półtoracentymetrowa rana. I przestrelone w pięciu miejscach stare ubranie Gorypina leżące na śniegu.

\* \* \*

Krzyż nie był bardzo piękny. Korpałow nie był ani rzeźbiarzem, ani cieślą, a na dodatek ramię trochę mu dokuczało, zwłaszcza na mrozie. Był jednak w końcu plastykiem i coś takiego umiał zrobić przynajmniej porządnie.

Chciał żeby krzyż był trwały i postanowił, że z czasem postawi tu kamienny.  
Napis był prosty i bez ozdóbek.

W TYM MIEJSCU ZGINAŁ  
Ś. P. ANDRIEJ STIEPANOWICZ KORPAŁOW II  
ZNANY JAKO „IWAN IWANOWICZ” CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI  
1941–1973

Korpałow przeżegnał się i przyklęknął zapalając świecę. Potem wstał i odkręcił butelkę wódki. Drugi kieliszek wetknął w śnieg. Obok położył na rozwiniętym papierze pokrojoną „myśliwską”.

— Twoje zdrowie, Iwanie Iwanowiczu. Nie gniewaj się, ale w przyszłym roku jednak pojedę na Krym. Podobałoby ci się tam.

Mróz zelżał, a świeca paliła się równo.  
Buran ustał.

*8 stycznia 2004*

*Andrzej Pilipiuk*

# Operacja „Szynka”

*Z pamiętnika tow. Malinowskiego.*

*Nad Warszawą świeci księżyc. Mroźna grudniowa noc. W willi też jest chłodno, swoją drogą to granda, żeby dla fachowca mojej klasy zabrakło talonów na węgiel. Solidarnościowa ekstrema, przyduszona falą aresztowań, spacyfikowana i przerażona siedzi jak mYsz pod miotłą. Najlepsi synowie narodu, tacy jak ja, mogą spać spokojnie w swoich willach. No, prawie spokojnie, bo nie wszystkich bydlaków udało się wylapać. Pistolet pod poduszką, czterech żołnierzy u wylotu ulicy... Tylko czy to pomoże.’ Czy wojsko obroni nas przed tymi zezwierzęconymi sługusami światowego imperializmu? Jednostka czy kolektyw, co liczy się bardziej? Na studiach podkreślano rolę kolektywu, jednak ostatnie moje doświadczenia każą zweryfikować te teorie. Jasne, że kolektyw jest istotny, ale w gruncie rzeczy stanowi bezwładną masę. Dlatego na czele kolektywu musi zawsze stać nadkolektyw, który będzie, przy pomocy odpowiednich posunięć, kierować resztą. Wreszcie na czele nadkolektywu też nie może zabraknąć przywódcy. A zatem wszystko układa się w logiczną całość. Moja droga wiedzie właśnie tam, na szczyty władzy, najpierw jednak muszę wejść do nomenklatury, do nadkolektywu rządzącego naszą Partią. Ciekawe, czy moje zasługi okażą się wystarczające. Nakarmienie szynką miliona głodnych gąb niewątpliwie pozwoli na znaczne uspokojenie społecznego wrzenia, jednak czy Partia doceni moje pomysły? Za trzy tygodnie święta... W ciągu kilkunastu dni szynka musi trafić na sklepowe lady. I trafi...*

\* \* \*

Od strony okna ciągnęło chłodem. Nic dziwnego, na zewnątrz prawie piętnaście stopni morzu. Nie pomagało upychanie w okienne szczeliny deficytowej waty ani położenie zrolowanego koca na parapecie. Kaloryfer za biurkiem był ledwo letni. Widać, znowu coś się porobiło w kopalniach... Stałem koło okna i przez chwilę chuchałem na pokryte kwiatami mrozu szyby. Wreszcie stałem szron dłonią. Ulicą wolno przetoczył się transporter opancerzony. Osiedle było ciemne i ciche, jak wymarłe. Cóż, druga w nocy. Normalni ludzie śpią i tylko nieliczni straceńcy jeszcze pracują. Latarnie zgaszone, oszczędności.

Stabilizator napięcia zabuczał. Spojrzałem z niepokojem na ekran, ale ten tylko zamigotał. Radziecki telewizor „Rubin” nieźle się sprawował jako monitor.

— Znowu oszczędzają, bydlaki — mruknąłem.

Siadłem na starym fotelu i pochyliłem się nad garścią kości. Czterdziestowatowa żarówka zabłysła nieoczekiwanie nieco jaśniej, ale zaraz potem pociemniała. Stabilizator zabuczał i przełączył na rezerwę. Patrzyłem za zegarek. Jeśli w ciągu dwu minut zasilanie nie wróci do normy, trzeba będzie wyłączyć komputer. Nie wróciło. Pospiesznie zapisałem wyniki pracy i zgasilem maszynę. Z westchnieniem wyjąłem plik kartek z wyrysowanymi rubrykami.

Ogarnęła mnie złość. Odłożyłem szkło powiększające. Jaki ma sens badać uszkodzenia, które na kościach mamutów pozostawiły narzędzia paleolitycznych myśliwych? Na Zachodzie zrobiono to dwadzieścia lat temu. A my dublujemy ich prace tylko dlatego, że nie możemy ściągnąć sobie przez Internet ich publikacji. Poza tym, komu przydadzą się te wyniki? I do czego? Teraz przed świętami ludziom potrzebna jest szynka, karpie, choinki, a nie kolejna broszurka wydana w nakładzie stu egzemplarzy na bibule toaletowej.

Poszedłem do kuchni i wyjąłem z szafki talerzyk z dwoma plackami ziemniaczanymi. To już ostatnie. Rano trzeba będzie pójść na bazar i poszukać kartofli. Może dowiozą. Szkoda tracić czasu na stanie w kolejkach, ale przecież coś jeść trzeba, a skoro moja praca i tak nie ma sensu... Zagotowałem w czajniku pół szklanki wody i wsypałem do kubka ćwierć łyżeczki gruzińskiej herbaty.

— I to ma być ten wymarzony dwudziesty pierwszy wiek? — warknąłem w przestrzeń. — Używane komputery z darów amerykańskiego Czerwonego Krzyża, siano zamiast herbaty, kartofle na kartki...

— I po co się tak denerwować? — z kratki wentylacyjnej dobiegł głos blokowego. — Wszystkim ciężko, a tylko wy, inteligenci, narzekacie.

Poczłapałem z powrotem do pokoju. Co za czasy parszywe, jeszcze dziesięć lat temu kolesie od podsłuchów udawali, że ich tam nie ma, a teraz nie dość, że się nie kryją, to jeszcze wdają się w polemiki...

Gorąca herbata rozgrzała zziębnięte palce, ale nie przywróciła mi ochoty do pracy. Ze złością walnąłem się na kozetkę i nakryłem zjedzonym przez mole kożuchem po dziadku. Zgasłem światło. Pora spać.

\* \* \*

Szarzy zjadacze chleba znają budynek sejmu tylko z telewizyjnych migawek. Jedyne nieliczni zdają sobie sprawę, że za głównym gmachem rozciągają się całe hektary ściśle strzeżonego terenu. Stoją na nich rozmaite budynki, mieszczące biura, zaplecze logistyczne oraz inne przydatne instytucje. Pracujący w nich urzędnicy nie wiedzą, że to, co widać na powierzchni ziemi, to tylko wierzchołek góry lodowej, bowiem pod kompleksem w skarpe wryto na dwadzieścia metrów setki bunkrów i schronów. Odpowiednie korytarze łączą kompleks z podziemiami niedalekiego Domu Partii i gmachem Radiokomitetu. Kompleks wypuszcza wokoło macki w postaci kabli telefonicznych i telewizyjnych oraz magistrali energetycznych. Nawet bezpośrednie uderzenie jądrowe nie zagrozi wybrańcom narodu, którzy nie szczędząc sił, prowadzą społeczeństwo ku coraz bliższemu komunizmowi.

Na najniższym poziomie schronów znajduje się niewielka sala narad. Na górze w sejmie obradują ci, którzy stanowią prawa i przepisy. Tu natomiast zbierają się faktyczni władcy kraju, by dyskutować o kwestiach naprawdę ważnych.

— Towarzysze — zagaił generał — zebraliśmy się, aby przedyskutować bieżącą sytuację.

Zgromadzeni z godnością kiwnęli głowami.

— Zoolodzy przewidują, na podstawie obserwacji zachowań różnych zwierząt, że zima tego roku będzie i ciężka, i potrwa długo. Dlatego też, towarzysze, nasuwa się kilka nader istotnych

problemów.

— Z opałem powinniśmy się wyrobić — powiedział towarzysz od węgla. — Kopalnie miały nieco przestojów spowodowanych strajkami, ale wszystko jest już pod kontrolą. Zresztą towarzysze z ZSRR nie tylko obniżyli nam kontyngent, ale nawet zawrócili z granicy parę tysięcy ton. W razie czego, trochę nam pożyczą... Na procent.

— Tylko że ten ich węgiel się nie pali — mruknął ktoś.

Generał poderwał głowę, ale za późno. Wszyscy siedzieli z kamiennymi twarzami.

— Starzeję się — pomyślał. — Refleks już nie ten...

— W razie czego, niedobory węgla uzupełnimy drewnem — zauważył dyrektor lasów państwowych.

Pierwszy sekretarz popatrzył na nich ponuro.

— O węgiel i drewno nie martwiłbym się — powiedział spokojnie choć złowieszczo. — Naród przywykł już do przejściowych trudności. Gorzej, towarzysze, ma się sprawa z mięsem.

Minister odpowiedzialny za mięso zrobił się lekko zielony na twarzy.

— Sytuacja jest w zasadzie pod kontrolą towarzyszu generale. — Niedobory oczywiście wystąpią, ale będą one minimalne... To znaczy, tak małe, jak się dało... W zasadzie niezauważalne.

— Doprawdy? — szkła ciemnych okularów błysnęły złowrogo. — A ile to konkretnie zabraknie?

— Mniej więcej... no z tysiąc ton szynki. Pozostały asortyment... Tu braki są nieco większe, ale biorąc pod uwagę...

— Gównno — syknął generał — mówcie po ludzku, że zabraknie szynki dla miliona polskich rodzin. Widzicie, jaka jest sytuacja. Ekstrema z Solidarności tylko czeka by nam skoczyć do gardeł, a taki niedobór wywoła natychmiastowy bunt.

— Solidarność poskromimy — mruknął minister spraw wewnętrznych — Koperty z instrukcjami mam już gotowe w sejfie.

— Wiem — przerwał mu pierwszy sekretarz. — tylko gównno nam to da, jeśli dojdzie do buntu mas... a dojdzie do niego przez tego palanta — wskazał gestem ministra.

— Ja...

— Wy, towarzyszu, ukrywaliście przed nami faktyczny stan rzeczy — ryknął generał. — To jest zdrada.

Minister wziął głęboki oddech.

— Nieprawda. Składałem raporty na bieżąco w sekretariacie i w zeszłym tygodniu zaproponowałem rozwiązanie...

— Ten stek bzdur nazywacie rozwiązaniem!?

— Jeśli pozwolicie towarzyszu generale, towarzysz Malinowski byłby w stanie zreferować to dokładniej... Czeka obok.

Dygnitarz wahał się tylko chwilę.

— Wezwijcie — zezwolił łaskawie.

Towarzysz Malinowski miał może dwadzieścia pięć lat. Generałowi spodobał się na pierwszy rzut oka.. Widać było, że bystry i ideowy zeń chłopak.

— Mówcie — rozkazał.

— Towarzysze, rozwiązaniem naszych problemów jest mielona szynka.

Minister od propagandy poskrobał się po głowie.

— Nie da rady — powiedział — Rozumiem, że można dodać papieru toaletowego do kiełbasy, ale nie więcej niż 35%, bo potem następuje skokowe pogorszenie walorów smakowych... Poza tym, żeby robić szynkę, trzeba mieć szynkę. A my jej nie mamy...

— A skąd ty wiesz, ile papieru można dodać? — oburzył się minister gospodarki — To przecież ściśle strzeżona tajemnica państwowa!

— Mam własny pion badawczy, przecież muszę wiedzieć, czemu ludzie narzekają na wędliny — odgryzł się dygnitarz.

— Masz pion badawczy? To go sobie zlikwiduj. Kielbasą zajmuję się ja...

— Dosyc — warknął generał. — Kontynuujcie — zwrócił się do gościa.

— Jak zrobić mieloną szynkę? Skorzystajmy z doświadczeń radzieckich.

— A skąd wiecie, jak się to robi u nich?

— Studiowałem w Moskwie technologię żywności — wyjaśnił. — A że miałem oczy szeroko otwarte, to podczas praktyk w ich tajnych zakładach, co nieco proszków do kieszeni odsypałem...

— Proszków — podchwycił generał... Tak, to zdecydowanie łebski chłopak. Gdybym miał więcej takich...

— Dokładnie tak. Bierzemy mięso. Może być właściwie dowolne, byle nie było nadgnite. Wrzucamy w wirówkę i rozbijamy na włókna, potem trafia to do kadzi z barwnikiem, kadzi ze środkiem zapachowym i ekstraktem smakowym, potem jeszcze odrobina soli i żelatyny, a po sprasowaniu szynka trafia do puszek.

— Radziecka mielona szynka jest gównem warta — zauważył minister poczt. — Próbowałem tej wyjmowanej z paczek...

— Owszem — uśmiechnął się Malinowski — dlatego przez ostatnie pół roku ulepszałem ich technologię. Jeśli pozwolicie...

— Pozwolimy — mruknął generał.

Po chwili kelner wniósł półmisek z wędliną i widelce.

— Ty pierwszy — dygnitarz wbił wzrok w wynalazcę.

Ten skosztował dwa kawałki. Przekonawszy się, że szynka nie jest zatruta, pozostali zgromadzeni sięgnęli po widelce.

— Smaku nie udało się precyzyjnie podrobić — mruknął minister spraw wewnętrznych.

— Ale zwykli ludzie od tak dawna nie mieli prawdziwej szynki w ustach, że nie powinni się pokapować — odparował Malinowski. — Oczywiście przydałby się jeszcze rok na ulepszenie technologii, ale nie mamy czasu...

— Tak czy siak, żeby robić szynkę trzeba mieć mięso... — upierał się minister od propagandy.

— Oczywiście. Zebrałem kompletne dane. Towarzysze z ZSRR nie mogą nam tym razem pomóc — sami przeżywają naturalne dla tego etapu rozwoju społeczeństwa komunistycznego, przejściowe problemy z zaopatrzeniem. Towarzysze z innych bratnich krajów też nie bardzo. W kraju kicha totalna. W pegeerach poszło pod nóż wszystko, co się rusza, nawet stada zarodowe uszczupiliśmy. Chłopi mają oczywiście zapas zwierząt, ale jak im to skonfiskować?

— To da się zrobić — mruknął minister spraw wewnętrznych i z zadowoleniem zatarł owłosione kułaki.

— Nie da rady — warknął generał. — Wieś, mimo ekscesów Solidarności, ciągle jeszcze choć trochę nam sprzyja... Nie możemy stracić ostatniego bastionu społecznego poparcia. A zwierzyna w parkach narodowych?

— Przetrzebiona poniżej granicy odnawialności stad — wyjaśnił dyrektor od parków. — Zresztą pozyskanie zwierzyny na taką skalę jest niemożliwe.

— I co na to powiecie, towarzyszu Malinowski? — Generał zerknął na eksperta.

Odpowiedziało mu spojrzenie jasnych oczu, twarde i nieomal zuchwałe.

— Ten problem został już rozwiązany.

\* \* \*

Stukanie do drzwi wyrwało mnie z płytkiej drzemki. Spojrzałem na zegarek. Siódma trzydzieści. Zakląłem w duchu. Zaspałem totalnie. O tej porze nie warto już iść na bazar. O sklepach nie wspominając.

Stukanie powtórzyło się. Powlokłem się do drzwi i nieufnie spojrzałem przez wizjer. Listonosz. A może... Może przyszła paczka od brata ze Szwecji. Prawdziwa kawa, prawdziwa herbata, prawdziwe papierosy, które na bazarze można wymienić na tuszonkę w puszcze! Otworzyłem i przyozdobiłem twarz radosnym uśmiechem. Niestety, listonosz trzymał w dłoni tylko kopertę.

— Pan Olszakowski? Dowodzik proszę, telegram za pokwitowaniem do rąk własnych.

Pokazałem dokument i pokwitowałem machinalnie. Zaraz też zatrzasnąłem drzwi, z klatki schodowej wiało arktycznym chłodem. Rozerwałem kopertę.

*Proszę zgłosić się dziś o dziesiątej w ministerstwie gospodarki, wydział zaopatrzenia strategicznego. Tow. Malinowski.*

— O kurde — mruknąłem wkurzony.

Z Malinowskim chodziłem do liceum. Szuja, lizus, kujon i donosiciel. W wieku 16 lat wstąpił do partii, potem studiował w Moskwie technologię żywności. Pokazywali go czasem w telewizji — był rządowym ekspertem od czegoś tam... Po prawdzie komputer to on mi załatwił. Nie ma rady, trzeba iść...

\* \* \*

Mróz nieco zelżał, ale i tak do przystanku autobusowego musiałem iść przekopem, przez zaspę. Nasze osiedle dostało szóstą kategorię odśnieżania, a właściwie zostało zdegradowane do szóstej, bo w zeszłym roku mieliśmy czwartą. Widać wyprowadził się ktoś ważny. Do centrum miasta dojechałem bez większych przygód. Budynek ministerstwa, otoczony bunkrami i zasiekami, znałem nieźle, to tutaj załatwiałem przydział łopat na letnie wykopaliska. Pokazałem telegram wachmanowi przy wejściu, zaraz też wydano mi przepustkę i skierowano na drugie piętro.

Malinowski przyjął mnie w swoich gabinecie. Nieźle się tu urządził. Gruby afgański dywan, poznaczony tylko tu i ówdzie śladami kul, biurko skonfiskowane w jakimś muzeum, na półce obowiązkowy komplet dzieł klasyków, od Marksa po Jaruzelskiego.

— Tomasz Olszakowski — uśmiechnął się szeroko — Kopę lat.

Obyś szczęśliwy, szujo — pomyślałem, podając mu rękę.

— Siadaj, czego się napijesz? Kawy, herbaty, coś mocniejszego? — otworzył barek. Kubański rum, butelka „Stolicznej”, armeński koniak.

— Koniaku — poprosiłem.

Nalał mi kieliszek i chytrze spojrzał w oczy, gdy sączyłem pierwszy łyk.

— Podróża?



Jego szczurzy pysk rozciągnął się w uśmiechu.

— Jak zgadłeś?

— A skąd byś wytrząsnął prawdziwy?

— No dobra, zgadłeś. To moje dzieło. Za tydzień idzie do produkcji. Nasza wódka, z kartofli oczywiście, wzbogacona rosyjskim ekstraktem i wyleżakowana w dębinie przez dwa tygodnie. Nawet minister dał się nabrać

— Po co mnie wezwalesz? — zapytałem. — Bo chyba nie po to, aby testować na mnie swoje wynalazki.

Obraził się, ale tylko na moment.

— Mamy pewien problem natury zaopatrzeniowej — powiedział.

Ze złośliwą satysfakcją zauważyłem, że od czasów liceum jego polszczyzna wcale się nie poprawiła.

— Macie chyba same problemy — zauważyłem.

— Wiesz, co to jest szynka? — przeszedł do konkretów.

— Jasne. Szynka, to mówiąc obrazowo, dupa świni. W ogólnym handlu nie występuje, nawet w Pewexie trudno ją dostać.

— A szynka mielona? — uśmiechnął się chytrze.

— Owszem, kosztowałem nie tak dawno... Cholera was wie, z czego ją robicie. W smaku nawet trochę przypomina prawdziwą.

— No to skosztuj tej...

Z lodówki w kącie gabinetu wyjął puszkę oznaczoną kodem, zerwał wieczko i postawił ją przede mną. Obok położył nóż i widelec.

Spróbowałem.

— Niezła — powiedziałem. — Prawie tak dobra, jak amerykańska mielonka. Z tego co słyszałem, w zeszłym miesiącu wydano decyzję o likwidacji wszystkich schronisk dla bezdomnych psów?

— E tam — machnął ręką. — Gucio to dało. Dwieście ton mięsa raptem. Kropla w morzu potrzeb. Poza tym szynka z psa jest trochę za słodka i nie trzyma parametrów. Chcesz spróbować? — ruszył w stronę lodówki.

Grzecznie odmówiłem.

— Po co mnie ściągnąłeś? — wróciłem do pytania.

— Widzisz, czytałem twoje prace.

O, skurczybyk nauczył się czytać!? W sumie chyba musiał, partia załatwiła mu maturę, ale z tego co wiedziałem, nie tolerowała analfabetyzmu w swoich szeregach...

— I co ciekawego się z nich dowiedziałeś? — zakpiłem.

— Jesteś najlepszym specem od mamutów. Nawet ci z instytutu ewolucji skierowali mnie do ciebie. A ja potrzebuję nieco konsultacji. Na przykład, jak to draństwo zabić?

— Bardzo prosto — wzruszyłem ramionami. — Nasi przodkowie neandertalczyki używali do tego celu specjalnych ostrzy krzemiennych. Zwano je tylczakami, miały kształt w przekroju podobny do scyzoryka, z jednej strony grubsze, z drugiej cieńsze.

— I podłazili blisko z takimi dzidami i kłuli słonie w brzuch?

— Nie, mieli takie krótkie kijki z pętlami. Wtykali w nie krótkie włócznie i naparzali mamuty z bezpiecznej odległości.

— To było skuteczne?

— Jak cholera. Robiliśmy eksperymenty, taka włócznia, zaopatrzona w zrekonstruowane ostrze,

przechodziła przez dwie warstwy wołokowych materacy.

Uśmiechnął się lekko.

— Dobra, jeszcze jedno pytanie. Przyjmijmy, że chcemy wykończyć mamuta. Mamy do dyspozycji wszystko, co można znaleźć w arsenale armii Układu Warszawskiego. Jak byś się do tego zabrał?

— No cóż, karabin snajperski i pocisk eksplodujący, zakazany konwencjami.

— Nie mówmy o tym, co imperialiści zakazali, tylko o tym, czym dysponujemy — uśmiechnął się. — I gdzie walić? W serce?

— Można i w serce — poskrobałem się po głowie. — Ale lepiej kropnąć go w łeb.

— A kaliber? Chodzi o to, żeby możliwie najwięcej zaoszczędzić amunicji.

— Co wy do cholery chcecie zrobić? — spojrzałem na niego zaskoczony. — No cóż, zakładając hipotetycznie, że musiałbym zabić mamuta, użyłbym wielokałibrowego karabinu przeciwlotniczego, kaliber 17 milimetrów.

Milczał dłuższą chwilę.

— Mogę zaproponować ci rządowy kontrakt na dwa tygodnie — powiedział wreszcie. — Będiesz naszym konsultantem. Instytut potraktuje ten okres jako urlop bezpłatny, my oferujemy wynagrodzenie wedle stawek dla zagranicznych ekspertów.

— I zapłacicie rublami? — zainteresowałem się. Zawsze dobrze zarobić w twardej walucie...

— Nie, zapłacimy złotówkami. Takie są przepisy. Gdybyś należał do Partii, to można by popробować, a tak, sam jesteś sobie winien.

— A może dałoby się załatwić, abym mógł pojechać w lecie do Kijowa na kongres? — targowanie się z tym typkiem wywoływało we mnie obrzydzenie, ale z drugiej strony, jeśli mógł mi pomóc...

— To nie ode mnie zależy... Ale spróbuję — obiecał. — Sami wiecie, jak to teraz jest. Mnóstwo ludzi usiłuje uzyskać azyl w ZSRR.

— Specjalnie im się nie dziwię — mruknąłem. — Od kiedy wprowadziliście kartki na chleb i kartofle...

— Proszę tylko bez agitacji antypaństwowej w mojej obecności — warknął.

Położyłem uszy po sobie.

— To co teraz powiem, stanowi jedną z najściślej strzeżonych tajemnic państwowych — powiedział. — Najpierw jednak podpiszesz ten dokumencik.

Podsunał mi papierek. Przeleciałem go wzrokiem i mina nieco mi zrzędała.

— Kara śmierci w razie naruszenia tajemnicy? — zdziwiłem się.

— A coś ty myślał? Musimy bronić naszych sekretów przed szpiegami imperialistów.

— Dobra — złożyłem swój podpis. — Cóż to za tajemnice?.

— Znalazłem sposób na rozwiązanie kryzysu mięsnego. Żarcia będzie tyle, że będzie można znieść karki na mięso.

Popatrzyłem na niego podejrzliwie.

— Przerobicie na szynkę staruszków czy więźniów politycznych?

— W teorii można by — mruknął. — Tej solidarnościowej ekstremy siedzi po łagrach ze sto dwadzieścia tysięcy... Po trzydzieści kilo z każdego... Ale sam rozumiesz, jak by się rypło... Już i tak imperialiści wrzeszczą, że zbudowaliśmy ustrój ludożerczy, jakby tych kilka przypadków kanibalizmu miesięcznie... Zresztą, co ja będę gadał. Przygotowuję wyprawę.

— Do bratniego Sudanu polować na mamuty?

— Do Polski. Tyle tylko, że 40 tysięcy lat wstecz.

— Co!? — spojrzałem na niego zdezorientowany. Wyglądało na to, że mówi poważnie.

— Mamy wehikuł czasu — zniżył głos. — A właściwie nie my go mamy tylko Rosjanie. Ale obiecali udostępnić. Skoczmy sobie, trzaśniemy ze dwa tysiące mamutów i problem zaopatrzenia na święta już rozwiązany. Potrzebujemy tylko fachowca, żeby nam doradzał w sprawie mamutów.

— Zmienicie historię — szepnąłem przerażony.

— A gdzie tam — wzruszył ramionami. — Historia jest niezmienna.

— I co, przierzucicie to mięcho tutaj... Zasepił się.

— No, tak prosto się nie da — westchnął. — Trzeba będzie wykopać dziurę, wrzucić ścierwo, zalać octem a potem ciekłym azotem. Zasypiemy i poczekają sobie te 40 tysięcy lat.

— Jak syberyjskie mamuty zachowane w wiecznej zmarzlinie — poskrobałem się po głowie.

— No właśnie. Wprawdzie azot z czasem się ulotni, ale zetnie wilgotny piach i zamrozi je na dobre. Po 40 tysiącach lat nadał powinno tam być  $-30$  stopi Celsjusza.

— Kiedy mamy lecieć?

— Jutro.

\* \* \*

*Z pamiętnika tow. Malinowskiego.*

*W zasadzie to nie wiem, jakie procesy fizyczne pozwalają materii przemieszczać się w czasie. Uczni radzieccy niechętnie dzielą się swoją wiedzą. Grunt, że urządzenie działa, chociaż kiepsko. Można sobie skoczyć 150 milionów lat do tyłu i popatrzeć jak wymierają dinozaury albo sprawdzić, gdzie tworzą się złoża węgla kamiennego, natomiast im bliżej tym trudniej. Bliżej niż 40 tysięcy lat nikomu nie udało się skoczyć — choć próby oczywiście ciągle trwają...*

\* \* \*

Skok w przeszłość odbyć się miał z terenu Warszawskiej Cytadeli. Wysokie nasypy ziemne chroniły całe przedsięwzięcie przed okiem niepowołanych...

Nigdy wcześniej nie widziałem wehikułu czasu. Jak wyglądał? W sumie nijak. Brezentowy namiot, taki sam, jakimi w NRD nakrywa się zimą baseny. Wewnątrz kratownica, na niej zawieszony generator Rychnowskiego. Poniżej na szarej, zmarzniętej glebie krąg, zaznaczony czerwonymi chorągiewkami. I tyle. Kilkunastu techników mówiących po rosyjsku, programowało urządzenie.

W kręgu było wystarczająco dużo miejsca, by postawić helikopter. Maszyna wyśle w przeszłość dwie sztuki i sześciu ludzi. Potem jeszcze osiemset plastikowych beczek z benzyną lotniczą. Broń i amunicja w zaplombowanych kontenerach znalazła się na pokładach... Dopiąłem szczelniej kurtkę z tureckiego jeansu na sztucznym misiu.

— Wylądujemy w lecie — mruknął Malinowski, wychodząc zza namiotu. Piloci wyprężyli się jak struny na jego widok.

— Latem mamuty pasą się w tundrze... — zauważyłem.

— Właśnie. Miejmy nadzieję, że dorwiemy je gdzieś niedaleko. Mamy niewiele paliwa.

Przyszedł jeszcze jeden człowiek, ponury o zaciętej twarzy. Na mundurze miał dystynkcje majora SB. Po plecach przeszły mnie ciarki. A zatem Malinowski nie cieszył się pełnym zaufaniem partii.

— Towarzysze, dziś stworzymy podwaliny ekonomii jutra... — powiedział z patosem dowódca wyprawy. — Historia powierzyła nam los tysięcy głodujących polskich dzieci.

Miałem na końcu języka stwierdzenie, że w Szwecji jakoś dzieci nie głodują, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili.

Pierwsza maszyna pokołowała do wnętrza kręgu. Pilot zatrzasnął kabinę i podniósł kciuk do góry. Odsunęliśmy się. Rosjanie włączyli generator i helikopter z głośnym cmoknięciem odleciał w przeszłość. Druga maszyna wtoczyła się do namiotu.

Musieliśmy odczekać kilkanaście minut — taki był rozrzut u celu. Z ciężarowych Biełazów wypakowywano właśnie butle z ciekłym azotem...

Człowiek z teczką, pilnujący wyładunku, na mój widok uśmiechnął się i ruszył w moją stronę. Poznałem go, choć do tej pory widziałem jego twarz tylko na zdjęciach.

— Akademik Kołczygin — przedstawił się, potwierdzając moje przypuszczenia. — Dobrze, że was widzę, panie Olszakowski — powiedział. — Czytałem pańskie prace o mamutach. Mam dla was drobny suvenir... Podał mi ciężką teczkę.

Podziękowałem i niestety zaraz musiałem odejść, bo zbliżała się pora mojego startu... Dopiero zamknięty w ciepłym wnętrzu maszyny mogłem przejrzeć upominki. Przewidujący akademik zapakował mi dwie flaszki „Stolicznej” oraz pięknie wydane książki: „Mamuty ZSRR” swojego autorstwa, oraz „Mamuty bułgarskie — młodszy bracia mamutów radzieckich”. Zdążyłem je pobieżnie przekartkować, nim wykonaliśmy skok.

\* \* \*

Przestrzeń wokoło helikoptera rozbłysła niczym zielony flesz i kabinę zalało światło słoneczne. W sekundę później zgasło, ustępując wielkim kłębowi ognia. Ogłuszający huk, wstrząs, zapach płonącej benzyny... Pilot zapuścił rotor i wznieśliśmy się do góry. Malinowski kopnięciem otworzył drzwi i zaczął polewać burty pianą z gaśnicy. Bez wahania zrobiłem to samo od swojej strony. Osiedliśmy ciężko na stoku wydmy. W dolinie pod nami płonął drugi helikopter.

— Rozrzut musiał być bardzo mały — wysunął teorię Malinowski.

— Siedliśmy prosto na nich — domyśliłem się.

— Na to wygląda, ale nas obsobaczą, taki helikopter jest wart z pół miliona dolarów...

— A ludzie?

— Szkoda ich, oczywiście — zrobił sztucznie zasmuconą minę. — Ale w walce o szczęście ludzkości ofiary się zdarzają. To nieuniknione.

Pilot obejrzał uszkodzenia naszej maszyny.

— Sprawna — powiedział.

Malinowski wyskoczył z pojazdu. Wyjął z tubusu sztandar i zaczepiwszy do drzewca, wbił w prehistoryczną wydmy. Pilot puścił z magnetofonu hymn.

— W imieniu Polski Rzeczypospolitej Ludowej i Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej obejmujemy w wieczyste władanie tę ziemię i wszystkie jej zasoby — ekspert wygłosił formułkę

specjalnie przygotowaną przez Generała.

Zaraz potem musieliśmy zrobić dokrętkę, bo kamera wideo nie zastartowała.

\* \* \*

Lecieliśmy nisko nad tundrą. Wiatr z północy był zimny, przejmujący, lodowiec zaczynał się gdzieś w okolicach Płocka. Wokół tundra, tu i ówdzie skupiska rachitycznych brzołek.

— Będziemy mieli grube nieprzyjemności z powodu tamtych — powiedział Malinowski. — Pal diabli helikopter, ale ten koleś...

— W mundurze, ten ponury? — upewniłem się.

— Właśnie, pułkownik SB... Cholera. Chyba muszę ci, kolego, zaufać, bo jedziemy na jednym wózku.

— A co konkretnie miałbym zrobić? — zainteresowałem się. — Czy stado mamutów może zniszczyć helikopter?

— Teoretycznie, gdyby zaszarżowały... — poskrobałem się po głowie. — Nie jest to wykluczone.

— Spiszemy protokół — ściszył głos. — Wylądowali między mamutami. Spłoszyły się i zniszczyły maszynę. Wszyscy zginęli na miejscu. Pomściliśmy ich, wybijając stado.

— Naciągane — mruknąłem. — Mamuty w takim przypadku raczej by uciekły. Są płochliwe...

— Potwierdzisz przebieg zdarzenia jako ten, no... Autorytet naukowy. Żadna komisja tego nie sprawdzi, z helikoptera wkrótce zostanie tylko warstwa tlenków żelaza.

Skrzywiłem się, ale kiwnąłem głową na zgodę.

\* \* \*

Leżeliśmy na zboczu góry, obserwując przez lornetki, jak kudłate słonie skupią sobie trawę.

— W sumie można by wystrzelać je w jakieś dwadzieścia minut — mruknąłem, klepiąc kolbę karabinu. Malinowski kiwnął niechętnie głową.

— Można by — mruknął. — Ale nie mamy jeszcze dołu do zdeponowania mięsa...

— Przyślą nam koparki? — pilot zaciągnął się „Sportem”. — Czy łopaty dla neandertalczyków i paciorki na zapłatę?

— Z tymi neandertalczykami to nie taki głupi pomysł — mruknął nasz szef. — Tylko jak się z nimi dogadać? A dół wykopujemy.

— We trzech? To nam zajmie jakieś pół roku — zakpiłem.

— W ZSRR dawno już rozwiązano ten problem — mruknął. — Jutro się za to zabierzemy.

— I co? Ubijemy je tu, a potem będziemy helikopterem wrzucali do dziury? — prychnął pilot. — Paliwa nie starczy, a i siedmiotonowego ciapka nie udźwignę maszyną.

— Przestańcie mleć ozorami. Partia myśli za was — aparatczyk poklepał się po kieszeni, w której miał legitymację.

\* \* \*

Malinowski nie był taki głupi, jak mi się zdawało. Z helikoptera wyciągnął przenośny zestaw do wierceń. Niemiecki, pełna automatyka... Zostawił mnie w niewielkiej dolince i kazał wiercić według instrukcji. Pionowy szyb, czterdzieści pięć metrów głębokości. I tylko pół metra średnicy.

— Co ty, chcesz te mamuty zamrażać od razu w puszkach, czy pod postacią pasztetu? — zdziwiłem się. — W taką dziurę trudno będzie jedną nogę wcisnąć, a co dopiero całego.

Spojrzał na mnie z ponurym błyskiem w oku.

— Głupiś jak but — warknął. — Spuścimy tam bombę. Wywali nam odpowiedni lej.

— Bomba zakopana na czterdziestu pięciu metrach ma zrobić dziurę wystarczającą, żeby zagrzebać dwa tysiące mamutów? — zdumiałem się. — Chyba coś ci się popierdoliło. To musiałyby być kilkadziesiąt ton dynamitu... — urwałem w pół słowa.

Jego uśmiech zmroził mi krew w żyłach.

— Po co kilkadziesiąt ton? — warknął. — Wystarczy walizkowa bombka termojądrowa.

Pilot zrobił się lekko zielony na twarzy.

— Skąd ją weźmiemy?

— Ze skrzyni. — Pochylił się nad kontenerkami stojącymi w helikopterze i wyjął czarny, metalowy neseser. Otworzył oba zamki, wewnątrz zabłysły diody kontrolek.

— Wystarczy zaprogramować, przekręcić kluczyk kodowy i gotowe — uśmiechnął się.

— Czyś ty zgłupiał? — jęknąłem. — A skażenie? Ludzie poumierają od tego mięcha...

Głupstwa gadasz. To po pierwsze wodorówka, po drugie minie czterdzieści tysięcy lat, zanim je odkopujemy.

I poleciali gdzieś, biorąc ze sobą kilka beczek z paliwem. Chcąc nie chcąc, zabrałem się za wiercenie.

\* \* \*

Wrócili pod wieczór, zadowoleni.

— Mamy namierzone duże stado, ze trzysta sztuk — powiedział dowódca. — Trzeba zrobić dziś detonację, bo jutro nie będzie na to czasu.

Siedziałem i w milczeniu patrzyłem, jak uzbraja bombę. Wreszcie spuścił ją na dno szybu.

— Zegar ustawiony na pół godziny — wyjaśnił. — Spadamy.

Pilot uruchomił rotor i odlecieliśmy na północ. Posadziliśmy maszynę w zagłębieniu terenu.

— Robiłeś to już kiedyś? — zapytałem. — Mam na myśli odpalenie bomb atomowych...

Aparatczyk pokręcił głową.

— Nie, ale widziałem... — mruknął. — Wysiadka.

Zalegliśmy w płaskim dole i nakryliśmy się kocami azbestowymi. Niebo na horyzoncie nagle rozbłysło, ziemia drgnęła spazmatycznie, gdy przechodziła fala sejsmiczna. Wreszcie na wieczornym

niebie wyrósł ponury grzyb atomowy...

— Trzeba poczekać do rana, aż poziom radiacji opadnie i wtedy ocenić skutki — powiedział Malinowski. — A teraz trzeba to chyba uczcić. Pierwszy wybuch wodorowy w historii tej planety...

Wyciągnąłem dwie butelki „Stolicznej”, otrzymane od akademika. Malinowski wychlał półtorej i uwalnił się spać, zadowolony z siebie jak świnia. Siedziałem z pilotem przy dogasającym ognisku.

— Coś mi tu śmierdzi — powiedział wreszcie.

— Na przykład?

— Cholernie gruba sprawa.... Mam na myśli to gówno, w które się wplątaliśmy. Znasz tego dupka?

Popiłem łyk wódki.

— Chodziłem z nim do klasy... Bydlę było z niego nieprzeciętne...

— Sądysz, że wrócimy stąd żywi? Wiemy za dużo. Pal diabli tę szynkę, ale ta atomowa i wehikuł czasu....

Zapadło długie milczenie.

\* \* \*

Z wysokości dwustu metrów scena wyglądała wręcz nierealnie. Mamuty, wielkie stado liczące kilkaset sztuk, pędziło poganiane ścianą ognia. Malinowski nie pożałował benzyny. Dwa rowy wypełnione płonącym paliwem uniemożliwiały zwierzętom ucieczkę na boki. Z przeraźliwym kwikiem waliły prosto w lej po eksplozji jądrowej. Część ginęła na miejscu, inne kwiczały przeraźliwie. Przechyliłem się przez burtę i zwymiotowałem.

Nasz dowódca by wyraźnie w dobrym humorze.

— Nie łam się — powiedział. — Lepiej ubić trochę bydła niż dopuścić do tego, by ludzie zdychali z głodu.

— Trzeba je dobić — zauważył pilot. — Nie można tak, przecież się męczą.

— No to zrzucaj zbiorniki.

Butle z ciekłym azotem poleciały w dół. Wnętrze krateru wypełniła biała mgła. Jeszcze przez chwilę coś się w niej ruszało, a potem zapadła martwa cisza i bezruch. Ostatni mamut stał na krawędzi leja i patrzył z przerażeniem w dół. Malinowski sięgnął po karabin. Wycelował, ale pozycja nie gwarantowała trafienia. Wychylił się więc mocniej i przyłożył lunetę do oka.

Nigdy dotąd nikogo nie zabiłem, ale wiedziałem, że albo ja, albo on. Sięgnąłem dłonią, by odpiąć karabińczyk jego uprzęży. Ale nie mogłem się przełamać...

\* \* \*

Płynęły dni podobne do siebie jak krople wody. Przetaczałem beczki z paliwem, wykładałem rowy aluminiową folią, podpalałem i patrzyłem, jak przerażone włochate słonie walą się brunatnym potokiem do gigantycznego krateru. W wolnych chwilach piekłem na różnie wielkie kawały

mamuciny. W bagażach Malinowskiego znalazło się sporo herbaty, twierdził, że to angielska, ale przypuszczam, że gruzińska, tylko czymś doprawiona. Obżarłem się miechem, aż do smutku wetując sobie wszystkie ustawowe dni bezmięsne. Mamuty uciekały na południe, a krótkie arktyczne lato dobiegało końca. Codziennie rano helikopter odlatywał na poszukiwanie nowych stad. Zazwyczaj w porze obiadu byli już z powrotem. Tego dnia nie wrócili. Czekałem tydzień, mając nadzieję, że przeżyli i dojdą na piechotę. Niestety nie dotarli.

Praca, jaką przyszło mi wykonać, była pierońsko trudna, prawie niewykonalna dla jednego człowieka. Ale skoro tyle nas to kosztowało, musiałem dokończyć zadanie. Dno krateru pokrywała warstwa lodu i zmrożonego błota. Tylko gdzieniegdzie sterczał z niej grzbiet lub wyciągnięta w ostatnim paroksyzmie trąba. Założyłem lekkie ładunki trotylowe i zdetonowałem. Krater zasypało do końca, została tylko rozległa dolina, a ja zaliczyłem sporą dawkę promieniowania.

\* \* \*

Skoczyłem w przyszłość tak, aby wylądować w szczerym polu opodal miasta. Tymczasem materializacja w naszej epoce nastąpiła w ogródku jakiejś willi. Przelazłem przez mur. Opodal znalazłem przystanek autobusowy. Już wtedy zrozumiałem, że jednak historia uległa zmianie. Nieznane były nazwy ulic, otaczały mnie wysokościowce jak z kapitalistycznych filmów. A te sklepy...

Zastanawiałem się pół dnia, co z tym fantem zrobić. A potem doszedłem do wniosku że sam sobie nie poradzę. Zgłosiłem się na policję — (bo jak się okazało, tu była policja a nie milicja) i tłumacząc się lukami w pamięci zażądałem, żeby ustalili moją tożsamość. Poszło to bardzo sprawnie. W tej rzeczywistości też byłem Tomaszem Olszakowskim, archeologiem, tylko że od średniowiecza a nie od paleolitu. Miałem willę, żonę i trójkę dzieci. Z tą willą trochę mnie zaskoczyli, nie rozgryzłem jeszcze, skąd się wzięła. Wygrałem w totolotka czy narobiłem jakichś przekrętów?

Malinowski się znalazł. Przypadkiem włączyłem dziennik i zobaczyłem tego pacholka, jak z lizusowskim uśmieszkiem wyjaśniał stanowisko swojej partii. W pierwszej chwili nawet się ucieszyłem, ale posłuchawszy steku bredni, z obrzydzeniem wyłączyłem odbiornik. Kij mu w oko.

Zaraz po Nowym Roku poszedłem do instytutu. Stary, znajomy barak, nawet gabinet miałem nadal w tym samym miejscu. Popatrzyłem na kafle, garnki, kamienne kule armatnie... Trzeba będzie coś na ten temat doczytać. Posiedziałem pół godzinki a potem — natura ciągnie wilka do lasu — poszedłem do sekcji archeozoologii. Tak, nasz instytut dalej badał mamuty, ale zajmował się nimi jakiś brodaty typek.

— Nad czym pracujemy? — zagadnąłem, stając w drzwiach.

— Witam, panie doktorze. Obliczam przypuszczalną dzienną dawkę pożywienia tego bydełka — wyjaśnił, nie odwracając wzroku od komputera. — Musiały mieć niezły przyrost masy w ciągu lata.

— Niech pan skoczy do zoo i zapyta — zasugerowałem.

— Słonie mają inną fizjologię i przemianę materii — odpowiedział.

Naraz w moim mózgu zakiełkowało straszliwe podejrzenie. Rzuciłem się do swojego gabinetu i wykręciłem numer działu dydaktycznego warszawskiego zoo.

— Czym możemy pomóc? — usłyszałem miły głosik.

— Chciałem zapytać, ile w tej chwili macie mamutów — wysapałem.



— Czego!?

— Mamutów — powtórzyłem.

— A idź pan w cholerę — trzasnęła słuchawką.

Zrozumiałem. Mamutów już nie ma. Ani jednego. Siadłem w fotelu i z teczki wyjąłem pięknie wydany album „Mamuty ZSRR”. Znajoma okładka z reprodukcją obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem”. Szarżujący mamut wielkiego księcia Witolda, słoń Wielkiego Mistrza wali mu się pod kopyta, w rękę księcia miecz, szalony zamęt, nasze mamuty, krzyżackie słonie, wszystko splecione w jeden gordyjski węzeł bitwy...

\* \* \*

W głębokim bunkrze, dwadzieścia metrów poniżej budynku sejmu, Prezydent rozpoczął naradę.

— Panowie — zagał. — Zebraliśmy się tu, aby przedyskutować bieżącą sytuację.

Zgromadzeni z godnością kiwnęli głowami.

— Zoolodzy przewidują, sądząc z obserwacji zachowań różnych zwierząt, że zima tego roku będzie ciężka i potrwa długo. Dlatego też panowie, nasuwa się kilka nader istotnych problemów.

— Węgla mamy nadprodukcję, w dodatku górnicy ciągle robią zadymy i musimy dopłacać do nierentownych kopalni miliard miesięcznie — powiedział minister od węgla. — Kopalnie miały nieco przestojów spowodowanych strajkami, ale nie udało się zahamować wydobywania. Ponadto towarzysze z WNP nie tylko obniżyli nam kontyngent, ale wręcz zawrócili z granicy parę tysięcy ton.

— Sytuacja finansowa to totalna katastrofa... — odezwał się przewodniczący NBP. — Oficjalnie deficyt budżetowy sięgnął 55% PKB...

— W rzeczywistości jest o 10 punktów większy — przerwał mu minister edukacji. — W dodatku po tym, jak dodrukowaliście trzydzieści miliardów złotych...

— A ty skąd wiesz, ile dodrukowaliście? — oburzył się prezes.

— To przecież ściśle strzeżona tajemnica państwowa!

— Mam własny pion badawczy, przecież muszą dać robotę nauczycielom matematyki zwalnianym ze szkół — odgryzł się dygnitarz.

— Masz pion badawczy? To go sobie zlikwiduj. Forsą zajmuję się ja...

— Panowie... — przywołał ich do porządku prezydent. — Sytuacja jest taka, że trzeba kogoś rzucić na żer motłochowi — spojrzał na ministra gospodarki.

Minister odpowiedzialny za gospodarkę zrobił się lekko zielony na twarzy.

— Sytuacja jest w zasadzie pod kontrolą, panie prezydencie. Niedobory oczywiście wystąpią, ale będą one minimalne... To znaczy tak małe, jak się dało... W zasadzie niezauważalne.

— Doprawdy? — szkła okularów błysnęły złowrogo. — A ile to konkretnie zabraknie?

— Mniej więcej... No z osiemset milionów złotych. Na skup interwencyjny. W pozostałych sektorach... Tu braki są nieco większe, ale biorąc pod uwagę...

— Gównu — syknął. — Mówcie po ludzku, że zabraknie forszy dla miliona sympatyków Samoobrony! Wiecie, jaka jest sytuacja. Lepper tylko czeka, by nam skoczyć do gardeł, a taki niedobór wywoła natychmiastowy bunt.

— Samoobronę poskromimy — mruknął minister spraw wewnętrznych. — Koperty z instrukcjami mam już gotowe w sejfie.

— Wiem — przerwał mu Prezydent. — Tylko gównu nam to da, jeśli dojdzie do buntu mas... a dojdzie do niego przez tego palanta — wskazał gestem ministra.

— Ja...

— Ukrywaliście przed nami faktyczny stan rzeczy — ryknął.

— To jest zdrada.

Minister wziął głęboki oddech.

— Nieprawda. Składałem raporty na bieżąco w sekretariacie i w zeszłym tygodniu zaproponowałem rozwiązanie...

— Ten stek bzdur nazywacie rozwiązaniem!?

— Jeśli pozwolicie, panie prezydencie, pan Malinowski byłby w stanie zreferować to dokładniej... Czeka obok.

— Prosić.

Pan Malinowski miał może dwadzieścia pięć lat. Prezydentowi spodobał się już na pierwszy rzut oka. Widać było, że to bystry i chciwy sukcesu chłopak.

— Mówcie — rozkazał.

— Panowie, rozwiązaniem naszych problemów jest kość słoniowa. A konkretnie mamucia. Z moich badań wynika, że opodal Warszawy na głębokości dwudziestu metrów spoczywa przeszło dwa tysiące tych zwierząt. Z każdego można pozyskać sto pięćdziesiąt kilogramów kłów, a mówiąc bardziej fachowo — siekaczy. Na czarnym rynku międzynarodowym kilogram jest wart półtora tysiąca dolarów. Ponadto możemy sprzedawać mamucie mięcho dla bogatych snobów, jakich nie brakuje wśród kapitalistów... Na przykład po tysiąc dolarów za kilo. A mamy tam dobre czternaście tysięcy ton...

*Andrzej Ziemiański*

# Ciężka sprawa

Huk nie był zbyt głośny. W każdym razie żona się nie obudziła. Gryniak jednak podniósł głowę znad poduszki. Mogło mu się zdawać, ale chyba słyszał jeszcze dziwny szelest dochodzący z kuchni. Przetarł oczy. Blask? Naprawdę widział bijący stamtąd, lekki blask? Przecież jest środek nocy!

Ostrożnie, żeby nie wywoływać hałasu zdjął abażur ze starej lampy na nocnej półce. Odłączył kabel z gniazdka i bezszelestnie, choć ziewając ze zdenerwowania, zsunął się z łóżka. Dzierżąc mosiężny oręż w prawej ręce lekko uchylił drzwi. Na szczęście naoliwił je kilka dni temu.

W jego gabinecie, tuż obok kuchni stał jakiś mężczyzna ubrany w niezwykle, „światlisty” garnitur. Właśnie nachylał się nad komputerem, a w powietrzu lśniąco lekko falowały jakieś dziwne kartki, chyba instrukcja obsługi maszyny. Każda z wielkim napisem: „Muzeum historyczne — archiwum”. Tamten musiał kątem oka zauważyć ruch, bo podniósł głowę i uśmiechnął się sympatycznie.

— Och, przepraszam za wizytę bez zapowiedzi — ukłonił się uprzejmie. — Jestem Julian. Przejdźmy od razu na „ty” — zaproponował.

— Miło mi — odparł Gryniak. — Jestem Zdzisiek.

Falujące w powietrzu kartki zniknęły nagle.

— Nie są już potrzebne — powiedział Julian. Jego głos był bardzo niewyraźny, w dodatku mówił z dziwnym akcentem. Właściwie jego imię brzmiało w tej wymowie jak „Luliiian”. — Mam nadzieję, że ty mi wyjaśnisz zasadę działania tego komputera.

— Oczywiście. Czemu nie?

— Wiesz, jestem podróżnikiem w czasie...

— Rozumiem.

— Pisarzem zresztą. Tak jak i ty.

— Wszystko jasne — Gryniak zbliżył się trochę.

— Zbieram po prostu materiały do swojej kolejnej powieści historycznej...

— Z przyjemnością ci pomogę, drogi Julianie.

Gryniak zaszedł go od tyłu. Podniósł mosiężną lampę w obu dłoniach i wyprowadził zza głowy miażdżący cios prosto w potylicę tamtego. Niestety, lampa przeniknęła przez ciało intruza i walnęła w krzesło, wywracając je na podłogę.

— No czego się tłuczysz po nocy? — dobiegł ich głos z sypialni. — Daj spać ludziom, którzy naprawdę pracują, a nie bawią się całymi dniami przy komputerze!

— To twoja żona? — spytał Julian, z zaciekawieniem przyglądając się rozwalonemu krzesłu.

Po chwili znowu pojawiły się przed nim świetliste kartki unoszone w powietrzu jakąś tajemną siłą. Przybysz wodził po nich wzrokiem.

— Cios metalowym narzędziem w tył głowy... — czytał powoli. — To jakiś wasz rytuał powitalny? Nie! — dotarł do odpowiedniego fragmentu. — Ty po prostu myślałeś, że jestem bandytą! Ale fajnie! Szkoda, że nie możesz mnie uderzyć. Miałbym — zrobił gest jak stary rybak — taaaaki materiał na opowiadanie.

— Aaaa... — odpowiedział inteligentnie Gryniak. Przełknął ślinę.

— Widzisz, moje ciało to tylko taka emanacja. Zresztą... nie znam się na technologii. Nie chcę ci dyletancko tłumaczyć.

Gryniak odchrząknął, nie wiedząc co powiedzieć.

— Słuchaj, Zdzisiek. Naprawdę jestem pisarzem z przyszłości. Specjalizuję się w powieściach historycznych. I akurat napisałem rzecz o życiu autora z początków XXI wieku. A podróż w czasie jest tylko po to, żebym wczuł się w klimat, poznał szczegóły i to nie w muzeum, tylko w rzeczywistości. Muszę poczytelować szczegóły, przeżyć choć jeden dzień z kolegą po piórze, który żył w zamierzchłych czasach.

— Wyświetl te swoje historyczne materiały — Gryniak najwyraźniej uwierzył, bo stał się nagle rzeczowy — i podaj mi numery wygranych w totolotka, dobrze?

— Oj Zdzisiek, powinieneś się domyślić, że to zupełnie niemożliwe — zachnął się Julian. — A jakbym zmienił bieg historii? Przez taki drobiazg mógłbym się nawet nie urodzić w przyszłości.

— Kursy akcji? Ceny działek budowlanych pod koniec roku? Jakie cła będą, kiedy i na co?

— Zdzisiu, przecież ci tłumaczę — Julian rozsiadł się wygodnie na biurku. Krzesło nie nadawało się już do niczego. — Niemożliwe. Kompletnie niemożliwe.

Andrzej Ziemiański 195

— No to powiedz chociaż, czy Mariola mnie kocha.

— Nie, nie i nie! Ale jak chcesz, to przeczytam ci parę fragmentów dzieł z przyszłości.

Gryniak czujnie nastawił uszu, widząc, jak przed Julianem pojawiają się sunące w powietrzu, lśniące kartki.

— Fragmenty mojego debiutanckiego dzieła: „Grunwald High Speer 1410–B”.

— Dlaczego „B”?

— Ta literka świadczy, że książka uzyskała zaledwie drugą klasę pod względem politycznej poprawności — Julian spuścił głowę.

— Wtedy popełniałem jeszcze błędy.

Zrezygowany Gryniak oparł się o parapet.

— No to czytaj.

*„Grymas złości wykrzywił czarną twarz Władysława Jagiełły. Ten rosły Murzyn we wspaniałej, lśniącej zbroi, nasłuchiwał wieści niesionych przez tam–tamę sekcji łączności — genialny wynalazek Afropolaków...”*

Gryniak podniósł wzrok.

— Mam wrażenie, że Jagiełło był Litwinem, a nie Murzynem — odważył się przerwać.

— No wiesz co? Przecież to nieistotne. Zresztą, dlaczego niby czarna większość w Polsce miałaby się wstydzić? Dlaczego chcesz pozbawić ich możliwości powiedzenia: „Nasi przodkowie zgnetli pod Grunwaldem...”.

— Ich przodkowie to chyba wtedy chodzili w trzcinowych spódniczkach, i to gdzieś daleko od pola bitwy — Gryniak skrzywił się lekko.

— Szowinista! — skwitował go Julian. — Z takim nastawieniem to tylko do gułagu cię posłać.

— W przyszłości będą znowu gułagi???

— A gdzie reedukować takich jak ty?! — Julian przez chwilę nie mógł się uspokoić. — Przymusowa pigmentacja skóry na czarno, żółto czy jakikolwiek inny kolor, zmiana kształtu oczu, może skośne, może migdałowe, może szparki... I zobaczysz w obozie, czym grozi naigrywanie się z koloru skóry Polaków! Już recydywiści ci pokażą!

— To jakieś twoje opowiadanie z gatunku horror?

Julian powrócił jednak do czytania swojej debiutanckiej powieści.

„Białe płaszcze łopotały na wietrze. Ten wyższy powiedział:

— Daję ci te dwa ubrane inaczej miecze, panie...”

— O Jezu — jęknął Gryniak.

Julian pojął to po swojemu:

— Ach, wolisz wątki religijne?

Świetliste kartki zafalowały w powietrzu. Zaczął czytać inny fragment.

„Sztab polowy opracował już plan bitwy. Sztab, oczywiście, wybrany według idealnych proporcji opracowanych przez <Komisję Antykrzywdową>. Wokół władcy siedzieli inteligentni inaczej, zdrowi inaczej na swoich wózkach inwalidzkich, geje, lesbijki, transwestyci, pedofile i ci, którym kiedyś odmawiano pełnienia ważnych funkcji społecznych. Jeden z seryjnych morderców podbiegł do króla.

— Uderzamy na lewe skrzydło! — upadł na kolana, wykonując osiem pokłonów czołem do ziemi.

Któryś z inteligentnych inaczej dodał trzeźwo:

— Uciekajmy!!!

Król Jagiełło ibn Mustafa podjął decyzję.

— W imię Buddy, Boga Słońce, Bogini M ‘Tabele i Konfucjusza! Połowa wojsk, chorągwie: wietnamska, chińska i zuluska... Naprzód! Na lewe skrzydło wroga! Reszta wojsk, chorągwie: żydowska, pigmejska, indiańska... W Tył! Uciekać!!!

— Ale ich zmylimy — odezwał się jeden ze sztabowych transwestytów. — Rewelacyjny plan.

— Dla was mam osobne zadanie — rzekł król. — Przebierzcie się w sukienki zakonne...

— Tak! Tak. Tak!!!

— I uderzycie od tyłu.

— Panie — transwestyta w stanie najwyższej ekscytacji padł na kolana. — Czy możemy gwałcić?

— W imię boga Priapa: czyńcie swoją powinność!

— Dzięki ci, Panie!

Jagiełło wyjął miecz z długiej kabury, którą czasem męskie szowinistyczne świnie zwały <pochwą>.

— W imię wszystkich bogów wziętych razem do kupy! Uderzajcie i uciekajcie!”

Julian zadyszał się.

— Pięknie wplotłem tu wątki religijne — odsapnął. — Prawda?

Gryniak wzruszył ramionami.

— A Wielki Mistrz Krzyżacki, Osama bin Laden, zginął zbombardowany w Malborku przez chorągiew latawców cygańskich? — usiłował wykazać się własną inwencją. — Zgadłem?

Julian aż podskoczył.

— Nie waż się mówić takich rzeczy!!!

Rozglądał się wokół podejrzliwie w poszukiwaniu kamer i mikrofonów.

— Osama to postać historyczna — podjął szeptem. — Kobieta z przyklejoną brodą. Chcesz wystąpić przeciwko kobietom? W takim kontekście???

— O Jezu... — Gryniak odruchowo palnął się w czoło. — Pardon — poprawił się jednak. —

Czy powinienem powiedzieć: „O Jezusico?”. Ona też była kobietą?

Julian panikował, zbladł, a oczy rozbiegły mu się na boki.

— Kończymy ten temat — rzucił wokół przerażone spojrzenia. — No pewnie, że była! A przynajmniej nie dowiedziono, że nie była.

— Markiz de Sade również?

Pisarz z przyszłości dłuższą chwilę nie mógł się uspokoić.

— Posłuchaj mnie uważnie. Pochodzę z epoki, kiedy pisanie nie można powierzyć pojedynczemu wyrobnikowi. Już w twoich czasach krytycy zarzucali twórcom, że nie znają się na tym, o czym piszą. Że zatrudniają ghostwriterów, redaktorów, korektorów. Im dalej tym gorzej. Zaczęły się zmiany...

— Ile osób dla ciebie pracuje?

— Około sześciuset.

— Ilu?

— No, prawie sześćset. Połowa to specje od poprawności politycznej. Prawnicy, etycy, filozofowie, kapłani różnych wyznań, odpowiednia reprezentacja mniejszości seksualnych, przedstawiciele wszystkich większości rasowych, politycznych, członkowie organizacji ekologicznych, agencji ochrony zwierząt i wielu, wielu innych.

— A druga połowa?

— Och, to specjaliści z różnych dziedzin. Nie może być przecież tak, żeby ktokolwiek z czytelników zarzucił coś autorowi. Najpierw do roboty biorą się specjaliści od literackich pomysłów. Jak na coś wpadną, biorą się za sprawę wstępni reżyserowie. Potem specjaliści różnych dziedzin, marketing, badania rynku, prekognici. Następnie ghostwriterzy tworzą kilkadziesiąt wariantów powieści, które bada się na losowo wybranych grupach czytelników, supervisor wybiera najlepsze wątki, zespół Filtr 1 łączy je w całość, w kilku wersjach oczywiście, kolejne badania rynkowe i zespół Filtr 2 tworzy wersję ostateczną.

— I to już koniec? Julian spojrzał zdziwiony.

— To dopiero początek — westchnął. — Na tekst rzucają się rzesze redaktorów, korektorów, wygładzaczy fraz, specjalistów od dialogów, gagmanów. Dramaturdzy osadzają odpowiednie osie napięcia i zaczyna się prawdziwa praca nad książką. Specjaliści od...

— Czekaj, czekaj — przerwał mu Gryniak. — To naprawdę robi wrażenie — potrząsnął głową.

Dłuższą chwilę krążył po pokoju, usiłując nie zauważać triumfującego z powodu przyszłościowej przewagi technologicznej literatowi.

— Powiedz mi — przystanął na chwilę — o czym dokładnie. Ta niby o moim życiu jest twoja powieść.

Uśmiech Juliana znikł nagle.

— Wiesz... — zafrasował się nagle. — Ciężka sprawa.

— Czemu?

— Bo widzisz... informatyk, ten, który tworzy te świetliste kartki w powietrzu. On... Czekaj, powiem prościej. Specjalista, który czyta mi moje książki zachorował na gorączkę marsjańską i... nie zdążył mi jej przeczytać.

*Joanna Kułakowska*



# Lew i Jednorożec

*Jednorożec oraz Lew  
O koronę się zmagali  
Jednorożca pobił Lew  
I zwyciężył w mieście całym  
Angielski wierszyk dla dzieci*

# Prolog

*Czy w paszczy lwa, czy na rogu jednoroźca... boli tak samo. A potem się umiera.*

*Przysłowie z Teirhell*

Świat zadrżał w posadach. Przyszłość była rozdierana przez dwie bestie. Balansowała rozpaczliwie na ostrym kle i znacznie bardziej niebezpiecznym rogu.

Lew ryknął przeraźliwie. Las umilkł. Robert stał na niedużej polanie skąpanej w księżycowym blasku, w samym sercu prastarego zielonego lasu i spoglądał na Lwa. Był olbrzymi. Mocarny tors i łapy miały barwę miodu, a iście królewska grzywa wydawała się być ze szczerzego złota. Ten Lew nie przypominał ociężałych, leniwych „cielaków” o utyłanych piachem kudłach. Kojarzył się z „Opowieściami z Narnii”, ale chyba nawet Aslan nie mógłby się równać z tą istotą. Robert nie odczuwał strachu, co najwyżej zdziwienie, że właśnie jemu przypadło w udziale być świadkiem wydarzenia, które za chwilę nastąpi.

Lew uniósł głowę, bursztynowe oczy zabłyśły. W złotej grzywie zatańczył wiatr, który musiał przynieść ze sobą jakąś niepokojącą woń, gdyż przez grzbiet stworzenia przebiegło nagle drzenie. Warknął gniewnie, odsłaniając wielkie kły. Potem ryknął ponownie, rzucając wyzwanie niewidzialnemu wrogowi.

Z oddali nadeszła odpowiedź. Echo powtórzyło niski, budzący grozę dźwięk. Robert zachwiał się na nogach. Wiatr wzmógł się, krzaki przytuliły się do ziemi, porwane podmuchem liście uderzyły go w twarz. Lew potrafił przerazić, lecz to stworzenie sprawiło, że cała puszcza wydała się martwa. Nagła cisza zdawała się być nie do zniesienia. Ból głowy, napięcie, lęk, oczekiwanie... Na polanę wbiegła smukła śnieżnobiała istota.

Jednorożec.

Większość osób, które chwaliły się, że widziały te magiczne stworzenia, podawały różne opisy. Biały Jednorożec zadawał kłam bzdurcom typu: „słoniowa stopa” czy „świński ogon”. Jego ogon mógł równie dobrze być częścią ciała przeciwnika. Tylko pędzel sierści na końcu pysznił się większą ilością włosów. Istota smagała chwostem powietrze, podobnie jak czyni to rozwścieczony kot.

Robert dotychczas nie zadawał sobie trudu umiejscowienia się w czasie. To miejsce było wiecznym TERAZ — kresem i początkiem, świętym lasem, który istniał, zanim jeszcze zaczęły płynąć dni i miał pozostać, nawet kiedy wszystko inne zginie. Czy kiedyś już rozmawiał z Jednorożcem? A może dopiero będzie?

Piękna klacz. Wróg majestatycznego Lwa. Robert znał ją, jeszcze z innego miejsca i innego czasu. Jej imię to Równina Ognia, a zarazem — Ogrody Światłości”. Wystarczyło małe przesunięcie akcentu, nieco inny ciąg skojarzeń... Stworzenie szalone jak płomień i zmienne jak woda. Wieczna gra przeciwieństw. Oponent miał wiele imion: Prawo, Opoka, Stałość... Znał go także. Od dawna. Od początku istnienia. Czasem go rozumiał i pragnął tego samego. Jeszcze nie był pewien, czy tak jest i tym razem.

Klacz zarzuciła łbem i przewróciła dziko granatowymi oczyma. Zatańczyła na szczupłych, podobnych do jelenich, nogach.

Zazdrościł jej. Była wdziękiem, namiętnością, rozkoszą i nieprzerwaną agonią. Im bardziej przerażała pasją i okrucieństwem, tym większą budziła miłość. Zgrabne, rozwidlone kopyta to straszna broń. Jeden kopniak mógł rozciąć brzuch słonia, natomiast cios długim rogiem ze spiralną bruzdą przebijał wszystko. Piękno i budząca strach aura Jednorożca sprawiły, że Robert padł na kolana i zapłakał jak dziecko. Nawet Lew cofnął się na chwilę. Nie trwało to jednak długo — zaczął ostrożnie krążyć wokół przeciwniczki. Klacz rozděła chrapy i zaczęła grzebać kopytem w ziemi, potem wydała z siebie przenikliwy ryk.

Walka się rozpoczęła.

Przypuszczali gwałtowne ataki, lecz oboje byli na tyle zwinni, że za każdym razem unikali niebezpieczeństwa. Wydawało się, iż tak będzie przez całą wieczność. Wkrótce jednak padły pierwsze ciosy — kopyto Jednorożca zahaczyło o łapę Lwa, która zwiśla bezwładnie, nie przeszkodziło mu to jednak dopaść zmęczoną Ogrody Światłości. Pazury rozdarły białą sierść. Klacz parsknęła z bólu i wściekłości. Wargi podwinęły się, ukazując ostre jak szpilki zęby. Oddała cios i miodowozłoty bok również zrosiły czerwone krople. Opoka wycofał się pod wielki dąb i czujnie obserwował Jednorożca — jeszcze nie zamierzał się poddać. Klacz tupnęła trzy razy nogą — rośliny na polanie ożyły. Krzak jałowca nagle sięgnął drapieżnie gałązkami i owinał się wokół jednej ze zdrowych łap złotogrzywego. Ten szarpnął się rozpaczliwie, ale roślina była jak ze stali.

Jednorożec cofnęła się, aby nabrać rozpędu...

Skulony na skraju polany Robert zdał sobie sprawę, że nie jest jedynym obserwatorem pojedynku. Wokół niego unosiły się przejrzyste, emanujące Mocą, postacie. Nie było ich wiele, ale nie potrafił policzyć wszystkich. Usadowały się wygodnie pomiędzy rozłożystymi gałęziami drzew lub legły w miękkich trawach. Najbardziej irytujące było to, że nie potrafił ich opisać. Starał się przyjrzeć dokładnie sylwetkom, rysom... ale wymykały się zmysłom. Czasem tylko jakiś szczegół pozwalał się na chwilę uchwycić i budził na wpół zatarte wspomnienia, a może to były sny kołyszące przez wieczność... aż nadchodził czas by znów otworzyć oczy. Z niektórymi łączyła go więź — wyśnili jego sny. Inni byli obcy lub wrogo nastawieni — to, czym mógł się stać, wyłaniało się z ich koszmarów.

Byli tam i Cryo'na Bitewny Zgiełk, Nath'Anro Władca Bagien, Drakonya O Złoty Skrzydłach i wielu innych, a wszyscy znani także pod tysiącem innych imion... Hathor, Kybele, Dagda, Tiamat... tysiące imion i znaczeń z innego życia i czasu... Wreszcie zatrzymał wzrok na tym, co zgromadziło ich wszystkich. Szkarłatna aksamitna poduszka, a na niej... wysadzana klejnotami Korona. Po obu stronach symbolu władzy stali mężczyzna i kobieta. Dla nich nie było to jedynie pasjonujące widowisko. Nie darzyli się sympatią. Robert dostrzegł biegnące między nimi potężne wyładowania energii. Księżyc i słońce. Ogień i woda. Domyślił się, że jedynie obecność innych powstrzymuje ich przed otwartą konfrontacją.

...runęła do przodu z pochylonym łbem.

Lew nie przestawał się szarpać. Na mgnienie oka przed spotkaniem z rozpędzoną furią udało mu się uwolnić i odskoczyć w bok. Róg Jednorożca wbił się prosto w omszały pień dębu. Równina Ognia zaryła kopytami i spróbowała wyrwać się z pułapki, lecz róg wniknął zbyt głęboko. Bogowie i Boginie zaszemrali zaskoczeni. Robert nie potrafił stwierdzić, co właściwie czuje, jakby żal i ulgę zarazem... Opoka skoczył. Oczy klaczy zasnęła mgielka śmierci. Mężczyzna zaśmiał się tryumfalnie. Bogini wyszeptwała niezrozumiałe słowa pobielającymi wargami.

Coś drgnęło w jego piersi. Miał wrażenie, że jest w nim dwóch Robertów — jeden uznał, że jest tak, jak być powinno i poczuł się silniejszy, drugi nie był pewien. W każdym razie wiedział, że choć Korona została już przyznana, ona nie zrezygnuje łatwo. Na razie jednak odwróciła się i odeszła.

Korona rozbłysła...

# I. W paszczy Lwa

*...Nazwa lwa pochodzi z języka Greków, a znaczy tyle, co król w naszej mowie. Lew bowiem jest zwany królem zwierząt, ponieważ kiedy on ryczy, wszystkie stworzenia uciekają, jakby je śmierć ścigała, a kręgu, który zakreśla swoim ogonem, żadne zwierzę nie ośmiela się przekroczyć...*

*Brunetto Latini „Skarbiec wiedzy”*

## 1.

— Przeznaczenie istnieje, ale to, co z nim zrobisz, zależy tylko od ciebie. Którą drogę wybierzesz? — zapytała dziewczynka, która nigdy nie była dziewczynką.

Był wściekły. Nie znosił przemądrzałych dzieciaków. Ale wiedział, że to nie była dziewczynka, chociaż na nią wyglądała. Ta dziwka nigdy nie była tym, na kogo wyglądała. Potrafiła wnikać w cudze sny, tak jak się przemyca własne odbicie, zaglądając przez ramię przeglądającym się w lustrze... Umiała także wejść w labirynty umysłów i wędrować z głowy do głowy, biorąc wszystko, na co ma ochotę. Dobrze to wiedział, choć nie pamiętał skąd. Przekłeta szmata o niewinnym uśmiechu chciała go do czegoś nakłonić, a on pragnął tylko spokoju... Nic go nie obchodzi, że „czas nagli”. Nie potrzebował podążać żadną drogą...

To śmieszne, ale czuł, że okłamuje siebie samego. Po prostu bał się tego, co ma nastąpić. „Odejdź. Jeszcze nie” — pomyślał, patrząc na wychudzonego dzieciaka, który może i byłby ładny, gdyby nie różowa blizna zniekształcająca policzek. Jej oczy płonęły złotym światłem. Wykrzywiła się, naśladując jego minę. Parodia wściekłego grymasu. Żalostnego w swej bezsilności grymasu.

— Już ja cię nauczę! — warknął, unosząc rękę do uderzenia. Palce trafiły w próżnię. W uszach dzwięczał mu perlisty śmiech, coraz głośniejszy i głośniejszy. Szarpnął się przestraszony, gdy coś zimnego dotknęło jego ucha.

— Kaśka, co ty, do diabła, wyprawiasz?! — wrzasnęła Mariola, wrywając jej z ręki budzik. — Chcesz ogłuszyć ojca?!

Urażona latorośl wydeła policzki.

— Tata prosił, żeby go obudzić przed dziewiątą, a jest już jedenasta.

— Co?!!! — Robert zerwał się gwałtownie. — Przecież prosiłem! Do jasnej cholery, czy w tym domu nie można na nikogo liczyć?! Jak długo już nie śpicie?

— Graliśmy z Marcinem w Tekkena. On miał postać tego gościa z głową kota, ale Sailorka była lepsza, potem zmieniliśmy arenę i on miał...

Przestał słuchać — opis mógł trwać ponad kwadrans. Zerwał się z łóżka i zaczął gorączkowo przetrząsać szuflady biurka w poszukiwaniu działającego długopisu. Gdy znalazł, położył na widocznym miejscu i rzucił się w kierunku łazienki. Po powrocie, miejsce oczywiście przestało być widoczne. Mariola obserwowała przez chwilę jego rozpaczliwy bunt przeciwko złości

przedmiotów martwych, po czym zde gustowana odwróciła się do ściany.

— Nic cię nie obchodzi, że już praktycznie nie mam po co wychodzić? — warknął pod adresem skłębionej pościeli i ruszył do przedpokoju. Spojrzał w lustro. Widok, który ujrzał bynajmniej nie nadawał się do poprawy nastroju. Przedwcześnie postarzała, wymęczona twarz. Wory pod oczami, żółtawy odcień tęczówki, no i te włosy... Sterczące brązowożółte, wiecznie potargane kudły. Nie znosił swojego wyglądu.

— To po co wychodzisz? Chociaż w niedzielę mógłbyś sobie darować. Długopis jest na stoliku — dobiegł go jeszcze głos żony. Dzieci, nie przejmując się wiszącą na włosku awanturą, znowu grały w Tekkena. Dzień jak co dzień.

Zaczęło lać. Stojąc na przystanku, Robert stwierdził, że ma dosyć tego dnia, jeszcze zanim się na dobre rozpoczął. Parszywy ranek... męczący sen... Coś o stracie czasu, o byciu „nikim”. Coś o biciu dzieci... Jako dorosły nigdy nie uderzył żadnego dzieciaka. Owszem, miewał ochotę złoić skórę swoim pociechom, nie był jednak zwolennikiem takich metod wychowawczych. Ostatnio nawiedzały go naprawdę paskudne sny...

\* \* \*

Senny obłok formował się powoli... Mały Robert nie wiedział, dlaczego obłok chce spać. Uważał to za niesprawiedliwe. Ze wszystkich chmur na świecie, jemu musiała się trafić taka zupełnie do niczego. Czasami budziła się w nim moc rozkazywania chmurom, zresztą nie tylko chmurom. Gdy był mniejszy, potrafił przywoływać różne ptaki. Rozumiał ich mowę, spełniały jego polecenia. Na przykład opowiadały, co dzieje się w mieście i poza nim, co robią dzieci, kiedy nikt dorosły na nie nie patrzy. Wrony i gołębie jednak niewiele rozumiały z tego, co widzą. Sroki były lepsze, bo przynosiły fajne drobiazgi, ale... w sumie ptaki były głupie. Za to zdziaczały koty — dużo mądrzejsze, choć z trudem zmuszał je do posłuszeństwa. W przeciwieństwie do innych stworzeń, nie należały w pełni do niego. Na szczęście bały się. Wszystkie istoty okazywały strach. Kiedyś nawet rodzice... Jednak niejasno zdawał sobie sprawę, że to się zmieniło. Wiele miesięcy temu powiedział ojcu, że może przywołać dowolne zwierzę. Tata udawał, że wierzy, a potem śmiał się. Robertowi było przykro. Może ojciec czegoś się domyślił, bo na urodziny podarował mu różne fajne rzeczy. Dostał rower i samoloty do sklejanania.

Tata w tajemnicy przed mamą pokazał mu, jak się składa i rozkłada elektryczne urządzenia. Pozwolił mu nawet odkręcić zabezpieczenie gniazdka i przyjrzeć się z bliska przewodom. Mama byłaby wściekła. Uważała, że „dzieci nie powinny dotykać się do niebezpiecznych przedmiotów”. Kiedy Robert zajął się czym innym, zwierzęta przestały przychodzić. Niemal zapomniał, jak się im rozkazuje. Tylko czasami we śnie...

Ta chmura była naprawdę do niczego. Nie chciała ułożyć się w zjeżdżalnię! Miał ochotę obrazić się i pójść sobie gdzieś, żeby wszystkim było przykro... Nikogo jednak nie było. Dzieci rzadko się z nim bawiły. Kiedyś śmiały się, że jest gruby i brzydki. Teraz się go bały. Robert nie wiedział tak do końca, czy bardziej jest z tego powodu smutny czy zadowolony. Chętnie pograłby z chłopakami w piłkę, ale odkąd ten duży, co już wtedy chodził do prawdziwej szkoły, zaczął nosić szklane oko...

Rodzice Roberta mieli przez tamtego chłopca duże nieprzyjemności, a przecież on sam był sobie winien. Dlaczego nazwał go „tłustą, obrzydliwą beką z gównem w gaciach”? Mama zawsze mówiła,

że trzeba uważać na to, co się mówi. Widocznie mama „dużego” zapomniała mu powiedzieć. Robert nie miał zwyczaju marudzić, a ostatni raz płakał, kiedy był zupełnie malutki. Wtedy jednak stało się z nim coś bardzo niedobrego. Poczł, że za chwilę się rozpłacze i oni będą się z niego śmiać, i nigdy nie dadzą już spokoju i... nie pamiętał co było dalej. No, prawie... Pamiętał obecność. Człł ją. Słyszał przeraźliwy krzyk dzieci. Bały się, bo mali ludzie widzą więcej niż ich opiekunowie. Kiedy w końcu dorastają, tracą tę zdolność.

Od tamtej pory mama z tatą zaczęli się jeszcze bardziej kłócić, a potem tata już z nimi nie mieszkał. Robert został zapisany do innej zerówki i musiał chodzić, co tydzień, do pana, który pokazywał mu różne dziwne rysunki. Zadawał też mnóstwo pytań. Miał wielkie okulary i wydawał z siebie ohydny, ciurkający odgłos, gdy przełykał ślinę. W ogóle był wstrętny i nudny.

Chłopiec znalazł jednak również dobre strony sytuacji. Do nowej grupy chodził taki jeden, który był grubszy od niego i w dodatku zezowaty. To jemu dokuczano najbardziej! Robert nigdy nie pozwolił mu zapomnieć, kto tu rządzi. Odkąd dzieci z sąsiedztwa zaczęły unikać Roberta, babcia zrobiła się jeszcze miłsza — pewnie mu współczuła, chociaż tak naprawdę nie było powodu. Dzięki temu mógł długo wylegiwać się na kanapie i czytać. Albo wymyślać własne czarodziejskie historie — lepsze niż te w telewizji. Kiedyś wymyśli film i wszyscy będą mu zazdrościć. Najwięcej pomysłów miał wtedy, gdy opierał się wygodnie o parapet otwartego okna. Przyglądał się obłokom.

Teraz siedział na jednym z nich i spoglądał w dół. Miasto obserwowane z wysoka, wyglądało zupełnie inaczej. Było... śliczne. Słońce złociło dachy, wokół wieżowców tworzyła się migotliwa tęczowa mgiełka. Było tak jak powinno. Tak jak będzie, kiedy sobie wszystko przypomni... kiedy odzyska... ale co? Myśl uleciała, porwana nagłym przechylem śnieżnobiałej puchowej łodzi.

Ludzie przypominali barwne mrówki, poruszające się bezustannie w magicznym tańcu, a domy wyglądały jak z bajki. Prawie nie przeszkadzało mu, że jest sam.

— Wcale nie jesteś tu sam. Ślepy jesteś czy po prostu niewychowany?!

Chłopiec odwrócił się zaskoczony i o mało nie spadł z wrażenia.

— Ostrożnie! O ile wiem, nie jesteś biegły w sztuce latania — powiedział ironicznie okazały Jednorożec. Robert przyglądał mu się z nabożnym podziwem. Wiedział, z kim ma do czynienia, ponieważ widział stare obrazki. Na swoje szóste urodziny dostał od babci dużą szklaną figurkę przedstawiającą jednorożca. Z jakiegoś powodu cieszył się z niej bardziej niż z samochodu na baterie, który ojciec przywiózł aż z NRD.

Milczenie przedłużało się. Istota łypała na niego spode łba wielkim granatowym okiem. Nie był pewien, czy to ona, czy on — po głosie nie mógł poznać, gdyż rozchodził się dźwięcznymi falami w środku głowy chłopca. Była ogromna, przypominała trochę jelenia, a trochę konia... z wyjątkiem giętkiego ogona, który cały czas wił się jak u rozżłoszczonego kota. Lśniącobiała jak śnieg... wydawała się też równie zimna. Nad pełnym majestatu czołem stworzenia wznosił się bardzo długi spiralny róg. Był najbardziej niezwykły ze wszystkiego, czym mógł poszczycić się jednorożec — białe u podstawy, czarne w środku, na ostrym czubku zaś w rzadkim odcieniu czerwieni. Chłopiec zmartwiał — to wcale nie kojarzyło się dobrze. A jeśli ta istota właśnie nabiła kogoś na ten róg?!

— Taaa... miło nam się gawędziło. To ja już będę lecieć. Smród Lwa jest nie do wytrzymania — parsknęło zde gustowane stworzenie.

Robert rozejrzył się przerażony. Lwy zjadały ludzi! Tak mówiła babcia, więc to z pewnością była prawda. Na szczęście żaden nie kręcił się w pobliżu.

— Poczekaj...nie odchodź... — ledwie zdołał wydusić z siebie.

— Co ty tam mamroczesz?

— Nie odchodź jeszcze!

— No to już bezczelność godna króla — słowo „król” zapłonęło pod czaszką Roberta jawną pogardą. — Marnujesz mój czas. Jaki król taki świat. A może odwrotnie? Będziesz taki sam. Zdecydowanie nadszedł czas na nowe porządki. Brzydę się tym miejscem.

Poczuł złość i pomimo strachu wyrzucił z siebie: — W takim razie, po co tu przyszedłeś? Byłem sam i było mi dobrze. Nie potrzebuję towarzystwa wrednych jednoroźców! Idź sobie, jeśli chcesz, wcale cię nie trzymam.

— Nie trzymasz, co? — głos jakby złagodniał. — Przyzwałeś mnie do siebie, Bogini wie po co. Moje kopyta mogłyby cię zmiażdżyć jak zgniły owoc, ale jeszcze nie czas. Mimo to jesteś bardzo odważny. Ostrzegę cię, choć nie jest to w moim zwyczaju ani tym bardziej interesie, ale w końcu należę do kapryśnej Księżycowej Pani. W tym świecie moja Moc jest jeszcze niewielka, to się jednak zmienia i to szybko. Ludzie zaczynają za mną tęsknić. Ty również. Nie staraj się niczego przyspieszać ani opóźniać. Wszystko musi odbyć się we właściwym czasie. Nie zawsze będziesz tylko grubym smarkaczem — Robert przysiągłby, że istota uśmiechnęła się.

— Nic z tego nie rozumiem — mruknął niepewnie. — Ale cieszę się, że cię widzę. Zawsze wierzyłem, że gdzieś istniejecie.

Jednorożec jakby wbrew sobie zbliżył się nieco, a potem nieoczekiwanie musnął go pieszczotliwie pyskiem, po czym szybko się cofnął.

— Musisz już iść. Na pewno spotkamy się przed walką. O nic mnie nie zapytasz? — Jego srebrzysta grzywa tańczyła na wietrze, granatowe oczy lśniły przyjaźnie, lecz chrapy rozděły się nerwowo. Zupełnie tak, jakby wokół unosiła się niewyczuwalna dla chłopca woń.

— Jak się nazywasz? — wyszeptał oczarowany.

— Noc Którą Niepodzielnie Władą Księżyc.

Wiatr stał się nieprzyjemny, powietrze zapachniało deszczem. Robert poczuł na policzkach pierwsze chłodne krople, nie był pewien, czy to łzy, czy deszcz. Nie chciał się jeszcze rozstawać z pięknym Jednorożcem, choć miał poczucie, że nie powinien mu ufać. Senny obłok ziewnął. Przeciągnął się. Biała, puchata przestrzeń zafalowała gwałtownie — powinien już wracać do domu.

\* \* \*

Powinien już wracać do domu albo łapać taksówkę. Do licha, następnym razem prędeej sobie rękę utnie niż poprosi Kasię, żeby obudziła tatusia. Lało jak z cebra i robiło się coraz ciemniej. W dodatku zaczynało grzmieć. Jako mały chłopiec wierzył, że potrafi rozkazywać chmurom i błyskawicom. Roześmiał się w duchu pod wpływem wspomnienia. Byłoby nieźle: „Hej chmuro, znikaj! Deszczu natychmiast przestań padać!”

Autobus chyba wypadł z rozkładu. Trzeba będzie pobiec na postój. Przygotował się psychicznie na uderzenie nawałnicy i rozłożył parasol. Kiedy wybiegł, silny podmuch wiatru wywinął do góry druty, a woda chlusnęła mu na głowę oraz za kołnierz. W tym momencie nadjechał autobus. Klnąc na czym świat stoi, zawrócił i w ostatniej chwili wpadł w zamykające się drzwi. Siadając, potracił puszystą damę, która obdarzyła go soczystym epitetem. Niestety parasol uparcie nie chciał powrócić do właściwego kształtu. Kiedy w końcu udało się go okiełznać, Robert spojrzął na zegarek — jak można się było spodziewać, to co zobaczył na cyferblacie nie wróżyło nic dobrego.

Od jakiegoś czasu usiłował przekonać znajomych, że spóźnia się co najwyżej „kwadrans akademicki”. Jak tak dalej pójdzie, ludzie przestaną go traktować poważnie i nic nie wskóra.



Robertowi marzyła się wyprawa do Indii, kolebki niesamowitych podań i legend. Chciałby tam spędzić około roku. Pytanie tylko, jakby na to zareagowała Mariola...

Westchnął, spoglądając za okno. Spodziewał się ujrzeć zapłakane szare niebo, zamiast tego zza chmury nieśmiało wyjrzało słońce. „No tak, to przecież oczywiste” — stwierdził z przekąsem — „siedzę pod dachem, więc już może przestać padać”.

Gdy wysiadał, tłusta jejmość popatrzyła na niego wilkiem i znów mruknęła coś niepochlebnego. Zdał sobie sprawę, że nogawki i dół płaszcza ma całe powalane błotem. Zdecydowanie miał dosyć tego dnia.

Dziesięć minut później szturmował piętro Wydziału Etnologii Uniwersytetu Warszawskiego. Drzwi sali były lekko uchylone, ze środka dobiegał gwar i śmiechy. Uff... trafił na przerwę.

— A pan co? — usłyszał za sobą znajomy, lekko kpiący głos. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy profesorowi Giżyckiemu. Paskudny staruch, który z niewiadomych przyczyn dręczył go przez całe studia, tym razem także postanowił sobie pofolgować.

— Typowe, panie Adamie, typowe... Byłby pan moim najlepszym studentem, gdyby nie to, że przychodził pan zwykle na koniec wykładu.

— Robert.

— Słucham?

— Nazywam się Robert, panie profesorze.

— A co ja powiedziałem?

— Pan profesor jak zwykle pomylił mnie z Adamem Kuczykiem.

— Ach nie... Imiona myślę, osób nie myślę. — Staruszek mrugnął szelmowsko. — Ten drugi ananas przychodził na samym początku. Panowie siadywali razem. Wie pan, że kolega Kuczyk obronił już pracę doktorską? A co z panem, panie kolego? Kiedy się w końcu doczekamy jakichś rewelacji?

Robert najeżył się. Temat był drażliwy. Bez doktoratu nie może być mowy o pozostaniu na uczelni, nie mówiąc już o Indiach. A czasu miał niewiele. Paskudny staruch...

— Już niedługo. Właśnie przymierzam się do...

— Panie profesorze! O, Robert, jesteś nareszcie... — doktor Kwiatek rozejrzała się szybko. — Prosimy do środka. Gdzie reszta?

— Nie martw się, złotko! Poszli, ale wrócą. Spóźnią się, najwyżej stracą — znów mrugnął do Roberta. Przez mgnienie oka Robert wyobraził sobie, że dzierży w dłoni elektryczny pastuch, a dziadyga cofa się z przerażeniem i nieco mu ulżyło. Odzyskał animusz. Z rozbawieniem dostrzegł, jak Giżycki usiłuje pozbyć się niedopałka papierosa.

— Oj, panie profesorze... — powiedział z udanym wyrzutem.

— Ustalono, że palarnia jest na dole...

Ku jego zadowoleniu, Giżycki łypnął nań wściekle. Barbara Kwiatek znana była z maniackalnego przestrzegania ustaleń. Nawet tych najgłupszych i zgoła niemożliwych do wypełnienia. Profesorek może się teraz spodziewać drobnych złośliwości — kochana pani Basieńka jest w tym niedościgniona. Zemsta jest słodka. Tak pokrzepiony wszedł do sali. Rozejrzał się i ruszył w kierunku machających do niego Adama i Anki.

— Jak zwykle spóźnialski. Nie martw się, mam dyktafon.

— Podobno przeprawa przez dżunglę zakończyła się sukcesem — szepnął do Adama, mając nadzieję, iż w jego głosie nie ma śladu zazdrości. — Gratulacje! Dlaczego nic nie powiedziałeś? Trochę to po świńsku nie puścić pary z ust przed kumplem.

— Jezu... Stary, o czym ty gadasz?

— A jak myślisz? A może powinienem dodać „Panie Doktorze”?

— No przecież bronię się za miesiąc. Po wykładzie chciałem to uczcić w jakimś przyjaznym lokalu.

— A więc wszystko jasne. Ten przeklęty dziad znowu chciał ze mnie zrobić durnia.

— Ty chyba masz manię prześladowczą — wtrąciła się Anka.

— A w ogóle to byś się przywitał. Myślisz, że on nie ma nic lepszego do roboty, tylko cię prześladować? Stary jest, może pomylił Adama z tym, no, jak mu tam... O! Czyżykiem. Bronił się w zeszłym tygodniu.

— Ciiiiiszej! Neville zaczyna... — gniewnie syknął ktoś za nimi.

Doktor Frank S. Neville był znaną osobą, aż dziwne, że udało się go ściągnąć. Temat dotyczył wierzeń i obrzędów związanych z cyklicznymi darami od duchów i bóstw. Facet mówił naprawdę ciekawe rzeczy. Uwagę Roberta szczególnie zwróciła wzmianka odnośnie pruskiej bajki, o strasznym białym koniu Szemelu, który pędzi z rozwianą grzywą w pierwszą noc zimy. Prowadzi za sobą orszak równie tajemniczych „Zwierząt” i pozostawia pod chatami prezenty. Nikt nie ma prawa wyjść, bo zamarznie pod jego spojrzeniem. Taki surrealistyczny Święty Mikołaj. Robert postanowił, że dorwie się do opisu tego Szemela — nie zdziwiłby się, gdyby ów wydumany koń okazał się jednorożcem.

Po wykładzie i zdawkowych pożegnaniach poszli w trójkę na kawę do „Szpilki”.

Robert zaprzyjaźnił się z Adamem już na pierwszym roku, a Annę znał jeszcze z ogólniaka. To były dobre czasy... nikt nie wymagał od niego odgrywania „poważnego człowieka”.

— Jak tam wykład? — zagaił.

Anna ziewnęła ostentacyjnie.

— No, co ty? Nuda! A tobie się podobał? Przecież nie było ani słowa o jednorożcach! — parsknął śmiechem Adam. No tak, ten to nie mógł sobie darować.

— Odczep się od niego, przynajmniej ma jeszcze siłę na jakiegoś fioła. Nie to, co my — kobieta westchnęła melancholijnie, po czym spontanicznie objęła Adama i ucałowała w policzek. — Czasami mam wrażenie, że mnie już nic nie interesuje — kontynuowała, modulując głos tak, żeby wydawał się grubszy. — Tylko praca, wódka, dom... znowu dom, wódka, praca... i tak w koło Macieju... — przewróciła oczami i jęknęła rozdzierająco. Przez chwilę jeszcze usiłowała zachować poważny wyraz twarzy, nie wytrzymała jednak i wybuchła śmiechem.

— Co to? To niby mam być ja?! — zainteresował się Adam.

Zdziwił się na tyle, że aż zapomniał o swoim ulubionym „no” rozpoczynającym niemal każdą wypowiedź.

— Nie pamiętasz? Wczoraj! Byłeś taaaki biedny... Niespełniony naukowiec, któremu nie dadzą granta! Którego wielkie ambicje wciąż uderzają... — zawiesiła dramatycznie głos. — Lecz niestety odbijają się od marmurowych progów ignorancji!

— No nie! Od czego?! O Boże! Nie strasz mnie!

— Urąbałeś się, że strach. Aż się dziś zdziwiłam, że jesteś taki świeżutki.

— No, to rodzinne błogosławieństwo, a raczej dar. Dobry genotyp. Nie mamy kaca. Co jeszcze mówiłem?

— Że nikt tego nie wie, ale masz złote serce i kryształowy charakter.

— No jasne. Rzeczywiście nikt tego nie wie — przyznał ponuro. — I lepiej, żeby nadal tak było. Prosimy nikomu nie powtarzać. Stracę reputację.

— Byłeś bardzo kwiecisty, mój ty ambitny, złotokryształowy naukowcu. Hi, hi!

Robert poczuł się wyłączony. Nic dotąd nie wskazywało na aż tak zażyłe stosunki jego dwójki przyjaciół. W sumie, czemu nie... Może nawet pasowali do siebie. Było mu głupio, że jest zazdrosny.

Niby dlaczego? Jego najlepszy kumpel i niegdyś ubóstwiana złotowłosa piękność, też mieli prawo do swojego życia. W końcu on wybrał Mariolę...

Poruszył się nerwowo. Niesprecyzowane, nieprzyjemne wrażenie... jakby przytłoczenia. Czy to ta nieoczekiwana bliskość pomiędzy Adamem i Anką sprawiła, że tak dziwnie się poczuł? Zimny pot spływający po plecach. Czemu, u licha, był aż tak zaniepokojony?

— Hej, ponuraku! Co się tak wierzisz? Dziurę w krześle zrobisz. Idziesz na piwko czy żona będzie miała coś przeciwko? — koślawy rym Anki przebił się z trudem przez mur myśli.

— Chyba będzie miała. Była wściekła, że w niedzielę znalazłem sobie lepsze zajęcie niż siedzenie w domu i kłócenie się o bzdury.

— No wiesz, trochę racji to ona ma. Zawaliłeś się robotą... A w ogóle, to co u niej i bliźniaków?

— Chyba dobrze.

— Chyba dobrze?! Świnia jesteś! Spędzasz trochę czasu z dziećmi?

— A co ty o tym wiesz? Nigdy nie chciałaś mieć dzieci, to teraz nie bądź taka opiekuńcza dla cudzych.

— A ty co mi tak przygryzasz? Czep się psiego ogona! Jeśli chcesz wiedzieć, to owszem, nie chciałam, ale ty sobie zafundowałeś, to teraz, kurwa, ponoś konsekwencje!

— Ma rację. No, chyba powinieneś wyrwać się na trochę, pójść gdzieś z nimi — wtrącił Adam.

— I ty, Brutusie, przeciwko mnie? Taki mądry jesteś? Oboje? Rzeczywiście dobry pomysł, idę do domu.

Zamilkli. Kiedyś po pijaku wałkowali ten temat. Obiektywnie musiał przyznać, że zostanie rodzicami w wieku dwudziestu lat nie było najmądrzejszą decyzją. Taka kłótnia jest na poziomie gnojników, a nie dorosłych ludzi. „Mam dość dzisiejszego dnia”, powtórzył w myślach jak litanię. „Mają rację, wszystko robię nie tak jak trzeba.

Dobrze, że nie zdążyli wypomnieć mi zmarnowanego talentu”. Niegdyś obiecujący pisarz... To brzmi dumnie. Na kolejną kawę stracił już ochotę. Trzeba będzie naprawić sytuację zgrabnym żartem, pożegnać się i odejść z poczuciem winy.

Rozejrzał się. Roześmiane młode twarze. „Gdzie ten czas, kiedy tak się czułem” — potrząsnął głową. — „Chryste! Co ja pieprzę! Przecież dopiero co przekroczyłem trzydziestkę...” Potarł skronie. Ciągłe coś mu tu nie pasowało. Uwagę Roberta przykuł niesprecyzowany, ale zdecydowane zwierzęcy, ciężki zapach... jak gdyby smród drapieznika. Koty tak nie pachną... Zresztą, właściciel lokalu żadnego nie trzymał. Poza tym miał wrażenie, że ktoś uporczywie wpatruje się w jego kark. Ponownie się rozejrzał, tym razem znacznie ostrożniej — pozostali klienci zdawali się niczego nie zauważać. „To tylko nerwy, rzeczywiście powinienem się trochę wyluzować”, pomyślał, przecierając czoło. Z westchnieniem odwrócił się, zatrzymał wzrok na oknie i... Poczuł, że skóra mu cierpnie, a wszystkie włosy stają dęba. To tylko nerwy. Tylko nerwy.

„Powiniennem wrócić do domu”.

Za szybą rysował się ogromny, ciemny kształt. Robert spoglądał wprost w zimne bursztynowe oczy Lwa.

\* \* \*

— Oczy Lwa dostrzegły cię. Nie możesz się dłużej ukrywać. „Dziki lew nadchodzi, w

księżycowym blasku brodzi...” — zanuciła dziewczynka z bliźną. — Nieźle brzmi, prawda?

Wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Do kitu — odpowiedział odruchowo. Potem zaklął ze złością. Skąd się tu wzięła? Nie życzył sobie jej oglądać.

„Zaraz... Przecież... Ja chyba straciłem przytomność. A może nadal śnię? Może nie było tego koszmarnego dnia? No ładnie. Witaj Wariatkowo”, pomyślał, będąc bliskim szaleńczego chichotu.

— Wynoś się stąd, mała. Jesteś tylko halucynacją. I to wcale nie najprzyjemniejszą.

Uśmiech znikł z jej twarzy. Policzki pobladły, przez co poszarpana pamiątka jakiegoś byłego cierpienia stała się wyraźniejsza.

— Nie jestem snem! — fuknęła jak rozzłoszczona kotka. — To ty jesteś snem kogoś, kto już dawno powinien się przebudzić. Obudź się, zanim będzie za późno.

„Za późno na co?”, chciał zapytać, ale machnął ręką. W końcu, po co dyskutować z majakami.

— Zostaw mnie w spokoju. Dobrze ci radzę.

Właściwie nie czuł gniewu, tylko gigantyczne zmęczenie. Postanowił uciec. Daleko. W otchłań prawdziwego snu albo wspomnień. Tak... Wspomnień o czasach, gdy wszystko było proste. A może tak mu się tylko wydawało?

Bursztynowe oczy błysnęły gniewnie w mrocznej czeluści pod kanapą.

— Kici, kici — powtórzył zniechęconym tonem. Nie znosił kotów. Psów zresztą też. Najbardziej jednak nienawidził czuć się jak idiota, czyli tak jak teraz. Od dziesięciu minut klęczał przed kanapą, bezskutecznie próbując wywlec spod niej nowego pupila Anki.

— Nie mogłaś sobie psa sprawić?

— Przecież wiesz, że nie znoszę psów — sarknęła. — Co ty bredzisz?! Jak sobie ranę zapaprze, to nie będzie fajnie! Kociu, wychodź! Nooo, chodź do mamusi, moja słodka laleczko!

— Kici, kici... — jęknął bezradnie.

— Kretyn! Przestań się wygłupiać!

— No to co mam robić, do cholery?! Próbowałem go wyciągnąć i patrz, co mi zrobił! — zademonstrował rękę ozdobioną krwawymi pręgami.

— Odsuńmy kanapę — Anka szarpnęła desperacko za poręcz.

— Spokojnie. Zrobisz mu krzywdę — wstał i otrzepał kolana. — Chwyć z drugiej strony i przeniesiemy.

Podnieśli kanapę. Przerażony i rozzłoszczony kociak czmychnął w róg pokoju. Obserwował stamtąd ich poczynania, w każdej chwili gotów do ucieczki.

— Dobra. Możemy postawić.

— A jak znowu pod nią wleci? — zapytała niespokojnie.

— Może nie wleci. Idź po skrzynkę.

Wróciła po chwili, niosąc plastikowe pudło do transportu zwierząt i gruby kąpielowy ręcznik.

— Jak nie będzie chciał wejść, to zawiniemy go w ręcznik i wrzucimy do środka.

— Zawiniemy? — spytał, domyślając się już, komu przypadnie „brudna robota”.

— Ty zawiniesz, oczywiście — powiedziała z zadowoloną miną.

— Ja?! — oczyma duszy ujrzał swoje ręce w formie siekanych kotletów przystrojonych papryką i pomidorami.

— A kto?! Ja?

— To TWÓJ kot!

— Ale twoja wina!

— Co?!

— Twoja, twoja! — zacierzawiła się. — Mówiłam, żebyś go pilnował na balkonie, a ty mi pozwoliłeś się skaleczyć.

— Kto trzyma na balkonie kłęb zardzewiałego kolczastego drutu! — teraz wkurzył się już naprawdę. — Chyba skończony kretyn!

— Mój ojciec — wycedziła ironicznie.

— A... No tak. A... A dlaczego ten mały palant musiał się nim interesować?

— Bo tak. W razie czego łapiesz go w ręcznik i koniec. Po pierwsze, bo przez ciebie muszę teraz jechać do weterynarza, a po drugie — dziś balanga i nie zamierzam mieć poszarpanej skóry.

— A ja mogę?

— Owszem, może będziesz bardziej męski — parsknęła.

— Bardzo śmieszne — choć wiedział, że to idiotyczne, poczuł się dotknięty do żywego. Nawet nie był do końca pewien powodu. To był po prostu niewybredny żart, bez żadnych podtekstów. Tego był pewien. Głupia suka.

— Spadaj z takimi tekstami.

— To był żart. Coś taki przeczulony? Przecież schudłeś. Jeszcze trochę popakujesz... i będzie OK. O Matko! Żartuję! — wrzasnęła, widząc jego minę. Wyglądała tak, jakby za moment miała zacząć tarzać się ze śmiechu po dywanie. Jemu zdecydowanie nie było do śmiechu. — Nie mogę! W życiu nie spotkałam kogoś tak próżnego!

Spojrzał na nią spod oka. Zawsze idealnie dobrane kolorem ciuchy, perfekcyjna fryzura — „koński ogon” na czubku głowy — gdzie każdy włoszek był na swoim miejscu, pozornie zbuntowane loczki na skroniach. Nawet na treningu piłki ręcznej ledwie dostrzegalny makijaż... On spotkał kogoś takiego.

— No, dosyć tego. Kruszynko, śliczna moja! Kici, kici! Chodź do pańci!

Kotek fuknął i zaczął drapać dywan. „Dla tego małego potwora nie jesteś żadną pańcią, i na pewno nie kimś, z kim zamierza się kiedykolwiek liczyć”, pomyślał, obserwując z satysfakcją rosnącą irytację dziewczyny.

— Mały! Chodź do pudełka! Kici, kici! — zawołał aksamitnym głosem. Ze zdumieniem stwierdził, że ogarnia go dziwne uczucie, jakby drugiej obecności. Kogoś bliskiego, choć jednocześnie dalekiego. Ki czort? Mętnie zdawał sobie sprawę, że podobne odczucie często towarzyszyło mu w dzieciństwie... Potrząsnął głową. „Dość tego” — zdecydował — „nie będę siedział tu w nieskończoność”.

„No, chodź!!!” huknął w myślach. Kotek skulił się i wytrzeszczył oczka.

„Nie bój się maleńki, to dla twojego dobra, ale lepiej tam wejdź, bo tracę cierpliwość”, dodał znacznie łagodniej. Miał zabawne przeświadczenie, że kiedyś już tak postępował i to działało. Mała bestia tkwiła nieruchomo, gapiąc się na niego z rezerwą.

„Taki śliczny, mądry kotek...” Pochlebstwo zawsze pomaga. Kot jak zaczarowany, dobrowolnie postąpił kilka kroków w stronę otwartej skrzynki. Ania aż wstrzymała oddech, zaskoczona nowym obrotem wydarzeń.

„Baaardzo dobrze.” Maluch był już prawie w środku. Ania pisnęła uradowana. Robert odetchnął z ulgą — nie będzie musiał biegać z ręcznikiem. W tym momencie stworzenie łypnęło na nich złośliwie (Robert dałby głowę, że się przy tym roześmiało) i dało nura w bok. Anka usiłowała zareagować, ale była zbyt powolna — kot umknął, jej dłonie zderzyły się ze sobą, wydając tępy odgłos. Zakłęła głośno.

„A jednak ręcznik”. Złapał pomarańczową płachtę i puścił się w pogoń. „Nie ma co, teraz będę latał jak ostatni idiota”. Uciekinier był trudnym przeciwnikiem, zwłaszcza przy jego małych

gabarytach. Na szczęście w mieszkaniu Kotowskich regały stały na cokolikach. Przynajmniej tam się nie schowa. Kotek biegał jak oszalały. Próbował podciąć go jakoś ręcznikiem uchwyconym za dwa końce, ale zdało się to psu na budę. Wreszcie, w ostatecznym akcie rozpaczy, narzucił nań materię. Ku jego niewysłowionej uldze wredny stwór zaplątał się, miauczając przeraźliwie. Robert chwycił pomarańczowy kłęb, z którego nagle wychynęła ciemna główka uzbrojona w drapieżne ząbki. Teraz dla odmiany bydlak użarł go w rękę. Robert miał już szczery zamiar rzucenia nim o ścianę, kiedy przybiegła Anka, trzymając przed sobą skrzynkę. Wciskając parskającą, napuszoną czarnobiałą kulę do środka, zastanawiał się, jak to możliwe, że taki mały kotek może zmienić się w groźne monstrum.

— Mój malutki, zdenerwował się — zagruchała czule, zamykając drzwiczki.

— Anka, ja nie wiem, po co ty go chcesz wieźć do weterynarza. Na ciężko rannego nie wygląda.

— Jest skaleczony — powiedziała z uporem. — A drut był zardzewiały.

— Dobra — westchnął z rezygnacją. — Tylko szybko. Matka nie wie, że wzięłem samochód.

Trzęsie się o tego grata, jakby to był jakiś mercedes.

— Przecież masz prawo jazdy.

— Jeszcze nie.

— No dobra... W takim razie może być wesoło.

Ubierali się w pośpiechu. Nagle zauważył, że Anka przez cały czas chichocze. Unikała jego spojrzenia. Kiedy założyła kurtkę, schowała twarz w futrzany kołnierz, ale nie mogła ukryć drgających od tłumionego śmiechu pleców. Zacisnął zęby. Pokaleczona dłoń bolała jak diabli. Co niby było takie zabawne? „I bądź tu człowieku miły...Nigdy, kurwa, więcej. Nigdy”, obiecał sobie stanowczo.

Idąc w dół schodami, patrzył na złociste pukle wymykające się spod wełnianej czapki dziewczyny. Szła przed nim, tuląc do piersi pudło z „kruszynek”. Ani słowa wdzięczności. Starł się stłumić narastającą złość, ale nie bardzo mu to wychodziło. Piętro wyżej rozległ się rumor. Głośne sapanie i powarkiwanie, szczęk kluczy — sąsiadka Kotowskich wyprowadzała psa. Widział go już kiedyś. Duży bokser o wiecznie zaślinionym pysku i groźnych, przekrwionych ślepiach. Wyjątkowo antypatyczny zwierzak. Teraz jednak mógłby się przydać.

„Zbój! Bierz kota!” wykrzyknął w myśli. Cha, cha! To byłby numer...

Na górze zapanowała cisza. Chwilę później rozległ się gniewny okrzyk sąsiadki... i jasnobrązowy kształt przemknął jak błyskawica obok Roberta. Przez mgnienie oka miał nadzieję, że wyminie również Ankę, że psu po prostu odbiło i rzucił się w dół tylko po to, by wyprzedzić swoją panią i z radosnym popiskiwanym drapać w drzwi. Psy czasem tak mają... Ale ten — nie. Robert widział jak na zwolnionym filmie, klatka po klatce, jak bokser odbija się od kolejnego stopnia i skacze na plecy dziewczyny. Ania nawet nie zdążyła krzyknąć. Dopiero, gdy sturlała się w dół i gruchnęła o kaloryfer. Zdał sobie sprawę, że sam wrzeszczy z przerażenia.

Pudło potoczyło się kawałek dalej. Kociak nie ruszał się — albo coś mu się stało, albo po prostu sparaliżował go strach. Sąsiadka zajęła się odciąganiem Zbója, który desperacko starał się dosięgnąć pyskiem skulonego kota. Całe szczęście, że chroniła go skrzynka. Bokser zaczął się już przegryzać przez ciemnoniebieskie ścianki — twardy plastik miał się niemal jak papier w jego potężnych szczękach. Nie przestawał, pomimo że smycz w rękach rozwścieczonej kobiety zmieniła się w bat.

„Zbój, przestań!”, pomyślał, trzęsąc się z gniewu i strachu. Pies znieruchomiał. Po chwili odwrócił łeb. Chłopak mógłby przysiąc, że przekrwione oczy spojrzały na niego z konsternacją. Owa chwila zdawała się trwać wieczność, w końcu jednak Zbój szczeknął niechętnie i odsunął się od niedoszłej ofiary. Sąsiadka przyklękła przy oszołomionej Ancie i łamiącym się głosem zaczęła tłumaczyć, że nie wie, co się stało, nie rozumie, Zbój nigdy jeszcze...

Robert miał wrażenie, jakby dopiero co obudził się z wyjątkowo koszmarnego snu. Do tej pory sterczał jak skamieniały na szczycie schodów. Zrobiło mu się wstyd — nawet nie spróbował pomóc, w dodatku minutę wcześniej życzył kumpeli wszystkiego najgorszego. „Kawał chuja ze mnie. I oferma”.

Uszkodzony trybik w skomplikowanym mechanizmie jego nóg zadziałał wreszcie tak jak trzeba i Robert dał radę zbiec na dół.

— Ania — szepnął. — Ania, nic ci nie jest?

Popatrzyła na niego trochę nieprzytomnie.

— Co? A nie, nie wiem.

— Aniu, kochanie, nie podnoś się — zaproponowała napiętym głosem sąsiadka. — Chyba nie powinnaś... Pójdę zadzwonić na pogotowie.

— Na pogotowie?! — dziewczyna przestraszyła się nie na żarty. Robert wiedział, że jego przyjaciółka panicznie boi się lekarzy. — Nie, nie! Na pewno nic mi nie jest! Wszystko przez tego głupiego psa! Pani Wanda, on zwariował! Ale chyba nic mi nie jest. Robert, pomóż mi!

— Czyś ty zgłupiała, dziewczyno?! — zachnęła się pani Wanda.

— A jeśli masz uraz kręgosłupa?

Pies, który do tej pory kręcił się obok, jakby nic się nie stało, podszedł do swojej pani i tryknął ją nosem ponagłajaco. Był wyraźnie znudzony — chciał wreszcie iść na spacer. Chłopak poczuł przemożną chęć uduszenia go. Niestety, nie było to proste. Brązowy kark zwierzęcia wyglądał zbyt solidnie, lepiej wyładować się na łatwiejszym przeciwniku.

— Dlaczego on jest bez kagańca?! Przecież mógł nas pogryźć! Pani Wanda wcale nie była jednak „łatwiejszym przeciwnikiem”.

— Nigdy nie daje sobie założyć kagańca w mieszkaniu — odpowiedziała z zadziwiającym spokojem. — Zbój zawsze dotąd był grzeczny. Coś musiało go zdenerwować. Miał do czynienia z kotami, ale w ogóle się nimi nie interesował...

Robert poczuł się trochę nieswojo.

— Co się stało z moim kotem?! — w głosie Anki zadźwięczała nutka hysterii.

— Chyba wszystko OK. Poruszył się... — miał nadzieję, że mówi prawdę.

„Bestia” miauknęła rozdzierająco i spróbowała wydrapać sobie drogę ucieczki z plastikowego więzienia.

— Bogu dzięki! Czy ktoś wreszcie pomoże mi wstać?

— Mówiłam, że nie powinnaś!

Zgodnie z przewidywaniami Roberta, Anna nie miała zamiaru jej słuchać. Najpierw ostrożnie poruszyła rękami, potem spróbowała się podeprzeć. Koniec końców okazało się, że kręgosłup nie ucierpiał, natomiast noga spuchła jak balon.

— Pękła torebka stawowa. Proszę się nie martwić, ślicznotko, zaraz coś na to zaradzimy — oznajmił jowialnie ortopeda z ostrego dyżuru.

Pani Wanda dokonała cudu. Skołowany pies błyskawicznie wyładował w swoim mieszkaniu, a ledwo żywy kot, któremu dopiero teraz przydałby się weterynarz, u Kotowskich, Anka i Robert znaleźli się w samochodzie. Musiał przyznać, że wszelkie opinie odnośnie tego, jaka to straszna jest „baba za kierownicą”, mogą mieć odbicie w rzeczywistości, ale należy to traktować raczej jako pozytywną cechę. Sąsiadka Kotowskich złamała prawie wszystkie przepisy i omal nie przejechała jakiegoś staruszka, ale za to w dziesięć minut była pod szpitalem. Może kiedyś marzyła jej się praca taryfiarza?

— Wieczorem jest impreza... — bąknęła Anna. Robert stwierdził, że dziewczyny są

nienormalne.

— Nic się nie bać! — zakrzyknął z fantazją lekarz. Brakowało tylko, żeby podkreślił węża. Po sekundzie to zrobił. — W gipsie też można tańczyć! A jeszcze z właściwym partnerem... — mrugnął do Roberta.

Tego jej już było za wiele. Najpierw zachlipała cichutko, a gdy ortopeda wraz z pielęgniarzem wsadzili ją na stół i zabrali się za gipsowanie, zahuczała jak małe dziecko.

— No, no. Proszę się uspokoić. Taka ładna dziewczyna nie powinna płakać. Od łez twarz robi się czerwona — pielęgniarz zachichotał i poklepał ją po udzie. Ten z kolei miał gęstą, czarną brodę. Wyglądali, wypisz wymaluj, jak bandyci z kreskówek. Robert ledwo powstrzymywał się od śmiechu. Sytuacja była po prostu idiotyczna.

— Dość tego — zimny ton pani Wandy otrzeźwił go szybko. — Rzeczywiście! Świetny sposób na uspokajanie. Wpędzić w histerię.

— A mamusia niech się nie wtrąca. Będzie dobrze — odparł ortopeda z beczelnym uśmiechem. — Taka lalunia nie musi tańczyć i tak się nie opędzi od przystojniaczków. Nawet dobrze... Nie będzie skakać jak fryga, to i chłopcom będzie łatwiej... He, he!

Kobieta poczerwieniała ze złości i zacisnęła pięści. Chłopak przestraszył się — dotarło do niego, że kłótnia z tymi chamami bynajmniej nie sprawi, że lepiej zajmą się chorą nogą.

Otworzył usta, chcąc ratować sytuację, ale zamknął je równie szybko. Pani Wanda również wolała się nie odzywać. Po zapewnieniu, że karetka nie jest potrzebna, wsadzono Ankę na nosze i odtransportowano z powrotem do samochodu. Wyglądała jak półtora nieszczęścia z wielką, białą karykaturą nogi.

— Głowa do góry — szepnął. Miał nadzieję, że nie zabrzmiało to bardzo głupio.

Gdy zatrzasnął za nią drzwi, odwrócił się w stronę odchodzących mężczyzn. Wbił wzrok w plecy brodatego chama i odczekał, aż właścicielka pojazdu włączy silnik.

— Te, Rumcajs! Uważaj, jak się odzywasz, bo nie będziesz miał czym zrobić Cypiska!

Sanitariusze zarechotali z wyjątkiem głównego zainteresowanego, który stanął nagle jak rażony gromem. Chwilę później szarpnął się do tyłu z gracją kukielki, której niewprawny aktor zbyt mocno ściągnął sznurki. Na jego twarzy widniała czysta i szczerą chęć mordy. Robert przezornie trzymał się blisko uchylonych drzwi. Kiedy mężczyzna ruszył w jego kierunku, nie zastanawiając się dłużej, wskoczył na fotel obok kierowcy. Zauważył w lusterku, że Anna już nie płacze, zamiast tego z całkiem różną miną pokazuje facetowi środkowy palec. Pani Wanda mruknęła coś z aprobatą i ruszyła z piskiem opon. Co najmniej tak, jakby całe życie okradała banki. Baba za kierownicą. Istny skarb.

Szum ulicy. Niespokojne głosy.

— Odsuńcie się! Dajcie mu oddychać! Anka, wezwij karetkę!

## 2.

Znowu tupot pielęgniarzkich chodaków. Jak on tego nie cierpiał...

— Skarbie, podaj mi talerz — poprosił.

Mariola nie zareagowała. Patrzyła w okno pustym wzrokiem. Za oknem było szaro i paskudnie. Sala w szpitalu też była paskudna. Źle się tu czuła. Złapał się na tym, że po raz kolejny przypatruje



się jej, jakby była zupełnie obcą osobą. Kurze łapki w kącikach oczu. Cała masa rdzawych piegów na skórze. Zawsze mu się podobały, niestety z biegiem lat brzydko wyblakły. Wyglądała na zmęczoną. W końcu spojrzała na niego.

— Co mówiłeś, kotku?

Z trudem powstrzymał cisnące mu się na usta żądanie, żeby przestała go nazywać „kotkiem”. Nienawidził tego. Podobne życzenia były jednak pozbawione sensu — po kwadransie zapomniała.

— Prosiłem o talerz — odłożył niedojedzoną bułkę.

— Powinieneś więcej jeść.

— Nie mogę. Zupełnie nie mam apetytu. Rozmawiałaś z lekarzem?

Wzruszyła ramionami.

— Tak.

— No i?

— Będą cię jeszcze badać. Wyglądało na zawał, ale na szczęście to nie to — wykonała nieokreślony gest dłonią. — Migotanie przedsionków... Będziesz musiał jeszcze tu posiedzieć — nie wyglądała na szczególnie zrozpaczoną z tego powodu.

— Nie sędzę.

— Jak to?

— Po pierwsze, czuję się już dobrze, po drugie, nie mam czasu tkwić tu bezproduktywnie.

W jej niebieskich oczach zalśnił dobrze mu znany twardy błysk. Była zdecydowana postawić na swoim.

— Nie przyszło ci, oczywiście, do głowy, że twoje omdlenie może wskazywać na poważną chorobę. Przez ostatni rok przepracowywałeś się...

„Rzeczywiście, przepracowywałem się. Przez ostatnie dwa miesiące napisałem może z pięć stron, a czas leci”.

— A dzieci zapomniały, jak wyglądasz.

Spojrzał na Kasię i Marcina. Jak zwykle nie zwracały uwagi na wymianę zdań pomiędzy rodzicami. Prawdopodobnie oboje przyzwyczaili się do podniesionego tonu, na przemian z milczeniem trwającym wiele godzin. Balansowali pupami na krawędzi jedynego krzesła, pochylając się nad niewielkim chromowanym „pudełkiem”, które trzymał Marcin. Kolejna gra Nintendo. Skąd Mariola bierze na to pieniądze? Ściszonymi głosami wymieniali między sobą uwagi. Równie dobrze mógł być nieruchomą kukłą w gabinecie figur woskowych. Nawet nie. Wzbudzał daleko mniej zainteresowania.

Jak na rodzeństwo byli zadziwiająco zgodni. Zawsze wyobrażał sobie, że brat i siostra powinni non stop się o coś wyklócać, oskarżać... Tymczasem nie pamiętał żadnego „mamo, tato, Marcin zepsuł mi lalkę!”. Inna sprawa, że Marioli widać powiódł się eksperyment wychowawczy — była przeciwniczką typizacji płciowej. Kiedy po raz pierwszy zastał syna z Barbie w rękę, zimny dreszcz przeszedł mu po plecach. Robert uważał się za człowieka o szerokich horyzontach i pozbawionego uprzedzeń, ale warunkowanie dziesiątek pokoleń zrobiło swoje — poczuł się co najmniej niepewnie. Odetchnął z irracjonalną ulgą dopiero wtedy, gdy dostrzegł, że lalka została ubrana w odrobinę przyduży polowy mundur.

— Kto to? — zapytał wtedy z udanym spokojem. — Pani żołnierz? Znaczy, eee, tego... żołnierka? — poprawił się ze względu na żonę.

— Ktoś lepszy — odparł z dumą dzieciak. — To Nikita. Wykonuje bardzo ważną misję w Serbii.

— Tak w ogóle to ona ratuje świat, ale ty tego nie zrozumiesz — skwitowała Kasia, wychylając się zza drzwi. Oczywiście. Przecież on nigdy niczego nie rozumiał.

— Następnym razem ty jesteś zdradzieckim agentem — zwróciła się do brata.

— Nie chcę! Nie będę!

— A właśnie, że tak! — Nie!

Dzieci zaczęły się szarpać, a potem pobiegły z krzykiem do drugiego pokoju. Czasem się kłócili. Ale nigdy długo.

— Śniesz na jawie?

— Zamyśliłem się. Słuchaj, muszę się brać do roboty najpóźniej pojutrze.

— Lekarz wyraźnie powiedział, że nie powinieneś się przemęczać. Zrozum — westchnęła i popatrzyła na niego jak na krnąbrne dziecko. — To coś z sercem. Z tym nie ma żartów.

Potarła dłonią czoło. Naprawdę wyglądała na szalenie zmęczoną. Zdał sobie sprawę, że ostatnio nie było jej lekko, a on niezbyt się tym interesował.

— Jak tam praca? — zagaił. — Uporałaś się już z tymi tłumaczeniami?

— Nie do końca, ale za to zatwierdzili mi artykuł. Pójdzie w następnym Przeglądzie Psychologicznym.

— Super.

— Zawsze to następna publikacja. Chyba za pół roku będę miała termin.

— Nie mów... Gratuluję! No to musisz wrzucić piąty bieg, przyszła doktorko.

— W zasadzie już kończę. To ty musisz wrzucić piąty bieg, ale na razie pobędziesz tutaj, w szpitalu. I nie wyprowadzisz mnie w pole. Za bardzo się denerwowałeś. Nie przesiedziałeś w domu ani jednego całego dnia, wpadałeś i wypadałeś. Nigdzie z nami nie wyskoczyłeś, bo wolałeś ślęczeć przed monitorem, potem denerwowałeś się, że gówno ci wychodzi i tak w kółko — urwała na moment i spojrzała na bliźnięta. — Wy, podłe bachory... Co to za zachowanie? Pogadajcie trochę z ojcem. Ja idę do łazienki.

Wstała, wygładzając spódnice. Widział, że ma ochotę wrócić do domu. Przez myśl przemknęło mu coś na kształt zdziwienia. Zastanawiał się, kiedy właściwie przestali ze sobą normalnie rozmawiać. Już nie pamiętał. Nie mógł się pozbyć uczucia goryczy — kiedy ona zdążyła to napisać? Wydawałoby się, że jeszcze tak niedawno była na etapie zbierania materiałów. No cóż. „Cyborg” to jej drugie imię. Praktycznie jej nie pomagał — gonił na cudze wykłady albo udzielał swoich. Przynajmniej studenci go cenili — wiedział, że ma opinię sympatycznego, interesującego wariata.

Mariola tyrała jako psycholog w Stowarzyszeniu Pomocy i Planowania Rodziny. Robiła doktorat na swoim macierzystym wydziale. Może dlatego już nie mogła się z nim dogadać. Za dużo psychologii. Właściwie, jak to o nim świadczy? Pół życia u psychiatry, wstręt do psychoterapeutów, no i z kim się ożenił?

Psycholodzy to też niezłe świry, ale nie wszyscy wariaci do siebie pasują. Ona jest z tych „praktycznych”. Po prostu „cyborg”. Z dwójką dzieciaków na karku dała radę przeprowadzić prawie wszystko, co zaplanowała. Jemu nic nie wychodziło. Z każdym dniem czuł pogłębiającą się apatię. Cieszył się, że przynajmniej jego matka tego nie widzi. Gdziekolwiek jest, pewnie ma święty spokój.

Trzeba się otrząsnąć i wrzucić piąty bieg.

Kasia i Marcin patrzyli na niego wyraźnie znużeni. Atmosfera szpitala dała im w kość. W ich oczach widział oczekiwanie. Mógł się założyć, że zna ich myśli — „Nie chce nam się z tobą gadać”.

— Tato, kiedy stąd wyjdiesz?

— Jak stąd wyjdiesz, to pójdziemy do ZOO albo do kina? — Marcin ożywił się.

— Nie mam pojęcia, kiedy wyjdę, mam nadzieję, że niedługo. A co do kina... To może znajdzie trochę czasu, ale nie obiecuję...

— Wiedziaaaalam... — Kasia wydeła usta. Cóż. Naprawdę nic nie mógł obiecać.

— Muszę pisać pracę doktorską. Potem przerobię ją na książkę popularnonaukową.

— Będiesz pisał bajkę o jednoroźcach — dałby sobie głowę uciąć, że w głosie syna zabrzmiała nieskrywana ironia. — Wujek Artur mówi, że to dziecinada, nawet jak na etnologa — mały diabeł uśmiechnął się złośliwie.

— Jaaasne. A wujek Artur mówił, czym się teraz zajmuje?

— Przecież uczy angielskiego.

— Doprawdy? Obecnie jest bezrobotny. Wujek Artur lubi się kłócić, no i sobie wyklócił.

— Aha. Nie wiedziałem.

— A moje „bajki” dają nam pieniądze na życie. Kaśka, pamiętasz, co ci opowiadałem, jak byłaś chora?

— Jak byłam chora, to mama mi czytała.

— No...tak... ale ja też ci czytałem i opowiadałem.

— Nie pamiętam.

— No to w każdym razie teraz ci coś ciekawego opowiem... Córka wymownie przewróciła oczami, dając do zrozumienia, co myśli o jego „ciekawych” historiach.

— W średniowieczu mówiono, że jednorożec może oczyścić całe rzeki i jeziora, zanurzając róg w wodzie, mówiono również, że potrafi uzdrowić nawet umierającego. Król Anglii Jakub I testował róg, mieląc go i przyprawiając trucizną. Jeśli sługa, który próbował mieszanki umierał, róg był fałszywy.

— Przez to chyba cały dwór wytepił?! — zainteresował się Marcin. — Zresztą jak mógł im dawać do spróbowania, przecież jednoroźców nie ma.

— Dworzanie migali się jak mogli, ale królewski rozkaz, to rozkaz. Król eksperymentował, dopóki nie zabrakło fałszywek. To co brali za rogi jednoroźca okazało się potem kłami narwala, ale wciąż są ludzie, nawet teraz, którzy twierdzą, że na własne oczy widzieli to stworzenie.

— Co to jest „narawal”?

— Narwal. Takie zwierzę morskie. Podobne do wieloryba, ale mniejsze. Samce mają jeden ząb, w górnej szczęce, który jest spiralnie skręcony i pusty w środku.

W oczach Kasi po raz pierwszy błysnęła ciekawość. Robert miał nadzieję, że nie zacznie dopytywać się, dlaczego „tylko jeden”.

— A dlaczego tylko...

— I widzisz, te rogi, to znaczy zęby, miały od dwóch do trzech metrów długości. Znajdywano je na plaży i myślano, że to rogi jednoroźców — zamilkł na chwilę, aby nabrać tchu...

— Ale dlaczego tylko jeden?

\* \* \*

— Tylko jeden? Stary, rozczarowałaś mnie... Ja myślałem, że tu poważne sprawy odchodzą! — Banan zakręcił z fantazją tacą pełną kieliszków.

— Uwważaj! Potłuczysz! Wylejesz! — jedna z dziewczyn rzuciła się ratować szklany skarb.

— Eeeeeee tam! Zaraz „potłuczysz”! Ja mam doświadczenie... Ale odruch laska ma właściwy. Hłe, hłe!

Robert wycofał się z kuchni, gdzie — jak to zwykle bywa — przeniosła się połowa imprezy. Czuł, że musi trochę zastopować wódę. Balanga trwała w najlepsze. Anka jak zwykle stała w centrum uwagi, choć tym razem wyglądało to nieco inaczej. Siedziała w wielkim fotelu, trzymając przed sobą białą nogę na pufie, którą natychmiast przysunął jeden z usługowych adoratorów. Gips był już w połowie zamazany podpisami i obrazkami wątpliwej jakości artystycznej. Aktualnie znęcał się nad nim Mikrus — mozolił się nad swoim dziełem, zmieniając raz po raz czerwony flamaster na zielony. Z wysiłku wywalił jeźor aż na brodę. Wysiłek był wielki, bo browaru wchłonął niemało.

Chyba przestało jej przeszkadzać, że nie może tańczyć. Robert także stał się bohaterem gawędy ludowej. Wieść o dzielnym czynie, czyli podkurwieniu „złego sanitariusza” przysporzyła mu popularności, a nawet wielbicielek. Przed jedną z nich z trudem umknął — może to niesprawiedliwe, zważywszy na jego własną przeszłość, ale jakoś nie miał inklinacji do zostania członkiem Greenpeace, a dziewczyna za bardzo przypominała wieloryba wyrzuconego na brzeg. Na szczęście, z ssaka zamieniła się w rybę i konała cichutko w kącie łazienki, wielkimi haustami łapiąc powietrze. Do „wielkiego ucha”, które właśnie zwolniła, już ktoś inny żalił się na swój ciężki los. „Rozmowa” zakończyła się rykiem godnym lwa, a potem żalonym jękiem. Robert stwierdził, że w tej sytuacji raczej nie skorzysta z łazienki. Zaraz...a może by tak nalać do zlewu? Niedoszła adoratorka, o dźwięcznym imieniu Eliza, pasującym raczej do znacznie bardziej eterycznej postaci, zaczęła się poruszać, więc Robert wołał wziąć nogi za pas. Zawsze można przecież wyjść na balkon.

Świeże powietrze trochę go otrzeźwiło. Ocenił sytuację w pokoju i zdecydował się wrócić do kuchni. Nie cierpiał cikliwych kawałków, a już najbardziej tego kretyńskiego Papa Dance. „Monalizą byłaś miiiiii, marzyyyłeeem tylko o tobieeeee” zawodził pijany w sztok Mikrus, robiąc maślane oczy do Anki, a ta odkrzykiwała, prawie płacząc ze śmiechu: „A teraz wersja żeńska! Robin Hoodem byłeś mi!”. Miał tylko nadzieję, że nie zleci z fotela. Chwilowo w kuchni było przyjemniej. Urwane słowa i natężenie podпиты głosów wskazywały na jakiś spór natury filozoficzno — praktycznej z cyklu „dlaczego nauczyciele są debilami”.

— Nie rozumiem, o co się ta idiotka przyczepiła! Nie rozumiem! — wydzierał się Mikołaj.

— Dostałam lufę! — piekliła się Myszka Mariolka. — Rozumiecie?!?! Lufę! Z takiego durnego tematu! Będę miała rozwaloną średnią! Najchętniej to bym tej krowie oczy wydarła!

— Zwierzak mieć pomysła! — oznajmił radośnie Artur, zwany Zwierzakiem. Na chwilę zapanowała cisza. — Pójdźmy do niej wszyscy i spalmy jej ogródek!!!

Pomysłodawca został nagrodzony huczną owacją i alpaga o zdartej nalepce. Jak widać ostatni wysłannicy do nocnego zostali znacznie gorzej wyposażeni na drogę. Robert musiał przyznać, że podziela gorycz zgromadzonych. Wyciągnął rękę po jedną z butelek i poskarżył się żałością:

— Mnie też suka udupiła...

— Ciebie?! — szczerze zdziwiła się Myszka. — Jakim cudem? Różewska zawsze piała peany na twoją cześć! Ty jesteś ten Jedyny inteligentny”.

— Nooo, tym razem nie.

— Wstyd! Robuś yntelektualysta! — Zwierzak zrobił małpią minę i wgryzł się w plastikową nakrętkę alpażura. Nie wiadomo czy z powodu wódki, czy wady wymowy, bardzo zabawnie wymawiał „r”.

— Cichaj cebulo! Ale dlaczego? Przecież o różnych mitach i legendach możesz nawijać do usranej śmierci...

Fakt. Nie miał zielonego pojęcia, „dlaczego”. Temat wypracowania semestralnego „Dziwne stwory, jakie w czasie i przestrzeni poczęła ludzka wyobraźnia” przypadł mu do gustu. Istoty, które inspirowały wierzenia i przesady... fajna sprawa.

— Może wsadziłem coś antypolitycznego? Nie wiem, czy ona „czerwona”, czy „czarna”. Nie wiem, cholera. Pisałem o fantastycznych istotach, które znalazły się na herbach, wiesz, o gryfie, smoku, jednorożcu...

— A co w tym może być „antypolitycznego”?

— Sporo miejsca poświęciłem herbowi Anglii.

— Fakt. Jest tam jednorożec. Chociaż wygląda raczej jak zabiedzona, zmutowana koza.

— Nie da się ukryć. Fajne jest, jak się tam w ogóle znalazł. Dwa jednorożce były figurami heraldycznymi podtrzymującymi dawny herb królewski Szkocji. Odkąd Jakub VI Szkocki stał się królem Anglii, jednorożec wygryzł z posady walijskiego czerwonego smoka. Na straży brytyjskiej tarczy herbowej stoją teraz lew i jednorożec. Mówi się, że ich tradycyjna nienawiść symbolizuje stosunki angielsko-szkockie! He, he! W każdym razie to było w tym klimacie, czyli ewolucja symboliki i zależności.

— Ja skoncentrowałam się na socjologicznych i psychologicznych aspektach takich legend. Strach przed długimi podróżami i te bajki dla dzieci, żeby nie wychodziły po zmroku z domu i były grzeczne, bo przyjdzie olbrzym albo wilkołak i je zje. Wszystko, co się wiąże ze strachem przed „nieznanym”. I ta pieeerdolooona krowa — niebieskie, lekko mętne od alkoholu oczy ponownie rozbłysły gniewem — przypierdoloła się, znaczy przypierdoliła, do czego?! Że używałam prawidłowych końcówek!

— Nie kapuję... jak to prawidłowych... Jakich znowu końcówek?

— Nie będę pisać o kobiecie „socjolog”, tylko „socjolożka”.

— Dlaczego?

Mariola westchnęła, jakby tłumaczyła coś niedorozwiniętemu dziecku po raz pięćdziesiąty czwarty.

— Bo zawody MUSZĄ mieć końcówki żeńskie i męskie. Tak jest sprawiedliwie.

— Uwaga! Atak feministycznych świni z kosmosu — wyszeptał konspiracyjnie Banan. Na szczęście „feministyczna świnią” chyba niedosłyszała. Przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Za to reszta zachichotała.

— Tak jak na przykład „historyk” i „historyczka”...

— A może histeryczka. Hi, hi... — Banan pokręcił głową i mruknął.

— A może cały język polski poprzekręcasz? Głupia cipa...

Znowu ktoś parsknął urywanym śmiechem. Tym razem dosłyszała... i niebezpiecznie pobladła. Rdzawe piegi stały się wyraźniejsze, a rudawe włosy wydały się nagle jaskrawo czerwone. Robert patrzył zafascynowany. „Ja bym nie zadzierał, może i się zdrowo podlała, ale ma drugie miejsce na turnieju karate” — pomyślał. — „Ale dupek jest bardziej schlany i nie rozumie, że może oberwać”.

— Bananku, kochanie, wyjdź za drzwi i sprawdź, czy cię tam nie ma.

— Nie ma go tam — stwierdził usłużnie Zwierzak. — Ale może się tam znaleźć — dodał nieoczekiwanie. — Mademoiselle życzy sobie...? — scenicznym gestem zakasał rękawy.

— Ależ towarzyszu, kamracie, bracie w rozumie... a gdzie męska solidarność?

— Nie solidaryzuję się z ignorantami.

— Ty co? Podrywasz Mychę Feminizm Walczący?

— Chciałbym, ale to moja siostra.

Zarówno Robert, jak i Banan wytrzeszczyli oczy.

— Yyy, nie wiedziałem... — wyjąkał zbity z pantałyku Banan.

— Braciszku, daj spokój, zawsze można mu przyłożyć, ale po co? On nie zrozumie... Skoro uważa, że ten jego yntelygentny wtręt stanowi argument w dyskusji, to niechybny znak, że wkrótce

popelni samobójstwo.

— Znaczy... Upozorujemy? Ja mieć pomysła!

— Nieee, nie trzeba, on umrze, kiedy wytrzeźwieje i spadnie ze swojego ego, na swoje IQ. Dla kretyna szok będzie za duży...

— Eeee, siostra, ja być prosty umysł, nie very complicated, jak ty i ja bym mu zaraz...

Banan, który od dobrej chwili przypominał parujący, gotujący się czajnik, wydał z siebie dziwny odgłos, zaczerwienił się jeszcze bardziej i ruszył w stronę Zwierzaka z niedwuznacznymi zamiarami... W tym samym momencie Mariola wbiła obcas w stopę Banana, następnie jedna z pięści wylądowała na jego żołądku, druga zaś wystrzeliła nieco bardziej w górę i rozległ się nieprzyjemny trzask... Robert widział wszystko w zwolnionym tempie. Chłopak stanął jak wryty, potem zgiął się... Kiedy odzyskał głos, zawył donośnie i chwycił się za kichawę.

— He, he! Rozpaprałaś mu kinol! Au! Odpierdol się, bo cię zaraz strzelę! — Zwierzak usiłował wyrwać się spod ramienia Mikołaja, które nagle oplotło się wokół jego szyi. Inni rzucili się rozdzielać Mariolę i Banana. Robert z doświadczenia wiedząc, co dzieje się w takich wypadkach, skorzystał z ogólnego zamieszania i porwał ostatnią nie napoczętą alpagę. Zanim ktokolwiek się zorientował ukrył ją w rękawie czarnego? porozciąganego swetra.

— Ty pierdolona kurwo! — darł się Banan, trzymany ze wszystkich sił przez dwóch dryblasów, nieznanym Robertowi z ksywek ani z imienia. — Jakbyś nie była babą, to bym cię zajebał na śmierć!

W tym momencie poczuł, jak gdzieś w jego wnętrzu budzi się coś paskudnego. Niedobrze. Po tym jak kiedyś trwale okaleczył jakiegoś gówniarza podczas podwórkowej bójki, bał się bić. Szybki to może nigdy nie był, ale miał budowę zapaśnika — ciężkie, grube kości i potężne mięśnie (niestety zwykle ukryte pod zbyt łatwo pojawiającą się warstewką tłuszczu) na ogół dawały mu przewagę. Z trudem stłumił wściekłość. Mógł przesadzić. Matka by tego nie zniosła, a i tak miała chore serce. Spędził pół życia u psychologów i psychiatry. Nie chciał, żeby to wyszło na jaw.

— Na śmieeeré, suko!!! — wbrew swym zajadłym zapewnieniom o potencjalnej nietykalności bab, Banan przez cały czas starał się wyrwać i dopchać do Marioli. Szło mu coraz lepiej. Myszka Mariolka zaśmiała się wyzywająco. Wiła się jak piskorz, ale stadko piszcących dziewczyn skutecznie uniemożliwiało jej atak. Wystarczyła jednak chwila nieuwagi i czubek pantofla omal nie uszkodził nader istotnych dla chłopaka szczegółów anatomicznych. „Ona chyba tylko czekała na pretekst, dowolny”, zrozumiał Robert.

Wiedział, że za parę chwil Myszka i jej brat wylądują za drzwiami, przy wtórce awantury i chlipania gospodyni. Z całą pewnością będzie: „zepsuliście mi imprezę, głupie świnię!”. Więc „głupie świnię” się wyniosą, a Robert wraz z nimi. Balanga umierała, wódki nie było, a Anka pewnie już się liże z jakimś tłukiem. Nic tu po nim. Poza tym miał słabość do „bab z jajami”, a z tego Zwierzaka też wylazł niezły aparat, no i do rana jeszcze trochę czasu... Matka śpi, po co ją budzić. Ostrożnie wymanewrował między oszołomionymi znajomymi i nieznanymi, po drodze zdołał jeszcze porwać trzy paczki prażynek i znalazł się w przedpokoju. Chwycił swoją kurtkę, uchylił drzwi wejściowe i ulotnił się po angielsku.

Nie czekał długo.

Zwierzak i Mariola wylecieli z przysłowiowym hukiem. Ktoś nawet chciał wyskoczyć za nimi na klatkę, ale zrezygnował albo został wciągnięty do środka. Artur chciał walić pięściami w drzwi, pokrzykując jakieś bezsensowne pogroźki. Widać nieskuteczność szarpaniny z Mikołajem stanowiła ujmę na jego honorze. Cóż. Duży to on nie był, i ledwo trzymał się na nogach. Myszka oprzytomniała i zaczęła go uspokajać równie bezsensownie — że „zlokalizozuzują”, z której budy jest ten kutas,

przy czym nie sprecyzowała który, i spuszcza mu solidarny, a może solidny wpierdol.

Zwierzak dostrzegł go pierwszy — jego piegowata twarz (rzeczywiście byli trochę podobni) zmarszczyła się z pretensją. Otworzył usta... i zamknął je, gdy Robert podstawił mu pod nos tanie wino.

— Nooo, ten to ma łeb na karku... Rzeczywiście jedyny inteligentny! Hyyyp! — skwitowała Mariola.

Potem łazili między blokami, śpiewając na całe gardło albo zastanawiając się głośno, kiedy ktoś wezwie milicję i co wtedy zrobić. Zwierzak poległ im nagle. W jednej chwili coś bełkotał, a w drugiej już go nie było. Odnaleźli go kilka kroków w tyle. Leżał z twarzą w klombie, zapewne często nawiedzany przez miejscowe pieski.

— Rany... że też nie zauważyłam, że włożył kurtkę na drugą stronę — parsknęła Myszka. Stała już znacznie pewniej na nogach.

— Jak on to zrobił?! Posadźmy go gdzieś, niech przetrzeźwieje. Przedobrzył dzisiaj. Mnie już lepiej. Ty też się nieźle trzymasz.

— Wiesz...kubatura robi swoje. To naprawdę twój brat? Byłem pewien, że jesteś jedynaczką.

— Bo długo byłam. To mój przyrodni. Poznaliśmy się niecałe trzy lata temu. Nie chwaliłam się, bo kurde, co to kogo obchodzi?

— Tatuś?...

Odchyliła przekornie głowę.

— Nie, mamusia. Wyjechała do Niemiec, jak byłam bardzo mała, potem prysnęła dalej. Jakoś jej się udało... Ludzie nawet wtedy emigrowali, tyle że przez „zieloną”. No i niedawno wróciła. Z moim bratem. Ojciec jej znać nie chce. Nic dziwnego, nie wyobrażasz sobie, jakie miał kłopoty. Ale ja się nie gniewam — wzruszyła ramionami. — Już mi przeszło. Nikt nie jest święty, a ona była bardzo młoda...

— Ty chyba jednak jesteś święta, ja bym ją znienawidził.

— Nie takie proste... Chuj wie jak ja bym na jej miejscu postąpiła, no i fajnie mieć bratola. On też się przejął — Artur zamamrotał coś niewyraźnie. Mariolka strzepnęła z niego niewidzialny pyłek. Robert poczuł się nagle dziwnie samotny — nieźle mieć rodzeństwo.

— Ale na nieszczęście — kontynuowała — on jest z tych zaczepno-obronnych. Najpierw zaczepia, a potem trzeba go bronić — wyjaśniła widząc jego minę. — Chryste! Po co ja ci to gadam! — zakryła usta w udanym przestachu. — Jak się kiedyś wygadasz, to będę miała problem.

Zaczęli się śmiać. Z pewnym zdziwieniem skonstatował, że dawno tak dobrze się nie czuł w czyimś towarzystwie. Miał paru kumpli, jak każdy, no i przyjaźnił się z Anką. Przyjaźnił? Sam nie wiedział, jak to nazwać. Fakt, podobała mu się. No i miał do niej cholerną słabość, chociaż coraz częściej podejrzewał, że „Mała Księżniczka”, jak ją nazywano, po prostu kolekcjonuje osoby, które z jakiegoś powodu uznawała za interesujące. Cóż. W pewnym sensie komplement. W ogóle, to najbardziej lubił swoje własne towarzystwo. Nie przyznawał się do tego, żeby nie wyjść na dziwaka albo mruka. Tęsknił do matury — wtedy będzie mógł wreszcie być poważnym człowiekiem. Jezu. Szczytne plany, nie ma co. Już sobie wyobrażał brecht znajomków. Ale miał plany i chciał je zrealizować. Nagle zapragnął opowiedzieć o tym tej porąbanej lasce, która w jednej chwili była zdolna kogoś zatłuc, a w drugiej okazywała się niemal święta.

— Piszę opowiadania — wyznał.

Spojrzała na niego, trochę zaskoczona zmianą tematu.

— Sekret za sekret? — uśmiechnęła się. — Poważnie? Nigdy nie spotkałam pisarza ani nawet kogoś, kto próbuje... Coś wydrukowałaś?

— Nie — zaczerwienił się. — Właściwie... eeee... żadnego nie dokończyłem. — „Po co jej to mówię?!”, skarcił się w myślach. „Teraz będzie się nabijać”.

— Coś cię blokuje? Boisz się, że kiepsko wyjdzie?

— Co ty? Psycholog jesteś?

— Psycholożką. Zamierzam być — wykonała gest parodiujący ściąganie okularów na czubek nosa. — Czy chcesz mi o tym opowiedzieć?

Rozbroiła go.

— Może... Ale powiedz mi coś najpierw, zanim zostanę poddany psychoanalizie — miał dobry humor, mógł nawet żartować na tematy psychologiczne. — O co chodziło z tym jełopem, tym, jak mu tam, Bananem? Bo, cholera, nie wierzę, że o końcówki albo o feministyczną świnię z kosmosu. No, o to ostatnie już bardziej.

— W pewnym sensie o feministyczną świnię. Widzisz, ja, a właściwie my — pokazała na pochrapującego Zwierzaka — spotkaliśmy go już wcześniej. Sprawa prosta jak barszcz, znaczy jak drut. On i jego kolesie trochę nam przysolili.

— Pobili dziewczynę?

Spojrzała na niego spod oka i uśmiechnęła się, nie całkiem przyjemnie. Przypomniał sobie, że laska jest w stanie zdrowo natłuc prawie każdego i że sam przez chwilę całkiem poważnie rozważał jej możliwości jako przeciwnika. Nooo, ale jednak dziewczyn się nie bije. Tak po prostu powinno być.

— Dziewczyn się nie bije — powiedziała drwiąco, jakby czytała jego myśli. — Bo są słabsze. Tak? A jak one mają już po dziurki w nosie być „słabsze”?

— No wiesz, pewnych rzeczy...

— Wiem — ucięła. — Wiem trochę na temat „pewnych rzeczy, których nie da się zmienić”. Znaczący facet ma lasię bronić, a jej psim obowiązkiem jest dać się obronić albo zalać się łzami i załamać białe rączki? Które jej potem połamią? Jezu! Co za koszmarna bzdura! A czy ty wiesz, jak to najczęściej wygląda, ten cały etos rycerza i damy, wpajany od podwórka? Właśnie, jak to wygląda „od podwórka”? — wykrzywiła się złośliwie. — Taki podwórkowy dżentelmen, psia jego mać, co dziewczyn nie bije, pierze własną po pysku. Dlaczego? Bo własna i ośmieliła się krzywo spojrzeć albo, nie daj Boże, ma własne zdanie i to, kurwa, inne! Mój dom, mój samochód, mój telewizor, moja żona... A ty głupia szmato pierz, gotuj i bądź wdzięczna za to, że ktoś cię zechciał! Dlatego moja matka spierdoliła jak miała okazję. Szkoda, że mnie ze sobą nie zabrała, ale... trudno. I wiesz co? Taka, co pójdzie z paroma do łóżka, to już kurwa! A taki kutas jebany, co wsadza w każdą dziurę to, za przeproszeniem, „prawdziwy facet”! A każda taka zaliczona przez „prawdziwego faceta” to już „kurwa”! Cha, cha!

— Nigdy się nad tym wszystkim nie zastanawiałem — przyznał trochę skołowany wybuchem i słowotokiem. — Ale chyba nie myślisz, że ja...

— Och, nieee... — wycodziła ironicznie. — Żaden z was nigdy. Sorka — zmytygowała się. — Nie. Nie myśl, że ja nienawidzę facetów. Zawsze się przyjaźniłam raczej z facetami. Naprawdę. I właśnie dlatego dostrzegłam parę drobiazgów. Laska — kumpel. Fajnie. Znaczący w jakimś sensie NASZA laska. Bo każda do kogoś należy. Nigdy nie jest człowiekiem w takim sensie, jak dowolny koleś. Tekściory w rodzaju: „dziewczyna kumpla, rzecz święta”, „dziewczyna na imprezie nie zrzuca się na składkę”. Dlaczego? Bo sama jest, kurwa, składką. Kolesie się cieszą, że jest kogo rwać. No chyba, że kumpla. Wtedy dadzą w mordę, jak ktoś z taką dłużej zatańczy. I nikogo nie interesuje, na co ona ma ochotę, bo przecież to oczywiste, że jak się z tym nie zgadza, to jest „kurwą”.

— I Banan tak coś...? Miał waty, że mu się z obrazem świata nie zgadzasz? Nie bardzo



rozumiem...

— Bo dobrze mi się z tobą gada, znaczy prowadzi twórczy, bo nie wiem czy konstruktywny monolog — parsknęła. — I odbiegłam trochę. Sorty, ale to mnie tak wkurwia... Jednak jestem najebana. Banan kiedyś napatoczył się z koleżkami, jak wracaliśmy... nawet nie Pamiętam skąd. I Artur mu się nie spodobał. Chyba chodziło o to, że „obcy na dzielnicy”. Nie wiem. Na mnie najpierw nie zwrócili uwagi, a potem wykorzystali — zaśmiała się widząc minę Roberta. — Nie! Nie w TAKI sposób! Najpierw zaczęli wołać za nim: „brudas”, „śmierdziel” i takie różne... Ale on nie reagował, bo nie znał dobrze polskiego, a ja go wzięłam za łapę i przyśpieszyliśmy kroku. Może to był błąd, bo się rozzuchwalili... Byłam cieńsza w uszach i w ciubarach — przeciągnęła się, strzyknęły ścięgna.

— Zaczęli za mną wołać: „brudna kurwa”, „zaszczana szmata”, „dziwka brudasa” i parę innych przyjemnych rzeczy. A to, co było najlepsze... — pokręciła głową z goryczą. — Im chyba nie chodziło o mnie. To było wymierzone w niego. Żeby jego obrazić, nie mnie. Bo lasia przecież nie ma własnego honoru, tylko jej facet, a za takowego go widać wzięli. I to jest etos rycerski naszych czasów. A parę wieków temu, jakby dziewczę chciało się pojedynkować z faciem, który ją obraził, zakładając hipotetycznie, że przyszloby jej to do głowy, oczywiście, to by była wyśmiana. Bo białogłowe się osłania, a nie leje. Nie jest „równa stanem”. Dyshonor bić się z kobietą, bo jest z definicji „słabsza”, co w praktyce oznacza, że gówno warta. Nie jest przeciwnikiem ani kumplem. Jest rzeczą, którą można wykorzystać, aby przy okazji obrazić kogoś równego sobie. Jak widać niewiele się zmieniło.

Robert domyślił się już reszty. Może i Zwierzak nie znał wtedy dobrze polskiego, ale sensu puszcanych tekstów w końcu się domyślił. Faceci jednak czują takie rzeczy i pewnie porwany „rycerskim duchem” spróbował im wpierdolić, a Mariolka... jak to Mariolka. A była wtedy cieńsza w ciubarach.

— Jesteście pewni, że to był on? Gdybym to wcześniej wiedział...

— To co? Też byłeś prawie obcy. Balangę robiła jakaś psiapsiuła tej twojej Anki, wpływu na gości nie miałaś. A może od razu byś go pobił? Jeszcze, kurwa, posłyszał i podchwycił moje przezwisko... chyba nas nie poznał, ale się, kurwa, musiał przyczepić... Myśmy chcieli wziąć na wstrzymanie, ale wiesz... wódzia, alpaki i samo wyszło. I dobrze. Rany kota! Ja o tym marzyłam prawie rok! Żeby tego skurwysyna spotkać i zajebać! Mój mały, prywatny etos wojownika domagał się „krwawej pomsty w zapalczym gniewie”. Kapujesz?

Kapował bardzo dobrze. Też by o tym marzył w takiej sytuacji.

— Zajebać... eep! Zajebać! — ni to wymruczał, ni to zajęczał Zwierzak.

Spojrzeli na siebie jak ludzie wyrwani z głębokiego snu i zatrzęśli się ze śmiechu.

— Wiesz, Myszka, znaczy przepraszam, chyba tego nie lubisz, Mariola... Może ten Banan ma taką ksywkę, bo woli jebać chłopców! Sam przecież krzyknął, że jakbyś nie była babą, to by cię zajebał...

Żart może nie był zbyt dyplomatyczny, ale spełnił swoje zadanie. Mariola wygodniej ułożyła się na ławce i potargała jego żółtobrazowe, zmierzwiłone włosy. Nie lubił, gdy ktoś to robił, ale teraz było mu całkiem miło.

— Pogadajmy o czymś fajniejszym, mamy mnóstwo czasu, a to biedactwo jeszcze martwe. Powiedz wreszcie o czym piszesz. Kryminały?

— Nie, to coś w rodzaju brutalnej baśni. Fantasy. — Mrrrrrauuu! Brrrrr brutalnej... Przykład?

— Uśmiejesz się, ale to bardzo związane z moimi snami — wewnętrzny sygnał ostrzegawczy kazał mu się zamknąć, ale... co tam. — Tylko zawsze budzę się przed końcem i potem wszystko, co dopisuję, jest jakieś... nieudane. Więc kreślę, i od nowa.

Przymknął oczy... Obawiał się, w głębi duszy, że nie ma dość talentu, aby oddać piękno miast, które widział w snach i w wyobraźni. Dziwaczne strzeliste konstrukcje, szklane kopuły wieńczące potężne wieżycy, latające pojazdy i gadopodobne stwory... Spiralny róg białego jednorożca przebija na wylot złoty bok potężnego lwa. Ostre i cienkie jak igły zęby drapieży układają się w rodzaj upiornego uśmiechu, gdy podobne zarazem do jelenia i konia stworzenie ryczy zwycięsko. Potrząsa wdzięczną głową, błyszczące granatowe oczy wpatrują się wprost w Roberta... Boli...

Mariola potrząsa brutalnie jego ramieniem. Wycie i migające błękitne światło.

— Przysnąłeś?! Wstawaj, niebiescy! Pomóż mi stargać Artura!

Zwierzak jednak nie potrzebował zachęty. Zdziwiająco sprawnie zerwał się z ławki i schował w krzakach. Nie pozostało im nic innego. Lepiej nie siedzieć na widoku. Chociaż właściwie... ale Mariola już go dokądś ciągnęła.

— Jadą pod blok Ełki — wyszeptała podekscytowana. — Popatrz, specjalnie ściszały muzykę, a myśmy tu się darli, jakby cyrk jakiś przyjechał, a oni i tak tam jadą... Ciekawe, kto wzywał gliny?

Pewnie ktoś, kto miał powód. Mętnie przypomniało mu się, że wyszedł łać na balkon. Wystawił przez pręty barierki... Pod balkonem ktoś stał i chyba nawet się awanturował...

\* \* \*

— Co to za awantura?! — warknęła siostra przełożona, wchodząc do sali.

— Nic, nic, siostrzyczko — zamruczał pochlebnie jeden z pacjentów, jeszcze przed chwilą wywrzaskujący inwektywy pod adresem sporego młodziana. Osobnik ów, zgodnie z duchem czasu, charakteryzował się łysą czaszką i masywnymi łukami brwiowymi, pod którymi kryły się małe, wrogie oczka. Pozory mogą mylić, ale w tym przypadku raczej nie. Pół minuty temu, w bardzo obrazowy sposób wyjaśnił, co robi, kiedy tylko będzie mógł wstać. Na szczęście rychło to nie nastąpi — miał obie nogi przetrącone „bejzbolem”.

Robert przymknął oczy. „I ja mam w tych warunkach kurować serce”, pomyślał ze swoistym rozrzewnieniem. „Polska. Mieszkam w Polsce. To widać, słyszać i czuć.”

Siostra nie miała zamiaru przejmować się jakimikolwiek wyjaśnieniami. Narobiła gorszego wrzasku niż wszyscy kłótlivi pacjenci razem wzięci i zaordynowała leki uspokajające, jako alternatywę podając kuszącą opcję lewatywy. Robert próbował wyjaśnić, że dostał już dziś jakieś „mocne piguły”, ale jego głos utonął w ogólnym harmiderze.

Dziewczynka z bliźną kiwała współczująco głową, ale też nie zrobiła nic, żeby mu pomóc. Usiadła na parapecie i leniwie machała nogami. W przód i w tył, w przód i w tył. Zegar tykał. Był środek nocy. Dziewczynka zapaliła papierosa i ku jego oburzeniu zaciągnęła się z wyraźną przyjemnością. Przez jej widmową, oszpeconą twarz, przebiegł ni to rozbawiony, ni to złośliwy grymas.

— Siostro — wyszeptał. — Proszę ją stąd zabrać. Przecież tu się nie pali — dodał rozpaczliwie. Pragnął tylko spokoju... Nagły błysk, rozedrgany płomień. Obecność. Krótkie zjednoczenie. Ból. Pragnął odzyskać...

Siostra pochyliła się nad nim z niepokojem w oczach.

— Co to za żarty? Kogo mam zabrać? Co panu jest? — niemal krzyknęła. Dotknęła jego czoła i wybiegła z sali, kogoś wołając. Szum w uszach.

— Czas nagli — powiedziała dziewczynka, zbliżając się do jego łóżka. Jej spojrzenie było roztopionym złotem. Tylko to postrzegał wyraźnie. Cała postać, choć z pozoru realna, załamywała się i roztapiała, im dłużej usiłował zatrzymać na niej wzrok. Była jak znikający cień na krawędzi, coś, co można dostrzec tylko kątem oka. Roztańczony „zajaczek” na ścianie. Kapryśny mieszkaniec lustra.

— Spuszczono cię ze smyczy, a ty co? Zero inwencji i próby walki. Przyznasz, że to może zirytować? Na ogół spodziewamy się po sobie więcej... sprawności w dążeniu do celu, no i oczywiście tego, że wiemy, jaki ten cel jest. Nawet zwykli śmiertelnicy i demony, a co dopiero Bogowie! Bariera uniemożliwia kontakt, a nikt nie lubi tracić części siebie — zaciągnęła się i wypuściła kłęb dymu. — Musisz wkroczyć na drogę. Przypomnieć sobie.

„Odejdź. Ja chcę tylko spokoju”, jęknął w duszy, jak wiele razy przedtem, lecz coś w nim nie chciało, by odeszła. Musiał zrobić to, co do niego należy.

— Kim jesteś?

Zawahała się przez chwilę, przyglądając mu się uważnie. W końcu zaniósła się dźwięcznym chichotem, zbyt dojrzałym jak na drobne ciało, w które się ubrała.

— Nazywam się Alicja. Lubię to imię. Teraz pora przejść na drugą stronę lustra.

Ktoś przecierał mu czoło. Wypowiadał niezrozumiałe słowa, podniesionym, napiętym tonem. Daleko... Zapadał w otchłań snu...

### 3.

— Słyszałam, że są różne sposoby u pisarzy — powiedziała zamyślona Mariola. „Skąd się tu wzięłaś?” chciał zapytać, ale zdziwienie umknęło jak porwane wiatrem, równie nagle jak się pojawiło. To nie była jego żona. To była TAMTA Mariola. Z drugiej strony snu, zza drugiej strony lustra, gdy byli młodszy i świat był piękniejszy. A może po prostu bardziej przyjazny? Powinna tu być. Zawsze.

— Zawsze możesz spróbować czegoś innego... to znaczy zamiast ślęczeć od pierwszej do ostatniej strony, zacznij na przykład od końca albo od środka... albo w ogóle pracuj nad kilkoma na raz, no wiesz, tak jakby po spirali...

— Taaa. Jasne. Wiesz co? Jak jeszcze sobie wypijemy, to będę się poruszać po spirali, wracając do domu. Cha, cha! — przecząc swoim słowom, chwycił następne piwo. Ojciec Marioli wyszedł na jakąś rodzinną posiadłość, a ona wykpiła się chorobą. Gdy tylko pozbyła się starego, natychmiast zadzwoniła po Roberta. Oczywiście, przyszedł z nieodzownym w tej sytuacji chmielowym lekiem. Nawet nie wiedział, kiedy wrócili do tematu sprzed paru tygodni — tych nieszczęsnych, niedokończonych opowiadań.

— Bałwan! — sarknęła. — Człowiek chce pomóc, a ten... Może gdybyś zmienił taktykę, wymyśliłbyś pasujące zakończenia. Tak marnujesz tylko czas i niepotrzebnie się wkurzasz.

— Ciocia Dobra Rada! Cha, cha...

— A żeby cię!... Spierdalaj! — ale nie potrafiła ukryć śmiechu.

— Mariolka, tłumaczyłem ci, że to nie takie proste... To jest w ogóle pojebane. Bo... ja to wszystko widzę. Może mi się śni, a może... sam nie wiem. Miałaś kiedyś tak, że robisz coś, a potem urywa ci się film, ale nie tracisz tak do końca przytomności tylko... widzisz takie różne urywki

dziwnych rzeczy. Oczywiście, to na pewno wyobraźnia... plastyczna... Czasem zbyt plastyczna, jak na mój gust. Tak czy owak, ja pewne rzeczy widzę i lepiej lub gorzej opisuję. Nie potrafię „wymyśleć”, dopóki czegoś nie „zobaczę” i dlatego zakończenia, które mimo wszystko jakoś tam próbuję dosztukować, brzmią sztucznie. Są... nieprawdziwe.

— Coś kapryśne te twoje natchnienie... uważaj, żeby nie popaść w paranoję. Daj no piwa...

Ale nie pili już więcej piwa. Nie tej nocy. Jej dłoń nie powędrowała w stronę butelki. Zdziwił się, że potrafi być jednocześnie taka twarda i taka miękka. Oddychała głęboko i spokojnie, choć z całych sił oplatała nogami jego biodra i mocno zaciskała dłonie na ramionach. Śmiała się zadowolona, gdy chwycił ją w pasie, przekreślił się i znalazła się na górze. Potrafiła pięknie się uśmiechać. Krzyknęła i wygięła się do tyłu... płaski brzuch i drobne, twarde piersi zadrżały spazmatycznie. Czuł, że nadchodziło. Do tej pory, przygotowująca o szaleństwo ciepła wilgoć, falowanie, w górę, w dół i znów w górę... Teraz paraliżujący przyływ i... wytchnienie. Obezwładniająca, przyjemna niemoc.

— No no. Całkiem niezłe... Umiesz się brać do rzeczy — skomentowała łaskawie Alicja, która cały czas stała obok, ale jej cichy głos porwał huragan obcego gromkiego śmiechu, a niewielka, przejrzysta postać znikła jak zdmuchnięta świeca.

Robert stał pośrodku pustej równiny, a wokół hulał wiatr. Było zimno i ciemno.

— Naprawdę, w ten sposób to zapamiętałeś, biedny głupcze?! — szydził nieznany głos. — Żałosny gnojku, od zawsze karmiłeś się złudzeniami i śmiesz mieć TAAKIE ambicje! Myślisz, że jesteś lepszy ode mnie? Ha! A może chciałbyś być królem?

Znów poczuł się rozdarty, bo część jaźni miała ochotę zaprotestować — że nic nie wie i nie ma ambicji, a już na pewno nie „królewskich lotów” — z drugiej zaś strony, przez jeden ułamek chwili, trwającej wieczność, znał siłę gniewu, który wywraca wszechświat na nice. Przez chwilę był kompletny. Robert rozplynął się w oceanie mocy, którą dotąd jedynie przeczuwał. Był nadal sobą, choć stał się tylko częścią. Bardzo niewielką częścią... KOGOŚ, kto roześmiał się z miażdżącą pogardą... i tamten głos zniknął. Jednak obecność, która uczyniła go kompletnym, przepadła również.

— Cholerna bariera — wymruczała z żalem Alicja.

Właściwie nie tyle usłyszał te słowa, co raczej odnotował je wewnątrz umysłu. Nie przypominała już dziewczynki. Nie była w ogóle podobna do człowieka, może z wyjątkiem paru zbrodniczych instynktów i porywów namiętności, co wiedział dzięki ulotnej cząstce wiedzy, jaka pozostała po nieoczekiwanym kontakcie. Złote oczy Alicji gorzały jak latarnie. Oślepiające światło.

Światło razi go, więc z powrotem przymyka oczy. Zapomnieli zgasić przed zapadnięciem w drzemkę. Mariola przeciąga się zmysłowo i gryzie go w ucho. Dłonie splatają się. Ze zdumieniem konstatuje, że ma całe plecy porozdzierane do krwi. A nic wcześniej nie czuł. Dziewczyna chichocze, domyślając się powodu zaskoczoności, bolesnego westchnienia. Mruczy cicho pod wpływem pieśczości. Przekomarzają się, kto pójdzie zgasić światło, w końcu Mariola wstaje, burcząc coś niechętnie pod nosem.

Idzie, kołysząc lekko biodrami, chłopak z zachwytem obserwuje kroplę potu powoli spływającą po ostro zarysowanej łopatce... Kropla krwi znaczy jasnoczerwonym śladem swoją drogę po bladej, piegowatej skórze. Plecy poorane na wpół zabliźnionymi ranami. Dziewczyna płacze z bólu. Nagi, wielki i tłusty mężczyzna trzymają mocno za włosy. Trzy podbródki kołyszą się w takt obleśnego rechotu.

— Dobrze ci, kurwo? — pyta, potrząsając jej głową, tak, że zęby zderzają się ze sobą, wydając nieprzyjemny klekot.

— Maleństwo kiwa główką, zgadza się z tatusiem... — wyszeptał z udanym rozrzewnieniem. — Grzeczna dziewczynka, baaardzo grzeczna dziewczynka... Niech nigdy nie przyjdzie ci do tej małej, ślicznej główki sprzeciwić się tatusiowi. Czy to jasne?

Poklepuje ją protekcyjnie, a potem przesuwa lubieżnie paluchy po skatowanym ciele. Dziewczyna trzęsie się ze strachu, ale przymilnie stara się uśmiechnąć przez łzy. Leży pokornie, jakby miała nadzieję, że to poprawi jej sytuację, ale Robert wie, że ta nadzieja zawiodła ją nieraz. Powinna uciekać albo go zabić, lecz obłądny strach paraliżuje jej ciało i umysł. Od dawna przestała myśleć jasno.

Robert rozgląda się wokół z mieszaniną odrazy i podziwu. Jest tu tyle rzeczy... pięknych rzeczy... gdyby je tylko oczyścić z kurzu, pajęczyn i ludzkich lub zwierzęcych odchodów.

Mężczyzna spoczywa na wspaniałym łożu, które zajmuje ponad połowę sali, a jest ona tak wielka, że Robert nie jest pewien, czy cienie majaczące w oddali stanowią jej kraniec. Skłębioną pościel z delikatnej błyszczącej materii, znaczą ślady zaschłej krwi, wymiocin, kału i uryny. Na podłodze walają się zgniłe kawałki pożywienia. Olbrzym co jakiś czas sięga do czar i pater porozstawianych na posłaniu i wokół niego, wydobywając kolejne ochłapy. Przeżuwa je w żółtych, popsutych zębiskach i połyka lub wypluwa. Czasem tym, co wypluje, rzuca w zaszczutych ludzi kryjących się w zakamarkach sali. Wychodzą niepewnie z kryjówek i uciekają pośpiesznie ze zdobyczą. Bywa, że Pan jest łaskawy i nie czyni im krzywdy, częściej jednak ciska następnym kawałkiem tak, żeby zranić i zaśmiewa się, gdy przewracają się bezradnie. Strużki śliny ściekają mu po wszystkich podbródkach.

Wtem wydaje z siebie pierdnięcie, które mogłoby zagłuszyć rozwrzeszczany stadion, a potem drapie się po jajach. Smród powoduje zawrót głowy, żołądek niebezpiecznie zbliża się do gardła. W końcu Robert pada na kolana i zwraca jego zawartość.

— Jednak mój drogi gość zdecydował się oddać mi pokłon — zadrwił mężczyzna, gapiąc się wprost na niego. Ogromne, wylupiate, załzawione ślipia wpatrują się intensywnie. „Drogi gość” domyślał się już, jakie uczucie mogło ogarnąć Czerwonego Kapturka w domku babci. Właściciel łoża sięgnął pod poduszkę i wyciągnął surowy barani udziec. Wbił weń ostre kły, a potem czknął przeraźliwie.

— Na! — rzucił nim nagle w stronę Roberta. Uchylił się odruchowo, lecz śmierdzący kawał mięsa odbił się od jakiejś niewidzialnej przeszkody. „Bariera? To dlatego mnie nie atakuje?”

— Ty też się, mały, poczęstuj! Chociaż nie jesteś mi życzliwy... He, he... a szkoda, mógłbym cię wiele nauczyć. Więc masz ambicje mnie krytykować? Ty, taki gnojek? Nawet nie umiesz być mężczyzną! Ryps wyps i po wszystkim... To ma być pierdolenie? One lubią prawdziwych mężczyzn, prawda malutka?

Przypomniał sobie o dziewczynie, schowanej w stercie pościeli i wyciągnął ją za nogę. Pisnęła ze strachu. Jedną ręką zaczął gmerać w jej kroczu, drugą chwycił mocno za pierś, wywołując nowy strumień łez.

— Nie maż się! Nic innego nie potrafisz? Brzydzą się takiej trzęsącej się galarety. Patrz — zwrócił się do Roberta — i toto miałoby być obrazem Bogiń? Ciekawe, co powiedziałyby Księżycowa Pani... tak... Ty mała gnido, czasem widzę ją w twoich oczach... Ośmielasz się?!!! Nie gap się na mnie, kurwo!!!

Wspomnienie Księżycowej Pani wprowadziło tłustego mężczyznę w bezrozumną furję.

Robert, patrząc na niego, zatrząsł się z bezsilnej wściekłości. Z oddali poczuł zew. Krzyk i śmiech, i morze wina szumiące pod czaszką... To było dobre. Taniec splecionych nagich ciał i czasem ból, gdyż silniejsi z natury rzeczy szybciej dostają to, czego pragną. Tak, to jest dobre. A ten

świat jest zepsuty jak przejrzały owoc albo cuchnący, porzucony ochłap mięsa. Zatruty od wewnątrz. Nienaturalny. Niewłaściwy. Nie taki jak trzeba. Obraz Bogiń został zbezczeszczony. „Uciekaj! Ratuj się”, błagał w myślach dziewczynę, przeczuwając, co zaraz nastąpi. Rzucił się w jej stronę, ale zatrzymała go niewidzialna ściana. Bił w nią pięściami i wrzeszczał, lecz nie odniosło to żadnego skutku. Rozejrzał się i dostrzegł Alicję. Potężne pazury wbite w podłogę sprawiały dziwnie bezradne wrażenie. Złote oczy wypełniał smutek.

Thusty olbrzym poderwał głowę dziewczyny, omal nie łamiąc jej karku, a potem wbił zakrzywione palce prosto w przerażone oczy.

Wrzask bólu przeszedł w cichnący skowyt, który zgiął w radosnym wrzasku.

— Tak, Panie! Zasłużyła sobie na to! Zasłużyła! Wymierzyłeś karę w swej wielkiej łaskawości, dziękujemy ci, że nie jesteśmy naczyniem grzechu, jak ona! Miłosierdzie twoje nie zna granic! — wołał tłum.

Dopiero teraz Robert zauważył, że nie wszyscy ludzie kryją się po kątach. Niektórzy siedzieli wygodnie, zjadając radośnie ochłapy ciskane przez tłuściocha, a nędzne resztki, które jakimś cudem pozostały, kopali w stronę „nieuprzywilejowanych”, strojąc pańskie miny. Podkpiwali, gdy ich pan i władca szczególnie okrutnie kogoś potraktował. Ze wszystkich sił zabiegali o łaskę i wznosili dziękczynne modły. Mężczyźni rozpierali się dumnie w swoich niszach wypełnionych przedmiotami zbytku, zdając się nie dostrzegać oblepiającej wszystko warstwy cuchnącej mazi. Niewielka ilość kobiet również zdawała się cieszyć przywilejami — znaczna większość kryła się za plecami mężów i ojców, łasząc się do nich i przymilając w nadziei na pełną miskę i brak kuksańców. A to wszystko za lukrem miłości i szacunku.

— Macie, moje grzeczne, dobre owieczki! Wiedziecie, że kocham was wszystkich! — ryknął tubalnie olbrzym, wpychając okaleczone ciało w las chciwych rąk. — Czy widzicie? Już nie musicie się bać! To tylko słabe, żalodne ciało, z którym możecie zrobić, na co wam przyjdzie ochota! Magia?! Władza nad życiem?! Mistyczna siła?! Śmiechu warte!

Rzucili się na nią jak wygłodniali padlinożercy i rozdarli na strzępy. Podekscytowany tłum mężczyzn wywłókł skądś inną młodzieńką dziewczynę o wyzywającej urodzie — wypchnęli ją na środek, łżąc i oskarżając. Przyłączyła się grupa kobiet ściskających w rękach kamienie. Chciały pierwsze zatłuc ją na śmierć. Usiłowała wyrwać się z kręgu, więc obalono ją na ziemię i obezwładniono.

— Ona też sobie zasłużyła! — wśród wycia i gwizdów zdarto z niej ubranie.

— Śmiało synu, pokaż, gdzie jej miejsce! — starzec wprowadził ociągającego się chłopaka, który wyglądał jakby nie do końca rozumiał, co się dzieje. Rozglądał się nieprzytomnie i wyraźnie miał ochotę uciec, jednak wrzaski obecnych, w których krył się nacisk całych pokoleń, zrobiły swoje. Dziewczyna na próżno wiła się w uścisku. W końcu wspierany zachęcającymi okrzykami wszedł w nią, a na jego wargi wypełził grymas zachwyconego kretyna. Coś jednak nie poszło tak jak chciał, bo zaczął okładać ją pięściami.

— Tak powinno być — stwierdziła z mieszaniną lęku i uznania stara kobieta, po czym pouczyła stojącą obok przestraszoną dziewczynkę. — Trzeba znać swoje miejsce.

Robert rzygał. Ktoś delikatnie dotknął jego ramienia.

— Nie odwracaj głowy — szepnęła z goryczą Alicja, znów przybierając ludzką postać. — Spójrz jeszcze raz, nie wiem, co tym razem zapamiętasz, ale musisz poznać prawdę drugiej strony snu, to co ukrywa się pod powierzchnią życia.

Wykrzywiła się ironicznie. Spojrzał posłusznie, błagając w duchu, by to był już koniec.

Tłuścioch chichotał i drapał się po fałdach obrzmiałego brzucha, całkowicie zakrywającego

genitalia. Zarykiwał się ze śmiechu, obserwując swoje „owieczki”. Tłum wrzasnął głośnie. Ogromny Lew o skołtunionej, brudnej sierści przypominającej kłęb porzuconych w kącie futer, do których dobrały się mole, śmiał się nadal. Zaryczał z aplauzem. Przeciągnął się leniwie w wielkim zapaskudżonym legowisku. Po chwili całkowicie stracił zainteresowanie. Ludzie posłuszni jego woli zajęli się swoimi sprawami albo zapadli w drzemkę. Harmider ucichł. Obecność Roberta także zupełnie przestała go interesować, tak jakby... zapomniał. Robert stwierdził, że bursztynowe oczy Lwa zasnuwa dziwna mgiełka. Tak patrzą bardzo starzy ludzie, co już niewiele rozumieją albo obłąkani.

Opoka zesrał się pod siebie i zasnął. Bawił się czymś nieświadomie — pomiędzy potwornymi łapami tkwiła spatynowana, pokancerowana pazurami Korona. Brakowało większości klejnotów.

Wyleniąta, niegdyś złota grzywa poruszała się delikatnie przy każdym smrodliwym oddechu. Kiedyś był inny, ale szaleństwo jego Pana pociągnęło go za sobą.

— To nie wszystko, popatrz tam. Jeszcze dalej, za barierę. Biała olśniewająca gwiazda w ciemności.

Z pamięci wyłonił się mimowolny obraz.

*Stoi w sali wykładowej, wokół zmęczeni studenci. Zastanawiają się pewnie, kim jest ten młody palant i czy przypadkiem nie zanudzi ich na śmierć. „Dobrze. Zobaczymy. Jestem tylko niegroźnym wariatem, który opowiada bajeczki.” Uśmiechnął się do nich i rozpoczął:*

*— Zaczniemy od jednorożca. Zobaczycie, że to istna kopalnia ciekawostek. Pierwsza wzmianka o nich pojawia się około 400 lat przed erą chrześcijańską. Jej autorem jest Ktezjasz — grecki historyk i lekarz Artakserkesa Mnemona. Pisał, że w Indiach żyją szybkożone dzikie osły o białej sierści, niebieskich oczach i purpurowych łbach, zakończonych rogiem wystającym z centralnej części czola. Róg był biały u nasady, całkowicie czarny w środku, a na końcu miał barwę karmazynową. Trochę inaczej opisuje go Pliniusz w „Historii Naturalnej”. Daje mu na przykład nogi słonia i ogon wieprza. Wyobrażacie sobie? Dla mnie to wręcz obelga. Trzeba wam wiedzieć, że w najstarszych opisach jednorożec jest zwierzęciem mięsożernym, dziką, przerażającą bestią. Czy ktoś wie, kto jest wrogiem jednorożca?*

*Przeciągające się milczenie. Dopiero gdzieś z tylnego rzędu, niepewne ni to stwierdzenie, ni to pytanie:*

*— Chyba lew...*

*— Dobrze! Według legendy, lew jest zaprzysiężonym wrogiem jednorożca. Toczyli pojedynek o koronę. Lew zwyciężył dlatego, że jednorożec wbił się rogiem w wielki dąb i nie mógł się uwolnić. Ten pojedynek z różnych względów fascynował ludzi, także i politycznych, bo jak zapewne wiecie, a w każdym razie powinniście — roześmiał się nieszczercze — szkocki jednorożec był oczywistym przeciwnikiem angielskiego lwa. Poeta Edmund Spenser, który zasłynął panegirycznym poematem na cześć Elżbiety I — „The Faerie Queene”, także wykorzystał ten motyw. WII Księdze, a trzeba wam wiedzieć, że te sześć ksiąg poematu to były rzeczywiście dość grube książki, a nie byle rozdziałiki, jest taki moment, kiedy pojedykuje się ze sobą dwóch rycerzy. Autor odwołuje się tu do alegorii lwa i jednorożca: lew opiera się o drzewo, a jednorożec naciera ze spuszczonego łbem, lew usuwa się na bok i jednorożec wbija się rogiem w pień drzewa. Tym samym sposobem jeden z rycerzy wyprowadza w pole drugiego i unika śmierci.*

*Przerwał dla zaczerpnięcia tchu. Cholera. Te martwe, rybnie oczy. Po jaką cholerę oni przyleźli na jego wykład? Ale, nie, nie jest tak źle. Kilka osób z przodu i nawet jakiś dryblas na końcu zaczęli zdradzać oznaki życia. W ich spojrzeniu błyska coś na kształt zrozumienia.*

*— Wielkie to szczęście dla lwa. Izydor z Sewilli, autor „Etymologii” z VII wieku naszej ery*

*twierdził, że jeden cios jednorożca może zabić słońca. A tak, to lew został Królem Zwierząt.*

Jednorożec... Czyżby to była Ogrody Światłości? Pamiętał, jak umierała, uwięziona przez gruby pień prastarego dębu, ale przecież legendy mówią, że śmierć nie ma dostępu do tych istot. A więc była tam od początku — bardzo daleko, a zarazem blisko. Po drugiej stronie snu, lecz pod powierzchnią innego życia. Gdzieś po drugiej stronie lustra. Była niewyobrażalnie piękna i silna. Srebrzysta grzywa i śnieżnobiała sierść, pod którą grały stalowe mięśnie.

Nie dostrzegała Roberta, ale zdawała się widzieć wszystko inne. Władowała potężną magią— pomimo bariery pilnie obserwowała leże Lwa. Miał nadzieję, że gdy tylko będzie mogła, wyrzuci zemstę. Chciał to powiedzieć Alicji, ale słowa zamarły mu na wargach, gdy spojrzał w krystalicznie przejrzyste oczy Jednorożca. Coś było nie w porządku.

Rzeczywistość zafalowała.

— Musimy wracać! — krzyknęła Alicja, z bardzo daleka... — Postaraj się zapamiętać jak najwięcej!

— Więcej, siostrze! — rozległ się tubalny męski głos tuż przy uchu Roberta.

Oślepiająca jasność wdarła się pod powieki. Zamrugnął rozpaczliwie.

— Żyje! Jezus Maria, jakie szczęście!

\* \* \*

— No, ty to masz szczęście — burknął Adam z udawaną zawiścią, stawiając na stole zimniutkie piwo, prosto z lodówki. Otworzył puszkę i przelał sobie do ozdobnego rogu (oczywiście Robertowi dał zwykłą szklanę). Festyniarz.

— Ta? Niby dlaczego?

Robert nigdy nie dostrzegł u siebie nadmiaru szczęścia. Szczerze mówiąc, sądził nawet, że ma wyjątkowego pecha.

— „Pecha” to ty masz tylko w ustach i na skórze — zażartował kumpel, domyślając się z wyrazu twarzy Roberta, co miał ochotę dodać.

— A dlaczegóż to, jeśli można wiedzieć, imputujesz mi jakieś niezwykle szczęście?

— No nie, żeby mega niezwykle, tylko po prostu szczęście. Sam Giżycki proponował ci pisanie pod jego kierunkiem. PROPONOWAŁ CI, a ty powiedziałaś, że się zastanowisz.

— Nie jest powiedziane, że dostanę się na doktoranckie — odparł Robert, mocując się z opornym cyngwajsem puszkę.

— Tere fere.

— I ty uważasz, że ja pójdę u niego pisać? Przecież wszystko musiałyby być tak, jak on chce. Ja mam to w dupie.

— No, normalny to ty nie jesteś... Ja bym go w rękę pocałował.

— Taa? A może w dupę? — zadrwił.

— Sam się pocałuj w dupę. Debil... No, jeden z najbardziej obleganych profesorów mówi, że jesteś „obietującym studentem” i że miałby dla ciebie miejsce... Eh! Spadaj po prostu!

— Przecież jego w ogóle nie obchodzi to, co mnie interesuje! Będzie chciał, żebym pomagał mu w seminariach na temat epoki wedyjskiej, czy może okresu wedyjskiego...



— No ale przecież chciałeś jechać do Indii?

— A co to ma... Posłuchaj. Z Indii pochodzi jedna z pierwszych wzmianek o jednoroźcach, a mnie interesuje ewolucja podań na temat mitycznych istot z uwzględnieniem rejonów geograficznych. Czy dana istota była widywana w różnych czy tylko w jednym... Szczególnie interesuje mnie jednorożec. Giżyckiego to nie interesuje w ogóle, a nie należy do tych, co pozwolą pisać o czymś od czapy — westchnął. Niestety niewielu było takich.

— No bo twój pomysł jest w ogóle od czapy. Gdzie ty znajdziesz promotora?

— A to już mój biznes. Na paru wydziałach są katedry związane z mitami, magią i religią.

— No. Skoro tak... — Adam z powątpiewaniem uniósł brwi.

— Twój biznes. Ja z przyjemnością pisałbym u Giżyckiego. Za wszelką cenę próbowałbym się do niego dobić. Nie kumam, czemu go tak nie znosisz. Śmieszny staruszek. A wiesz, że ta twoja Anka też będzie pisać o magii? Chodzę z nią na wykłady o rytuałach magicznych.

— To on mnie nie znosi. Czepia się mnie od pierwszego roku, dlatego daruj, ale jakoś nie wierzę w jego uznanie dla mojej skromnej osoby. Anka? O magii?

Doszedł do wniosku, że to jakiś absurd. Dotychczas była wręcz „antymagiczna”. Ogromnym zaskoczeniem było dla niego, że wybrała ten sam kierunek studiów — prędzej widziałby ją na zarządzaniu albo marketingu.

— Chyba nie masz na myśli tej z mojego ogólniaka?

— No przecież mówię, że ta twoja.

„Moja Anka. Nigdy nie była moja, chociaż kiedyś bardzo chciałem. Chyba.” Anka, „Panna Chodzący Ideal”, „Mała Księżniczka”. Ciekawe, dlaczego „mała”? Jak na kobietę była bardzo wysoka — wybujała aż na metr osiemdziesiąt. Nazywano ją tak bez złośliwości. Po prostu jakimś cudem umiała nikogo nie obrazić, zachowując się zarazem jak kapryśna dama. Zawsze nienaganny wygląd — Chyba by umarła, gdyby jej się makijaż rozmazał. Ostatnią rzeczą, jaką mógł sobie wyobrazić, była Anna, wijąca się ekstatycznie w trakcie wizji, upajająca się narkotycznym dymem unoszącym się z płomieni trawiących zioła albo Anna, jako czarownica, warząca tajemnicze „niehigieniczne” dekokty w ciemnej izbie... Śmiechu warte.

— Odkąd to ona chce się „czarownictwem” zajmować?

Adam spojrzał na niego jak na wariata.

— Odbiło ci? Jakim „czarownictwem”? No, ona chce się zająć naukowo rolą czarownic w średniowiecznych społeczeństwach. No bo wiesz, to było jak instytucja. Jedna szalona baba mieszkająca pod lasem, do której się chodziło, żeby odczyniła urok, potrafiła uzdrowić wiochę, stymulowała życie mieszkańców. Z jednej strony była obiektem koncentracji zgeneralizowanego lęku, no bo wiadomo, jest „straszna” i ma konszachty z tajemnymi siłami, a z drugiej właśnie dlatego jest ostatnią instancją. Krowa choruje albo dziecko, albo w ogóle straszne rzeczy się dzieją, to idziemy do baby, żeby przebłagała złe siły.

— A to przypadkiem nie było tak, że oskarżano ją o sprowadzenie tych złych sił?

— No i właśnie, Ania chce ten temat ze wszystkich stron zwyobracać...

„Zwyobracać... Ania... No i proszę, ciekawe, czy już cię zwyobracała. Leb to ci zwyobracała na pewno, baranie, kolejny, który się zadurzył...”

— No i co się jopisz? Człowiek nie może na poważnie zająć się badaniami nad rolą czarownic? W końcu jesteśmy na kierunku, który to umożliwia — parsknął. — O ile się nie mylę, doda tam jakieś dywagacje odnośnie natury białej i czarnej magii, żeby było ciekawiej.

— Strasznie dużo wiesz o jej planach

— Dość dużo. Chodzimy na te same zajęcia. To twoja znajoma. Myślałem... No, o co chodzi?

Scięliście się o coś?

Szczerze mówiąc, nie wiedział, co ma powiedzieć. Po prostu obraziła się, kiedy zaczął spotykać się z Mariolą. Obie panie za sobą nie przepadały. Potem odezwała się znieczulona i znów się przyjaźnili. Któregoś dnia wskoczył na Wydział Psychologii do Marioli i ze zdumieniem odkrył, że dziewczyny siedzą razem, palą papierosy i zaśmiewają się jak głupie. Nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić i na wszelki wypadek wyszedł. Nie były aż tak wylewne wobec siebie przy nim.

— Nie. Po prostu ostatnio mamy rzadszy kontakt.

— No wiem. Dzieciaki podrosły, ale właśnie dlatego są bardziej kłopotliwe. Podziwiam cię, a Mariolkę to jeszcze bardziej. No, ty to masz szczęście, ta laska to prawdziwy cyborg — po raz kolejny pociągnął łyk ze swojego festyniarskiego rogu. — No, ale twoja mama chyba wam pomaga...

— Średnio...

Jak tu powiedzieć, że własna matka oznajmiła mu, że zawiódł jej nadzieje? Jej marzeniem było, żeby został prawnikiem albo kimś takim, a wybrał sobie kierunek bez przyszłości. W dodatku zrobił bachory i poślubił paskudną, antypatyczną dziewczynę o dziwacznych poglądach i bez szacunku dla starszych. Nie myślał ani o sobie, ani o niej na starość, zupełnie nie dbał, że matka ma chore serce. Tak to wyglądało ze strony szanownej mamusi. Dawno doszedł do wniosku, że to przez nią, a nie przez to, co zrobił w dzieciństwie, ojciec uciekł, gdzie pieprz rośnie... Najgorsze było to, że i tak czuł się winny.

— Jest chora. Cały czas źle się czuje. Matka Marioli dała nam trochę forsy, bez tego byłoby krucho.

— Dobre i to — stwierdził Adam z miną wskazującą na to, że jego zdaniem, coś tu nie gra. — Swoją drogą, zaprosiłbym gdzieś Ankę.

„Ha! Wiedziałem!”, pomyślał z satysfakcją. „Prędzej własne buty zjesz, niż ona na ciebie spojrzy, woli mięśniaków z siłowni od mózgowców”.

— Próbuj szczęścia, stary.

— No może... Ona zawsze była taka idealna? Naprawdę ładna szprycha... Nie wiem, czy biała albo czarna magia by jej wyszła, no ale różowa na pewno! Hłe Hłe...

— Adaś... Adaś... a ty tylko o jednym. Wezmę sobie jeszcze browar.

— W lodówce. No, ale widzisz, dziwisz się, że ktoś chce na poważnie pisać o magii, a sam bierzesz taki temat... zupełnie nie rozwojowy. Czarownice są przynajmniej modne.

— I o to chodzi. Czarownice są modne, więc jak słyszą, że laska chce o tym pisać, to od razu mi się kojarzy, że za chwilą będzie biegać nago wokół ogniska — Adam wyszczerzył zęby, więc Robert tylko pokręcił głową i kontynuował: — A Anka tak do tego pasuje, jak pięść do nosa

— Czyli bardzo.

— Dowcipne. Wyobrażasz sobie wiedźmą w markowym kostiumie?

— No wiesz, ja tam się na tym nie znam, ale wydaje mi się, że chodzi o talent, a nie ubranie. Jak na kogoś, kto brzydzi się wszelkimi stereotypami, to żeś właśnie nieźle zapodał.

— Dobra. Masz mnie. Jak by powiedziała Mariola: „warunkowanie schematów poznawczych”. Albo jakoś tak.

— Nie wiem, co to znaczy, ale brzmi dobrze. No, ale wracając do tematu. Co ci odbiło na punkcie jakichś nieszczęsnych jednorogów?

— A dlaczego ciebie interesują jakieś tam garnki? — spytał złośliwie Robert.

— To nie są „jakieś tam garnki” — zaperzył się przyjaciel. — Tylko brązy z dynastii Shang, które całkowicie zmieniają poglądy na epokę brązu w Chinach!

— Dobra!

— Czy wiesz, że około 1200 roku przed naszą erą Chińczycy już odlewali niezwykle wytrzymałe, duże formy?! No, a w świecie śródziemnomorskim ta konkretna technologia została opanowana z tysiąc lat później! I w ogóle oni byli bardzo skomplikowani kulturowo...

— Dobra, stary, nie podniecaj się tak...

— No a wiesz, jaka z tym była czadowa historia? W 1976 wykopano w Dazhai podziemny grobowiec. To było miejsce pochówku królowej Hao, a przy okazji pierwszy nie splądrowany grobowiec z dynastii Shang. Skarby tam były, normalnie skarby! No, a po zakończeniu wykopalisk zorganizowano zebranie polityczne, na którym poddano Hao miażdżącej krytyce za gromadzenie bogactw kosztem proletariatu! Dobre, nie?! A ty mówisz Jakieś tam garnki"...

— Dobra, OK, to nie są „jakieś tam garnki”, zgoda. Ale sam widzisz. Niech każdy robi to, co go interesuje i co mu pasuje.

— No, ale poważnie. O co chodzi z rogatymi konisiami?

— Konisiami! Dobre sobie! Już samo w sobie dziwne jest to, że jakimś cudem z mięsożercy, z drapieżnika, przez którego robiły pod siebie wszystkie zwierzęta, przekształcił się w durnowatą, niewinną cipę. W ogóle pierwsza ciekawa dla mnie wzmianka była w „Alicji po drugiej stronie lustra”. Zacząłem się zastanawiać, dlaczego bił się z lwem i o co chodziło z koroną.

Dobry początek. Prawie zgodny z prawdą. Przecież nie powie, że kiedyś rozmawiał z takim we śnie. W dodatku przez drugi czas dałby sobie rękę uciąć, że to nie był sen.

— I tak się zaczęło tropienie różnych historyjek. Pamiętam, że w liceum na wypracowanie semestralne był temat o dziwnych stworach w czasie i przestrzeni, no to wzięłem na tapetę herby, zwłaszcza te z jednorożcami. Mówię ci, istna kopalnia ciekawostek. Po dziś dzień nie wiem, czemu Różewskiej nie przypadło do gustu... Ale wracając do tego, o co chodziło z „rogatymi konisiami”. Wiesz, co oznacza jednorożec? Czego to jest symbol?

— No jak to czego? — zdziwił się Adam. — Niewinności.

— Otóż i tak, i nie. Na pewno do jakiegoś XIII wieku był to kościelny symbol.

Spojrzenie kumpla po raz pierwszy zdradziło ślad autentycznego zainteresowania.

— Co? W życiu bym nie pomyślał. Jakoś zupełnie się nie kojarzy...

— Poważnie — Robert był zadowolony z efektu. — Na pewno słyszałeś legendy o polowaniu na jednorożce?

— Chodzi ci o dziewice zostawiane pod drzewem? Stworzenie przybiegało i kładło głowę na jej łonie — zachichotał Adam. — Wtedy myśliwy go dopadał.

— Dokładnie. A teraz przedrzemy się przez warstwę fabularną dla minstreli i głupich dworzan do symbolicznej. W średniowieczu, w tym, co spotyka jednorożca widziano alegorię żywota Jezusa. Róg symbolizował jedność Ojca i Syna, swoją drogą pojęcia nie mam, dlaczego. Polowanie przekładało się na zwiastowanie, narodziny i uwięzienie, a poddanie się jednorożca dziewicy tłumaczono jako wyrzeczenie się przez Chrystusa boskości, aby mógł stać się człowiekiem przez Dziewicę Maryję. Z kolei ukatrupienie przez myśliwych przypominało o ofierze Syna Bożego. A potem coś się stało. Sobór Trydencki zakazał używania w Kościele alegorii jednorożca. — Noo, ciekawe dlaczego...

— Zastanów się chwilę. Jeżeli organizacja kościelna wyparła się symbolu niewinności, to znaczy, że się czegoś dopatrzyli. Taki niewinny to on nie był. Żeby naświetlić sytuację, opowiem ci coś z trochę innej mańki. Jednorożec ma pewne znaczenie w alchemii. Przedstawia jednocześnie Ducha Świętego, rtęć i złoto. Rtęć to trucizna, ale zarazem coś cennego, złoto to kruszec królewski. Kolejna ciekawostka: Leonardo da Vinci przypisuje schwytywanie jednorożca jego zmysłowości, a nie łagodności. To dlatego układa się na łonie dziewicy.

— No i to rozumiem! Całkiem zmyślny ten jednorożec! Ale co ma do tego alchemia?

— Powolutku. W „Physiologus Graecus” jest jakoś tak: przed nim sadza się dziewicę, on wskakuje na jej łono, ona tuli go miłośnie i prowadzi do pałacu króla. Brzmi dość erotycznie... a to dopiero początek. W opowieściach ta istota często pojawia się w otoczeniu wrózek i bogiń. Kobięce kulty często były związane z księżycem. W alchemii żeńska substancja to srebro, księżycowy metal. Logicznie jednorożec powinien symbolizować srebro, nie złoto. Złoto, czyli metal słońca, jest męskie. Symbol męskiej władzy to lew, który, przypominam, wygrał pojedynek z jednorożcem. To ciekawe, że to się tak przenika... Wolne skojarzenie mówi mi, że w takim razie jednorożec może również oznaczać inicjację mężczyzny albo kobiety. Nadażasz?

— Od biedy, ale pozwól, że wtrącę. Rtęć jest bardzo podobna w kolorze do srebra. Chyba. No i co z tą inicjacją?

— A wiesz, nie pomyślałem... Z inicjacją? Według niektórych legend, czarownice musiały pozostawać dziewicami, żeby posiadać moc, a według innych właśnie nie. Im więcej rozpusty tym większa moc od Szatana albo, jak kto woli, od Starej Bogini. Matka Ziemia bardziej ceni sobie prawdziwe kobiety od wiecznych dziewczynek. Kościół bardzo długo walczył ze starym kultem Bogini Ziemi, a gdzieniegdzie z kultem księżyca. Więc z tym jednorożcem, to głupia sprawa. Zbyt pogańska. Lew za to wylądował szybko jako symbol boskiego zwycięstwa nad złem.

— Czyli inicjacja — orgia? Pałac króla? Cha, cha! No ty masz jednak pomysły. Euhm... Róg i dziewica! Napijmy się za to!

Adam wytarł usta i zachichotał szatańsko.

— No pomyśl tylko! — przytknął róg do czoła i wykrzyknął: — Jestem jednorożcem i tylko dziewice mogą na mnie jeździć!

— Dzięki! Nie znam nikogo innego, kto by tak umiał wszystko spłycić!

— No i za to mnie kochasz, stary!

\* \* \*

Znowu poczuł się jakiś... stary. Przetarł dłonią czoło. Jeszcze nie było najlepiej. Trochę go to wkurzało — od powrotu ze szpitala minął już miesiąc z okładem. Stracił tak wiele czasu... Większość zajęło mu dochodzenie do siebie po koszmarnych halucynacjach. Tym razem z własnej woli zgodził się rozmawiać z psychiatrą, a potem z psychologiem. Przynajmniej nie wykryto u niego żadnych zmian w mózgu. Jeszcze by tego brakowało... Ma za dużą wyobraźnię, a w szpitalu zaszaleli z „uspokajaczami”. Powinien ich podać do sądu.

To tylko wyobraźnia.

Zapomnieć, zapomnieć, zapomnieć. Wrócić do pracy i wszystko będzie dobrze. Ale tym razem nie popełni tego samego błędu. Życie jest diabelnie krótkie, a on nie zna do końca własnych dzieciaków.

— Napijesz się czegoś? Herbatki?

— Dzięki, Myszek Mariolko — odwrócił się i objął ją w pól.

— Przestań — powiedziała z wyrzutem. — Nie znosiłam tego przezwiska — zmarszczyła nos. Robert powstrzymał się przed stwierdzeniem, że to pewnie z powodu śmiesznych grymasów była tak nazywana w szkole. Obiecał sobie, że będzie się wystrzegał kłótni, a po skończeniu pracy doktorskiej da spokój wszystkim jednorożcom razem wziętym. Musi się leczyć. Cud, że serducho nie

zafundowało mu drewnianego pokoiku pod ziemią.

— Wiesz, czuję się już na tyle dobrze, że mógłbym przejść się gdzieś z dziećmi. Obiecałem im jakieś kino albo ZOO.

— Jasne, tylko żebyś nie przesadził. Pamiętaj, że nie wolno ci się przemęczać. Może...

— Chodźmy, chodźmy. Zaszalejemy. Zjemy watę cukrową.

— Długo cię w domu nie było. Marcin i Kaśka od stu lat nie znoszą tego świństwa, a ja się odchudzam... — pokręciła figlarnie biodrami.

— No to nie zjemy waty cukrowej, ale chodźmy.

Chwilę później rozprawiała się już z jakimś dietetycznym paskudztwem. Marcin i Kasia jak zwykle szaleli przy konsoli.

Schował się w pokoju, usiadł przy biurku i otworzył zakazaną szufladę. Zaczął przeglądać stare bruliony i luźne pokryte bazgrołami kartki. Jego opowiadania. Nigdy nie ukończone.

Prastare zielone lasy, w których moźni toczą rytualne pojedynki. Przejrzyste kopuły nad siedzibami magów pracujących nad kolejnym eksperymentem. Kryształowe maszyny o oczach jak klejnoty. Ludzie i smukłe, piękne istoty, wszyscy porwani w wir tańca.

Czuł się jak nigdy dotąd. Wreszcie był pełen pomysłów. Może już niedługo będzie mógł zobaczyć, jak to wszystko się zakończy. Już niedługo.

— Tato?! Idziemy?!

Pochował rzeczy, włożył ciepły sweter i poszedł do przedpokoju. Mariola właśnie wkładała płaszcz. Spojrzała na niego — dawno nie miała tak rozpromienionego wzroku.

Niecałą godzinę później dotarli do ZOO. Niedźwiedź zaburczał coś na powitanie. Rozchichotana Kasia natychmiast do niego podbiegła. Z trudem dała się namówić, żeby pójść dalej.

— Tato? — Marcin pociągnął go za rękaw. — Czy zobaczymy tu takiego śmiesznego konika z jednym rogiem?

— Głupi!!! — zawołała Kasia. — Naprawdę świntuch z ciebie!

— No co? Pozgrywać się nie można? — parsknął, ale zaczerwienił się jak burak.

— Złośliwy jesteś! To ja powiem, co dostałeś z historii!

— Dzieci! — Mariola przewróciła oczami. — Mówiłam wam...

— urwała. Robertowi zrobiło się co najmniej dziwnie.

— A co takiego im mówiłaś? — zapytał, udając spokój.

— No... wiesz... — spieszyła się wyrażnie. — Te halucynacje. Miały związek z twoją pracą. Nie chciałam, żeby ten temat był poruszany w najbliższych dniach. Dopóki nie poczujesz się lepiej — spojrzała wyzywająco. Dzieci oddaliły się przezornie.

— Czuję się już całkiem dobrze! Naprawdę... — dodał łagodniej.

— Wszystko w porządku. Nie musisz mnie traktować jak nerwowo chorego.

— Czemu ty tak wsiąkłeś w te fantastyczne stwory — jęknęła z rezygnacją. Delikatnie ujął ją pod brodę i wyrecytował półgłosem:

*Lew i Jednorożec walczyli o koronę,*

*Lew pobił w mieście Jednorożca i już załatwione.*

*Ci dali im białego, ci czarnego ciasta,*

*Ci placka ze śliwkami i wybębnił ich z miasta*

— Tak sobie myślę, że szkoda, iż Lew go pobił. Może miasto byłoby ładniejsze. To z „Alicji po

drugiej stronie lustra”. Pierwszy raz przeczytałem mając pięć, a może sześć lat. Babcia uważała, że jeszcze nie zrozumie. Uwielbiałem zwłaszcza ten fragment. Zacząłem szukać opowiadań o jednorożcach, stwierdziłem, że jeżeli któregoś spotkam, to poproszę, żeby mnie stąd zabrał. Jak byłem mały, śniłem o różnych fantastycznych miejscach, innych światach... Wiesz...

— Nie wiem — odparowała ponuro Mariola. — Nigdy nie śniłam o innych światach. A ty ze mną o tym nie rozmawiałeś.

„Rozmawiałem. Kiedyś ci opowiadałem. Kiedyś”, pomyślał ze smutkiem. Jednak nie mogło być jak dawniej, skoro nie tylko uczucia, ale nawet i wspomnienia ulegały wymazaniu. Cóż. Fakt, od dawna o wielu rzeczach nie rozmawiali, a o niektórych nigdy i szczerze mówiąc, teraz też nie miał na to wielkiej ochoty. Można opowiadać o dziwnych, ciekawych snach sugerujących wybujałą wyobraźnię, ale unika się sformułowania „inne światy” przy początkujących psychologach (albo psycholożkach, jak woli Mariola), żeby nie usłyszeć o swoich „problemach”. Przy doświadczonych — tym bardziej. Powód jest ten sam, z tą różnicą, że tym razem mogą mieć rację.

— Tato! Mamo! Tato! — z oddali dobiegł podekscytowany głos Marcina. — Jakie fajne! Chodźcie zobaczyć!

Już bez słowa ruszyli w tamtym kierunku. Dzieciaki przepychały się wraz z innymi przed wybiegiem dla lwów. Po podłożu turlały się i szamotały ze sobą małe lwiątko.

— Jakie słodkie... Jejciu... Jakie śliczne... — piszczała Kasia. — Aż by się chciało mieć takiego maluśkiego...

— Oj, taki maluśki, to on długo nie będzie — powiedział rozbawiony Robert.

— O, a tam są tatuś i mamusia — Mariola wskazała ręką. Robert spojrział. Dorosły lew leżał na boku i leniwie poruszał ogonem. Nagle znieruchomiał. Powoli uniosł łeb i potoczył wokół czujnym spojrzeniem, zatrzymując je na Robercie.

Zmartwiał. Miał wrażenie, że już to przeżył — zimne jasne oczy wielkiego drapieżnika, wpatrzone wprost w niego...

Zielony przedwieczny las. Śmiertelna cisza. Już się nie bał. Wiedział, że urodził się właśnie dla tej chwili. Wielki złotogrzywy Lew spoglądał na niego posepnie. Już nie tak wspaniały jak dawniej. Śmierdzące, głupie bydlę... Warknął, mięśnie stworzenia naprężyły się jak postronki, a w jego jasnych ślepiach była czysta nienawiść. Mimo to okrążał go powoli... Nagle ryknął i skoczył. Robert nie usunął się z drogi... Poczł ból w klatce piersiowej, straszniejszy niż wszystko, co czuł dotychczas. Miał wrażenie, że ciało zostało rozszarpane na tysiąc krwawiących kawałków. Przed oczyma wirowały mu szkarłatne kręgi. W uszach narastał szum. Przez chwilę, słyszał z oddali zaniepokojone głosy, wołanie Marioli... ale w końcu wszystko ucichło.

Potem nie było już nic.

## II. Na rogu Jednorożca

*...najdzijszym podobno zwierzęciem jest jednorożec, ciałem podobny do konia, głową do jelenia, nogami do słonia, ogonem do wieprza; ryczy mocno, ma róg jeden czarny, dwa kubitus długi, sterczący z środka czoła. Zwierzęcia tego nie można podobno żywcem dostać.*

*Pliniusz „Historia Naturalna”*

### 1.

Nicość. Czarna pustka kosmosu. Nie było nawet gwiazd. „To niemożliwe”, pomyślał, wirując w przestrzeni. Przestrzeń. „Nie ma prawdziwej nicości, nawet w kosmosie „coś” jest, muszę „gdzieś” się znajdować, jestem, to ja, myślę, więc jestem... Zaraz... Dwie ręce i dwie nogi...” Zapragnął krzyknąć, ale z jego gardła nie wydobył się ani jeden dźwięk. Nie miał gardła ani rąk ani nóg... Przypomniała mu się nagle idiotyczna dziecinna piosenka, a może to była wyliczanka. „Chodzi lisek koło drogi, nie ma ręki ani nogi... Jeeezu!”. Nie wiedział nawet, co znaczy to ostatnie słowo. Powinien być przerażony, ale jakoś... nie był. Raczej rozkojarzony i zniecierpliwiony.

— „Czy słyszysz Go, córko?”

— „Jakże by inaczej, jest tak głośny, ojczy... Ale On wciąż nic nie pamięta! Nie rozumiem...”

— „Nie nam rozumieć, córko, może taki jest zamysł, a może...”

— „Może coś poszło nie tak?!”

— „Musi się przemknąć, podobnie jak my to robimy... Musi być odarty z Mocy, nie zauważony... tak jak Alhatlarell, gdy przeniknęła przez barierę.”

— „Ona przywołała Moc na miejscu i pamiętała!”

— „Nie całą, poza tym tam jest inaczej — Lew traci kontrolę, przestaje widzieć cokolwiek poza czubkiem własnego nosa.”

Głosy umilkły równie nagle, jak się pojawiły. Właściwie to chyba nie były głosy. Raczej czyjeś myśli, tak wyraźne, że niemal słyszał ton formułowanych słów i ich dźwięczny tembr.

Powoli wracały strzępy wspomnień, obrazy, skojarzenia...

Jeden „głos” — żeński, młody, prawie dziecinny, ale już pełen siły — wibrował potęgą, choć nie odkrytą do końca. Budził wiele skojarzeń: kaskadę wody, mruczenie kota, plusk kamyka wrzuconego do jeziora przez roześmiane dziecko, złowrogi pomruk wydobywający się z gardzieli drapieznika tuż przed atakiem, jęk rozkoszy i szelest jedwabiu. Dla niektórych był ostatnim dźwiękiem przed śmiercią. Słyszał go wielokrotnie w snach. Powiedziała kiedyś „Nazywam się Alicja. Lubię to imię”, przypomniał sobie z uśmiechem.

Drugi „głos” budził wspomnienia o wiele bardziej odległe, napływające gdzieś spoza czasu, który odnosił do siebie. Do siebie? Nie wiedział nawet, kim jest, a bardzo chciał się tego dowiedzieć. „Głos” był jak: szum morza, odległy grzmot, pieśń wojowników, wieszcząca koszmar pokonanym i dziką radość zwycięzcom, która pochodziła z czasów, gdy świat był daleki od rozkładu.

Ponad wszystko jednak przypominał śpiew wichru bawiącego się maleńkimi ziarenkami piasku na skraju pustyni... Złowrogi śpiew wiatru.

Złociste ziarenka piasku... tuż przed nim otwierają się dwie szpary złocistego oślepiającego światła. Złotooki. Wędrowiec luster i snów. Jakże dawno nie widział tych istot... Ten był jednym z ostatnich.

Czarny kształt wylaniał się powoli z otaczającej ich pustki, wokół złotych oczu tworzył się zarys potężnej sylwetki. Przyglądał się zafascynowany gęstniejącej materii — „zapomniałem, jak to pięknie wygląda”, pomyślał. Rosnąca w oczach postać Złotookiego zadawała kłam panującej wokół ciemności. Była czernią na tle czerni. Z trudem powstrzymał odruch dotknięcia go — jego futro było kusząco miękkie, można było weń zapaść i nigdy się nie obudzić.

Istota przeciągnęła się zmysłowo. Obok uformowała się druga — nieco mniejsza (tak miało pozostać przez kilka tysiącleci) — rozejrzała się, zakołysała puszystym ogonem i otarła się o bok ojca.

„Dzieci Bast. Przetrwały. Bast miała rację — zawsze spadną na cztery łapy. Przynajmniej te najsilniejsze, a tylko takie ceni Cryo'na”.

Złote oczy spojrzały sondujące Wspomnienia nadeszły oszalałym korowodem.

Bogowie i Boginie postanowili... tysiąclecia prób... W barierze wzniesionej przez szaleńców w końcu zaczęły pojawiać się rysy i pęknięcia, nie umieli upilnować... to szansa, to znak... Ten, który Postanowił zastąpić wszystkich, upadnie... To znak... Ta, która sprzeciwiła się wszystkim, upadnie... To znak... Byłoby proste, ale wszyscy, jak zwykle, wdali się w spór... ale to koniec, to znak., musi przejść na drugą stronę TAMTYCH snów, przemknąć przez barierę.

— „Panie, czy wszystko w porządku?”

— „Lepiej” — odparł z wahaniem.

„Nie mówić”, odpowiedział już tylko do siebie. Oddzielony od swej Całości przez barierę, dla ostrożności pozbawiony pamięci i Mocy (ale, cholera, i tak przeciskała się do niego wszystkimi możliwymi szczelinami), zapragnął po prostu spokoju. Tego się nikt nie spodziewał, a już On najmniej. Całość. Zdradziła Go własna prywatna natura Poszukiwacza, która znalazła...

— „Obawialiśmy się, Panie, że coś jest wbrew zamysłom...” — mruknęła w jego myślach słowami — nie — słowami Alicja. Urwała, gdy błysnęły ogromne hakowate pazury. Złotooki trzepnął ją łapą przez kark i zmieniła się w napuszony kłęb czerni i bólu.

Robert, który zdecydował się chwilowo pozostać przy tym imieniu, uśmiechnął się z uznaniem. Na mgnienie oka przed zetknięciem się z ciałem córki, pazury znikły. Sprytne Dzieci Bast. Złotooki był ostatnią istotą we wszystkich możliwych płaszczyznach, która skarciłaby własny pomiot, ale nie znali go zbyt dobrze i chcieli uczynić zadość jego próżności. Ot tak, na wszelki wypadek. Bo prędzej czy później nawet Bogom spojrzają prosto w twarz, żeby oznajmić swój kaprys i łaskawie dać się pogłaskać.

— „Milcz, głupia, mówiłem, że to nie nasza sprawa. My mamy wskazać najslabszy punkt, żeby nie było straty czasu”.

— „Więc nie traćmy czasu, posłańcy Cryo'ny, a kiedyś docenię wasze starania” — w ostatniej chwili powstrzymał się przed słowem „słudzy”. Te demony mogły być wyjątkowo złośliwe i niebezpieczne dla każdego.

— „Jeszcze go nie tracimy, czekamy, aż Ona się zamyśli, wtedy zwiększy się szansa, że Alhatlarell nic nie zauważy, zwłaszcza, że choć to dziwne, Ona może nie chcieć zauważyć. Ale to oczywiście, tylko moja własna, nie potwierdzona opinia” — po tej tyradzie odsunęła się demonstracyjnie od Złotookiego.



Nie była już tak obcesowa jak wtedy, gdy zorientowała się, że z jakiegoś powodu Robert nic nie pamięta, ale nadal w jej sło — wach — nie — słowach pobrzmiwała nuta bezczelności. To mu się nawet podobało, nie znosił czołobitności, tylko siłę i zuchwałość. I mądrość. Mądra jeszcze nie była, lecz to przyjdzie z czasem. Pod warunkiem, że nie przekroczy granicy... ale cóż. Chyba wie, że jest bezpieczna. Utarczka z Bast nie wyjdzie mu na zdrowie. Nie teraz. No i lubił krnąbrnego demona. Wróciło wspomnienie wyprawy na drugą stronę snu. Zastanawiające, jak bardzo strzępek śmiertelnego ciała pragnął pozbyć się tej wiedzy... Coś było nie w porządku. Była tak wspaniała, że aż ścisnęła w gardle, ale nie mogła ukryć skazy, która zmąciła jaźń Księżycowej Pani. Ale to nie była Ogrody Światłości, ani nawet Równina Ognia, tylko zupełnie nowe wcielenie. Uderzyło go szaleństwo (nawet w rozumieniu tych, którzy mienili się władcami obłądu) płonące w oczach Jednorożca. Nie było w nich cienia współczucia. Nie, nie chodzi o jakąś żalną litość dla maluczkich — coś, co jest obce chyba wszystkim Bogom. To było godne pogardy. Na dnie granatowych jezior gorzała zimna łuna oszalałej nienawiści do reszty świata i obojętność na życie poddane jej władzy. Lodową obojętność mogła rozgrzać tylko walka z Lwem i Korona Życia. Nowa Korona Życia. Korona dla samej Korony. Nie dla tworzenia albo władzy, czy nawet zabawy, co byłoby zrozumiałe i oczywiste. Tylko żeby Lew jej nie posiadał.

„Księżycowa Pani również jest szalona, prawie tak jak El-Szad-daj”, pomyślał Robert. „Zawsze traktowała płaszczyzny jako rodzaj zabawnej gry, a teraz przekroczyła granicę i obchodzi ją tylko pionek za pionek”. Gdzieś, w głębi swego i tego drugiego jestestwa, które dopełniał, poczuł ból. Kiedyś nie była taka. Wtedy, gdy świat był młodszy... Zniszczę cię, El-Szaddaj, tak jak ty zniszczyłeś Ją. Będziesz cierpiał”, napłynęła myśl z Całości.

Pionek za pionek. Spoza bariery dobiegło słabe echo krzyku. Mignął obraz. Dwóch młodych mężczyzn wrzucono właśnie do zagrody jednorożców, by ukarać ich za bluźnierstwo wobec Zielonej Pani. Dym ofiarny z resztek ciał powędruje wprost do księżyca. Ktoś doniósł, że publicznie oświadczyli, iż Wielkie Mistrzynie Wież przestały się zgadzać z Kapłankami w rozmaitych kwestiach. Przecież wszyscy muszą wiedzieć, że to niemożliwe — pierwszą Wieżę nakazała założyć Zielona Pani, która jest wszak jednym z oblicz Księżycowej.

Dogmat. Nie można mówić głośno takich rzeczy. Śmierć.

— „Już czas. Szybko, zanim szczelina się zasklepi” — sierść zjeżyła się na karku zaniepokojonej Alicji.

Po stronie, z której przybył, śmiertelnicy coraz częściej buntują się przeciwko Lwu. Skądinąd słusznie. Jednorożec ryczy triumfalnie. Gdy wkroczy na tamtą stronę, stanie się Równiną Ognia. Bo tak będzie zabawnie. Bo przedtem był tu Opoka.

Rysy i pęknięcia zasklepiają się szybko. Robert wiedział, że pomimo wszelkich środków ostrożności może przyciągnąć uwagę. Znowu trzeba będzie zamknąć więź z Całością. Pozbyć się pamięci. „Biedny Robert znowu będzie chciał tylko spokoju w wymarzonej świetle” — roześmiał się złośliwie w duchu. — „Ale to już nie potrwa długo”. Ruszył w ślad za dwoma czarnymi cieniami, prosto w szczelinę pulsującą jak wielka rana, prosto w ból i ciemność.

\* \* \*

Wielka rana nie może się zagoić. Chłopiec wyje z bólu. Jednorożec przeżuwa powoli kolejną część jego ciała. Zamglone szaleństwem, granatowe oczy spoglądają drwiąco.

— Ciała młodych mężczyzn są tak delikatne. I smaczne — szepcze z ukontentowaniem. — Zwłaszcza twoje, bo jesteś zbyt głupi, by nadawać się do czegoś innego... — zanosi się szyderczym chichotem. — A może macie inne zdanie? — układa się wygodnie na błękitnym aksamicie. Trąca rogiem Koronę, powodując kolejną rysę, ale niczego nie zauważa.

— Oczywiście, że nie — śmieją się dziewczęta, usadowione wygodnie na poduchach. Jednorożec nieruchomieje, więc wracają do przerwanej czynności — starannie rozczesują srebrną grzywę. Mężczyźni, starając się w miarę możliwości pozostać niezauważonymi, czyszczą podłogę i kolumny podtrzymujące strop. Legowisko bielszego od śniegu stworzenia jest wyłożone drogocenną materią, usianą plamami zaschniętej krwi. Zgromadzone wokół niego starsze kobiety kręcą głowami i uśmiechają się przymilnie.

— Nie, Pani! Ty wiesz najlepiej, o Wielka i Wspaniała! Żyjemy po to, by wypełniać Twoją wolę!

— A każdy, nawet najmniejszy kaprys jest dla nas rozkazem — mówi uroczyście leciwa już niewiasta z wytatuowanym na czole sierpem księżycy. Jej spojrzenie wypełnia fanatyczne oddanie.

— Doprawdy? — śmieje się Jednorożec

— Jak możesz wątpić, Pani? — kobieta zgina się w pokornym ukłonie. — Oddałam swego najpiękniejszego syna na Święto Księżycowego Uśmiechu, chociaż wylosowano kogoś innego.

— Śmiesz twierdzić, że twoja ofiara była lepsza niż inne, Kapłanko? A może Księżycowa Pani nie była rada? Nie liczysz się ani z Jej, ani z moimi kaprysami, jesteś głupia jak mężczyzna, w dodatku nudzisz mnie śmiertelnie.

Nim zdołała wykrzyknąć coś na swoje usprawiedliwienie, potworne kopyto roztrzaskało jej głowę. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Lśniącobiała istota wciągnęła w nozdrza zapach świeżej po — soki i otarła pysk o martwe ciało. Czerwone smugi utworzyły na jej sierści dziwaczny wzór. Chwilowo pozostawiony w spokoju chłopak usiłował odpełznąć, ale jedna z czeszących trzasnęła go w głowę grzebieniem. Jednorożec opadła z powrotem na miękkie aksamit i wybuchła śmiechem.

— Nie przejmujcie się tak, moje dzieci! Wracajcie do pracy, i obym była zadowolona.

— Oczywiście, przecież sprzeciwiła się Twojej woli — zawołała rażno najodważniejsza.

W wielkiej, niegdyś wspaniałej sali, ponownie zabrzmiał szmer rozmów. Kobiety konferowały w grupach nad rozłożonymi projektami. Jedna z nich, pochylona nad planem nowej świątyni szepnęła nieśmiało, że lepiej byłoby stworzyć nową Wieżę zajmującą się... Nie zdołała skończyć. Została przywołana do porządku. Gdy straciła przytomność, zajęły się ważniejszymi sprawami.

W podłodze i w suficie sali pod powierzchnią snu Teirhell było pełno dziur. Część zatkało byle jak i byle czym, ale większość pozostała nietknięta. Robert spoglądał w nie przez chwilę, po czym odwrócił się pełen obrzydzenia i ponownie podążył bolesną drogą przez ciemność.

\* \* \*

Ciemność powoli szarzała. Czas zaczął płynąć. Dobiegł go pierwszy słaby dźwięk. Później było ich więcej. Tak dużo, że musiał mocniej zacisnąć powieki, bo nie miał innej możliwości protestu, ale to nic nie pomagało. Krzyczał, gdy srebrne błyskawice przeszywały Jego umysł. W końcu powrócił spokój...

— Obudził się — szepnął ktoś miękko, podekscytowanym głosem.

— Jest przytomny?

— Nie wiem. Zaraz zobaczymy.

Robert jęknął. Próbował zmusić się do otwarcia oczu, na razie jednak wszelkie próby spaliły na panewce. Nie miał siły.

— Mariola? — zapytał cicho, ochryplym głosem.

— Nie... — zakłopotany kobiecy alt.

— Ania? — było mu głupio tak bawić się w ciuciubabkę. Desperacko ponowił próbę rozklejenia powiek. Tym razem powiodło się. Światło brutalnie wdarło się pod czaszkę.

— Nie tak gwałtownie. Jesteś bardzo osłabiony, Panie.

— Co się stało? — znów uchylił powieki. Spodziewał się przestronnej, jasnej szpitalnej sali, tymczasem ujrzał niewielki pokój. O ile mógł się zorientować, nie było innych pacjentów. Przy łóżku siedziała młoda kobieta. Wiedział, że jest ktoś jeszcze, ale musiał stać za wezłowiem.

— Obecnie Bramy są trudne do przebycia. Przykro mi, ale akurat nie miałeś innego wyjścia, Panie.

— Nie rozumiem... Gdzie ja jestem? W którym szpitalu?

— To nie jest szpital. Jesteś gościem w prywatnych apartamentach Mistrza Caesusa w Wielkiej Wieży Carmeddin. Nie było łatwo dokonać Uzdrowienia...

— Co to za grupie żarty? — zaśmiał się nerwowo. — Proszę tu natychmiast wezwać lekarza. Muszę się dowiedzieć, kiedy zostanę wypisany.

Kobieta milczała, wyraźnie skonsternowana.

— Kiedy?! — Robert stracił cierpliwość. — Czy pani jest normalna?! Boże, to istny dom wariatów!!! — odruchowo chwycił się za serce, przecież był już raz w stanie przedzawałowym, a ta baba bynajmniej go nie oszczędza. Dziwna rzecz, nie zabolalo tam, gdzie się spodziewał. Na pewno nie było to serce.

— Ostrożnie! — syknął gniewnie męski głos. Druga osoba ujawniła się. Drobnny starzec chwycił stanowczo rękę Roberta i ułożył wzdłuż tułowia. — Nie ruszaj się tak gwałtownie, Panie, bo zepsujesz ciężką pracę Mistrzynie Euniel!

— Wybacz, Panie... — zreflektował się natychmiast i ku zdumieniu Roberta, zgiął się w kornym ukłonie.

— Ależ Mistrzu... On nic nie wie... Nie rozumiem tego... — spojrzała na niego z troską. „Na pomoc” — jęknął w duszy Robert, chyba w końcu wylądował w domu bez klamek.

— Moc trzeba ukrywać przed Księżycową Panią, na szczęście ostatnio zdaje się gdzie indziej kierować swój wzrok, ale dlaczego On się zachowuje, jakby nie był... — staruszek z desperacją zaczął szarpać siwą, cienką brodę.

— Czy mogę wreszcie zobaczyć się z lekarzem? Proszę!

— Wybacz nam. Nie wzięliśmy pod uwagę szoku... Wkrótce będziesz całkowicie zdrowy i w pełni sił. Wtedy wszystko sobie przypomnisz. Teraz jednak musisz odpocząć — nim zdążył się odezwać, staruszek wykonał dłonią drobny gest.

Ponownie zapadła ciemność.

\* \* \*

Ciemne pomieszczenie rozjaśniał jedynie płomień samotnej świecy. Mistrz Caesusa twierdził, że

energia elektryczna zakłóca jego eksperyment. Robert z zainteresowaniem przyglądał się parawanowi, na którym rysował się cień uwijającego się jak w ukropie staruszka. Dostrzegał także falujące na podobieństwo zawiłego tańca maleduxy — ich giętkie macki poruszały się z oszałamiającą szybkością, a zarazem precyzją. Podawały Caesusie potrzebne przedmioty, mieszały w tyglach, czyściły szklane retorty.

Minęło już kilka tygodni od czasu, gdy ocknął się w narożnej komnacie, całkowicie nieprzygotowany na otaczającą go rzeczywistość. Szok już mijał, jednak wciąż nie był pewien swoich zdrowych zmysłów.

Gdy ciało dokonało regeneracji, Mistrzynie Euniel przywróciła mu przytomność i tym razem ostrożnie zaczęła wyjaśniać. Sens jej słów rozpaczliwie umykał Robertowi. Miał uwierzyć, że znalazł się w innym miejscu i czasie?

— Niezupełnie tak — rzekła cierpliwie. — Raczej w innym miejscu, ale w tym samym czasie. Można to chyba określić... drugą stroną Twojej rzeczywistości.

Roześmiał się histerycznie i potrząsnął głową. Nie. Wtedy zaprowadziła go na najwyższą kondygnację. Stanęli pod przejrzystą kopułą i ujrzał miasto. Zapierało dech w piersiach. Barwne domy i wyrastające spośród nich pełne blasku wieżycy, wijące się serpentyny mostów. Morze ogrodów... Takie miasto nie mogło istnieć, a mimo to rozpościerało się przed jego oczyma jak scena pełna cudów. Co więcej, miał wrażenie, że zna je bardzo dobrze. Widywał w snach i tęsknił za nim przez całe życie.

— Co z moją rodziną? — było mu wstyd, bo zadając to pytanie, czuł, że to już nie jest ważne. — Nigdy ich nie zobaczę?

— Nie mam pojęcia. To chyba zależy od ciebie, Panie. Czy naprawdę nic nie... — urwała na chwilę. — Przykro mi. Gdyby to ode mnie zależało... Ale nie zależy. Tylko, że i tak nastąpił i bardzo poważne naruszenie układu sił. Nie odważyłabym się ryzykować. Nie teraz.

Skinął głową. Poczul się zmęczony. Domyślał się, że nie zostało wypowiedziane coś istotnego, ale nie miał siły dopytywać się, co oznacza tajemnicze „nie teraz” i jeszcze bardziej tajemniczy „układ sił”. Zapytał, w jaki sposób nauczyli się jego języka. Jeżeli jest gdzie indziej, to zdumiewające, że rozumie ich mowę. Ponownie napotkał zakłopotane spojrzenie i usłyszał coś, co pewnie powinno go zdziwić, ale odkrył w sobie zmęczoną, chłodną obojętność. Szok.

— Ależ Panie, władasz naszą mową równie dobrze jak każdą inną.

Od tamtej chwili niemal zdążył się przyzwyczaić, wciąż jednak budził się bladym świtem, zdenerwowany, że spóźni się na uczelnię. Łapał się na tym, że zastanawia się, co robią Kasia i Marcin. Głupie pytanie... Pewnie jak zwykle grają w swoje gry i nie dbają o resztę świata. A może jest niesprawiedliwy? To były jego dzieci, na pewno kochały go na swój sposób. To niemożliwe, żeby w ogóle nie odczuły jego braku. Czy w tamtym świecie umarł na serce? Czy może po prostu zniknął, na przykład w jakimś dziwnym rozbłysku energii? Może teraz jego rodzina jest zadreńczana przez policję albo telewizję? Może kręcą się wokół nich podekscytowani badacze paranormalnych zjawisk? Jakby nie było, ich twarze powoli stawały się tylko wyblakłym wspomnieniem. Wydawałoby się, że jeśli ktoś jest ci drogi, spędziłeś z nim kawał życia, to jego rysy na zawsze wyłobią ślad w twoim umyśle. Dręczyły go wyrzuty sumienia. Dlatego, że coś w jego wnętrzu szeptało z uporem: „to już nie ma znaczenia”. Najgorsze jednak było to, że ostatnie, co pamiętał, to lew za prętami klatki. Umknęło mu coś bardzo istotnego. To poczucie wywoływało niepokój.

Do pomieszczenia wkroczyła Euniel i zapytała o coś Caesusę, po czym ruszyła w kierunku półek zastawionych dziwaczными przyrządami, nie czekając na odpowiedź. Mówiła jakoś inaczej. Jej głos stał się wyższy. W ogóle zmieniła się, od czasu, w którym ujrzał ją po raz pierwszy. Włosy o

zastanawiająco czerwonym odcieniu (a może to była po prostu farba?) stały się bardziej falujące, a ostre rysy jakby złagodniały.

— Zaczyna się — mruknął Caesusa, spoglądając na nią z nieskrywaną niechęcią. Przemknął obok i zdjął z półki kunsztownie wykonane platynowe grabki i schował je za plecy. Reakcja Euniel zaskoczyła Roberta — porwała z sąsiedniej przegródki identyczne grabki, pokazała Mistrzowi język i wybiegła z chichotem. Zielona kalmaropodobna macka maleduxa w ostatniej chwili umknęła spod jej stopy. Na schodach rozległ się tupot trzewików i szelest ciężkich fałd rytualnej szaty. Nosila ją, ponieważ miała przewodniczyć Ceremonii Smoczego Pazura, podczas której Uczennice i nieliczni Uczniowie Wieży Carmeddin (o ile zdołał się zorientować, jej mieszkańcy parali się przede wszystkim alchemią) stawali się Czeladzią. Nie sprawiała jednak wrażenia przejętej powagą sytuacji.

— Wiedziała, na złośliwość Zielonej Pani, że mam zapasowe... — burknął i ze złością szarpnął za brodę. Robertowi przemknęło przez myśl, że niedługo chyba nie ocaleje z niej ani jeden siwy włos.

— Po co jej to? Do ceremonii nie są potrzebne, zniszczy mi, a z takim trudem zdobyłem... Widziała, przeklętница, że mam zapasowe... musiała grzebać, kiedy pojechałem po księżycowy kamień... jak nic musiała...

— Co się stało? Co się zaczyna? — Robert postanowił przerwać marudną tyradę.

— Młodnieje. Szybciej niż powinna. Mam nadzieję, że Rada wie co robi, przyznając jej dzisiejszą ceremonię. Ale dość o tym. Do roboty...

— Co właściwie robisz? Jeśli to nie tajemnica — dodał z sarkazmem. Zawsze było coś niedopowiedzianego. Coś, co starannie przed nim ukrywano.

— Mylisz się. Pewne rzeczy są dla Ciebie, Panie, po prostu niezrozumiałe. Nic dziwnego, jesteś tu od niedawna i potrzebujesz czasu.

Robert zaniemówił. Caesusa ponownie zniknął w odległej części laboratorium.

— Skąd wiesz, o czym myślałem?! Mam tego dość! Kiedy będę mógł wyjść z Wieży? Jeśli mam tu spędzić życie, muszę obejrzeć ten świat. Muszę wreszcie zacząć normalnie żyć...

— Uwierz, Panie, wtajemniczeni niczego bardziej nie pragną.

Robert z trudem przywykł do denerwującej manieri tytułowania go „Panem”. Nie byłoby w tym nic wkurzającego, gdyby to było „Panie Robercie”, „Panie Magistrze”, „Panie Nowicki”, „Proszę Pana”... słowem — normalnie. To ich „Panie” brzmiało tak jakoś patetycznie i było nie do wytrzymania. Niestety nie potrafił nikogo przekonać do rezygnacji z tej formy. Z początku próbował odpowiedzieć im tym samym, lecz albo wytrzeszczali oczy i wychodzili, albo wyglądali na zażenowanych. Robert postanowił nie buntować się, nie kusić losu, dopóki nie rozpozna sytuacji i nie nauczy się zwyczajów, ale jak ma to, u diabła, osiągnąć, jeśli ma do czynienia zaledwie z kilkoma osobami, które w dodatku szybko nabierają wody w usta?!

— Musisz mieć więcej czasu. Widocznie sam tak postanowiłeś. My również jesteśmy nieco, hm... zaskoczeni. Spodziewaliśmy się jakiegoś radykalnego, szybkiego działania... ale może to i dobrze. Może, nie nam to rozumieć... — Caesusa zaczął się trochę plątać. Wyglądał jak mysz przyciśnięta do muru przez wygłodniałego kota. — Przybyłeś ze świata Lwa. Niektórzy od nas bywali tam, ale to ich raniło na ciele albo umyśle. Tu jest Teirhell, świat Jednorożca. Wznosiliśmy modły...

Świat Jednorożca. Potężny trójkolorowy róg. Posoka Lwa spływa po spiralnej bruździe, plamiąc błyszczącą sierść istoty, która potrząsa łbem i ryczy tryumfalnie. Jej ślepia zdają się płonąć piekielnym ogniem. Zimnym błękitnym ogniem... Uderzenie gorąca tuż pod czaszką. Robert szarpnął

się i krzyknął. Poczł wilgoć pod nosem, odruchowo otarł twarz i wzdrygnął się, dostrzegając czerwień na swej ręce. Caesusa podskoczył zaskoczony, po czym tak szybko, że aż załopotowały szerokie rękawy ciemnoniebieskiej, poplamionej bluzy, rzucił się w stronę szafki. Wyjął jakieś puderko i posmarował nozdrza Roberta lepką substancją. Krwotok ustał równie nagle, jak się rozpoczął. Mistrz wyglądał na przerażonego.

— Jeśli Alhatlarell coś zauważyła, to już po nas...

Alhatlarell... Gdzieś już słyszał to imię..., Tylko gdzie? Świat zawirował. Korowód wspomnień. Jeden obraz, wyraźny... więz z Całością, choć na krótką chwilę. Wszystko, co go otacza, ma lekko rozmyte kontury i tonie w półcieniach, wszystko jest bardzo dalekie i nierealne. To tylko jedno z miejsc, które widzi on i nie — on zarazem. On i ktoś jeszcze wewnątrz jego oczu... To tylko jedno z miejsc, lecz ważne. W tym momencie. Spogląda na Caesusę, jak leży na podłodze, dygocząc i jęcząc. Żalozne. Trzaskają jakieś drzwi — Wielka Mistrzynie Dairgas, Zwierzchniczka Carmeddin i Przewodnicząca Rady Alchemiczek pojawia się nie wiadomo skąd. Patrzy na niego wstrząśnięta, ale przynajmniej nie zasłania twarzy i nie pada na kolana. Jest przytomna. Jak zwykle — właściwy człowiek na właściwym miejscu.

— Dairgas! Natychmiast każ wznowić prace we wszystkich laboratoriach! Wezwij wtajemniczonych, potrzebuję jak największych zawirowań Mocy!

W jej oczach błyskawicznie pojawiło się zrozumienie. Wyładowania Mocy. Bałagan. Niech Wieża zadrży w posadach. Niech nieuwaga eksperymentatorów wyjaśni ten dziwny cień, który musnął powierzchnię myśli Bogini.

„Szkoda, Dairgas, że pewnie stracisz swoje zaszczytne miejsce, naprawdę szkoda, ale nie mogą zostać odkryty tak wcześnie”.

Potem przeniósł się tam, gdzie zawsze było mu najwygodniej — do narożnej komnaty w prywatnych apartamentach Caesusy. Znow przywdział maskę śmiertelnika.

\* \* \*

Był śmiertelnie zmęczony. Otworzył oczy i rozejrzał się ze zdumieniem. Leżał na łóżku w narożnej komnacie prywatnych apartamentów Mistrza Caesusy, która została mu oddana do dyspozycji. Tutaj odzyskał przytomność, po przybyciu do owego dziwnego świata.

— W jaki właściwie sposób się tu dostałem? — zadał na głos pytanie, choć wiedział, że w komnacie nie ma nikogo, kto mógłby udzielić odpowiedzi.

Ostatnie, co pamiętał, to rozmowa w laboratorium. Potem... Co było potem?

Eksplozja bólu przed klatką z lwami. Nie... TO było wcześniej. Po tamtej stronie.

— Więc nie wiesz nic o istocie Teirhell, miejscu gdzie walkę zwyciężył Jednorożec i zniszczył Lwa? — wiele dni temu zapytała zdumiona Mistrzynie Euniel.

Należała do Cechu Alchemii, ale w Wieży zajmowała się głównie leczeniem. Miała wielki dar Uzdrawiania. W połączeniu z talentem do Nieożywionego, stanowiło to mocny atut w jej karierze. Szybko przeskoczyła z kręgu Czeladniczek do Mistrzyń. Pochodziła z arystokratycznego rodu, słynącego z Władczyń Mocy. Od jednej z wtajemniczonych Czeladniczek usłyszał kiedyś, że sama Wielka Mistrzynie Dairgas osobiście wysiała pismo do Rady Rodu Daith, aby małą Euniel przeznaczono dla Carmeddin. Cech Medycyny był srodze zawiedziony. Wysłanniczki Wieży Kybelis

usiłowały wykraść ją ze Wstępnego Kręgu Carmeddin. Miały nawet glejt którejś z Księżycowych Świątyń. Rozgorzała rytualna Waśń, rozstrzygnięta dopiero ostatecznym pojedynkiem między Przewodniczącymi Rady Medyczek i Alchemiczek.

Lykaroth — Wielka Mistrzynie Wielkiej Wieży Kybelis — była zbyt wściekła, by przeznaczyć kogoś na swe miejsce podczas walki i osobiście złamała przyslaną gałązkę ciernia. Dairganas takie prawo nie przysługiwało, gdyż to ona zażądała pojedynku, ale o nic się nie martwiła — pierwszego ćwiczebnego niewolnika uśmierciła w wieku lat jedenastu, a niedawno została ponownie odmłodzona. Wkrótce Wieża Kybelis miała nową Wielką Mistrzynie, a Księżycowa Świątynia odzegnała się od tego, że kiedykolwiek dawała jakikolwiek glejt uprawniający do odebrania kandydatki na Uczennicę.

I to wszystko z powodu małej dziewczynki o, tak naprawdę, jeszcze nie potwierdzonych faktami możliwościach. Dla Roberta brzmiało to jak zwariowana bajka. Tutaj stanowiło normę. Opowiedziała mu o tym wszystkim Czeladniczka Maretis — sympatyczna, młoda papla, która jak na razie była jedynym solidnym i przez to nieocenionym dla Roberta źródłem informacji o świecie Jednorożca.

Maretis początkowo bladła przeraźliwie na sam jego widok. Dlatego starał się być jak najbardziej uprzejmy, żeby choć trochę ją ośmielić. Robert nie miał zielonego pojęcia, co takiego jej o nim powiedziano. Caesusa — bądź co bądź Mistrz Wieży — zachowywał się wobec niego czołobitnie. Mimo wszystko, w wyobrazeniach Roberta, nie tak powinni traktować magowie rozbitka z innej rzeczywistości, nie mającego o niczym pojęcia.

Zauważył, że generalnie mężczyźni nie cieszyli się tu nadmiernym poważaniem. Tak było przynajmniej w tej Wieży. Słyszał strzępki rozmów tych nielicznych, dopuszczonych doń osób i widział, że Dairganas często przykłada mniejszą wagę do opinii Caesusy, aniżeli którejś z Czeladniczek. Zupełnie inaczej odnoszono się do jego skromnej osoby. I nie tłumaczył tego faktu, że przybył z innego świata. Nie znał się przecież na magii, tej ich „Mocy”. Kiedyś, gdy był totalnym szczawiem, przydarzały mu się dziwne rzeczy, ale to była tylko chora wyobraźnia lub, co bardziej prawdopodobne, już wtedy ów świat (który mimo wszystko, jak podszeptował Robertowi instynkt, znacznie bardziej mu odpowiadał) ściągał go ku sobie. Musiał odkryć, o co tu chodzi.

— Nie mam najbledszego pojęcia — odparł, nie owijając w bawełnę.

Euniel, Dairganas, Mistrzynie Szirun i Caesusa westchnęli jak na komendę. Miał wrażenie, że potwornie ich zawiódł. Spodziewali się zupełnie czego innego.

— Jestem przekonany, czuję to, zawsze marzyłem, żeby znaleźć się właśnie tutaj. Kiedy byłem dzieckiem śniłem o innych światach, a kiedy Mistrzynie Euniel — uśmiechnął się do niej — pokazała mi widok z dachu Carmeddin, wiedziałem, że to jest TO miejsce. Ale musicie mi wszystko o nim opowiedzieć i chcę spróbować tu żyć. Chyba, że...

Nie mógł powstrzymać lekkiego drżenia głosu.

— Chyba, że jestem waszym więźniem, a nie gościem. Chcecie przeprowadzać na mnie eksperymenty? — parsknął. Po chwili jednak zaniepokoił się na serio.

Caesusa aż jęknął ze zgrozy, natomiast kobiety zaśmiały się z niedowierzaniem.

— Panie... — w czarnych oczach Szirun widniał prawdziwy szok. — Jak to... Ten żart jest niesmaczny i bardzo nas krzywdzi. Od tego są niewolnicy. Ostatnio nawet dostałyśmy świeżą partię z Wieży Argos. Choć w większości to zdrowi chłopcy, szkoda ich na testy... Jest też paru z wiosek pod Miastem — Klejnotem bo przyszła pora daniny, ale oni z definicji służą do innych celów.

Wszyscy roześmieli się trochę sztucznie, jakby nie byli pewni, czy dowcip znajdzie należyte uznanie w jego oczach.

Robertowi zjeżyły się wszystkie włosy na głowie, a potem pomyślał, że po prostu się przesłyszał. Wprawdzie przedtem Maretis wspominała o ćwiczebnych niewolnikach, ale zabrzmiało to tak, jakby mówiła o jakichś specjalnie stworzonych do tego celu stworach, takich jak maleduxy. Solidnie przestraszył się pierwszego, którego zobaczył. Obudził się w środku nocy i dostrzegł dziwaczny kształt w świetle księżyca. Zapewne jego nie w pełni rozbudzona świadomość wzięłaby to za chwilowe złudzenie albo jakąś roślinę, lecz „toto” się poruszało — pełzało wte i wewte po podłodze. Drżącymi rękami zapalił światło (dobrze, że w tym cholernym miejscu była elektryczność) i ujrzał stworzenie wprost z najgorszych koszmarów sennych. Śliski purpurowy odwłok w złotawe cętki błyskał licznymi, czarnymi oczami na ruchliwych szypułkach. Przesuwał się po kamiennej posadzce, pozostawiając na niej paskudnie wyglądający śluz, który ścierały kolorowymi gąbkami dziesiątki giętkich zielonych macek. W Wieży było mnóstwo paskudnych rzeczy, choć musiał przyznać, że funkcjonalnych.

Faktycznie. Jeśli to był dowcip, to go nie zrozumiał. Zanim jednak zdążył o cokolwiek zapytać, Mistrz Caesusa wyszeptał z rozpaczą:

— To niemożliwe, niemożliwe... przeprowadziliśmy tyle prób, wykradliśmy Księżycowym Świątyniom tajemnicę Bram, wznosiliśmy modły, stosowaliśmy zakazane od tysiącleci rytuały. Ryzykowaliśmy stos albo zagrodę jednorożców, ścięcie Głównych Rodów. I wszystko na marne? Czyżby to nie był On?

Kobiety wpatrywały się w Roberta z uwagą i lękiem. Tamtego dnia zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć lub zrobić. Było mu głupio.

Tak jak teraz. „Jak ja, u licha, tu się znalazłem?” Pokręcił głową w złości i zdumieniu.

Pukanie do drzwi. Po chwili wahania, zezwolił na wejście.

— Panie — Maretis skłoniła się głęboko i wyrecytowała jednym tchem: — Rozkazy zostały wykonane. Wszystkie laboratoria pracują pełną parą. Każdy, kto miał coś do wykonania, zajmuje się pracą. Wyładowania Mocy nad Wieżą są potężne i charakterystyczne dla wzmożonych eksperymentów. Pani Alhatlarell nie raczyła zjawić się osobiście. Przynajmniej na razie. Wielka Mistrzynie pragnie, byś rozważył gościnę u wtajemniczonych w Cechu Elektroniki, gdyż...

Głos na chwilę odmówił jej posłuszeństwa, a w oczach pojawiły się łzy.

— Gdyż Wielka Mistrzynie nie wie, jak długo jeszcze będzie mogła Cię ukrywać. U bram stoją gońcy Kapłanek... będzie musiała się wytłumaczyć... — przełknęła ślinę i wyszła, zataczając się jak pijana.

Dairganas była jej babką — fakt, że z jakiegoś powodu miała się „tłumaczyć” przed Kapłankami musiał ją więc dotknąć znacznie bardziej niż kogokolwiek z Wieży. Wyglądało na to, że Kapłanki Księżycowej Pani działały jak niegdyś Inkwizycja w jego świecie i nikt nie był do końca bezpieczny, bez względu na ród i pozycję. Jeśli ktoś był przez nie przesłuchiwany, zwykle już nie wracał, potem szli kolejni członkowie rodu... Dlaczego jednak przyszła tym do niego?... Dlaczego poinformowała go o tym, że „wszystkie laboratoria pracują pełną parą” i dlaczego miał szukać schronienia w... W czym?! W Cechu Elektroniki?! To jakaś kpina... Co się tutaj dzieje... Jego myśli zaczęły przypominać nieskładny bełkot.

— Ale o co chodzi?... — zapytał ścian i sufitu.

Nie uzyskał odpowiedzi.



Pewnego rodzaju odpowiedź przyszła podczas kolacji. Euniel, Szirun i Caesusa jedli w ponurym milczeniu. Robertowi każdy kęs stawał w gardle. Jeśli mają do niego jakieś pretensje, to jak się to skończy? Jest przecież zdany na ich łaskę i niełaskę. Ale jeśli są o coś źli, to dalibóg, nie miał pojęcia o co, a przecież... Miał uporczywe wrażenie, że w pewien sposób odpowiada za atmosferę przy stole.

Pierwsza przerwała ciszę Mistrzynie Szirun:

— Jak wiesz, Panie, twoje rozkazy zostały wypełnione i jak na razie przyniosły pożądany skutek.

— MOJE rozkazy?

Trzy pary oczu spojrzały na niego niemal żałośnie, jakby pytały: jaką grę, u licha, znów prowadzisz, czemu bawisz się z nami w ciuciubabkę, nie masz przypadkiem już dość? Miał dość. Najbardziej tego, że ewidentnie popada w szaleństwo.

— Proponujemy, by dziś w nocy dokonać przejścia do Wielkiej Wieży Oxalix — powiedziała spokojnie, jak gdyby jego kłopotliwe pytanie nie padło, Szirun. — Oczywiście, nie przy pomocy zwierciadeł. Przemycimy Cię, Panie, w transporcie syntetycznych rubinów

1 cyrkonii, które zamówił u nas Cech Elektroniki. To miejsce jest obserwowane przez Świątynię i balansuje na krawędzi oskarżenia o herezję.

Mistrzynie Euniel potrząsnęła głową, wykrzywiła młodziutką (teraz już najwyżej piętnastoletnią) buzię w podkówkę i ze złością odgarnęła niesforny, czerwony pukiel.

— Takie głupie czasy nastały, niestety — warknęła urażonym tonem podlotka. — Czasem myślę, że one chcą jakiegoś pieprzonego ciemnogrodu... Na szczęście Pani Alhatlarell nie daje im swego poparcia. Nie przepada też specjalnie za Oxalix, ale i nie wyraża dezaprobaty... Dlatego tam będzie dość bezpiecznie. Elektroniczki ciągle coś wyrabiają przy pomocy pola magnetycznego i powodują zawirowania Mocy... chyba. Nie znam się na tym. Czy zgadzasz się na naszą propozycję?

Robert przyznał im rację — zwykle najciemniej jest pod latarnią. Z jakiegoś powodu zdecydowali się ukrywać go przed Kapłankami swego bóstwa. Wszystko wskazywało na to, że osoby z innego świata nie były tu mile widziane i byli jacyś „wtajemniczeni”, którzy się takimi osobami zajmowali. Może tutejsza władza bała się zakłócenia porządku? Wyobrażał sobie, że rządy krajów w jego świecie też by chciały ukryć coś takiego albo jakoś wykorzystać. Ci tutaj uratowali go, wydają się życzliwi...

— Chyba nie mam innego wyjścia.

Pozostawała inna kwestia. Różne dziwne wypadki wskazywały na to, że jednego dnia coś robi, a drugiego nie pamięta co. Schizofrenia paranoidalna? Zawsze mu się wydawało, że po trzydziestce człowiek jest bezpieczny... Diagnoza psychiatry z dzieciństwa nic o tym nie mówiła. Zmian w mózgu nie było. Poprosić ich o pomoc? Ten cały Cech Medycyny? Może lepiej nie. Wszyscy reagują tak dziwnie. Musi odkryć przyczynę.

Znowu zapadło kłopotliwe milczenie. Tym razem przerwał je Caesusa:

— Ale zdaje się chciałeś, Panie, wiedzieć, czym się teraz zajmuję?

Po posiłku udali się do pracowni, część komnaty, skryta za burym parawanem, była gorąca i pełne zapachów. Rozejrzał się, nie kryjąc ciekawości — wokół pełno było retort, misek, tygli, słoików, wielkich butli i małych buteleczek, dmuchaw miechów...

— Mężczyźnie ciężko się dostać do Cechów... Mnie się udało. Nikt nie mógł zakwestionować mojego talentu. Być może usłyszysz, że tak wysoką pozycję zawdzięczam protekcji i roszczeniom mojej matki. Możesz być, Panie, pewien, że to nieprawda — Mistrz wyprężył się, jak gdyby jego wątpa postać odpierała niewidzialne oskarżenia.

W kącie po lewej stronie stała ceglana konstrukcja przypominająca ul, jednak po prawej ujrzał coś o wiele ciekawszego. Spory, metalicznie lśniący cylinder błyskał kolorowymi światełkami — wyglądał absurdalnie w otoczeniu reszty przyborów.

— Co, wydał się za mało czarnoksięski? — Mistrz uśmiechnął się ironicznie. — To najnowszy model athanora, RT-10, chociaż ja nazywam go „Stalowym Motylkiem”, bo bardzo cicho chodzi. Zaprojektowała go moja matka — dodał z dumą. — Zasiada w Radzie Gildii Technicznej. Nazywa się Megrah z Rodu Taren i jest Mistrzynią Wielkiej Wieży Oxalix. Wieża ta przewodzi Cechowi Elektroniki. Zapewne ją tam spotkasz, gdyż należy do wtajemniczonych.

Przyjrzał się Mistrzowi. Oni wszyscy się odmładzają. Caesusa wydawał się bardzo sprawny, ale... Boże, jakim cudem jego matka jeszcze żyje? Robert nie zdradził swojej myśli, pomimo to starzec spojrział na niego dziwnie. Poczł się nieswojo.

— To, na co patrzyłeś wcześniej, Panie, to athanor bardzo starego typu. Prawdziwy antyk o wielkiej wartości. Jest w naszej rodzinie od niemal pięciuset lat — poklepał z czułością ceglany „ul”. — Możesz zajrzeć do środka, w tej chwili jest pusty.

— Używasz go jeszcze?!

— Czasami... Niektóre procesy Wielkiego Dzieła lepiej zachodzą w tradycyjnych konstrukcjach — mrugnął do Roberta. — Na mądrość Bogini, kiedy zobaczysz moją matkę, nie mów jej tego, bo gotowa się obrazić!

— Rozumiem, że teraz coś dzieje się w „Stalowym Motylku”?

— Och tak. Tropię Zielonego Lwa. Usiłuję udoskonalić proces Przywołania, poprzedni „zwierz” nie zniósł światła naszego słońca... — westchnął ze smutkiem. — Dlatego zamurowaliśmy okno... W athanorze powstają kolejne etapy transmutacji elementów w dążeniu do określonego celu, w tym wypadku Przywołania. To już niedługo. Gdybyśmy mogli zajrzeć do wnętrza, zapewne ujrzelibyśmy jak wszystko ciemnieje... to nigredo... faza przejściowa... Wiele dni temu sen, zapewne zesłany przez zewnętrznych Bogów, natchnął Dairgas, że Zielony Lew przyczyni się do hierosgamos między tobą a światem Jednorozca... Wybacz. Dawno nie miałem do czynienia z osobą nie mającą pojęcia o Sztuce. A ty, Panie, cóż... spodziewałem się, że to raczej ty wyjawisz mi arkana wiedzy, której nawet nie przeczuwałem. Wielka Mistrzyni Dairgas, niech ją ustrzeże aspekt Bogini, który jeszcze nie oszalał — po tych słowach zadrżał ledwo dostrzegalnie — zdała sobie sprawę, że twój brak pamięci jest umyślny, że specjalnie to robisz, aby cię nie odkryto, dopóki nie uznasz, że nadszedł właściwy czas.

Jednak my — Mistrzowski Krąg — czujemy się bardzo nieswojo, jesteśmy zmieszani, bo...

— Bo spodziewaliście się szybkich i radykalnych działań? Rozmowę przerwało nieśmiałe pukanie. Caesusa przymknął oczy, bruzdy na jego czole uwydatniły się. Dopiero teraz Robert dostrzegł, jak bardzo jego gospodarz zdenerwował się ostatnimi wydarzeniami. Chwilą później do komnaty wsunął się drobny, ciemnowłosy chłopak o wylęknionym spojrzeniu. Miał wrażenie, że coś jest z nim nie tak.

— Mówiłem, że nie potrzebuję pomocy! Ani tym bardziej przeszkadzania niewykształconego niewolnika! — warknął Mistrz, krzywiąc się jeszcze bardziej.

— Wybacz! Błagać! — chłopak przypadł do podłogi. — Nie przeszkadzanie... Nie... Mistrzyni Szirun wzywa Mistrza...

Chłopiec uniósł ostrożnie głowę i spojrział tępo na Roberta. Ten dopiero teraz zauważył, że dzieciak ma cofnięte czoło i skomplikowane piętno wypalone na policzku.

Oparł policzek o chłodną ściankę kontenera. Przemysł jego osoby szedł całkiem niezłe. Szkoda, że nie leżał bezpośrednio na tych rubinach, ale i tak czuł się jak jakiś bohater „Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy”. Otaczające go metalowe kontenery z kamieniami ponoć tłumiły jego obcą aurę, zaburzającą Pole Mocy Teirhell.

Poczuł, że poduszkowiec zahamował łagodnie i zatrzymał się. Moment później znów ruszyli, lecz tym razem w górę i dużo szybciej. Pewnie wjechali na jakąś ruchomą platformę — może windę towarową? Ożywiona rozmowa i polecenia wydawane agrylom — wielkim silnym stworzeniom o grubych, pokrytych gruzłowatą skórą ramionach. Były przeznaczone do dźwigania ciężkich skrzyń, beczek i pakunków. Coś uniosło w górę jego kryjówką i potrząsnęło nią nieuważnie. Z trudem powstrzymał się od krzyku. Porykiwanie agryli. Cholera. Gdzie oni go niosą? „Żeby tylko nie pomylili zawartości”, pomyślał ze ściśniętym gardłem. Narastał w nim histeryczny śmiech. Przypomniała mu się zgniatarka śmieci z „Gwiezdných Wojen”. Szlag by trafił... Co też oni, czy raczej one, mogą robić z tymi syntetycznymi kamykami?

Gdzieś go położono. Czekał długie minuty, które wydawały się stuleciami. Rany, jak w trumnie... Dobrze, że nie cierpiał na klaustrofobię. Wreszcie ostrożne pukanie w ściankę kontenera. Nareszcie.

— Panie, jesteś tam? — dobiegł go szept.

— Tak — odparł, mając wrażenie, że zamiast głosu, wydostaje się z niego skrzek pijanej żaby. Własna wyobraźnia dała mu wycisk.

— Niczym się, Panie, nie martw! Już jesteś wśród zwolenniczek. Zaniesiemy cię teraz w bezpieczne miejsce. Nie rozmawiaj z nami, będziemy przechodzić wśród nie wtajemniczonych. Lyryth, ty od tamtej strony!

Usłyszał dwa dziewczęce stęknienia i znów go gdzieś niesiono. „Jak tak dalej pójdzie, dostanę choroby morskiej.”

— Stać! Kto składał na to zamówienie? Dlaczego nie wzięłyście agryla? — nowy, o dziwo męski, głos.

— Poprawiamy kondycję! Zejdź z drogi, bo pożałujesz, Marga! — dziewczęcy głos, nieco niższy od poprzedniego.

— Bo co mi zrobisz, Lyryth?

— Stłukę cię na kwaśne jabłko, gnojku! Widziałaś Anis? Dopiero przestał być Uczniem, a jaki wyszczekany się zrobił?!

— Proszę cię bardzo, spróbuj glisto! Tknij mnie, a dowie się twoja promotorka i nie będzie zachwycona!

— Ou! Poskarżymy? Naprawdę chcesz z nami zadzierać? Wracaj do domu, do tatusia i do garów! Tam twoje miejsce, nie wśród adeptek Oxalix!

„Jasne. Tylko tego brakowało. Kłótnia dzieciaków, świeżej Czeladzi. Jak widać i tu chłopakom nie wiedzie się najlepiej.” Musiał przyznać, że to już zaczynało ranić jego osobistą dumę, jako przedstawiciela płci męskiej. W jego dawnym świecie uznawaną za mądrzejszą. „Kurwa... obrzydliwy stereotyp, a tutaj wygląda na to, że jest odwrotnie”. A już na pewno bardziej uzdolnioną technicznie.

— Ciiiicho! — syknęła Anis. — Mamy robotę. Nie mamy czasu na przepychanki ze szczeniakiem. Jeśli jesteś tak cholernie ciekaw, Marga, zapytaj Mistrzynie Derin... Już ona się zainteresuje, czemu wtykasz nos w nie swoje sprawy.

— Jeszcze pożałujecie! — oznajmił płaczliwie.

Robert usłyszał szybko oddalające się kroki. „No i z głowy. Szkoda chłopaka, jeśli tu wszystkich tak gnębią...”

Zapewne dotarli do windy, gdyż dziewczyny ciężko sapiąc postawiły kontener, ale znów poczuł, że się unoszą. Musiały mieć niesamowitą kondycję. Robert ważył niemało.

— Wybacz, Panie, tę małą przerwę w drodze, ale niektórzy, jak widać, nie znają swego miejsca.

— Daj spokój, Lyryth, masz więcej szczęścia niż rozumu! Miałyśmy nie wzbudzić niczyjego zainteresowania! Ten to ma pomysły... Agryla do wewnętrznych komnat...

— A kto by się przejmował Marga? Przecież on po prostu próbuje być ważny.

Wysiedli z windy. Było ich tu dużo. W Carmeddin mieli prawie same schody. Ta Wieża musiała być niezbyt dawno zbudowana. Ale przecież Cech Elektroniki był niczym noworodek przy starcu, którym jawił się Cech Alchemii. Robert chciał zaproponować, że może już wyjdzie z tej trumny... to znaczy kontenera, lecz w tym samym momencie usłyszał nieznane głosy. Dziewczęta pozdrowiły kogoś uprzejmie. Potem ponownie zostały zatrzymane. Ich reakcja wskazywała na to, że nie są to osoby należące do „wtajemniczonych”. W końcu jednak mozolne przedzieranie się przez labirynty Oxalix dobiegło końca.

Otworzono wieko. Z ulgą zaczerpnął powietrza. „Nigdy więcej nie dam się nieść w pudle” — przyrzekł sobie solennie. Rozumiał już niechęć kotów do tego typu transportu. Rozejrzał się po przestronnym, oświetlonym zimnym niebieskawym światłem pomieszczeniu. Wyglądało jak... laboratorium. Laboratorium w bardziej nowoczesnym sensie tego słowa, aniżeli pracownia alchemika. Wrażenie względnej normalności psuł jedynie maledux, który częścią macek wciskał przyciski na urządzeniu przypominającym skrzyżowanie komputera z lodówką, inne zaś uzbroidł w małe ściereczki i przecierał monitory.

— Witamy w Wielkiej Wieży Oxalix, Panie...

Odwrócił głowę i spojrzał prosto w wielkie orzechowe oczy.

— Jestem Mistrzynie Megrah i będę Ci pomagać najlepiej jak potrafię.

Stanowczo nie wyglądała na matkę osiemdziesięciolatka, czy ile tam lat mógł mieć Caesusa.

— Witam... — zająknął się niespodziewanie... — Ehm... nazywam się Robert.

Dwie krępe, solidnie zbudowane, ciemnowłose dziewczyny stojące pod ścianą w wyczekujących pozach to zapewne Lyryth i Anis.

Kiedy się przedstawił, nie wiedzieć czemu zachichotały. Po chwili jednak pobladyły wyraźnie i zgięły się w ukłonach. Nie przestały jednak chłonać jego widoku, szeroko otwartymi oczami. Podobne zachowanie cechowało jego nielicznych znajomych w Carmeddin.

\* \* \*

Carmeddin była potężną, mroczną, kamienną wieżycą. Spokojnie nadawałaby się na siedzibę złego maga z baśni w świecie, w którym dorastał. To wrażenie psuła jedynie opalizująca, szklana kopuła na samym szczycie. Oxalix cała składała się z czarnego szkła, a przynajmniej z substancji lądząco doń podobnej. Jak mu powiedziano, dachy były identyczne we wszystkich Wieżach. Otwierały się, by przyjąć pojazdy lub wierzchowce znamienitych gości. W Carmeddin panował wiecznie gwar na korytarzach i w prywatnych komnatach Kręgów, zaś w pracowniach cisza, natomiast tutaj było odwrotnie. W laboratoriach i salach projektowych przebywało mnóstwo adeptek

i garść adeptów, którzy wiecznie spierali się między sobą, krzyczeli i entuzjazmowali nowymi pomysłami. Każdy, nieważne, czy z Kręgu Uczniowskiego, Czeladzi czy Mistrzowskiego, zaraz po obudzeniu się, porannej toalecie i szybkim posiłku biegł na swoje stanowisko pracy lub nauki. Ci ludzie nigdy nie mieli dość pracy.

W jego przypadku zastosowano inną taktykę niż w Cechu Alchemii. Nie ukrywał się aż tak bardzo przed mieszkańcami Wieży. Mistrzynie Megrah przekonała go, by w razie indagacji przez przypadkowego niewtajemniczonego, udawał gościa z zamorskiego miasta, który jeszcze dobrze nie zna języka. Dawało mu to o wiele więcej swobody. Musiał jednak przyznać, że gdyby nie odosobnienie w Wieży alchemiczek i czas, jaki mu podarowały, nie potrafiłby w pełni z niej skorzystać. Nie mówiąc już o tym, że po prostu by go zdemaskowano i w najlepszym razie zawieziono do Kybelis albo Munros — specjalizującej się w zachwianej równowadze umysłowej. W najgorszym... trafiłby do Księżycowej Świątyni.

Wielka Wieża Oxalix to jedna z najmłodszych społeczności w Mieście — Klejnocie i jako taka tętniła życiem. W miejscach, które były wszystkim dostępne, kręciło się wiele osób z Rodów, zarówno Kobiet jak i mężczyzn, które chciały osobiście przekonać się o warunkach czekających na ich dzieci. Mógł spokojnie podawać się za zamorskiego przybysza. Na tyle znał już obyczaje, by sobie poradzić. Po raz pierwszy ujrzał nie-ludzi. Trixy — odrażający szczurołudzie o rzadkim szarym owłosieniu, łysych różowawych ogonach i błyszczących, bystrych czarnych oczkach. Wyglądali groteskowo w eleganckich wizytowych tunikach i wyszywanych złotą lub srebrną nicią płaszczach. Krępe karły o zaraźliwym śmiechu. I smukłe, wielkookie istoty. Piękne. Chłodne. Aroganckie. Jednak przyszły tu oddać dzieci na naukę. Robert stwierdził, że większość podań kłamie — elfy wcale nie gardzą ludźmi. Odnosiły się z równą rezerwą do wszystkich, także do siebie nawzajem. Na Teirhell zwano ich Sidhami. Podobno nie — ludzie pracowali we wszystkich Wieżach, ale przynajmniej w Carmeddin nie było ich wśród wtajemniczonych.

Teirhell naprawdę różniło się od Ziemi. Różnice kulturowe, choć znaczące, były daleko mniejsze. Na kontynentach i wyspach nie powstały kraje, lecz mniejsze i większe miasta — państwa zamieszkałe przeważnie przez ludzi i trixy, choć zdarzali się też obywatele innych ras (większość Sidhów wolała przebywać w wydzielonej przy pomocy magii enklawie). Wokół nich czasem rozciągały się wioski, których statusu prawnego Robert nie był w stanie do końca pojąć. Na pewno płaciły daniny miastu oraz Wieżom. W Radzie Miasta zasiadały Głowy Rodów. Ten tytuł należał formalnie do najstarszej kobiety, ale większość naprawdę starych (Moc przesyciała wszystko, a szczególnie podatni mogli dożyć trzystu lat bez dodatkowych rytuałów) wysyłało swoją przedstawicielkę. Ten zaszczyt należał już do najbardziej zasłużonej dla Rodu, niezależnie od wieku. Teoretycznie również niezależnie od płci, ale to był względnie nowy przepis i Matki Rodów nie kwapiły się do jego przestrzegania. Robert był nieszczerze zachwycony taką dyskryminacją, ale musiał uczciwie przyznać, że większość rzeczy w tym świecie miało swoje odzwierciedlenie w miejscu, z którego przybył, tylko że tam ofiarą obyczajów i przesądów padały kobiety.

Interesowała go pozycja Wież. Nie wszystkie były sobie równe — najpotężniejsze nazywano Wielkimi. Każda z Wielkich Wież stanowiła państwo w państwie. Wieże łączyły się w Cechy, którymi rządziły Wielkie Wieże. Czasem kilka Cechów tworzyło Gildie, ale nie wszyscy członkowie musieli do niej należeć. Mieszkańcy Wież byli czymś pośrednim pomiędzy magami a naukowcami, i tak naprawdę stali ponad prawem. Rada Miasta niczego nie mogła ustalić bez porozumienia z Radami Wież i płaciła im jakieś daniny, z kolei Wieże płaciły coś miastu... Wieże miały swoje filie w różnych miastach—państwach, ale Oxalix na razie były tylko cztery — największa, macierzysta w Klejnocie. Ale wszyscy i tak trzęśli się ze strachu przed Kapłankami z Księżycowych Świątyni.

W sumie, mimo wszystko nie wyglądało to na „węzeł gordyjski”. Z pozoru. Rzeczywiste relacje między Rodami, Wieżami i Świątyniami były tak skomplikowane, że aż bolała głowa. Kobiety chyba to uwielbiają. Akurat tego węzła nikt nie dałby rady zniszczyć jednym cięciem miecza czy nawet stoma.

Minęło jedenaście dni, odkąd przybył do Oxalix, lecz zdążył się już całkiem zaaklimatyzować w nowym otoczeniu. To było fascynujące miejsce. Otrzymał dużą komnatę, furę książek i kryształów wizyjnych, dwa maleduxy i humanoidalnego niewolnika.

Przyprowadzono mu czterech do wyboru. Cała czwórka była oszpecona identycznym piętnem, innym od tego, które już raz widział.

— Kim oni są? — spytał drżącym głosem.

— A, wreszcie są. Darmozjady... Kim są? Niewolnikami, oczywiście. Nie zauważyłeś Panie wypalonego godła Oxalix?

— Wypal... Jak możecie to robić?!

— A cóż w tym nadzwyczajnego? — Lyryth spojrzała ze zdziwieniem.

Chłopcy popatrywali na siebie niepewnie, przestępując z nogi na nogę. To była dla nich nowa, niezrozumiała sytuacja. Zwykle dostawali rozkaz i trzeba było brać się do roboty, a tu takie wydziwianie. Któryś z nich nie wytrzymał i zaśmiał się idiotycznie. Brzmiało to jak pohukiwanie puchacza. Prezentowali się nienajgorzej — silna budowa, zręczne ruchy, tylko oczu nie mieli bystrych i te cofnięte czoła... Raczej nie grzeszyli intelektem.

— Nie od tego są, Panie — oznajmiła Czeladniczka, odgadując w jakiś sposób jego tok myślenia.

— Ale rozumieją więcej poleceń niż maleduxy i szybciej się uczą nowych zadań.

Odzyskał mowę.

— To odrażające! Tam, skąd przybyłem, takie rzeczy są zakazane. Czasami gdzieniegdzie porywają i sprzedają ludzi, ale to jest ścigane przez wszystkie cywilizowane państwa!

Lyryth gapiła się na niego bez zrozumienia. Przez chwilę wyglądała bardzo podobnie do przyprowadzonej czeredki.

— Ehm... To chcesz któregoś, Panie, czy masz może inne życzenia? — wydukała w końcu niepewnie. — Wszystkich zostawić nie mogę, bo Mistrzynie Derin potrzebuje co najmniej trzech...

— Do eksperymentów?! — zapytał kwaśno. — Nie... Nie wiem...

— Tak, mam inne życzenia. Chciałbym na przykład niewolnicę. Oczywiście Lyryth, wielkością zaczęły przypominać deserowe talerzyki. Cofnęła się zszokowana.

— Panie... jak to... „Niewolnicę”? Czegoś takiego po prostu nie ma. Istota płci żeńskiej, mająca początek w ludzkim genotypie i o ludzkim profilu biopola, nie może być modyfikowana według szablonu niewolnika. Można ją udoskonalać... albo leczyć... ale nie odbierać funkcji organicznych, które nawiasem mówiąc niewolnikom nie są potrzebne. Tylko by przeszkadzały. Sam taki pomysł... to herezja! Obelga pod adresem Księżycowej Pani! No i wobec kobiet to by nie było w porządku. Bogini stworzyła nas doskonałymi. Z natury jesteśmy mądrzejsze i bardziej wytrzymałe, można to tylko próbować ulepszać, a nie...

— Co masz na myśli, mówiąc o „odbieraniu funkcji organicznych”?

Postanowił, że nie będzie się denerwował. Na Ziemi był bądź co bądź badaczem. Teraz ma do czynienia z nieznaną kulturą, o której chce się jak najwięcej dowiedzieć dla własnego bezpieczeństwa. Jest badaczem i nie będzie oceniać. Ani się denerwować.

— Och. Oni nie są ludźmi. Nie do końca. Byliby, gdyby nie odebrano im części mózgu... to znaczy nie tyle odebrano, co zmniejszono. Na przykład płaty czołowe. Nadmierna wyobraźnia ani

inteligencja nie są im potrzebne. Zostawiono tylko to, co niezbędne, żeby byli pomocni, a nie zniszczyli coś przez nieuwagę. W zamian za to poprawiono masę mięśniową i koordynację ruchów, usprawniono też lub dodano inne organy — mogą na przykład pracować przez krótki czas pod wodą albo w bardzo wysokich temperaturach. Są oczywiście stworzenia przeznaczone specjalnie do tego celu, ale one są bardziej kosztowne w eksploatacji, no i często wolniej reagują na trening czynności. Dlatego tworzy się je do określonych czynności w zadanych warunkach. Niewielu niewolników jest tak wielofunkcyjnych jak maleduxy i alar. Więcej informacji otrzymałbyś w Wielkiej Wieży Argos — one się tym zajmują. Ja naprawdę wiem tylko to, co każda.

— Alar?

— No... Oni. Ci tutaj. Nazywają się Alar. Są trzy rodzaje niewolników: Algis, Alar i Anox.

— A czym się od siebie różnią?

— Algis to użyteczne krzyżówki na bazie zwierząt, jednak posiadające wysoko rozwiniętą zdolność do zapamiętywania i planowania. Najczęściej mają inteligencję porównywalną z inteligencją cztero — sześciolatka, chociaż maleduxy są o wiele inteligentniejsze. Ale to nieludzka inteligencja. Alar powstają na bazie ludzkiego genotypu. To tylko organizmy płci męskiej, ponieważ łatwiej je kontrolować i... no cóż. Badania w Argos wykazały, że niewolnicy lepiej funkcjonują, kiedy mają nienaruszony profil hormonalny, a do tego celu lepiej jest pozostawić gonady i zewnętrzne organy płciowe. Teoretycznie są zdolni do rozrodu... czyli od biedy można ich określić jako „mężczyźni”. Niewolnica musiałaby być „kobietą”. Nikt by się nie zgodził na coś tak obrażającego i niezgodnego z naturą jak podległy, bezwolny, słowem „gorszy” organizm płci żeńskiej. No i... kobieta jest pierwszym, bardziej udanym dzieckiem Bogini. Powstała na obraz i podobieństwo Bogini. Sam fakt, że każdy płód z początku jest płci żeńskiej o tym świadczy. Płeć żeńska jest podstawowa, lepiej przystosowana do przetrwania, bardziej odporna na choroby...

— Słowem... Mężczyzna to taka zniekształcona, gorsza kobieta?

— No cóż... Aż tak brutalnie nie chciałam tego ująć, ale w sumie można tak powiedzieć. Mężczyźni wytworzyli się z woli Bogini i w drodze ewolucji po to, żeby łatwiej się rozmnażać. Najpierw koszty fizyczne ponosi kobieta, nosząc dziecko w łonie, potem mężczyzna opiekując się nim. Taka jest kolej rzeczy i mądrość natury. Ale ty, Panie, to oczywiście co innego — dodała zapobiegliwie.

Robert nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Przypomniały mu się argumenty socjobiologów, a później słowa św. Tomasza z Akwinu, które utkwiły mu w głowie na skutek jakiegoś płomiennego referatu o przesadach i dyskryminacji w religiach monoteistycznych: *kobiety są błędem natury... są rodzajem kalekiego, chybionego, nieudanego mężczyzny*. Rozbawiło go wtedy, że ów ojciec Kościoła tak zapędził się w swej niechęci do płci przeciwnej, że podważył umiejętności samego Boga — Ojca. Mógł to skomentować tylko w jeden sposób — „pewnie żadna mu nie chciała dać...” A teraz... Ot, ironia losu. „Zaraz, a co ona powiedziała?”

— Tak? A dlaczegoż to ja niby jestem „co innego”?

Dziewczyna zaczerwieniła się i zaczęła mieć nerwowo rąbek tuniki wystający spod sfatygowanego laboratoryjnego fartucha. Następnie wyrecytowała jak na egzaminie:

— Legendy mówią, że w czasach, gdy Teirhell rządziło wiele Boskich Bytów, Bogiń i Bogów, to przyjmowali oni powłoki lub kształty różnych śmiertelnych istot niezależnie od ich rodzaju, rasy, płci i różnych takich... Zresztą sam wiesz, kim jesteś. Dlaczego udajesz? Czy to ma być próba?! Nie wierzysz nam?! — urwała i spuściła głowę, jakby przestraszyła się swego wybuchu, a potem opadła na kolana.

„Za chwilę zwariuję”, pomyślał z zadziwiającą obojętnością.

— Idź już, dziecko — powiedział słabym głosem, z trudem powstrzymując się przed wysłaniem jej do wszystkich diabłów. — Kiedy indziej opowiesz mi o tym trzecim rodzaju... Aha. Możesz zostawić tego blondynka. Chociaż nie... Weź go do kwater niewolników, teraz nie jest mi potrzebny.

— Dobrze, Panie — odparła, podrywając się z kolan i odzyskując rezon. — Każę go odpowiednio oznakować!

\* \* \*

Znaki... Bariera pęka. Poszukiwacz zawieszony w bezmiarze jaźni Taina Pana Wina i Zmysłów śnił...

Rysy na barierze. El-Szaddaj podtrzymuje ją przy pomocy Opoki — swego Lwa, jednej z wielu swych Części, ale to długo nie potrwa. El-Szaddaj jest szalony i pełen nienawiści. Jego Lew zaś — chory i znenawidzony, nawet przez tych, którzy deklarują miłość, wiarę i ślepe posłuszeństwo. Bogowie nie są wszechmocni i nie zawsze wiedzą najlepiej. To zaczęło się dawno temu — minęło już ponad sześć tysięcy ziemskich lat... Nikt nie wiedział, o co tak naprawdę poszedł spór między Nim a Księżycową Panią. Nawet Pan Wina i Zmysłów, który tak bardzo Ją kochał. Kiedyś, nim nienawiść zatrąła Jej jaźń.

Śnił o czasach, gdy wszystko było zdrowe. Zdrowa, wieczna zmiana i ruch. Koło się kręci. Nowe zabija stare, przez co stare staje się jego częścią. Cykl życia i śmierci. Zbyt długo nie robił, co do niego należy. Taina zdradziła własną, prywatną naturę Poszukiwacza, której nie wziął pod uwagę, gdy wysłał go na Ziemię po to, by narodził się z ciała człowieka i dopóki nie nadejdzie właściwy czas, także nosił ciało człowieka. Moc trzeba było ukryć. Pamięć mogła ją przedwcześnie przywołać... Teraz pamięć wracała. Napływała falami jak wzburzone morze.

Księżycowa Pani poprosiła o pomoc Wielką Matkę, ale ta przewierciła Ją wzrokiem na wylot i dostrzegła zarzewie tego samego szaleństwa. Księżycowa Pani nie znalazła w Jej oczach, młodzieńczych i sędziwych zarazem, aprobaty ni zrozumienia. Wpadła w szal.

El-Szaddaj uznał jednak, że Bogini — Matka chce Jej pomóc. Postanowił więc zemścić się na nich obu. Zaprzagnął odebrać im cześć oddawaną przez śmiertelników. Najpierw jednak podburzył Bogów przeciwko Boginiom. Pierwsze drobne zwycięstwa. Częściowo się udało.

Reszta Bogiń i Bogów postanowiła się nie wtrącać. Spory trwają zawsze. Wielka gra o wpływy. Chaos waśni i zmiennych powiązań, bez którego nie byłoby równowagi, bo to, co śmiertelnicy zwą „porządkiem”, jest tylko jednym z wielu możliwych oblicz chaosu. Wszak Wielka Matka jest najpotężniejsza z nich wszystkich, a Jej Moc ma oparcie w każdej żywej istocie. El-Szaddaj — gwałtowny Bóg Nieba i Natury, Bóg — Sędzia, Pan Każących Błyskawic, jeden z Bogów czczonych jako Ojciec — w „wielkiej swej mądrości” stwierdził, że zawłaszczy sobie wszelkie atrybuty. Nie będzie już Matek ponad Ojcem. Zapędził się dalej w swym szaleństwie — nie będzie innych Bogów, sam starczy za wszystkich.

Bogowie i Boginie wybuchli gromkim śmiechem, który zatrzęsł posadami wszystkich płaszczyzn rzeczywistości. Zawsze trwała gra i potyczki o śmiertelników. Ogień ich serc był niezbędny. Nigdy jednak nie została wydana taka wojna. Taka herezja. Równowaga jest wypadkową chaosu miłości i nienawiści między Boskimi Bytami. Ktoś zawsze dzierży Koronę Życia, lecz na tym koniec. Nawet



Władcy Obłądu wiedzą, że jeśli pozostanie tylko jeden Bóg lub Bogini, świat ulegnie rozkładowi.

Rychło jednak przestali się śmiać. Bóg — Ojciec był potężny. Lew siał grozę i obiecywał twarde, jasne prawo — Opokę — na którym można wszystko od nowa zbudować. Gołębica El-Szaddaja obiecywała miłość i przebaczenie. Wybrał sobie najuboższych i niewolników, by opuścili święte miasta Księżycowej Pani, by sprzeciwili się Wielkiej Matce — Jej Świętemu Wężowi i Jej Słonecznym Bohaterom. Mówił: innych Bogów nie ma. To, czego się boicie, to budząca odrazę Wielka Nierządnicza Babilonu. I część ludzi zaparła się samych siebie. Uwierzyli, że jad sączony w ich dusze to siła, że głupota i nienawiść to miłość, a dzika radość ciał i wolność to brud i zło. Nie — ludzie odmówili od razu. Patrzyli z przerażeniem. Część zginęła w daremnej próbie obrony. Zimni, bezwzględni i mądrzy Sidhowie umknęli, pozostawiając resztki swej rasy ukryte w ostatnich bastionach Mocy, by czekały i informowały, czy coś się zmieni. Lecz było coraz gorzej.

Wielka Matka uznała, że zbliża się zmiana i czas na nią pozwolić. Nadejdzie chwila, gdy ludzie poczują, że ich świat rozpada się na kawałki i Korona Życia wróci na właściwe miejsce. Ona i jej Boskie Byty, Części Jej nieogarnionej jaźni — Święty Wąż, Smoczy — ca, Biały Byk i wiele innych — opuściły tę rzeczywistość. Inni nie rozumieli takiej decyzji i długo walczyli, lecz pozbawieni wsparcia Wielkiej Bogini przegrywali wobec naporu ogłupionych hord mordujących ich wyznawców, sprzeciwiających się odwiecznym prawom.

Bogowie i Boginie postanowili, że zgodzą się na te zapędy szaleńców pod warunkiem, że ograniczą się do światów, w których zostaną zamknięci, dopóki nie oprzytomnieją. Niech cierpią, brutalnie ściskani przez granice tej rzeczywistości, którą zdobędą. Niech Boskie Byty walczą o swoje. Nikt im tego nie ułatwi. Niech Lew walczy z Jednorożcem...

Śnił... Pamiętał... Był tam — we wszystkich tych miejscach, o które walczyli. Remis. Jednorożec przebiła rogiem Lwa, a potem szarpała ostrymi zębami jego wnętrzości i ryczała zwycięsko. Tutaj. Gdzie indziej Lew rozdarł jej bezbronny grzbiet, gdy wbiła się rogiem w pień dębu i czekała na śmierć, nie mogąc się uwolnić. Wspominał ten piękny, przedwieczny, zielony las — duszę Ziemi, teraz pewnie zrujnowaną i chorą. Wrócił tam podczas jednego ze snów ludzkiej powłoki, lecz patrzył na wszystko z perspektywy śmiertelnika i nie rozumiał.

Księżycowa Pani zaatakowała z wściekłością na Teirhell, pozornie pozostawiając Ziemię. Wygnała i ośmieszyła El-Szaddaja, jednak nie poprzestała na tym. Żaden z Bogów jej nie pomógł. Nikt jej nie pomógł. Teraz za to zapłacą — mają się wynosić. Także Ten, który kiedyś ofiarował jej miłość, choć była to jego ulubiona płaszczyzna rzeczywistości. Była tak piękna, silna i groźna w gniewie. Należący doń Jednorożec tylko częściowo mógł oddać Jej istotę... Zawsze życzył Jej zwycięstwa, pomimo że zwróciła się nawet przeciw niemu... W drugim świecie, Jednorożec Księżycowej Pani udawała niewinną, łagodną istotę. Symbol w nowym układzie sił. Ta sztuczka nie przeszła, jednak ku wściekłości nowego Pana i Władcy Wszystkiego, ludzie wciąż tęsknili za cudownym, lśniącobiałym stworzeniem, które zawładnęło ich wyobraźnią...

Nie — ludzie z dwojga złego woleli świat Księżycowej Pani.

Księżycowa Pani stworzyła barierę wokół Teirhell, a Jednorożcowi nakazała pilnie obserwować leże Lwa. Bóg Nieba i Natury wznosił własną barierę. Potem w przyływie kolejnego ataku szaleństwa zbezczescił obraz Bogiń. Wszystkich. Tak na wszelki wypadek. Kobiety przez sam swój kształt, rodzenie dzieci i to, że wzbudzały pożądanie, stały za blisko Wielkiej Nierządnicy Babilonu.

Księżycowa Pani odpowiedziała tą samą bronią, taką samą bezsensowną akcją. Pionek za pionek.

Poszukiwacz, którego ogromna sylwetka rysowała się ostro na tle nieba, gdy spoczywał na

podwyższeniu, obserwując barwny tłum podczas Dionizjów lub świątecznych orgii, uwielbiał ich ekstatyczny szal. Niczym błyszcząca, odlana ze spiżu statua tkwił u boku swego Pana, którego był Częścią. Ale nie tam, gdzie jego Pana zwano Rogatym Bogiem. To nie było jego miejsce. Tain Pan Wina i Zmysłów, a także najdzikszych sił natury, zwany również Baalem, Bachusem, Dionizosem lub Rogatym Bogiem, rozkoszował się radością i nieokiełznaną pasją śmiertelników. Poszukiwacz — wbrew pozorom najspokojniejszy fragment Jego jaźni — był najlepszy do obserwacji i analizowania. Poszukiwał nie tylko nowych doznań, ale także wiedzy. Nadawał się najlepiej by przedostać się przez barierę. Niestety, był dość leniwy i lubił święty spokój. Byli odrobinę podobni naturą z Opoką. Obaj byli Lwami. Dlatego ten podstęp mógł się udać. Niestety, miejscem przeznaczenia był świat Jednorożca.

Tain Pan Wina i Zmysłów patrzył z rosnącym osłupieniem na to, co wyprawiają dawna ukochana i jej adwersarz. To był najczystszy obłęd i największa bzdura, jakie oglądał wszechświat. Próbował przekonać Księżycową Panią, by nie popełniała tego samego błędu. Na próżno. Było tylko jedno wyjście...

Bariery wokół obu rzeczywistości zaczęły pękać. Bunt śmiertelników narastał. Czuli, że coś jest nie tak. Bogowie i Boginie Boskie Byty, śmiertelnicy, zarówno ludzie i nie-ludzie oraz ich światy są jednością, w której krąży Moc. Zbyt długo była zakłócona. El-Szaddaj popełnił kolejną niewyobrażalną zbrodnię — wmówił, że tylko to, co pochodzi od niego jest dobre, reszta to diabelskie sztuczki. A potem... zabrał Moc śmiertelnikom. Był moment, w którym dostrzegł, że wszystko co robi jest przerażające — wyłonił się z niego kolejny Boski Byt, który mógł wszystko naprawić. Niestety, Baranek będący nadzieją przepadł. Władca Wszystkiego zamordował tę Część siebie rękami śmiertelników, udając sam przed sobą, że to nie on.

Nadszedł czas. Znaki... Rysy i pęknięcia... Nadchodzi zmiana. Czas, by upomnieć się o swoje... Ma tu sojuszników... Śnił....

*...Kobieta przejrzała się w zwierciadle. O tej porze dnia nie służyło do teleportacji, lecz do jej wyłącznego, prywatnego użytku. Była o wiele starsza, niż wskazywała na to alabastrowa skóra i czarne włosy bez ani jednego siwego pasemka. Mistrzynie Szirun miała już ponad dwieście lat — jej ciało idealnie dostrajało się do Pola Mocy Teirhell, wiedziała też, że w razie kłopotów szybko ją odmłodzią. Była jedną z alchemiczek Wieży Carmeddin o najwyższym priorytecie. Miała wiele czasu na badania... Cóż, kiedy Księżycowa Świątynia usiłowała wszędzie wywęszyć herezje, nasyłała coraz to nowych szpiegów — niektóre kandydatki na Uczennice były podejrzenie dojrzałe jak na biologiczne pięć, siedem lat ich ciał... Niektórzy Anox włązili do pracowni bez pozwolenia, mimo grożących za to kar. Może to jest jakiś pomysł, żeby zrezygnować z usług Anox. Wtedy jednak wiele biednych rodzin z Miasta — Klejnotu i z podmiejskich wiosek będzie miało słuszne pretensje, Wieża straci popularność... No i Anox są bardzo przydatni, chętni do pomocy. Nic dziwnego — to jedyna droga dla ubogich i pozbawionych magicznego talentu chłopców, żeby zyskać trochę doświadczenia, wykształcenia, ogłady... Dlatego rzadko próbują uciekać, gdy rodziny sprzedają ich Wieżom albo możnym Rodom do czasowej niewoli. Pozostaje jeszcze wojsko, ale to żadna kariera, tylko dziewczęta mają szansę na porządny awans — A co do Anox... Nawet jeden z jej ciotecznych dziadków był kiedyś sprzedany na pięć lat. Ród, do którego należała Szirun, nie był zbyt zamożny. Z drugiej strony — pytanie, ilu najpierw przechodzi ręce Kapłanek... Eh, życie jest ciężkie! Te pieprzone suki chciałyby wrócić do pieprzonego średniowiecza!*

Uśmiechnęła się do siebie... Tak, minęło już 120 lat, odkąd tworzył się prężny Ruch Odnowy. Żeby było śmieszniej, do pierwszych wtajemniczonych należały zbuntowane Kapłanki. To one

wykradły pilnie strzeżone tajemnice. Kapłanki tępiły wszelkie podania mówiące, że kiedyś było wiele Bogiń i Bogów, że były Bramy przez które można było podróżować do innych rzeczywistości i życie wyglądało inaczej. Na przykład mężczyźni również pełnili funkcje kultowe i mogli wykonywać każdy zawód. To ostatnie wydawało się Szirun trochę śmieszne. Zawsze uważała się za osobę pozbawioną przesądów i niechętną pozbawionej sensu dyskryminacji płci, ale... Może po prostu warunkowanie dziesiątek pokoleń zrobiło swoje. Większość z nich naprawdę była głupkowata i pozbawiona talentu do nauki. GARY i zabawa z dziećmi — to dla nich najlepsze miejsce. Z drugiej strony musiała przyznać, że ci nieliczni przyjęci przez Wieżę, całkiem dobrze wywiązują się z obowiązków. O, na przykład taki Caesusa, pewnie niedługo zwiększą mu priorytet. Czasy się zmieniają, a te cipy ze Świątyń nie chcą tego zrozumieć. Boją się zmian i utraty wpływów. Szirun to nie obchodziło. Była adeptką Sztuki Alchemicznej i pragnęła w spokoju zajmować się Wielkim Dziełem, dlatego pomoże każdej Bogini i każdemu Bogu, który zechce się tu pofatygować albo chociaż kogoś przysłać.

Chwyliła szczotkę i energicznymi ruchami zaczęła rozczesywać gęste, splątane pasma. Teraz pojawił się On... Odpowiedź na modły. Na lata prób. Na długie, niekończące się godziny rytuałów przeprowadzanych w tajnych pomieszczeniach różnych Wież, a nawet w prywatnych posiadłościach potężnych Rodów i domach uboższych mieszkańców Miasta — Klejnotu. Jest dziwny... Czy spełni pokładane w Nim nadzieje?

Poszukiwacz przewrócił się na drugi bok.

...Chłopiec leżał i nie mógł zasnąć. Pochodził z ubogiego Rodu. Na szczęście ominął go los Anox lub żołnierza. Co prawda od Ponad pięćdziesięciu lat nie było żadnej wojny, ale do końca nigdy nic nie wiadomo. No i nikt nie chciał chłosty za to, że nie dość dobrze wyczyścił buty oficera, który przecież musiał odreagować fakt niepoważnego potraktowania jego osoby przez Dowódczynię. Nikt wreszcie nie miał ochoty, żeby stacjonujący obok prawdziwy oddział przylał po pijaku „chujowemu wojsku”. Nie To nie byłoby życie dla niego... Na szczęście Marga miał talent Jego matka pękała z dumy. Ojciec za to kręcił nosem na „niemęskie zajęcie”. „To nie dla chłopaka — mówił. — Nie znajdzie żony. Żadna go nie zechce”.

Gównu go to obchodziło. Marzył o Oxalix. Na miejscu czekało go rozczarowanie. Mało kto chciał z nim gadać. Wymśmiewano się z niego. Nawet koledzy z Kręgu Uczniowskiego usiłowali przypodobać się dziewczynom. Ale on to wytrzyma i wszystkim pokaże! Teraz jest Czeladnikiem! Tylko czasem płakał w poduszkę...

Podśluchiwał kiedyś taką jedną dziwną rozmowę... Przez długi czas rozkoszował się posiadaną władzą. Gdyby zawiadomił Kapłanki, zobaczyłyby, że mają go traktować z szacunkiem, ale wtedy na pewno nie znalazłby przyjaciółek. Szkoda, że Bogini nie jest mężczyzną, wtedy by zrozumiała, jak to jest...

Mruknął coś niewyraźnie, westchnął głęboko i instynktownie schwycił zsuwającą się kołdrę.

...Mistrzyni Megrah kręciła się nerwowo po swej komnacie. Odrzuciła z niesmakiem kolejny kryształ wizyjny. Nie mogła spać. Uporczywe myśli kłębiły się w jej głowie jak rojowisko węży. To On. To musiał być On. Więc się stało. Teraz, gdyby mogła, cofnęłaby to, do czego się przyczyniła. Bała się. Och, jak się bała... Ten moment, kiedy patrzyła Mu w oczy... były takie ludzkie, takie zwyczajne... Powiedział: „nazywam się Robert”. Omal nie parsknęła wtedy śmiechem, a

*Czeladniczki, głupie pindy, oczywiście nie wytrzymały. Jego gniew mógł... Och. Taka istota. Tutaj. W jej ukochanej Wieży. Szlag by to trafił. Takie dziwne, żeńskie imię — „Robert”. Kto by pomyślał. Może to i dobrze. Jakoś tak bardziej swojsko. Sama pomagała go przyzwać, teraz żałowała. Bała się. On może wszystko wywrócić do góry nogami. Wszystko. Jest przerażającą, pradawną siłą z otchłani niepamięci. Obcą siłą. Kapłanki były upierdliwym wrzodem na dupie świata, który należałoby usunąć, ale Księżycowa Pani... Cały jej Ród, matka, babka i wszystkie ich przodkinie modliły się do Księżycowej Pani, a ona... sprzeniewierzyła się Bogini! Była przerażona. Jednak musiała przyznać ma przed sobą, że gdy jako młodziutka adeptka dopiero powstającej Wieży usłyszała o planach kontroli nad Wieżą w imię Bogini Dobrze wiedziała, że Bogini nic do tego. Jednorożec była blisko. Od czasu do czasu robiła różne cuda. Pani Alhatlarell była widywana wszędzie. Dlaczego nic nie zrobiła? Kilka najzdolniejszych dziewcząt zostało zabranych do podziemi Świątyni za wyimaginowaną herezję... Dlaczego nic nie zrobiła? Może rzeczywiście i Księżycowa Pani i Jej Jednorożec były chore, szalone? Jej babka miała takie dziwne powiedzonko — czy w paszczy lwa, czy na rogu jednorożca, korona życia jest ta sama, a żyje się ciężko... Zrobiła to z miłości do Oxalix. Poświęciła życie badaniom i nie pozwoli, żeby jakieś suki ze Świątyni aresztowały jej Czeladź, jej Uczennice. Był jeszcze jeden powód. Caesusa. Jej synek. Pamiętała, jak był malutki... Wszystkim się interesował i był taki sprytny. Nie uśmiechał się durnowato jak inni chłopcy, tylko zadawał mądre pytania i pilnie słuchał odpowiedzi. Błyskawicznie przylapywał ją na nieścistościach. Mądry chłopiec. Zasłużył na pozycję Mistrza (choć dziwiło ją, że wybrał Carmeddin, zamiast Oxalix, która miała tyle rzeczy do odkrycia). A te koszmarnie tępe małpy z Carmeddin nie chciały go odmłodzić! Miał już 263 lata i mógł umrzeć, a one zwlekały! Uważały, że im zagraża czy co? Odmłodziłyby pierwszą lepszą babę, ale nie jej syna! Pomoże ze wszystkich sił każdej bogini i każdemu Bogu, który tylko nie dopuści, by jej syn się zmarnował! Stukanie do drzwi.*

*— Mistrzynie! — krzyczy skrajnie przerażona Anis. — Kapłanki są w Wieży!*

Ciężka kołdra wysunęła się z jego ręki i opadła na podłogę.

Poszukiwacz obudził się.

\* \* \*

— Obudziłeś się, Panie — ni to stwierdził, ni zapytał czarny cień Przy łóżku. — Czy już nadszedł czas?

— Tak, Alicjo.

— Księżycowe Kapłanki tu idą.

— Słuszne spostrzeżenie. Dziecię Bast.

Na korytarzu trzasnęły czyjeś drzwi. Krzyk i zamieszanie. Alicja powoli wtopiła się w ścienne lustro. Potworny wizg. Trzask wyładowania. Błękitne iskry. Drzwi do jego komnaty wypadły z futryny przy akompaniamencie straszliwego huku i przeleciały przez całe pomieszczenie, zmiatając po drodze sprzęty. Poszukiwacz uchylił się niespiesznie przed niesionym falą powietrza martwym, zmiażdżonym maleduxem. Następnie przez komnatę przeleciało coś na kształt kulistego pioruna, który w ułamku sekundy rozrósł się i pękł jak monstrialna mydlana bańka. Pokój wypełnił się kotłującą, wrzącą masą, która znikła po chwili. Na szklistej substancji, w którą zamienił się parkiet, pełgały

dogorywające jęczyczki zielonego ognia. Rozejrzał się. Lustro jakimś cudem ocalało, jako jedyne z przedmiotów. „Spryciuła” — pomyślał z uznaniem. Do środka zajrzały dwie chude kobiety z wytatuowanym na czole sierpem księżycy. Krzyknęły na jego widok i zaczęły składać dłonie w jakiś skomplikowany gest.

Poszukiwacz otarł twarz. Spojrzał po sobie. Jego naga postać jaśniała blaskiem Mocy.

— No i co wy najlepszego zrobiliście? — zapytał z udanym wyrzutem. — Zniszczyliście moją ludzką powłokę. A taki byłem do niej przywiązany. Biedny Robert — roześmiał się drwiąco.

Przez pomieszczenie przeszła jak tajfun kolejna fala energii.

— To już niepoważne — westchnął z rozbawieniem i delikatnie uniósł brew. Dwie Kapłanki zastygły w połowie następnego rozpaczliwego gestu.

— Tylko dwie przystali... dziwne.

Za plecami poczuł jej obecność. Uśmiechnął się, a potem odwrócił. Siedziała wygodnie na krześle, mimo że jeszcze przed chwilą była tu tylko naga podłoga, ściany i sufit (za wyjątkiem lustra, które zachowało nawet ozdobną ramę). Przyglądała mu się spod długich rzęs, fala srebrnych włosów spływała na szerokie, mocne ramiona. Splotła dłonie bielsze od śniegu i oparła na nich podbródek. Piękno porażające doskonałością. Tak, jak pamiętał. Po jej wargach błąkał się lekki uśmiech, ale na dnie granatowych źrenic kryła się lodowa pustynia.

— Przyszły tylko sprawdzić emanację dziwnej energii. Obcej energii, nie z tego świata... Ale ciebie ani podobnych tobie żadna jeszcze się nie spodziewała — w jej słowach nie było słyhać „dużych liter”, do których zdążył przywyknąć.

— Ale ty wiedziałaś, Pani Alhatlarell.

— Tak... Zawsze robiłaś dużo hałasu. Przede mną nikt się nie ukryje, nawet jeśli bardzo chce.

— Ja jednak jestem tu dość długo. — Zgadnij dlaczego...

— Czemuż by nie. Chętnie założę, że mi na to pozwoliłaś, ty, która kiedyś miałaś okazję unicestwić małego Roberta, moją cielesną powłokę. Jestem ciekaw, dlaczego tego nie zrobiłaś. Mogłaś wszystko opóźnić. Wygrać czas na swoją korzyść.

— Wiesz, że nie zwykłam niczego opóźniać. Więcej z tego problemów niż pożytku.

— A może zrobiłaś to ze względu na dawne czasy... Błękitno–granatowe oczy zasnuła mgiełka. Na chwilę.

— Nie licz na to, Poszukiwaczu — odrzekła sucho. — Kiedyś wiele łączyło Tych, których jesteście Cześcią, ale to było kiedyś i nas niekoniecznie dotyczyło. Dobrze o tym wiesz.

— A jednak ty — oczy i uszy i broń Księżycowej Pani — nie doniosłaś jej o mnie ani o planach Taina, ani o planach innych Bogów...

— Bo ja nie jestem tak do końca... — urwała. Poszukiwacz na próżno czekał. „Przekonana? Szalona? Nigdy nie dowiem się, co chciała powiedzieć. Widzę jednak, że jest skłonna przejrzeć na oczy”.

— Alhatlarell...

— Nie! — rysy jej stwardniały. Bielsza od alabastru twarz została zastąpiona przez maskę szaleństwa. — Będzie, co ma być! Najlepiej wśród Sidhów, w ich Zimnym Domu! Księżycowa Pani dobrze wie, że ci żałośni zdrajcy chcą Ją opuścić. Jak szczury z płonącego okrętu. Tyle, że ten okręt nie płonie i nie zamierza zatonać! Śmieszne adeptki też powinny to zobaczyć!

„Te śmieszne adeptki mnie tu sprowadziły, Alhatlarell. Nie wolno niedoceniać śmiertelników.”

Uspokoila się równie nagle, jak wpadła w gniew.

— Zatem, do zobaczenia w Zimnym Domu.

— Skoro chcesz to zakończyć w taki sposób. Dlaczego nie teraz? — spiął się wewnętrznie w

oczekiwaniu na możliwy atak.

Roześmiała się dźwięcznie. Błysnęły ostre jak igły zęby.

— Przecież oboje uwielbiamy widownię. Potrzebujemy jej jak powietrza. Ach, Poszukiwaczu...

— wykrzywiła się ironicznie. — Powiedz małemu demonowi, że na razie jest bezpieczny, ale potem niech zmyka... daleko, zanim przerobię ją na skórki.

Znikła w perłowobłękitnej poświacie. Jak na urągowisko, krzesło zostało. Wyglądało na wygodny mebel. Poszukiwacz usiadł. Było wygodne. Pozwolił sobie na kolejne wspomnienie...

*...Szaroniebieskie oczy Cryo'ny przypominały jesienne niebo, tuż przed burzą. W źrenicach zaśniły błyskawice.*

— *Pójdiesz tam pierwszy, Tainie?*

— *W pewnym sensie, Bitewny Zgiełk. Wyślę Poszukiwacza.*

— *To niebezpieczne.*

— *Nie on pierwszy stanie się człowiekiem — śmiech Pana Wina i Zmysłów spowodował huragan pędzący przez trzy płaszczyzny. Zatrzymał się dopiero w czwartej.*

*Cryo'na szukała czegoś w świecie Kruka. Wyszczrzyła zwierzęce kły, wysuwające się zza pełnych, czerwonych warg.*

— *Tu są! — wyciągnęła wskazujący palec i przykryła nim armię w odwrocie. — Brzydzą się tchórzami! Kazałam atakować! Prosiłście o zwycięstwo, ale za to chcę modłów, szalu i krwi! — wraże oddziały dopadły ich. Rozpoczęła się rzeź. Krzyki rannych i umierających spowodowały małe wyładowanie Mocy. W sąsiednim świecie wybuchła wojna — Bitewny Zgiełk zachichotała. — Ale, wracając do tematu... Nie możemy dłużej tego tolerować. To tylko dwa światy, ale...*

— *Chcesz z powrotem swoich ukochanych śmiertelników z Ziemi, prawda? Tych, ze spalonej słońcem krainy? Czy nie tak, Hathor?*

*W Jej oczach zaszklily się łzy — wojownicy i wojowniczkę na kilku płaszczyznach egzystencji zapłakali nad poległymi towarzyszami.*

— *Tak — potwierdziła głosem pełnym żalu i wydeła kapryśnie usta. — Tak, jak ty swoich ulubieńców z Teirhell. Chcę ich z powrotem. I tych spod wiecznie płaczącego deszczem nieba, którzy nazywali mnie Morrigan. Jedną z trzech, ale to nieważne. Jacy oni są pełni pasji! — Jej zachwyt wywołał jęk rozkoszy milionów kobiet.*

*Tain dopomógł im trochę. Hatior–Morrigan–Cryo'na uśmiechnęła się. Z Jej boku wyłoniła się zwinna, zmysłowa postać. Naga kobieta z głową czarnego kota. A może kocica o ciele człowieka?*

— *Bast. Bariery pękają, prawda?*

*Boski Byt zmrużył twierdząco złociste ślepia.*

— *Posłałam już swoje dzieci. Wiedzą, na co zwracać uwagę.*

— *Kiedy Poszukiwacz znajdzie się już w świecie Jednorożca...*

— *Tak — ukazały się białe, drapieżne kły.*

*On, Poszukiwacz, zawsze lubił Bast. Z przyjemnością spoglądał na nią oczami Taina...*

— *Wspominałeś Matkę Bast, prawda? — odezwała się nagle Alicja, od niechcienia rozcierając palcami bliznę na swym ludzkim policzku. „Mały demon” nie wyglądał na przerażonego groźbą przerobienia na „skórki”.*

— *Owszem — spojrzał w kierunku dziury, która dawniej była drzwiami. — Co tam się dzieje?*

*Z pogardą wzruszyła ramionami.*

— *Pożar w burdelu. Te kretynki tutaj zepsuły coś po drodze do ciebie, Panie. Po Wieży biegają Akolitki i usiłują zrobić porządek w swoim rozumieniu tego słowa. Adeptki usiłują je powstrzymać. Na szczęście Wielka Mistrzyni Oxalix ma głowę na karku, więc jakoś to będzie. Chyba, że nie — i*

ponownie wzruszyła ramionami. — Ojciec przysłał mnie, żebym przekazała ci, Panie, ciekawą wiadomość. Jedna ze szczelin jest już tak duża, że wygląda jak wjazdowa brama i nie regeneruje się. Co z nimi zrobisz? Zostawiła je.

Fakt. Dwie Kapłanki nadal tkwiły jak słupy soli.

— Dobre pytanie. Mnie nie są do niczego potrzebne.

— Daj mi je — Alicja przeciągnęła się leniwie. Zaplotła palce. Rozległ się wymowny trzask ścięgien. — Przekraczanie bariery jest strasznie męczące, a mała Alicja jest już dużym kotkiem... — oblizwała wargi. — I potrzebuje dużo energii...

— Częstość się zatem, „duży kotku”.

Rzeczywistość zafalowała. Postać Dziecka Bast zamgliała się na chwilę, po czym ponownie nabrała gęstości. Poszukiwacz pstryknął palcami. Księżycowe Kapłanki odzyskały zdolność ruchu. Spojrzały w złote oczy i zaczęły histerycznie wrzeszczeć. Próbowaly wybiec z komnaty, ale przeszkadzały sobie nawzajem i zderzyły się w otworze drzwiowym. Dopadła je czarna błyskawica. Zalśniły hakowate pazury. Krzyk osiągnął apogeum, a potem został brutalnie przerwany. Nawet hałas rozsadzający Wieżę wydał się jakby mniejszy. W nagłej ciszy rozległ się chrupot czaszki. Koty zaczynają od łba.

\* \* \*

— Łeb mi pęka od tego wszystkiego... — jęczała Anis, gdy mijał ją w korytarzu. Spojrzała na niego i wydała z siebie zdławiony jęk, a potem upadła na twarz.

„Zły pomysł. Muszę przyjąć wygląd poprzedniej powłoki.”

Dalej szedł jako Robert. Nawet lubił tego niemrawego gościa. Zachował sobie jego uczucia i wspomnienia. Niemrawego. Dobre sobie. Miał odwagę, ale za bardzo cenił „święty spokój”. Sam go stworzył. Taka była jego decyzja. Ukryje się we wnętrzu zupełnie nowej śmiertelnej istoty. To będzie ciekawe doświadczenie. Zawsze poszukiwał wiedzy i nowych doznań. Ciało śmiertelników doskonale absorbowało Moc. Nawet schowany w środku śmiertelnej jaźni, która samoistnie wytwarzała się na skutek rozwoju w tamtym świecie, przyciągał Moc i dysponował sporymi możliwościami. Tyle, że wychowany w rzeczywistości kreowanej przez El-Szaddaja Robert negował wszystko, co wydawało mu się niezwykle. Większość tak robiła — nawet ci, co sprzeciwiali się wszelkimi sposobami swemu Szalonemu Bogu.

„Chcę przyjrzeć się w spokoju Miastu — Klejnotowi. Kto wie. Może to już ostatni raz”.

Opuścił Oxalix. Łatwo przemknął niezauważony w ogólnym rozgardiaszu. Znalazł poduszkowiec i uruchomił pojazd. Podwoje rozsunęły się powoli. Za nimi kryło się miasto, które nosiło dumne miano Klejnot. W oczach Roberta zapewne byłoby warte tysiąca klejnotów. Znow ogarnęło go uczucie spełnionej tęsknoty. Było o co walczyć. Najpierw jednak chciał się z kimś zobaczyć. Uwolnić swoje myśli. Popłynęły jak drapieżne ryby przez przestwór śmiertelnych umysłów, wyszukując to, czego potrzebował. Znalazł odpowiednie miejsce, a potem ją wezwał.

Wieża znajdowała się niedaleko południowych obrzeży miasta, więc szybko dotarł do zabytkowych rogatek z zielonkawego kamienia, potem podążył mostem w głąb Klejnotu. Przyglądał się rzece. Spokojny, zielononiebieski nurt zmacił jakiś cień. Wąż morski wynurzył się na powierzchnię, prowokując radosne okrzyki dzieci na brzegu. W Argos nie próżnowano.

Podobnie jak zbiorowiska śmiertelników w świecie Lwa, to także przy bliższym poznaniu traciło nieco na uroku. Trudno było nie zauważyć bałaganu przed posesjami i śmieci walających się po chodnikach. Jechał główną arterią zatłoczoną różnymi wehikułami poruszającymi się przeważnie na najprostszych poduszkach powietrznych albo ulepszonych — tak jak jego pojazd. „Ziemi byłoby łatwiej, gdyby zachowali dostęp do swojego Pola Mocy — generator anty — grawitacyjny wcale nie jest taki trudny do zrobienia.” Wiele osób preferowało jednak skrzydlate, gadopodobne stworzenia, które mogły o wiele lepiej manewrować w powietrzu — zapewne również dzieło Argos. Jednak smoki i pegazy były z pewnością zrodzone naturalnie. Tego był pewien.

Wehikuły podążały w różnych kierunkach także po wielkich ażurowych konstrukcjach. „Robert nazwał je szklanymi mostami.” Jeźdźcy na podniebnych wierzchołkach mieli znacznie wygodniej, ale i ich musiał obowiązywać jakiś kodeks ruchu.

Skreślił w małą zadrzewioną uliczkę i zatrzymał się przed białym pałacykiem o ścianach pokrytych pnączami dzikiego wina. Na balkonach rozstawiono metalowe stoliki i krzesła. Gwar rozmów niósł się aż na sąsiednią ulicę.

Już czekała.

Ostatnie wydarzenia wytrąciły ją z równowagi — proces odmładzania zdecydowanie wyrwał się spod kontroli. Nikt z własnej woli nie wraca do ciała dwunastolatki, lecz Poszukiwacz nie wątpił, że Mistrzynie da sobie radę. Czuł bijącą od niej Moc. Zaiste, należała do najpotężniejszych. Euniel nie wyglądała na uradowaną, jednak na jego widok odetchnęła z wyraźną ulgą. Wiatr wydymał na podobieństwo żagla szkarłatny płaszcz ze złotą lamówką. Do wysadzanego rubinami pasa przytroczyła pugnał o srebrnej rękojeści, wysadzanej perłami (przy jej obecnym wzroście pełnił funkcję całkiem sporego miecza). W ten sposób czuła się bezpieczniej, chociaż sama dobrze wiedziała, że w zastanej sytuacji to wyjątkowo złudne uczucie. Odezwała się pierwsza. Zdecydowała się w pełni mu zaufać.

— Dokonano egzekucji na Dairganas. Ostatnie wydarzenia zrodziły konieczność wypuszczenia Zielonego Lwa. W końcu nadszedł długo oczekiwany czas. Ale... Alhatlarell go zniszczyła, Panie. Nadeszła, nim mnie wezwalesz. Myślałyśmy, że to koniec, że nas zniszczy. Tyle pracy na marne — oczy Euniel zaszkliły się łzami. To był kolejny powód dla którego Mistrzynie nie powinny zamieniać się w dzieci. Za kilka dni jej duma ucierpi. O ile będą dla niej jeszcze jakieś dni... Z tego powodu też chciał zwyciężyć. Może przyczyniły się do tego wspomnienia Roberta.

— Nie przejmuj się tym, Mistrzynie. Czas udać się do Zimnego Domu. Do Sidhów. Są pełni obaw i niecierpliwią się. Nie wiedzą, jaką decyzję podjąć, uciekać, czy nie... Nie wiedzą, jaki los im zgotują. Chcę ich uspokoić. Pomogiesz mi?

Poprawiła czerwone loki. Robert nie domyślił się. Nie miał jak. Wielu Sidhów i osób o mieszanej krwi, charakteryzowało się właśnie tym odcieniem włosów.

— Dawno nie widziałam pradiadka... Pomogę. Zresztą — wykrzywiła buzię z goryczą — nie mam innego wyjścia.

— Śmiertelnicy są tak zaskakujący w niektórych sprawach... Ciekaw jestem, czy wiecie kim albo czym właściwie jestem?

— My, adeptki Sztuki uważamy, że jesteś podobny istotą do Pani Alhatlarell. Należysz do... Nie obraż się, Panie, ale nie umiem dobrać właściwych słów... do pomniejszych, dawnych, zapomnianych Bogów. Z różnych powodów potrzebujemy zmiany. Odpowiedziałeś na nasze modły i rytuały i nie sądzę, byś miał złe zamiary wobec tego świata.

— W pewnym sensie. Wy, to znaczy Ludzie, Sidhowie, Trixy i wszyscy inni macie... osobowość, psychikę. Bogowie i Boginie także. Śmiertelnicy są skomplikowani, ale Bogowie bardziej. W waszej



Wieży Munros powiedzieliby pewnie, że żadna inteligentna istota nie jest „monolitem”, że ma w sobie wiele pomniejszych osobowości, postaci, części... Te części funkcjonują w nieświadomości i odpowiadają za niektóre decyzje, dlatego często nie rozumiecie do końca, co robicie... A Bogowie są bardziej skomplikowani. My — Boskie Byty — jesteśmy takimi właśnie „częściami psychiki Bogów i Bogiń”, ale potrafimy mieć własną wolę i przez większość czasu działamy niezależnie. Mamy własne życie, a często własne zdanie. To trudno zrozumieć, wiem... Ten, którego jestem zaledwie fragmentem, funkcjonuje w wielu płaszczyznach rzeczywistości naraz. Ja, Jego Częstka, jestem siłą rzeczy mniej potężny, ale mogę w każdej chwili się z nim złączyć albo on może wezwać mnie. On wam dobrze życzy. Ja wam dobrze życzę. Możesz być tego pewna.

— Nie jestem adeptką Munros, ale my z Carmeddin wiemy, o co chodzi. To forma mercurius, prawda? Bogini we wszystkich postaciach pozostaje Boginią — roześmiała się zadowolona z celnej uwagi. — Ale — spoważniała natychmiast — powiedz mi jeszcze jedno... Mistrzynie nie spodziewały się, że będziesz mężczyzną... — zawiesiła głos.

— I sądziłyście, że mogę mścić się za wasze obyczaje? — zachnął się — — Wiele rzeczy mi się nie podoba, ale to wina gniewu Księżycowej Pani i Kapłanek zbyt dosłownie interpretujących Jej przesłanie, zbyt gorliwie wypełniających zalecenia, a często po prostu kłamiących. Pamiętam ten świat. Rody zawsze były matrylinearne. Tak jest na większości światów, bo to ma sens. Zawsze znasz matkę. Podobnie jak w świecie Lwa, w którym spędziłem mnóstwo czasu ukryty w ciele śmiertelnika, przywiązujecie absurdalną wagę do płci. Zwłaszcza w sprawach, gdzie nie ma to najmniejszego sensu.

— Po co więc stworzono płęć?

— Wiem, co na ten temat sądzi Tain Pan Wina i Zmysłów — wyszczerzył zęby. — Żeby fizyczna przyjemność była... hmm... bardziej różnorodna i wyrafinowana. Żeby był wybór, w jaki sposób chcesz się pieprzyć. To zupełnie dobry powód. Ale na pewno nie po to, żeby ktoś mówił, do czego się nadajesz albo nie. Bogowie i Boginie mają różne kształty i różne charaktery. Wy, adepci alchemii, lubicie dzielić wszystko na męskie i żeńskie elementy. Po co? Istota jest bardziej skomplikowana. Jeśli już chcesz prostego rozwiązania, to najlepiej przyjąć, że dusza jest ogniem, a ciało to głównie woda — parsknął. — Wśród Władców Obłądu znajdziesz i Bogów, i Boginie. Są Boskie Byty, które lubują się w wojnie albo wręcz przeciwnie — są bardzo łagodne, przywiązują wagę do zmysłów albo bawią się w „odcieleśniony rozum” i uwierz mi, z reguły nie ma to wiele wspólnego z tym, co masz między nogami.

Euniel przyglądała mu się zafascynowana. Po raz pierwszy była zmuszona spojrzeć na to z tej perspektywy.

— Nie mamy czasu, Mistrzynie.

— Tak — ocknęła się. — Teraz mam pewność, że nie będziesz się mścił. Ruszajmy do Zimnego Domu.

\* \* \*

Zimny Dom wcale nie był zimny. Po bliższym przyjrzeniu się okolicy Poszukiwacz stwierdził jednak, że nazwa nie jest bezpodstawna. Stał z Euniel wśród majestatycznych drzew. Przez moment poczuł się intruzem. Mistrzynie uniosła w górę ramiona i zawołała w niezwykle śpiewnym języku.

Okrzyk miękko przeszedł w rytmiczny zaśpiew. Coś w otoczeniu zmieniło się ledwie dostrzegalnie. Żadna z roślin nawet nie drgnęła, pomimo to miał pewność, że stworzona z nich bariera zaczyna się rozstępować. Na znak dziewczynki ruszyli do przodu. Wstępowali w progi Domu. Otaczająca puszcza była domem o ścianach z gęsto stojących pni i dachu ze splecionych gałęzi. Panującą w nim atmosferę trudno nazwać przytulną. Zielony baldachim prawie nie przepuszczał światła, pomimo to powietrze wypełniała fosforyzująca poświata. Popielata mgła, czarne pnie i poskręcane, zdradliwe korzenie sprawiały wrażenie przejmującego chłodu. Nad ich głowami unosiły się olbrzymie, lśniące metalicznie ważki. Drżenie ich przejrzystych skrzydełek potęgowało upiorny nastrój. Poszukiwacz dotąd miał do czynienia przede wszystkim z ludźmi. Sidhowie byli dziwaczeni, skoro preferowali takie miejsca, ale z całą pewnością byli interesujący. Droga do Zimnego Domu nie była prosta — znalazłby ją, ale lepiej było się pośpieszyć. Sidhowie wiedzieli o jego nadejściu. Kiedy wjechali poduszkowcem na ażurowe konstrukcje, jedno z latających stworzeń skierowało się w stronę mostu i zaczęło nad nimi szybować. Wielkie błoniaste skrzydła rzuciły cień na oba pojazdy. Był to niebieski smok ze smukłym mężczyzną, usadowionym w zagłębieniu jego szyi. Jeździec pomachał do nich, a potem wskazał dłonią kierunek.

— To mój kuzyn. Dawno się nie widzieliśmy i pewnie mi to wypomni — stwierdziła cierpko. — Przynajmniej szybko trafimy. Brama często się przemieszcza.

Brama, do której doprowadził ich Sidh, przypominała wrzący gejzer opalizującego światła, zawieszony w przestrzeni. Smok zniknął w nagłym rozbłysku energii. Podążyli jego śladem i zanurzyli się w migoczącą otchłań. Ogarnęła ich oślepiająca czerń. Gdy wzrok powrócił, otaczał ich korowód drzew.

— Musimy zostawić pojazd — poinformowała Mistrzynie. Wkrótce zabrzmiały liczne, początkowo tłumione przez mech

odgłosy kroków. Wyjechała im na spotkanie czarująca, wysoka Sidhe o kasztanowych włosach i oczach barwy wiosennych liści. Prowadziła za sobą dwa piękne stworzenia. Szły majestatycznie, smukłe i pełne wdzięku. Potrząsały purpurowymi łbami, unosząc wysoko jedyny spiralny róg, wyrastający pośrodku czoła.

— Witaj Tipirsill! Całe dziesięciolecie! — zawołała Euniel, podskakując radośnie. Jej płaszcz zaczepił się o gałązki, więc odpięła kłamrę niecierpliwym ruchem i opadł szkarłatnym całunem na złośliwe krzewy. — Nic się nie zmieniłaś!

— Ty również niewiele się zmieniłaś od naszego ostatniego spotkania — zawołała, zataczając się ze śmiechu, Tipirsill. Zeskoczyła z grzbietu, przykucnęła i wyciągnęła ramiona. Euniel wpadła w nie z impetem.

— Witaj, Panie. To prawdziwy zaszczyt gościć tu jednego z pradawnych — szepnęła, spoglądając na Poszukiwacza — Starszyzna wysłała mnie, abym Cię powitała i przyprowadziła na miejsce spotkania z Alhatlarell.

„Proszę. Spotkanie. Mistrzowie eufemizmów.” Dosiedli jednorożców. Uwielbiał te zwierzęta. Jechał powoli obok Tipirsill. Sidhe zerknęła na niego ciekawie spod opuszczonych rzęs, poprawiając fioletową szarfę zabezpieczającą miecz. W jej twarzy dostrzegł obawę, maskowaną życzliwością.

— Nie spotykam się z radosnym przyjęciem — powiedział do niej cicho.

— Przykro mi, ale częściowo masz rację, Panie. Wybacz mi szczerość. Nie jesteś najmiej widzianym gościem, lecz twoja obecność w tym miejscu jest niezbędna. Tak zdecydowała Pani Alhatlarell. Nie wiemy, kogo się bardziej obawiać. Przywykliśmy do Księżycowej Pani, która zostawiła nam o wiele większą swobodę niż ludziom i innym.

Milczeli przez długą chwilę.

— Czy mógłbyś, Panie, odpowiedzieć na jedno pytanie? — widząc, że kiwa głową, zastanowiła się przez chwilę. Jej policzki zabarwił delikatny rumieniec. — Może wyda Ci się głupie i naiwne, ale... jak wygląda lew?

— Hm... jest trochę jak gryf, tylko że ma inną głowę i brak mu skrzydeł. Jego pysk przypomina koci, ale jest dużo, dużo większy. Okolony gęstą, żółtą grzywą — nie mógł powstrzymać uśmiechu. Lew był tu równie mitycznym stworzeniem, co na Ziemi gryf lub jednorożec.

— Słyszałam — podjęła z ożywieniem — że istnieją trzy rodzaje lwów. Małe z kędzierzawą grzywą, które nie są wojownicze, inne są długie i duże, o prostej grzywie. Te są odważne. Lwy trzeciego rodzaju rodzą się ze zwierzęcia o nazwie leopard, nie mają grzywy ani szlachetnego urodzenia i stawia sieje w rzędzie zwykłych zwierząt.

„Robert byłby zachwycony. Zupełnie jakby cytowała ustęp ze *Skarbca Wiedzy* Latiniego.”

— Z tego co wiem, istnieje tylko jeden gatunek lwa i są to zwyczajne zwierzęta.

Dojechali na miejsce. Wielka posiadłość. Składała się z szeregu mniejszych domów, połączonych ze sobą mostami. Domy były w zasadzie żywymi drzewami wyrastającymi koncentrycznie wokół jednego ogromnego. Wszystkie zdawały się wyrastać ze wspólnego korzenia, a ich korony łączyły się ze sobą i pozostałymi drzewami z całej puszczy, tworząc nieprzenikniony zielony strop. Gdyby nie delikatne światło magicznego pochodzenia, panowałyby tu ciemność. Rozejrzał się. Nieruchome piękne sylwetki Sidhów. Wpatrywali się uporczywie w nowo przybyłych.

Euniel zeskoczyła ze swojego wierzchowca i poszła powoli w ich stronę.

\* \* \*

— Wszystko zależy, z której strony patrzysz, maleńka — mówiła kiedyś babka, gdy Megrah była małą dziewczynką. — Widzisz, Korona Życia może mieć różne klejnoty, jednak życie zawsze jest tylko życiem — roześmiała się gorzko. — Czy w paszczy Lwa, czy na rogu Jednorożca... boli podobnie, a w końcu i tak umierasz.

Poszukiwacz wiedział, że Mistrzynie dopiero teraz zaczynała pojmować, co znaczą te słowa. Ona i wielu innych. Tak naprawdę pragnęli życia bez żadnych Bogów, a zarazem nie byli do tego zdolni. Wszystko to jedno wielkie Pole Mocy...

*Ci dali im białego, ci czarnego ciasta,*

*Ci placka ze śliwkami i wybębnił ich z miasta*

Tego by chcieli... ale zabierzesz jeden element, a świat ulega rozkładowi. Śmiertelnicy już tacy są... szybko zapominają nawet najbardziej doniosłe wydarzenia. Powiał wiatr, zrywając liście z drzew. Gdy jego szum ucichł, wokół zapanowała nienaturalna cisza. Cisza przed burzą, cisza znamionująca lęk i oczekiwanie. Hierosgamos — święty związek — między nim a tym światem, istniał zawsze. Alchemicy nie musieli się trudzić. Zabicie Zielonego Lwa nie miało znaczenia — ot, zwykłe ultimatum.

Rozejrzał się. W cieniu drzew ujrzał wiele półprzejrzystych postaci. Obrazy zsyłane przez Bogów i Boginie na dowód, że są i patrzą. Baldachim z liści rozsunał się usłużnie, aby ukazać gwiazdy i bladą, zimną twarz księżyca.

Księżycowa Pani uśmiechnęła się i musiał spuścić oczy. Stała pozornie spokojna i pełna blasku. Cierpiała przez tysiąclecia zamknięta w jednej rzeczywistości, ale uważała, że to tylko jej własność.

## Ból i szaleństwo.

Męska postać tkwiła w pewnej odległości. Obraz wysłany przez czas i przestrzeń — złudny ślad dawnej potęgi. Bijące od niej światło rozpraszało się lekko — El-Szaddaj wciąż tkwił w swym dobrowolnym zamknięciu.

Na aksamitnej poduszce spoczywała Korona.

Spojrzał w cudowne, granatowe oczy Alhatlarell. Nie zmieniła swej decyzji. Zresztą w tym momencie Księżycowa Pani nie pozwoliłaby na to. Boskie Byty tylko czasami są zupełnie wolne od swych Całości. Czas, gdy mogła wybierać, minął. Stała przed nim — srebrnowłosa i biała jak śnieg — srebrnogrzywa i bielsza od śniegu. Kiedyś była Ogrodami Światłości, teraz pozostała Nocą, Którą Niepodzielnie Władą Księżyc. Sidhowie mieli na to jedno słowo — Alhatlarell.

Potrząsnęła dumnie spiralnym rogiem — najpotężniejszą bronią wszystkich światów, kopyto twardsze od diamentu oderwało kawał darni. Rana w ziemi. Lew wewnątrz niego ryknął gniewnie, ostre pazury zaśniły. Jednorożec parsknął niecierpliwie. Korona rozbłysła. Przybrał jedną ze swych postaci — olbrzymiego, spizowego Lwa. Tak wyglądał ongiś, gdy ciągnął rydwan Bachusa, a kobiety wrzeszczały radośnie i dzięki jego mocy zmieniały się w lwice, rozszarpując wszystko na swej drodze.

Księżycowa Pani ruszyła w jego stronę. Wystarczył jeden gest, by nieodwracalnie zmiotła go z powierzchni ziemi. Szaleństwo i ból w Jej oczach. Gdy Bóg osobiście niszczy czyjś Boski Byt, zadaje innemu prawdziwą ranę. Części mogą się wzajemnie mordować, ale potem „wracają”. To jak dyskusja między śmiertelnikami. Czy spostonowanie czyjegoś głębokiego przekonania może fizycznie zranić? Uderzenie już tak. Tain spodziewał się czegoś takiego. Cryo’na również bawiła się w „honorowe rozwiązania”, ale tylko, gdy było jej to na rękę, więc wiedziała, czego oczekiwać. Jednak nie chcieli czynić Jej krzywdy. Jeszcze nie teraz.

Szczelina w barierze szeroka jak wjazdowa brama.

Gibka postać, czarniejsza od kosmicznej nocy, zmaterializowała się tuż za Alhatlarell. Wskoczyła na lśniącobiały grzbiet. Ogromna Kocica — Matka Bast — którą czczono pod gorącym słońcem, w miastach wyrwanych pustyni. Rozdarła potwornymi pazurami ciało Jednorożca i wgryzła się w nasadę karku. Księżycowa Pani krzyknęła rozdzierająco. Bogowie i Boginie z zainteresowaniem chłonęli widowisko. Poszukiwacz skoczył. Ostre kopyto rozcięło jego bok i zmiażdżyło żebra. Charcząc z bólu, zagłębił pazury w jej brzuchu. Zielona murawa poczerwieniała gwałtownie. Bast zeskoczyła, chichocząc. Wgryzł się w gardło Jednorożca...

Widzowie odeszli... Leżała nieruchomo, sponiewierana i splamiona posoką obojga. Blask powoli gasł w jej krystalicznie przejrzystych oczach. Niedaleko Bast lizała łapę.

„To nie była czysta walka” — Alhatlarell ostatkiem sił poruszyła głowę. Usłyszał w głowie ironiczny śmiech.

„Nie każda walka jest czysta” — odparł. — „Do zobaczenia, kiedyś...”

Bast siedziała po turecku, przyglądając mu się mądrymi oczami kocicy, co już niejedno w życiu widziała. Z obojętną miną podrapała się po lewej, pełnej piersi, zostawiając smuzkę krwi na opalonej skórze.

— Przeznaczenie istnieje, ale to, co z nim zrobisz, zależy tylko od ciebie — wzruszyła ramionami i powróciła do przerwanej toalety.

## Epilog

*„Na początku była Eurynome, bogini wszechrzeczy. Wyłoniła się ona naga z chaosu. Nie znajdowała żadnej trwałej podstawy, na której mogłaby postawić nogi. Dlatego oddzieliła morze od nieba i tańczyła na jego falach. Powstający za nią wiatr zdawał się czymś nowym, a jednocześnie właściwym, by można było z nim rozpocząć dzieło stworzenia. Eurynome obróciła się i uchwyciła ten wiatr, a następnie tarła go w swoich rękach. I oto stał się Ophion, wielki wąż. Eurynome tańczyła, aby się rozgrzać, wykonując dzikie i coraz dziksze skoki, aż wreszcie Ophion owinął się wokół jej boskich członków. W ten sposób Eurynome stała się brzemienna i zrodziła wszelkie życie.”*

*Mit o stworzeniu świata z czasów egejskich (Grecja)*

Kobiety śpiewały. Ogień trzaskał wesoło. Krąg ciasno splecionych dłoni. Pierwsza zaczęła złotowłosa, wysoka piękność, która musiała złamać serce niejednemu mężczyźnie — bo choć sprawiała inne wrażenie, to w rzeczywistości niewiele ją obchodzili. Dbała tylko o doskonalenie swej Sztuki, gdyż w ten sposób służyła Bogini. Chwilę później włączyła się druga — o bladej twarzy poznaczonej rdzawymi piegami. Choć zwykle jej niebieskie oczy były znużone, teraz wypełniała je radość. Spełniła swój obowiązek. Spojrzała porozumiewawczo na jasnowłosą. Obie spełniły. Bogini — Matka kazała im przyśpieszyć zmiany. Poszukiwacz tkwił tu zbyt długo. Znalazł spokój, więc trzeba było go zburzyć. Jego miejsce jest gdzie indziej.

Dołączyły się pozostałe. Cały krąg. Melodia zadziwiająco płynnie przechodziła od jednej do drugiej. Śpiewały własnymi słowami, we własnym języku, który rodził się w sercu i wypływał z krtani strumieniem obcych dźwięków, niezrozumiałych dla tych, co nie wierzą. Choć każda śpiewała inaczej, pieśń stanowiła jedność. Wszystkie były jednym ze sobą i z Tą, którą najprościej nazwać Wielką Matką. Matką wszystkich stworzeń.

Dziewczynki usiadły pod drzewem. Starsza odruchowo potarła policzek. Blizna czasami swędziała, ale nie zamierzała się jej pozbywać. Jeszcze nie teraz. Miała przypominać, kim jest i po co ją stworzono. Spojrzała na młodszą, wsłuchaną w odległy śpiew kobiet.

— Wszystko się zmienia.

— Stare zostanie zabite — skinęła głową i zaczęła od nowa splatać czarny warkocz. — Bo wraca jeszcze starsze i stanie się nowym. Ale nie tak szybko.

— I wciąż wiele zależy od śmiertelników — dodała pierwsza.

— Mogą wszystko zepsuć.

— Niestety nie tylko oni. — Związała włosy. — Boję się. Muszę już iść, Alicjo.

— Idź. Ja tu jeszcze posiedzę. Nie będę przeszkadzać Bast. Za jakiś czas przyjdę i popatrzę na Pana z daleka.

Młodsza dziewczynka wstała i weszła pomiędzy szare, sterczące z ziemi kamienie. Potem poszła dalej. Wędrowała przez spaloną słońcem i ogniem równinę, która niegdyś była lasem. Przeskakiwała poczerniałe, zwalone kłody pni. Omijała wykroty. Gdzieniegdzie coś rosnęło, ale wyglądało na słabe i

chore. W końcu dotarła do miejsca, gdzie na złamanym drzewie dostrzegła pierwsze, delikatne, zielone pędy. Dusza Ziemi powoli wracała do zdrowia.

Weszła pomiędzy drzewa. W tym miejscu ZNÓW, KIEDYS i TERAZ był Las. Zielony, przedwieczny... wciągnęła orzeźwiające powietrze w nozdrza, postawiła uszy. Dużo dźwięków. Dużo zapachów. Bardziej wolała płaski teren, ale tu też jej się podobało. Pobiegła zadowolona... Młodziutka Lwica, jeszcze niemal Lwiątko, wpadła na polanę wprost pod nogi Jednoroźca. Fuknęła zaskoczona. Niewiele starszy ogier spojrzał na nią z zainteresowaniem. Był zachwycający... Jego sierść mieniła się w oczach — trochę jak rtęć, a trochę jak żywe srebro. Wielkie oczy miały barwę szkarłatu... dwa jeziora krwi, w których można było utonąć. Przez jej ciało przebiegł dreszcz pożądania, bo dziewczynka skryta we wnętrzu, choć dopiero zaczęła dorastać, dostrzegła jego ludzką formę i...hm... była niczego sobie. Prawdę mówiąc, to było najpiękniejsze ciało, jakie w życiu widziała. A żyła już wiele razy. Należał do Pana Wina i Zmysłów, z którego niedawno się wyłonił. To było jego pierwsze wcielenie. Lwica nie była na Ziemi po raz pierwszy.

— Witaj, Sahmet — mruknęła miękko potężna czarna kocica.

— To jest Najdroższy — mrugnęła porozumiewawczo. — Wiele czasu upłynęło... Wiele wspomnień musi się obudzić. Miło cię znów widzieć wśród żywych — zakołysała ogonem.

Bast wstała, zmieniając kształt w młodą, szczupłą kobietę o bujnych piersiach. Tylko koci pyszczek został niezmieniony. Nigdy nie lubiła ludzkich twarzy. A może po prostu nie potrafiła się zdecydować? Dotknęła delikatnie głowy Sahmet.

— Przybyła wziąć, co jej się należy. Za twoją zgodą, oczywiście — rzekła, odwracając się w kierunku dorodnej jabłoni. Potem odeszła. Miała tak wiele do zrobienia. A wszędzie, gdzie szła, koty miauczały szczęśliwie.

Ogromna jabłoń rośla w samym centrum polany. Rozłożyste gałęzie poruszyły się. Święty Wąż Ziemi wysunął głowę spomiędzy liści. Promień słońca zalśnił na czarnych, zielonych i złotych łuskach. Potem ukazała się reszta ciała. Masywny splot wielokrotnie objął święte drzewo Bogini — Matki.

— Podejdzsscie tu ssss oboje.... — zasyczał łaskawie. Lwica i Jednorożec podeszli posłusznie.

— Lew wciąż tu jest... Zwyciężyłem go, lecz zdołał umknąć do ssswego brudnego leża. Jak długo pozossstanie żywy, sss, El-Szaddaj pozossstanie szalony... Jego kara będzie tym większa, jessśli roz — szarpia go książęta w imię króla — w bezbrzeźnie mądrych oczach Węża Bogini mignęło coś na kształt wyjątkowo złośliwego poczucia humoru.

— Nienawidzę go — szkarłatne ślepie stały się żywym ogniem. Jednorożec otarł trójbarwny róg o pień jabłoni. — Jest odrażający, ale chciałbym posmakować jego mięsa... Może smakuje lepiej, niż wygląda — dwa rzędy długich „szpil” rozciągnęły się w uśmiechu.

Lwica wolałaby sama go zabić. Uwielbiała tryumf... Kiedyś, w gorących piaskach pustyni, żołnierze dobijając rannych i biorąc niewolników, wznosili okrzyki na jej cześć... Ale jeszcze nie była tu dość silna. Zwróciła się do Jednoroźca:

— Odwrócisz jego uwagę i rozerwiemy go na strzępy.

— Mądrze... — zaszemrał cichy głos Węża spomiędzy liści. Zasługiwali na Dar. Dawno temu stali tu kobieta Księżycowej Pani i mężczyzna El-Szaddaja. Zmarnowali Owoc Mądrości. Największą łaskę Wielkiej Matki. Byli słabi i godni pogardy. Może tym razem będzie inaczej.

— Ssspójrzcie... sss...

Na gałęzi pojawił się kuszący, czerwony owoc.

— Jesst wasz... ale musicie go sssami sobie wziąć... — szepnął ironicznie. — Prezentami

częssto się gardzi....

Jabłko rosło wysoko. Chłopiec i dziewczynka patrzyli nań bezradnie. Żadne z nich nie było w stanie doskoczyć. Owoc wydawał się poza zasięgiem. Może gdyby... Spojrzeli po sobie nieufnie. W końcu chłopak skinął głową i przykucnął. Sahmet stanęła na jego barkach. Najdroższy mocno zacisnął dłonie na kostkach dziewczyny. Wyciągnęła ręce. Wciąż za daleko... Wspięła się na palce mając nadzieję, że jeśli spadnie, to nie skręci sobie karku. W tym miejscu można było umrzeć na zawsze.

Już...Już... Palce musnęły gładką skórkę... Już prawie... Wreszcie! Stracili równowagę i upadli z okrzykiem strachu na trawę. Westchnęli z ulgą. Nie upuściła Daru.

Chłopiec i dziewczynka zjedli w zgodzie jabłko. Potem Lwica i Jednorożec pobiegli ze śmiechem w głąb Lasu. Ich cienie tańczyły pomiędzy drzewami.

Pomiędzy splotami Węża, Korona rozbłysła pełnym blaskiem Mocy. Na razie wszystko toczyło się zgodnie z wolą Bogiń i Bogów.

*Warszawa, 2004*





# Stop—klatka

Telefon zadzwonił, kiedy zegar na ścianie komisariatu wskazywał 11.48. Ale tylko przypadkiem była naprawdę 11.48. Czasomierz stanął dosyć dawno temu, gdy wyładowany towarami pochodzącymi z przemytu tir wyleciał z drogi i zgoła nieumyślnie uderzył w ścianę posterunku, przesuwając cały budynek parę centymetrów na zachód. Przy okazji zmienił mu geometrię ścian i definitywnie zniechęcił ścienny chronometr do działania. Zegarmistrz, do którego się zwrócono był bezradny, natomiast nadkomisarz Oliwa nie zdecydował się wyrzucić grata. Był do niego bardzo przywiązany, w końcu spędził pod nim swoje najlepsze lata służby w milicji, a następnie w policji. Nie mógł się go po prostu pozbyć, na podobieństwo negatywnie zweryfikowanego funkcjonariusza Służby Bezpieczeństwa.

Terkot dzwonka wyrwał Stefana Oliwę ze stanu medytacji, może zresztą była to drzemka, w której śniło mu się, iż jest porucznikiem Colombo albo przynajmniej zasobnym detektywem emerytem.

— Oliwa, słucham! — powiedział energicznie. — Nadkomisarz Oliwa — powtórzył, jakby któryś z 1848 mieszkańców Rychłowa miał jakieś wątpliwości co do jego tytułu.

Niewyraźny głos, należący do osobnika niewątpliwie mówiącego przez szmatę, poinformował komendanta, że powinien słuchać pierwszego programu Polskiego Radia na falach ultrakrótkich.

— Jakiego radia? — zapytał. Jednak głos już się nie odezwał i po parokrotnym pytaniu: — Hallo! Hallo! Co to za głupie żarty...? — odłożył słuchawkę. Instynkt detektywistyczny podpowiadał mu, iż w 99% musiał to być jakiś nowy kawał syna Jacka i jego zwariowanych koleżków. Niestety, należało brać pod uwagę pozostały 1% i to go martwiło.

Jednak na martwienie nie miał czasu, gdyż dyżurny policjant poinformował, że przybył właśnie pan Macał.

— Niech wejdzie! — rzucił. Jak zdecydowana większość mieszkańców miasteczka, nie cierpiał doradcy burmistrza. — O co chodzi...? — powiedział, kiedy tylko płowa głowa byłego instruktora do spraw propagandy, zajrzała do gabinetu.

— Nie mógłby pan pożyczyć mi jakiegoś wozu...? — rzekł bez wstępów doradca. — Dowiedziałem się właśnie, że seat burmistrza rozkraczył się koło Zielonego Wiatraka. Muszę po niego pojechać, na pierwszą mamy ustalone ważne spotkanie z zagranicznym inwestorem. Sprawa jest absolutnie priorytetowa!

— A skąd ja teraz panu wóz wytrzepię? — westchnął komendant. — Jestem sam. — Jedna ekipa pojechała zabezpieczać mecz w Miętusach, druga ma jakiś wypadek przy krajówce... Poza tym szczyt urlopowy...

Macał wyglądał na zawiedzionego. Rozczapierzonymi paluchami nerwowo przyglądał rude kędzierzawe włosy.

— Cholera... To co ja zrobię?

— Może pan wziąć mój motor... — Oliwa nie przepadał za Macałem, ale zważywszy jego wpływ na burmistrza, nie zmierzał robić sobie więcej wrogów niż miał. — Gdzieś mam tu

kluczyki... Zawsze tu były!

Dość bezskutecznie gmerał w szufladzie. Macał wyjrzał tymczasem przez okienko na podwórko komisariatu.

— Motoru też nie ma! — zauważył.

W tym samym czasie, trzy ulice dalej, w mrocznym pomieszczeniu parterowego domku należącego do emerytki Zamienieckiej, panowała głęboka cisza, przerywana jedynie szelestem rozkładanych kart.

— Dupek żołądny przy sercowej damie — mruzczała Zamieniecka. — Dupek żołądny, no, no! A pana żona to naturalna blondynka czy tleniona?

Frączkiewicz westchnął. Jego myśli krążyły o wiele dalej niż wierność jego prestiżowej żony, do której on, człowiek w sprawach interesów ostrożny aż do przesady, żywił całkiem nieuzasadnione zaufanie.

— Pani zawsze to samo, pani Eugenio. Ja się panią pytam o pieniądze? Idą do mnie czy ode mnie? Mam na widoku niezwykle ważną transakcję...

— A po co panu jeszcze pieniądze, panie Bogdanie? — Zdziwiła się Zamieniecka. — Nie ma pan ich dosyć?

— A słyszała pani o kimś, kto ma dość? — odparł biznesmen, który na liście dziesięciu najbogatszych obywateli Rychłowa zajmował pierwszą pozycję. Zresztą sama lista chwilowo liczyła jedynie siedem nazwisk.

— O pieniądze może się pan nie martwić, ale wracając do tego dupka...

— To brunet? — zapytał bez większego zainteresowania Frączkiewicz. — I sugeruje pani, że zaleca się do mojej żony?

— Raczej szatyn, ewentualnie łysy. Zresztą, czyja mówiłam, że ta blondynka, to pani Joanna? To może być na przykład Zośka, pańska księgowa.

— Wielkie mi wróżenie. — Pan Bogdan wywinął mięsiste wargi, nadające jego twarzy wyraz wiecznie niesytego karpia. — Przecież całe miasteczko wie, że będzie miała dziecko z listonoszem.

Tymczasem domorośla wróżka, imputując delikatnie niewierność małżonki biznesmena, bynajmniej nie mijają się z prawdą. A może po prostu była dobrze poinformowana. Gdyby bowiem przeprowadzić linię prostą z okien domku Zamienieckiej do wieży ratusza i na wysokości zaśniedziałego kurka załamać ją pod kątem 90 stopni, linia ta doprowadziłaby nas wprost do wiatraka, stanowiącego zaczątek skansenu, który nigdy nie powstał.

Dziś, prócz snopów słonecznego światła, wdzierającego się przez szczeliny pomiędzy belkami, wypełniały go odgłosy intensywnie uprawianego seksu.

Uprawiało go, zresztą po bożemu, bez żadnych perwersji, dwoje ludzi różnej płci, rasy białej, ergo nie byłoby w tym nic godnego uwagi autora, bądź jego czytelników, gdyby nie fakt, kim w społeczności Rychłowskiej byli właściciele spoconych ciał, wykonujący ów charakterystyczny, posuwisty ruch, który przed dwustu laty zainspirował Jamesa Watta ideą skonstruowania maszyny parowej.

Właściciel szczupłego tyłka, nie powstydziliby się go i sam Antonio Banderas, w zasadzie był nikim — poetą, w dodatku bezrobotnym, po tym jak w ramach oszczędności zamknięto dom kultury, kino, klub młodzieżowy i zrezygnowano z zajęć pozalekcyjnych w miejscowym liceum. W ciągu zaledwie paru lat cztery ćwiartki etatu wyparowały, a termin wygaśnięcia prawa do zasiłku wyłaniał się spoza horyzontu na podobieństwo Skały Tarpejskiej. Jego ostatni tomik wierszy rozszedł się w nakładzie 33 egzemplarzy, wliczając te, które kupił sam Adam Janecki i rozdał nielicznym

przyjaciołom, natomiast esej „Władza”, który gotów był nabyć jakiś wychodzący raz na półtora roku kwartalnik, nie wyszedł poza stadium konspektu.

Pojękująca blondynka, której ciało gdzieś do wysokości pępka spurpurowiało z namiętności, stanowiła prawdziwe przeciwieństwo swego kochanka. Nie narzekała ani na brak pracy, ani pieniędzy. Co najwyżej na zaszarganą opinię.

Najpierw zbulwersowała miasteczko zdjęciami do „Playboya” — co w wypadku studentki medycyny można było tłumaczyć chęcią dostarczenia pomocy naukowej młodzieży w lekcjach anatomii, potem rozkochała w sobie świeżo owdowiałego komendanta policji, by po niecałych dwóch latach rozwieść się i po tygodniu wyjść za bogatego i wyjątkowo nieapetycznego biznesmena, Frączkiewicza. Od miesiąca, „najpiękniejsza w całej wsi”, jak czasami określali ją złośliwie posiadacze brzydkich i starych żon, była kochanką poety, którego majątek ograniczał się do intelektu, czarującego uśmiechu, ładnego tyłka i doświadczenia erotycznego, którego nabrał, terminując przed laty w teatrach studenckich.

Jeśliby odbywający się akt porównać do utworu muzycznego, jego rytm przechodził właśnie z *con fuoco w furioso*, gdy w przytulnym wiatraku zaświergoliła komórka Joanny. Dźwięk telefonu przypominał tryl wściekłego skowronka i sprawił, iż miłosne *furioso* zmieniło się w nagłe, niespodziewane *glissando*.

— Nie odbieraj! — krzyknęła Joanna, widząc, jak ręka Adama sięga ku belce, na której złożyli garderobę. — To może być mój mąż!

— Zawsze dzwoni w niewłaściwym momencie — powiedział Janecki, podając aparat młodej kobiecie. Jej naburmuszona i ciągle jeszcze pełna ognia twarz, uspokoiła się gdy poznała głos rozmówcy.

— A... to ty... Nie, nie, nie widziałam go? Nie przesadzaj, chłopak ma już siedemnaście lat. Dobrze, jak go gdzieś zobaczę, to go uprzedzę, że mu nogi z tyłka powyrywasz.

— Z kim tak rozmawiałaś? — Adam nerwowo naciągał garderobę. Drażnił ją ten pośpiech, tym bardziej, że nie знаła powodu; nasycenie, a może poczucie winy, a przecież mogliby jeszcze...

— Z Oliwą — odparła. Z niejasnego powodu zamiast mówić o nim Stefan, zawsze określała go po nazwisku. — Jacek znowu zabrał jego motor i gdzieś pojechał.

— Kompletnie nie rozumiem, dlaczego twój były mąż dzwoni do ciebie w sprawie swojego syna z pierwszego małżeństwa.

— Po prostu nie ma do kogo zadzwonić. Mam z Jackiem lepszy kontakt niż jego rodzony ojciec.

— No pewnie, należysz prawie do jego pokolenia... — na końcu języka miał pytanie nurtujące go od dawna, czy wyrosnięty nastolatek nie próbował kiedykolwiek podrywać młodzianki macochy.

Zamiast tego przygarnął Joannę do siebie. I trwali tak przez chwilę, on ubrany, ona goła, a letni wietrzyk omiatał znieruchomiłe skrzydła wiatraka, jakby chciał uprzedzić, że nic już nie będzie takie, jak dawniej.

Jacek Oliwa również miał komórkę. Mocno trzymając ją w dłoni stał pośrodku leśnej przesieki i usiłował przekrzyczeć zakłócenia wzbudzone przez biegnącą górą linię wysokiego napięcia.

— Jesteś na miejscu, Krzychu? Wszystko gotowe? No to zaraz zaczynamy zabawę. Tak, włączyłem radio — rzucił okiem na stojący u jego nóg mały odbiornik na baterie. — Jak zaskoczy natychmiast wracaj, bo muszę odstawić motor staremu. Over.

— Over — odpowiedział z oddali niewyraźny głosik domorosłego fizyka.

Jacek wziął odbiornik i ruszył ścieżyną w las, szukając miejsca, w którym znikną wszelkie zakłócenia.

Renoma „złotej rączki”, jaką cieszył się Mietek Rydzoń, była w pełni uzasadniona. Od czasu przejścia na rentę, kiedy to chora wątroba uniemożliwiła mu picie, odkrył w sobie szereg niezwykłych talentów. Zaczynał od prostych prac porządkowych, jak strzyżenie żywopłotów w ogrodzie Frączkiewicza i pilnowania nocą domu kultury, obecnie był autorem boazerii w komendzie oraz wystroju „pokoju cudów” u Zamienieckiej. Naprawiał światło u Janeckiego i organizował fajerwerki przed ratuszem w noc noworoczną. Potrafił zreperować odkurzacz, wymienić kran, jak również wymalować mieszkanie. Klejówka lub na olejno i to, ku wściekłości koncesjonowanych rzemieślników, po cenach dumpingowych.

Tego dnia około południa kończył właśnie naprawiać opiekacz do tostów dla pani Joanny, gdy skrzyp furtki i charakterystyczne człapanie za dużych o numer butów zaanonsowały przybycie stałego klienta.

— Pochwalony — powiedział ksiądz Karolak, wściubiając strusią główkę, kompletnie nie pasującą do korpulentnej reszty, przez drzwi warsztatu.

— Na wieki wieków — odpowiedział pobożnie pan Mietek.

— Wpadłem spytać, co z moim radiem. Zreperowane?

— A czy ja bym czegoś nie zreperował, proszę księdza? Raz w życiu miałem kłopoty z elektroniką w hondzie Frączkiewicza. Pogłówkowałem, pokombinowałem. I bryka jeździ.

— Ale zegara w komendzie pan nie nareperował — uśmiechnął się ksiądz.

— Bo nie mam koncesji i nie mogę wystawić rachunku — nastroszył się Rydzoń.

— A wie pan, co było zepsute w tym moim gracie? Za każdym razem, kiedy szukałem na skali Radia Maryja, gaśło na amen.

— Drucik się odlutował i zahaczył o potencjometr — wyjaśnił Rydzoń. — Teraz będzie grało jak złoto. Proszę posłuchać!

Przekreślił gałkę. Głos spikera Jedyńki zapowiadał południe, sygnał czasu i hejnał z wieży mariackiej. Jednak po pierwszym piknięciu zapadła cisza. Już, już Albin Karolak miał skrytykować dzieło swego parafianina, kiedy odezwał się dziwny głos, nieludzki, dochodzący jakby ze studni, otoczony rojem zgrzytów i elektronicznych jęków.

„Uwaga ludzie, uwaga ludzie! Już jesteśmy. Zachowajcie spokój. Nie ulegajcie panice. Czekajcie na kolejne komunikaty.”

— Wszelki duch... — przeżegnał się proboszcz.

— Niech się ksiądz nie denerwuje — zaśmiał się Rydzoń. — Fantastykie puszczają albo inną reklamę...

I wyłączył odbiornik.

Nagle walenie w drzwi wyrwało z wróżebnego transu Zamieniecką. Zaniepokoiło też Frączkiewicza. Ostatni raz tak waliła do jego mieszkania milicja obywatelska po tym, jak ktoś doniósł, że handluje złotymi dwudziestodolarówkami. Pani Eugenia uniosła roletę. Do wnętrza wdarła się rzeka słonecznego światła, więc dopiero po chwili ujrzała za szybą bladą twarz sąsiadki Rozalii Kowalskiej. Kobieta usiłowała coś powiedzieć, przerażenie wyraźnie widoczne w jej oczach sprawiło, że Zamieniecka, dość niechętnie, ale jednak otworzyła okno — Słyszała pani — wyszeptała Kowalska — odezwali się!

— Kto? Gdzie?

Rozalia wskazała niebo.

— Powiedziały żebyśmy uważały, po czym radio zamilkło na amen.

— Kto powiedział, duchy?

— Kosmici! Som tutej.

Frączkiewicz, przysłuchujący się rozmowie, podszedł do sędziwego, jeszcze lampowego odbiornika. Włączył, chwilę kręcił. Wszelako jedynym efektem tych działań był jednostajny szum, słyszalny na wszystkich zakresach. Biorąc pod uwagę możliwość awarii przekaźnika przełączył na długie, potem krótkie. Wszędzie to samo. Po dłuższej chwili wyciągnął swoją komórkę.

— Zadzwońię do Joanny i dowiem się, czy nasz domowy sprzęt działa...

Urwał, na wyświetlaczu nokii widać było wyraźnie — brak zasięgu. Niezrażony wyszedł do przedpokoju, w którym na ścianie wisiał staroświecki telefon z przełomu wieków. Zdjął słuchawkę z zaczepu... Ale i tam dzwoniła wyłącznie cisza.

W czasie, kiedy wokół domku Zamienieckiej poczęło tworzyć się niewielkie zrazu zbiegowisko, złożone z tych, co słyszeli i nie wierzyli oraz tych, co nie słyszeli i uwierzyli, zaś ksiądz Karolak, nieświadom grozy zawisłej nad parafią, z radiem pod pachą dreptał w stronę kościoła, do Mietka Rydzonia zajrzał nieświadomy dramatyzmu sytuacji Wiktor Macał.

— Dzień dobry, panie Mietku — zagaiał.

— Dzień dobry, panie sekretarzu — uprzejmie odparł „złota rączka”.

— Ile razy mam powtarzać, że nie jestem żadnym sekretarzem, tylko asystentem towarzysza... znaczy, pana burmistrza... Zresztą nieważne, przyszedłem prosić, żeby pan mi pomógł.

— Czyżby seat się popsuł?

— Zgadł pan. Nasz burmistrz tkwi w środku lasu, a my mamy za pół godziny ważne rozmowy z inwestorem strategicznym... W panu cały ratunek.

— Ma pan jakąś gablotę, żeby tam dojechać i zaholować tego rzęcha?

— Właśnie nie. Nie dysponuję żadnym transportem. A komendant Oliwa nie ma nic wolnego na podorędziu... Więc został tylko pan.

— Przecież pan wie, że nie jestem zmotoryzowany... — Rydzoń podrapał się po rozczochranej głowie. — Chyba, żeby poprosić księdza.

— O to, to, to — ucieszył się Macał. — Tyle, że liczę w tej sprawie na pańskie pośrednictwo. Jak pan wie, stosunki między mną a proboszczem są, delikatnie mówiąc, powikłane...

— Nie moja wina.

— Więc nie pomoże mi pan?

— Ach, żeby mój świętej pamięci tatuś pana do chrztu nie trzymał... — westchnął Mietek i ruszył za Macałem w stronę kościoła.

Adam wysadził Joannę przy kępie drzew, skąd do ośrodka zdrowia nie było dalej niż sto metrów. Jego ostrożność była w pełni uzasadniona. W Rychłowie, jak w każdym małym miasteczku, plotki stanowiły główną strawę duchową i nawet programy w rodzaju *reality show* stwarzały dla nich niewielką konkurencję. W skrytości ducha Adam dziwił się, że jak dotąd jego romans pozostawał w ukryciu. Osobiście nie przejmował się ludzką gadaniną, ale Joanna miała więcej do stracenia. Kiedy wczoraj w supermarkecie w Masłowie, dokąd wyskoczyli do Pizzy Hut, napotkał ich Wiktor Macał — przestraszyła się nie na żarty.

— A cóż ci może zrobić ten były sekretarzyna ZMS-u? — uspokajał ją Janecki.

— Może rozgadać w magistracie albo donieść Bogdanowi...

— No to powiesz mężowi, że spotkaliśmy się przypadkiem na zakupach.

— Bogdan nie jest aż takim idiotą. A gdyby zaczął cokolwiek podejrzewać, zabiłby nas oboje.

— Nie przesadzaj. Jestem przekonany, że się domyśla. Poza tym sama mówisz, że nie interesuje się seksem i traktuje cię najwyżej, jak jeszcze jeden ze swych bezcennych artefaktów.

Młoda lekarka ruszyła w stronę ośrodka, zaś Adam skręcił w boczną drogę, którą zamierzał dojechać do szosy i wjechać na rynek od zachodu. Czasu miał niewiele. O pierwszej miał przyjechać inwestor z Niemiec. Nadzieja dla Rychłowa, a przy okazji dla Janeckiego. Ponieważ nikt w radzie nie władał w zadowalającym stopniu żadnym obcym językiem (poza rosyjskim), przypomniano sobie o bezrobotnym poliglocie.

— Może to początek stałego zajęcia? — cieszyła się Joanna.

Optymizm Adama był o wiele bardziej umiarkowany.

— Nie obiecuję sobie za wiele. Macał wielokrotnie opowiadał, że póki on jest asystentem burmistrza, taki element jak ja może sobie szukać roboty gdzie indziej.

Kierując się w stronę baraczkę Opieki Zdrowotnej, doktor Oliwa—Frączkiewicz wybrała ścieżkę przez zagajnik. Zamyślona zauważyła swego pasierba dopiero, kiedy stanął przed nią na dróżce.

— Cześć! — powiedziała. — Ojciec cię szuka! Lepiej nie pokazuj mu się na oczy...

— Nic mi nie robi — mruknął ponuro. — Zresztą teraz to nieważne. Stało się coś strasznego...

— Rozbiłeś jego motor... — przestraszyła się Joanna. Dopiero teraz zauważyła wielki krwiak na czole chłopaka.

— Niczego nie rozbiłem. Owszem, pożyczyłem sobie maszynę. Myślałem że nie zauważy. Pojechałem z Krzyśkiem Rydzoniem do lasu na Starej Porębie, pobawić się w motocross. W pewnym momencie wysiadł mi żołądek, więc zostałem, on miał wjechać na szczyt Diablej Górki, pod nadajnik UKF—u. Rozmawialiśmy jeszcze przez komórkę. Naraz przestała działać. Podobnie radio.

— Muszą być dziś jakieś zakłócenia. W wozie mojego... znaczy mojej koleżanki też ogłuchło radio.

— Początkowo i ja tak pomyślałem.

Kiedy próba dodzwonienia się do Krzysztofa spełzła na niczym, Jacek wyszedł na drogę. Las wyglądał podobnie jak wcześniej, może tylko bezchmurne niebo wydawało się bardziej przymglone. Nie słychać też było śpiewu ptaków. Idąc na spotkanie kolegi dotarł w pobliże miejsca, w którym energetyczna przesieka przecinała obwodnicę miasteczka i wspinała się na lesiste wzgórze. Przemknął nią jakiś autobus i w pierwszej chwili do młodego Oliwy nie dotarło, że w ogóle nie słyszał warkotu silnika. Zresztą, na stoku zaraz pojawił się motor z jego przyjacielem na siodełku. Zamachał mu ręką, bez odpowiedzi. Zamiast tego jednośląd zwolnił, po czym skręcił w prawo na drogę.

— Co robisz?! — wrzasnął Jacek. Ale Krzysztof tylko dodał gazu. Wkurzony Oliwa puścił się pędem za nim i omal się nie zabił. Nieoczekiwanie na skraju lasu wyrósł przed nim niewidzialny, absolutnie przezroczysty mur.

— Jak to niewidzialny? W poprzek przesieki? — zdziwiła się Joanna.

— Przegradzał szlak i biegł dalej. Był twardy, gładki i zimny. Przeszedłem wzdłuż niego paręset metrów. Nie znalazłem żadnej przerwy. Próbowałem przebić go scyzorykiem. Nawet się nie zarysował. Przezroczysty jak powietrze, a twardy jak diament...

— Mój Boże, chłopiec dostał słonecznego udaru — pomyślała młoda macocha.

— Zastanawiałem się, jaki może być wysoki. Rzuciałem kamienie, odbijały się od ściany nawet na wysokości 20 metrów.

Ośrodek zastali opustoszały, zniknął szczupły personel, a wraz z nim pacjenci. Nawet wiekowy portier, kusztykał na swych kulach w stronę miasteczka.

— Co się dzieje? — zawołała do niego Joanna.

— Nie wie pani, zostaliśmy zaatakowani. Armagedon się zaczął!

Całą przestrzeń rynku pomiędzy ratuszem a posterunkiem, wypełniał zwarty tłum rychłowian, których zresztą stale przybywało. Plotka ogromniała z minuty na minutę. Ktoś widział wirujący dysk nad starą kuźnią, inny zauważył trójpalczaste ślady w ogródku. Niektórzy mieszkańcy byli uzbrojeni w widły lub w stare fuzje, a w wypchanych kieszeniach można było domyślać się obecności pistoletów gazowych. Wiele kobiet płakało.

Grozę powiększyła najnowsza relacja Mietka Rydzonia. Usiłując wyjechać z miasta w sukurs burmistrzowi, zaraz za mostkiem na Rychłowce w pełnym pędzie zderzył się z niewidzialną ścianą odgradzającą miasteczko od reszty świata. Dzięki zapiętym pasom on i Macał uniknęli poważniejszych obrażeń, wóz księdza nadawał się jednak do kasacji.

Pojawienie się komendanta Oliwy ani jego okrzyki nie uspokoiły nastrojów.

Doprowadzony do ostateczności komendant dobył służbowego pistoletu i wystrzelił w górę. W ciszy, która zapadła, do zgromadzonych doleciał odległy zgrzyt rykoszetu, a potem odbita gdzieś na wysokości kula, upadła z brzękiem na trotuar koło kościoła.

— O Jezu! — pisnęła Rozalia Kowalska. — Zamkli nas nawet od góry!

Wystrzał Oliwy, a jeszcze bardziej ręczny megafon dostarczony przez księdza Karolaka odrobinę rozładował sytuację. Idąc za ciosem, Oliwa, jedyny aktualny przedstawiciel władzy (burmistrza nie było, a wszyscy radni za wyjątkiem pana Wenantego Sękacza, wiecznie uśmiechniętego półgłówka, sprawującego funkcję komendanta Ochotniczej Straży Pożarnej, przebywali na urlopiach) zaproponował utworzenie sztabu kryzysowego. Macał błyskawicznie udzielił mu swego poparcia. Ale inicjatywa pozostała w rękach Oliwy. W skład tego ciała policjant, oprócz doradcy burmistrza i szefa strażaków, zaprosił ku zaskoczeniu wielu bezrobotnego Janeckiego, co, o dziwo, spotkało się ze zbiorowym aplauzem skwitowanym skrzywieniem warg Macała. Kolejnym nominowanym był Bogdan Frączkiewicz...

— Mogę wejść w skład sztabu tylko razem z żoną — powiedział biznesmen — chyba że, jako jej były mąż, pan komendant ma coś przeciwko?

— Absolutnie. Bardzo przyda się nam w tym gronie lekarz. A ty Joanno, zgadzasz się?

— Jestem do dyspozycji.

Deklaracji towarzyszyły oklaski.

— Proponowałbym jeszcze do tego składu przyjąć księdza Karolaka — powiedział Oliwa. — Chciałbym bowiem zachować pluralistyczny charakter naszego komitetu.

Z inicjatywy księdza dokooptowano jeszcze Mietka Rydzonia. Karolak wyraził opinię, że powszechnie doceniane zdolności „złotej rączki” mogą okazać się sztabowi całkiem przydatne.

Wybory ostudziły nastroje, jakby wraz z powołaniem sztabu większość lęków mieszkańców przeszła na ich przedstawicieli. W ostatniej chwili Wiktor Macał zaproponował uzupełnienie składu tego, jak twierdził, „bardzo nieformalnego ciała” o panią Zamieniecką.

— O mnie, naprawdę? — zdziwiła się wróżka.

— Chodzi o elementarny parytet kobiet w sztabie — tłumaczył eks-młodzieżowiec. I tę propozycję przyjęto, wszelako z mniejszym niż dotąd entuzjazmem. Mandatariusze woli ludu zniknęli w budynku komendy, a mieszkańcy w poczuciu dobrze spełnionego rozsądku poczęli się rozchodzić.

Ten i ów rozglądał się czujnie, wypatrując jakichś zielonych kształtów za węglem. Inni patrzyli w niebo lub w swoje ogłuchłe komórki, ale kosmos konsekwentnie milczał.

Pół godziny zabrało sztabowi podsumowanie sytuacji. Uzupełniające się relacje dowodziły jednego — miasto znalazło się pod kloszem, pozbawione łączności, choć energia elektryczna jakimś cudem dopływała bez przeszkód. Tajemnicze głosy nie odezwały się ponownie. Nie zdarzyło się też nic świadczącego o obecności obcych w mieście. Doktor Frączkiewicz udało się stwierdzić brak podwyższonej radiacji, nie zauważono dotąd żadnych chemicznych skażeń.

— A zagrożenia biologiczne? — dopytywał się Macał.

— Będę musiała dokonać szczegółowych pomiarów. Na razie, na podstawie rozmów z mieszkańcami wiem, że nikt nie zachorował. Także wszystkie obserwowane zwierzęta i ptaki cieszą się doskonałym zdrowiem...

— Proszę państwa... — podsumował nadkomisarz. — Sytuacja jest następująca. Pomiędzy godziną 11.59 a 12.05 zostaliśmy odcięci od świata. Nie mamy łączności telefonicznej ani radiowej.

— Nie możemy również wyjechać z miasta — dorzucił Macał.

— Niepokojące jest jeszcze jedno — odezwał się Janecki. — Dokonałem małego rekonesansu i widziałem ludzi pracujących w polu, po drugiej stronie. Nie słyszałem ich. Oni zaś ani nas nie widzieli, ani nie słyszeli...

Póki mówiono o konkretach, dyskusja toczyła się dosyć wartko. Gorzej, kiedy Oliwa postawił pytanie na temat interpretacji zdarzenia.

— To się nie mieści w głowie! — wybuchnął Frączkiewicz i zwracając się do Albina Karolaka, zapytał: — Słyszał ksiądz o czymś podobnym?

— Nigdy! — odpowiedział duchowny.

— A napis „mane, tekem, fares” na ścianie pałacu Baltazara, a krzak ognisty? — odezwała się, doskonale obryta w Piśmie Świętym, Zamieniecka.

— To są jedynie zabobony! — prychnął Macał, ponieważ żałując najwyraźniej przyłączenia Zamienieckiej do ich komitetu.

— Ja uważam, że powinniśmy przygotować się do ewakuacji — powiedział Sękacz.

— Jak i dokąd? — zdziwił się Oliwa. — Siedzimy tu jak w termosie.

— Ale co to wszystko znaczy? — gardłował Frączkiewicz. — Czy ktoś, kto zrobił ten kawał, wie, na jakie koszty nas naraża...

— Nie nazywałbym tego zdarzenia kawałem — przerwał mu Janecki.

— A czym?

— Plagą! — wtrąciła się Zamieniecka. — Początkiem końca świata!

— Nie używałbym tak wielkich słów, pani Felicjo — ozwał się ksiądz. O dziwo, wsparł go Macał.

— Żaden diabeł nie ma tu nic do rzeczy. Sprawcy tego zdarzenia są akurat znani.

— Wierzy pan w tych kosmitów? — zapytał Sękacz. — Słyszałem wprawdzie to oświadczenie w radio... Ale nie pamiętam konkretnych słów.

— Nic nie szkodzi, ja je nagrałem! — Macał wyciągnął kieszonkowy dyktafon i wduśił przycisk. Tajemnicze głosy wypełniły gabinet komendanta:

„Uwaga ludzie, uwaga ludzie! Już jesteśmy. Zachowajcie spokój. Nie ulegajcie panice. Czekać na kolejne komunikaty”.

— Tylko tyle, nic więcej? — dopytywał się ksiądz.

— Mnie wystarczy.

Zamieniecka znów zaczęła lamentować na temat końca świata i pewnego Armagedonu, lecz gdy



Oliwa zagroził jej usunięciem ze sztabu, błyskawicznie się uspokoiła. Niezwłocznie przystąpiono do podziału kompetencji między członków komitetu. Sękacz z grupą strażaków ochotników miał zbadać cały otaczający nas mur. Może jest w nim jakaś szczelina?

— Na rozkaz! — wyprężył się mistrz pożarnictwa.

Joanna zaproponowała przeniesienie do komendy laboratorium z ośrodka.

— Postaram się poddać analizie powietrze, glebę, może uda się coś zeszkrobać z tego muru. A nuż jest zbudowany z substancji organicznej.

Rydzoń podjął się zbadania możliwości wykonania podkopu albo użycia palników celem skruszenia tej bariery...

— Jak pan komendant da parę laseczek trotylu, to załatwimy tę kryształową ścianę na cacy — obiecywał Mietek.

— A jeśli Obcy potraktują to jako wypowiedzenie wojny? — zaniepokoiła się Zamieniecka. — Wtedy koniec z nami!

Jej obawy zostały zignorowane. Frączkiewiczowi udzielono pełnomocnictw w sprawie ustalenia, jakimi zapasami żywności dysponuje miasteczko na wypadek, gdyby odcięcie miało potrwać dłużej. Po tej decyzji, grupa członków sztabu bez przydziału stopniała do paru osób.

— Idźmy dalej... Ma pan jakieś zadanie dla siebie, panie Adamie? — Oliwa utkwiał swój wzrok w Janeckim.

— Myślę o pójściu do biblioteki — powiedział poeta, a widząc zaskoczenie komendanta, dodał: — Chcę rozejrzeć się w literaturze popularno–naukowej i science fiction. Być może istnieją jakieś precedensy a fenomen, którego doświadczamy, zdarzył się już gdzieś indziej.

— Bzdura — skomentował Macał. Oliwa był odmiennego zdania:

— Nie zawadzi spróbować.

Pozostała sprawa najważniejsza, kto miał odpowiadać za stały kontakt z mieszkańcami i uspokajanie nastrojów.

— Ja się tym zajmę — zawołała Zamieniecka, wyprzedzając Macała o pierś. — Potrafię gadać z ludźmi.

— Wiem o tym — powiedział Oliwa — ale chwilowo proponowałbym do tej roli raczej księdza Karolaka. Zgadza się ksiądz?

— Naturalnie, synu. Razem z panią Felicją.

Pozostali we dwóch, Macał i Oliwa. Wiktor nie taił wzburzenia.

— Rozumiem, że będę twoim zastępcą — powiedział impulsywnie.

— Przewidziałem na tę funkcję Sękacza — odparł komendant.

— Przecież to kretyn!

— Prawomocnie wybrany przez społeczeństwo tego miasta na radnego. Jeśli dobrze pamiętam, Wiktorze, ty w tych wyborach przegrałeś...

— W takim razie, co ja mam robić?

— Po pierwsze, nie przeszkadzaj.

Pan Mietek zamontował ładunek w wykopie obok ściany. Podkop okazał się niemożliwy, przegroda sięgała głębiej niż dwa metry.

— No, ludziska, cofnijcie się... — ostrzegał. — Jeszcze, jeszcze! Jak dupnie, to wam głowy poobrywa.

— Nie wiem, czy pan dobrze robi, panie Mietku — zauważył asystujący akcji Frączkiewicz. — Przybysze mogą potraktować eksplozję jako akt wrogości.

— A na co mamy czekać, aż podusimy się pod tym kloszem...? — zawołał ktoś z gapiów.

— Odpalaj, Mieciu — powiedział ksiądz, błogosławiąc pirotechnika amatora. — W imię Ojca i Syna...

Detonacja wstrząsnęła lasem, podmuch rzucił na ziemię paru gapiów. Eksplozję słyhać było nawet w ratuszu. Niestety, niewidzialna ściana nawet się nie zarysowała. Zrobiło się nieprzyjemnie. Tym bardziej, że ciemniejące nad Diablą Górką niebo zapowiadało szybkie nadejście nocy.

\* \* \*

Wybiła północ, ale nikt nie kładł się spać. Z wieży ratusza nie było widać żadnych świateł poza rejonem Rychłowa, chociaż słaba łuna od wschodu przypominała o istnieniu Masłowa.

Zgromadzeni na galerii członkowie sztabu wyglądali na bezradnych. Sprawcy ich nieszczęścia nie odezwali się, a ich odcięcie od świata nadal pozostawało faktem. Uspokajająco brzmiał jedynie głos doktor Frączkiewicz. W ciągu ostatnich godzin sytuacja nie pogorszyła się, a badania laboratoryjne nie wykazały obecności żadnych trujących substancji. Co najważniejsze, nie zmieniła się zawartość tlenu w powietrzu, nie przybyło również dwutlenku węgla.

— Co to znaczy? — zapytała Kamieniecka.

— Że wbrew pani obawom, nie udusimy się — odpowiedziała Joanna. — Z moich obserwacji wynika, że nasza bariera w nieznanym sposobie przepuszcza powietrze.

— Podobnie jest z wodą — dodał Oliwa. — Strumień nie uległ spiętrzeniu.

— W takim razie, dlaczego nikt z zewnątrz nam nie pomoże? — zastanawiał się Bogdan Frączkiewicz. — Przecież dawno musiano zauważyć, co się stało.

— Nie jestem pewien — odrzekł mu Adam. — Ze wszystkich naszych obserwacji wynika, że świat nas ignoruje. Nie przybywają autobusy, omijają piesi...

— Ale burmistrz? Przez te pięć godzin dotarłby nawet na piechotę do bariery, a widząc co się dzieje, podniósłby alarm... To jakaś dziwna sprawa.

Mój syn też został poza tym kloszem! — zauważył Rydzoń — a jakoś nikt nie zauważył, by próbował dostać się do środka.

— Są dwie możliwości — powiedział Janecki. — Albo zarządzono wokół Rychłowa kwarantannę...

— Ale wtedy można by nas poinformować choćby sygnałami optycznymi... — przerwał mu Sękacz.

— Toteż bardziej prawdopodobna jest druga możliwość! Świat o nas zapomniał, dosłownie wyparowaliśmy z jego pamięci...

— Któż mógłby tego dokonać, moce piekielne? — jęknęła Zamieniecka.

— Albo istoty dysponujące technologią wielokrotnie bardziej rozwiniętą od naszej. — Na to dictum Janeckiego z paru piersi wyrwało się westchnienie, co słysząc, Oliwa pośpieszył z uspokajającym zapewnieniem:

— Na razie nic nam nie grozi. Ktokolwiek dokonał tej manipulacji, nie zdradza żadnych złych zamiarów. Powietrza i wody jest pod dostatkiem. Mamy spore zapasy żywności, również sady owocowe zostały po naszej stronie... Jest trochę domowego inwentarza...

— Nie znamy jednak zamiarów agresorów! — wykrzyknął Frączkiewicz. — Być może usypiają

tylko naszą czujność.

— Lepiej nie nazywać ich agresorami. Mogą nas słyszeć! — poprawił go Macał, a większość rozejrzała się trwożnie. — Sądzę że bardziej poprawna forma to „Obcy”.

— Jak ich zwał, tak ich zwał — rzekł pan Mietek. — Ale czy może mi pan Janecki wytłumaczyć, dlaczego najpierw zagadali, a potem umilkli?

— Może sami ulegli katastrofie, która nas objęła i zostali na zewnątrz... — zaczął poeta.

— Jak potrafili zrobić coś takiego, to potrafiliby i zapanować nad tym — twierdził Rydzoń.

— Moim zdaniem, pora na nasz ruch — odezwał się Macał.

— Jak pan to rozumie? — Oliwa popatrzył się czujnie na byłego aktywistę.

— Przecież to jasne. Ogłosili swój apel i czekają na odzew. Gdyby szanowni państwo nie mieli nic przeciwko temu, mogę przygotować wstępny projekt takiego memorandum... Powitanie z szacunkiem, zapytanie o plany, określenie dopuszczalnego pola negocjacji.

— Mądrze gada! — skomentowała Zamieniecka.

— Tylko przydałby mi się do tego jakiś komputer. Burmistrz zabrał ze sobą klucze od gabinetu...

— Może pan skorzystać z naszego — Oliwa chyba po raz pierwszy od początku afery uśmiechnął się do Macała. — Internet i tak nie działa. A co do reszty... zejdziemy na dół i omówimy sprawę wart i patroli...

Sękacz jeszcze raz omiół wzrokiem całą okolicę, na oczach miał szkła noktowizyjne. Uliczki, ogródki, park i zarośla wokół miasta były puste, nikt nie kwapił się wychodzić z domu. A Obcy, jeśli nawet się kręcili, nie wydzielali żadnego ciepła. I nie było to wcale pocieszające.

\* \* \*

Pokoik Jacka mieścił się na parterze bliźniaka położonego opodal komisariatu.

Zakratowane okno znajdowało się tak nisko, że przy rozsuniętych zasłonach każdy mógł zajrzeć do pokoju chłopaka. O drugiej w nocy kotary były wprawdzie zasunięte, ale choć przysłaniały księżycowe światło, nie mogły stłumić zdecydowanego, choć niezbyt głośnego pukania w szybę. Młody Oliwa obudził się natychmiast. Przerażony. I niezdecydowany. Nadzieje, że hałas mógł pochodzić z jego snu, rozwiało pukanie powtórne, nieco mocniejsze.

Wyjrzał przez szparę, spodziewając się ujrzeć oślisłe ramię przybysza z kosmosu lub zębatą paszczę gremlina. Na zewnątrz stał jedynie Wiktor Macał. Gestem wskazał na usta, nakazując milczenie, potem na drzwi. Jacek zrozumiał i po chwili otworzył. Ojciec, śpiący po drugiej stronie stołowego, nie powinien się obudzić, za dwie godziny przejmował wartę. Czego mógł jednak chcieć o tej porze doradca burmistrza? Ten ledwie wszedł, pokazał chłopakowi dysk CD.

— Chyba musimy porozmawiać — powiedział, marszcząc brwi.

— O czym?

— Doskonale wiesz o czym. Przegrałem tę audycję kosmitów na wolniejsze obroty, usunąłem zniekształcenia... Czy wiesz może, czyj głos usłyszałem?

Jacek spuścił głowę.

— Milczysz? Obawiam się, że całe miasteczko czeka na wyjaśnienia twojej roli w tej znowie.

— W jakiej znowie? — wykrztusił chłopak. — Jeśli pan myśli, że mam coś wspólnego z kosmitami, to...

— Ja nie myślę, ja mam dowód.

— Ależ ja chciałem tylko zrobić żart. Kawał. Zgoda, próbowałem napędzić ludziom stracha, jak w Ameryce przed wojną Orson Welles. Zmontowałem tę kosmiczną gadkę, Krzysiek Rydzoń podjął się wyemitować z wieży triangulacyjnej sygnał nakładający się na UKF... ale to wszystko.

— Ciekawe — syknął Macał. — Zrobiliście sobie żarcik i natychmiast, zupełnie przypadkiem włączyli się agresorzy z kosmosu.

— Tak właśnie było.

— Wymyśl coś lepszego!

— To samo proponuję panu. Przecież nakryć miasto takim hermetycznym kloszem trudno byłoby nawet fachowcom z NASA, a co dopiero dwójce licealistów.

— Dwójce i owszem — Wiktor uśmiechnął się złośliwie. — Ale w zмовie z Obcymi.

— Przysięgam, my nic nie wiemy. Proszę mi uwierzyć. Porozmawiam z Krzyśkiem, kiedy wróci...

— Doskonale wiesz, że nie jest to kwestia tylko mojego zaufania. Ale inni? Myślisz, że ci uwierzą. Że tatuś cię obroni!?

Chłopak zadygotał, a były aktywista ciągnął dalej.

— Widziałeś wczoraj ten tłum pod komendą? Spanikowana hołota żadna jest krwi! Nie przyznasz się, to wezmą cię na tortury. A wtedy wyśpiewasz zarówno to, co wiesz, jak i to czego nie wiesz.

— Ale ja nie mam co śpiewać!!!

— Tym gorzej. Będziesz musiał szybko coś wymyślić. Chyba... — Na moment w pokoiku zapanowała głucha cisza.

— Chyba...? — powtórzył z nadzieją Jacek.

— Chyba że dojdziemy do porozumienia... — z kieszeni wyciągnął zmiętoszoną paczkę papierosów. — Zapalisz? — zapytał.

Świtało. W ogrodach ozwały się ptaki, gdzieś zapiął kogut. Na rynku rozległy się kroki patrolu, zaszczekał jakiś kundel. Adam Janecki pogrążony w sennych mirażach, których część dotyczyła jakiegoś zebrania w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich, obudził się nagle, słysząc zgrzyt klucza w zamku. Ręka poety zmacała toporek, który na wszelki wypadek położył koło łóżka. Uspokoił się dopiero widząc w drzwiach Joannę.

— Musiałam wpaść. Strasznie się boję — powiedziała Oliwa-Fraćzkiewiczowa.

— Nie powiesz, że twój stary pozwolił ci wyjść w środku nocy?

— Zaraz po zebraniu upił się i padł jak kłoda. Że też wszyscy moi mężowie mają skłonność do nadużywania alkoholu.

— Ja nie!

— I dlatego lepiej nigdy nie zostawaj moim mężem... Możesz się trochę posunąć? Ranek jest dość chłodny...

Błyskawicznie zrzuciła ubranie i wślizgnęła się do łóżka. Miała ciało zgrabne, opalone, jędrne. Doskonały „skafander” dla kosmitki. Ale już po chwili Adam odrzucił obawy, że jego kochanka może być kosmitką...

Około ósmej rano na plebanię zapukała Eugenia Zamieniecka. Widać było, że nie przespała tej nocy i pilnie potrzebuje duchowej pomocy. Za wróżką przypałał się piesek. Paskudny rozdygotany ratlerek. Jeszcze wczoraj ulubieniec burmistrza, dziś bezpańska przybłęda przygarnięta przez kobietę, dotąd nieznaną z życzliwości do cudzych zwierząt.

Albin Karolak już nie spał, odprawił właśnie poranną mszę w intencji „szczęśliwego zakończenia przeżywanych kłopotów” i pijąc poranną kawę usiłował uspokoić parafiankę, która dotąd do jego kościoła raczej nie przychodziła, a uprawiając praktyki magiczne, stanowiła poniekąd konkurencję dla proboszcza.

— Co ja pani mogę powiedzieć, pani Felicjo — mówił. — Ojcowie Kościoła milczą na temat życia w kosmosie. Chyba, że do istot pozaziemskich zaliczymy aniołów i diabłów...

— A ci nasi, to jak ksiądz myśli... Aniołowie? — zapytała Zamieniecka.

— Trudno orzec. Są niewidzialni jak anieli, ale stracha napędzili nam jak wszyscy diabli. Zresztą spektakularne zjawiska nadprzyrodzone to podobno pani specjalność.

— Moja?

— A te wszystkie taroty, szklane kule, wróżenie z fusów...

— Jakie tam wróżenie?! Przecież to dla chleba tylko, sam ksiądz wie najlepiej, że ludzie przyjmą u nas każdą ciemnotę...

Proboszcz nie zdążył skomentować, albowiem w tym momencie Karusek, który w kącie kuchni spożywał resztki księżej kolacji, oderwał się od konsumpcji, zastrzygł uszkami i wydał czujny szczek...

— Cichaj, piesku — powiedział ksiądz, jednak ratlerek obnażył jedynie krzywe kielki i warcząc, schował się pod komodę.

Prawie natychmiast, nieczynny od lat megafon w rynku zakrztusił się, gwizdnął, a potem wydał z siebie niesamowity głos:

— Uwaga ludzie, uwaga ludzie!

— Jezu! — sztucce wypadły z rąk Karolaka, a Zamieniecka skamieniała niczym żona Lota. — Odezwali się. Znowu!

„Uwaga ludzie! — rozbrzmiewało po rynku, odbijając się echem, aż spłoszone gołębie poderwały się w niebo. Parę z nich, uderzywszy w niewidoczne sklepienie spadło z przetrąconym karkiem na ziemię. — Nadajemy komunikat numer dwa. Wszystko jest pod kontrolą. Nikomu nic nie grozi. Nie ulegajcie panice. Zachowujcie się, jakby nic się nie stało. Czekać na instrukcje. Niedługo wyznaczymy sobie spośród was pełnomocnika, niedługo...”

Rynek zaludnił się błyskawicznie. Ludzie wyglądali na przerażonych, ale zarazem powtórne ujawnienie obcych podziałało uspokajająco, kończąc okres niepewności i wyczekiwania.

Na błyskawicznej naradzie u Oliwy podsumowano sytuację. Nikt nie widział agresorów, nie zostawiali śladów. Nie wiadomo jak dostali się do radiowęzła. Klucze do niego miał jedynie komendant, nieobecny burmistrz i elektryk przebywający na urlopie.

— Może ich technologia umożliwia połączenie bezpośrednio z ulicznymi głośnikami? — spekulował Janecki.

Najmniej zaskoczony wydawał się Wiktor Macał — jak się okazało, jeszcze w nocy przygotował tekst posłania do mieszkańców kosmosu i był gotów je wygłosić. „Skądkolwiek przybywacie, pokój z wami...” — brzmiał początek, który wzbudził zachwyt księdza i Zamienieckiej. „Jako wspólnota otwarta, jesteśmy życzliwie nastawieni do każdej, nawet pozaziemskiej cywilizacji...”

— Byle bez przesady — mruknął Sękacz.

„...Prosimy — wyjaśnijcie swoje stanowisko w kwestiach interesujących obie strony. Szanując wasze obyczaje, żądamy abyście szanowali nasze prawa i swobody.

— Żądamy? Czy to nie za ostro? — zaniepokoił się Frączkiewicz.

— A co się będziemy płaszczyć, godność się liczy! Tymczasem megafon znów zachrypiał megafon: — „Uwaga ludzie, uwaga ludzie!”

Poderwali się i skoczyli ku oknu.

„Słyszemy was i powtarzamy, żadnej dyskusji. Wymagamy absolutnego posłuszeństwa. Kto będzie posłuszny, zostanie nagrodzony, kto będzie nieposłuszny, zostanie ukarany.”

— Matko Boska! — jęknęła Zamieniecka.

— Trzymajcie mnie, bo rozwalę ten chrzaniony głośnik — ryknął, najwyraźniej nie panując nad sobą, Macał.

„To nam nie zaszkodzi, kędzierzawy rudzielcu!” — zabrzmiało w odpowiedzi.

— Widzą nas! — rozległ się szmer. I wszyscy ściszyli głosy. A kosmita buczał dalej:

„Lubimy ludzi gotowych na wszystko, nawet przeciwników”.

— Pieprzcie się — odszczeknął się towarzysz Wiktor.

„I dlatego ty, Macał, będziesz naszym pośrednikiem”.

— Nigdy!

„Nie masz nic do gadania! Wejdziemy w twój mózg i za twoim pośrednictwem będziemy komunikowali swoją wolę.

— A jak się nie zgodzę? — tym razem głos Macała nie był już taki pewny.

„Wtedy wszyscy zginiecie”.

Grupka sztabowców popatrzyła na byłego sekretarza.

— Na miłość boską, niech się pan zgodzi! — zawołała Zamieniecka.

— Ale to jest sprzeczne z moimi przekonaniem... — opierał się Macał.

— Chyba nie ma pan innego wyjścia — podsumował Adam, klnąc w duszy Obcych, którzy mając do wyboru całą śmietankę Rychłowa, zdecydowali się na tego karierowicza.

\* \* \*

Jacek, który jak większość małych dzieci sypiał długo, twardo przespał kolejne wystąpienie Obcych. Dopiero od kolegów wczesnym popołudniem dowiedział się o bulwersujących zdarzeniach poranka.

Macała zastał w dawnym gabinecie burmistrza, Rydzoń skończył właśnie wymieniać zamki w asyście Zamienieckiej, Kowalskiej i młodej, nieco wymokłej blondyny o obfitym biuście, przewidywanej na sekretarkę Tymczasowego Pełnomocnika.

— Panie Macał — krzyknął od progu. — Co pan...?

Pełnomocnik uciszył go, unosząc w górę rękę, po czym gestem dyrygenta nakazał opuszczenie pomieszczenia przez kobiety. Wyszły niechętnie, a Zamieniecka omiotła młodego Oliwę spojrzeniem więcej niż podejrzliwym.

— O co ci chodzi, przyjacielu? — zapytał Macał, widząc, że drzwi obite dermą zamknęły się na dobre.

— Co myśmy zrobili najlepszego?! — wybuchnął chłopak. — To miało być nagranie tylko na próbę. Dlaczego pan to puścił?!

Macał uśmiechnął się. Otworzył barek i nalał dwie lampki koniaku.

— Spokojnie Jacuś, kontroluję sytuację... — rzekł.

— Bo ja panu pomogłem. I dograł pan jeszcze ten idiotyczny dialog.

— Nie osądzaj mnie pochopnie, młody przyjacielu — Wiktor podsunął kieliszek Jackowi, a ten machinalnie wychylił go duszkiem. — Myślisz, że ja coś tu kombinuję? Że marzyłem o zajęciu tego

gabinetu? Nic mylniejszego.

— Więc po co to?

— Muszę jakoś sprowokować tych kosmitów. Zmusić, żeby się ujawnili. Rozumiesz. Przecież nie będziemy siedzieć biernie, jak ta reszta...

— Nie wiemy nawet, czy to kosmici.

— Obojętnie kim są. Nie możemy ulec anarchii. Musimy mieć wizję i wiedzieć, co zrobimy, gdy się odezwą.

— A jak się nie odezwą?

— To prędzej czy później znajdziemy sposób, by się uwolnić.

— Ale nie będę musiał więcej nagrywać?

Macał nalał kolejną lampkę.

— Oczywiście. Koniec z nagrywaniem — powiedział. — Mam już odpowiednie umocowanie. Pełnomocnictwo! Zrobimy porządek w tym miasteczku... — a widząc zdziwienie Jacka, dorzucił: — Tak, my. Bo kto inny? Kretyn Sękacz i jego czterech strażaków emerytów, twój ojciec policjant bez funkcyjariuszy. Razem z twoimi kolegami powołamy kosmiczny patrol do pilnowania ładu i porządku. — Szerzej rozparł się w fotelu. — Zamieniecka utworzy Towarzystwo Przyjaźni Rychłowsko–Kosmicznej, Kowalska zadba o informacje o nastrojach...

\* \* \*

Jakiś tydzień później Joanna i Adam spotkali się w wiatraku nad stawem. Nie kochali się. Służby informacyjne z braku innych zajęć doprowadziły do perfekcji inwigilacje mieszkańców Rychłowa. Kioskarz i kierowniczką apteki musieli raportować o każdej sprzedanej prezerwatywie czy pastylce wczesnoporonnej. Obcy chcieli to wiedzieć, mimo że podobno wiedzieli wszystko.

— Nasze służby to test na zaufanie — twierdziła Rozalia Kowalska, powtarzając opinie Pełnomocnika.

Młodzieżowe brygady „X”, zbrojne ramię Macała, też nie próżnowały. Za bojkot zarządzeń Obcych, Wenanty Sękacz wylądował w karcerze. Paru opornych skazano na chłostę i pręgierz. Frączkiewicz rzadko kiedy trzeźwiał, sfrustrowany Oliwa, po tym jak własny syn odebrał mu broń („Dla twojego własnego dobra tatusiu”), dotrzymywał mu pola.

Toteż Joanna i Adam siedząc obok siebie zachowywali odpowiedni dystans. Nie patrzyli na siebie, lecz w niebo gwiaździste.

— Można by pomyśleć, że nic się nie stało. Ten sam księżyc nad stawem, to samo kumkanie żab... — mówiła młoda lekarka.

— Skończyłem mój esej — zupełnie nie na temat powiedział Janecki.

— „Władza”.

— Tak, władza. Wiesz, znalazłem klucz. Słowa wypowiedziane przez naszego papieża ponad ćwierć wieku temu w Oświęcimiu. O tym, co wynika z dania człowiekowi munduru, broni... władzy.

— Przy milczącej bierności społeczeństwa — dorzuciła Joanna.

— Przy świadomości braku wyjścia! Gdybyśmy mieli jakieś szanse, tacy ludzie jak Macał, z namaszczeniem kosmitów czy bez, nie mieliby szans. A tak...

— Myślisz, że tak będzie zawsze.

— Nie wiem. Czasami zastanawiam się tylko, kto zyskuje, a kto traci na tej sytuacji.

— Towarzysz Wiktor.

— Nie tylko. Ceny żywności w hurtowni twojego męża poszły w górę. Ludzie podczas mszy dają na tacę co najmniej dwa razy tyle, co dawniej...

— Chyba nie podejrzewasz księdza o zмовę..?

— Nikogo nie podejrzewam, ale sama zobacz, pan Mietek nie może się opędzić przed zamówieniami. Zabezpieczenie okien taśmą klejącą, kopanie schronów... Salon magii Zamienieckiej też potroił obroty. Umundurowana banda nastolatków sieje strach wśród dorosłych.

— Ale uważasz, że to przyczyna czy skutek?

— Nic już nie wiem.

Niepomna ewentualnej inwigilacji, przytuliła się do niego.

— Fałszuję raporty — powiedziała.

— O czym mówisz?

— Utajniłam przed komitetem wyniki moich badań. W wodzie pitnej pojawiły się substancje...

— Trujące?

— Powiedziałabym stymulujące. Wzmacniające naturalne popędy. Nie, nie płciowe, skłonność do agresji, paniki... Być może wkrótce przekroczona zostanie bariera samokontroli.

— I co wtedy?

— Nie wiem. Epidemia zbrodni, szaleństwo, zbiorowe samobójstwo.

— Może o to komuś chodzi?

— Jestem tego pewna. Wiesz, z czym kojarzy mi się ten klosz nad Rychłowem?

— Nie mam pojęcia.

— Z laboratorium. Jesteśmy zwierzątkami w laboratorium, szczurami, królikami, świnkami morskimi. Poddanymi eksperymentowi nie wiadomo przez kogo. Eksperymentowi, którego sensu nie pojmujemy...

— Groza!

Nie mamy wyjścia. Objęła go i zaczęła całować, długo, zachłannie. Może ostatni raz.

Kiedy nadzy i spoceni wracali do rzeczywistości, uwagę Adama przykuły świetlne rozbłyski nad lasem. Raz krótkie, kiedy indziej długie. Jakby ktoś nadawał alfabetem Morse'a. Czyżby ktoś pragnął pospieszyć z pomocą? Z kieszeni dobył notes i pośpiesznie zaczął notować. Jeszcze z harcerstwa znał ten alfabet.

— Co nadali? — zapytała Joanna Odczytywał tekst powoli, litera po literze: PRZYGOTUJ SIĘ DO DRUGIEJ FAZY EKSPERYMENTU.

— A więc eksperyment — wyszeptała Joanna. — To raczej nie wygląda na obietnicę pomocy.

Adam milczał. Myślał. Wśród laboratoryjnych zwierzątek był ktoś współpracujący z laborantami. Kto? Samozwańczy, spragniony władzy Pełnomocnik? Czy ktoś, kogo w życiu nie przyszłoby im podejrzewać.

— Jest tu ktoś? — zawołała Joanna.

— Ja — z kąta wynurzył się Jacek w mundurku brygady „X”. — Nakryłem was.

Adam dopadł go jednym skokiem i przygwoździł do ziemi.

— Zabiję gówniarza! — wrzasnął.

— Nie — powiedziała młoda lekarka.

— Zadenuncjuje nas.

— Trudno, może tak być musi być.



\* \* \*

W swoim gabinecie Wiktor Macał, pełnomocnik, dyktator, jedynowładca Rychłowa siedział i trząsał się ze strachu. Przesłuchanie parki złapanej na potajemnym seksie potwierdziło inne sygnały. Ktoś w mieście miał kontakt ze światem z zewnątrz. Prowadził jakiś nieznany nikomu plan. I tym kimś nie był on. Samozwańczy pomazaniec nieznanym Bogów, którzy go zlekceważyli.



# Córka

Pamięci Zofii Siwińskiej (1913–1994)

*„Mimo wszystko, życie się dzisiaj nie kończy.”*

*Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem”*

Już wiem, że jesteś córką.

Moja babcia urodziła moją matkę, a moja matka urodziła mnie. Mama umarła wcześniej; we śnie. Wychowywała mnie babcia, która była kinomaniaczką. Wpłynęło to na jej umiejętności edukacyjne: pomimo, że panna Scarlett O’Hara (Vivien Leigh prowadzona przez Victora Fleminga) była „biblijnie” zła, zaś Ingrid Bergman jako Joanna d’Arc w filmowej hagiografii absolutnie święta, to i tak właśnie „Przeminęło z wiatrem” stało się ulubionym filmem babki. Ktoś mógłby uznać ten gust za dziwaczny — ja nie (choć gdy jeszcze bawiłam się lalkami, to superprodukcji Selznicka bliżej było do mezozoicznego triasu niż okresu, w którym przyszło mi żyć). Ten gust ukształtował mój wewnętrzny świat. Postanowiłam zostać aktorką. Taśma celuloidowa przetrwa podobno dwieście lat i o te dwieście lat nieśmiertelności mi chodziło.

Postanowiłam też, że gdybym w przyszłości miała córkę, to nazwałabym ją Melanią (od kruchej Melanii Hamilton). Melanią, bo to ja miałabym pozostać egoistyczną i zmysłową Scarlett...

Jednak urodziłam się w złych czasach. Kiedy piszę te słowa, aktorki nie są już potrzebne; nie ma też matek.

Urósł mi brzuch. To od hormonów, które codziennie aplikowałam sobie małą strzykawką, cienką jak jednorazowy długopis.

Mój brzuch spoczywa teraz ukryty pod zielonym prześcieradłem i od czasu do czasu zaburczy cichutko. Przed zabiegiem nie wolno mi było jeść i proszę bardzo! Na początek — źle pojęty wstyd. Wstyd z innej epoki. Miły sanitariusz pomógł mi przejść na ruchomy stół, jakich używało się na porodówkach. Poklepał mnie po ramieniu i niespiesznie podłączył do monitorów. Już mnie mdliło, a miało być gorzej. Nie zgodziłam się na zabieg z miejscowym znieczuleniem. Żadna to przyjemność mieć świadomość, że właśnie wbijają ci trzydziestocentymetrową igłę w powłoki brzuszne. Nawet motyle usypia się eterem, nim przyszpilą je do korka... Przyszedł anestezjolog i odkręcił kranik przy kroplówce z usypiaczem. Gdzieś nad moją głową mignęło przeraźliwie jasne, antyseptyczne światło. Znajomego sanitariusza już nie było, przyszli za to jacyś inni, obcy. Zresztą i tak nikogo nie poznawałam przez maski na twarzach. Czułam, że anestezjolog staje przy moim wezglowiu, równocześnie pielęgniarka o piegowatym czole zakryła mi twarz kawałkiem płótna.

— To co? Połowimy sobie trochę? — powiedział męski głos, a potem nagle wszystko się skończyło. Ciemność. Gdzieś poza nią wydobyto z głodnego brzucha komórkę jajową. Nasienie anonimowego dawcy z Banku Spermy już czekało na swoją szansę. Coś się kończyło, ale czy coś się zaczynało?

Przebudziłam się w tak zwanej sali pozabiegowej. Głowę wypełniała wata, oczy — mgła. No i ten szum w uszach; to dlatego trochę trwało, nim zorientowałam się, że nie jestem sama. Rozkazałam

powiekom, by się uniosły. Zadrzały niechętnie, ale okazały posłuszeństwo. Ciało wracało do mnie.

Inna pacjentka — zbierała się już do wyjścia. Poczula jakoś to moje spojrzenie na swoich plecach i obróciła się.

— Cześć. Zaraz przyjdzie jakaś piguła i zmierzy ci ciśnienie. Będiesz rzygać?

Krótko ścięta, wyglądała zupełnie jak nowozelandzka kuzynka, która kiedyś przyleciała na pogrzeb mojej matki. Rosła i wysportowana niczym autentyczna Spartanka. Szkoda byłoby zniszczyć ciążą takie ciało.

— Nie — powiedziałam.

— Co, „nie”? — uniosła brew w ewidentnie kokieteryjny sposób.

— Nie będę rzygać.

— Aha... — Miała na sobie białe majtki oraz podkoszulek z historycznym zdjęciem Eve Ensler. Na łóżku czekała płócienna spódnica i wojskowy plecak.

— Pomyśleć, że kiedy facet chce sobie kupić dziecko, to idzie do pokoju ze stolikiem pełnym świerszczyków, patrzy na lakierowane cipki i wali gruchę. Nie ma sprawiedliwości!

— Ale nie może urodzić.

— Fakt — roześmiała się. — Głupio by było.

— Jesteś dawczynią czy...

— Będę Rodzicem — odpowiedziała. — Trochę to kosztuje, ale warto. Losowałyśmy z Elzą i wypadło na mnie, że zamienię się w „kure”. Zresztą jestem zdrowsza.

„Czy Elza ją kocha?”, przyszło mi nagle do głowy. Nieznajoma była już ubrana i machała do mnie od progu. Odpowiedziałam jej tak samo.

Zabawne, ale najdłużej ze wszystkich porządków starego świata trzymała się homofobia. W końcu — pod presją światowego bankructwa i bezpłodności — musiała spasować. To dobrze; tyle, że wyglądało to już na ostatnie rozdanie. Rodzicem mógł zostać każdy: samotny lub samotna. Pary hetero i homoseksualne. Dawało to nadzieję. Tyle, że nadzieja ta była bardzo intymna w świecie, gdzie całość pochłonał globalizm. Wszyscy siedzieliśmy w brzuchu Wieloryba. Generacja Jonaszy. Czy tak jak Jonasz łaknęliśmy śmierci? Czy Bóg da nam lekcję miłosierdzia i przebaczenia?

Rudzi bliźniacy Tarletonowie właśnie przynieśli nowinę, że ukochany Ashley zaręczył się z Melą Hamilton. Zaraz trzeba się komuś pożalić, trzeba komuś to nieszczęście wykrzyczeć! Ojcu! Scarlett O'Hara przytrzymując dłońmi białą, koronkową sukienkę, odbiega od alabastrowego frontu rodzinnej posiadłości. Ciemne loki porywa wiatr, zielone oczy gorzeją, czerwone usta zaciskają się. Scarlett O'Hara biegnie, bo jest początek filmu. I będzie tak biec jeszcze przez następne dwieście lat. Mnie nigdy nic takiego nie spotka: ani teraz, ani za tysiące dni.

Zaczęło się od dość płynnego przejścia z tradycyjnej taśmy filmowej do cyfrowych nagrań obrazu. Wkrótce, zamiast iść do kina, całkiem legalnie można było przez Sieć ściągnąć sobie plik premierowego filmu do podręcznego laptopa. Kina jednak jeszcze nie padły i nie w tym kryła się zła rzecz. Gwoździem do późniejszej filmowej trumny były możliwości wizualne oraz idąca z nimi w parze interaktywność fabuły. Zaskakujące pokusy!

No i pojawiły się, prawie równocześnie: alternatywne zakończenia dla widzów i elektroniczne klony zmarłych Gwiazd. Pierwsza była M.M., ożywiona do jakiejś uwodzicielskiej reklamy dzinsów. Później Humphrey Bogart, Clark Gable, Vivien Leigh (Ingrid Bergman — nie). Od zachwalania coca — coli i funkcjonalności guzików w męskich rozporkach był już tylko krok do cyfrowych remake'ów klasyki zapamiętanej z kanału TCM. No i można było samemu wybierać, czy Scarlett O'Hara zostanie sama, czy też na samym początku wyjdzie za niejakiego Ashleya. Te elektroniczne reinkarnacje miały wiele wspólnego z internetowymi botami. Potrafiły błyskotliwie (jak i dziwacznie) odpowiadać na

pytania dziennikarzy i „sprytnie” prowadzić zaprogramowane rozmowy, dając wszystkim namiastkę sztucznej inteligencji. Nikt oczywiście nie posunął się do tego, żeby nazywać je czymkolwiek innym niż programami. Zwykle kultowe śmierci sławnych oryginałów nie pozwalały o tym zapomnieć. Jednak trend chwycił i chciano więcej. Stworzono aktorów w pełni wygenerowanych komputerowo, bez pierwowzoru, jednak to nie wypaliło. Można powiedzieć, że nie dawało należytego złudzenia; żadnego posmaku hazardowej gry. Chciano bogów ekranu, ale wcielonych w ludzkie dokonania i życiorysy. Bogów żywych, bez grobów na hollywoodzkich cmentarzach. Właśnie owo „życie” odróżniało botów od *awatarów*. Te zstąpiły na ziemię, by wypierać komedianów, którzy musieli pocić się i oddychać. Były nieskazitelne. Nieskazitelne i piękne, jak może być tylko wampir żerujący na śmiertelnikach. W dodatku niosły Tajemnicę, którą usta milionów fanów podawały w rytmie: Czy? Czy? Czy?...

Wielki Biznes Filmowy potrafił strzec odpowiedzi jak stugłowy smok. Elektroniczne pieniądze przecinały prawdziwym aktorom (to znaczy uzależnionym od antyperspirantów) medialne struny głosowe tak, że mogli żyć już tylko na obrzeżach legalnego świata, niczym średniowieczni żebracy.

„Scarlett, chcesz tylko Ashleya i nie będziesz go nigdy miała. A gdyby nawet Ashley chciał się z tobą ożenić, niechętnie bym się na to zgodził, mimo wielkiej przyjaźni, jaka mnie łączy z Janem Wilkesem. Chcę, aby moja córka była szczęśliwa, a z nim szczęśliwa nie byłabyś nigdy. Małżeństwo jest tylko wtedy szczęśliwe, kiedy łączą się ze sobą ludzie podobni.”

Wacik, który jednym palcem przyciskałam do zgięcia drugiej ręki, powoli czerwieniał. Pielęgniarka nalepiła etykiety „Lorena Jabłońska” na fiolki z krwią i wsadziła je do przenośnej lodówki. Dwoma zdecydowanymi ruchami ściągnęła jednorazowe rękawiczki i przeistoczyła się w sięgającą po papiery z biurka urzędniczkę. Miała funkcjonalnego koka, dwudziestoletnią twarz i pachniała Kenzo. Próbowалам wstać z lekarskiej kozetki, ale dała mi ruch ręką, że to niepotrzebne.

— Proszę mocniej nacisnąć — powiedziała. — Chciałam panią za to — zrobiła nieokreślony ruch dłonią — przeprosić. Ktoś nie dopilnował i wziął za mało próbek do bazy danych.

— Nic się nie stało — na przemian napinałam i rozluźniałam mięśnie ud. Zastanawiałam się, czy to zauważy.

Zaszeleścił papier. Miała na palcu pierścionek zaręczynowy. Bardzo ładny.

— Dostaliśmy z banku potwierdzenie przelewu pierwszej transzy.

— Wiem, zapłaciłam.

— Teraz i my to wiemy... Od nas pani też dostanie kwit.

— To świetnie.

— Tyle biurokracji — roześmiała się perliście. Brzmiała jak trącony słomką kryształ. Musiała być taka młoda, na jaką wyglądała. Nie potrafiono jeszcze naprawiać skorodowanych czasem strun głosowych. Była młodsza ode mnie. Poczulałam zazdrość.

Spróbowałam się podnieść. Udała, że ją to nie interesuje. To była w końcu moja sprawa.

— A skoro jesteśmy przy papierkach... Widzę po luce w formularzu, że nie zaznaczyła pani jeszcze pożądanej płci. Więc chłopiec czy dziewczynka?

Rezolucja ONZ zakazująca tymi czy innymi środkami manipulowania płcią oczekiwanego dziecka, od dawna leżała w grobie. Prenatalna możliwość decyzji o kształcie rodziny była zbyt dochodowa, by inżynieria medyczna z niej zrezygnowała. Nie musiała zresztą tego robić, bo zdołała wykształcić silne lobby. Zresztą nie nastąpiła spodziewana katastrofa demograficzna. Ubogich i średnio zamożnych, którzy w każdej rzeczywistości stanowili przeważającą część populacji, i tak nie było stać na wczesne planowanie płci dziecka. WASP-y gremialnie decydowali, by pierworodne

dziecko było chłopcem; po nim dopiero przychodziła kolej na dziewczynkę — jako „prezent dla żony”. Religijni ortodoksi z patriarchalnych i walczących kultur żądali co prawda płodzenia samych chłopców, ale światową demografię uratowały Wielkie Chiny. Stare komunistyczne przyzwolenie na posiadanie tylko jednego dziecka spowodowało, że już pod koniec XX wieku większość zdiagnozowanych ciąż żeńskich była usuwana. Parędziesiąt lat później powstała armia samotnych mężczyzn w różnym wieku, którzy gotowi byli płacić swatom elektronicznym złotem za Małą Chińską Narzeczoną. Gotowi byli też trochę poczekać...

— Loreno?

Odeszłam od własnych myśli i podniosłam głowę.

— Musisz się dzisiaj zdecydować.

— Wolałabym... Wolałabym, żeby to była niespodzianka. Nieznacznie skrzywiła usta:

— W sumie jesteśmy tu po to, żeby unikać niespodzianek. Milczałam.

— Aborcję na życzenie przeprowadzamy do dwunastego tygodnia. Muszę też uprzedzić, że płód jest niszczone automatycznie, jeśli nie otrzymamy kolejnej raty w terminie. Ale oczywiście o tym wiesz — czytałaś umowę....

Nigdy nie było żadnego mężczyzny. To znaczy mężczyzny, którego bym pokochała. Czytałam listy Ingrid Bergman: „*Mój kochanku! Moje kochanie! Moje wszystko na tym świecie. Jakże Cię uwielbiam! Mogłabym eksplodować od tego. Jestem Twoja na każdy sposób. Jestem szczęśliwa tylko gdy jestem blisko Ciebie. Kocham Cię na wieczność. Twoja na zawsze*...”. Po prawdzie ograniczałam się tylko do czytania... Nie potrafiłabym się tak w życiu otworzyć, czy może odsłonić. W życiu, bo w filmie to zupełnie coś innego. Film jest inny, nieludzki, niczym z innej planety. Zbyt doskonały, czyli zbyt jednoznaczny. Jak wielka klasyczna uroda kobiety. Same linie proste, żadnych skosów. Krystaliczne proporcje, perłowy materiał. Alabaster albo biały marmur. Dodam, że każdy film — czy Renoira, Cukora, Polańskiego, czy to, co ostatnio nazywa się *nowym filmem* — jest tak samo obcy.

Kiedyś (stałam wtedy na granicy dziecka, które nieodwołalnie przeistacza się w kobietę) i tylko raz poznałam starszego reżysera. Był to plan wielkiego europejskiego przedsięwzięcia z dawnych czasów. Wielka ekipa, wielkie gwiazdy, małe dziewczynki w małych rolach... Poczulałam wtedy do tego mężczyzny coś, co mogłoby być miłością, gdyby okoliczności były bardziej litościwe. Ale nie były, w sumie tylko głupiec może wymagać czegoś takiego. Jednak coś się iskrzyło. Widzę to najpełniej, kiedy oglądam tamten film. Narzuca się sposób, w jaki reżyser ustawiał mnie w kadrze. Wyglądałam jak cukrowany łąbędź, godny pożądania za dumę czy miłości za wiotkość.

Łąbędź z cukru, nawet gdy stoi na stole z boku, i tak odbiera wszystkim potrawom smak.

Tylko raz byłam łąbędziem. Potem to się rozmyło. Mała strata. Do cukrowanego łąbędzia przypisane jest oczekiwanie i brak spełnienia. Kiedy wreszcie ugryzie się jego kawałek, człowiek odkrywa, że jest niesmaczny. Zwykły cukier zlepiony w niespodziewaną formę. Zabawka dla dzieci. I tamten reżyser o tym wiedział.

Gigantyczny plaster miodu — takie było moje pierwsze skojarzenie, kiedy zobaczyłam je po raz pierwszy. Sztuczne macice; syntetyczne łożyska.

Ulem była hala, która proporcjami przypominała kościoły gotyckie, ale zdecydowanie w mniejszym rozmiarze. Raczej takie, które amerykańscy nuworysze budowali w XIX wieku po drugiej stronie oceanu. Pustka i światło.

Jak przypuszczałam, gdzieś za tym miodnym plastrem musi znajdować się tabernakulum — system

podtrzymujący życie tych wszystkich tworów. Tak wiele małych żyć. Kolosalność przedsięwzięcia sugerowała ilość kapłanów — lekarzy — inżynierów (głównie embriologów i genetyków; ale jakiś ginekolog — położnik też tu się trafia) snujących się z kąta w kąt. Wjeżdżających windami na piętro do tak zwanego „chóru” oraz znikających za pancernymi drzwiami, które kryły rzeczy niedostępne dla potencjalnego Rodzica. Zastanawiałam się, czy budynek *Prometheus Corporation* jest orientowany? No i jego nazwa. To powinno brzmieć jakoś inaczej — po aramejsku, hebrajsku albo chociaż po łacinie. Z drugiej strony, czy United States of America wciąż nie były Nowym Rzymem? Ano były. Cały świat prawie przejął zwyczaj tego Rzymu.

Zastanawiałam się nad tym, czy dorobią się swoich dusz te maleństwa zagnieżdżone w wyściółce sztucznych macic? Ci pasażerowie z innego świata, ukołysani w barwach karminu i fioletu na obrzeżach trwania? Wbrew temu co propagowali działacze z ruchu Pro-Life, w prawdziwej macicy jest ciemno. Nie ma żadnego światła. Płodowi to nie przeszkadza. Wprowadzenie barw na propagandowych plakatach było kosmetyką dla tych, którzy urodzili się wcześniej. Podobnie jest teraz, gdy karminowe światło rozlewa się po sztucznych macicach, skonstruowanych niczym supernowoczesne akwaria. Każdy Rodzic może zajrzeć i zobaczyć kolejne stadia ewolucji swojej „rybki”. Nazywa się to „wizytami”; mają one tworzyć „naturalną więź” albo przynajmniej dawać czystą informację o spożytkowaniu zainwestowanych pieniędzy. Rezydenci plastra miodu wyglądają jak fasolki, obrane ze skóry króliki, kotki bez sierści.

Konstrukcja jest wielopoziomowa; do wyżej położonych macierzyńskich kapsuł docierają małe windy pneumatyczne. Moja kwatera jest na poziomie O (na górze szklanego bąbla mieni się napis „Lorena Jabłońska”; niżej pozostawiono miejsce na identyfikację płci płodu). To dobrze, bo cierpię na lęk wysokości. Kiedy byłam tu po raz pierwszy, westchnęłam ze szczęścia, a potem rozejrzałam się jeszcze raz i jeszcze, i znowu. W końcu to, co tu się działo nie było byle czym: nadzieją i wyróżnieniem jednocześnie. Zaskakująca społeczna efemeryda, bowiem „przedtem” (to znaczy przed syntetycznymi łożyskami) nadzieja zwykle dotyczyła biednych i głupich, czyli tych, których wyróżnienia omijają. Zapytacie, jak to się stało, że kobiety i mężczyźni stracili płodność, a naturalne ciężce usychały i karłowaciały niczym dotknięte nieopisaną plagą egipską? Odpowiedź jest prosta, i banalna — zanieczyszczenie powietrza. Jedno pomieszało się z drugim, dodano do tego opar trzeciego, jakiś wyciek i bum! Nie oznacza to, że ludzie ze slumsów nie mają dzieci, bo nie stać ich na usługi *Prometheusa*. Czasem rodzą, czasem nie. Czasem wypada w kościach jedynek, czasem szóstka — ale dla nas, Rodziców, to za mało. Nie gra się z Diabłem o zdrowe dziecko.

Zdrowe, ale najprawdopodobniej bezpłodne. Z tym dziedzicznym czynnikiem jeszcze sobie nie poradzono. O oczyszczeniu planety nie może być mowy.

Reżyser Andrzej Żuławski wspominając Viv Leigh napisał, że wielkie aktorki muszą być ofiarami. *„Tylko ofiary tak podobają się na ekranie. Tylko w ofiarach, w sentymentalnie ułomnych, w pokrzywdzonych nawet wtedy, gdy błyszczące i pozornie krzywdzące, widownia widzi lepsze, piękniejsze, bardziej emocjonalne od siebie”*.

Dzisiaj to stwierdzenie już nie jest prawdą. Kłamstwo dotyczy widowni. Mój były agent zwykły twierdzić, że najlepsze aktorki to *awatary*. Nie było znaków ostrzegawczych. Nie dostrzegłam ich. Byłam ślepa. Rozpoczynający ósmy krzyżyk Bernie Lipszyc zaprosił mnie do biura. Poszłam, wcześniej perfumując włosy i dekolt „White” Armaniego. Bernie czekał na mnie, kołysząc się monotonnie w gargantuicznym, skórzanym fotelu. Zero uśmiechu. Wyglądał jak starzec w grocie; jak nawiedzony asceta.

— Usiądź — powiedział do mnie.

— Ekran — powiedział do elektronicznego asystenta biura. Niezapowiedziany film ruszył. Najpierw fałszywa rozbiegówka.

Spłoszone cyfry przebiegły mi przed oczami, a potem zobaczyłam kobietę. Nie była do mnie podobna, a przecież animatorzy komputerowi nie zmienili ani krzty siatki twarzy, figury — więc co to było, ta inność?

„*Star capacity*”, zdolność do bycia gwiazdą.

Nikt nie pokusił się o to, żeby przesłać mi scenariusz filmu, w którym grał mój *awatar*.

Ekran zaśnieżył.

— Przykro mi — rzekł Bernie.

— Za ile mnie sprzedałeś? Chwilę milczał.

— Lorena, pomyśl o gwiazdach niemego kina. Kiedy pojawił się film dźwiękowy, niektóre nadal świetnie sobie radziły.

Pokręciłam głową:

— Bernie... Spójrz na mnie.

Spojrzał i zobaczył. Żadna sytuacja nie jest adekwatna z moją.

— Nie masz przecież finansowych zobowiązań? Żadnych rat, prawda? Wiem, bałaś się tego, ale poradzisz sobie.

— Bałam się, że zostanę sama — powiedziałam po przekroczeniu progu — limbusa.

Już dawno temu udowodniono, że płód ludzki jest niezwykle muzykalny. Z tego też powodu wnętrza sztucznych macic rozbrzmiewały muzyką — różnorodną, w zależności od upodobań. Generalnie, tak płody jak i rodzice, cenili nad wyraz Mozarta i Beethovena; wszystko to zmiksowane z dźwiękiem bijącego serca. Trafiali się koneserzy przepadający za „Wielkimi Matematykami”: Bachem czy Vivaldim. Muzyka romantyczna z kolei średnio się przyjęła. Słuchano Wagnera. Dalej standardy rocka i popu. Rodzice wybierali The Beatles na równi z The Doors. Madonnę od A do Z (umarła w zeszłym roku, w studiu nagrań). Britney Spears i Lemoniad’s Cow — boy’s. Hagar i Dinę. Schuberta czy Michaela Jacksona nie słyszało się w ogóle — unikano ich ze względu na życiorysy.

Niemalże przyłożyłam usta do frontu kapsuły, w której wciąż jeszcze trwała moja córeczka. „*Aaa, kotki dwa. Szare, bure, szare, bure obydwaj* „. Zanuciłam jej kołysankę, którą przed wiekiem dwóch gwiazdorów śpiewało zagubionej panience Gross. Mój głos podnosił się i łamał, by przejść w skrzekliwy szept. Miałam w nosie to, że odgradza nas dźwiękoszczelna szyba, że córka mnie nie usłyszy. Nie była pora odwiedzin. Lekarze — inżynierowie też jakby nieco ginęli z widoku — tak sprawnie i szybko chowali się przed moim wzrokiem. Korzystałam z przywileju, choć wydawało się, że sprzątacze tego nie rozumie. Szedł od wewnętrznych drzwi, machając tu i tam jakimś skomplikowanym mopem. Chłonne gąbki przytwierdzone do plastikowego kija rozłaziły się jak macki ośmiornicy. Sprzątacze miał rudoblond włosy i nos jak skocznia narciarska. Udawałam, że nie jestem zła, kiedy postawił szerokie, dwuprzegrodowe wiadro tuż przy mojej nodze. Milczeliśmy, ale on przerwał pracę.

— Jakby ją pani nazwała?

— Anastasis.\*

— Przepraszam, nie dosłyszałem... — był zażenowany, a może tylko tak się wydawało. Tak wiele rzeczy się wydaje.

— Anastazja.

— Ach, Nastka — stwierdził po swoim, skubiąc ucho.

I odszedł. Potem odeszliśmy my; każda na swój sposób.



„Ach śpij kochanie.

Jeśli gwiazdkę z nieba chcesz — dostaniesz. Wszystkie dzieci, nawet złe, pogrążone są we śnie, a ty jedna tylko nie...”

*Wojciech Szyda*

# Szlak Cudów

(rękopis znaleziony w pociągu)

*Skąd mogę mieć pewność, że upierając się przy tym życiu, nie upieram się przy zwykłym śnie, opóźniając moment znalezienia się w prawdziwym świecie?*

*Czuang-Tse*

# Jeden

Chłopiec bawi się elektryczną kolejką, mały elektrowóz ciągnie pięć czarnych jak węgiel wagoników. Tszzszszszsz — słyhać cichy szmer miniaturowego pantografu. Sieć trakcyjna jest cienka niczym pajęczyna, rozwieszona wzdłuż nasypu na słupkach o grubości zapalek. Całe torowisko ma kształt nieregularnej elipsy — chłopiec siedzi w środku, a wokół niego precyzyjne makiety miniaturowych drzew, domów i urządzeń kolejowej infrastruktury. Jest wobec nich niczym Guliwer wobec lilipucich domków. Malutkie semafony i zwrotnice, pracujące z cichym sykiem mającym naśladować normalne odgłosy tego typu urządzeń — odzywają się co jakiś czas, na tle ciągłego dudnienia emitowanego przez głośniczki zainstalowane w wagonikach. Wrażenie jest bardzo naturalne, trzeba tylko dać się oczarować urokowi staroświeckiej zabawki. W dobie wirtualnych symulacji ta kolejka ma w sobie coś stylowego — niczym dźwięk wiedeńskiego walca z trzeszczącej płyty, bez porównania bardziej nastrojowy niż „oczyszczona” wersja cyfrowa tej samej kompozycji. Poza tym chłopiec — jak każde dziecko — posiada zdolność budowania rzeczywistości z kilku klocków, budulcem jest tu wyobraźnia. Leży z rękami pod brodą na miękkiej antystatycznej wykładzinie, i obserwując okrążenia kolejki, zapomina o świecie zewnętrznym: szpitalnym pokoju, odwiedzających go pielęgniarkach, tabletkach i posiłkach... Z łatwością odgradza się od tego wszystkiego: jak każde dziecko dotknięte autyzmem.

Staroświecka kolejka elektryczna — modny prezent w stylu retro. Przedwczoraj dostał ją na jedenaste urodziny od swojego biologicznego dziadka. Dziwna sprawa: doręczyć taki prezent do szpitala dla dzieci upośledzonych, a następnie rozkładać go i montować, aby wszystko zadziało i mały mógł się gapić w cykliczny ruch pociągu, oswajając się z całym sprzętem... Dziadek przeczytał, że jest to forma terapii, i choć nie do końca wierzył w autyzm wnuka — nie zaszkodziło spróbować. W końcu coś było z małym nie tak... Dziadek był jego prawnym opiekunem, płacił za kurację, a lekarze musieli wyrazić zgodę, by nie zagrażało to dobru dziecka. Poza tym kolejka miała dla starszego mężczyzny znaczenie symboliczne — pamiętał, że jeszcze on bawił się podobną, potem jego syn... Teraz nadeszła pora na kolejnego męskiego członka rodziny — szkoda tylko, że ten miał jakieś problemy z głową. Dziadek cały czas wierzył, że choroba minie i jako nastolatek chłopiec będzie już w pełni normalny. Gdyby nie ta wiara, nie podarowałby wnukowi tak drogiego prezentu.

Jest wieczór. Chłopiec wpatruje się intensywnie w ruch kolejki — i wnika myślami do wnętrza wagonów. W pokoju panuje cisza, nawet z korytarza przestały dobiegać odgłosy pracy personelu. Cichutkie turkotanie hipnotyzuje, malec przenika do świata we własnym świecie. Kolejna rzeczywistość, gniazdo podwieszane pod sufitem wyobraźni, schron dla percepcji... Pociąg zaludnia się pasażerami, makiety drzew stają się lasami, na słupach trakcji skrapla się rosa otwartej przestrzeni — czuć zapach świeżego powietrza, mnóstwo ozonu, właśnie przeszła burza... Chłopiec jest już panem tego miniaturowego życia: demiurgiem dla ludzików umieszczonych w środku, nadzorcą rzeczy żywych i martwych wewnątrz i wokół pociągu.

Introjekcja doskonała: to wszystko jest już w nim, zamknięte w laboratorium jaźni autystycznego dziecka.

*Mógłbym być zamknięty w skorupie orzecha i czuć się królem nieskończonych przestrzeni...*

Za oknem zmierzch przechodzi w noc. Można zaczynać. Chłopiec wyciąga rękę i dotykając palcem malutkiej dźwigni, zmienia zwrotnicę...

\* \* \*

Ktoś otworzył okno i chmura tytoniowego dymu zawirowała w podmuchu listopadowego wiatru. Stojący na korytarzu pasażerowie odwrócili głowy w stronę źródła zimna — atawistyczny odruch, zaniepokojenie nagłym chłodem. To był jeden z kolejarzy, musiał wychodzić z ubikacji, bo twarz miał czerwoną a ubranie na brzuchu zarzygane — pewnie zachciało mu się zaczerpnąć tchu po nieprzychylniej reakcji organizmu na podłej jakości alkohol. Pałący papierosy uciekinierzy ustępowali mu miejsca, kiedy człapał wzdłuż korytarza, mamrocząc coś i burcząc pod nosem. Takich jak on było kilku — kazali nazywać się konduktorami, choć o sprawdzaniu biletów nie było mowy. Niejednemu pasażerowi musiała przejść przez myśl obawa w rodzaju: „I tacy ludzie mają nas transportować do granicy!”, niejeden przeklinał teraz swoje położenie i sytuację, w jakiej się znaleźli. Za brudnymi oknami rozciągała się smolista czerń nocy kojarząca się z kosmiczną próżnią — naprawdę nie było nic widać. Nieoświetlony pociąg toczył się po starych torach w nieoświetlonym krajobrazie, a zachmurzone niebo było dla ludzkiego oka pozbawione gwiazd w stopniu wręcz doskonałym. Wewnątrz pociągu panował półmrok — pozwalano włączać słabe lampki w przedziałach, a w korytarzach emitujące ohydne sraczkowate światło czterdziestowatowe żarówki. Skład musiał być niewidoczny, co akurat wszyscy rozumieli — była to kwestia wspólnego bezpieczeństwa załogi i pasażerów. Natomiast zachowanie kolejarzy było (zwłaszcza dla zagranicznych podróżnych) niezrozumiałe — pili ostro, odurzając się samogonem z rytualną wręcz powtarzalnością, jakby było to częścią jakiegoś obrzędu: sprawdzianem źle pojętej odwagi lub twardości charakteru; a także wydolności organizmu. Nikt jednak nie śmiał zwrócić im uwagi — nie w tych okolicznościach. Co prawda zapłacili słono za kurs pociągiem — widmem, jednak byli w pewnym sensie na łasce kolejarzy — na pokładzie tego starego składu nie obowiązywały żadne prawa. I to nie tylko z powodu trafności starej sentencji: „Kiedy grzmią działa, milczą prawa” — co dotyczyło w pewnym sensie ogarniętego wojną kraju. Gdyby obsługa pociągu postanowiła kogoś karnie wysadzić na bezludziu — mogłaby to zrobić, nie obawiając się sankcji. No, może poza tą jedną, że złapany przez patrol uciekinier wygadałby się podczas przesłuchania na temat nielegalnych kursów. A wtedy skład zostałby namierzony i interes szybko by się sypnął. Mimo tych obaw kolejarze mogli wywieźć ich gdzie bądź, oszukać i zadenuncjować — wszystko opierało się na kruchym zaufaniu, a przejazd był płatny z góry, co nie motywowało kolejarzy do dalszych starań. Zachowywali się tak, jakby robili uciekinierom łaskę...

Tymczasem konduktor był już w następnym wagonie. Człapiąc, zaglądał do przedziałów, jakby wiedziony jakimś paranoicznym podejrzeniem szukał gapowiczów — sytuacja niemożliwa, bo wszystkich dokładnie sprawdzono, a dosiąść się podczas któregoś z przystanków było niemożliwością. Poza tym, kolejarze raz dziennie liczyli podróżnych — dla pewności. Nic nie było równie ważne jak to, żeby w pociągu nie znalazły się osoby trzecie, zarówno z ekonomicznego, jak i z ergonomicznego punktu widzenia. Nie mówiąc już o zagrożeniu, jakie stwarzałby taki intruz „na pokładzie”.

Ciałem konduktora targnął paroksyzm zwiastujący wymioty. Odruch gastryczny był silny — kolejarz przyspieszył. Dochodząc do końca wagonu, kładąc dłoń na uchwycie aluminiowo — szklanych drzwi, zerknął przez uchyloną zasłonkę do ostatniego przedziału, stykającego się tylnym przepierzeniem z obskurną toaletą — aktualnym celem jego wędrówki. Sam nie wiedział, czemu się zatrzymał, niczym biegacz przed metą. Mrugając oczami przypatrywał się siedzącym, jakby zobaczył duchy. A przecież wyglądali zupełnie zwyczajnie, niczego dziwnego nie ujrzał. Nawet mu się specjalnie nie rozdawali. Zobaczył dziadka spoglądającego na niego z pogardą. Przykrytego kurtką szczeniaka z długimi kudłami. Dwie starsze kobiety... Był tam także facet około czterdziestki, pochylony nad zeszytem trzymanym na kolanach. Musiał walczyć z dość niewygodną pozycją, gdyż z dłoni wystawał mu żelopis, spod którego wyskakiwały nierówne znaki — niełatwo pisać w chybottliwym pociągu. Ciekawe, co tak zawzięcie gryzmolił? Ból ścisnął skronie konduktora, organizm po raz kolejny przypominał o fizjologicznym aspekcie bytu. Kolejarz odwrócił wzrok i przestał myśleć o pasażerach. Jego Itaka była tuż za drzwiami — naparł więc na nie silnie, kończąc swą kilkuminutową pijacką Odyseję od jednego kibla do drugiego.

Mężczyzna w ostatnim przedziale nie przestawał pisać...

\* \* \*

*Drogi Robercie,*

*przymusową podróż rubieżami tego dziwnego kraju postanowiłem uprzyjemnić sobie czymś, czego dawno (w tej formie) nie robiłem; mianowicie pisaniem listu. Wybieram Cię na adresata. Chociaż pewności, że list dotrze do Ciebie — nie mam żadnej. Nie wiem też, na ile mój pomysł jest szczery, a na ile wyrachowany — mam w końcu zawodowy nawyk pisania reportażu. Ta przymusowa ucieczka jest wręcz doskonałą okazją do czynienia różnych dziennikarskich spostrzeżeń. Nie miej więc pretensji, jeżeli kiedyś opublikuję ten materiał. Może być i tak, że tych ręcznych notatek nie przeczyta nikt — ani Ty, ani czytelnicy jakiegoś portalu lub czasopisma (Bóg wie, co się może przytrafić na szlaku).*

*Nie szkodzi.*

*Z rozbawieniem obserwuję swoją nieporadną dłoń, odzwyczajoną od operowania archaicznym żelopisem. Palce są pełne nawyków zapamiętanych przy stukaniu w klawiaturę bioptera (zaginęła podczas ewakuacji). Jakże mocno muszę się teraz wysilać, by utrzymać krótki przyrząd i prowadzić jego końcówkę bez kreślenia chaotycznych załamaniań i fantazyjnych zawijasów! Pismo mam jednak brzydkie (ciekawe, co by powiedział grafolog?). Dodatkowym utrudnieniem jest trzęsący rytm pociągu, te tory są jednak bardzo stare... Dwudziestowieczny elektrowóz ciągnie z mozolem siedem wagonów w stronę granicy administracyjnej regionu — lepszy jednak taki transport niż żaden. Zaczynaliśmy jeszcze gorzej: krótki odcinek trasy, na którym nie zachowała się w ogóle trakcja (gdzieś w zachodniej Polsce) przejechaliśmy ostatnim sprawnym parowozem na tych ziemiach, lokomotywą o wdzięcznej nazwie „Piękna Hellena „. Kolejarze mieli duży zapas węgla, więc w kłębach pary i szumie tłoków toczyliśmy się dostojnie pośród leśnych ostępów...*

Czarne rękawiczki wylądowały na podłodze. Stanowczo przeszkadzały w przewracaniu stron. Oficer wytarł spocone dłonie w spodnie, splunął na podłogę — i przekartkował zeszyt. Był w całości zapisany ręcznym pismem — jednolity, nudny ścieg krzywo stawianych znaków... W dodatku

na przemian po polsku i angielsku. Na szczęście znał oba języki — wymogi stawiane zawodowym wojskowym w rosyjskiej armii były coraz wyższe. Przybliżył lampę i pokonując wyboje brzydkiego charakteru pisma — czytał dalej:

*Z trudem mieszczę te słowa w równej linii. Piszę w starym zeszycie z plaspieru, więc przynajmniej nie mam się co martwić o trwałość zapisu. Nie muszę obawiać się zwłaszcza tego ekspansywnego gatunku grzyba niszczącego papier. W tej części Europy spowodował on istną hekatombę wszelkich druków; zarazie oparł się tylko papier laminowany... Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę ze stopnia zniszczeń. Nie udało się ochronić przed pasożytem żadnych cennych rękopisów, największe narodowe księgozbiory zostały niemal doszczętnie zniszczone... To jakby ewolucyjna konieczność, cios łaski zadany papierowemu nośnikowi, od kilkudziesięciu lat umierającemu powoli i wypieranemu przez coraz wygodniejsze w użyciu komputery i bioptery — można na to patrzeć w ten sposób. Kto miałby jednak czas przejmować się starymi księgami, gdy wokół wojenny chaos? Celulozą nie nakarmi się zgłodniałych mas. Na szczęście większość starodruków i manuskryptów została wcześniej skopiowana w formie elektronicznej. O odtworzeniu oryginałów nie ma jednak co marzyć.*

„Ogólnikowe pierdoły...” Rosyjski oficer podniósł wzrok znad kartek i zamyślił się posepnie. Mocniej naciągnął izotermiczny szynel, chuchnął w dłonie. Nie znosił tych wszystkich biotechnologicznych nowinek przemysłu zbrojeniowego, wymyślanych przeciwko niskim temperaturom: zwłaszcza śmierdzących kremów cieplnych, które umożliwiały przebywanie nago na mrozie, zapewniając jednocześnie prawidłową wentylację skóry — nie stosował ich nawet do rąk. Rękawiczki mogą być, tyle że trudno przewracać w nich kartki. Lepsze były metody tradycyjne: nie ma to, jak pociągnąć gorzałki, a na noc natrzeć się spirytusem. W warunkach polowych mógł sobie na to pozwolić, więc nalał z menażki Smirnoffa. Lektura znalezionych notatek zapowiadała się średnio interesująco, niemniej musiał zapoznać się z zawartością zeszytu — a nuż zawiera ważne informacje? Przechylił szklanekę, gdzie wcześniej nalał na dwa palce wódki, i kontynuował:

*Pociąg wlecze się pośród sennych krajobrazów. Za oknem jesień, rozmazane pejzaże znikają po obu stronach torów. Przyzwyczajony do kolei magnetycznej i napowietrznej — czuję się jak na wozie drabiniastym wleczonym przez dychawiczną szkapę. Kierownik pociągu, wąsaty typ, od którego śmierdzi samogonem, twierdzi, że przy dobrej widoczności jedziemy nawet siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Czyli jak byśmy stali w miejscu... No, ale sam wybrałem ten środek transportu, jest mimo wszystko najbezpieczniejszy. Suta łapówka pozwoliła mi uciekać z północy na południe, razem z grupą kilkuset innych cudzoziemców. Choć z drugiej strony — to również mój land. Tak to zawsze czułem (zbyt długo pracowałem tu jako korespondent zagraniczny, by nie przywyknąć — a przyzwyczajenie jest w końcu naszą drugą naturą). Ważne, że w ogóle jeszcze żyją — na co dzień człowiek stanowczo nie docenia tego oczywistego faktu. Kilkunastu ważniaków, którzy próbowali spieprzyć prywatnymi awionetkami i air-gingera — mi najnowszej generacji — zostało zestrzelonych po kwadransie. System przeciwlotniczy jest szczelny i nie wypuści nikogo — aż dziwne, że nie napierdalają do ptaków.*

W tym miejscu oficer zarechotał. Wreszcie trafił na coś w miarę zabawnego. Z tymi ptakami to nie było do końca tak — trasy migracyjne niektórych gatunków wiodły przez granice i natrafiały na obronne ściany powietrzne, co kończyło się dziesiątkowaniem stada: ptaszyska wlatywały na

laserowe nici, rozciągnięte pionowo co pół metra, i w większości spadały na ziemię, przecięte idealnie niczym piłą tarczową. Żołnierze śmiali się później, znajdując w pasie przygranicznym pół — bociana albo pół — wronę... Niektórym sztukom udawało się przedostać i nie odnieść żadnych obrażeń (traciły najwyżej trochę piór...). Oficer zastanowił się przez chwilę, co by było, gdyby zastosować nici wobec tego pociągu, który przez tak długi czas pozostawał dla nich niewidzialny. Kupa żelaza przeciwko ostrym jak kosa samej śmierci nitkom — wynik tego starcia mógłby być interesujący... Wrócił do lektury znalezionej zeszytu:

*Trasa, którą jedziemy, jest nazywana tutaj „szlakiem cudów”. Bo jest w istocie cudem, że stara trakcja kolejowa zadziałała, choć elektryczny transport torowy został ostatecznie wygaszony w tej części Europy pięć lat temu, czyli z dziesięcioletnim opóźnieniem wobec zachodniej części kontynentu, gdzie od dawna był już tylko atrakcją turystyczną. W nazwie tej chodzi jednak przede wszystkim o szansę ocalenia. O cud uciezki. Stary sprzęt wlecze się zarośniętym, nieużywanym od lat torowiskiem, mija opuszczone budynki kolejowej infrastruktury, wszystkie jeszcze z zeszłego wieku. Wywozi ku granicy grupę szczęściarzy, wśród których i ja się znalazłem. Bogu niech będą dzięki! Kiedy obowiązuje generalny zakaz opuszczania regionu, a wszystkie powietrzne kanały migracyjne są zablokowane — szansą jest powrót do starych środków lokomocji. Cwaniacy obsługujący pociąg to bez wyjątku byli kolejarze. Dziesięć lat temu masowo zwalniano ich z pracy — śmierć sektora kolejowego była nieunikniona, podobnie jak wcześniej górnictwa i prawie całego przemysłu ciężkiego (stynne, rozciągnięte na kilkadziesiąt lat wygaszanie przemysłu stocznioowego i — częściowo — hutniczego). Już pod koniec zeszłego stulecia zaczęto zamykać nierentowne połączenia, początkowo tylko lokalne. Później przechodzono stopniowo do coraz dłuższych odcinków, nawet między dużymi miastami. Powód był prosty: przewozy pasażerskie przestały się opłacać, bronił się jeszcze tylko jako tako transport towarowy. Ponadto pojawił się indywidualny ruch powietrzny — wygodne, nowoczesne awionetki oraz air-gingery zdobyły niebo, więc prawo lotnicze musiało zalegalizować ten stan rzeczy. Masowy elektryczny transport kolejowy był przeżytkiem, przez ostatnie trzy dekady ciągnął głównie na dotacjach. Dlatego wolny rynek musiał pozbyć się tego balastu.*

*Oczywiście kolejarze nie mogli być gorsi od swych poprzedników i odejść bez zadymy — na do widzenia sparaliżowali region falą protestów. Przez następne lata wraz z rodzinami gnieździł się w budynkach przy torach i dworcach, okupując dyspozytornie, magazyny i stare przybudówki peronów. Nazwano ich żartobliwie — może znasz to polskie słowo — wykolejeńcami... Torowiska przestały mieć znaczenie, nikomu nie chciało się ich nawet demontować. Ot, zarastały. Dziczały. Nie zbombardowano ich nawet podczas ostrzegawczych nalotów, bo od lat nie były używane, a tym samym pozbawione znaczenia strategicznego. W zakładach taboru stały jednak wycofane pociągi — i w końcu okazały się użyteczne. Należało jeszcze rozwiązać problem uruchomienia prądu w trakcji, i kolej znów ożyła, tym razem nielegalnie — jako ostatnia nadzieja na ocalenie uwięzionych w tym regionie osób. Szlak cudów ciągnie się wśród lasów i pól, kolejarze celowo unikają większych miast i odkrytych nasypów. W ten sposób dowożą pasażerów nad południową granicę. Później trzeba szukać przemytników ludzi.*

*Zwykli przemytnicy, którzy również jadą tym składem (nie przepuszczą takiej okazji, gdy granice są zamknięte), mawiają z niechęcią: „Szlak cudów”. Po czym spluwają, jakby chcieli odczynić zły urok. Krążą dziwne plotki, niesprawdzone opowieści o zdetonowaniu bomby wodorowej ograniczonego zasięgu w Sudetach. Promieniowanie ma się ponoć rozciągać do Wałbrzycha, czyli mniej więcej w okolicach, gdzie nasz pociąg kończy bieg. Mało kto jednak w to wierzy. W ostatnich tygodniach rozpuszczono tyle niesprawdzonych plotek, że i ta informacja*



*wydaje się wątpliwa. Prawdę poznamy dopiero wówczas, gdy dotrzemy na miejsce. Jeżeli dotrzemy na miejsce.*

Oficer zamarł nad zeszytem. Siedział chwilę jak sparaliżowany i nasłuchiwał. Najpierw nocną ciszę przeszył odgłos strzału, a później ktoś krzyknął — raczej się nie przesłyszał. Wstał i błyskawicznie sięgnął po leżącą obok broń. Wytrzeźwiał momentalnie, jakby wydzielona w ciągu kilku sekund adrenalina stoczyła w nim zwycięski *Blitzkrieg* z promilami. Odgłos strzału powtórzył się. Nadpłynęły też inne dźwięki: żołnierze wrzeszczeli w panice, rozległa się krótka seria z karabinka...

Rosyjski oficer wychylił głowę, trzymając pistolet w pogotowiu. Było ciemno jak w dupie. Chciał zakląć, bo nikt się z nim nie skontaktował ani nie przybiegł meldować o sytuacji, lecz właśnie wtedy ujrzał...

\* \* \*

Autystyczny chłopiec nie zwrócił uwagi na pielęgniarzy, którzy od jakiegoś czasu stali za jego plecami i spoglądali na kolejkę. To fascynowało niezależnie od wieku. Zanim położą małego spać, przerywając mu jego zajęcie, sami trochę sobie popatrzą. W końcu jeden poklepał chłopca lekko po ramieniu.

— Dość zabawy na dzisiaj, Billy, czas spać.

Malec był zupełnie bierny — jak to w jego stanie.

— Jutro znowu uruchomimy ci kolejkę. Ale teraz musimy ją zatrzymać...

Znów bez reakcji.

— Pokaż, w którym miejscu się to wyłącza — najlepiej sam zatrzymaj skład.

— Nie chcę — wyszeptał Billy na granicy słyszalności. — Ten pociąg musi jechać.

— Dlaczego, Billy? — spytał łagodnie pielęgniarz, który był akurat pochylony nad chłopcem i dzięki temu w ogóle go usłyszał.

— Bo oni cały czas uciekają, spieszą się. Nie można...

Pielęgniarze nie dowiedzieli się, czego „nie można”. Chłopiec znów zamilkł i obserwował z uwagą kolejkę. Jego twarz zastygła jak kamienna maska. Trzeba było zastosować delikatny fortel.

— Ale dzisiaj wieczorem musimy odłączyć zasilanie, Billy, bo grozi nam awaria. Dlatego również twoja kolejka musi się zatrzymać.

— Niech sobie odpocznie, zdrzemniecie się oboje — dodał drugi pielęgniarz. — A już jutro rano, po śniadaniu tabor wznowi podróż...

Wzięli chłopca pod ramiona i unieśli delikatnie. W każdej chwili mógł dostać napadu.

— Rozumiesz, Billy?

Dziesięć sekund czekania. W końcu mały skinął głową, choć minę miał bardzo smutną.

— To dobrze. Każdy potrzebuje snu.

— Ja sam... — bąknął chłopiec, wskazując w stronę wyłącznika. Pielęgniarze pozwolili mu pochylić się nad pudłem sterującym i po chwili bieg pociągu zaczął ustawać — przez kilka sekund wagoniki toczyły się jeszcze siłą bezwładności, dopóki miniaturowy skład nie zatrzymał się między pluszowymi wzgórzami i makietami plastikowych drzew...

Szmer umilkł, w pokoju zrobiło się nagle bardzo cicho. Pogodzony z sytuacją chłopiec przeszedł

do łazienki — gdzie miał przystąpić do dokładnego mycia zębów, jak zawsze pod okiem pielęgniarki. Zazwyczaj zajmowało mu to równe dziesięć minut.

## Dwa

Szary świt na brudnej szybie — takie musiało być odczucie każdego pasażera, który obudził się i odruchowo zerknął za okno. Późna jesień nie jest czasem słonecznych poranków nastrajających optymistycznie do życia, choć nic bardziej nie przydałoby się uciekinierom niż właśnie optymizm. Odkąd powierzyli swój los kolejarzom — nie mieli wpływu na dalszy bieg wypadków. Musieli czekać, niczym bierne ładunki wiezione z punktu A do punktu B — ludzkie bagaże nie decydujące o kierunku ani o tempie podróży. Mimo, że poruszali się starym pociągiem osobowym, byli traktowani bardziej jak *cargo* w pociągu towarowym — bez przystanków i udogodnień, bez możliwości kierowania pretensji do obsługi... Jeżeli ktoś by się rozchorował — to wyłącznie na własną odpowiedzialność.

Zostali przypisani do konkretnych wagonów, a nawet przedziałów. Każdy siedział tam, gdzie usadzili go kolejarze po przesiadce z „Pięknej Helleny”. Odbyło się wtedy ponowne liczenie pasażerów i sprawdzanie dowodów zapłaty za kurs — starych, wycofanych z obiegu monet bez większej wartości kolekcjonerskiej. Papier diabli wzięli, grzyb zrobił swoje — więc przewoźnicy musieli wydawać w zamian za gotówkę stare, specjalnie oznakowane euro-centy. Odgórne przydzielenie miejsc spowodowało powstanie przypadkowych konfiguracji w przedziałach — każdy musiał znosić tych towarzyszy podróży, jacy przypadli mu w udziale. Współpasażerowie bywają jak sąsiedzi — zazwyczaj nikt ich sobie nie wybiera — i w całym pociągu było podobnie... Niektóre przedziały składały się prawie z samych Polaków, skład innych był międzynarodowy lub mieszany: polsko-zagraniczny. Ogólnie rzecz biorąc, większość pociągu zajmowali cudzoziemcy: dziennikarze, prawnicy, przedsiębiorcy... Najbardziej zdenerwowani wydawali się turyści, którzy nie zdążyli czmychnąć z Polski przez lekkomyślność lub przez brak kontaktu z mediami (zaszyci w bieszczadzkiej albo mazurskiej głuszy uciekli od cywilizacji na tyle skutecznie, że gdy do niej wrócili, zemściło się to na nich okrutnie).

Świt obudził również pasażerów ostatniego przedziału w trzecim wagonie. Brudny poranek na brudnej szybie — pomyślał z sarkazmem długowłosa student, zerkając na ściśniętych współpasażerów (najchętniej amputowałby im wszystkim nogi — żeby móc wyciągnąć zdrętwiałe swoje). Nie był jednak pierwszym, który się obudził — gdy otworzył oczy, zagadkowy cudzoziemiec w sterczących na jeża siwych włosach znów pisał coś w notatniku. Student pomyślał, że facet zabija w ten sposób nudę, chyba żeby był literatem. Sam pisał co nieco, jednak w podróży nie potrafiłby się skupić — tym bardziej podziwiał tego Anglika, który zdawał się bez reszty pochłonięty swoimi zapiskami. Student oddawał się z równą pasją grze na gitarze — co pozwalało mu wyłączyć się mentalnie na dość długo, a poza tym było odprężające dla psychiki.

Chłopak ziewnął przeciągle i pożałował, że nie może teraz ściągnąć gitary (którą i tak cudem wniósł do pociągu). Miał taką ochotę grać! Najchętniej urządziłby wszystkim poranną *jam session*; czas zleciałby wtedy bardzo szybko... Niestety, było za wcześnie — większość przedziału jeszcze spała i wczesne muzykowanie uznaliby za chamstwo.

Anglik podniósł na chwilę głowę znad notatek, rozejrzał się po obecnych w przedziale

pasażerach — i znów pisał:

*W sumie mam szczęście, bo to dość znośny zestaw. Naprawdę, mogło być gorzej — stwierdzam to obiektywnie, a nie żeby się pocieszać... Oprócz dwóch bab z wielkimi torbami, najwyraźniej uciekających z całym ruchomym dobytkiem, jaki mogły wziąć w podróż, siedzi tu młody obdartus z gitarą (instrument jest rozstrojony, nadto ma zerwane dwie struny, co nie przeszkadza chłopakowi brzdąkać co jakiś czas — śpiewa wiersz poety o nazwisku Stachura, pt. „Biała lokomotywa” — o pociągu, co ma być metaforą wyzwolenia; bardzo to ironiczne). Drugi pasażer to podstarzały i chyba lekko zdewociałły inteligent niezmiernie przejęty obecną sytuacją. Często odmawia różaniec i czyta jakieś grube, poważnie wyglądające książki...*

Mażąc palcem po szybie, za którą od wczoraj widniał ten sam nudny krajobraz, student zastanawiał się nad treścią zapisków cudzoziemca.

\* \* \*

Zgodnie z obietnicą, zaraz po śniadaniu i krótkim spacerze, pielęgniarze pomogli chłopcu uruchomić kolejkę. Billy wstawał wcześniej, co przy obecnej porze roku oznaczało pobudkę jeszcze przed świtem. Jednego nie można odmówić osobom chorym na autyzm: regularnego życia. Ludzie ci uzależniają się od powtarzanych czynności, które nabierają dla nich cech swoistego obrzędu, który musi być spełniony — w przeciwnym razie stają się niespokojni, często wpadają w szał. Są to zazwyczaj rzeczy banalne: obejrzenie ulubionego quizu w telewizji, sprawdzenie skrzynki e-mailowej po obiedzie, spacer i zabawy — byle te same, o identycznej godzinie i byle można je powtórzyć następnego dnia. Tkwi w tym jakaś obłędna pedanteria w organizowaniu czasu, mimo to owe cykliczne zajęcia są bardzo ważne dla równowagi chorych — niczym psychiczne kotwice, którymi zaczepiają się w morzu rzeczywistości. Uzależniają — lecz porządkują życie.

— No, Billy, twój skład zaraz ruszy w dalszą drogę... — ziewający pielęgniarz zdjął z parapetu karton ze skrzynią sterowania. Za oknem powoli robiło się szaro — nadchodził bury jesienny brzask.

Wszystko wskazywało na to, że obserwowanie kolejki stanie się dla chłopca następnym rytuałem, bez którego nie będzie mógł się obejść. A jednak wartość terapeutyczna była większa — rozwijała wyobraźnię oraz zwracała myśli ku czemuś zewnętrznemu. Miało to pomóc przetrwać zamknięcie się w samym sobie. Czasami jednak skutek bywał odwrotny od zamierzonego — fascynacja jakimś przedmiotem powodowała wzmożenie introspekcji...

— Siadaj wygodnie, Billy, i baw się do woli — pielęgniarz usadził chłopca na poduszce obok pudła z regulatorami. — Wszystko podłączone, awaria prądu usunięta. Pokaż mi, jak ruszasz...

Billy w zamyśleniu wodził palcem po skrzynce. W końcu włączył zasilanie i skład ruszył z tego samego miejsca, w którym zatrzymał się wczoraj wieczorem. Pielęgniarz czekał oparty o drzwi, aż rozlegnie się ciche turkotanie malutkich kół o szyny...

Pociąg jechał na południe, zachodnim obszarem regionu. Przezorny przewoźnik korzystał z zamkniętych od dawna tras, kierując skład z jednego zapomnianego odcinka na drugi, przez co podróż mocno się wydłużała. Względy bezpieczeństwa były jednak ważniejsze. Obecnie kluczyli bezludnymi obszarami rejonu narodowościowo przemieszanego: Polaków i Niemców było tutaj mniej więcej po

połowie. Zaraz po wprowadzeniu zasady swobodnego przepływu osób, gdy skończyły się okresy ochronne, nastąpiła nieprzymuszona migracja mieszkańców wschodnich landów Niemiec do Polski. Była to migracja z wyboru i sentymentu za terenami wcześniej należącymi do ich germańskich przodków. Osiedlali się ludzie bogaci, dając Polakom pracę — obywatele RP stawali się administratorami ich gospodarstw i majątków, mówiono nawet o powstaniu małej klasy społecznej zaradców polskiego pochodzenia. Oprócz tego Polacy pracowali jako robotnicy — bo wreszcie było przy czym. Niemcy nie zgłaszali roszczeń rewindykacyjnych, proces przebiegał naturalnie — z zachodu płynęły pieniądze i kapitał... Możliwość zarobienia na nowych osadnikach zwyciężyła stare uprzedzenia. Nowe pokolenie weszło z Niemcami w pokojową symbiozę — ekonomicznie wychodzili na tym lepiej niż dumni, pogardzający nimi tradycjoniści, którzy musieli znosić bezrobocie, gdyż nie chcieli „pracować dla Bauera”.

W ostatnim przedziale trzeciego wagonu starszy mężczyzna w okularach, wyglądający na lekko zdziwaczałego naukowca, obudził się z głośnym westchnieniem, jakby wyrwał się z kleszczy nieprzyjemnego snu. Powiódł zaspanym wzrokiem po współpasażerach — i zaraz spowaźniał, a może nawet posmutniał. Sąsiedzi obrzucili go badawczymi spojrzeniami, bo wyglądał, jakby miał zaraz poprosić o szklankę wody. Oddychał ciężko, trochę kasłał — kontakt z jawą był najwyraźniej nieprzyjemny. Nawet, gdy śnił mu się koszmar — to nie poczuł ulgi, bo obudził się w drugim złym śnie: takim, z którego wybudzić się już nie sposób. „Najmocniej przepraszam” — powiedział nerwowo i zaczął przeciskać się między wyciągniętymi nogami towarzyszy podróży. Chciał rozprostować kości i zaczerpnąć powietrza. Wszyscy podkurczyli nogi, za wyjątkiem długowłosego chłopaka, który beczelnie udawał, że nie słyszy — dziadek miał już na języku uwagę o braku kultury, jednak nie wypowiedział jej głośno. Przystąpił nad tą naturalną przeszkodą i wyszedł na korytarz. W duchu życzył „temu gówniarzowi” amputacji nóg, nie wiedząc, że tamten myśli o nim tak samo...

Na korytarzu uderzała woń papierosów i wiatru, plus jakiś nieokreślony zapaszek: octu albo terpentyny. Pociąg jechał wolno, najwyżej czterdzieści kilometrów na godzinę. Stary wystawił twarz za okno, odpędzając resztki snu i zaraz zamknął szybę. Następnie przeżegnał się i zmówił poranny pacierz. Wypowiadając „bądź wola Twoja...”, zastanawiał się, czy wypada mu prosić Pana o ocalenie. Bo co, jeśli On nie chce ich ocalić? Dojrzałość wiary polega na tym, że przestajemy traktować Boga jak dobrą wróżkę. Prawdziwa mądrość to poddanie się Jego woli — jakakolwiek by nie była... Wciąż jechali przez zalesione równiny i leżące odłogiem wielkie połacie zdziczałych pól. „Tak zwane ziemie odzyskane” — pomyślał stary nieco ironicznie z nawykiem historyka. Zaraz też naszło go skojarzenie z ostatnim artykułem, jaki zdążył opublikować przed ewakuacją, w sieciowym Portalu Narodowym. Nosił tytuł „Wybielanie przez sentyment” i dotyczył zjawiska związanego właśnie z okolicami, przez które teraz jechali. Powtórna germanizacja tych ziem spowodowała falę tęsknoty za komunizmem — jako za okresem, gdy kwestia zachodnich granic Polski zdawała się ostatecznie uregulowana. Wywołało to całkowitą mitologizację komunistycznej Polski. Coraz mniej osób pamiętało zbrodnie tamtego systemu — w powszechnej świadomości PRL był postrzegany jak czasy prohibicji w USA — jako specyficzna mini—epoka o odrębnej modzie i mentalności. Już wcześniej popularne były w Polsce wystawy i skanseny przypominające obywatelom stary ustrój, powstawały masowo bary w stylu lat 60. i 70., podobnie jak w Ameryce modne były lokale w tonacji Chicago z lat 20. i 30. XX wieku. Fakt, że prym wiedli w obu tych epokach gangsterzy (w PRL — gangsterzy polityczni) i że często lała się wtedy krew, nikomu raczej nie przeszkadzał. Dla dziadka był to typowy przejaw idealizowania przeszłości — im bardziej odległa, tym mniej straszna, a z czasem zepchnięta do roli sentymentalnej tapety. Już wcześniej kultura i sztuka PRL-u, zarówno ta wysoka jak i użytkowa, zostały nazwane w Polsce mianem „nowego retro”.

Obserwując pejzaże zachodniej Polski, stary dumiał nad nieoczekiwanymi konsekwencjami wprowadzenia swobodnego przepływu osób, pracy i kapitału — zwłaszcza, gdy sąsiednie kraje łączy trudna historia pełna zajadłych konfliktów. Czy oprócz niego ktoś z jadących pociągiem zdawał sobie z tego sprawę? Miał nadzieję, że co najmniej połowa Polaków. Niektórzy zagraniczni uciekinierzy pewnie też, w zależności od świadomości polityczno—społecznej i stopnia zrozumienia polskich spraw. Na przykład ten Anglik z przedziału pisał chyba dziennik z podróży, pełen nawiązań do aktualnych wydarzeń (dziadek podczytywał mu czasami przez ramię) — stanowczo nie wyglądał na ignoranta...

Rozmyślając o tym wszystkim, historyk przeszedł się kilka razy wzdłuż korytarza. Później znów wystawił głowę za okno, by poczuć pęd wiatru. Trwał tak kilka sekund, dopóki nie zrobiło mu się zimno. Wciągnął głowę jak ślimak i gładząc rozmierzwione włosy spojrzął na zegarek. Postanowił zaczekać w korytarzu na lurowatą kawę, którą mieli nalewać z wiadra jakoś po ósmej — oczywiście za dodatkową opłatą.

Ziewnął i oparł się o szybę, aby móc obserwować Anglika, który znów coś pisał w plaspierowym notesie. Jego rysy twarzy... Kogoś mu przypominał, jakieś strasznie odległe wspomnienie. Historyk siłował się chwilę z myślami, lecz w końcu dał za wygraną. Może pasażer był po prostu podobny do kogoś, kogo kiedyś znał lub widział — na przykład w Londynie, gdzie pracował przez rok jako student. „Dawne dzieje” — mruknął sam do siebie, dochodząc do wniosku, że jego milczący towarzysz podróży nie ma typowej angielskiej fizjonomii.

\* \* \*

*Aktualnie nie dzieje się nic ciekawego. W przedziale prawie komplet, siedzą wszyscy za wyjątkiem dziadka, który ciągle stoi na korytarzu i chyba gapi się na mnie. Czyja go już kiedyś gdzieś nie widziałem? Ten charakterystyczny dobrotliwy uśmiech, coś mi się kołacze w pamięci. Nieważne. Pozwól więc, że uczynię w tym miejscu pewną dygresję. Czy pisałem Ci już wcześniej o wynalazku tych stron, jakim jest dziennikarstwo terrorystyczne? Warto poświęcić temu zagadnieniu trochę czasu. Miałem jeden artykuł na ten temat, może coś do Ciebie dotarło. Nie chodzi o dziennikarzy tropiących terrorystów czy też robiących z nimi wywiady. Chodzi o dziennikarstwo posługujące się metodami terroryzmu. O terror w służbie dziennikarstwa. Mówi się, że to naturalna konsekwencja dziennikarstwa śledczego, po roku 1989 przeżywającego w Polsce bujny rozkwit — skoro bowiem dziennikarze mogli się zajmować operacyjnym zbieraniem informacji (tropieniem), to w końcu zajęli się przesłuchiwaniami... Aż dziw bierze, że nie wymyślili tego Arabowie. Takie metody pojawiły się w schyłkowym okresie III RP, kiedy państwo było przeżarte korupcją jak spróchniały mebel kornikami, skala zjawiska była monstrualna, a układowe gazety zgodnie o wszystkim milczały. Tropiące afery i żadne sensacji tytuły nie mogły znaleźć dowodów — więc też milczały, bojąc się procesów o zniesławienie. Doświadczenie przeciętnych ludzi wskazywało, że skorumpowane są absolutnie wszelkie szczeble administracji — lecz nikogo ważnego nie złapano za rękę. Brakowało dowodów. Z poczucia tej bezsilności narodził się dziennikarski terroryzm...*

W biurze wydawnictwa młody dziennikarz czytał z ekranu rzędy ręcznie pisanych liter. Zeskanowali to wczoraj — z plaspierowego notesu dostarczonego przez dwóch szemranych typów.

Chcący zachować anonimowość mężczyźni złożyli wydawnictwu propozycję sprzedania znalezionych — jak twierdzili — materiałów, gdyż ich zdaniem był to kawał pasjonującego reportażu wojennego. Najpierw odsiedzieli swoje w poczekalni, uparcie domagając się spotkania z jakimś decydentem, a gdy już poproszono ich do gabinetu — przedłożyli do wglądu podniszczony notes, którego autentyczność nie wzbudzała podejrzeń, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Po kwadransie rozmowy kierownik przekonał ich, żeby zgodzili się na zrobienie skanów — szybko i na miejscu, w ich obecności. Nie byli tym zachwyceni, zwłaszcza wstępnym pomysłem zostawienia notesu (za pokwitowaniem) w siedzibie wydawnictwa. Ostatecznie stanęło na zeskanowaniu kilkunastu stron — aby redakcja mogła ocenić, czy materiał ma w ogóle jakąś wartość i czy jest teoretycznie zainteresowana drukiem.

Mężczyźni mieli przyjść za dwa dni. Przez ten czas młody redaktor z działu literatury faktu miał zapoznać się z fragmentami relacji — typowa wstępna selekcja, często zabójcza dla tekstu. Mogła to przecież być grafomania, nawet jeśli pisana jako wojenny reportaż — ostatnio często odsiewali takie plewy...

Tutaj dysponowali jedynie próbką — i na tej podstawie mieli orzec o całości. Doręczyciele zapewniali, że jest to próbka reprezentatywna. Sami wybrali kartki do skopiowania.

Młody redaktor miał czas do jutra. Siedział więc, czytając z ekranu jakieś dygresyjne uwagi. Chętniej wzięłby do ręki oryginał — lecz było to niemożliwe.

Nie wiedział również, że skanująca zeszyt sekretarka zauważyła na kartkach krople zaschniętej krwi...

*Kontestujące system rządzenia tytuły prasowe zeszyły do podziemia. Nastroje radykalizowały się coraz bardziej. W końcu doszło do pierwszego przypadku porwania polityka w celu wymuszenia na nim zeznań.*

Redaktor pomyślał, że autor tych notatek to cudzoziemiec — każdemu Polakowi historia, którą przytaczał, była bardzo dobrze znana.

*To był jeden z wiceministrów — gruba ryba, resort spraw wewnętrznych. Powszechnie podejrzewano go o sprzyjanie mafii odeskiej, która uczyniła z Polski kolejny obszar swoich wpływów — konkurując z bandami ukraińsko-rosyjskimi i rozrastającą się już wtedy na całą Europę mafią albańską władającą całym Kosowem (UCK). W dobie zamknięcia wschodniej granicy i po wprowadzeniu wiz dla obywateli zza Buga, intensywne kontakty z Polską mogli utrzymywać tylko bardzo ustosunkowani obywatele Rosji. Ci nie mieli problemów, by tutaj inwestować, otrzymywać karty stałego pobytu a nawet obywatelstwo. Minister był podejrzewany o sprzedawanie przedstawicielom Odessy paszportów dyplomatycznych — sto tysięcy euro za jeden. Tacy fikcyjni „dyplomaci” mogli bez problemu przekraczać granicę, korzystając nadto z przywilejów immunitetu. Byli więc praktycznie bezkarni na terytorium Polski, każde ich zatrzymanie groziło skandalem międzynarodowym. Po bezskutecznych próbach udowodnienia tego procederu (niegrzeczni dziennikarze poszli siedzieć za zniestawienie wysokiego urzędnika państwowego) ministra porwano... Borowców sparaliżowano, a wyszkolona ekipa ukryła ofiarę w głębokiej głuszy — akcja wywołała szok wśród opinii publicznej. Przez kilka dni było cicho, ludzie szeptali o zemście mafii. Poszukiwania nie dawały rezultatu. Później po raz pierwszy w Polsce zadziałał mechanizm znany z krajów arabskich — terroryści zamieścili specjalny film w Internecie, rozsyłając go jako samopowielający się spam. Jednocześnie przesłali plik z nagraniem*

do INFOSERWIS-u 24 (kiedyś używało się w tym celu kaset i dysków). Nie było to jednak nagranie z oświadczeniem składanym przez porywaczy ani z szantażem, lecz wypowiedź... samego wiceministra. Pobity i przywiązany do krzesła opowiadał o swoich kontaktach z mafią, wyjaśniał przez ponad pół godziny szczegóły korupcyjnego procederu; podał też dokładnie, ile pieniędzy przyjął za lewe paszporty i wydawanie korzystnych dla przestępców decyzji. *Expressis verbis* przyznawał się do winy, zastrzegając, że nie mówi tego ze strachu, choć oczywiście został zmuszony do powiedzenia prawdy przez porywaczy, działających dla wyższego dobra. Opinia publiczna była ponownie w szoku. Pojawiły się przeróżne komentarze, większość kwestionowała wiarygodność oświadczenia porwanego wiceministra. To jednak nie był koniec — szok powtórzył się po raz trzeci. Dwa dni po wyemitowaniu tego oświadczenia terroryści wypuścili ministra. Obudził się na przystanku na przedmieściu Warszawy, wcześniej rano, gdy ludzie jechali do pracy. Po dotarciu do miasta i skontaktowaniu się z policją próbował wszystko wyjaśniać, argumentując, że grożono mu śmiercią, że kłamał ze strachu przed torturami — a wszystko było wyreżyserowane, by go skompromitować. Jednak w międzyczasie pod naciskiem opinii społecznej wszczęto śledztwo — I większość podejrzeń się potwierdziła (m.in. zbadano numery tajnych kont ministra i ich stan — sum znajdujących się na nich polityk nie wykazał w żadnym z zeznań majątkowych, a zgadzały się z wysokościami łapówek, o których opowiadał przyciśnięty przez dziennikarzy-terrorystów). Dlatego po udzieleniu pomocy lekarskiej pana ministra tymczasowo aresztowano na trzy miesiące... Jednocześnie wciąż próbowano ustalić, kto go porwał, lecz po kilku tygodniach umorzono śledztwo wskutek braku jakichkolwiek w nim postępów...

*W ciągu roku porwania miały miejsce jeszcze dwukrotnie — z różnymi skutkami. Na polityków i biznesmenów padł strach...*

Po tych słowach uwaga redaktora wzmogła się — wreszcie zapowiadał się jakiś osobisty fragment. Oby cały zeszyt składał się z takich — pomyślał — wtedy może wart byłby druku. Na razie nie wyrobił sobie jeszcze zdania o wartości materiału. Wiedział, że jego opinia będzie bardzo ważna. Czytał więc z uwagą, słowo po słowie...

*Zatrzymujemy się nagle — nie wiem, co się dzieje. Przez brudne okno niewiele można dostrzec. Chyba jednak zatrzymali nas jacyś ludzie. Cholera, jeżeli to wojskowy patrol...*

\* \* \*

Obserwując kolejkę, zwalnając i przyśpieszając jej pęd, przekładając zwrotnice i zapalając semafony, chłopiec nie przestawał zerkać na zegarek. Stał na szafce przy łóżku — i miał kształt Kubusia Puchatka zajadającego miód z beczki. Plastikowe wskazówki wyznaczały rytm dnia małego pacjenta, nie wyobrażał sobie bez nich doby — wszystkie czynności skrupulatnie zaplanowane przez autystyczny umysł zależały od ich wskazań. Dzięki dziecięcemu zegarowi Billy mógł kontrolować porę swoich małych obrzędów.

Pielęgniarki znali „rozkład dnia” chłopca, więc zazwyczaj kilka minut przed wyznaczoną godziną przychodzili mu asystować. Na przykład dzisiaj o ósmej czterdzieści pięć zaczynał się teleturniej „Mały naukowiec” — zadania matematyczne, szarady i łamigłówki, w których Billy był naprawdę świetny. Zazwyczaj znał każdą odpowiedź, gorzej jeśli akurat się mylił lub czegoś nie wiedział —



zaczynał się wtedy trząść i ryć palcami wykładzinę w pokoju telewizyjnym. Trzeba go było umiejętnie uspokajać, czasami kończyło się na wizycie u pani psycholog. Właśnie zbliżała się pora następnego odcinka quizu.

Gdy pielęgniarz z porannej zmiany stanął w drzwiach sali, chłopiec akurat wyłączał zasilanie w torowisku — pociąg, a wraz z nim podczepione wagoniki zwalniały, poruszając się — jak kiedyś wyjaśnił fachowo pielęgniarzom interesujący się fizyką Billy — ruchem jednostajnie opóźnionym...

Aż do całkowitego zatrzymania maszyny chłopiec siedział nieruchomo i z uwagą obserwował zwalnający skład. Pielęgniarzowi wydawało się, że mały kątem oka kontroluje czas na kubusiowym zegarze. Czasami zadziwiał ich synchronizacją swoich działań — był jak dziecięcy automat. Razem odprowadzali wzrokiem małe wagoniki zatrzymujące się wśród pól z pomarszczonego sukna.

Na zegarze dochodziła właśnie ósma czterdzieści cztery. Chłopiec wstał i grzecznie podał pielęgniarzowi rękę. Na dojście do sali telewizyjnej i zajęcie miejsc mieli akurat pełną minutę.

## Trzy

...eli to wojskowy patrol... Mężczyzna odłożył żelopis i zamknął notes. Następnie wychylił się, by spojrzeć przez okno — co uczynili też inni pasażerowie przedziału. Pociąg stał otoczony z obu stron gęstym lasem. Z zewnątrz było słychać pokrzykiwania obcych ludzi. Kim byli? Na twarzach pasażerów malował się strach. Kobiety przeżegnały się nawet kilka razy. Widząc to, student prychnął z dezaprobatą i podniósł się z miejsca, by otworzyć okno. Wychylił się i zobaczył kilku kolejarzy stojących obok pociągu, jak gadają i palą papierosy z jakimiś obdartusami poobwieszanymi elementami wojskowego uzbrojenia: kamizelkami, karabinami, wizjerami... Ten widok uspokoił go od razu — najwyraźniej kolejarze byli z tymi facetami w dobrej komitywie, co jakiś czas nawet śmiali się i klepali po plecach. Chłopak usiadł z powrotem. Widząc wyczekujące miny sąsiadów machnął nonszalancko ręką, dając tym do zrozumienia, że zagrożenie jest niewielkie — i nie ma się czym przejmować. Następnie ziewnął przeciągle, stawiając tym kropkę nad „i”. Stary historyk pomyślał, że był to z jego strony szczyt możliwości komunikacyjnych. I choć chłopak przymknął oczy, jakby próbował zasnąć, manifestując tym swoją obojętność wobec faktu zatrzymania składu, dziadek wolał przekonać się naocznie, co zaszło: wstał i ostentacyjnie przestępując nogi studenta, wyszedł na korytarz. Przy zewnętrznych oknach zebrali się już gapie. Dało się odczuć lekki niepokój. Przez korytarz szedł szept, że pociąg został zatrzymany przez partyzantów. Ktoś powtarzał, że jeden z konduktorów rozproszył obawy, krzycząc dwa wagony dalej, że to „nasi” — co miało usłyszeć kilkanaście osób.

Krótko ostrzyżony Anglik również wyszedł na korytarz. Nie wdawał się w rozmowy; podszedł do ostatniego wolnego okna, by osobiście zlustrować sytuację. W pewnym momencie ujrzał ze zdumieniem (choć teoretycznie nie powinno go to dziwić), jak dwóch kolejarzy i jeden z „partyzantów” rozkładają na błocie brudne sienniki i klękając na nich — zaczynają bić pokłony. Nie było wątpliwości: kłaniali się w stronę Mekki, cholera wie, jak zdołali określić jej kierunek w gęstym lesie. Chyba, że uprościli sprawę, ustalając za pomocą kompasu kierunek południowy — co byłoby wystarczające. Zresztą, po co kompas — dywagował Anglik. — Wystarczy znaleźć mech i zwrócić się w stronę przeciwną... Obserwował całą scenę zafascynowany. Pozostali z grupy stojącej przy pociągu nie komentowali zachowania swych kompanów innowierców — Anglikowi wydawało się, że umilkli nawet, chcąc poszanować ich praktyki religijne. „Islam znaczy uległość” — przemknęło Anglikowi przez myśl, gdy obserwował czołobitne pokłony tych dorosłych Polaków. Trzydzieści lat temu taka sytuacja byłaby jeszcze nie do pomyślenia.

Wtedy spostrzegł kątem oka dziadka ze swojego przedziału — spoglądał w tę samą stronę i chyba nawet chciał wygłosić jakiś komentarz. Jednak w momencie, gdy ich spojrzenia spotkały się — obaj spuścili wzrok... Znowu to wrażenie *déjà vu*... Nikt się nie odezwał, jakby wzajemne skojarzenia wepchnęły im słowa z powrotem do ust. Drobną nić porozumienia została jednak nawiązana — i właśnie z takim wrażeniem obaj mężczyźni wracali kwadrans później do swojego przedziału.

— Dlaczego twój pociąg stoi już tak długo, Billy?

Chłopiec nie odpowiedział. Spoglądał w napięciu na skład między gęsto poustawianymi makietami drzew, i pielęgniarz był pewien, że mały wyobraża sobie teraz różne wydarzenia...

— Billy, odpowiesz mi wreszcie? — spytał łagodnie.

Chłopiec zerknął na niego krótko i milczał nadal.

Pielęgniarz westchnął. Miał wrażenie, że chłopiec jest wręcz zatopiony we własnych myślach — i nie widzi spoza nich ani tego szpitalnego pokoju, ani osoby swojego opiekuna. Dziecięce konfabulacje przybierały u tego typu malców skrajne rozmiary — potrafili kreować całe ciągi fabularnych zdarzeń, niczym mali demiurgowie. Wymyśloną rzeczywistością często zastępowali świat zewnętrzny — co było groźne, gdyż mogło prowadzić do całkowitego zamknięcia się w samym sobie. I do nie odróżniania rzeczywistości od fikcji.

— Jeżeli nie chcesz się już bawić, to powiedz — uśmiechnął się pielęgniarz. — Pójdziemy na spacer do oranżerii na parterze...

Stanowczo należało wyrwać małego z tej chorobliwej introjeckji — cokolwiek sobie wyobrażał.

— Do obiadu masz jeszcze ponad dwie godziny — nie ma sensu, byś się nudził w tym pokoju przy wyłączonej zabawce...

„I po co ja to wszystko mówię?” — nagle pielęgniarz zważył we własną taktykę. Jednocześnie krytycznie ocenił elektryczną kolejkę jako zabawkę: jej terapeutyczne właściwości wydawały się mocno przesadzone. Widział przecież, że w przypadku Billy’ego było na odwrót — choroba zdawała się wręcz pogłębiać pod wpływem fascynacji staroświecką kolejką. Co by na to powiedział jego dziadek?

Podszedł bliżej.

— No, Billy, daj mi rękę...

Kiedy wyciągnął dłoń, by podnieść chłopca z kolan i wyprowadzić z sali, mały nagle drgnął. Był niczym wybudzony z transu — zerkał na wszystkie strony, mrugał oczami, a później równie szybko się uspokoił. Pielęgniarz zamarł z wyciągniętą ręką. Chłopiec uśmiechnął się do niego tajemniczo niczym Mona Liza — i zamiast podać dłoń, położył ją na pudle sterującym składem. Z namaszczeniem przekręcił włącznik i zatrzymany pociąg ruszył, szarpiąc za sobą małe wagony...

\* \* \*

*Ruszyliśmy. Nie, to nie było wojsko. Jakaś leśna banda, kolejarze są z nią w układzie. „Partyzanci” sprzedają im informacje o ewentualnych niespodziankach, jakie mogą czekać na torach, doradzając porę podróżowania. Informacja kosztuje, ale to i tak idzie z naszych pieniędzy, więc kolejarze na pewno wychodzą na swoje...*

Redaktor poczuł się rozczarowany — jako czytelnik liczył na sensacyjny zwrot akcji, jakąś strzelaninę lub przynajmniej zatarg z ludźmi zatrzymującymi skład — a tu tylko fałszywy alarm. Choć z drugiej strony nie powinien życzyć źle anonimowemu autorowi relacji — to była w końcu literatura faktu! Pomyślał, że czytane fragmenty trzeba zakwalifikować chyba jako reportaż dygresyjny — jeżeli w ogóle istniała taka odmiana reportażu. Bo jak inaczej to nazwać, skoro po tym fragmencie autor znów skręcał w stronę anegdoty. Redaktor czytał dalej, wciąż nie do końca pewien wartości rękopisu.

Wreszcie mam o czym pisać — ta historia spadła jak z nieba, bo już straciłem zapał do prowadzenia tych notatek. Kiedy znów ruszyliśmy, jeden z „konduktorów” (tak nazywamy kolejarzy z obsługi pociągu) przysiadł się nieoczekiwanie i częstując nas samogonem (ginąca staropolska gościnność?) niesłychanie się rozgadał. Głównie narzekał, wieszając psy na politykach i pomstując na obecną sytuację, która zmusza go do tego, czego normalnie by nie robił — jednym słowem typowe żale zgorzkniałego faceta w czasie bezsensownej wojny. Szkoda relacjonować jego gadanie... Opowiedział jednak interesującą anegdotę, której wcześniej nie znałem (wstyd — w końcu byłem w Polsce korespondentem zagranicznym) — i dzięki której czas spędzony na wysłuchiwanie opowieści „konduktora” nie był bez reszty stracony. Jak się pewnie domyślasz, zamierzam Ci ją teraz przytoczyć. Nie przerywaj lektury, naprawdę warto tego posłuchać. Opowieść dotyczy pierwszych zamachów terrorystycznych w Polsce. A tchną one tragifarsą, jak wiele wydarzeń w najnowszej historii tego nieszczęsnego kraju...

Otóż wojna ze światowym terroryzmem, zapoczątkowana w 2001 roku przez George’a Busha II, była — jak pewnie pamiętasz — o tyle uzasadniona, że terroryści arabscy działali z ukrycia i stosowali taktykę chaosu: uderzenia następowały w sposób zdecentralizowany, chociaż główna terrorystyczna organizacja nosiła nazwę Bazy. Wypowiedzenie tej wojny, wymagającej innych metod niż tradycyjne działania militarne i wywiadowcze, było pomysłem dobrym, lecz nie powstrzymało rozwoju terroru w różnych krajach cywilizacji zachodniej. Zwłaszcza tych, które popierały antyterrorystyczne działania — w końcu więc ofiarą zamachów padła i Polska...

Terroryści, którzy wcześniej posyłali tu swoich ludzi na rozpoznanie, zadali cios bardzo starą, jeszcze głęboko XX-wieczną metodą: zdetonowali samochód-pułapkę na jednym z największych placów Warszawy. Zupełnie, jakby w tak prowincjonalnym państwie jak Polska szkoda im było poświęcać synów Allacha na porządny samobójczy zamach. Ale ukarać słowiańskich giaurów należało: więc samochód eksplodował, zabijając sześć osób, a raniąc ponad dwadzieścia. Użyto bio-semteksu, a przy okazji skompromitowano służby municypalne: nie ciesząc się już wcześniej popularnością wśród ludności straż miejską...

Chodziło o to, żeby samochód mógł stać pół dnia w centrum miasta — i żeby nikt go nie odholował, mimo naruszenia zakazu zatrzymywania się. Terroryści wpadli więc na sprytny pomysł, angażując — jako mimowolnych i nieświadomych współsprawców tragedii — straż miejską. Muncypalni przyjechali na miejsce i zrobili to, co umieli najlepiej: założyli blokadę na koło przeciętnie wyglądającego pojazdu. Po czym wycofali się w poszukiwaniu innych obiektów, które mogliby zablokować. Na zatkniętej za wycieraczką kartce był numer komórki funkcjonariusza, żeby kierowca mógł się skontaktować i zapłacić mandat — w zamian za łaskawe oswobodzenie jego wehikułu z metalowego rusztowania. Było to jeszcze w czasach, gdy Trybunał Konstytucyjny nie uznał za bezprawne blokowania samochodów — co miało już miejsce w kilku innych państwach Europy, a później stało się ogólną normą prawa wspólnotowego. A przecież sprawa była oczywista: nie dość, że naruszano prawo własności i swobodę przemieszczania się, to w dodatku kara była bezcelowa, gdyż jej efektem było utrzymanie stanu bezprawnego: unieruchomiony samochód naruszał zakaz znacznie dłużej, niż gdyby kierowca szybko wrócił do niego i odjechał (średnio zdejmowano blokadę po dwóch–trzech godzinach).

Ale wracam do istoty sprawy: jak już się pewnie domyślasz, terroryści spodziewali się, że samochód z ładunkiem wybuchowym zostanie unieruchomiony. I tak też się stało — muncypalni nie zawiedli organizatorów zamachu. Perfidia terrorystów polegała na tym, że zadzwonili na ogólnodostępny policyjny numer z informacją o podłożonym ładunku — na niecałe dziesięć minut przed eksplozją... Ekipa saperów i antyterrorystów zjawiała się dwie minuty przed wybuchem, lecz

*samochodu nie dawało się usunąć! Jedyne co mogli zrobić, to zacząć rozpędzać przechodniów, co nieco zmniejszyło liczbę ofiar... Podobno wcześniej antyterrorysty próbowali strzelać do mechanizmu, lecz od pewnego czasu blokady wykonywano z tytanu, żeby były odporne na pociski (wcześniej przestępcy pozbywali się niechcianych rusztowań na koła, strzelając w ich przerdzewiałe zamki — co ośmieszało sam pomysł blokad, skutecznych tylko wobec uczciwych obywateli). W każdym razie — zamach się udał. Efekt był łatwy do przewidzenia. Eksplozja spowodowała kolejną detonację, tym razem medialną. Dyskusja publiczna trwała kilka miesięcy. Niestety, zamachy powtórzyły się jeszcze parę razy, choć na szczęście nigdy nie przybrały w Polsce katastrofalnych rozmiarów. Obywatele RP wzdychali z nostalgią za czasami, gdy samochody wybuchały jedynie wskutek mafijnych porachunków — bez przypadkowych ofiar wśród ludności...*

Cholera, nic o tym nie wiedział. Czyżby władzom udało się aż tak dobrze zatuszować kompromitującą wpadkę municypalnych? Żadna oficjalnie opisywana wersja tego zamachu o czymś takim jak blokada koła nie wspominała! Wiedzieli by o tym jedynie wtajemniczeni? Redaktor kręcił głową z niedowierzaniem. Wartość rękopisu od razu wzrosła w jego oczach. Po chwili znów natrafił na fragment odnoszący się do podróży. Dobrze — pomyślał — tylko cały czas jest tego za mało...

*To jedyna rzecz warta przytoczenia z całego monologu „konduktora”. Do końca dnia nie działało się już nic ciekawego. Zaliczyliśmy dwa godzinne postoje (obsługa nie była łaskawa wyjaśnić nam ich przyczyn). Może jutro uzbiera się lepszy materiał na list, bo znów nie mam Ci o czym pisać. Przecież nie będą powtarzał plotek i innych głupot roznoszonych po pociągu przez kolejarzy i zastraszonych pasażerów — na przykład wątpliwych relacji o śmiercionośnym promieniowaniu w Sudetach; albo o zastosowaniu przeciwko polskim partyzantom nowego gazu bojowego, który miał pomieszać im zmysły w takim stopniu, że zaczęli uważać się za bohaterów jakiegoś wojennego komiksu — dzięki czemu bez trudu zostali wyłapani. I tego typu „rewelacje”... Zbyt długo pracuję w tym zawodzie, bym nie potrafił oddzielić ziaren prawdy od plew fałszu.*

\* \* \*

Pielęgniarka wszedł do pokoju i stanął tuż obok chłopca.

— Billy.

— Tak, Steven?

Mężczyzna z trudem ukrył zdumienie. Chłopiec rzadko kiedy odpowiadał od razu, zazwyczaj jakakolwiek reakcja wymagała kilku–kilkunastu minut. Jakakolwiek! A teraz zareagował werbalnie...

— Widziałem, jak płakałeś, patrząc na kolejkę. Czy stało się coś złego?

Łzy malca zaniepokoiły personel pół godziny temu. Billy siedział nieruchomo, zapatrzony w torowisko albo gdzieś przed siebie, zamyślony, zupełnie nieobecny — i cichutko łkał. Wezwali panią psycholog, lecz doktor Rushdi była akurat poza placówką, toteż musieli poradzić sobie sami do jej powrotu. Z początku nie przerywali małemu, obserwując go w dyżurce przez szerokokątne kamery cyfrowe, które przekazywały z idealną jakością obrazu zapłakaną twarz autystycznego dziecka. Widok był przygnębiający — budził we wszystkich pracownikach pokłady współczucia. W końcu

jeden z pielęgniarzy postanowił pójść do chłopca.

— Czy stało się coś złego? — powtórzył pytanie.

Na kubusiowym zegarze upłynęło dziesięć sekund ciszy.

— Nie, ale stanie się wkrótce — wyszeptał z rezygnacją Billy

— Co też opowiadasz? — pielęgniarz uśmiechnął się ciepło. — Jesteś bezpieczny, czuwamy nad twoim zdrowiem, oglądasz swoje ulubione programy... Masz — wskazał ręką — swoją kolejkę...

Tym razem chłopiec milczał prawie minutę.

— To właśnie tam... To oni... Tam wydarzy się nieszczęście... — wypowiadał słowa z trudem.

— Gdzie, Billy?

Malec nie odpowiedział. Nić rozmowy została zerwana. Pielęgniarz przez kilka minut próbował naprowadzić go na odpowiedź, jednak bez rezultatu. Jediną reakcją były pełne strachu oczy wpatrujące się w jadącą bardzo powoli kolejkę.

## Cztery

W ostatnim przedziale trzeciego wagonu doszło do kłótni. Nie było to niczym szczególnym w pociągu. Zdarzało się, że cały wagon pełen był wrzasków polemizujących i biorących się nawet za łby pasażerów. Najczęściej szło o najnowszą sytuację polityczną — był to temat najbardziej kontrowersyjny. Nikt nie mógł zgadnąć, co myśli jego towarzysz podróży — każde wypowiedziane zdanie przypominało krok po polu minowym: wybuchnie albo nie wybuchnie... Ryzykowali zwłaszcza cudzoziemcy, narażając się dodatkowo na zarzut, że powinni siedzieć cicho, gdyż nie wypada im oceniać zaistniałych zdarzeń. Zwłaszcza, że prawie w każdym przedziale siedział jakiś Polak.

W ostatnim przedziale wagonu numer trzy było nieco spokojniej. Odbyła się tylko krótka dyskusja o sytuacji sprzed dekady. Dwie proste kobiety wyraziły horrendalną dla pozostałych pasażerów opinię, że zachodnie rejony Polski powinny zostać włączone do Wschodnioeuropejskiego Obszaru Gospodarczego (czyli Rosji, Białorusi, Ukrainy i Kazachstanu), mającego być szalą równoważącą ekonomiczną wspólnotę w ramach Unii Europejskiej. Profesor nie dał się wciągnąć w dyskusję z kobieciami; polemizował z nimi, w nienajlepszym niestety stylu, student wiozący gitarę — być może poczuwał się do tego jako adept dziennikarstwa, do czego przyznał się zaraz na początku sprzeczki (co z kolei zdumiało Anglika, który myślał, że jest jedynym pismakiem w przedziale). Polemika była krótka i ostra. Na koniec chłopak spuścił sobie na twarz zasłonę długich włosów i ułożył się do snu, co tylko rozsierdziło kobiety. Zasypały bezbronnego populistycznymi argumentami, jakby żywcem wziętymi z arsenału retorycznych chwytów Trędowatego i Odrzuconych. Potem siedziały przez następną godzinę naburmuszone. A chłopak chyba rzeczywiście zasnął. Gdy baby wyszły na korytarz, dziadek wyglądający na naukowca podsumował spór krótkim wykładem. Zdawał się kierować słowa głównie do milczącego Anglika, który na ten czas zaprzestał pisanie w notesie, jakby chciał zrobić staremu przyjemność.

— Oczywiście, żadna ze stron nie miała racji. Polska, jeszcze jako półsuwerenne państwo w pierwszym ćwierćwieczu bytności w Unii, została dosłownie rozerwana, jak kiedyś rozrywano skazańców końmi, pociągnięta między dwie siły: ekonomiczną platformę w ramach UE i wspólny obszar gospodarczy Rosji, Białorusi, Ukrainy, Kazachstanu i przybudówek z byłej Wspólnoty Państw Niepodległych. Mimo granic unijnych, w tym supernowoczesnej granicy wschodniej, wschód Polski żył wciąż dzięki nielegalnej wymianie ekonomicznej z Białorusią i Ukrainą, a na północy także z Królewcem. Przemysł zorganizowano na gigantyczną skalę, aby drobny przygraniczny handel mógł nadal istnieć; szara strefa pomagała tym ludziom funkcjonować. Do UE wschodnie województwa Polski należały tylko formalnie, faktyczny obrót towarowo—usługowy miał tylko jeden wektor: wschodni. Jak tylko pojawił się pierwszy głęboki kryzys spójności w UE, nadgraniczne obszary Polski przykleiły się do WOG, a pozostałe ziemie zostały przy UE. To był proces naturalny, nie zależał od niczyjej decyzji, więc spór o zasadność takiego obrotu rzeczy jest jałowy...

Potem wróciły kobiety, więc wszyscy milczeli taktownie, obserwując zmieniające się za oknami dzikie ostępy wokół dawno zapomnianych połączeń kolejowych.

\* \* \*

*I znów chwytam żelopis, którego plastikowa oprawa pęka w kilku miejscach (musiałem ją obkleić plastrem). Nic specjalnego się nie wydarzyło. Postoje za to coraz częstsze i dłuższe. Kłopoty z prądem w trakcji. Odcinają nagle i pociąg staje. Dlatego mimo prędkości dochodzącej odcinkami nawet do 70 km/h jedziemy kolejny dzień. Czasami stoi się w lesie albo w polu. Przed wykryciem przez samoloty zwiadowcze chroni nas ponoć silny antyradar, emitujący zakłócenia elektromagnetyczne (cacko najnowszej technologii — Bóg raczy wiedzieć, skąd skołowali go kolejarze; płacimy słono za transport, jednak pieniądze pasażerów to zaledwie drobny ułamek ceny tego urządzenia). Oczywiście widać nasz skład gołym okiem, ale nikt takiego naoczego zwiadu już nie uprawia — cały obraz idzie via ekrany pomiarowe. Dzięki takim paradoksom możemy uciekać w stronę granicy. Sytuacja jak z teatru absurdu — a raczej byłaby, gdyby nie groza panującej sytuacji.*

*Podczas postoju przemytnicy (jadą tą trasą już któryś raz) przebąkiwali coś o nagiej dziewczynie przechadzającej się z parasolką po torach w napromieniowanym rejonie Sudetów. Twierdzą, że to sama śmierć. Zamiast gnijącego trupa lub kostuchy z kosą — parasol rzucający cień na ciało anorektycznej dziewczyny, podobnej do modelki z „Playboya” (nowy ideał piękna?). Te historie przypominają stare opowieści o duchach, zjawach i demonach chorób, aż dziw bierze, że w XXI wieku ludzki umysł jest wciąż podatny na takie sugestie. Przesady są widocznie nieśmiertelne — w przeciwieństwie do ludzi. Gdy dotrzemy na miejsce — rzeczywistość skonfrontuje te obawy. Na razie jesteśmy (podobno) mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów na zachód od Poznania. To niebezpieczny odcinek, niedaleko jest były zbiornik paliwa NATO, zmodernizowany jeszcze na początku wieku przez Amerykanów, a później przejęty na mocy specjalnego układu przez siły zbrojne UE (podobnie jak wszystkie bazy wojskowe, gdzie stacjonowali żołnierze U.S. Army).*

Wzmę to — pomyślał redaktor działu literatury faktu. — Przy odpowiednim nagłośnieniu ten dziennik z uciezki przemytniczym szlakiem będzie się świetnie sprzedawał... Wojna się skończyła, ale zainteresowanie nią — nie. Wielu ludzi będzie chciało przeczytać taką relację z pierwszej ręki, by skonfrontować ją z własnymi doświadczeniami i zasłyszаныmi pogłoskami. Oczywiście, mogą pojawić się zarzuty, że to apokryf, mistyfikacja w rodzaju „Pieśni Osjana” albo rękopisów Vaclava Hanka. Trudno. W takim razie zreprodukuje oryginalne kartki, żeby uwiarygodnić pochodzenie tekstu...

\* \* \*

Wojska USA wycofały się z Europy dwadzieścia lat temu, gdy Ameryka ogłosiła doktrynę nowego izolacjonizmu. Największe dotąd mocarstwo opancerzyło się przeciwko międzynarodowemu terroryzmowi — i zawęziło politykę zewnętrzną do kilku strategicznych obszarów, w przypadku pozostałych ograniczając się do koniecznych stosunków dyplomatycznych i handlowych. Tak



naprawdę był to powrót do doktryny, której USA trzymały się przez większość swojej historii. Świat stracił zniechęconego żandarma, za którym zaraz zatonął — bo zapalne ogniska na kilku kontynentach zapłonęły nowym ogniem. Również w Europie Środkowowschodniej.

A wśród pasażerów mówiło się ze zgrozą o radioaktywnych górach — ten i ów wyraził opinię, że jest to wina USA, które popełniły tym razem grzech zaniechania, ani myśląc o nowej interwencji...

Taka mniej więcej atmosfera panowała w pociągu: świadomość bliskości wojskowych obiektów i podświadomość karmiona wizjami demonów chorób. Strach przed zagrożeniem realnym i zabobonne obawy prostych ludzi. Realistyczno-magiczna mieszanka wojennego lęku. Za dnia nastroje bywały lepsze, wieczorem pasażerowie wydawali się mocno przygnębieni, jakby tracili nadzieję na ocalenie. Mimo to podtrzymywała ich na duchu świadomość, że z każdą minutą znajdowali się bliżej celu.

— Mały ma coraz dziwniejsze wyniki — skomentowała pani psycholog, pochylona nad książką z przebiegiem choroby Billy'ego. — Choroba przebiega bardzo nieregularnie, żadnych prawidłowości i uchwytnych tendencji — kontynuowała. — Gdyby przedstawić to na wykresie, wyszłaby zdeformowana sinusoida, bez żadnej stałej tendencji rozwojowej...

Profesor przyjeżdżający na konsultacje do ośrodka dla dzieci pokiwał głową znad fajki. Kłęby beznikotynowego dymu osiadały na sterylnym wyposażeniu gabinetu. Pachniały jaśminem.

— Nie jest pani pierwszą osobą, która zwraca mi uwagę na przypadek tego chłopca — zamyślił się lekarz. — Również doktor Waters i doktor Shonto są zaniepokojeni. Mały miewa objawy zupełnie niepodręcznikowe... Słyszałem, że Shonto chce się nawet na nim habilitować, bo to dość rzadki przypadek autyzmu dziecięcego. A propos, jakby pytał — nie ja to pani powiedziałem...

Kobieta skinęła głową. Z trudem kryła irytację — sama zaczęła już bowiem myśleć o doktoracie z Billy'ego. A teraz dowiaduje się, że Shonto ją ubiegł. Szczwany Japoniec... Niby badaliby odmienne aspekty choroby małego — lecz zawsze byłby to ten sam pacjent, niewykluczone więc, że oskarżono by ją o plagiat naukowy. A poza tym nie byłaby już pierwsza...

— Pani Rushdi?... — profesor wyrwał ją z zamyślenia.

— Nic, nic, po prostu zastanawia mnie to wszystko — westchnęła lekarka. — Jak tak dalej pójdzie to przestaniemy troszczyć się o dobro tego chłopca. Na razie nie możemy mu pomóc, a jego zdrowie jest przecież najważniejsze. Zdrowie, a nie kariery, jakie możemy zrobić jego kosztem...

Profesor podniósł się w fotelu.

— Ale jak to jego kosztem? To demagogia, moja pani. Jeśli by przyjąć ten punkt widzenia, wtedy musielibyśmy uznać, że cała medycyna rozwija się „kosztem” chorych...

— Mówiłam tylko...

— Może przypomni mi pani teraz przysięgę Hipokratesa? *Primum non nocere* i tak dalej... No więc zapewniam panią, że nikt z nas Billy'emu nie szkodzi.

— Wiem, profesorze. Po prostu ten konkretny przypadek poraża mnie jakoś... naszą bezradnością.

Milczeli długą chwilę. Profesor po raz ostatni cmoknął fajkę, mieszanka się skończyła. Zapach jaśminu wciąż unosił się w pomieszczeniu.

— A co pani myśli o tej kolejce? Billy spędza teraz przy niej większość swojego czasu — wczoraj podobno uruchomił ją w środku nocy.

Doktor Rushdi uśmiechnęła się tajemniczo niczym łagodna wersja bogini Kali.

— Prawdę mówiąc, właśnie to nie daje mi spokoju, profesorze...

I znów noc za oknami. Mżawka osiada na wagonach, gdy pociąg zagłębia się w wilgotną ciemność. Nikt nie otwiera okien w przedziałach i na korytarzach — za zimno. W ostatnim przedziale trzeciego wagonu pasażerowie jeszcze nie śpią. Student brzdąka cicho na gitarze, śpiewając półgłosem swój popisowy numer. Wychodzi mu całkiem ładnie, nawet stary historyk słucha z przyjemnością, z trudem udając obojętność. Ta piosenka ma już chyba sto lat...

*Sunęła poprzez czarne łąki*

*Sunęła przez spalony las*

*Mijała bram zwęglone szczątki*

*Płynęła przez wspomnienia miast*

*Biała Lokomotywa*

*Skąd wzięła się w krainie śmierci*

*Ta żywa zjawa istny cud*

*Tu pośród pustych marnych wierszy*

*Tu gdzie już tylko czarny kurz*

*Biała Lokomotywa*

*Ach czyj ach czyj to jest*

*Tak piękny hojny gest*

*Kto mi tu przysłał ją*

*Bym się wy dostał stąd*

*Białą Lokomotywę...\**

Profesor zadumał się nad strofą: „*Mijała bram zwęglone szczątki, płynęła przez wspomnienia miast...*” Jak okrutnie adekwatne były to słowa w stosunku do największych miast Polski! Uciekali dzikimi ostępami, z dala od metropolii, jednak słuchając piosenki nie sposób było nie wyobrazić sobie, że ich pociąg mija z daleka miasta — coraz bardziej ponure i rozwarstwione społecznie... Niedawno mijali szerokim łukiem Poznań, teraz zbliżają się powoli do Wrocławia. Oblicza polskich miast — degenerowały się prędzej niż profesor się starzał. Kiepską pociechę stanowił fakt, że było to odbicie szerszej tendencji...

W roku 2003 zaledwie 6% Europejczyków mieszkało w slumsach i ruderach. Ćwierć wieku później — już blisko 30%. W Polsce wielkim problemem stały się tzw. blokowiska, ogromne skupiska betonowych „maszyn do mieszkania”, stawianych jeszcze w latach 70. zeszłego wieku. W prawie każdym polskim mieście istniały takie „sypialnie” — całe dzielnice niszczących mastodontów z wielkiej płyty, nie nadających się do dalszej witalizacji. Ich stan był katastrofalny już w latach dwudziestych, trzydziestych — pękały, gnieździły się w nich szczury i karaluchy. Mieszkała tam głównie biedota, starzy ludzie oraz nieliczni studenci uczący się w kraju. Jednocześnie powstawały bloki-widma, zasiedlane przez subkultury, przestępców i grupy bezrobotnych młodych mężczyzn, którym nie udało się dostać do wojska — istna mieszanka wybuchowa. Był to obraz nędzy i rozpacz, dzicy lokatorzy organizowali się w bandy napadające na strzeżone kompleksy mieszkalne, gdzie chroniła się — niczym w twierdzach — bogatsza klasa średnia. Gangi zresztą były bardzo różnorodne i barwne, mówiono nawet o wytwarzanej przez nie kontrkulturze. Na przykład działali przez krótki czas neopoganie, nawiązujący do przedchrześcijańskich wierzeń Słowian i Germanów: grasowali z kuszami i łukami wśród walących się bloków i osiedlowych śmietników... Do tego dołączali zdyscyplinowani neonaziści, częściowo sprzymierzeni z wyznawcami germańskiego

pogaństwa, a także popularne na przełomie wieków, a z czasem zdegenerowane bractwa rycerskie, wskrzeszające niechlubne tradycje rycerzy–rabusiów czatujących na średniowiecznych gościńcach. Historia powtarzała się więc jako tragifarsa.

A później zdarzyła się rzecz niezwykła, choć z drugiej strony oczywista — poczucie beznadziejności sprawiło, że niepewni jutra mieszkańcy blokowisk zaczęli przyjmować nową restrykcyjną religię. Zaczęli przechodzić na islam. Zjawisko miało swój precedens już w XX wieku, w USA, gdzie czarnoskórzy mieszkańcy slumsów i dzielnic biedoty byli nawracani na wiarę Proroka przez gromady członków Narodu Islamu — organizacji ideologicznych spadkobierców po Malcolmie X. W rzeczywistości pełnej gwałtów, narkotyków i strzelanin ludzie chronili się pod skrzydła silnej wiary, wymagającej od nich bezwzględного posłuszeństwa. Transakcja była prosta: bezpieczeństwo kosztem wolności, w której panuje stan „wojny wszystkich ze wszystkimi” — zupełnie jak u Hobbes’a. I podobny mechanizm zadziałał wśród mieszkańców polskich blokowisk. Skutki były coraz bardziej zauważalne. Pustoszące osiedlowe kościoły, z których ewakuowano księży ze względów bezpieczeństwa, zamieniano stopniowo na meczety. Polski islam był religią biedną, lecz prężną i agresywną. Nawołujące do przemocy wobec niewiernych sury Koranu stały się — po ich uproszczeniu do kilku punktów — swoistym katechizmem dresiarzy. W związku z tym niektórzy mówili pół żartem o nowej sekcie islamskiej: sekcie polskich dresailitów... Zastraszona i bierna większość popierała ten ruch jako swoją bojówkę, gdyż szukała w nim obrony przeciwko zwalczającym się gangom neopogan i *Raubritterów*.

Był to zresztą odprysk szerszej tendencji — islam stawał się religią klas biednych, sympatyzowali z nim coraz mocniej antyglobaliści, a w Polsce sam Trędowaty pod koniec życia przyjął wiarę i prawo Mahometa. Stało się to symbolem. Główny przywódca buntów plebejskich w środkowowschodniej Europie swoją decyzją przypieczętował niejako wizerunek islamu jako duchowej deski ratunku dla zagubionych i głodnych mas. Niektórzy kpili, że nie zdarzyłoby się to wszystko, gdyby nie zakazano chłopskiemu królowi legalnej działalności politycznej, a wcześniej nie skonfiskowano mu majątku. Ale wyjścia nie było — zbyt często i zbyt jaskrawo łamał on prawo. W ten sposób wyhodowano największego wicherzyciela i demagoga w tej części kontynentu od czasów Pugaczowa — jak stwierdził pewien publicysta, nie odróżniający wyraźnie historii Polski i Rosji. Analogia była jednak częściowo trafna.

Skutki krótkotrwałych rządów Trędowatego, będących wręcz wzorcową wersją ochlokracji, czyli władzy motłochu, ubranej w szatki fasadowych instytucji (fasadowych, bo zależnych od woli Trędowatego i jego koleśki), kosztowały Polskę sporo. Prawie udało im się rozmontować i tak już nie najlepszą spójność Unii Europejskiej, pękającej w szwach od rosnących w siłę tendencji komunitarnych i — z drugiej strony — globalizacyjnych. To właśnie wobec Polski, po dojściu do władzy populistów sprzyjających Trędowatemu (który sam kandydować nie mógł) i po zapowiedziach zmian ustrojowych mających doprowadzić do ustanowienia w Polsce dyktatury, Bruksela zagroziła zastosowaniem wobec RP najsilniejszej sankcji, nie licząc interwencji zbrojnej (która możliwa była jednak w dalszej kolejności): otóż zagrożono zawieszeniem Polski w prawach członka UE. Nowa władza, wybrana w demokratycznych wyborach i głosząca kres parlamentaryzmu jako wicherzycielstwa (które sama ochoczo wcześniej uprawiała) — otrzymała miano Odrzuconych. Był to ruch społeczny składający się w dużej mierze z ludzi starszych i zagubionych wobec zbyt długo już trwających, niemal permanentnych transformacji społecznych, technologicznych i ustrojowych. To właśnie na listę Odrzuconych padło najwięcej głosów, niektórzy zwali ją ironicznie *grey power*, ze względu na wiek jej działaczy. Stanowili ją natchnieni częściowo islamem, jako ożywczą ideologią, byli górnicy, rolnicy, stoczniowcy, drobni kupcy, dresiarze, niedoszli emeryci i pozbawieni swych

praw renciści (po tym, jak w doktrynie prawnej przyjęto kres koncepcji ochrony praw nabytych, ze względu na niewydolność budżetową państwa i rosnące zadłużenie przyszłych pokoleń). Zresztą, nie było to do końca nie do przewidzenia. Prognozy demograficzne sprawdziły się: społeczeństwo starzało się, więc przy takiej stratyfikacji nie mogło dziwić poparcie udzielone przez wyborców kandydatom przemawiającym w imieniu starszych i zagubionych. Niż demograficzny zbierał swoje żniwo, co przy ogólnej pauperyzacji doprowadziło do powstania społeczeństwa ubogich starców. Już pod koniec XX wieku działały w Polsce z powodzeniem partie emerytów i rencistów, walczące głównie o zachowanie własnych zabezpieczeń socjalnych.

Zawieszenie w prawach członka UE było sankcją o tyle dolegliwą, że nie wiązało się z nią zawieszenie w obowiązkach. Dlatego mimo odebrania Polsce praw wciąż wymagalna była składka do unijnego budżetu. Jak zareagował Trędowaty, który zbił kapitał popularności na prymitywnej krytyce Unii? Zawieszenie w prawach olał, a o płaceniu składki ani myślał... Niestety, społeczeństwo przyjęło tę deklarację z aplauzem, gdyż UE dawała wtedy rzeczywiście powody do krytyki, targana coraz to nowszymi aferami, a Europejski Trybunał Obrachunkowy co roku odnotowywał defraudacje pieniędzy pochodzących z budżetów państw—członków. Racjonalna krytyka unijnych instytucji, zwłaszcza bizantyjskiej wręcz biurokracji nie cieszyła się jednak takim powodzeniem, jak demagogiczne argumenty Trędowatego i Odrzuconych. Odpowiedzią ze strony Brukseli było ograniczenie z Polską obrotu handlowego, zamknięcie rynków zbytu dla eksportu i wprowadzenie wysokiej akcyzy na import do Polski towarów i usług. Po zawieszeniu była to kolejna dotkliwa sankcja: ekonomiczna izolacja kraju. Co było później? Opozycyjny rząd cieni udał się na Zachód i RP miała w ten sposób kolejny w swojej historii rząd na emigracji (tym razem w Strasburgu). W samym kraju doszło niemal do wojny domowej, z trudem uratowano sytuację. A uratowało ją polskie wojsko, uprzedzając w ten sposób interwencję zbrojną sił UE.

Wojskowi obalili Trędowatego, zdelegalizowali Odrzuconych i przejęli władzę tymczasową na czas kryzysu, by następnie przywrócić demokracją i ponownie wmontować Polskę w struktury unijne. Trwało to kilka lat...

Odbywający nocny dyżur pielęgniarz zobaczył niepokojący obraz w kontrolnym monitorze. Wcześniej przysnął na chwilę, więc nie wiedział, od kiedy mały nie śpi. Poszedł prędko do jego pokoju. Kiedy stanął w drzwiach, ujrzał lampkę w kształcie pajaca rzucającą blade światło na ściany. Chłopiec siedział po turecku wewnątrz torowiska. Skład pokonywał kolejne okrążenie.

— Kładź się spać, Billy. Nie możesz bawić się tak późno...

Chłopiec skierował na niego senne spojrzenie.

— Nie mogę spać.

Znów ta szybka odpowiedź! — zdumiał się w duchu pielęgniarz.

— Nie możesz, bo?...

— Bo myślę, jak ich ocalić.

— Słucham?... — spytał niewyspany mężczyzna i podszedł bliżej.

Billy musiał płakać. Zasnęte łzy połyskiwały na strapionej twarzy. Tory otaczały go niczym czarna aureola smutku.

— Co to znaczy, że musisz ich ocalić?... Kogo?

Mały kiwnął brodą w stronę kolejki.

— Przecież to tylko zabawka — mruknął pielęgniarz. — Zwyczajna elektryczna kolejka...

Billy zaprzeczył, kręcąc głową. Pielęgniarz podał mu chustkę, by wytarł oczy i wydmuchał nos. Wtedy chłopiec dokończył zdanie:

— Nie mogę iść spać, zanim nie obmyślę planu. Ja ich w tym zamknąłem i tylko ja mogę im pomóc.

Pielęgniarz westchnął ciężko. Cóż było robić? Wyjął z kieszeni saszetkę i wymieszał wysypany z niej proszek nasenny z zawartością szklanki stojącej na nocnym stoliku Billy'ego. Następnie podał mu ją, mówiąc ciepło:

— Wypij to.

Billy uśmiechnął się cierpko i ku zdziwieniu pielęgniarza wypił małymi łydkami. Bez protestów. Następnie wyłączył kolejkę i wstał, czekając na dalsze polecenia.

— Jutro razem obmyślimy plan. Pomogę ci, obiecuję — pielęgniarz poprawiał kołdrę i poduszkę. — Żebyś lepiej myślał, musisz się wyspać. No, wskakuj do łóżka... Jutro rano o wszystkim porozmawiamy.

## Pięć

Tuż o mglistym świcie pociąg zatrzymał się w lesie, hamując dość gwałtownie. Mieliśmy nieprzyjemną pobudkę — część pasażerów obudziła się pod wpływem hamowania. Reszta — za sprawę krzyków dwóch kolejarzy, kompletujących ekipę do oczyszczania torów z krzaków i drzew. To już któryś raz z rzędu. Pomagają przy tym wszyscy mężczyźni, więc musiałem wraz ze studentem i dziadkiem ubrać się i wyjść na zimno, aby popracować trochę fizycznie. Choć biorąc pod uwagę ból nadgarstka — pisanie tej relacji też należałoby uznać za pracę fizyczną. Zbierając połamane konary i kłody miałem zamiar wrócić do pisania, jak tylko wsiądziemy do wagonu. Dłonie grabiły od tej roboty. Chłodny i wilgotny ranek rozbudził nas całkowicie.

Niestety, nie było mi dane wrócić do pisania od razu. Po oczyszczeniu torów dziadek, o którym Ci pisałem, nabrał ochoty na pogawędkę. Zaczął zawiłą opowieść o dziwnych prawidłowościach w historii Polski, które daje się ponoć ująć matematycznie — wykresem. Chyba był analitykiem dziejów, czyli jak byśmy dawniej powiedzieli — historykiem. Przedstawił nam (głównie mnie i studentowi) swoją własną — co zaznaczył dwa razy — teorię historiozoficzną dziejów Polski. Była to — przygotuj się na to sformułowanie — teoria symetrii millenarystycznej. Przyznam, że sama koncepcja jest prosta, nie zrażaj się jej skomplikowaną nazwą. Postaram się ją przybliżyć w kilku akapitach.

Otóż, zdaniem mojego towarzysza podróży, który — jak sądzę po dzisiejszym wykładzie — był historykiem z toruńskiej szkoły Rydzyka (często odmawiał różaniec), dzieje Polski układają się symetrycznie. Przypominają — by użyć jego plastycznej metafory — rozłożony wachlarz. Takie spostrzeżenie jest jednak możliwie dopiero z dystansu, ponieważ koncepcja jest syntetyczna — podsumowuje już to, co się wydarzyło. Skrzydła wachlarza służą w tym porównaniu za stulecia. Przyjmijmy, że jest ich po jednej i po drugiej stronie pięć — razem dziesięć wieków, czyli tysiąclecie. Przyjmijmy też założenie dwóch dodatkowych (skrajnych) skrzydeł — granicznych stuleci, które wyznaczają nam horyzont zdarzeń: wiek X i wiek XXI. Środek wachlarza to zatem rok 1500, a dwa skrzydła środkowe to wiek XV (lewe) i XVI (prawe), czyli lata „tysiącczterechsetne” i „tysiącpięćsetne” (tak chyba należy tłumaczyć włoskie terminy „quattrocento” i „cinquacento”). Zdaniem mojego współpasażera historia Polski rozkłada się niemal tak symetrycznie, jak metaforyczny wachlarz — odchodzące od środka stulecia są w dużej mierze lustrzane pod względem procesów dziejowych i zachodzących wówczas wydarzeń. Podobieństwa bywają uderzające — na przykład koniec wieku X i początek XXI (skrajne skrzydła) to próby wmontowania Polski w organizm jednoczącej się Europy, która wtedy jest jeszcze tylko w planach — w postaci cesarstwa Ottonów i w postaci Unii Europejskiej. A teraz przeskoczmy do środka wachlarza — zbadajmy symetrię środkowych ramion — wiek XV i XVI są podobne, gdyż politycznie dominuje przez całe te stulecia problem krzyżacki i problem Prus. Teraz weźmy dwa kolejne skrzydła — wiek XIV i XVII — nie powtórzę wszystkich dowodów na ich podobieństwo użytych przez „profesora”, ale umiał on uwiarygodnić swoje stanowisko. Używał głównie argumentów ekonomicznych. XIV wiek kształtował społeczeństwo stanowe i wprowadzał pojęcie suwerennego

państwa, oddzielając je od osoby władcy, co wiek XVII wieńczył, koronował (*no—men omen*), bo wtedy spetryfikował się ostatecznie podział na stany i osiągnął swe apogeum kult „Korony”: Rzeczypospolitej, wobec której królowie pełnili jakby rolę tymczasowych zarządców. Poza tym te dwa stulecia to największe epidemie dżumy — w wieku XIV w Europie zaraza wykosiła jedną trzecią lub nawet połowę kontynentu, natomiast w XVII wieku w Polsce zgarnęła żniwo czterystu tysięcy ofiar, przywleczona z nad bałtyckich portów...

Lata 1200 do 1300 i 1700 do 1800 również pasują, gdyż w obu tych stuleciach panuje rozpad państwa: najpierw za sprawą rozbitcia dzielnicowego, później za sprawą rozbiorów; państwo chwieje się, jest niejednolite, wymaga konsolidacji, górę biorą tendencje destabilizujące.

I tak dalej, i tak dalej. Koncepcja ma oczywiście dziury, w każdym wieku pojawiają się bowiem procesy i mają miejsce sytuacje bez analogii do symetrycznych stuleci (np. podporządkowanie PRL-u sowieckiej Rosji przez czterdzieści pięć lat nie ma odpowiednika w wieku XI). Niemniej — teoria ta mnie urzekła. Ponieważ razem studiowaliśmy ten dziwny przedmiot, jakim jest historia Europy środkowowschodniej i razem nawet wybraliśmy seminarium z historii Polski w katedrze im. Normana Davisa (ech, piękne to były czasy), przytaczam Ci, Robercie, tę zdumiewającą i karkołomną hipotezę autorstwa mojego przypadkowego towarzysza podróży. Może odświeży ona Twoje dawne zainteresowanie dziejami tych ziem, tak jak odświeżyła (na jedną noc) moje...

Jest już późno. Kiepskie tu oświetlenie, czasami w ogóle odłączają wewnętrzne światło (zewnątrznie nie działa w ogóle). Większość przedziału drzemie. Zdrętwiała mi ręka od tego pisania. Długa droga przed nami — kto wie, co się jeszcze wydarzy na szlaku cudów.

Historyk wyszedł przejść się po pociągu. Była to jedyna forma ruchu dostępna pasażerom, a poza tym konieczność — należało co jakiś czas rozprostować kości, ponapinać mięśnie i pobudzić krążenie krwi, tak by nie zdrętwieć całkowicie. Kilka minut później wyszedł z przedziału Anglik, który również nie miał aktualnie nic do roboty — był zbyt zmęczony, żeby kontynuować zapiski. Symetryczne rewelacje dziadka nie dawały mu spokoju. Czy to możliwe, że nikt tego dotąd nie zauważył i nie pociągnął dalej badań?... Odpowiedź przyszła od razu: oczywiście, że tak. Anglik wiedział dlaczego, bo sam studiował kiedyś historię (choć ostatecznie nigdy jej nie ukończył). Decyzję o wyborze takiego właśnie kierunku zawdzięczał pewnemu Polakowi, z którym zetknął się w dzieciństwie, w dość szczególnych okolicznościach, o których wolałby nie pamiętać. Również dlatego zainteresował się Polską — tamten facet był szalenie sympatyczny. Gdyby nie to wszystko — nie trafiłby tutaj jako korespondent i ekspert od spraw polskich, pisujący do kilku brytyjskich periodyków. I nie musiałby uciekać tym okropnym pociągiem...

Przeciskał się przez korytarz pogrążony w myślach. Teoria symetrii milenijnej była klasyczną teorią historiozoficzną. Historiozofia była od dawna podejrzana dla oficjalnej doktryny akademickiej. Na uczelniach podważano jej naukowość. Oponenci twierdzili, że długoterminowe prognozy w dziejach są po prostu niemożliwe — jedyny wyjątek miały stanowić prognozy demograficzne i niektóre przewidywania ekonomiczne. Poza tym przyszłość miała być całkiem nieprzewidywalna. Było w tym sporo racji, jednak jego współpasażer zrobił coś innego — zamiast wybiegać myślą naprzód, podsumował zebrany już materiał. Wnioski nasuwały się same... Zastanawiając się nad tym, dziennikarz zawrócił, bo dotarł do końca pociągu — dalej był już tylko wagon służbowy. Idąc z powrotem, stawiał jak największe kroki, by naciągnąć zbolące stawy.

Wtedy się spostrzegli — na dwóch końcach korytarza. Oddzieleni kilkoma obcymi pasażerami szli w swoją stronę. Anglik pomyślał, że stary musiał pójść najpierw w przeciwnym kierunku, dlatego go nie spotkał. Zatrzymał się w przejściu, obok przegubu łączącego pierwszy i drugi wagon.

Zadecydował, że zaczeka tu na dziadka i w końcu się przedstawi. Podróż trwała zbyt długo, by mógł wytrwać w postanowieniu o anonimowości, zresztą nie miało to już większego sensu. Nic nie groziło mu za przyznanie się do swojego pochodzenia i wykonywanego zawodu. Może nie powinien jedynie wspominać o...

— Przepraszam — mruknął stary historiozof, przechodząc.

— Pan pozwoli, czekałem tu na pana — zaczął dziennikarz nienaganą polszczyzną. — Chciałbym się wreszcie przedstawić.

Historyk zatrzymał się zdumiony.

— To miło z pana strony, młody człowieku — zauważył, uśmiechając się cierpko. — W końcu jedziemy już tak długo...

— William Ankerton, zagraniczny korespondent.

— Miło mi — dziadek ścisnął wyciągniętą dłoń. — Andrzej Wergilczak, profesor historii.

Po tych słowach zapadło milczenie — i wisiało przez chwilę nad nimi niczym wielki znak zapytania. Nadal mało co wiedzieli na swój temat.

— Może zaczekamy tu na tę obrzydliwą kawę — zaproponował Anglik, przerywając ciszę. — Zawsze lepiej pogadać przy czymś takim...

— To chyba niezły pomysł, tylko trzeba wrócić po kubki — zgodził się profesor. Po czym dodał, mrugając okiem i klepiąc się po kieszeni. — Ja stawiam.

Zawrócili więc do swojego wagonu, ciekawi nadchodzącej rozmowy. Wergilczak szedł pierwszy, zgodnie z zasadą starszeństwa. *Nawet, jeśli dialog nie będzie się kleić, przynajmniej spróbowałem* — myślał Anglik, który przedstawił się profesorowi fikcyjnym nazwiskiem. Ankerton — tak podpisywał swoje korespondencje dla pewnej małej gazety wychodzącej w hrabstwie York. Później pozostał przy tym pseudonimie — głównie przez sentyment i tłący się w nim jeszcze szczątkowo idealizm. Słowo „Ankerton” było kontaminacją dwóch nazwisk: Lorda Actona, wybitnego XIX-wiecznego myśliciela oraz słynnego detektywa — Pinkertona. Te dwie gwiazdy przyświecały młodemu Williamowi, gdy stawiał pierwsze kroki na dziennikarskim szlaku. *Naiwny młodzieńczy wybór? Może, lecz przynajmniej fajny pseudonim z tego został...* Myśląc o etymologii swego przybranego nazwiska Anglik szedł za prowadzącym go przez pociąg Wergilczakiem.

\* \* \*

Ukryli się w betonowej dzielnicy na obrzeżach miasta. Walące się mieszkanie znajdowało się w bezpiecznej części blokowiska — upodobały ją sobie niegroźne subkultury, komuny posthipopowe, technokrisznowcy i neohippisi. Z rzadka miały miejsce ataki i przemarsze band rozbójniczych, pogromy zdarzały się raz do roku. Jak na powojenne warunki była to więc niemal oaza bezpieczeństwa.

Nie wiedzieli, jak długo tu zostaną. Najpierw musi wyjaśnić się sprawa w wydawnictwie. Pijąc śmierzdzącą tytoniem herbatę (gotowaną nad ogniskiem, które rozpalili na podłodze), mężczyźni spoglądali na osiedle. Przez zabite deskami i zaklejone gazetami okna widok nie był najlepszy, musieli zerkać przez szparki. Szare niebo i zszarzałe budynki z wielkiej płyty — wszystko tonęło we mgle.

Gdyby udało się sprzedać ten zeszyt za jakąś przyzwoitą forszę, sytuacja uległaby poprawie. Bo gorzej niż teraz być już nie mogło. Za pieniądze zmieniliby tożsamość — mieli zamiary na



odpowiednich cudotwórców. Póki co byli wyjęci spod prawa, ścigani przez różne służby tropiące takich jak oni na mocy wojennych dekretów. Nazywano ich terrorystami, choć starali się po prostu zarobić na wojnie. W tym celu związali się z leśną bandą.

Pili herbatę i czekali aż nadejdzie sen. Nic innego im nie pozostało. Każda wyprawa do centrum wiązała się z ryzykiem. Zostali wzięci w dwa ognie — z jednej strony okupanci, z drugiej zbrojne podziemie. Partyzanci wydali na nich wyrok, gdy wyszło na jaw, że sympatyczni dostawcy broni próbują handlować z drugą stroną. A oni starali się po prostu zarobić na wojnie. Uciekając, buchnęli partyzantom ważny dla nich zeszyt, ten sam, który leżał teraz na starym regale. Jedyne majątek, jaki posiadali. Należało go tylko spieniężyć — stąd wizyta w wydawnictwie. Jutro mieli uzyskać odpowiedź, od której zależało wiele. Bardzo wiele.

Tak naprawdę — zależało od niej wszystko.

\* \* \*

Ostatecznie nie wrócili na korytarz. Gdy szukali kubków, w przedziale wywiązała się rozmowa o sytuacji na południowej granicy. Po pociągu krążyły plotki, że grasują tam bandy rabujące uciekinierów z całego dobytku — łącznie z odzieżą. Ktoś miał widzieć grupę półnagich obdartusów szukających schronienia w punktach Czerwonego Krzyża. Opowiadając o tym jedna z kobiet posłużyła się określeniem „Jak ich Pan Bóg stworzył”. Wówczas student zauważył zjadliwie, że kreacjonizm to bzdura, a od małpy różni człowieka jedynie 0,6% sekwencji genów — jakby czekał na okazję do zemsty za wczorajszą dyskusję polityczną. Baby poniosły larum, jednak niepotrzebnie, bo zadziornego chłopaka szybko zgasił profesor:

— Człowiek w ponad 70% składa się z wody, podobnie jak zablocona kałuża. Czy twoim zdaniem, młodzieńcze, jest to dowód na nasze podobieństwo do kałuż?

Chłopak posłał mu nienawistne spojrzenie, bo nie mógł znaleźć równie zwięzłej riposty. Profesor uśmiechnął się tylko z politowaniem. Niemal od początku podróży wyczuwało się między nimi niechęć połączoną z umyślowym współzawodnictwem — jakby podświadomie walczyli o laur naczelnego intelektualisty przedziału. Pozostałych pasażerów traktowali trochę jako audytorium lub komisję oceniającą. Anglika od początku bardzo bawiła ta sytuacja.

Tym razem ze słownej potyczki wywiązał się dłuższa dyskusja. Dziennikarz zgodził się, by zaczekać na kawę w przedziale, bo kibicował profesorowi. Student postanowił zmienić temat, by zadać cios Wergilczakowi na innym polu. Wyraził się z pogardą o kilku postaciach z historii Polski, kwestionując pojęcie bohaterstwa narodowego. Była to według niego prymitywna propaganda, do rozpowszechniania której wykorzystywało się szkoły publiczne. Polegać miała na fałszowaniu prawdziwych intencji polityków, którzy działali zawsze we własnym interesie — a ewentualne bohaterstwo mogło być najwyżej skutkiem ubocznym takich działań. Za ten stan rzeczy chłopak obwinał przede wszystkim historyków. Odpowiadając na te zaczepki, profesor zaczął w pewnym momencie rozważać alternatywne wersje historii Polski — podając przykłady bohaterskich czynów będących „zwrotnicami dziejów”, co obalało tezę studenta. Dowodził, że pojęcie „bohaterstwa narodowego” jest obiektywnie weryfikowalne. Student kręcił głową, lecz nie przerywał. W pewnej chwili Wergilczak westchnął, że dużo by dał, by przewidzieć przyszłość i poznać oblicze świata za czterdzieści, pięćdziesiąt lat. Student, o dziwo, podjął temat, łagodząc nawet agresywny ton. Przymierzał się chyba do dłuższego wykładu. Rywalizacji ciąg dalszy — pomyślał zaintrygowany

Anglik.

Po wygłoszeniu uwag natury ogólnej na temat stanu współczesnej nauki i czasowych paradoksów, chłopak przeszedł do własnego przykładu. Postanowił opowiedzieć wszystkim konspekt swojego jeszcze nie napisanego opowiadania SF, w którym „bawi się” (jak to określił) motywem podróży w przyszłość, podejmując przy tym próbę polemiki z poprzednimi wersjami motywu. Rozmowa schodziła coraz bardziej z historii na spekulację naukową.

— Czy mówi panu coś nazwa „ekstrapolator”? — spytał historyka z wyższością.

— Pewnie coś od ekstrapolacji... — mruknął rozbawiony Wergilczak.

— Zgadza się. W moim opowiadaniu występuje szalony profesor, który pragnie skutecznie podróże w przyszłość.

— Szalenie oryginalne... — rzucił Wergilczak znudzony. Student zignorował jego ton i kontynuował opis konspektu opowiadania.

— Pod koniec życia musi przyznać się do klęski. Uświadamia ją sobie stopniowo. Najpierw odrzuca pomysł maszyny czasu, tego wehikułu upowszechnionego przez Wellsa. Czasu nie można przemierzać jak przestrzeni, klasyczne pojęcie ruchu nie sprawdza się tutaj, to bardzo XIX—wieczny pomysł działający najwyżej w literaturze, filmie i grach... Jeżeli więc nie maszyna, to co? Przenoszenie siebie samego, z ciałem i umysłem, a może tylko umysłu — podróż polegająca na zagnieżdżaniu się w świadomości mieszkańca świata przyszłego i obserwowaniu rzeczywistości jego oczami, jego zespołem percepcyjnym? A może po prostu — tu nawet cofamy się do form wcześniejszych od idei wehikułu — może po prostu dar przewidywania? Jasnowidzenie zaprzęgnięte w rydwan nauki, odpowiednio uporządkowane i uregulowane?..

No więc, mój bohater dochodzi do wniosku, że trzeba cofnąć się właśnie do tego prymitywnego sposobu — do wieszczenia zdarzeń przyszłych. Lecz nie za pomocą narkotyków, wprowadzania się w szamańskie transy czy innych tego typu rzeczy. Nie. Trzeba sięgnąć do potęgi ludzkiego mózgu, który jak wiadomo wykorzystuje jedynie znikomy procent swojego potencjału. Podłączenie go do aparatury pozwalającej wydobywać z neuronów obrazy przyszłości, jakie się tam lęgną (każdy w końcu jakoś wyobraża sobie przyszłość), oraz odpowiednie ich rozwinięcie i doszlifowanie — może ukazać nam różne wizje przyszłości. Niestety, tylko wizje — subiektywne rzuty psychiki na probabilistyczne tło. Ale — jeżeli nosimy w sobie cały ładunek spostrzeżeń, obaw, prognoz, nadziei, planów i przemyśleń, ładunek powstały wskutek życia w realiach współczesnych, w których wchodzimy w rozmaite interakcje z rzeczywistością, to może właśnie wydobyć ich na wierzch spowoduje, że ujrzemy wreszcie niedocieczoną przyszłość? A przynajmniej jeden z wariantów przyszłości. To jak w filozofii Arystotelesa i św. Tomasza: możliwość staje się aktem. Nie ma jedynej przyszłości, dlatego bezpośrednia podróż w nią jest niemożliwa: można najwyżej próbować zobaczyć różne jej warianty. To jednak oznaczałoby, że możliwy jest każdy wariant, którego prawdopodobieństwo jest większe od zera, ogrom możliwości o bardzo nikłych szansach spełnienia. Nas oczywiście interesują jedynie najbardziej prawdopodobne scenariusze — bo takie raczej się spełnią, to właśnie ich możemy oczekiwać. Właśnie z tych domysłów zrodziła się idea ekstrapolatora...

— Skoro już pan to wyjaśnił — profesor ożywił się nieco — proszę nam opowiedzieć o konsekwencjach zastosowania takiego pomysłu. Wie pan, mnie się wydaje, że ta cała ekstrapolacja...

Chłopak wszedł mu w słowo:

— Ekstrapolacja to jedna z metod przewidywania przyszłości, próba prognozowania zdarzeń jeszcze odległych w czasie. Oczywiście jest ona zawodna, jeśli poprzestaje się wyłącznie na niej. Nie można prymitywnie rozdmuchiwać każdej obecnej tendencji, przy jednoczesnym

minimalizowaniu tendencji zamierających w naszych czasach. Bardzo łatwo się w ten sposób naciąć. Istnieje bowiem jeszcze przypadek, a procesy się odwracają. Są nieprzewidywalne reakcje i odruchy pojedynczych osób oraz całych mas ludzkich. To też jakoś trzeba uwzględnić. Dlatego podłączenie konkretnego człowieka do ekstrapolatora nie wystarczało. W wizje, jakie wyłaniały się z mózgu, z jego podświadomych i świadomych warstw, należało ingerować: korygując je za pomocą wprowadzania elementu przypadku, jak na przykład jakiś wynalazek, konflikt zbrojny czy nowa moda. Tak wypreparowany obraz przyszłości zdawał się jednym z możliwych i zarazem jednym z bardziej prawdopodobnych wariantów zdarzeń, bo były przecież inne. Oczywiście poglądy człowieka podłączonego do maszyny, jego sylwetka psychologiczna, zasób wiedzy i doświadczeń życiowych — były decydujące dla tego, co się wyłaniało jako obraz przyszłości. Upraszczając: jeżeli ktoś się bał terroryzmu, to świat zrodzony z tej obawy był eskalacją terroru. Jeżeli ktoś bardzo wierzył w postęp techniczny, to w jego przyszłym świecie następował gwałtowny rozwój wszystkich nauk. I tak dalej.

— Rozumiem — mruknął Wergilczak, kiwając głową. — Jeżeli ktoś lubił rozwiązać, to świat przyszłości wywiedziony z takiej predylekcji musiał przypominać rzymską orgię...

Student zamilkł na chwilę, rozważając słowa historyka, który nie wiadomo, czy kpił, czy mówił poważnie. Po chwili podjął monolog.

— Podłączony do ekstrapolatora ochotnik odbywał coś w rodzaju podróży w czasie. Tak mu się subiektywnie wydawało. Ekipa przeprowadzająca doświadczenie kreowała w jego umyśle sugestię podróży — musiał stać się nieświadomym członkiem społeczeństwa przyszłości. Własna projekcja musiała jawić się ochotnikowi jako rzeczywistość zastana, a to trzeba było uwiarygodnić. To właśnie brak świadomości podróży przesądzał o czystości wizji...

— Jeżeli dobrze pana rozumiem — wtrącił profesor — w pańskim opowiadaniu możliwa byłaby sytuacja, że bohater jedzie, dajmy na to starym pociągiem, tak jak my obecnie i jest przekonany o realności zdarzeń następujących wokół niego.

— Tak — ożywił się chłopak. — Począwszy od sytuacji politycznej na świecie, skończywszy na drobiazgach: jedzeniu, sprzętach, ubiorach...

— A tak naprawdę tkwi w iluzji, przebywa we własnej wizji... jak we śnie.

— Mniej więcej.

— Czyli taka wizja przyszłości byłaby uporządkowanym, realistycznym snem, w którym wszystko musi być związane na ostatni guzik: życie społeczne, gospodarcze...

— Nie do końca. Tylko w takim zakresie, w jakim pojmuje je w normalnym świecie podróżnik — przecież jeżeli ktoś nie ma pojęcia o ekonomii, nie wyłoni z siebie wizji spójnego systemu gospodarczego...

— Rozumiem. Luki w wizji będą odbiciem dziur w jego wiedzy o świecie rzeczywistym, czy tak? Nieświadomość pewnych tendencji obniży koherentność świata przyszłości, jaki ujrzy poddany eksperymentowi „podróżnik”.

— Tak. Przy czym luki również zostaną w pewien sposób poddane ekstrapolacji.

— Interesujące... A w jaki sposób, pytam od strony czysto technicznej, nasz podróżnik przekazywałby opis świata, który został wysondowany z jego umysłu? Skoro nie wiedziałaby, że jest częścią eksperymentu...

— Też o tym myślałem — pokiwał głową chłopak. — Właściwe pytanie powinno brzmieć: czy można być nieświadomym szpiegiem? Czy można sporządzać raporty nie wiedząc o tym, uznając je za jakąś normalną czynność wykonywaną w świecie przyszłości?...

— I co panu przyszło do głowy?

— Myślę, że podróżnik mógłby być na przykład dziennikarzem albo analitykiem politycznym. Kimś, kto opisuje świat zastany i procesy w nim zachodzące. Bada rzeczywistość, tworząc jej opisy, które trafiają do świata rzeczywistego — z którego został wysłany — właśnie jako obrazy przeszłości...

Rozmowa zamierała. Kołysząco–szarpiący rytm pociągu rozleniwiał, usypiał. Powoli zapadał zmierzch.

Za oknem szpitalnego pokoju panowała szarość. Rozmywała kontury krajobrazu jak woda dolana do farb — wszystko robiło się przezroczyste i przez to gorzej widoczne. Nadchodził duszący jesienny zmrok...

Billy stał przy szybie, do której nagle podleciał wróbel ze zranionym skrzydłem. Rwąc się w nerwowym locie, raz za razem uderzał o szkło, pozostawiając na nim smużki krwi. Chłopiec aż zamarł z przerażenia. Przywarł do okna i skierował spojrzenie w dół. Zobaczył tam kota, który oblizywał się, zerkając łakomym wzrokiem ku zmokniętemu ptakowi.

Ptak atakował szybę coraz mocniej. Trzepocząc złamanym skrzydłem odbijał się od szkła niczym od niewidzialnej bariery dzielącej go od ptasich zaświatów. Być może twarz chłopca wydawała mu się teraz twarzą Boga. *Bardzo obojętnego Boga* — pomyślał Billy. — *A może tylko nieudolnego?* Tak bardzo chciałby pomóc wróblowi.

Wtedy podszedł do niego jeden z pielęgniarzy — był tutaj nowy, ale miał życzliwy stosunek do dzieci, więc szybko zdobył ich zaufanie. Chłopiec ujrzał jego mgliste odbicie w szybie. Stał za nim, górując nad malcem i razem spoglądali na walczącego o życie wróbla — dwaj mieszkańcy Drugiej Strony.

Billy polubił go od razu. Obcokrajowiec, Polak. Trzy dni temu przywitał się z Billym, mówiąc o sobie dużo ciekawych i śmiesznych rzeczy. Robił to z sympatii do dziecka, gdyż nie zamierzał złapać tu stałego etatu. Pracę w szpitalu traktował jako zajęcie okresowe, góra jeden rok, tak by trochę dorobić do stypendium. Później miał zamiar wrócić do Polski, aby zakończyć studia na uczelni w mieście, z którego pochodził Mikołaj Kopernik — Billy był pod wielkim wrażeniem tego faktu.

Zmęczony walką wróbel przysiadł na parapecie. Kot wspinał się na drzewo, choć nie miał wielkich szans, by dosięgnąć ptaka. Dopóki nie spadnie na ziemię, nie grozi mu śmierć w kocich pazurach.

Pielęgniarz położył chłopcu rękę na ramieniu, odsunął go od okna, następnie lekko je uchylił. Powiało chłodem. Billy zagryzł zęby, gdy ręka pielęgniarza wyciągnęła się w stronę wróbla. Już prawie go dotykał, już go miał, już...

Wtedy przestraszony ptak szarpnął się i spadł. Minęło kilka strasznych chwil. Billy usłyszał prychnięcie kota skaczącego z drzewa za łatwym kąskiem — i nie zdołał utrzymać łez. Wtulił się w rozkładającego bezradnie ręce polskiego studenta i pragnął już tylko, by świat za oknem przestał istnieć.

Zrobiło się bardzo cicho. Deszcz splukiwał z szyby ślady ptasiej krwi.

## Sześć

*Za chwilę spróbuję przyłożyć skroń do zagłówka i zasnąć. Płytki sen do taktu pociągu to jedyna forma nocnego odpoczynku. Atmosfera w przedziale jest nieszczególna. Profesor przysypia odmawiając różaniec, student swoim zwyczajem spuścił sobie na oczy grzywę — udaje, że drzemie... Ostatnią rzeczą, na jaką mamy ochotę, jest rozmowa. Babiny pochrapują irytująco, chyba jako jedyne nie mają tej nocy problemu z zaśnięciem. Korytarzem przejdzie co jakiś czas któryś z „konduktorów”, rzucając podejrzliwe spojrzenie na pasażerów... Podminowany nastrój (mało kto ufa innym) na pewno nie służy łatwemu zasypianiu... Jak widzisz, ja zabijam bezsenność, opisując Ci nudną sytuację w wagonie. Nie mam nerwów i ochoty zastanawiać się nad naszą sytuacją; zwłaszcza nad tym, czy uda się dotrzeć do celu — i czy po drodze nie wydarzy się nic strasznego. Poruszamy się na krawędzi bardzo poważnego ryzyka — wszyscy łamiemy prawo. Siły koalicji nie bawią się w ceregiele z nielegalnymi uciekinierami; mogą nas nawet ostrzelać. Fajna perspektywa, prawda?.. Znużenie powoduje, że zaczynam serio rozważać plotkę o promieniowaniu w górach — może jednak jest w niej ziarno prawdy?.. Patrzę przez szybę, lecz nie widać nic oprócz mgły rozrzedzającej ciemność i skraplającej się na szkłe. Wilgoć przeciska się przez szpary w oknie, przez brudną zasłonkę wieje chłodem. Wciągam do płuc rześkie powietrze, naiwnie licząc na to, że pomoże mi zasnąć. To tyle, stary druhu, odkładam mój notatnik; oby udało mi się przynajmniej zdrzemnąć...*

Sen był wyjątkowo realistyczny a zarazem fantastyczny w pełnym tego słowa znaczeniu. To znaczy, nie działo się w nim nic, co by łamało logikę jawy, a jednak główny motyw był niezwykle. Mózg Anglika musiał być przeładowany historiami opowiadanymi przez kolejarzy i rozważaniami snutymi przez studenta oraz profesora, gdyż przetworzył je w szczególny sposób, co zaowocowało jedyną w swoim rodzaju fantasmagorią. Śniło mu się, że jest uczestnikiem operacji przeprowadzanej przy użyciu maszyny, o której opowiadał student. Ludzie w czarnych maskach i czarnych kombinezonach podłączali go aparatury, która miała skanować jego mózg, aby wydobyć z niego wizję przyszłości Polski, w której następnie miał zostać zainstalowany jako obserwator. Jeden z zamaskowanych tłumaczył mu, że „zwiedzanie” subiektywnej przyszłości będzie polegało na swoistej symulacji — zostanie umieszczony w grze, która nosi nazwę „Szlak cudów”, a która jest programem mającym porządkować wizje, pomóc je ułożyć, wtłoczyć ich chaos w szablon jasnego przekazu. W przeciwnym bowiem razie pamiętałby strzępy tego świata, co dałoby surrealistyczną mozaikę obrazów i informacji, rzecz bezwartościową, podobną majakom widzianym w malignie. Śnił, że kładzie się na leżance podłączany do jakichś kabli i sensorów, a na głowie ma najeżony włóknom bioelektrycznym kask. Gdy tak pograżał się w ciemności, która spływała na niego wewnątrz hełmu — poczuł, że spada... Leciał poprzez czerń, jakąś atmosferyczną otchłań nie stawiającą żadnego oporu — trwało to i trwało... W końcu pojawiły się obrazy, a spadanie ustało.

Stał pośrodku starych kolejowych torów między lasami a polami — wszędzie i zarazem nigdzie. Wokół panowała noc. Przy pełni księżyca widoczność nie była zła, więc mógł przyjrzeć się z bliska rosie lśniącej na szynach, przypominającej perłowy nalot na wyslizganej stali. Powoli zaczął

schodzić z niewielkiego nasypu, i właśnie wtedy ujrzał...

Szła wolno wzdłuż torów. Reflektor księżycy dobywał z ciemności jej postać. Anglik stał pod nasypem i gapił się oniemiały. Była zupełnie naga. Młoda dziewczyna, przeraźliwie chuda, trzymająca staroświecką parasolkę z poszarpanymi albo zjedzonymi przez mole falbanami. Zasłaniała się nią przed księżycowym blaskiem — cień przecinał ją na ukos, kryjąc część głowy, szyi i piersi; mimo to, gdy przechodziła obok, Anglik zobaczył jej twarz. Koszmarny widok: była to czaszka obciągnięta skórą, bladą i zniszczoną, z parą smutnych oczu osadzonych w posiniąłych oczodołach, jak u narkomanki. Próbował odwrócić wzrok, lecz wtedy ona się obejrzała. Wystarczyła sekunda, by poczuł na sobie zimne tchnienie śmierci. Jego strach osiągnął apogeum, mimo to wciąż nie mógł się obudzić, jakby umyślnie został zamknięty w klatce lęku. Wtedy się odezwała:

— Witaj, Billy...

Billy? Tak dawno nikt nie zdrabniał jego imienia.

— Kim jesteś? — wydukał.

— Jestem demonem choroby popromiennej.

Głos zabrzmiał jak zgrzyt noża o mur. Nie tyle kaleczył, co wręcz zarzywał ciszą. Spoza palców, którymi usiłował zatkać oczy i uszy, ujrzał jeszcze, jak zjawa odchodzi w ciemność — twarzą ku pełni księżycy. Ogarnęła go irracjonalna trwoga mnożąca pytania. Tak miała wyglądać śmierć XXI wieku? Dokąd zmierzała? Czy rzeczywiście niosła chorobę?

Kurczył się w sobie od tych myśli, czekając na przebudzenie niczym tonący na haust powietrza. Wtedy od strony, gdzie zniknęła kostucha, nadpłynęło głucho dudnienie. Narastało, tory szumiały. Zrozumiał, że nadjeżdża pociąg. Pomyślał (zupełnie racjonalnie), że zjawa nie mogła przeżyć zderzenia ze zbliżającym się składem, chyba że wcześniej zesła z torów. Na sztywnych nogach wspiął się na nasyp — i stojąc okrakiem na szynach zobaczył w oddali ruch ciemności. Żadnego reflektora, jedynie niewielkie, ledwo uchwytnie skurcze czerni. To by się zgadzało, pomyślał, w końcu pociąg na szlaku cudów jedzie zupełnie nie oświetlony... Stał tak, wpatrując się z ciemność, starając się przeniknąć wzrokiem noc. Gdy się zorientował, było już za późno! Elektrowóz pojawił się nagle jakieś pięćdziesiąt metrów przed nim, nieco lepiej widoczny w świetle księżycy. W takich chwilach strach paraliżuje człowieka jak światło halogenu zająca. Zaczął wrzeszczeć, nie mogąc się ruszyć. Z bezwonną koniecznością oczekiwał pociągu, który nadciągał, by rozgnieść go jak owada... Lecz kiedy nastąpił moment zderzenia, nie poczuł nic...

Chłopiec krzyczał przez sen, szarpiąc się na łóżku, co zaalarmowało pielęgniarki. Pobiegli w stronę jego pokoju. Wyglądało to co prawda na zwykły senny koszmar, jednak istotne było to, jak mały zareaguje tuż po przebudzeniu...

Obudził się zdyszany z walącym sercem, w przedziale, nie mogąc jeszcze w pełni odróżnić snu od jawy. Trwało kilka minut, nim odważył się poruszyć, a jego świadomość przeprowadziła linię graniczną między rzeczywistością a koszmarem. Współpasażerowie spali w najlepsze, dziadek przeraźliwie chrapał. I to ostatecznie przywróciło go rzeczywistości. Ponownie zasnął dopiero po około godzinie. Z ulgą zapadł się we własnym zmęczeniu, zaliczając upragniony sen bez snów. Aż do samego rana nie przyśniło mu się nic, co by zapamiętał.

Billy nie zdradzał żadnych oznak podenerwowania. Nie dawał opiekującym się nim pielęgniarkom powodów do podejrzeń. Gdyby wiedzieli, co postanowił ich mały podopieczny, nie wykonywaliby pracy z takim rutynowym spokojem...

Billy zdecydował z całą stanowczością dziecięcego temperamentu, że tej nocy nie zaśnie. Nie położy się do łóżka, i już... Kilka godzin zabawy kolejką to zdecydowanie za mało. Nie mógł w pełni kontrolować sytuacji, gdy przerywano bieg wydarzeń, często w najmniej odpowiednim momencie — a przecież bez niego ten pociąg, ci pasażerowie, cały ten skomplikowany świat przestawał istnieć.

Nie mogło ich to jednak ocalić w żaden sposób. Po prostu odraczało moment egzekucji...

Dlatego Billy powziął plan. Nie jest takim bezwolnym warzywem, za jakie go uważają. Ma własne zdanie — i postawi na swoim.

Dziś wieczorem. Gdy już położy się spać i gdy pozostanie tylko pielęgniarz na dyżurze, wtedy po cichu wyjdzie spod koca i uruchomi kolejkę... Na całą noc.

I albo ich ocali, albo ocalić nie zdoła. Musiał spróbować, bo czuł się odpowiedzialny; wyszli z jego głowy, zaludniając dziwną krainę przyszłości ogarniętą wojennym zamętem. Ta kraina rozwinęła się sama, była zapisana w tej kolejce, w tych torach, w elementach krajobrazu — Billy nie wiedział, jak to możliwe. A jednak dostrzegł ją, gdy tylko pierwszy raz został sam na sam z kolejką: najpierw mgliście, kątem świadomości, później już zupełnie wyraźnie. Głosy z jego mózgu uciekły w ten świat od razu, nie potrafił ich zatrzymać.

Teraz musi znaleźć wyjście z sytuacji i zabrać ich z powrotem. Lepiej, żeby cierpiał od głosów, tak jak wcześniej, niż żeby pasażerom stała się krzywda; poza nim są przecież zupełnie bezbronni...

*Po przebudzeniu nie poczułem się wiele lepiej. Dzieje się coś dziwnego. Sam już nie wiem, co jest prawdą, a co iluzją, rzeczywistość wymyka mi się z rąk, nawet nie próbuję Ci tego opisać. Znaki w zeszycie stawia mi się coraz trudniej. Może już nawet w tej chwili nie piszę, tylko coś gryzmolę, próbując bezskutecznie uchwycić swój wewnętrzny monolog. Błądzą w dziwnej przestrzeni między domysłami, z których jeden jest bardziej szalony od drugiego. Czuję, jakbym wariował — jakby nagle rozsądek odmówił posłuszeństwa, zalewając mnie wodospadem obrazów. Najbardziej szalona jest jednak chyba sama rzeczywistość, jej obłąd odbiera wszelką pewność. Świat, który uznawałem za jedyny i zastany, za pole wyjściowe dla snów, które mnie nawiedzały — nagle stał się podejrzany. Nie ufam mu już, gdyż nie mam nawet pewności, czy sam nie jest snem. Uderza mnie absurdalność własnego położenia, sytuacja korespondenta zagranicznego uciekającego z kraju ogarniętego pożogą. Czy ja to ja? Ten pociąg, Boże, przecież to szalone, podróż przez świat, którego nie ma, a ja to jeszcze próbuję chwytac na gorąco, opisując staremu przyjacielowi w liście — czyżbym jednak tworzył raport? Może być przecież tak, że student z profesorem mieli za zadanie mi o tym przypomnieć, z jakichś szczególnych względów — czyżby byli postaciami z gry? Nie wiem, nic już nie wiem. Kiedy atakuje cię szaleństwo, pierwsza umiera pewność.*

Billy odczekał, aż z korytarza przestaną dobiegać odgłosy kroków. Podnosząc głowę z poduszki zerknął na kubusiowy zegar — tylko po to, by się przekonać, że jego wewnętrzne poczucie czasu znów go nie zawiodło: godzina zgadzała się co do minuty. Najwyższa pora, by przystąpić do dzieła...

Spod koca wyjął wielkiego misia, którego przebrał w swoją piżamę. Następnie ułożył go tak, aby na obrazie przekazywanym przez kamerę nie można było odróżnić chłopca od pluszaka. Wiedział, że w nocy sygnał nie jest wyraźny — dyżurujący pielęgniarz ujrzy na ekranie monitora monochromatyczny przekaz, a na nim kawałek piżamy i nakryte kocem wybrzuszenia; na szczęście miś był dość chudy i miał proporcje ludzkiego dziecka...

Pozostawał jeszcze problem drzwi — nie zamykały się od wewnątrz. Można było je jednak zastawić, blokując klamkę. Billy wiedział jak to zrobić, przez ostanie dwa dni obliczał w myślach

układ sił, aby znaleźć optymalne rozwiązanie. Drzwi powinny być unieruchomione tak, by jak najtrudniej było je wyważyć. Bo przecież w czasie obchodu pielęgniarz może zajrzeć do środka — i przypadkowo nakryć Billy’ego. Dla dobra jadących miniaturowym składem pasażerów chłopiec musiał zabezpieczyć się przed taką ewentualnością.

*Mogę teraz łatwo przechodzić między różnymi wersjami obłądu: raz jestem w wagonie, to znów w laboratorium, z którego wysłano mnie do wnętrza własnej jaźni, przez chwilę przypomniał mi się nawet szpital z dzieciństwa — tamten pociąg, jakaż bolesna analogia, czysta ironia wspomnień. Kto tu zwariował: ja czy rzeczywistość? Chyba to drugie, bo przynajmniej staram się walczyć, przedzierać przez zasłony percepcyjnej uludy, kiedy wszystko się miesza, rozpada z godziny na godzinę, niczym mur z cegieł pozbawionych zaprawy.*

*Gdy przebywam w wagonie, zauważam coś jeszcze: moi współpasażerowie dziwnie się zachowują. Widzę ich jak przez mgłę, lecz mają obłąd wypisany na twarzach. Chłopak szarpie za struny gitary, wydobywając z niej chaotyczne, atonalne dźwięki i bełkocze coś pod nosem. Profesor szarpie sobie włosy, wykrzykując z przerażeniem coś, czego nie słyszę.*

*Czyżby szwankujące podprogramy w mojej symulacji? Bzdura...*

*Mam wrażenie, że pociąg raz zwalnia, raz przyspiesza, a jego bieg staje się nierówny, jakby coś się psuło. Nie ręcę jednak za realność tego odczucia...*

Zeszyt wypada mu z rąk. Spogląda w okno i wkracza w groteskową przestrzeń między światami, rodzaj psychodelicznego parku, po którym przechadzają się dziwne postacie. Są to w większości bohaterowie z historii Polski, pamięta ich wizerunki z muzeów i książek historycznych, a niektóre nowsze twarze i sylwetki nawet ze zdjęć. Paderewski, Piłsudski, Wałęsa — tych rozpoznaje bez trudu. Gorzej z przedstawicielami starszych generacji: jacyś królowie, hetmani, dowódcy... Niektórzy muszą pochodzić sprzed wielu wieków, są tak odziani i uzbrojeni... Nagle zapada ciemność. Jej czerń rozjaśnia jedynie biel wielkiego ptaka widniejącego na godle przybitym do wysokiego drzewa. A może do krzyża?.. Nie widać za dobrze. Śnieżna poświata emanuje ze skrzydeł orła i oślepia, zmuszając Anglika do mrużenia oczu. Ptak jest rzeczywiście rozpięty jak na krzyżu, ale tablicę godła dźwiga raczej stare, uschnięte drzewo. Dziennikarz stoi pod nim, nieco z boku grupy postaci historycznych (które również obserwują zjawisko) i nie może ukryć zdumienia: gigantyczny orzeł wydaje się żywy. Przechodzi koszmarną metamorfozę, która powtarza się na oczach gapiów niczym zapętłony cykl śmierci i narodzin. Całość tchnie grozą, gdyż śmierć dumnego ptaka wydaje się męczeńska i komiczna jednocześnie. Rośnie, począwszy od nieopierzonego pisklaka, rozrasta się na czerwonym polu, zyskuje i traci koronę, na przemian pęcznieje dumą lub kurczy się od hańby, aby w końcu zestarzeć się ptasią starością posiadacza coraz bardziej tępych i przygaszonych szponów... W finale wyraźnie kurczy się — jest wymięty i nieruchomy.

W końcu opuszcza bezsilne skrzydła, zawijając się w nie niczym w całun.

Co z tego, że się dobijają, żelazny wspornik od szpitalnej wagi wytrzyma napór próbujących wyważyć drzwi. Kolejka jedzie już półtorej godziny, zorientowali się bardzo późno, mój plan wypalił! Tylko jak mam im pomóc, gdy nie słyszę ich myśli, nie mogę się skupić... Gdy tak walą w drzwi, moja możliwość wnikania do świata pasażerów maleje. Jestem Billy, dzielny Billy, muszę wytrzymać, przecież nie opuszczę ich, gdy pociągowi grozi wykolejenie. Wiem, że to zasadzka, obława — lecz czyja? Ciąg wydarzeń powodowany obcą ingerencją. Łup, łup, łup!.. Myśli uciekają mi od hałasu. Tak trudno kontroluje się własną wyobraźnię! Niech oni się wreszcie zamkną, niech nie



krzyczą przez drzwi, żebym otworzył — bo i tak nie otworzę. Stawka jest zbyt wysoka, chodzi o przetrwanie uciekinierów — co pocznę, gdy wysypią się z wagonów, a pociąg spadnie z nasypu? Mam niewiele czasu, ale zdążę ich jakoś asekurować, wiem o tym. Najwyżej przepłacę to pomieszaniem zmysłów. Muszę tylko zignorować walenie w drzwi. Potrzebuję ciszy, by usłyszeć ich potrzeby. Wystarczy kwadrans, bo zdarzenia zmierzają do kulminacji. Zanim personel wedrze się do pokoju, powinienem zdołać ich rozproszyć, zamortyzować wstrząs katastrofy...

Solidna waga blokuje klamkę, lecz oni wciąż walą w drzwi.

Kolejka chwieje się w torowisku.

Muszę się skoncentrować. Gdyby tylko...

Nagle czuję, że ktoś ciągnie mnie za rękę, szarpie mocno i wrywa z tłumu stojących nieopodal bohaterów. To profesor Wergilczak! Jak dostał się tutaj z pociągu? Przecież to moja wizja, nie powinien mieć tutaj wstępu... Tymczasem starzec wyraźnie ingeruje w moją halucynację; czuję, że jest tutaj ciałem obcym, elementem z zewnątrz: nie ja go wyświetlam w prywatnym kinie mojego obłądu. Nic już nie rozumiem, poddaję się biegowi wydarzeń, nieopisywalnej logice snów; to jedyne wyjście, bo opór jest daremny... Tymczasem stary ciągnie mnie za przegub z uporem dyktowanym przez strach malujący się w jego oczach. Idę wleczony jak owca na postronku. Uchwyt profesora jest wyjątkowo silny. Po chwili zatrzymujemy się, a on wyciąga przed siebie rękę i krzyczy:

— Patrz!

Patrzę zatem. I dostrzegam to, co go tak przeraziło. Przed nami wbity w ziemię ogromnych rozmiarów wachlarz, składający się na przemian z białych i czerwonych skrzydeł. Od razu przypominam sobie teorię symetrii milenijnej. Dwa skrajne skrzydła trawi ogień — płoną jak teatralna dekoracja. Czarny dym kojarzy się z dźwiękami „Marszu pogrzebowego” Chopina — czy tylko ja słyszę tę muzykę?...

Mrużę oczy, by widzieć lepiej. Widok jest monumentalny i przerażający, lecz nie rozumiem jeszcze co mnie tak przeraża, nie znam natury mego strachu.

— Widzisz?! — wrzeszczy mi do ucha profesor. — Pałają skrajne stulecia, teraz rozumiesz?!...

— Tak — wypowiadam te słowa w nagłym olśnieniu, a raczej ociemnieniu, gdyż ta wiedza jest bardzo mroczna.

Kończy się Polska, to oczywiste. Wachlarz nie może rozkładać się w nieskończoność. W końcu z jednej strony dotknie stulecia, gdy nie było jeszcze Polski. Stulecia X, jego pierwszej połowy. I temu stuleciu musi odpowiedzieć symetryczne przyszłe stulecie, w którym Polska również nie będzie istnieć. Innymi słowy: tak, jak nie było jeszcze Polski w pierwszej połowie X wieku, tak już nie będzie jej w drugiej połowie wieku XXI, symetrycznego wobec pierwszego stulecia istnienia państwa. Polacy znów staną się niezorganizowanym plemieniem, roztopią się w tyglu narodów i ras, coraz bardziej ze sobą przemieszanych. Jak to w symetrii: początek odpowiada końcowi. Ostateczny, gorzki dowód na trafność koncepcji profesora...

On wciąż tu jest. Niczym karykaturalny Wergiliusz, prowadzący mnie przez piekło nagłej demaskacji, znów chwyta mój nadgarstek (a może to zaczep maszyny do sondowania mózgu? — mam takie mgliste przebiecie...) i tłumaczy grobowym głosem:

— To oczywiście będzie następować stopniowo. Proces jest powolny, jak każda śmierć z przyczyn naturalnych: roztopianie się narodu w tyglu paneuropejskiej, multirasowej społeczności (np. Arapolacy — mieszańcy polsko-arabscy, Wietpole — mieszańcy polsko-wietnamscy); degradacja narodowego języka do regionalnej gwary; coraz mniej suwerenne struktury postpaństwowe... To proces wielopoziomowy — jak każde umieranie. Potrwa jeszcze długo, ale już jest nieodwracalny. Chyba, że wcześniej ktoś nas dobije, skracając agonię, a na trupim kompoście zalęgnie się nowe

życie...

„Wergiliusz” milknie, choć echo jego słów roznosi się jeszcze wokół upiornym refrenem: „jak każde umieranie... jak każde umieranie...” Orzeł na godle przybitym do drzewa jest już ścierwem, choć jego upierzenie porusza się na wietrze, łudząc wzrok. Natomiast wachlarz płonie coraz mocniej. Gdy stoimy tak z zadartymi głowami, nagle ziemia zaczyna się trząść. Pęka parkowy trawnik, przez glebę biegną zygzaki ruchów tektonicznych. Godło z trupem ptaka spada niebezpiecznie blisko, ryjąc ziemię krawędzią ostrą jak lemiesz. Wielkie białe zwłoki rozpościerają się u naszych stóp niczym odbicie pozostawione w śniegu. Trochę dalej wachlarz składa się z trzaskiem w snopie iskier i huku płomieni. Następnie przechyla się jak ścięte drzewo — i spada w naszą stronę. Paraliżuje nas strach i przygnębienie. Nogi zapadają się w rozdartą ziemię, lecimy w czeluść tektonicznego piekła jak bezwolne manekiny... Przez chwilę mam wizję pociągu, który gwałtownie hamuje i przechyla się niebezpiecznie, a pasażerowie wypadają ze swoich miejsc. Czy to już śmierć? Odpowiedzią na moje wątpliwości jest kolejne pytanie: nieskończona, zagadkowa czerń. Spadam w nią z perwersyjną ulgą samobójcy.

Billy siedzi po turecku i wali głową w skrzynię sterującą kolejki. Krzyczy na cały głos:

— Nie potrafię, nie potrafię, nie potrafię!...

Na czole widać zadrapania, strużki krwi.

Pod pokojem zebrał się prawie cały personel. A te cholerne drzwi nie ustępują! Czym on je tak dobrze zabarykadował? Nie dadzą rady przez okno, zresztą może być już za późno. Dyrektor szpitala podjął decyzję — wpuszczą łagodny gaz usypiający przez szyb wentylacyjny. To metoda przewidziana w wyjątkowych przypadkach, gdy inne sposoby zostaną już wyczerpane. Na przykład przy aktach autoagresji. Tak jak teraz.

Zbiorniczki z substancją były poumieszczane przy kratkach wentylacyjnych wszystkich pokoi — uruchamiało się je w specjalnej dyspozytorni. Obecny zarządca szpitala podejmował taką decyzję pierwszy raz — bał się, bo czynił to na własną odpowiedzialność, ale nie widział innej możliwości...

Billy leżał wzdłuż torów, z zakrwawioną głową opartą na transformatorze. Kolejka pędziła nieubłagane.

Lekarze weszli do dyspozytorni. Tablica została odkodowana. Po chwili wahania dyrektor osobiście pociągnął małą dźwignię.

## Epilog

Przy nasypie, z którego wyrastały rozkręcone tory, kończące się nagle niczym droga nad przepaścią, leżał wykolejony pociąg, zwinięty jak nitka czarnego makaronu. Pierwszy wypadł z szyn elektrowóz, który pociągnął za sobą część wagonów. Reszta wykoleiła się na skutek zerwania zaczepów. Pociąg leżał na ziemi jak pokonany wąż, który do tej pory przebiegle oszukiwał przeciwników, pełząc cicho wśród lasów i pól, wtopiony w otoczenie — a jednak w końcu został dostrzeżony i upolowany. Wokół gigantycznego cielska kręcili się „myśliwi” — drobne figurki żołnierzy, którzy organizowali akcję.

Połączone siły kontyngentu UE i Sojuszu Wschodnioeuropejskiego, które w koalicji przeprowadzały w regionie polskim interwencję zbrojną (na co zezwalał specjalny układ o współpracy militarnej między Wschodem a Zachodem Europy). Lista zarzutów kierowanych wobec Polski przez instytucje kontrolne rosła od dziesięciu lat, aż w końcu musiało dojść do militarnej interwencji w celu zaprowadzenia porządku. Konstytucja UE przewidywała taką możliwość, dopuszczając w ramach wspólnej polityki obronnej „*ochronę instytucji demokratycznych i ludności cywilnej przed ewentualnym atakiem terrorystycznym i zapobieganie zagrożeniom terrorystycznym*”. Pojęcie terroru było w praktyce interpretowane szerzej. Odnoszono je do sytuacji, gdy zagrożona była demokracja i prawa mniejszości, a także do radykalizacji nastrojów społecznych, co ponad wszelką wątpliwość miało miejsce w Polsce. Po cichu mówiło się o interesach, jakie na tych ziemiach mieli zarówno wschodni, jak i zachodni sąsiedzi RP, bez których nie zdecydowaliby się na tak drastyczny krok, jak akcja zbrojna — jednak jako oficjalną przyczynę konfliktu podawano inne racje. Reszta była milczeniem — i domysłami mediów.

Z przewróconego składu wychodzili ocalali z katastrofy pasażerowie, którym udzielano pomocy medycznej. Oczywiście pod baczным okiem karabinów. Co ciekawe — oprócz opatrywania obrażeń odniesionych w kraksie, udzielano poszkodowanym pomocy psychiatrycznej. Zachowywali się bowiem jak wariaci, bełkocząc coś i nieprzytomnie spoglądając na otoczenie.

Był to skutek zastosowania wynalazku o nazwie *psycho gas* — amerykańskiego patentu, który pozwalał na prowadzenie za pomocą bezwonnego gazu swoistej wojny psychologicznej. A raczej psychiatrycznej. Z rozpyleniem go nad torami, nawet na długości kilkunastu kilometrów, nie było problemu, gdyż o tej porze roku panowała sprzyjająca mgła. Specjalny pęcherz o konsystencji gigantycznej bańki mydlanej był nie do przebicia: lekki, niewiarygodnie wręcz rozciągliwy i wytrzymały. Pękał dopiero po zdalnym uruchomieniu impulsu: w ten sposób uwięzione w nim cząsteczki zaczynały opadać na namierzony cel. Jego działanie polegało na chemicznym wywołaniu silnych halucynacji, porównywalnych do występujących przy schizofrenii. Niektórzy specjaliści mówili o autonomicznych zaburzeniach, objawiających się niemożnością odróżnienia rzeczywistości od fikcji: wspomnień, marzeń, książek, filmów etc. Postaci rzeczywiste mieszały się z fikcyjnymi, krainy geograficzne z krainami rodem z fantasmagorii... Potocznie działanie gazu określano jako „tasowanie” — w umyśle ofiary następowało coś w rodzaju przetasowania różnych poziomów postrzegania świata: w rezultacie fikcja literacka mogła się wydawać bardziej realna od świata zewnętrznego. Rzeczywistość traciła w percepcji zaatakowanego gazem status uprzywilejowany — i

stawiała się tylko jednym z elementów mozaikowego świata, jaki sobie budował. Efektem było więc całkowite rozbicie przeciwnika, doskonale unieszkodliwienie wroga — wszak zdrowie psychiczne jest podstawą wszelkich racjonalnych działań, a trudniej o bardziej racjonalny obszar aktywności niż działania wojenne.

Z pociągu wysypały się też bagaże pasażerów, na które nikt nie zwracał uwagi. Za wyjątkiem nielegalnie posiadanej broni, którą szybko wydobyto z wagonów, w których jechała obsługa pociągu. Zdezintegrowani psychicznie kolejarze mogli przecież kogoś przypadkowo postrzelić.

Oddział francusko–niemiecki liczył ofiary. Rosyjscy i kazachscy żołnierze palili papierosy, selekcyjnie zawartość bagaży pasażerów pociągu–widma, który przez kilka miesięcy robił ich w konia, transportując nielegalnie uciekinierów ku południowej granicy regionu. Powodzeniem wśród żołdaków zza Buga cieszyły się zwłaszcza elektroniczne gadżety i zakonserwowana żywność; nic więc dziwnego, że gdy dostrzeżono wśród trawy płaspierowy zeszyt zapisany ręcznym pismem, nikt specjalnie się nim nie zainteresował. Dopiero jeden z oficerów zabrał notatnik, który mógł przecież zawierać ważne dane na temat działalności zakazanych band i grup przerzutowych — mógł być źródłem informacji o znaczeniu strategicznym. Takich śladów nie wolno ignorować, nawet gdy nie przedstawiają ekonomicznej wartości.

Dlatego widząc, jak jeden z żołdatów depte buciorem ubłocony zeszyt, oficer sklął go nie przebijając w słowach; następnie kazał podnieść i oczyścić znalezisko. Przestraszony żołnierz wypełnił rozkaz bez wahania. Po kilkunastu sekundach wręczał dowódcy notes, salutując regulaminowo, po rosyjsku. Oficer schował go do kieszeni brezentowego płaszcza i odszedł w stronę siedzącej na ziemi grupy pasażerów, którzy powoli budzili się spod działania gazu. Wkrótce zostaną osądzeni, a wcześniej przetransportuje się ich do obozu dla uciekinierów. Rosyjski oficer pomyślał, że to skrajne marnotrawstwo. Pożałował czasów, kiedy tego typu wicherzycielom strzelało się po prostu w łeb, zamiast bawić się w przestrzeganie konwencji o humanitarnym traktowaniu zatrzymanych.

Francuscy i niemieccy oficerowie przywołali go nagle ruchem rąk. Pokazywali na drugi od strony elektrowozu wagon. Nie mogli wyjść z podziwu, oglądając zainstalowany na dachu wojskowy antyradar — tym bardziej, że nie odnotowano ostatnio kradzieży tego typu sprzętu. A więc tu tkwiła zagadka pociągu–widma: był niewidoczny dla urządzeń wykrywających, nawet dla termicznych i czipowych detektorów. Rosyjski oficer również wyraził zdziwienie, gdyż uznał to za stosowne. Jednocześnie zaśmiał się w duchu: ci zachodni mądrze nawet nie brali pod uwagę, że przyrząd został sprzedany na czarnym rynku przez obrotnych wschodnich żołnierzy, potrafiących zawsze zarobić przy okazji działań wojennych. Stan magazynowy bardzo łatwo przecież sfalszować, wystarczy przekupić kogo trzeba. Ale oni prawdopodobnie o tym nie wiedzą. *Wot, dumki...*

\* \* \*

Partyzanci zaatakowali pod osłoną nocy. Poczekali, aż na miejscu zostanie tylko rosyjski oddział — i rozpoczęli ostrzał. Akcja poszła sprawnie: po kwadransie nikt z Rosjan nie żył, a straty wśród Polaków były niewielkie. Celowo wybrali moment nocnego odprężenia, rosyjskie wojska słyną wówczas z daleko posuniętej demobilizacji. Zewnętrzne straże skosili z karabinków szybkostrzelnych. Pociski z wyrzutni i granaty dopełniły dzieła.

Bohaterem akcji był młody chłopak, dziewiętnastolatek, który zabił dowódcę. Korzystając z

zamieszania podkradł się do jego namiotu i gdy tylko oficer wyszedł — rzucił się na niego z nożem. Dowódca nie miał szans, zdołał jedynie wystrzelić na oślep z pistoletu, gdy partyzant zamaszystym cięciem poderżnął mu gardło, po czym dodatkowo wbił ostrze w brzuch. Po chwili Rosjanin leżał twarzą w błocie. Oszołomiony chłopak wślizgnął się do namiotu, skąd zabrał otwarty zeszyt pozostawiony przez oficera — pomyślał, że to tajne informacje.

Gdy ścianę namiotu przeszył pocisk, młody partyzant szybko ewakuował się z niebezpiecznego miejsca, chwytając notes w zakrwawione rękawiczki...

\* \* \*

Mężczyźni nie przyszli nazajutrz do wydawnictwa. Nie pojawili się już nigdy. Czekano na nich przez cały kolejny tydzień — bezskutecznie.

Nawet nie raczyli zadzwonić. Młody redaktor z działu literatury faktu nie krył rozczarowania. Potencjalny bestseller przemknął im koło nosa. A mógł to być jedyny w swoim rodzaju reportaż z ucieczki nielegalnym pociągiem — wystarczyło skompletować całość i poddać tekst redakcyjnej obróbce. Sukces czytelniczy gwarantowany! A tak całe przedsięwzięcie diabli wzięli.

W firmie zastanawiano się nad brakiem sygnałów od doręczycieli manuskryptu. Przeważały głosy, że poszli do konkurencji. Były też inne domysły — tych facetów mogło spotkać coś przykrego. Wyglądali podejrzanie, zachowywali się nienaturalnie — jakby coś im groziło. Może to byli paserzy, bandyci, terroryści?... Bóg raczy wiedzieć. Jedno było pewne: notatnik zawierał relacją, która mogłaby nie przejść w całości przez tymczasową cenzurę — ujawniał bowiem fakty niewygodne dla okupantów.

Po dwóch tygodniach nikt w wydawnictwie nie wspominał już o tajemniczych zapiskach ani o samych posiadaczach notesu. Bieżące sprawy pochłonęły pracowników, a sytuacja polityczna stabilizowała się coraz bardziej.

Wojna powoli odchodziła w przeszłość — jak każdy koszmar.

\* \* \*

Po lekturze zeszytu wysoki oficer Europolu czuje się rozczarowany.

Zatrzymanie dwóch handlarzy związanych z podziemiem zbrojnym było niewątpliwym sukcesem. Akcję przeprowadzono sprawnie, jednak znaleziony przy nich zeszyt okazał się prywatnym notatnikiem. W dodatku nie oni to pisali! Przesłuchania tylko potwierdziły te obawy. Jakaś publicystyka na gorąco, listy z frontu, w najlepszym razie artykuły do podziemnych gazet — to wszystko.

Oficer westchnął i przeciągnął się na krześle. Było już późno, miał za sobą kolejny dzień wytężonej pracy operacyjnej. Ujęli terrorystów, lecz nie znaleźli przy nich dokumentacji, której szukali — szczęście w nieszczęściu... Sztab liczył na przechwycenie tajnych notatek ruchu oporu, tymczasem notes nie zawierał niczego, co zagrażałoby interesom koalicji; jego treść nie godziła też specjalnie w bezpieczeństwo publiczne, choć ci od cenzury mogliby uważać inaczej... Nie obchodziło to jednak wysokiego oficera Europolu. Jak dla niego tego typu zapiski mogły spokojnie

trafić na śmietnik — tam, gdzie ich miejsce. *Śmietnik historii* — skojarzyło mu się nagle. *Kiedyś wszyscy tam trafimy. Dlatego trzeba trzymać się chwili obecnej i korzystać z życia. Być zawsze po stronie silniejszego...*

Snując te rozważania, zapala papierosa. Uchyła okno, by zrobić ujście dla dymu — i wtedy robi się przeciąg. Papiery na biurku unoszą się w podmuchach powietrza, wirują i spadają na podłogę jak jesienne liście...

Wiatr rozwiewa kartki zeszytu i otwiera je ku historii.

*Sebastian Uznański*

# Ważniejsza sterowna

Gdy do biura Katusa wtoczył się słoń Oliandrii, ważniejszej sterownej, w eskorcie dwóch pojebek,omal nie spadła mu płaska czapka specbrygadiera zony.

— Powitać szanowności sterowną, wcale nie, tak, powitać... — Poprawił nerwowym ruchem czapkę, przechodząc na formal.

— W dupie cię mam, uszanowanie zonie, powitać — odparła tak samo formal Oliandria. Katus zapatrzył się na moment w jej uroczą twarz zespoloną szyją z cylindrycznym pojemnikiem na kółkach. Miała stare, wszystkowidzące oczy. Zapewne dzięki niezniszczalnym blachom słoja, chroniącym ją przed przypadkowym zjedzeniem, żyła już od tysiącleci. Jej twarz była wciąż piękna, bez śladu zmarszczki, czy choćby oznak zmęczenia. Specbrygadier zazdrościł sterownej nieśmiertelności. Jego wzrok przetoczył się po kształtnej szyi zespolonej z metalowym wiekiem i niżej, gdzie przez pancerne szkło mógł dostrzec ciemnozielony, bulgoczący płyn. Raz po raz o szybę ocierały się to płuca, to nerki czcigodnej, pływające bezpiecznie w owej zawieszynie.

— Ładne macie nerki, sterowna — zaryzykował nie formal, w nadziei, że tak łatwiej wybada, co ściągnęło do jego zony niezwykłego gościa.

Jedna z dwóch pojebek, pięknych długonogich kobiet zakutych w czarne stalowe gorsety objawiła pogardę na swej zjawiskowej i jednocześnie pierwotnie okrutnej twarzy. Stalowe kratki wychodzące z czoła przechodziły dalej na podobieństwo ni to rogów czy raczej namiastki siatkowanych skrzydeł.

— Wy mi tu pierdolicie aż miło, specbrygadierze — odezwała się Oliandria, a Katusowi z przerażenia aż czapka spadła. Próbował ją podnieść w pośpiechu, co nie było łatwe, bo jego ciało składało się z jednego kloca, bez części łączących. Olbrzymią łysą głowę miał osadzoną wprost na tułowiu, bez zbędnego pośrednictwa szyi, zaś mierne i bezwłose ciało zdawało się składać tylko z obleśnych trzewi i kilogramów tłuszczu. Mimo to jakoś zgął namiastkę kolan i krótkimi rękami macał podłogę. Gdy ponownie miał na głowie czapkę, poczuł się pewniej.

— Sługa uniżony, zawsze pokutny — rzekł szybko. — Do pełnej dyspozycji.

I w tym momencie dopiero się przeraził specbrygadier, bo przez moment miał oblicza sterownej zobaczyć twarz starca o siwych włosach i spojrzeniu tak strwożonym, jak to tylko możliwe. Wnet złudzenie, bo to przecież musiało być złudzenie, do reszty przysło, lecz Katus nie miał już odzyskać spokoju ducha do końca tej rozmowy.

— Ja myślę. W dodatku wiem to — czy w głosie Oliandrii zabrzmiała nuta życzliwości? Kto odgadnąć zdolen?

Katus uzbroił się w cierpliwość, bo to najlepsza rzecz, jaką można zrobić w obecności godniejszych od siebie. Całą postawą emanował uniżoność.

— My na górze przykaz mamy dla ciebie, byś nowe jedzenie dostarczył. Pierwszorzędny materiał, skrewisz, a na hakach ciebie dowlecjemy — wyraziła wreszcie swoje życzenie sterowna.

Katus padł na twarz.

— Jakże to nowe jedzenie, jeszcze pierwszorzędne? To my z normami nie wyrabiamy, produkcja



staje, co mówię, maleje... Rozruchy będą, gdy ogłoszę...

Sterowna nie słuchała słów poniżej godności jej uszu. Słój odwrócił się na kołach i zaczął dostojnie wytaczać się z komnaty. Za nim, w przepisowej odległości, kołysząc tyłkami ograniczonymi nitami z żelaza, wytańczyły się pojebki.

— Ważniejsza sterowności... — Odważył się wysłać za słojem kilka słów specbrygadier. — Nie powiedzieliście ile tego materiału?

Pojebka, która wcześniej pozwoliła sobie na grymas pogardy, teraz odwróciła ku niemu fragment prześlicznego odrutowanego lica.

— Jedna sztuka na razie wystarczy.

\* \* \*

Viney wkładał właśnie urobek do wagonu, gdy w drugim krańcu korytarza pojawił się sztygar.

— Odłóż dłuto. Specbrygadier wzywa — krzyknął ku niemu.

Viney spojrział na elektryczne dłuto oparte niedbale o ścianę. Koniec był tak rozpalony, że można by na nim podgrzewać obiad.

Najwyższy czas na przerwę. Szkoda tylko, że zamiast odpocząć, będzie musiał męczyć oczy widokiem upersonifikowanego skurwysyństwa.

Czego ta łysa małpa chce od niego, zastanowił się mężczyzna. W myślach przejrzał listę swoich ostatnich uczynków. Wszystkie były nielegalne, ale tutaj było to normalne. Specbrygadier nie zajmował się pierdołami.

Wyszedł z kopalni. Przy samym wyjściu było przewężenie korytarza obrośnięte wilgotnym mchem. Gdy Viney przez nie przechodził, roślina otoczyła go, pochłaniając cząsteczki zanieczyszczeń niby mokra gąbka. Mężczyzna przyspieszył kroku. Niekiedy przejście nie było długo używane. Wtedy mech bywał bardzo głodny. Viney uważał, że są mądrzejsze rodzaje śmierci i nigdy nie kusił losu.

Dalej droga prowadziła nad plantacją organów. Pod przezroczystymi kopułami przeżyły się na szarej, błotnej pożywce rzędy płuc, były serca, wiły się serpentyny flaków ustawione równo w dwu szeregach jak żołnierze. Wilgoć bijąca od hodowli sprawiała, że permanentnie zasnuwał ją całun szmaragdowej, połyskliwej mgły. Rodzące się organy wyglądały przez to nieco upiornie.

Podrzędnej jakości materiał genetyczny, który musiał im jednak wystarczać do rekonstrukcji braków. Viney dawno nie zasymilował niczego wartościowego, co uczyniłoby jego materiał szlachetniejszym.

Przed biurem Katusa stała jakaś kobieta. Viney przystanął, przejrzał się w kałuży jak wygląda.

Był raczej przystojnym mężczyzną, muskularnym, o zadziwiająco regularnych rysach twarzy. Wizerunku nie psuło nawet to, że tkanka kostna wychodziła gdzieś przez skórę, tworząc kościany pancerz. Żebra miał na zewnątrz ciała, nie jak niektórzy, wewnątrz. Nie szpeciło go to, przeciwnie, dawało większą ochronę, było funkcjonalne.

— Śliczny jesteś... — ktoś pojawił się tuż obok, żeby zadrwić. Jak miała na imię ta perłowowłosa dziewczyna o ruchach młodej małpki?

— Kli. — przypomniał sobie. — Chcesz mi podokuczać?

— Nie. Pewnie, że tak. Nigdy. — Wystraszona ukrytą w jego głosie groźbą zdecydowała się odpowiedzieć formal.

— Dobrze. Powiedz, kim jest ta kobieta przed biurem spektakla?

— To pojebka — odparła Kli. — Nie widziałeś nigdy pojebki?

— Gdybym widział, nie pytałbym... Czemu mówisz na nią pojebka?

— Bo gada pojebanie, nie tak normalnie, jak my teraz. Więc pojebka, proste, nie?

— Proste jak bumerang z jelit. Powiedz o niej coś więcej.

— Chodzi i myśli żyjąc we własnym mózgu. Na ten świat patrzy tylko wtedy, gdy ma kogoś zabić.

Nazywają takie jak ona Księżniczkami Bólu. Nie słyszałeś o nich, jak byłeś w nadzonię? Jesteś Zrodzony w Lęku, musiałeś słyszeć!

— Miałem bunt tkanki płuca — wykręcił się. — Zanim opanowałem rewoltę, zbuntowane komórki pożarły część mózgu odpowiedzialną za pamięć.

— Przyszła z taką drugą, ułożoną w wielgachnym słoju, w którym mógłbyś się zmieścić i jeszcze by miejsca zostało.

— Ważniejsza sterowna... — mruknął bardziej do siebie niż do dziewczyny. Czegóż mogła chcieć od specłysola? I czemu stary piernik zaraz po tym chce rozmawiać ze mną? — Gdzie teraz jest ten słój? — Zwrócił się z powrotem do Kli.

— Słój i jedna pojebka już poszły. Druga została, zapewne jako kontrolna.

— Czyli wydano jakieś rozkazy, na tyle znaczące, że zostawiono nad Katussem kontrolną — zastanowił się Viney.

— Uważaj — ostrzegła go dziewczyna. — Specłysol cię nie lubi.

— Gdzież ludzka wdzięczność... — zachnął się mężczyzna. — Przecież gdyby nie ja, ta tłusta klucha nigdy by nie została specbrygadierem.

— Tylko dlatego, żeś jego poprzednika przejechał płomieniem spawarki od jaj do kory mózgowej.

— Zjadł młode mojej przyjaciółki — rzekł Viney, dając znak, że uważa rozmowę za zakończoną.

Kli również zrozumiała; są sprawy, o których lepiej nie mówić.

Viney przyjrzał się raz jeszcze tej, którą nazywano Księżniczką Bólu. Czarne spizowe płyty gorsetu okrywały tylko brzuch, duże piersi o pociągłym kształcie zakończone wielkimi ciemnymi kręgami brodawek były obnażone, podobnie jak starannie wygolona okolica wokół płci. Stalowe druty niby podwiązki utrzymywały ciemne rajstopy z metalowej, elektryzującej siatki. Dziewczyna miała czarne włosy, długie, upięte w skomplikowany warkocz przy pomocy maszynerii wyrastającej dyskretnie z jej głowy. Znad czoła wyrastały dwa nibyskrzydła koloru nocy z rzadko tkanej, metalowej siatki.

Na przedramionach miała połyskliwe obręcze cyzelowane w walczące ze sobą węże i smoki. Mężczyzna był pewien, że kryły się w nich zabójczo ostre szpony. Zresztą, cały gorset mógł służyć za broje, najprawdopodobniej ofensywne broje, dodał w myślach. Ubranie było tutaj rzadkością, Viney i Kli byli zupełnie nadzy, a jeżeli ktoś nosił odzież, była to niemal na pewno śmiertelna broń.

Pojebka mogła rozpieprzyć całą zonę w kilka minut. Zapewne Katus w środku poci się jak mysz.

Czarnowłosa, mimo że poddawana była obcesowym oględzinom, nie dała poznać, iż dostrzegła Vineya. Nic dziwnego, pomyślał, gdy przypomniał sobie słowa Kli. Ona zwraca uwagę na ten świat tylko wtedy, gdy zabija.

Wejścia do prywatności specbrygadiera strzegła błona ochronna. Jednak Viney musiał być oczekiwany, bo gdy tylko się zbliżył, pękła jak bańka mydlana. Katus siedział na wygodnym żywofotelu i palił jakieś zielsko.

— Wzywaliście mnie specbrygadierze. Zlekceważyłem was. Natychmiast przyszedłem. Zarzuciłem pomysł. Tak. — Zraportował, jak to było w zwyczaju, pełen formal. Rozejrzał się przy tym po biurze nadzorcy. Światła dostarczały, jak wszędzie w zonie, miniaturowe świetliki, o

jarzącym się zgniłozielono tłustym odwłoku — pod sufitem utrzymywały je pola pętające. Świetliki nie znosiły bezruchu. W ich owadzych mózdkach aż gotowało się od złości, a im mocniej się złościły, tym silniejsze dawały światło.

W blasku emanowanym przez pasożyty mężczyzna dostrzegł, że biuro było w istocie niedużym pomieszczeniem, którego środek zajmował stół, za którym siedział nadzorca, a przed nim znajdowały się jeszcze dwa żywofotele dla gości.

Na ścianie wisiał starożytny sztucer, дума właściciela, obok niego rozpięte były szerokie błoniaste skrzydła, zapewne należące do upolowanej przez Katusa podniebnej bestii. Niżej znajdowała się kolekcja czaszek istot zamieszkujących barbaria, ot, takie nieszkodliwe hobby, któremu gospodarz oddawał się w wolnym czasie.

— Spocznijcie, Viney, bo was lubię, skurczybyku... — uśmiechnął się łagodnie Katus, wyrzucając zielsko przez okno. — Spotkanie bardzo nie formal. Rozluźniamy się. — Dla podkreślenia swych słów zdjął urzędową czapkę, włożył zaś stożkowate nakrycie w gwiazdki. Podrzucił do góry garść konfetti, gdy zaś opadało przycisnął do ust papierową tutkę i dmuchnął w nią, rozwinęła się na podobieństwo języka polującej żaby.

— Zaszczyt to dla mnie — Viney rozgościł się w fotelu. Pełen luz.

— Powiedźcie mi Viney, co o mnie myślicie?

— Oczy macie kaprawe, wylupiate i wredne. Poza tym nie myślę o was wcale.

— Myślicie o mnie, że jestem dobrym człowiekiem. Poczęstujecie się drinem? Komórki pierwszorzędnej wątroby. Każdy z nas ma tam jakieś braki... Zasymluj ecie?

— Nie odmówię łyka — rzekł Viney, wkładając między wargi kolorową słomkę. Wysączył z podanego kielicha odrobinę przezroczystego płynu.

— Dobra jakość. Czuję, jak mi się organ odbudowuje. Dziękuję.

— Dobra jakość, bo dobrym człowiekiem jestem. Wyście mi pomogli zostać specbrygadierem. Myśleliście, że wam to zapomniałem?

Prawdę mówiąc, Viney tego jednego bał się przez cały czas — że specbrygadier pamięta. Kto raz podniósł rękę nad znaczniejszego od siebie, poważyć się może drugi raz. Poza tym Viney pochodził z nadzony, był Zrodzonym w Lęku. Jedynym życzeniem Vineya było, by Katus o wszystkim zapomniał.

— Nie, nie zapomniałem wam tego — kontynuował specbrygadier. — Co więcej, uratuję teraz wasze żalotne dupsko. Takim jestem człowiekiem. Właśnie takim.

— Moje dupsko nie czuło się dotąd zagrożone... — rzekł ostrożnie Viney.

— Bo nie wiedziało, że ważniejsza sterowna nawiedziła naszą zonę. Będzie robić polowanie. Selekcję materiału genetycznego. Mówię to, bo was lubię. Wypierdalać mi stąd.

Polowanie? Tam na górze musiało naprawdę iść źle, skoro potrzebowali tak dużo dobrego materiału.

— Nie ma jak. zona zamknięta.

— Jak mówię, że macie wypierdalać, znaczy się, że możecie. Daję wam dezaktywator robotów. Podejdziecie, wdusicie guzik, tyle nawet wy potrafcie. Potem wypierdalać, ile dusza zapagnie. Tu będzie piekło. To co, uratowałem wam dupsko? — specbrygadier dmuchnął z satysfakcją w tutkę.

— Dobryście człowiek, chociaż dotąd megachuj — pożegnał się Viney.

— Tylko jak będziecie stąd wychodzić, to sobie ukryjcie dezaktywator w dupie, żeby nie było, że ja wam dałem...

Kli odnalazła go w jakiś czas potem. Zeskoczyła przed nim z jakiegoś skalnego wyłomu, niczym małpka. Przyjrzał się jej uważniej. Miała pulchną, ładną twarz, o pełnych wargach i dużych czarnych oczach, okoloną burzą włosów o niezwykłym perłowym kolorze. Cerę miała ciemną, oliwkową, zapewne bogatą w samonaświetlający się pigment. Inaczej niż Księżniczka Bólu, której skóra była mleczna, blada. Z tyłu, z kręgosłupa Kli wyrastały dwa szeregi zwiewnych płatków, barwy białej pleśni, podobnych w kształcie do tych, jakie przypisuje się smokom. Z przodu zaś, na linii łączącej szyję, przechodzącej między dorodnymi, pełnymi piersiami aż po wzgórek łonowy, miała rząddek wystających kostek. Wyglądały jak ozdoby przebijające skórę, jednak Viney wiedział, że były one integralną częścią jej szkieletu.

— Jak się udała rozmowa u specłysola? Puść farbę.

— Było jak zwykle.

— Nie próbuj mnie zbyć. Co ci powiedział?

— Poufne. Poza tym nic.

— Kurwa, wiedziałam. Coś się szykuje. Coś niedobrego. Wyprowadził milicję na ulice.

Wiedziałaś o tym?

— Nie.

Minął dziewczynę. Przyspieszył kroku, zostawił ją daleko z tyłu.

Skok. Wylądowała przed nim na ugiętych nogach.

— Ty coś wiesz. Śledziłam cię. Obchodzisz granice zony. Rozpaczliwe czegoś szukasz. Czego?

Przecież tam nic nie ma. Wartościowe plantacje trzymamy w centrum.

— Po rozmowie z specłysolem potrzebuję świeżego powietrza.

— Co jest na granicy zony, czego nie ma w środku, myślałam dalej — mówiła do siebie, jakby go nie słyszała. — I zrozumiałam: granica zony. Specidiota dał ci cynk. Coś się szykuje, ale on uratował twoje dupsko. Poszłicie na jakiś układ?

— Nie było żadnego układu — westchnął ciężko mężczyzna. — Ale masz rację. Coś się szykuje.

Dasz radę uciekać, to wiej. Ale nikomu o tym nie mów.

— Spokojna makowa. Nie jestem całkowita idiotka. Jeżeli wszyscy zaczną uciekać, nie ucieknie nikt. Po prostu uszczelnia granice.

Viney znów próbował ją wyprzedzić. I tym razem wylądowała naprzeciw niego.

— Viney?

— Czego?

— Zabierz mnie ze sobą.

— Nie.

— Rozejrzyj się wokół. Otaczają cię szare, twarde, poszarpane skały. Spójrz w dół. Podłoże nie do przebiccia, obsiane tętniącymi od materiału tkankami. Spójrz na sklepienie. Jest z bardzo twardego, czarnego metalu, wyobraź sobie ludzkie żebra ułożone obok siebie, bez najmniejszej szczeliny. Tak to wygląda. Wszędzie skała lub pofałdowany, poskręcany metal.

— Do czego zmierzasz?

— Znam wyjście z zony, które nie prowadzi do kamieniołomów albo innych stref. Jeżeli mnie zabierzesz, wskażę ci je.

— Sama z niego skorzystaj. Dziewczyna chwile milczała.

— Tam, dokąd prowadzi, są barbaria. Nie poradzę sobie sama. Muszę mieć samca do ochrony.

— Jesteś słaba?

— Nie! — zaprzeczyła z mocą. Natychmiast z jej ciała wyrosły dziesiątki kościanych ostrzy.

Przypominała jeżozwierz. — Jestem znakomitym wojownikiem. Przydam ci się podczas wędrówki.

— Jestem Zrodzonym w Lęku. Dam sobie radę z każdym przeciwnikiem — rzekł lapidarnie. — Nie potrzebuje cię.

Kolce zniknęły tak szybko, jak się pojawiły. Kli padła na plecy i rozłożyła szeroko nogi. Zobaczył jej wargi sromowe.

— Mogę być także świetną kochanką — mruzczała melodyjnie. Jej pełne wargi kusily do pocałunku, burza perłowych włosów jeszcze nigdy nie uczyniła jej tak ponętą. Gwałtownym szarpnięciem uzbrojonych w pazury dłoni otworzyła sobie skórę na brzuchu, a potem klatkę piersiową. Obnażyła wnętrze, pokazując mu jedną wielką krwawiącą ranę. — Weź mnie nawet teraz, jeżeli chcesz. Pieprz mnie!

Przez moment zdawało jej się, że zobaczyła w jego oczach błysk pierwotnego pożądania. Potem obrócił się do niej plecami i poszedł.

— Viney! Nie zostawiaj mnie tak! To skurwysyństwo!

— Viney!

Cisza.

— Ty skurwysynie! Vinneeey!!!

Pozbierała się z ziemi, otrzepała z kurzu. Ścisnęła ręką rozerwaną skórę, a ta zrosła się. Pozwoliła na nowo płynąć krwi w odbudowanych naczyniach krwionośnych. Dzięki wcześniejszej blokadzie na demonstracji atrakcyjności nie straciła nawet grama tkanki.

— Kli. — Było to raczej pytanie niż stwierdzenie.

— Wróciłeś. To znaczy, że mogę... Mogę iść z tobą?

— Tak. Jeżeli będziesz cicho.

— Powiedz mi tylko, dlaczego się zgodziłeś? Dlatego, że znam drogę wyjścia? Czy dlatego, że jestem dobrym wojownikiem? A może ci się spodobałam, wtedy, no wiesz...? — poprawiła nerwowym ruchem ręki połyskliwe bladospędrzyste pasmo, które niesfornie opadło na czoło.

Zlustrował ją od stóp do głów.

— Podróż będzie daleka. Pomyślałem, że mogę potrzebować świeżego pożywienia.

\* \* \*

— Jesteś pewna, że to tu? — Viney nie zdołał ukryć powątpiewania. Granicy strefy pilnował tylko jeden robot. Nic dziwnego, dalej był tylko dawno wyeksploatowany kamieniołom, za nim sypkie urwisko sięgające żelaznego sklepienia z brudnych żeber.

— Wiem, który kamień na szczycie można poluzować. Ty i ja z łatwością damy radę. Za kamieniem jest jaskinia połączona z systemem grot. A dalej już tylko barbaria.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Zabawki od speckretyna można użyć tylko raz. — Mężczyzna rozwarł skórę na udzie i wyjął spomiędzy mięśni dezaktywator.

Robot był wielkim mlecznobarwnym jajkiem, lewitującym kilka cali nad ziemią. Składał się niemal cały z miękkiej, gąbczastej tkanki, pośledniej jakości, która osłaniała ukryty głęboko w środku elektroniczny rdzeń. Gdy podchodzili, otworzył duże jak u dziecka oczy i rozwarł bezzębne wargi, by o coś zapytać. Viney nie dał mu szansy. Wyciągnął dezaktywator i unieruchomił robota.

— Działa... — zdziwił się niebotycznie, gdy robot zamknął oczy a z półotwartych, wielgachnych ust pociekła strużka śliny... — Byłem pewien, że spektysol mnie wystawił.

— To dlaczego mimo to próbowałaś ucieczki?

— Bo przyszło mi do głowy, że to dobry pomysł. Zwłaszcza, gdy napotkałem wzrokiem spojrzenie Księżniczki Bólu. A teraz spieszmy się. Dezaktywator nie zadziała na milicję.

Wykonał długi skok, niemal na dwadzieścia metrów. Za nim podążyła dziewczyna.

\* \* \*

Szefmajster milicji wpadł zadyszany do biura Katusa.

— Szanowny specbrygadierze. Dwójka osób próbuje opuścić zonę. Zostaną i będą szczęśliwi. Wypierdalają. — Zaraportował formal.

— Przyjąłem. Zignoruję. Są martwi. — Odparł tak samo formal Katus. Z niechęcią wstał ze swego żywofotela. Podszedł do szafy i założył duże skrzydła. Pomachał nimi na próbę. Upodabniały go teraz do olbrzymiego, bezwłosego nietoperza. Następnie zdjął ze ściany starożytny sztucer z ciemną tuleją celownika. Westchnął ciężko, wskoczył na parapet, odbił się i wyfrunął przez okno swego biura. Dzięki skrzydłom będzie na miejscu w kilkanaście sekund. Silnymi wymachami połykał przestrzeń, szybując tuż pod ożebrowanym sklepieniem. Musiał jedynie unikać niedużych pasożytów, które próbowały przyczepić się do jego gładkiego ciała, i kropli śluzu, którym pokryte było wszystko w zonie.

Pod nim przewijały się plantacje organów, przy skałach stały elektroniczne wiertła i olbrzymie mechaniczne dłuta. Praca dla wspólnego dobra wrzała.

Jednak ktoś próbował uchylić się od obowiązku, zlekceważył kolektywne normy. Ktoś, kto próbuje uciec, dla dobra ogółu musi zostać stracony.

Katus odbezpieczył broń. Zawsze to lepiej brzmi niż: *Na górze potrzebują pożywienia. Jeden z was musi zostać pożarty.*

Szkoda tylko, że ten idiota zabrał ze sobą tę dziewczynę. Teraz i ona musi zginąć. Co z nią zrobić? Na górze powiedziano wyraźnie: Chcemy jednej wartościowej sztuki.

Nagle specbrygadier ucieszył się. Przecież to ja mogę ją zjeść, pomyślał uradowany.

Pod nim widać już było dwie skaczące szaleńczo sylwetki. Katus znalazł sobie wygodną półkę skalną i wylądował. Grunt do wycelować, inteligentne naboje załatwią resztę.

Nałożył siatkę celownika na potylicę Vineya i gdy broń zaraportowała przyjęcie celu, nacisnął spust.

\* \* \*

Nie wiadomo co ostrzegło Vineya, że zbliża się niebezpieczeństwo. Dość, że obejrzał się, zobaczył mknącą ku niemu chmurę inteligentnego śrutu. Wyostrzył wzrok i ujrzał, że naboje to w istocie miniaturowe roboty z własnym napędem i systemem naprowadzającym i na cel. Spojrzał wprost w pędzące ku niemu otwierające się i zamykające metalowe paszcze, przypominające miniaturowe koparki. Przeżrą się przez jego ciało i będą tak długo je pochłaniać, aż zastygną wszystkie czynności życiowe.

Uskoczył w bok i pomknął zmieniając kierunek, wiedział jednak, że nie na wiele się to zda.

Chmura pocisków zatoczyła zgrabny łuk, potem drugi i była coraz bliżej, tuż za jego plecami. Niemal czuł na sobie ich elektroniczny oddech.

Już po mnie, zdołał pomyśleć, gdy nagle Kli błyskawicznym ruchem postawiła na drodze pocisków niewielką płytę skalną.

— Mam je... — zdołała krzyknąć. — Uwięzły w środku.

Zatrzymał się.

— Połóż płytę na skałę, otwory po pociskach do góry.

— Dlaczego tak? — rzekła, ale wypełniła jego polecenie. Viney zobaczył sześć czarnych dziur.

— Naboje nadal przeżerają głąz. W ten sposób będą wiercić aż do środka ziemi lub wyczerpania zasilania.

— Nie wylecą z powrotem? — wskazała brodą ciemne otwory.

— To pociski. Napęd mają z tyłu. Potrafią skręcać, jednak nie cofać się. Skała przytępia ich czujniki, zgubiły mnie. Są głupie. Będą mnie szukać przez nieskończoność w tej skale.

— Kto je wystrzelił? Robot?

Viney popatrzył w górę. Tak jak się spodziewał, dostrzegł niewielki cień machający skrzydłami pod sufitem. Ocenił odległość. Nie był aż tak wysoko, wszak urwisko, którym się wspinali, sięgało sklepienia, a oni już przebyli dwie trzecie drogi z okładem. Odnalazł wzrokiem okazały okruch bazaltu, niemal dorównujący mu wielkością. Podniósł bez większego wysiłku.

— Miałem paskudne podejrzenia, że spekbrygady wykorzystają nadarżającą się okazję, by się mnie pozbyć. Liczyłem jednak, że zadowolą się usunięciem mnie z xony. Myliłem się. — Rzucił głąz w kierunku skrzydlatego potwora. Istota zgrabnie się uchyliła, następnie wyrównała lot, a kamienny pocisk odbił się z dudnieniem od sklepienia i spadł na plantacje tkanek, gruchocząc osłony i bryzgając wokół napęczniałymi fragmentami trzustek.

— Co to? Harpia? — zainteresowała się dziewczyna.

— Nie. Spekbrygadier Katus.

— Pytam poważnie.

— Pomożesz mi czy nie? To spekbrygadier i próbuje mnie wyeliminować. Właśnie przeładowuje sztucer. Rzucasz kamulcami?

— Skoro to władza, to pomożemy — rzekła dziewczyna. Od czasu do czasu z sufitu zony odpadały fragmenty nadtopionego przez śluz żelaza. Kli schwyciła jeden z takich poskręcanych, ostrych sopli i rzuciła w kierunku latającego spekbrygadiera. Ten nie mógł przeładować swojej cudownej broni, uskakując przed rozpedzonym pociskiem. Sytuacja wydawała się patowa, brygadier nie mógł strzelić, Viney i Kli nie mogli trafić w ruchomy cel. Wreszcie jednak któryś z pocisków zahaczył o błoniaste, szeroko rozpięte skrzydło, drąc je na strzępy. Katus przeokołkował w powietrzu i runął w dół.

— Odsłaniaj kamień, co prowadzi do jaskini. Na dole aktywuje się już robot strażniczy. Widzę też milicjantów — rzekł spokojnie mężczyzna, po czym kilkoma dziesięciometrowymi susami znalazł się na szczycie urwiska, prawie mógł dotknąć dłonią wilgotnego stropu.

\* \* \*

Olbrzymi pasożyt przypominający gigantyczną muchę o wąskim, kończącym się jak przecinek, tułowiu wychynął z cienia i śluzu pokrywającego ściany korytarza. Załopotał przezroczyście

skrzydłami i próbował wbić się trąbką w skórę Vineya. Ciało Vineya zareagowało natychmiast setką kolców, zamieniając niedoszęłego agresora w sito. Mężczyzna nie próbował nawet pochłoniąć pasożyta, choć przez chwilę, gdy miał go nadzianego na ostrza, mógł wyssać go bez trudu. Jednak taki pośledni materiał genetyczny tylko by zdegenerował jego własny. Jako budulec pasożyt był beużyteczny. Viney pozwolił mu opaść na podłoże i przekroczył nieruchomy odwłok.

Szli tunelem, którego ściany wyżłobione były spiralnie. Wydawało im się, że idą wewnątrz gigantycznego korkociągu. Viney starał się nie patrzeć za bardzo w przód, bo kręciło się od tego w głowie.

Co jaki czas musiał zrywać stwardniałe, mętne błony lub zabijać pasożyty, które mnożyły się bez pamięci w zakątkach okalających zonę. I były głodne, tak strasznie głodne, że rzucały się do samobójczego ataku na materiał genetyczny po wielekroć szlachetniejszy od nich samych.

Mężczyzna nie liczył owadów i ptakoidów o węzowych splotach, które pozostawił zimne i nieruchome na ścieżce za sobą. Mężczyzna nie liczył, ale Kli liczyła. I pierwsza zauważyła, że jest ich jakoś mniej.

— Ten muchogłowy był ostatni od dobrych dziesięciu minut. Pasożytów jest coraz mniej. To musi coś znaczyć! Może koniec wędrówki? Barbara?

— Z tego co słyszałem o barbarii, to tam paskudztwo pleni się ponad miarę. Musi być inna przyczyna. — Zamyślił się, zszedł w głąb siebie. Zauważył narastające zmiany w komórkach. I zaklął okrutnie.

— Na mitochondrium! Promieniowanie. Że też wcześniej nie zauważyłem. Dlatego ten tunel był nieczynny...

Korytarz zakończył się niespodziewanie i wyszli do groty oświetlanej złym, czerwonym światłem. Blask bił od wody.

— Nie zbliżaj się do tego jeziora. Jest skażone. — Wewnątrz rozlewiska pływały przedmioty i tkanki tak dziwne i straszliwe, że Viney nawet nie śmiał się domyślać, czym kiedyś były. Wszystko było obleczone tym upiornym poblaskiem... Wszystko. Zaś każdy kwant tej czerwieni po trochu ich zabijał.

Kli poczuła nudności. Zakręciło jej się w głowie. Kręgi czerwieni wokół niej zacieśniały się, pulsując i mieniając odcieniami.

— Musimy się stąd jak najszybciej wydostać. Oddalić od jeziora. Szybko, tam jest korytarz! — Pociągnął ją za rękę. Pobiegli długimi susami. Byle dalej od rubinowej łuny.

— Promieniowanie rozbija twoją integralność genetyczną. Jest tutaj bardzo gęste. — Tłumaczył jej w pędzie. — Musisz naprawiać na bieżąco wszystkie szkody, inaczej rozpadniesz się na samodzielne tkanki, z których żadna nie będzie już przypominać ciebie. Mamy szansę przejść, bo jesteśmy zbudowani ze szlachetnego materiału. Istota gorsza przepadnie z pewnością. To dobra wiadomość. Milicja Katusa nie przejdzie za nami.

Więcej nic nie mówił. Zajął się zbijaniem na powrót swojej mapy informacyjnej, gdyż dużo było już takich komórek, w spirale których wkradły się błędy. Stalowe fragmenty ścian refleksowały płomieniami rubinu, znać, wciąż byli zbyt blisko.

\* \* \*

Katus siedział w swoim żywofotelu, całym wysiłkiem organizmu próbując opanować chaos, w



jakim znalazły się jego komórki po bolesnym upadku. Zdołał już nastawić kości i zatrzymać krwawienie wewnętrzne, jednak dużo zostało jeszcze do odbudowania. Szczęściem, jako specbrygadier miał do dyspozycji duże ilości materiału genetycznego niezgorszej ilości. Popijał więc drina za drinem, zaś dusza planowała zemstę na niecnym uciekinierach.

Błona prowadząca do jego prywatności rozprysła się bez pukania. W powstałym otworze stanęła zakuta w stalowy gorset czarnowłosa dziewczyna.

— A, to ty? Kontrolna. — Przypomniał sobie Katus. — Jak ci tam?

— Imieniem moim jest Anayette, co znaczy czasem krzyk płaczącej gwiazdy, a rzadko śmiech umierającego niewinnego — odparła dźwięcznie przybyła.

— Zapewne przyszedłeś zapytać, co z żarłem, które obiecałem twojej szefowej.

— Powinność wobec znaczniejszego jest cnotą, wąż lawirujący w trawie, choćby miał najpiękniejszą skórę, jest tylko podłym gadem niegodnym oddechu świętego życia.

Zimny pot wykwitł na bladej skórze specbrygadiera. Pospiesznie pociągnął przez słomkę dwa długie łyki.

Dziewczyna mu groziła. Chyba, bo gadała tak dziwnie, że nic nie szło zrozumieć.

— Przygotowałem dla ciebie pierwszorzędny materiał genetyczny. Ktoś z nadzony, renegat. Gdybyście go zasymilowali, nie zdegenerowałyby wam puli genów i byłby cennym nabytkiem. Nie to co reszta tego tałatajstwa oddanego mi pod komendę. Niestety, wywęszył co się świeci i uciekł mi. Ale, jeżeli byś wyruszyła natychmiast, z twoimi zdolnościami dopadniesz go bez problemu. Jest z nim dziewczyna, też przyzwoity materiał. Dorzucam ją ekstra — dodał zachęcająco. Była szansa pozbycia się za jednym zamachem i Vineya, i nieprzyjemnej kontrolnej pozostawionej przez ważniejszą sterowną.

— Łowca czuje zapach zwierzyny niesionej południowym wiatrem. To rozkosz dla jego nozdrzy, zapowiedź słodczy na podniebieniu. Gdy raz pochwyci trop, nie zgubi go nigdy, choćby planeta miała milion razy po milion dokonać obrotu wokół swej osi.

— Nie trzeba tak długo ścigać... — rzekł pojednawczo Katus. Dlaczego ona tak dziwnie mówiła? Czemu nie tak normalnie, jak wszyscy, tak jak się myśli?

A może ona też myślała w ten pogmatwany sposób? Może jej umysł nie był prosty, ale jakiś poskręcany? Nic nie było w nim takie, jak się wydaje. Spojrzał w jej nieobecne oczy i zrozumiał, że Anayette go nie widzi. Zamknięta we własnym świecie, ledwie tolerowała jego obecność.

Dziwna, nienormalna, wypaczona. Pojebka.

— Dlaczego nazywają cię Księżniczką Bólu? — zapytał nagle.

— Ból jest pięknem, bez którego nie istnieje ani życie, ani przyjemność. Nawet największa z królowych świata, śmierć, zapowiadana jest przez ból. Możesz przed nim uciekać. Możesz go pokochać. Dla bólu to bez różnicy. Dla ciebie jest to znacząca różnica.

Następnie Anayette podniosła do twarzy rękę. Otworzyła usta. Patrzyła mu prosto w oczy, po raz pierwszy chyba naprawdę go widziała. Z bransolety na przedramieniu wychynał z cichym szcękaniem zwalnianej sprężyny pojedynczy stalowy kolec. Zaśnił dziko w słabym świetle. Dziewczyna powoli przejechała ostrzem po swoim języku, robiąc głęboką ranę. Cały czas patrzyła mu przy tym głęboko w oczy.

A potem schowała ostrze, kończąc tym samym demonstrację.

Tymczasem ze specbrygadierem działo się coś dziwnego. Patrzył na podnoszące się i opadające w przyspieszonym tempie piersi kontrolnej i zdał sobie sprawę, że dziewczyna jest podniecona. Poczł, jak w jego lędźwiach rozlewa się przyjemny żar. Zaraz zwariuję, pomyślał, a wzrok nadzorcy zony wbił się w słodką, wygoloną płeć dziewczyny. Wargi sromowe zaróżowiły się i nabrzmiały, w

oprawie z podwiązek i drucianej bielizny wyglądało to jeszcze bardziej elektryzująco.

A może by ją tak przelecieć? Dziewczyna była dziwna, zapewne nie zdawałaby sobie nawet sprawy z tego, co się z nią dzieje. W takim razie można ją rzeczywiście przelecieć. Dobry pomysł.

— Jesteś ładna dupka, seksowna, obleśna — zaryzykował podryw w formal, bo przecież nie wiedział, jak ona zareaguje.

Dziewczyna milczała, co skonsternowało nadzorcę. Nie mógł jednak zapomnieć o tym, co zrobiła ze swoim językiem.

— Weź mi do buzi — zdecydował. Wizja przejeżdżania penisem po świeżej ranie wydała mu się dodatkowo ekscytująca.

— No, na co czekasz? Twoja przełożona oddała mi cię pod moją komendę. A powinność wobec znacniejszego jest w porzo, nawet jak ma się ładną skórę. — Zdecydował się dokończyć na jej sposób, by go w końcu zrozumiała.

Niecierpliwie obnażył genitalia.

— Na kolana, suko — zasugerował.

— Obrzydliwość, którą widzę, choć nie ma granic, jest śmiesznie małych gabarytów. Ot, paradoks — odparła w zamyśleniu.

— Obrzydliwość, nie obrzydliwość, pakuj do gęby... — Katus zaczął się już niecierpliwic. Szło mu trudniej niż przypuszczał. Tymczasem dziewczyna uklękła przed nim i zbliżyła rękę do jego nabrzmiałego członka. Odchylił głowę na żywofotelu w oczekiwaniu nadchodzącej rozkoszy. Już, już czuł ciepło jej oddechu...

Szczęk! Z obręczy wyprysnęły od razu trzy ostrza, przebijając bez trudu napęczniały penis specbrygadiera. Nadzorca zawył z bólu. Krew siknęła strumieniem, oszalały Katus nie zdołał jej zatrzymać. Z otwartymi z przerażenia oczami patrzył, jak jego duma zamienia się w nadziany na rożen kawałek miecha.

— Uczono mnie, żeby obrzydliwe rzeczy unosić widelcem — rzekła silnym, dźwięcznym głosem Anayette.

\* \* \*

— Barbara tuż, tuż... — rzekła Kli, gdy żelaznościenny tunel zakończył swój żywot wewnątrz olbrzymiej groty, pięćdziesiąt metrów nad poziomem podejrzanie falującego podłoża i więcej niż sto do ginącego w mroku sklepienia.

— Jesteśmy już poza zasięgiem konklawe sterownych. Podobno znajduje się tu mnóstwo materii genetycznej. Z naszą szlachetnością genów będziemy wśród nich niczym bogowie — dodała.

Olbrzymie stalaktyty i imponujące stalagmity, zachodzące na siebie niby zęby gigantycznego potwora, dostarczały mętnego zielonego światła. Między nimi rozwieszane były stalowe pajęczyny. Uwięzione w nich postaci od czasu do czasu poruszały się słabo.

Na stalaktytach zaczepione były półdyski pasożytniczego grzyba. Miał chropowatą, nierówną powierzchnię o żółtej barwie, nakrapianą czarnymi punkcikami. Tych swoistych platform było na tyle dużo, że skacząc z jednej na drugą, można było dostać się na dół i przyjrzeć bliżej niezwykłym, połyskującym świetlicie pułapkom.

Pierwszy odbił się Viney, jeszcze ostrożnie, bo nie był do końca pewny swego ciała po napromieniowaniu. Co prawda wygrał z dziewczyną trudną walkę o integrację genetyczną, ale oboje

zapłacili za to wysoką cenę. Zużyli większość rezerw energetycznych ustroju, a i tak część wadliwych komórek została zgromadzona w specjalnych torbielach. Gdy będą silniejsi, możliwa stanie się próba naprawy.

Teraz jednak nosimy w sobie bombę z opóźnionym zapłonem, pomyślał mężczyzna, lądując na miękkiej powierzchni grzyba. Wzbił w powietrze chmurę niegroźnych zarodników, jednak pasożyt utrzymał go, nie skruszył się i nie połamał.

Bombę, której nie mogą wyrzucić, bo zawiera potencjalnie cenny materiał.

— Zarodniki żywią się skałą, solami mineralnymi. Nie są dla nas niebezpieczne — krzyknął do dziewczyny.

Dziewczyna wykonała chybotliwy skok. Jednak udało jej się bezpiecznie wylądować tuż obok niego. Promieniowanie było dla niej mniej łaskawe. Nie miała takiego doświadczenia w utrzymywaniu integralności ustroju. Viney nieraz musiał już sobie udowadniać, że tylko jeden porządek informacyjny może rządzić jego mapą genetyczną. A nawet dla niego skażone jezioro było wyzwaniem na granicy możliwości. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie znajdą odpowiednio szlachetnego budulca, chaos rozejdzie się po ciele dziewczyny i przetransformuje ją w coś nieludzkiego.

A potem to samo zaczniesz się dziać z nim.

Może powinien ją pożreć, zanim jej materiał nie zostanie do reszty popsuty? W ten sposób chociaż jedno z nich przeżyje. I, co nie bez znaczenia, to będzie on.

Tak trzeba będzie zrobić.

Ale jeszcze nie teraz. Nie teraz.

Kilka długich skoków. Nie kierował się na dno grotu. Grzyby były wygodnym środkiem przemieszczania się, lepszym może niż podłoże na dole. Zwłaszcza, że gdy przyjrzeć się mu bliżej, wydawało się grząskie, jakby się ruszało.

Jakby było wielką, wypełniającą głębokie niecki, rozlazłą, bezkształtną istotą.

Wykonał ostatni skok i zatrzymał się tuż przy stalowej pajęczynie, opodał uwięzionej istoty.

Metalowe druty siatki przebijały skórę, mięśnie i kości młodej kobiety. Mimo, że wydawała się być nawleczona na dziesiątki ostrzy, które przechodziły przez jej czaszkę i organy wewnętrzne, dziewczyna żyła. Wpatrywała się w Vineya z obawą. Widać było, że chce coś powiedzieć, o coś poprosić, ale jeden z drutów przechodził przez jej język, unieruchamiając go przy podniebieniu.

Była nawet ładna, ale bez żadnych funkcjonalnych deformacji czy stalowych wszczepów. Znak, że nie potrafi sterować swoim ciałem, psychomodyfikować swojej głębokiej struktury, sprawiać, że każda komórka jest plastyczna względem nakazów woli.

Znaczyło to, że jej materiał genetyczny nie był szlachetny. Jednak w najgorszym razie można było się nim pożywić. Viney przygotowywał się już, by wyciągnąć czułki zasysające pokarm, gdy usłyszał drgnienie powietrza. Ktoś ku niemu frunął z olbrzymią prędkością.

Skoro były pajęczyny, musiał być też i pajak.

Błyskawicznie odbił się w bok, klnąc w duszy za swoją nieostrożność i głupotę. Istota, która wylądowała w miejscu, gdzie mężczyzna podziwiał uroki schwytej kobiety, zdołała jednak wyemitować łańcuch z kości, który chlasnął Vineya niczym bicz, poważnie raniąc i zbijając skok z celu. Miast wylądować na grzybie, uderzył w lśniącą powierzchnię stalaktytu. Ześlizgiwał się w dół z coraz większą prędkością.

Do jego uszu dobiegł przeraźliwy krzyk Kli.

Zobaczył na prawo dysk grzyba, odbił się od stalaktytu, korzystając ze straszliwej siły swoich kończyn.

Gdy tylko wylądował, postarał się zlokalizować przeciwnika. Dostrzegł go, sadzącego długie susy w kierunku Kli. Natychmiast pomknął, by przeciąć mu drogę. Pędził tak szybko, że ledwie dotykał stopami powierzchni grzybów, zwinnie lawirował wśród skalnych masywów, to zwisających z góry, to wznoszących się z ziemi. Z zadowoleniem skonstatował, że jego susy są dalsze i prędsze od wysiłków czynionych przez nieprzyjaciela.

Wylądował na grzybie pomiędzy agresorem a Kli, nie sposób było go ominąć i równocześnie dopaść dziewczynę. Najeżył się tysiącem ostrzy, straszliwych długich kolców. Czekał.

Przeciwnik wylądował jakieś piętnaście metrów przed nim. Także wysunął ostrza, choć krótsze i nie tak okazałe, co znów Viney dostrzegł z satysfakcją. Tyle że to z jego ramienia odpadała tkanka mięśniowa, z paskudnej rany ciekła wąska strużka krwi. Niedożywiony, nie zdołał powstrzymać wszystkich skutków pierwszego udanego ataku wroga.

A na dodatek to on ma w sobie zdeorganizowane promieniowaniem z jeziora tkanki. Może być nieciekawie.

— Jestem Tortur Wielki — odezwała się istota naprzeciwko. — Właściciel i Rządiciel tej krainy. Żebrak. Pan i Władca.

— Viney. Tylko przechodzę. Strącam cię w otchłań. Nikomu nie będziemy przeszkadzać. — Rozmawiali w formal, jak zawsze, gdy spotykało się dwoje drapieżców niepewnych swoich intencji. Był to język pozwalający zawsze cofnąć wypowiedź, udać, że miało się na myśli coś innego. Nie można było też nikogo obrazić niepotrzebnie, być źle zrozumianym. Bo przecież obraza musiała tutaj tkwić w pochlebstwie, a błędne rozumienie było immanentną cechą takiej wypowiedzi.

— W takim razie może cię przepuszczę. Z flaków twych zrobię se nunczako. Jeśliście mej władzy powolni, jesteście wolni.

— Radzi my języka zasięgnąć. — Co było do ustalenia, zostało uczynione. Do konkretów lepszy był nie formal, pytając w nim o drogę, można było otrzymać odpowiedź: w prawo i w lewo, równocześnie.

— Tortur Wielki zwany jest także Torturem Mądrym Niesłuchanie. Pytajcie. — Napięcie między antagonistami zauważalnie zelżało. Ostrza wycofały się w ciała, nie pozostawiając po sobie śladu.

— Co to za samki w pajęczynach? Kto je tam umieścił?

— Torturowa robota — pochwaliła się istota. Była łysa, w skórę czaszki miała powbijane zardzewiałe, pokrzywione gwoździe. Zapewne słyszała, że wśród arystokracji metalowe części uchodzą za przejaw dobrego smaku, jednak dokonała implantacji z typową dla prowincjuszy ignorancją. Gwoździe nie były funkcjonalne, nie mogły też w zadowalający sposób kanalizować bioenergii.

Skórę miała bladą, upstrzoną brzydkimi plamami, zwisała fałdami zmarszczek niczym zbyt duży worek.

— To tutejsze zwierzęta, bez samoświadomości genetycznej. W jaskiniach na północnej ścianie Torturowej groty żyje całe plemię tego tałatajstwa.

— Po co je więzisz? — pytał dalej Viney. Równocześnie przyjął z zadowoleniem fakt, że zdołał powstrzymać krwawienie z rany.

— Mniamuśne jedzenie. Plemię ma dobre samce. Nie taki materiał jak twój, nie taki jak Torturowy. Ale dobry. Nie degeneruje za bardzo.

Viney się uśmiechnął. Niegdyś Tortur musiał być tak potężny jak on czy Kli. Jednak lata asymilacji podłego materiału musiały spowodować powolne zwyrodnienie puli genetycznej. Istniała zasada prymatu materiału szlachetniejszego nad podlejszym podczas interakcji, jednak zawsze dochodziło do śladowej migracji w przeciwną stronę. Dlatego zawsze należało asymilować jak

najcenniejsze osobniki. Dlatego też ci z nadzony nie żywili się mizernymi tkankami z plantacji, tylko zjadali wartościowe osobniki z podległych sobie rejonów.

— Jeżeli plemię ma dobre samce, czemu w twojej sieci zauważyłem tylko samki? — Viney natknął się na kilka innych ofiar Tortura. Wszystkie były pięknymi młodymi kobietami o niewinnych twarzach i długich włosach.

— To bardzo niedojrzałe ewolucyjnie plemię — Tortur wyszczerzył zęby. Viney dostrzegł, że niektóre siekacze ma zastąpione gwoździami. — Są rycerscy, bohaterscy. Tortur lubi takie cechy. Dzięki nim samce tych zwierząt chcą uwolnić swe samice przed potworem — Torturem. Oni się szarpią z siecią, a Tortur podchodzi z tyłu i ich zjada. Czasami czeka, aż samczyki uwolnią samkę, a zwierzątko krzyczy: „Och, jestem uratowana! Dziękuję ci, mój ty wybawco i bohaterze.” Jak się oni wówczas całują! Tortur ma niezły ubaw. Wtedy lubi wkraczać najbardziej. Samkę wiąże z powrotem pajęczyną, a potem zjada jej niedoszonego partnera na jej oczach. Dobra zabawa z posiłkiem!

— Tortur ma rzeczywiście niezwykle wyrafinowane poczucie humoru — stwierdził Viney.

— Dlaczego wypędzono cię z żony? — ośmielona spokojnym zachowaniem istoty Kli odważyła się wyjść zza stalagmitu.

— Tortur drutował chłopczyków — pochwalił się gwoździogłowy z dumą. Nie spuszczał przy tym wzroku z dziewczyny. Bezcelnie wpatrywał się w jej pełne piersi, śledził wzrokiem rząd kościanych kłów biegnący od szyi aż po łonowe owłosienie. Wykrzywił głowę, bez żadnego skrepowania starając się ustawić tak, by zająrzeć jej między nogi.

— Co to oznacza? — dopytywała się Kli. Widać było, że już żałuje swojej ciekawości, która wypchnęła ją z ukrycia.

— Porywa się chłopczyka ze szlachetnego materiału, gdy jest bardzo młody. Nawet najbardziej dobre geny są wtedy jeszcze słabe, nie bronią się. Następnie owija się takiego drutem kolczastym, żeby nie mógł urosnąć. Można wtedy wysysać materiał. Jeżeli się nie wysysie zbyt dużo, chłopaczek znowu zaczyna rosnąć. Jeżeli materiał jest naprawdę szlachetny, można tak robić wiele razy, nim się wyczerpie. — Istota wreszcie ułożyła się tak, by widzieć co chciała. Uszczęśliwiona zamarła w bezruchu, tylko język oblizywał powoli wargi.

— Nie dziwię się, że go wygnali — Viney zwrócił się ścisłym głosem do dziewczyny. — Zawsze daje się materiałowi dorosnąć, zwłaszcza, jeżeli jest szlachetny. Dopiero wówczas pokazuje pełnię swoich możliwości, często pojawiają się nowe jakości, wartościowe dla wszystkich. Wówczas lepiej z takim materiałem kopulować niż go zasymilować, mimo kosztu energetycznego stosunku. Zjadamy wszystkich i wszystko, gdy odczuwamy głód, ale nawet my mamy swoje zasady. — Nie musiał dodawać nic więcej. Tortur był renegatem nawet wśród bezwzględnych, zimnych, amoralnych drapieźców, jakimi byli mieszkańcy żony. Lepiej było oddalić się od niego jak najszybciej.

Trudno powiedzieć, czy potwór usłyszał słowa Vineya. Może dostrzegł zmianę w jego zachowaniu, grymas obrzydzenia w zwykle lodowatych oczach. Każda istota przecież potrzebuje zrozumienia i akceptacji, choćby czyniła najgorsze rzeczy. Może Tortur liczył, że znalazł wreszcie sobie podobne towarzystwo, w końcu mógł przypuszczać, że jego goście także zostali wypędzeni. A może rozwścieczyło go, że Kli w końcu zmieniła pozycję, zasłaniając łono. Dość, że rycząc straszliwie, obnażył kolce i straszliwym susem rzucił się na Vineya.

Jednak mężczyzny już tam nie było, bez trudu przeskoczył na platformę kilkanaście metrów wyżej. Jedynie bicze z łańcuchów naostrzonych kości, które obaj wyemitowali ze swoich ciał, zderzyły się z głuchym klekotem. Kolejne skoki i próby trafienia kościanymi ostrzami. Wszędzie wokół wirowały zarodniki grzybów, tworząc duszącą chmurę. Błotniasta istota na dole, kotłująca się na podobieństwo

lawy, wyczuła, że coś ciekawego dzieje się nad nią. Erupcje żywej biomagmy niemal sięgały walczących.

Wreszcie Tortur pierwszy zauważył, że w ten sposób nie pokona swego przeciwnika. Tym razem nie uniknął kościanych szpikulców, zanurkował pomiędzy nie, doprowadził do zwarcia i uderzył w Vineya dziesiątkiem swoich twardych macek masakrując jego organy wewnętrzne. Viney odpowiedział pięknym za nadobne. I tak uderzali się raz po raz, zespoleni, tworzący jedno wirujące ciało, odbijające się od skalnych słupów.

Torturowi dodawał sił odwieczny zwyczaj, że ten samiec, który wygra, może posiadać samicę pokonanego, jeżeli będzie wciąż dość silny, by ją zniewolić. Będąc renegatem od dziesiątków lat, mógł dotąd jedynie kopulować z nieuszlachetnionymi zwierzętami ze swych sieci. Perłowa maść włosów Kli, jej kościany rząd pomiędzy piersiami, wreszcie blade wykwit z delikatnych płatków na kręgosłupie, doprowadzał go do szaleństwa. Jednak mimo, że niszczył tkanki Vineya szybciej, niż te mogły się zregenerować, odpłacano mu tym samym. W tym tempie zginą obaj. Nie było rady, trzeba zmienić taktykę.

Viney poczuł, jak Tortur zamiast go miażdżyć i rozcinać, poczyną pożerać. Jego bezcenne tkanki zaczęły migrować, komórka po komórce do ciała gwoździogłowego. Natychmiast wycofał swoje kolczaste macki i także zaczął pożerać przeciwnika. Teraz chodziło o to, kto pierwszy straci siły.

Viney poczuł, że słabnie. Osłabiało go dodatkowo, że cały czas musiał utrzymywać w ryzach tkanki napromieniowane podczas przeprawy przez skażone jezioro. Zrozumiał, że nie wygra w ten sposób i zostanie pożarty, zasymilowany, uszlachetniając pulę genów Tortura. Liczne macki wyciągały z niego komórkę po komórce. O wiele szybciej niż był w stanie uczynić to z gwoździogłowym.

Viney przesunął swoje tkanki, przetransportował torbiele do każdej macki ciągnącej z niego życie. Powoli pozwalał, by Tortur wyciągał jego zdeformowany, bezużyteczny materiał. Teraz tempo migracji nadal było korzystniejsze dla Tortura, ale był to zysk pozorny. Każda upływająca sekunda nie osłabiała już Vineya, odwrotnie, uwalniała go od kłopotliwego balastu. Mógł skupić się na zasysaniu tkanek z ciała przeciwnika. Ten tymczasem zaczynał już odczuwać skutki przyswojenia zniekształconych, walczących ze wszystkim komórek. Powoli jego strukturę zaczynał ogarniać chaos, którego nie potrafił opanować, gdy tymczasem z każdą chwilą odsączano z niego moc.

Szarpnął się, próbował oderwać od Vineya, ale ten trzymał mocno. Wciąż wzrastał w siłę, a Tortur małał, usychał w oczach. Wreszcie krzyknął cicho, przeraźliwie i zaprzestał obrony. Viney asymilował jego materiał jeszcze przez chwilę, aż pozostał tylko wysuszony odwłok, z którego sterczały brudne gwoździe. Pozwolił mu opaść w kierunku falującej gniewnie żywej magmy, by ta pochłonęła go ostatecznie.

Poszukał wzrokiem Kli. Ta przypatrywała się walce z bezpiecznej odległości. Po zdobyciu takiej ilości materiału czuł, że wprost tryska energią. Gorące fale przelewały się jego arteriami. Wspaniałymi, drapieżnymi susami ruszył na jej spotkanie.

\* \* \*

Kli nie wiedziała, jakie zamiary wobec niej żywi odmieniony Viney. Jednak na widok jego żarłocznych ruchów poczuła lęk. Rzuciła się do chaotycznej ucieczki. Chwytała się w locie kościanymi wypustkami skał i okrążała kolejne stalaktyty. Jednak krwiożerczy mężczyzna był coraz

bliżej.

Czy zasmakowawszy w jedzeniu będzie teraz łaknął w nieskończoność? Zje ją, pochłonie, jak to zrobił z Torturem? Jaką dziką nutę obudziła w nim ta asymilacja? A może po prostu chce ją ukarać, że nie pomogła mu w walce z gwoździogłowym?

Tak czy inaczej, nie zamierzała dać mu się złapać.

Zderzył się z nią w locie, uderzyli z impetem o stalagmit, runęli w dół, aż zatrzymali się na grzybnej platformie. Zaraz uderzą w dziewczynę jego groźne macki. Co robić? Nie wygra z tak wzmocnionym Vineyem.

Miał zaatakować, otworzyła swój brzuch i klatkę piersiową, jak uczyniła to już niegdyś. Jego macki nie napotkały oporu, bez trudu weszły do wnętrza ciała dziewczyny. Poczwała, że mężczyzna zawahał się. Następnie macki kontynuowały ruch, ale nie czyniły jej krzywdy, wsączała się w nią, wchodził w jej ciało jak pan i władca tryumfujący w zaborczym geście. Byli połączeni genitaliami, skórą, mięśniami, jej macki oplatały jego plecy, on zaś swoimi penetrował najgłębsze wnętrza dziewczyny, każdą ukrytą, pulsującą tkankę. Każdy jego ruch ustanawiał jego narastającą władzę nad dziewczyną, ale nie niszczył jej, mimo że oddawała mu wszystko, co miała, pozwalała zrobić ze sobą cokolwiek zechciał i dotrzeć wszędzie, gdzie pragnął. A on wreszcie oddał jej za to część szlachetnego materiału, wyemitował go ze wszystkich swych macek jednocześnie, a następnie rozłączył się z nią wyczerpany.

A ona pólżąc odbudowywała straty, regenerowała rany, usuwała skutki promieniotwórczej czerwieni z jeziora, korzystając z nowej siły, jakiej jej użyczył.

\* \* \*

Amebowate kształty wiły się wśród zardzewiałych części należących do mechanizmów, których dawno już nikt nie produkował. Bezkształtne macki poszukiwały rozpaczliwie innej organicznej struktury, a gdy tylko ją odnalazły, próbowały pożreć lub chociaż dokonać na niej kopulacji. Niekiedy powstawało coś większego, uporządkowanego, w bezkształtnej galarecie pojawiał się zarys twarzy, sugestia istnienia rozumu i świadomości. Ale pęd do dominacji był straszliwy, jedna chwila słabości, a istotę taką zabijała własna macka, także walcząca o supremację. Wszystko rozpaczliwie pragnęło wzrosnąć, jednak wnet na powrót ginęło, zapadając się w genetycznym tyglu chaosu.

— Barbaria... — wycedził Viney, nie kryjąc rozczarowania. — Rzeczywiście, możemy uchodzić tutaj za bogów. Jedyne, czy o takich poddanych marzyliśmy?

— Za tysiąc lat może coś z tego będzie... — rzekła Kli, skruszona, bo to ona przyprowadziła tutaj mężczyznę. — Wybacz, Viney. O tym miejscu krążyły inne legendy.

— Piękne podania tworzą niewolnicy, wielcy ludzie realizują swoje sny. Jediną prawdą jest, że pilny łowca zawsze znajdzie swoją zwierzynę — usłyszeli dźwięczny głos. Zza metalowego załomu wyszła czarnowłosa kobieta.

— Pojebka! — jęknęła Kli. — Odnalazła nas.

— Jakim cudem przeszłaś nienaruszona przez skażone jezioro? — zapytał Viney. — Nie widać po tobie ubytków.

— Pożywiłam się po drodze. Znalazłam miejsce, gdzie samki istot na niskim poziomie rozwoju zostały uwięzione w stalowej sieci.

— Pożarłaś je?

— Nie. Samce z ich gatunku przybyli je ratować, a potem radowali się i świętowali. Gdy próbowali uwolnić swoje kobiety, pożarłam ich. Jestem z powrotem w pełni funkcjonalna.

— Domyślam się, że to nie jest dla nas dobry znak...

— Rzeczywiście. Jedno z was pójdzie ze mną, by jego geny wzbogaciły pulę konklawe. Los drugiego jest mi obojętny — mówiła beznamiętnie Anayette. Nie używała formal. Była pojebką, mówiła po swojemu, lekceważąc normy i zwyczaje tego świata. Gdy trzeba było pogadać z prostszymi umysłami, niżała się czasem do ich poziomu. To wszystko.

— Które... Które ma iść z tobą? — zapytała Kli, oblizując nerwowo wargi.

— Możecie wybrać. To, które pierwsze powie, że chce się oddalić, jest wolne.

Kli rzuciła nerwowe spojrzenie towarzyszącemu jej mężczyźnie. Jednak Viney nie patrzył na nią. Jego lodowate oczy były wbite gdzieś w przestrzeń. Jakby o czymś intensywnie myślał.

„Czy mnie zostawi?”, zastanawiała się dziewczyna. Ręka sama wyciągała się do góry, usta układały do krzyku: „Wypuść mnie, chcę odejść!”.

Przecież było pewne, że Viney ją sprzeda, odda jak bezwartościowy zbiór informacji zapisanych w spiralach wewnątrzkomórkowych. Wziął ją ze sobą jako zapas żywności, jednak nie umiera się za jedzenie. Jeżeli łudziła się, że zmami go obietnicą seksu, to mogła się pogodzić z ostateczną porażką. Wymienili już geny podczas kopulacji, obecnie jej atrakcyjność dla niego spadała. Jego geny będą poszukiwały nowej kobiety, tak już jest urządzony ten świat.

Podnieś rękę, Kli. Odezwij się.

„Nie mogę”, pomyślała dziewczyna. „Nie zrobię tego”.

Schyliła głowę. Perłowe włosy opadły na twarz. Pomiędzy kosmykami, na ciemnej cerze zalśnił diament łzy.

„Mam jeden pieprzony defekt więcej. Nie mogę! Nie mogę...”, powtarzała bezsilnie.

Defekt, którego on nie zauważa. Nie zauważa, mimo że ma pod samym nosem. Bo on go nie posiada. Jak chyba nikt na tym cholernym świecie. Jestem wynaturzeniem wśród wynaturzonych. Mutantką.

Drapieżnik nie ma uczuć.

Zapomnij o tym, Kli. Zapomnij o błędzie w doskonałym, wyrachowanym umyśle drapieżcy. Pomyśl o czymś innym, no prędko, mała...

Nie pomogłam ci w walce z Torturem, bo się bałam. Bo nie umiem się bić. Nic, kurwa, nie umiem. Możesz mnie teraz wydać bez wyrzutów sumienia. No, zrób to wreszcie, do cholery! Miejmy to już za sobą.

— Podjęliśmy decyzję — rzekł Viney.

— Oddajesz mi kobietę — skonstatowała Anayette. Kli podniosła dumnie głowę. Łza zgasła. Tak trzeba, mała. Trzeba zapłacić za głupi błąd w genotypie.

— Nie — powiedział spokojnym głosem Viney.

— Jak to, „nie”? Jedno z was jest niezbędne dla konklawe. Nie wrócę bez waszego materiału.

— Teraz ty mnie posłuchasz. Wszystko sobie przemyślałem. Nie wysłano by cię na tak nieistotną misję, gdyby twoje wpływy w nadzonię nie malały. Jesteś Księżniczką Bólu, a zabawiasz się w chłopca na posyłki.

— Nadal mogę cię zniszczyć. Nie miej złudzeń.

— Nie wiesz, kim jestem. Mówisz do Zrodzonego z Lęku. Dorównuję ci szlachetnością. Przeważenie, jakie ogarnęło mnie podczas narodzin, gdy po raz pierwszy ujrzałem ten świat, zniszczyło część moich tkanek. Przez to straciłem miejsce w konklawe i musiałem opuścić nadzonię.



Jednak mój materiał jest znakomity. I to jeszcze nie koniec — dodał, widząc, że Anayette zamierza coś powiedzieć. — Będziemy walczyć oboje przeciwko tobie.

Na okrutnej twarzy Księżniczki po raz pierwszy pojawiło się zważenie. Widząc to, Viney kontynuował:

— Mam dla ciebie propozycję. Albo będziesz z nami walczyć, albo pomożemy sobie nawzajem. We trójkę możemy obalić rządy konklawe. Ważniejsze sterowne mają znakomite geny, ale są stare. Lata bezpiecznej egzystencji stępiły ich czujność. Odpowiednio drapieżny, przemyślany atak może je zniszczyć. Wówczas to my będziemy rządzić nadzoną i wszystkimi zonami!

— To niemożliwe — stwierdziła krótko Anayette. — Nawet nie wiesz, na co się porywasz.

— Wiem. Nie zapominaj, że ja tam żyłem przez jakiś czas, dopóki nie stwierdzono, że nic ze mnie nie będzie. Znam zasady funkcjonowania tego miejsca. Wiem, jak je opanować.

— Więc czemu udałeś się na barbaria? Czemu tutaj, a nie od razu do nadzony?

— Bo potrzebuję twojej pomocy. Tylko ty możesz nas wprowadzić do siedziby sterownych. Ty znasz drogę i wiesz, jak ominąć zabezpieczenia. A ja wiem, co trzeba uczynić w środku. No to jak?

— Wyłóż swój plan. Zdecyduję, czy ma szansę powodzenia. I wówczas podejmę decyzję. — Viney wiedział, że już niemal ją miał. Myśl o totalnej dominacji była dla pojebki niewysłowioną rozkoszą. Moc nieograniczenie czerpać z dowolnego materiału, być pewną, że nikt nie zagrozi twojemu. Czyż jest coś piękniejszego? Jej geny wprost krzyczały: daj nam supremację!

— Zrobimy tak: Ja i Kli obłożymy się częściami żelaznymi i fragmentami podłego materiału, jakiego jest tutaj pod dostatkiem. Przy odrobinie szczęścia będziemy wyglądać jak dwa roboty. Zaprowadzisz nas do nadzony. Przebranie powinno wystarczyć, by oszukać detektory bezpiecznikowych.

Nie zapytała, czy to wystarczy. Była drapieżnikiem. Hazard, poświęcenie wszystkiego co się ma, by wygrać wszystko, co tylko możliwe, nie był jej obcy. Viney kontynuował:

— Wejdziemy do wylęgarni. Ja wpiszę mój materiał genetyczny do matryc, aby nowe osobniki były mi posłuszne.

— Będą uznawać prymat twoich genów nad ich? Potrafisz to zrobić?

— Tak — potwierdził. — Wreszcie udowodnię im wszystkim, że coś potrafię. Z armią posłusznych mi istot o szlachetnym materiale będziemy mogli z zaskoczenia uderzyć na sterowne.

— Trzeba będzie poczekać, aż materiał dorośnie — Anayette rozważała braki planu. Nie krytykowała, zastanawiała się, gdzie są luki i czy można im zaradzić.

— Niedługo. Ukryjemy się pod przebraniem. Będziesz nam pomagać. Nikt nie podda pod wątpliwość słów Księżniczki Bólu.

— To prawda — potwierdziła. Wyższą od niej władzę miały tylko ważniejsze sterowne. Nawet bezpiecznikowi jej służyli i zdawali raporty. Jeżeli tylko zamknięte w słojach istoty niczego się nie domyśla, Anayette mogła czynić, co tylko chciała.

— Ostatnia sprawa: armia będzie posłuszna tylko tobie? Nedorzecznosc.

— Rozumiem. Każdy z nas wprowadzi własne geny, będzie posiadał własne wojsko. Czy to wystarczające zabezpieczenie?

— W porządku. Poznałam twój plan. Teraz zamilcz. Będę się zastanawiać. Dam ci znać, kiedy skończę.

Nie minęła sekunda, jak Anayette powiedziała dźwięcznym głosem:

— Walczymy i kopulujemy, wciąż więcej i więcej, bez końca, bez sensu, jedynie dlatego, że musimy. Jesteśmy okrutni i bezwzględni, wciąż zdeterminowani w parciu naprzód. Czymże się różnimy od tych miłąkch istot pod nami? — nawet nie zaszczyciła wzrokiem amebowatych twórców

pod nią. — One czynią to samo, jedynie w swej godnej ubolewania skali i choć pragną wielkości, bez reszty ogarnia je małość. Czy i z nami tak będzie? Czy i my w końcu przepadniemy, chwila słabości stanie się naszą zgubą? Ale czy mamy wyjście? Czyż możemy nie iść do przodu? Wy musieliście. Albo zginąć w walce ze mną, albo pokonać wszystkie sterowne tego świata. A czy ja mam wybór? Moje Siostry w Bólu czekają na najdrobniejsze moje potknięcie. Czy fakt, że wysłano mnie za wami jest zapowiedzią mojej zguby? Gdzież mój wybór? Pchają mnie do działania mikroskopijne spirale wewnątrzkomórkowe. W nich jest zapisany mój los, bo jest w nich mój głód. Czyż mogę mu zaprzeczyć? Czyż wolno mi nie ulec mu?

Zapanowała cisza. Wreszcie odważyła się odezwać Kli:

— Czy to oznacza... że tak?

Anayette powoli skinęła piękną głową.

— Musimy teraz wypocząć, by na konfrontację z bezpiecznikowymi wystawić pełnię sił. Potem was wprowadzę.

— Daleko to stąd?

— Wejście do nadzony jest ukryte w krainie snu. Wystarczy złożyć głowę w spokojnym miejscu. Ale uprzedzam, nie będzie to przyjemny sen. Będzie to najgorszy z waszych koszmarów. Dobrze przed nim chwilę odpocząć.

\* \* \*

Siedzieli w niedużej jaskini. Mogli tu bezpiecznie wypoczywać, nie narażeni na natrętne ataki ameb, które wbrew realnej ocenie szans próbowały co jakiś czas ich zaatakować i pożreć.

Viney doszedł do wniosku, że przed czekającym ich zadaniem dobrze byłoby lepiej poznać nowego sprzymierzeńca. Przynal się do Anayette.

— Cześć — powiedział.

— Omówiliśmy już plan. Dalsza rozmowa jest zbędna — odparła czarnowłosa piękność. Mężczyzna nie mógł oderwać wzroku od jej regularnych rysów twarzy, wrażenie nieobecności, jakie roztaczała, tym bardziej go pociągało. Zdał sobie sprawę, że dla Księżniczki Bólu był tylko instrumentem do zdobycia większej władzy. Poza chwilą, gdy był potrzebny, nie istniał.

Położył dłoń na jej idealnie jasnej, delikatnej skórze na podbrzuszu, tuż pod blachami gorsetu. Przesunął na wygolone łono zafascynowany aksamitną gładkością tego miejsca. Chwilę gładził je czułym ruchem. Spojrzał w twarz Anayette. Zdawała się niczego nie zauważać, jakby przebywała w innym świecie. Dziewczyna intrygowała go coraz bardziej. Zastanowił się chwilę, po czym zanurzył palec w jej płeć.

— Obetnę ci rękę — usłyszał beznamiętny głos. — Jeszcze chwila i obetnę ci rękę.

— Chciałem się tylko zaprzyjaźnić — urażony wycofał dłoń. Zirytowany przysunął się z kolei do Kli. Położył rękę na jej ramieniu. Jednak, ku jego zaskoczeniu, perłowowłosa strąciła ją gniewnie.

— Co się dzieje? Jesteś chora? — zapytał.

— Wiesz dobrze, kurwa, co się dzieje... — usłyszał jej gniewny głos, na granicy płaczu.

— O co ci chodzi?

— Wszystko widziałam. Dobierałeś się do niej. Do tej... zdziwy.

— Nic takiego nie zaszło. Włożyłem jej tylko jeden palec. To wszystko. Nic zobowiązującego.

— Kurwa, nie mów tak. Myślałam... jestem głupia. Że coś dla ciebie znaczę. Jestem więcej niż

zapasem pożywienia. Zwłaszcza po kopulacji tak myślałam.

Seksualna wymiana genów jest czasem jak wymiana dusz. Masz w sobie część partnera. Co raz było całością, nie będzie już nigdy tak po prostu rozdzielone. Rzeczywiście, Viney czuł, że od tamtej chwili Kli stała się dla niego ważna.

— To był tylko jeden palec... — Starał się zbagatelizować sprawę, by mieć wreszcie spokój. — Nawet nic nie poczuła, tak myślę. Co innego, jakbym włożył dwa albo chociaż trzy. Wtedy, co innego. Ale jeden...

— Nic nie rozumiesz, prawda? Bo ty nie masz tej przeklętej aberracji genetycznej, która stała się moim udziałem. — Po oliwkowej cerze spływały lśniąca diamenty łez. — Jak sądzisz, dlaczego razem z tobą opuściłam zonę? Jak myślisz?

— Bo się bałaś milicji Katusa. Wiedziałaś, że speckretyn coś szykuje...

— Kurwa, jaki idiota. Kurwa, ty tego nie masz w genach, prawda? Nie masz tego, dlatego nie rozumiesz. Szlag! A ja się łudziłam, jak głupia... Zostaw mnie!

I tak Viney został samotny w jaskini pełnej kobiet. Drapał się po głowie i próbował zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło. Bo żeby tak o jeden palec? Niedorzeczność...

Matryce miały kształt sarkofagów, ustawionych do siebie częściami, które w przyszłości miały wyprodukować głowę. Było ich w tej sali pięć, każda wyglądała niczym czarny promień niewidzialnego koła. Wewnątrz bulgotał struktury żujący się i morfizujący materiał genetyczny najwyższej klasy.

— To już trzecie pomieszczenie z matrycami... — rzekł Viney. Nikt nie domyśliłby się, że pod tą stertą żelastwa i spacyfikowanych podrzędnych tkanek kryje się pierwszorzędny genotyp Zrodzonego w Lęku. — Nasza armia rośnie w siłę.

— Najpierw musi w ogóle urosnąć — skwitowała pojebka, wpuszczając swój materiał do macierzy rodnej. Jak było ustalone, każdy z nich opanowywał równą liczbę przyszłych wasali.

Dotąd plan rozwijał się bez zarzutu. Dostali się do nadzony, ominęli kontrolę bezpiecznikowych, którzy nawet, z szacunku dla Anayette, nie śmieli kierować na nich detektorów.

— Jesteśmy we śnie? — zapytała Kli, pomna słów Księżniczki, gdzie znajduje się wejście do świata sterownych.

— Niestety, nie. Tylko przejście było w krainie koszmaru, tak, by osoba niepowołana zabłądziła i przepadła zjedzona przez własne lęki. To miejsce to w jakimś sensie rzeczywistość. Możesz umrzeć. Możesz zostać zjedzona, choćby przez własną zbuntowaną macicę. Możesz też kopulować, i jak zdobędziesz dobry materiał, uszlachetni cię to. Czyli jak wszędzie i zawsze. Normalne miejsce. — Była to zadziwiająco długa i równocześnie rzeczowa wypowiedź czarnowłosej.

Kli rozejrzała się po tym tak zwanym normalnym miejscu. Cała nadzona wydawała się być zbudowana z organicznej tkanki. Mury co jakiś czas pulsowały, jakby tętniła w nich krew, raz po raz przez ich podświetloną, zgnilozieloną błonę przesuwiał się jakiś duży cień, jakby wewnątrz ścian coś pływało, jakieś liczne istoty. Sprawiało to wrażenie, iż całe to miejsce jest w rzeczy samej wnętrzem żywego organizmu.

Korzystając ze światła, którego źródło było gdzieś za ścianami, jakby promienie mogły przez nie bez trudu przenikać, Kli zajrzała do sarkofagu matrycy. Materiał był już w znacznym stopniu zmorfizowany. Dziewczyna dostrzegła olbrzymie zęby zamontowane na daleko wysuniętej do przodu szczęce, pazury, które wystawały nie tylko z palców u nóg i dwóch par rąk, ale także, w różnych miejscach, pojawiały się i znikwały wedle rozregulowanego wzoru. To są nasze dzieci, pomyślała dziewczyna. Choć to nie my im nadaliśmy kształt, jedynie wpisaliśmy w nie kontrole ich dusz. To jest przyszłość całego naszego rodzaju, stworzona przez ciągle biegnącą do przodu ewolucję, dodatkowo

poddana manipulacjom sterownych.

Wspomniała niezmodyfikowaną dziewczynę ze stalowej pajęczyny Tortura. Czy dla niej byliśmy równie straszni, co dla nas są te stwory? Równie okropni, niezrozumiali, będący jednak ewolucyjnie doskonalsi, jesteście ich ideałem, na który nie mogą patrzeć bez obrzydzenia, choć przecież, gdy miną miliony lat, matka ewolucja być może właśnie do nas ich upodobni. Dążą do nas, nie wiedząc, czym w istocie się staną.

I tak Kli patrzyła na przyszłość swoich genów i nie cieszyła się zupełnie.

W tym właśnie momencie otworzyła się błona i do komnaty z macierzami wtańczyła druga pojebka. Była niezwykle podobna do Anayette, dopiero po dłuższych oględzinach można było dostrzec subtelne różnice w rysach twarzy, inny styl w doborze ozdobników do stalowego stroju. Oczywiście Kli i Viney natychmiast odsunęli się od sarkofagów i starali się wyglądać na pośledni materiał półrobotyczny, jednak nie na wiele się to zdało.

— Anayette, Viney, Kli. Ważniejsza sterowna Oliandria chce was widzieć. Nie chce. Na pewno tak. — Rzekła dźwięcznie, w formal. — Proszę za mną,

To był głos nie znoszący sprzeciwu. Nie pozostawiał żadnych wątpliwości, że maskarada została przejrzana. Kli i Viney niemal równocześnie zrzucili podły materiał i przerdzewiałe części. Mężczyzna wysunął na moment wszystkie swoje ostrza, potem schował je na powrót. Ot, tak, na próbę, jak działają. Bo choć o nich już wiedzą, kto powiedział, iż wszystko stracone? Viney ruszył w kierunku wskazywanym przez nową pojebkę.

Druga ruszyła Anayette, unosząc dumnie piękną głowę. Jak prawdziwy drapieżca, nie poddawała się do ostatka. Wciąż liczyła, że nieprzyjaciel popełni błąd. A może nie wiedzą wszystkiego? W macierzach właśnie rosło posłuszne im wojsko, choć nie tak liczne, jak mieli nadzieję. Teraz tylko pozostało grać na zwłokę.

Kli wyszła z pomieszczenia ostatnia. Pragnęła tylko, by pozwolili jej umrzeć razem z jej mężczyzną.

\* \* \*

Eskortująca ich pojebka zaprowadziła ich do niedużej sali, w której czekała Oliandria. Nie było żadnych dodatkowych straży. Więźniowie poczuli się pewniej. W trójkę mogą jeszcze wiele zrobić.

— Czy doprowadziliście zakażone matryce do porządku? — odezwała się ważniejsza sterowna. Jej dostojna twarz nad słojem miała bardzo surowe spojrzenie. Konwojująca ich Księżniczka pozostała przy błoniastych drzwiach, obramowanych jedynie stalową framugą o nieregularnym kształcie, inkrustowaną w dziwne wzory. Teraz odparła:

— Proces przywracania zgodności materiału z nadrzędnym programem uruchomiony.

— Widzicie więc, że wiemy wszystko o waszych poczynaniach — Oliandria zwróciła się tym razem do zatrzymanych. — I przyznaję, jestem pod wrażeniem, Zrodzony w Lęku. Wydaje się, że przeszacowaliśmy uszkodzenia, jakie w twoich tkankach dokonał paniczny strach podczas narodzin. Jesteś dla nas... interesujący.

— Co to oznacza? Że zasymilujecie mnie z większym smakiem?

— Viney prychnął pogardliwie.

— Ależ nie. Czy mi wierzysz, czy nie, leży mi na sercu dobro całej wspólnoty... — w słoju coś się zakotłowało i niby przypadkiem pod szybę podpłynęło bijące serce. — A ty poradziłeś sobie

doskonale w trudnej sytuacji. Uciekłeś specbrygadierowi, opuściłeś zonę, wytrzymałeś olbrzymie dawki promieniowania, wreszcie udało ci się zwrócić przeciwko nam wysłaną za tobą kontrolną. Dalej, w skrajnie niesprzyjających warunkach wymyśliłeś plan, który, choć desperacki, miał realną szansę powodzenia. Oznacza to, że posiadasz imponującą integralność wewnętrzną, jesteś inteligentny, potrafisz manipulować nawet równorzędnym tobie materiałem. Szkoda byłoby coś takiego zmarnować. Asymilacja to za mało. Chcemy cię obserwować. Oglądać twoje przyszłe przekształcenia. I, oczywiście — twarz sterownej zmieniła się, wykwitł na niej słaby uśmiech — kopulować z tobą, by przejąć zalety twojego materiału. Konklawe jest zgodne, że to nas wzbogaci.

— Zostaję waszym więźniem?

— Nie. Otrzymasz na początek status szlachecki równy Księżniczce Bólu.

— Co z moimi towarzyszami?

— Anayette okazała się nielojalna. Musi ponieść konsekwencje. Twoja młoda przyjaciółka posiada niebezpieczną skazę genetyczną. W mojej ocenie jej rozprzestrzenienie mogłoby zagrozić wielkości całej naszej rasy. Ewolucji nie stać na takie błędy. Wiesz już, że brakuje nam żywności. Twoi towarzysze zostaną zasymilowani.

Mężczyzna skinął głową, zastanawiając się nad propozycją sterownej.

— Oczywiście, zgadzasz się — stwierdziła Oliandria.

— Twoja propozycja jest sensowna. Zgadzam się — Viney powtórnie skinął głową. A następnie zaatakował. Dwa długie susy, kilkanaście metrów dzielących go od ważniejszej sterownej pokonał w ułamkach sekund. Ledwie mgnienie za nim wystartowały Kli i Anayette. Pojebka ze szczękiem otworzyła swoje obręcze, obnażone ostrza lśniły dziko w szmaragdowej łunie bijącej ze ścian. Viney i perłowowłosa wyrzucili przed siebie gąszcz żywych ostrzy. Straszliwe szpony przecięły twarz Oliandrii na tysiące lśniących fragmentów. Następnie potężne uderzenia spadły na wieko słoju, zabębniły o twardą szybę. Tu jednak nie uczyniły żadnych szkód.

Słój wyemitował jedną błyskawicę. Drugą. Trzecią. Poparzeni przeciwnicy wyli pod ścianą. Pojebka pod drzwiami śmiała się okrutnie.

— Ale wy głupie jesteście wszystkie... — powiedziała. W trakcie ich szaleńczego ataku pozostała bierna. — Rozproszyliście tylko hologram. Sam słój jest niezniszczalny. Chroni organy sterownej niby w konserwie. Nikt jej dzięki temu nie może pożreć. Czy myśleliście, że jakby naprawdę miała głowę na zewnątrz, to żyłaby tysiące lat na tym popierdolonym świecie?

— Uderzyliście w mój interfejs graficzny. Używam go dla wygody komunikacji — przemówił z ukrytych głośników słój. — Wszystko, co istotne, mam tutaj. — Do szyby pojemnika dopłynął majestatycznie olbrzymi mózg.

— Choć nie uczyniliście żadnych szkód, nie minie was jednak kara... — Nieznana siła podniosła poparzoną trójkę w powietrze, więząc członki, perfekcyjnie unieruchamiając.

— Pola pętające... — stęknął Viney.

— Coś w tym rodzaju. Zasymiluję was osobiście, natychmiast.

— Słój zaczął toczyć się w kierunku trójki buntowników. Pojebka wciąż się śmiała.

Anayetta, gdyby mogła skłonić głowę, zapewne oglądałaby paznokcie u swoich rąk, taką miała znudzoną minę. Viney odtwarzał spalone komórki, na powrót walcząc o pełną integrację.

— Ty stara marynato, jak go ruszysz, to cię zabiję... — darła się wniebogłosy Kli.

Słój się zatrzymał. Znieruchomiał. Mijały sekundy. Wreszcie coś zazgrzytało. Z głośników rozległ się charkotliwy wrzask, pełen najwyższego przerażenia. A potem zaraz ucichł. Zalśniła błyskawica. Śmiech pod drzwiami urwał się. Pozostała jedynie sterta wypalonego materiału. Szczęknięty stalowe zapięcia. Fragment szklanej powierzchni słoja odsunął się powoli. Mętna, mulista maź zaczęła

wylewać się na czarną podłogę. Poszczególne organy taplały się w niej rozpaczliwie, jak ryby wyrzucone na ląd. A następnie zmarły.

Ta sama siła, która spętała więźniów, teraz wciągała ich do wnętrza słoja. Nie było żadnego sposobu, by się jej oprzeć. Wkrótce cała trójka znalazła się w środku. Szklane drzwiczki zamknęły się na powrót. Wewnątrz zabulgotał na powrót, wtłoczony skądś gęsty płyn. Tym razem gulgotał długo i intensywnie. Gdy skończył, do szyby przykleiły się na moment czyjeś płuca.

— Co tu się wydarzyło, czcigodna...? — Do pomieszczenia wpadli zwabieni hałasem bezpiecznikowi.

— Ta pożywka okazała się pośledniej jakości — nad słojem ukazała się raz twarz Vineya, raz Kli, mignęła też Anayette. Wreszcie ustaliło się coś pośredniego, zawierającego rysy twarzy całej trójki.

— Uprzątnijcie bajzel, zasymilujcie materiał. Nasza zona potrzebowała pożywienia. Teraz problem mamy wreszcie rozwiązany.

Słój odwrócił się powoli na kołach i odtoczył z godnością.

2004-01-04

---

\* *Aleksander Galicz — „Prawo do odpoczynku”, tłum. Michał B. Jagiełło*

\* *Powstanie z martwych*

\* *Edward Stachura Biała Lokomotywa, fragment wiersza.*